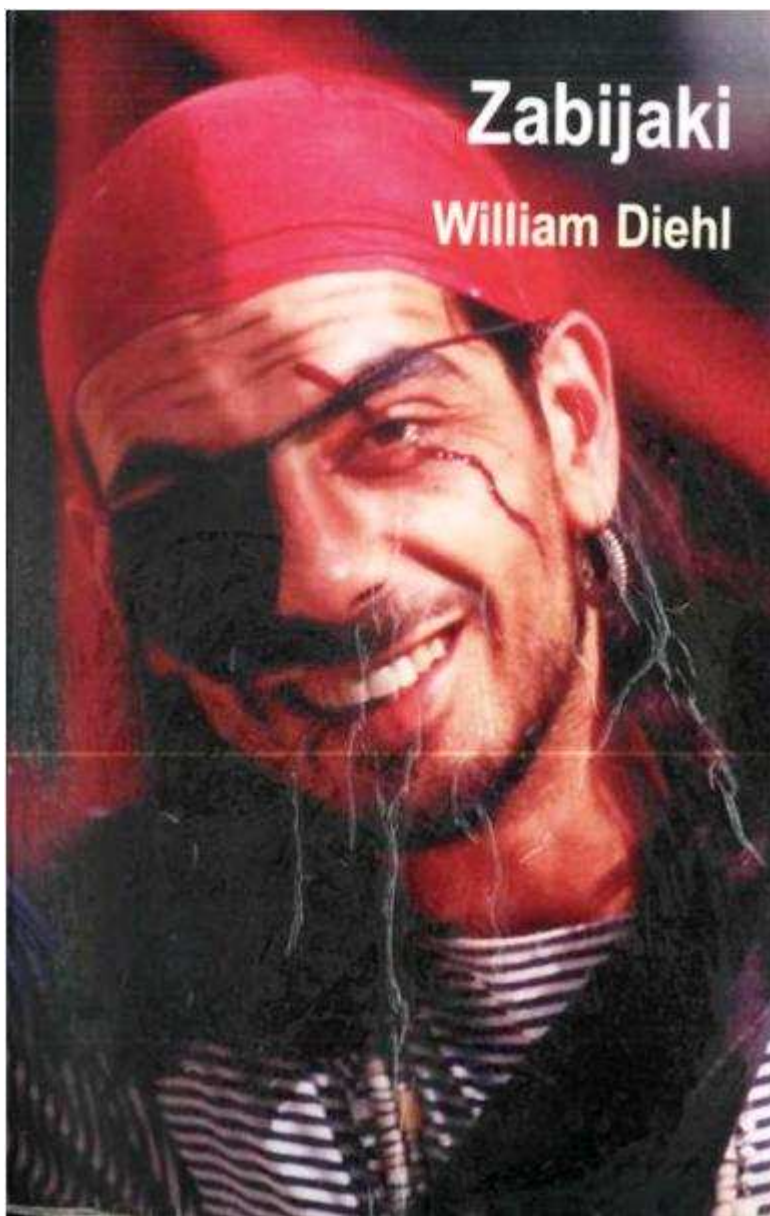


**Zabijaki**

**William Diehl**



Dunetown w stanie Georgia, zwane też Doomstown – Miasto Stracone, stało się miastem bezprawia, gdzie rządzi korupcja i zbrodnia. Jake Kilmer, agent FBI i weteran wojny w Wietnamie, tropiący gangsterską rodzinę Taglianich, pamięta inne Dunetown: spokojne idylliczne miasteczko, gdzie przed laty przeżył wielką miłość.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Szefowie miejscowej mafii giną w tajemniczych okolicznościach, narasta atmosfera zagrożenia i nieufności. Jake postanawia za wszelką cenę odnaleźć zabójcę. Nawiązuje kontakt z Zabijakami – grupą byłych policjantów, którzy próbują walczyć z przestępczością w Dunetown własnymi, niekonwencjonalnymi, lecz niezwykle skutecznymi metodami.

**ZYSK I S-KA**  
WYDAWNICTWO  
ISBN 83-7150-656-2  
Cena 39 zł



William Diehl

# ZABIJAKI

Przełożył Jerzy Łoziński

Zysk i S-ka Wydawnictwo

Tytuł oryginału

HOOLIGANS

Copyright © by Hooligans, Inc., 1984

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c,  
Poznań 2000

Copyright © for the cover illustration AXXA International Sp. z o.o.,  
Wydanie II poprawione Wydanie 1

ukazało się nakładem wydawnictwa Amber-Mizar w 1993 roku.

ISBN 83-7150-656-2

Zysk i S-ka

Wydawnictwo s.c.

ul. Wielka 10,61-774 Poznań

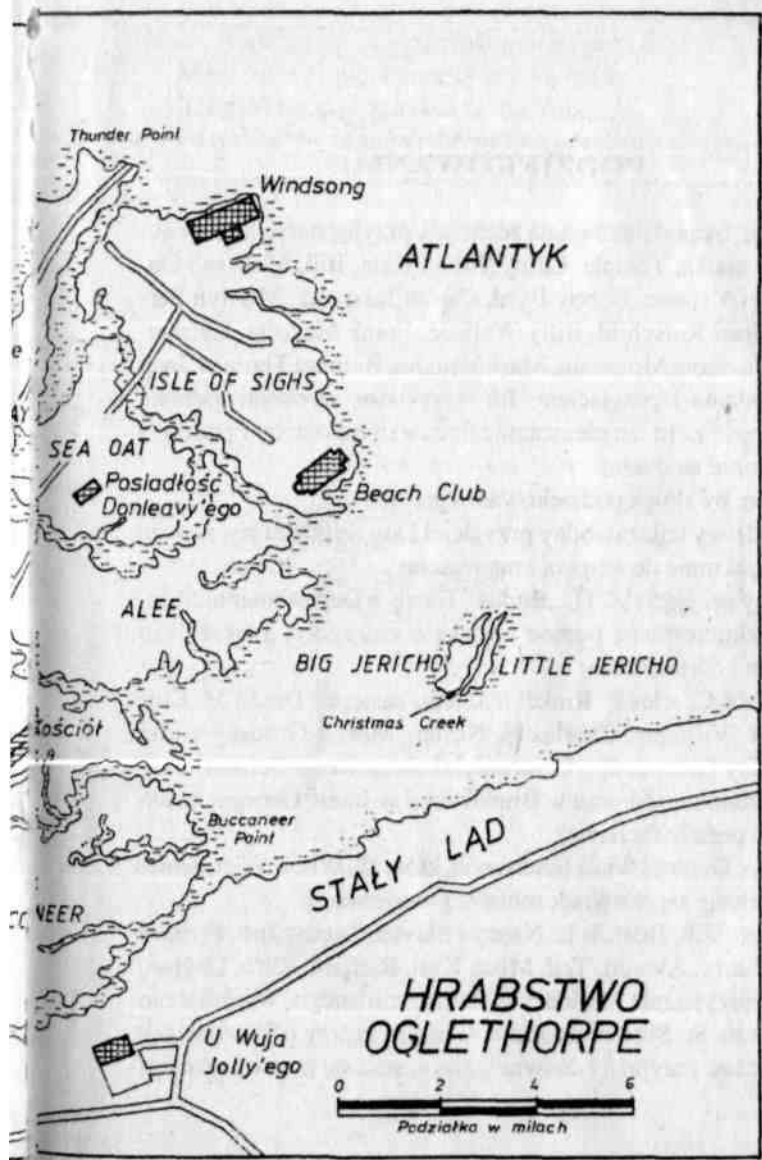
tel.853-27-51.853-27-67

tel./fax 852-63-26

Dział handlowy tel. 864-14-03,864-14-04

*Książka ta dedykowana jest Wirginii,  
miłości mojego tycia;  
Michaelowi Parverowi, za pomoc i przyjaźń,  
których nie szczędził mi w najtrudniejszych chwilach,  
i za Czerwia;  
a także ojcu, który był najdelikatniejszym  
i najbardziej kochającym człowiekiem,  
jakiego kiedykolwiek spotkałem,  
a zmarł, zanim skończyłem pisać.*





## PODZIĘKOWANIA

Proszę, by podziękowania zechciały przyjąć następujące osoby: moja matka, Temple, Cathy, John i Kate, Bill, Melissa i David, Stan i Yvonne, Bobby Byrd, Carole Jakowitz, Marilyn Parver, Michael Rothschild, Billy Wallace, Frank Mazolla, Harrisonowie z Lookout Mountain, Mark Vaughn, Barbara Thomas, Jack i Jim, rodzina i przyjaciele. Im wszystkim wyrażam głęboką wdzięczność za to, że nieustannie dodawali mi otuchy i podtrzymywali mnie na duchu.

Proszę, by słowa podziękowania przyjęli też:

prawdziwy i niezawodny przyjaciel Don Smith, który zawsze wspomagał mnie dowcipem i mądrością;

wierny przyjaciel C.H. „Buddy” Harris z Departamentu Skarbu za bezinteresowną pomoc i troskę o szczegóły, a także jego żona Joan i córka Robin;

dyrektor Charles F. Rinkevich, jego zastępca David McKinley. Kent Williams, Charles E. Nester, Morris Grodsky i inni pracownicy Federalnego Centrum Szkoleniowego Ochrony Prawa Departamentu Skarbu w Brunswicku w stanie Georgia za ich bezcenne porady fachowe;

George Gentry i wiele innych osób, które służyły w Wietnamie, za podzielenie się doświadczeniami i wrażeniami;

George, Bill, Bear, B.L. Nancy i Slavka, Sandy, Jim, Frankie i Jingle, Larry, Averett, Ted, Mike, Kurt, Richard, Ruth, Dayton, wszyscy przyjaciele i koledzy z niezapomnianego, wspaniałego Higdon's na St. Simons Island w Georgii, którzy ofiarowawszy mi swój czas, przyjaźń i doświadczenie, stali się pierwowzorami postaci;



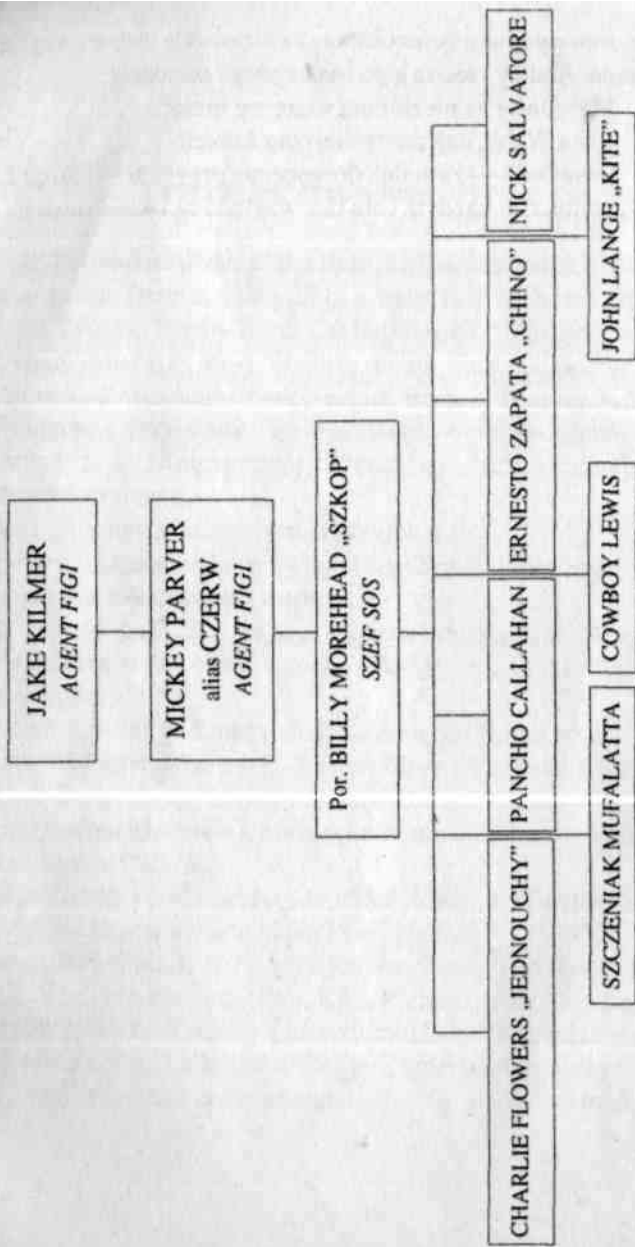
mój wydawca Peter Gethers za niezwykle trafne uwagi, a także Susan, Audrey i reszta jego znakomitego personelu;

Marc Jaffe za niezłomną wiarę we mnie;

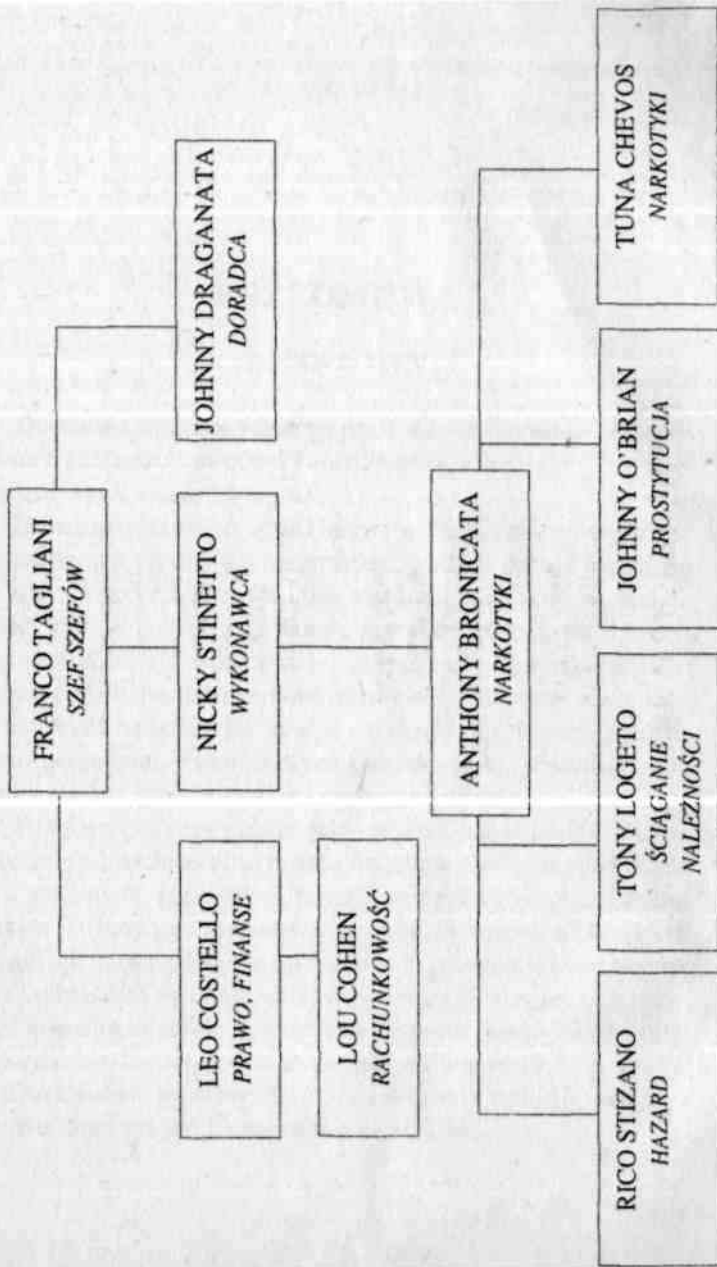
Irena Webb, najczarowniejsza z kobiet;

i wreszcie - za stałą i drogocenną przyjaźń - Owen Laster, dzentelmen w każdym calu bez względu na okoliczności.

## SEKCJA OPERACJI SPECJALNYCH



## TRÓJKA Z CINCINNATI



*Ryba ufa wodzie,  
ale w wodzie także się ją gotuje.*

Przysłowie hawajskie

## PRZEDMOWA

### DUNETOWN

Dunetown to miasto założone przez Rewolucjonistów, ukształtowane przez szubrawców i konfederatów, a swój szlif zawdzięczające wykwinnym damom.

Dunetown to swoisty urok i leniwy wdzięk, bulwary wysadzone azaliami i promenady nadrzeczne, parki i wąskie zaułki; to miasto skwerów, balkonów i balustrad, żaluzji i okien na poddaszach, połyskujących piernikowo portyków, wieżyczek i kopulek; deptaków z kostki, żwiru i muszelek; nadmorskie miasto o masywnych murach i wyboistych ulicach, z domami o wielkich okiennicach na solidnych zawiasach i krętych schodach z żeliwnymi poręczami; miasto przyciśnięte do rzeki, po której suną statki, miasto, gdzie mewy pokrzykują na drozdy.

To miasto, którego puls zmienia się co kilkaset jardów równie subtelnie jak architektura; miasto siedemnastowiecznych budynków szkolnych, kościołów i tawern; wentylatorów pod sufitami i okien Tiffany'ego, dwukondygnacyjnych atriów, niebieskich, okrągłych iluminatorów mansardowych, georgiańskich schodów i palladiańskich okiennic; miasto ogromnych, eleganckich rezydencji, pamiętających jeszcze czasy sprzed wojny secesyjnej, a ukrytych za zasłoną omszałych dębów i winorośli.

Dunetown to przechadzka po osiemnastym stuleciu; cała jego historia zapisana jest na nagrobkach cmentarnych:

TUTAJ SPOCZYWA JENIFER GOLDSMITH  
KOCHAJĄCA MAŁŻONKA JEREMYEGO  
ZABRANA W ROKU PAŃSKIM 1744  
PRZEZ ZARAŻĘ, KTÓRA ZABIŁA TAK WIELU LUDZI W TEJ  
OKOLICY

JAMES OLIVER  
PRĘDKI JEZYK I GORAÇA GŁOWA  
ZGINAŁ W 22 ROKU ŻYCIA  
W POJEDYNKU Z POR. CHARLESEM MORAYEM,  
KTÓRY MIAŁ SZYBSZĄ RĘKĘ I CELNIEJSZE OKO

To byli przodkowie. Ich potomkowie zawładnęli miastem, stali się panami królestwa i narzucili Dunetown archaiczną, niezmienną hierarchię społeczną; jej symbolem jest Dune Club, gdzie wstęp ma jedynie elita tych, których pieniądze są najstarsze, korzenie najgłębsze i którzy od ponad stulecia chronią tę hierarchię przed erozją czasu.

Bieg historii ominął przeto Dunetown, pozostawiając nietknięty skarb: osiemnastowieczną oazę, której legenda pełna jest opowieści o duchach, wojnach, potyczkach, skarbach ukrytych na skalistych atlantyckich wybrzeżach. Jej mieszkańcy jak wyspiarze dumni są ze swej tradycji i niezależności, ich linie genealogiczne prowadzą do irlandzkich węglarzy, hiszpańskich najemników, na Haiti, Jamajkę i do rezerwatów Czirokezów.

Zatoki, mokradła i rzeki okalają miasto rozłożone na wyspach: Alee, Skidaway, Thunderhead, Buccaneer, Oceanby, Sea Oat i pełnej smutku, przypominającej Wielkiego Gatsby'ego, Isle of Sighs, gdzie skupiło się bogactwo i gdzie pomiędzy starodawnymi domostwami, jaśniejącymi na tle morza, mógłby ktoś dojrzeć samotną i zagubioną Jay Gatz, jak poprzez wodę wpatruje się w płonące uparcie światelko na falochronie Daisy.

*Kiedy się wsluchasz,  
Przeszłość jest wszędzie,  
nie wiatr to bowiem słycać,  
Lecz cichy szept ducha  
Niegdysiejszych lat.*

To, co w Dunetown jest rzeczywistością, dla reszty świata jest historią.

*Przechadzka po Dunetown*

Wstęp

J. THOMPSON, 1972

## PROLOG

### NIEDZIELA O ZMIERZCHU

Na godzinę przed zachodem słońca kapitan małego trawlera z czteroosobową załogą, który szedł północnym kursem, osiem dni wcześniej wypłynąwszy z Cumana w Wenezueli, dostrzegł czerwone światło alarmowe na maszcie łodzi żaglowej. Kiedy zobaczył je po raz pierwszy, mogło być oddalone o jakąś milę. W tym momencie trawler znajdował się w odległości dziesięciu mil od brzegu i trzydziestu pięciu na północny wschód od Fernandiny na Florydzie. Przez następne pół godziny, podczas gdy jego zardzewiała krypa zbliżała się do jachtu, kapitan uparcie wpatrywał się w światelko.

Zanim słońce zgasło całkowicie, zbliżyli się na tyle, że widzieli już wyraźnie w szarym świetle zmierzchu kosztowną zabawkę bogacza unoszącą się martwo na wodzie. Ogromną, czterdzieści stóp żagla, z jednym tylko człowiekiem na pokładzie. Mężczyzna zerwał z siebie koszulę i powiewał nią nad głową.

Kapitan, ogorzały, czterdziestoletni marynarz z kilkunastu letnim zarostem na twarzy, potarł brodę zatłuszczoną dłonią. Dwaj członkowie załogi z umiarkowanym zainteresowaniem przypatrywali się coraz bliższemu jachtowi. Czarnoskóry zastępca kapitana, z twarzą znaczoną blizną ciągnącą się od kącika ust do ucha, zmrużył oczy, wpatrując się w mrok, a potem porządził szefowi, by nie przejmował się losem napotkanej łodzi.

- Pieprz ich, bracie. Nie mamy czasu chrzanić się z jakimś niewydarzonym żeglarzyną - powiedział cicho.

Kapitan zbyt długo jednak pływał po morzu, by mógł zostawić bez

pomocy kogoś w potrzebie. Poza tym półnagi mężczyzna był najwyraźniej bogaczem; marny, niedzielny żeglarz, który zaufał nadmiernie swym umiejętnościom, a teraz zapewne umierał z przerażenia.

- Żadnych pukawek - rzucił cicho po hiszpańsku. - Stójcie spokojnie, zobaczymy, o co im chodzi. Jeśli nie mają paliwa, możemy pomóc tym gringo.

Włączył potężny reflektor i snop światła omiółł jacht od dziobu po ster. Po chwili byli na tyle blisko, że mógł rzucić linę mężczyźnie na pokładzie.

- *Habla español?* - zawołał kapitan.

- *No* - padła odpowiedź.

- Co wasz problem? - zapytał kapitan łamaną angielszczyzną.

- Wiatr siadł. - Żeglarz wskazał na okłapy żagiel. - I nie mam paliwa.

Możecie dać mi trochę?

- Damy wam ropy do Saint Simon Island. - Kapitan wskazał kierunek. - Piętnaście, może dwadzieścia mil na północny zachód.

- Dziękuję, serdeczne dzięki. *Muchas gracias, señor.* - Mężczyzna skłonił się, przykładając rękę do piersi.

Kapitan polecił jednemu ze swych ludzi, by przeniósł na jacht kanister z ropą. Mężczyzna zniknął pod pokładem, a po kilku minutach pojawił się znowu, niosąc dziesięciogalonowy pojemnik. Wraz z drugim członkiem załogi trawlera przeszli na żaglówkę.

Kapitan i zastępca odprowadzili ich wzrokiem.

- Coś mi się tu nie podoba - mruknął Murzyn.

- Spokojnie.

Zanim tamci dwaj dotarli do luku rufowego, drzwiczki kabiny rozwarły się nagle i na pokład wyskoczył inny mężczyzna z pistoletem maszynowym w rękach. Zastępca kapitana zaklął i sięgnął do pasa po rewolwer, ale zbyt późno. Seria omiotła pokład i mostek trawlera.

*Bdddddddddddt...*

*Bdddddddddddt...*



Oslona kabiny kapitańskiej prysła nagle i odłamki szkła rozsypały się po całym pokładzie. Kule rozerwały pierś kapitana, a ich impet cisnął go przez drzwi do wnętrza kabiny, gdzie runął na plecy. Stopy kilka razy zadrgały gwałtownie, zanim skonał.

Druga seria poszatkowała zastępcę, kiedy szamotał się ze swoją trzydziestką ósemką. Kule poderwały go w powietrze, obróciły dookoła i cisnęły kilka metrów dalej. Padł jak pusty worek, twarzą do pokładu, z odstrzeloną połową głowy.

Dwaj pozostali członkowie załogi, którzy osiem dni temu zamustrowali się na trawlera, zwrócili dzięki z przerażenia oczy na strzelającego. Jednego z nich mężczyzna bez koszuli ugodził nożem myśliwskim w pierś, niebezpiecznik upadł na ster, mamrocząc coś niewyraźnie. Drugi, któremu facet z pistoletem maszynowym strzelił w pierś, wypuścił kanister z ręki i przeleciawszy nad relingiem, runął do morza.

Pólnagi mężczyzna wyszarpnął nóż, otarł go o spodnie swej ofiary i zepchnął ciało do wody.

Wszystko trwało raptem trzydzieści sekund.

Zaczęli szybko przeszukiwać trawler. Po półgodzinie wysiłek ich został nagrodzony. Przenieśli trzy małe, ciężkie torby na jacht, ciała kapitana i jego zastępcy cisnęły do morza, pokład oblali benzyną i podpalili.

Mężczyzna bez koszuli zapuścił silnik i spiesznie oddalił się od płonącego statku; unieruchomiwszy ster, powrócił do swego towarzysza i obaj uważnie obejrzelni zdobył.

- Jak ci się to podoba? - spytał mężczyzna bez koszuli, nachylając się nad jedną z toreb.

- Cudowne - powiedział drugi. Cofnął się o krok, wyjął zza pasa magnum .357 i przysunął się do swego towarzysza.

- Przykro mi - wycedził. Trzymając lufę w odległości niemal cala od głowy tamtego, nacisnął spust. Huknął strzał, pocisk rozerwał tył czaszki i ciało pólnagiego mężczyzny runęło na barierkę. Zabójca chciał je złapać, ale wysunęło mu się bokiem, na chwilę zatrzymało w linach żagla, a potem zwałiło do wody.

- Kurwa mać! - krzyknął zabójca, raz jeszcze daremnie usiłując pochwycić wymykające się zwłoki. Ciało podskoczyło na wodzie jak szałwiarz, a potem pogrążyło się w toni.

Mężczyzna rzucił się do steru, włączył pełne obroty i gwałtownie zawrócił łódź. Krążył tak jeszcze przez dziesięć minut, mając nadzieję, że dostrzeże w wodzie ciało, po czym wreszcie dał za wygraną.

Był już w odległości mili lub dalej od płonącego trawlera, gdy eksplodowała benzyna, a pulsująca kula ognista przez chwilę lub dwie rywalizowała ze wschodzącym słońcem.

Mężczyzna co jakiś czas oglądał się na smugę dymu, która stawała się coraz bledsza, aż w końcu znikła.

## 1. RAZ, DWA, TRZY

Powrót do Dunetown był gorszy niż wyjazd do Wietnamu. Nie wiedziałem, jak to jest w Namie, dobrze wiedziałem, co czeka mnie w Dunetown.

Kiedy samolot zaczął podchodzić do lądowania, opadły mnie wspomnienia i znów przed oczyma stanęły mi jak żywe miejsca, o których przez całe lata starałem się zapomnieć, powrócił czas ostatniego w moim życiu promiennego lata. Potem wszystko spowily kolory jesieni, kolory przemiłania. Barwy śmierci.

Barwy Wietnamu.

Brązowe, błotniste rzeki. Ciemnozielone torby na zwłoki. Ciemne zgliszczą po drzewach i wioskach. Szare twarze z białymi oczyma, czekające na zgrzyt zamka błyskawicznego i powiezenie przez morze, by mogły spocząć w brunatnej ziemi.

Takimi odcieniami pokryło się moje życie od tamtego lata. Był to rok 1963.

Dawno, dawno temu.

Przez dwadzieścia lat starałem się zaleczyć blizny pozostawione przez ten rok. Nagle uderzyło to we mnie jak sztylet i raz jeszcze osaczyły mnie dawne imiona i dawne twarze. Chief. Titan. Wally Butts i Vince Dooley. Teddy.

Doe.

Czas stępił ostrze, pokrył piaskiem krawędzie, ale ból stał się przez to jeszcze dotkliwszy. Doe Findley była ostatnią z fantazji, jakie sobie pozostawiłem. Przegnałem wszystkie inne marzenia, tego jednak trzymałem się kurczowo, broniłem go, pieściłem, szukałem w nim schronienia, ciągle nie pozwalałem go sobie wydrzeć.

Mały samolot leciał nisko nad moczarami w gęstym deszczu. Patrzyłem przez owalne okienko, zalewane strugami wody, i szukałem jakiegoś znaku, który pozwoliłby mi odnaleźć się w czasie i w przestrzeni. Oczekiwałem znajomej budy o płaskim dachu, która służyła jako dworzec lotniczy, z automatem do kawy i kilkunastoma krzesłami w czymś, co nazywano żartobliwie poczekalnią. Czas wycznia z nami przedziwne sztuczki. Staje się w naszych głowach zastygłym kadrem. Ludzie się nie starzeją; farba na starych domach nie luszczy się ani nie blaknie. Drzewa nie stają się wyższe. Nawet trawa nie wzrasta.

Tym, co naprawdę chciałem zobaczyć przez iluminator, była przeszłość. Tymczasem ujrzałem niski terminal ze szkła i stali, mrugające światelka wytyczające pasy startowe i odrzutowce szykujące się do startu. Ruch był tu większy niż w Las Vegas w niedzielny wieczór. Trudno połknąć za jednym razem dwudziestoletni kawał rzeczywistości, a tymczasem to właśnie musiałem zrobić.

Schodząc po schodkach na ziemię w potokach deszczu, przypomniałem sobie nagle często powtarzane przez ojca powiedzonko:

- Nie warto mieć tego, co przychodzi zbyt łatwo.

Mówiąc ściśle, powtarzała to matka. Ojciec zginął w walkach na Pacyfiku trzy miesiące przed moim urodzeniem. Nigdy specjalnie nie pasjonowałem się geografią, kiedy jednak szedłem do szkoły, wiedziałem wszystko, czego można się było dowiedzieć, o wyspie Guadalcanal. Znałem współrzędne geograficzne, kształt, wiedziałem, że miała zaledwie sto mil długości i trzydzieści szerokości i że była pierwszym celem naszej ofensywy na Pacyfiku. Wiedziałem też, że 20 sierpnia 1942 roku, o godzinie 22.15, mówiąc inaczej, kwadrans po dziesiątej wieczorem, kapitan J.L. Kilmer z Pierwszej Dywizji Piechoty Morskiej przestał być moim ojcem i stał się legendą mojej matki. Wzrastałem wpatrzony w Purpurowe Serce i Krzyż Piechoty Morskiej, zawieszone wraz z jego zdjęciem nad moim biurkiem, abym go nigdy nie zapomniał. Guadalcanal na zawsze już miało pozostać ohydny, bezwartościowym strzępem rzeczywistości, leżącym nie

wiadomo gdzie, za który nikt nie powinien umierać. Miałem później zobaczyć na własne oczy, jak wygląda takie umieranie.

Tak czy inaczej, już w pierwszej fali desantu jego świat eksplodował. Nie zdążył nawet zamoczyć stóp.

Niemniej matka starannie zadbała o to, bym dowiedział się wszystkiego o moim staruszku, o jego zasadach i miejscu, gdzie poległ. Nauki, którymi mnie karmiła, kiedy dorastałem, zaczynały się zawsze od słów: „Twój ojciec zwykł mówić...”, a potem następował odpowiedni frazes.

Dopiero kiedy miałem szesnaście czy siedemnaście lat, zorientowałem się, że aby ojciec mógł przekazać matce wszystkie te mądrości, którymi z jego poręczenia faszerowała mnie w okresie dojrzewania, przez dwa lata małżeństwa musiałby mówić do niej bez przerwy dwadzieścia cztery godziny na dobę. To matka stworzyła dla mnie obraz ojca, jednakże z dobrym skutkiem. Zanim zacząłem zadawać jej pytania, wyobrażałem sobie, że mając dwadzieścia dwa lata, ojciec był mądrzejszy od Homera, Sokratesa, Newtona i Beniamina Franklina razem wziętych. Co dziwniejsze, w głębi duszy nadal chyba tak myślę.

- Twój ojciec często powtarzał: „Nie warto mieć tego, co przychodzi zbyt łatwo”.

Idąc tak w strugach deszczu, powinienem był wsłuchać się w tę przestrożę, ale myślałem teraz o czymś zupełnie innym. Mądra maksyma przemknęła mi tylko przez głowę i już w następnej chwili zupełnie o niej zapomniałem.

Kiedy wkroczyłem na teren dworca lotniczego Dunetown, zostałem szybko sprowadzony na ziemię. Zobaczyłem niewielkie miasteczko z ruchomymi chodnikami, czynnym przez całą dobę kioskiem z przekąskami, elegancką restauracją w europejskim stylu i dwoma barami.

Zanim, przeszedłszy przez halę, dotarłem do miejsca odbioru bagażu, zdążyłem dojrzeć pierwszorzędnego kieszonkowca z Albuquerque znanego jako Dan Daleney Paluszek, dwie kurewki z San Diego (ich imiona

uleciały mi z pamięci) i utalentowanego naciągacza z Detroit, Eddie'ego Fuereco Hiszpana, w połyskliwym garniturze z nylonu i w hawajskiej koszuli, który stał sobie, niefrasobliwie podrzucając monetę.

Wszyscy oni najwidoczniej byli w pracy, co dawało wiele do myślenia.

Panienska w informacji miała dla mnie kopertę, w której znalazłem kluczyki do samochodu, dowód rejestracyjny, potwierdzoną rezerwację pokoju w Ponce Hotel oraz plan miasta z zaznaczoną drogą dojazdową. Czekala też na mnie wiadomość, przekazana telefonicznie dwadzieścia minut wcześniej: „Pilne. Spotkaj się ze mną jak najszybciej przy wyjściu zapasowym szpitala miejskiego”.

Tym, kto tak gwałtownie mnie potrzebował, był porucznik Morehead z policji miejskiej, co natychmiast przypomniało mi, czemu się tutaj znalazłem, bo oczywiście nie po to, by opłakiwać stracone lata młodości. Przybyłem tu z powodu faceta o imieniu Franco Tagliani, bandziora kierującego organizacją zwaną Trójką z Cincinnati. Przez pięć lat starałem się przyskrzynić Taglianiego i jego zgraję. Próbowałem wszystkiego, na co pozwalało prawo.

I wszystko na nic.

W ciągu tych pięciu lat ani razu nie znalazłem się na tyle blisko niego, bym mógł uchylić kapelusza na dzień dobry. Było mi trochę łyso; pięć lat, których efektem była figa z makiem.

Potem nagle zniknął, a wraz z nim cała jego banda. Jakby ich zdmuchnęło. Sztuczka roku. A teraz, po dziewięciu miesiącach, znowu się pojawił, w dodatku w Dunetown, ostatnim miejscu na świecie, gdzie chciałem się znaleźć. Serdeczne dzięki, Franco.

Tym razem mieliśmy zagrać na serio i wynik miał być odrobinę inny.

Dałem sobie spokój z hotelem i pojechałem prosto do szpitala miejskiego. Przed drzwiami wyjściowymi czekał porucznik, ogromny facet, wyższy ode mnie co najmniej o głowę.

- Morehead - powiedział, a moja dłoń zniknęła w jego wielkiej łapie. -  
Mów mi Szkop.

- Jake Kilmer - odparłem.

Pięć minut później po raz pierwszy stanąłem twarzą w twarz z Taglianim. Znajdował się w szufladzie zamrażarki ustawionej w suterenie; w plecach miał sporą dziurę, kawał ołowiu w lewym barku, jeszcze jeden w czole. Dla pewności strzelono mu na dodatek w prawe oko.

Na karteczce przychepionej do dużego palca u nogi było napisane, że nazywa się Frank Turner, ale ja wiedziałem swoje.

W szufladzie obok spoczywał, równie martwy, jego chłoptaś numer jeden. Nicky Stinetto. Trafiono go trzykrotnie, przy czym dwa strzały oddano już tylko na pożegnanie. Karteczka podawała nazwisko Nata Shermana, co było kolejnym łągarstwem.

Oba ciała były brzydko nadpalone i pokryte licznymi ranami.

Dwie różne spluwy. Nie trzeba być koronerem, żeby dostrzec różnicę między dziurą zrobioną przez .22 i wywierconą przez .357.

- Dwóch zawodowców? - podsunąłem.

- Może dwaj zawodowcy, może Wyatt Earp - powiedział Morehead, po czym ciągnął dalej, jakby odczytywał oficjalny raport policyjny. - Zabójstwa zostały dokonane około godziny siódmej po południu w rezydencji denata Turnera... lub, jeśli wolisz, Taglianiego. Najpierw padły strzały, potem nastąpiła eksplozja. Próbujemy rozgryźć, co to była za bomba. Żona Taglianiego poniosła ciężkie obrażenia od wybuchu. Jest tutaj, na oddziale intensywnej terapii, jej życie wisi na włosku.

Spojrzałem na zegarek, było parę minut po dziewiątej.

- Sporo zrobiliście; to było niecałe dwie godziny temu.

- Wszystko mamy dokładnie zarejestrowane na taśmie - powiedział i mrugnął do mnie. Billy Morehead, szef Sekcji Operacji Specjalnych policji miejskiej. Niemieckie pochodzenie miał wyraźnie wypisane na sponiewieranej twarzy. Spod ciężkich powiek spoglądały na mnie z góry bladoniebieskie oczy, przyczajone za okularami w złotych oprawkach. Byk jego rozmiarów

zgarniałby nagrody na wszystkich wystawach; dłonie miał jak dwa bochny chleba, rudawe włosy zaczynały siwieć, miękki głos łatwo przechodził w grznot, kiedy kłął po niemiecku. Wszystko to razem wzięte zaskarbiło mu przydomek Szkop. Był kordialny, ale ostrożny. Znałem go dopiero od pół godziny, a już zaczynałem lubić jego styl.

- Dobra - powiedziałem - niczego już się od nich nie dowiemy. Miejmy nadzieję, że lepiej uda nam się z wdową. Może ona coś zapamiętała.

- Nawet jeśli tak było, niczego nie powie. Oni wszyscy są tacy sami.

Na dole nic już nie było do zrobienia, pozostawało tylko czekać na wyniki sekcji zwłok. Poszliśmy na drugie piętro na oddział intensywnej terapii. Pani Tagliani wyglądała tak, jakby się wybierała na Księżyc; od obu rąk odchodziły dreny, na twarzy miała maskę, a ustawione za łóżkiem trzy monitory rejestrowały oznaki jej gasnącego życia. Czytnik serca wydawał się straszliwie powolny; słychać było leniwe: *bip, bip, bip*, a zielona linia biegnąca wzdłuż ekranu podrygiwała przy każdym piknięciu.

Nie widać było nikogo z rodziny. Zapytany o to Szkop wzruszył tylko ramionami, po czym kciukami i palcami wskazującymi obu dłoni wygładził kąciki bawarskich wąsów.

- Pewnie schowali się pod łóżkiem.

Lekarz, który miał wygląd nastolatka i sprawiał wrażenie żółtodzioba, poinformował nas, że siedemdziesiąt procent skóry doznało poparzenia pierwszego stopnia, w piersiach i brzuchu ofiary utkwily odłamki szkła, a spadające gruzy spowodowały poważne obrażenia głowy.

- Jakie ma szanse? - spytałem.

- Może jakiś bukmacher z Kansas City będzie wiedział - mruknął i odszedł.

- Mam jednego człowieka przed wejściem, drugiego w fartuchu pielęgniarskim na tym piętrze - odezwał się Szkop. - Nikt się tu nie dostanie. Może pójdziesz ze mną? Muszę się dowiedzieć, co udało się ustalić moim ludziom.



Decyzję podjęła za mnie pani Tagliani. Monitor jej serca nagle się zbuntował. Przestał pikać, a zielona linia wyprostowała się. Maszyna zaczęła zawodzić.

- *Schmerz!* - warknął Szkop. Słyszałem już kiedyś to wyrażenie. W luźnym tłumaczeniu znaczyło mniej więcej tyle, że rzeczy mają się kiepsko. Sam nie ująłbym tego lepiej.

Chwilę później nadbiegł lekarz w towarzystwie dwóch pielęgniarek; za nimi podążała cała drużyna reanimacyjna, pchając stoliki pełne instrumentów.

Postaliliśmy z dziesięć minut, aż tamci się poddali.

- *Eins, zwei, drei* - mruknął Szkop. - Jeszcze jedna osoba, a mielibyśmy karetę. Wygląda na to, że odbył pan długą podróż na darmo, panie Kilmer.

- Aha - zgodziłem się.

- Muszę zadzwonić do Wydziału Zabójstw, żeby powiedzieć im, że pani Tagliani zasnęła na wieki. Wracam za chwilę. Zatrzymałeś się w „Ponce”, tak?

- Mhm.

- Niezła chatka.

Wszedł do przeszklonego pomieszczenia biurowego, wykonał dwa telefony w czasie, który zabrało mi poprawienie krawata, i już był z powrotem.

- Słyszałem, że znasz to miasto - powiedział, kiedy szliśmy w stronę parkingu.

- Trochę, jeśli nie zmieniło się za bardzo przez ostatnie dwadzieścia lat - odrzekłem.

Roześmiał się, ale dość zgryźliwie, bez specjalnej wesołości. - No to się nieco zdziwisz - rzucił. - Jedź za mną do hotelu, tam możesz zostawić wóz, a ja wezmę cię do Magazynu.

- Do jakiego znów Magazynu?

- Tak nazywamy naszą budę.

Powiedziałem, że to miłe z jego strony, i ruszyliśmy w ciepłą, deszczową noc.

## 2. PRZEJAZDZKA PO MIEŚCIE

Do hotelu mieliśmy tylko parę przecznic, ale to, co zdołałem dostrzec przez wycieraczki i strugi deszczu, uświadomiło mi wystarczająco, jaki los spotkał Dunetown przez te dwadzieścia lat. Nie chodziło o zmarszczki, które niesie czas; miałem wrażenie, że przyglądam się pięknej kobiecie przeistoczonej w kurwiszce. Śmierć Taglianiego sprawiła, iż poczułem, jak robaki zaczynają mi pełzać w żołądku. Wystarczył jeden rzut oka na Dunetown, by robaki stały się śliskimi, syczącymi węzami, kłuszącymi moje wnętrze.

Dwadzieścia lat temu Ocean Avenue była ciemną i romantyczną, asfaltową, dwupasmową aleją, nad którą rozpinał się łukowaty dach z magnolii, a która, wijąc się, prowadziła z Dunetown w kierunku odległego o sześć mil morza. Dzisiaj był to Ocean Boulevard, sześciopasmowa autostrada, jakby wycięta jednym uderzeniem noża między bezlikiem jaskrawych lamp. W ich świetle widać było nie drzewa czy krzewy, lecz sznury hotelowych tablic reklamowych z błyskającymi neonowymi palcami, wskazującymi turystom drogę na plażę.

Jeszcze gorzej wyglądała Front Street. Byłem tak zszokowany tym, co z niej zrobiono, że zatrzymałem się, wysiadłem z samochodu i stanąłem na deszczu, wpatrzony bezmyślnie w oszalałą ulicę. Była tak odmienna od Front Street zakrzepłej w mej pamięci, że nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Tamta przypominała obrazy Normana Rockwella. Były na niej dwa stare kina, na jednym seansie wyświetlające dwa filmy. Był sklepik Bucy'ego, gdzie mogłeś dostać wodę sodową i koktajl z prawdziwymi lodami owocowymi, którymi można się było zajądać, zasiadłszy na starych krzesłach, o wyginanych metalowych oparciach. I była chluba miasta, Dom Towarowy Blaine'a, wypełniający przestrzeń między dwiema przecznicami. Mieszkańcy Dunetown zaopatrywali się tutaj we wszystko, od pieluszek po ubrania do trumny.

Wszystko zniknęło. Żadnego Bucky'ego, żadnego Blaine'a, a w dwóch salach widowiskowych przez całą dobę wyświetlano spektakle pornograficzne. Neonowa aureola zawisała nad centrum miasta jak jaskrawa chmura. Kurwy wdzięczyły się pod markizami, dokąd umknęły przed deszczem, naganiacze zapraszali niepewnych siebie przyjezdnych i pewnych siebie birbantów na nic nie skrywające pokazy, wszędzie mrugały kuszące obietnice: „nic na górze”, „nic na dole”. Wrzaskliwa i natarczywa muzyka disco wybijała puls ulicy.

Znałem tę ulicę, choć poznałem ją w Hollywood i w Bostonie. Zawsze to samo. Nie mogłeś nigdzie kupić sobie drinka bez pchających ci się pod oczy gołych cycków lub bez propozycji ze strony kelnerki bądź kelnera, zależnie od upodobań. ,

Mój Boże, pomyślałem, cóż tu się porobiło? Jak Chief i Titan mogli pozwolić tak upaść miastu, które kiedyś traktowali niczym ukochaną?

Neonowa luna rozjaśniła sześć kolejnych ulic.

Dalej zaś, zupełnie jak gdyby jakiś średniowieczny architekt poprowadził przez środek miasta niewidzialny mur, neony urywały się i Dunetown stawało się raptem eleganckie. Tak jakby czas przemknął na paluszkach przez tę część miasta, trzymając palec na ustach. Stare drzewa otaczały dwustuletnie posiadłości i pałacyki. Z surową akuratnością odtworzono dawne wspaniałości. Na rogach migotały latarnie gazowe, ulice były oświetlone głównie przez światła padające z okien, co trzy, cztery przecznice otwierały się pełne kwiatów skwery, z fontannami pośrodku, tworząc akcenty symetrii i piękna.

Do głowy przychodziło mi tylko jedno.

Całe miasto doszczętnie zwariowało.

### 3. DOOMSTOWN, MIASTO STRACONE

Szkop czekał na mnie pod markizą rozpiętą nad wejściem do „Ponce”, politycznego wodopoju Dunetown, wielkiego, starego, podniszczonego hotelu, o ścianach porośniętych dzikim winem. Była to jedna z nielicznych rzeczy w Dunetown, które się nie zmieniły. Szkop wbił ręce w kieszenie workowatego, nijakiego garnituru; z kącika ust zwieszał się camel. Być może ktoś na świecie o niego dbał, ale doprawdy trudno było się tego domyślić. Zaparkowałem za dużą, czarną limuzyną, rzuciłem kluczyki garażowemu, pokazałem się w recepcji, dałem pięć dolców chłopaczkowi, żeby podrzucił moją torbę do pokoju, a teczkę rzuciłem na tylne siedzenie wozu Szkopa.

Gramoląc się na miejsce z przodu, ciągle jeszcze byłem przytłoczony widokami i dźwiękami Dunetown.

- Dobra, jedźmy - powiedział i ruszył ciemną ulicą, biegnącą między rzędami palm.

Nie odzywał się; niezmiennie uprzejmy, ale też pełen rezerwy. Byłem spragniony wiadomości o Tiaglianim-Turnerze, w tej jednak chwili jeszcze bardziej interesowało mnie, co się stało z całą okolicą.

Minęliśmy w milczeniu jedną czy dwie przecznice i w końcu spytałem:

- Co się, do diabła, porobiło z Dunetown?

Spojrzał na mnie wyraźnie rozbawiony, a potem, jakby odpowiadając samemu sobie, rzucił:

- Prawda, ciągle zapominam, że kiedyś tu mieszkałeś.

- Nie tutaj - zaprotestowałem. - Nie w tym mieście: Zresztą, nie mieszkałem tu. Ja... Myślę, że mógłbym siebie określić jako letnika.

- A kiedy to było?

Starąłem się odpowiedzieć zdawkowo, nie wplatając w to osobistej historii. Nie znałem go na tyle, by się obnosić przed nim z bliźniami.

- Dwadzieścia lat temu, parę miesięcy. Nie ma o czym mówić - rzuciłem obojętnym tonem.

- Byłeś jeszcze dzieciakiem.

- Tak, kończyłem college. - Nie chciałem wchodzić w szczegóły, ale nie chciałem też błagować. - Teddy Findley był moim najbliższym przyjacielem - dodałem po krótkiej chwili.

- Aha. To wiesz, co tu się dzieje.

- Nie. Straciłem potem z nimi kontakt.

- Ale słyszałeś, że zginął dzieciak Findleya?

- Teddy?

- Mhm.

- Tak - odparłem. - To właśnie po tym wszystko trochę ode mnie odpłynęło.

- Co się porobiło? Tor wyścigowy wystarczył, by miasto się przekabaciło. Ile miało mieszkańców dwadzieścia lat temu; siedemdziesiąt pięć, sto tysięcy?

- Coś koło tego.

- Dzisiaj ma jakieś trzysta tysięcy, z czego połowa to męty. Masz tu wielki tor wyścigowy i piękne widoki. Zupełnie jak Saratoga. Pierwszorzędny tor, kapujesz? I w tym cały szkopuł.

- Gdzie to jest?

- Z tyłu za nami, po drugiej stronie rzeki. Teraz i tak tam ciemno.

- Tutejsi ludzie z forszą- tak przypuszczam - spodziewali się, że będą tu mieli jakieś drugie Ascot. Wszyscy stoją sobie grzecznie, popijając herbatkę, kiwają do siebie paluszkami. Tymczasem zaroilo się od graczy, wszystkich typów i odmian, jakie zna świat. Co drugi z nich pali herbatę; żaden jej nie pije.

- To dla nich Front Street tak się zmieniła?

- Dla części z nich. Ale to nie dlatego rzygać mi się chce. Znacznie gorsze jest to, co stało się z resztą miasta. Zamienili je w małe Miami.

- Jacy oni?

- Mięczaki, które przejęły miasto. Cóż, Chief Findley jest już stary;

większość z dawnych władców Dunetown umarła. Wszystko przejęli ich potomkowie. Myślisz może, następcy tronu? Nic podobnego. Mięczaki, z wyjątkiem może dwóch lub trzech.

- Znam chyba kilku z nich - odezwałem się.

- Zapewne. Ale to nie tyle ich robota, co tych wszystkich, którzy bez trudu mogli od nich odkupić każdą stopę kwadratową ziemi. Wszędzie pojawiła się klimatyzacja. Mieszkania po niebotycznych cenach. Na plaży trzy wielkie hotele, czwarty w budowie. Ale prawdziwego bogactwa nie zobaczysz. Najpierw natkniesz się na dwóch komandosów wielkich jak Del Mar. Teraz poczujesz się kiepsko, poczekał, popatrzysz na Doomstown za dnia.

Wtedy usłyszałem to po raz pierwszy: Doomstown, Miasto Stracone. Pierwszy, ale na pewno nie ostatni.

- Dziwię się jednak, że Chief Findley i cała stara gwardia pozwolili na to.

- Niewiele mogli poradzić - burknął Szkop. - Pomarli albo byli za starzy, żeby walczyć.

W jego głosie zabrzmiał ostry ton gniewu zmieszanego z pogardą. Chyba sam to też poczuł i ochłonawszy, jechał dalej w milczeniu.

- Mój ojciec zwykł powtarzać, że można odziedziczyć krew, ale nie kręgosłup - odezwałem się, żeby cokolwiek powiedzieć.

Z początku jechaliśmy przez tę część Dunetown, którą chciałem zachować w pamięci, spory kawał śródmieścia, dokąd powróciła wytworność kolonialnej epoki.

Dawno, dawno temu jechałem tędy w niedzielne popołudnie z Chiefem i Teddym. Czasy były ciężkie; przecznica za przecznica straszły walącymi się ruderami, w których wynajmowano nędzne klitki. Jechaliśmy wozem Chiefa - czarnym rollsem z podnoszonym dachem; on sam siedział wyprostowany na krawędzi fotela, jego siwe włosy powiewały na wietrze.

- Jeszcze postawimy na nogi tę cholerną dzielnicę - oznajmił swym miękkim irlandzkim akcentem i machnął ręką w kierunku odrażających

ruin. - Żadnego muzeum w stylu Williamsburga. To będzie tętniące życiem miejsce, z którego ludzie są dumni, czując się częścią jego historii, dzieląc z jej duchami stół i łoże. Na Boga, to przecież serce miasta, a kiedy serce staje, miasto umiera. Pamiętajcie o tym, chłopcy. - Przerwał na chwilę, przyglądając się uważnie ulicy, a potem dodał półgłosem: - Kiedyś wy będziecie za to odpowiedzialni. - Teddy zerknął na mnie i puścił oko. Wtedy byłem jeszcze jednym z chłopców.

I cóż, zdaje się, że dopiął swego, ale Bóg jeden wie, jakiego parszywego targu musiał dobić, godząc się, by dzielnica handlowa zeszła na psy. Tamta część miasta była czymś bez sensu, ta stanowiła jej całkowite przeciwieństwo. Parki i skwery pozwalały miastu oddychać i rozkwitać w naturalny sposób, padając mu własną osobowość. Między domami to tu, to tam wyruszały się drogie sklepy i galerie. Odnosiło się wrażenie, że o wykorzystaniu miejsc decydował tutaj samorząd, wspólna decyzja.

- To wygląda znacznie lepiej - stwierdziłem. - Ale Front Street, mój Boże!

- Trzeba było dać gdzieś pograć facetom, którzy nie postawią więcej niż dwa dolce - powiedział beznamiętnie Szkop.

Skręciliśmy w lewo, potem w prawo i znowu powróciliśmy do rzeczywistości. Byliśmy na skraju Przedpiekla, swego rodzaju bufora między Dunetown a dzielnicą czarnych. W powietrzu pachniało biedą; wytworne przybytki ustąpiły miejsca sklepikom z używaną odzieżą wojskową i składom z przecenionymi meblami. Dzielnica sterana i zużyta. Mnóstwo sfałgowanych samochodów i marnych hotelików.

Jechaliśmy w milczeniu przez minutę, może dwie, a potem spytałem:

- Od jak dawna tu jesteś, Szkop?
- Przyjechałem z Pittsburgha prawie cztery lata temu, zaraz po tym, jak w referendum większość opowiedziała się za torem wyścigowym.
- Kiedy go zbudowali?

- Otwarli go dwa lata temu i miasto na łeb, na szyję runęło w przepaść. W jedną noc białe garnitury w stylu Palm Beach zmieniło na kraciane marynary i wzorzyste spodnie. Trzeba nieźle się nachodzić, żeby jeszcze gdzieś usłyszeć prawdziwy południowy akcent.

On sam głos wydobywał gdzieś z jelit, jak przystało na Niemca z Pensylwanii.

- Taki jak twój? - zażartowałem.

Zachichotał.

- No, taki jak mój.

- Miasto na dorobku - powiedziałem na w pół do siebie.

- Nieźle to ująłeś.

- Od jak dawna jesteś gliną?

- Od zawsze - odpowiedział bez chwili namysłu.

Skręcił w ciemną ulicę biegnącą między rezydencjami; prowadził szybko, choć nie włączył światła ani syreny.

- To ci heca - mruknąłem. - Chief i jego paka wypieścili to miasto. Byli w nim zakochani.

- Coż, bracie, było, minęło. Teraz to panienka na jedną noc. - Po chwili dodał: - Tak dobrze znasz Findleyów?

Minutę namyślałem się nad odpowiedzią.

- Czas wszystko zacieram - odrzekłem wreszcie.

- Pewnie tak. - Przypalił papierosa i zauważył: - Wygląda na to, że sporo myślałeś o starym.

Kiwnąłem głową.

- Powiedzmy.

- Z tego, co słyszałem, jego chłopak był czymś w rodzaju bohatera i rozpieprzył się w Namie. Stary zupełnie się potem rozkleił. Tak to w każdym razie do mnie doszło.

- Szkoda. - Sam byłem zdziwiony obojętnym tonem swego głosu.

- No myślę.

- Coś mi się wydaje, że masz jakiś żal do Findleya - powiedziałem.



Wzruszył ramionami.

- To jest machina. Nie dowierzam nikomu, kto bawił się polityką dłużej, niż mnie potrzeba na zjedzenie obiadu. A ja się nie opieprzam przy jedzeniu.

Znowu zakotłowały się stare uczucia, coś ścisnęło mi żołądek, coś, czego nie potrafiłem dokładnie określić. A może nie chciałem.

- Wiesz, to było jak za dawnych czasów - ciągnął. - Paru feudałów, którzy chcieli mieć nadzór nad wszystkim. Teraz walczą bez opamiętania o to, kto będzie najbogatszy.

Była to trafna ocena i powiedziałem mu to.

- Po to jest cała władza - skonstatowałem.

- No dobra, ja mam dolara, ty masz dwa. Czy to znaczy, że jesteś dwa razy lepszy ode mnie?

- Nie. Dwa razy groźniejszy.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Wszystko zależy chyba od tego, co z ciebie za facet - powiedział wreszcie. A potem rzucił bombę. - Córka Findleya starała się wszystko przejąć, to znaczy, po skasowaniu jej brata.

Bum! To było właśnie to.

- W jaki sposób? - spytałem, starając się, by słowa zabrzmiały beznamiętnie jak ziewnięcie.

- Wyszła za ostrego amerykańskiego chłoptasia. Ten przejął piłkę od Findleya i pogonił dalej. Nazywa się Harry Raines. Coś chyba wspominałeś o ironii losu.

- No?

- To zięć Findleya jest szefem komisji wyścigowej.

Chyba trochę za nisko opuściłem gardę, bo zawirowało mi w głowie.

- Jak do tego doszło?

- Gdyby nie Raines, nie byłoby tu żadnego toru. Wszyscy musieliby opróżniać kieszenie gdzie indziej.

- Raines... - powtórzyłem.

- Harry Raines, zięć.

- Tak, tak. Zastanawiałem się nad nazwiskiem. Harry Raines.

- Przypominasz go sobie?

- Mgliście.

Harry Raines. Pamiętałem to nazwisko, ale nie mogłem skojarzyć z nim twarzy. Twarze opornie wracają w pamięci po dwudziestu latach.

- To Raines wszystko zorganizował. Ten cały biznes z torem wyścigowym.

- Dlaczego?

- Będziesz musiał sam go zapytać - odparł Szkop.

- Z tego, co mówisz, wygląda na faceta z jajami.

- Trudno zaprzeczyć. Powiadają, że niebawem Harry zostanie gubernatorem.

- Dzięki torowi wyścigowemu?

- Myślę, że po części.

- A reszta historii? - spytałem.

- To długa opowieść - wykręcił się. - Warta kolacji.

- W porządku - zgodziłem się. - A ty, co o tym myślisz?

- O czym?

- Zostanie Harry Raines gubernatorem, czy nie?

- Myślę, że słońce wstaje na wschodzie, a kładzie się spać na zachodzie - powiedział.

I na tym skończyła się rozmowa.

## 4. DZIEDZICTWO LEADBETTERA

Deszczyk zmienił się w ulewę, zanim dotarliśmy do kwatery Szkopa Moreheada, mieszczącej się w małym, podupadłym centrum handlowym na przedmieściu, dwie albo trzy mile od głównej części miasta. W czerwonym świetle latern połykiwał niepozorny, parterowy budynek o płaskim dachu, będący ongiś supersamem. Okna były brudne, a cały budynek

pomalowano na czarno.

- Wygląda jak siedziba gestapo - ocenilem.

- Coś w tym jest - mruknął Szkop.

Nie rzucający się w oczy napis nad wejściem głosił, że jest to SEKCJA OPERACJI SPECJALNYCH. Niżej, jeszcze skromniejszymi literkami, informowano dyskretnie, iż jest to wydział policji w Dunetown. Musiałem zmrużyć oczy, aby odczytać te literki.

- Ładnie, że nie wstydzicie się przynależności do policji - pochwaliłem.

- I ja tak myślę.

- Co to właściwie znaczy „operacje specjalne”?

- Sam dobrze nie wiem - stwierdził Szkop. - Myślę, że kogoś urzekł skrót SOS.

Chwilę później zaryczał jak głodny lew.

- Co za kretyński smutas z nie dorobionym mózgiem - warknął, wydymając wargi w pogardliwym grymasie.

- Kto? - spytałem, zastanawiając się, czy czymś go nie uraziłem.

- Sześciopalczasty plاتفus, *klommensheis* Callahan - pienieł się gwałtownie. - Cholerny rudzielec znowu zajął mi miejsce na parkingu. A mówiłem, mówiłem... - Wszystko rozplynęło się w mruczanych półgłosem przekleństwach.

Kilka samochodów, w różnych stadiach zaawansowanego rozpadu, stało w rzędzie przed wejściem do budynku. Pogieęte zderzaki, popękane przednie szyby, plamy pomarańczowego podkładu tam, gdzie właściciele zaczęli przemalowywać swe wozy, ale nigdy nie dokończyli dzieła, koła bez osłon. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądało to jak meta wyścigu na wyniszczenie.

- Twoje chłopaki mają coś przeciwko motoryzacji? - spytałem ostrożnie.

W odpowiedzi wydał z siebie jakiś niewyraźny dźwięk i wjechał na pole z napisem SZCZENIAK.

- Zajmę miejsce Mufallaty - powiedział, po czym dodał, jakby się usprawiedliwiając: - I tak go nigdy nie ma.

Od wejścia dzieliło nas z pięćdziesiąt jardów; spory dystans jak na ulowę. Wyłączył silnik, rozparł się w fotelu i poczęstował mnie camelem.

- Nie, dziękuję, rzuciłem palenie.

- A ja ani myślę - powiedział, przypalając papierosa. Uchylił okno i pozwolił dymowi wyfrunąć w mrok.

- Mogę zrozumieć twoją sympatię dla starego Findleya - oznajmił. - Miał facet klasę, trzeba mu to przyznać. Zanim odszedł na emeryturę, wykonał jeszcze ostatnie świetne posunięcie.

- Tak?

- Coś na pożegnanie. Na naczelnika policji sprowadził tutaj Ike'a Leadbettera. Findley miał dość oleju w głowie, by zrozumieć, że miastu potrzeba paru odważnych ludzi, którzy będą na wszystko mieć oko, kiedy zacznie się budowa toru. Miejscowi gliniarze byli zręczni jak słonie w składzie porcelany. Leadbetter narobił sporo zamieszania w Atlantic City, zanim się tu zjawiał, kapował więc, w czym rzecz. To on mnie tu ściągnął.

- I co, dobry jest?

- Był.

- Wyjechał gdzieś?

- Nigdzie nie wyjechał. Nie żyje. Leadbetter dobrze wiedział, co się tu kroi, jeśli chodzi o przestrzeganie prawa. Sporo się nauczył w Atlantic City. No i był uczciwy.

- Co mu się stało?

- Trzy lata temu wpadł samochodem do rzeki. Jeśli chcesz, to wierz.

- Ty nie?

- Już po godzinie pobytu w Doomstown przestałem wierzyć w przypadki.

Tagliani nie bardzo mi pasował do całej historii. Zabicie szefa policji zupełnie nie było w jego stylu.

W głosie Szkopa znowu zabrzmiał gniewny ton. - Sprawą zajęli się

chłopcy z Wydziału Zabójstw. Zabrali się do tego gówna, no i w efekcie wyszła jeszcze większa kupa gówna. Kiedy któryś z nich ma policzyć do jedenastu, musi zdjąć buty. - Przerwa. - Oczywiście, uznano to w końcu za wypadek, koniec, kropka.

- Kto zajął miejsce Leadbettera?

- Herb Walters.

- Co o nim powiesz?

- Wapniak. Awansował szczebel po szczeblu. Za strachliwy. Nie lubi pływać pod prąd, jeśli o to ci chodzi. Lubi spokojną wodę.

- Uczciwy?

- Niezłe pytanie. Po prostu nie wiem. Myślę, że Herb to poczciwy facet, cały problem w tym, że nie miał ani jednej oryginalnej myśli od czasu, kiedy po raz pierwszy poszedł sam do kibla. - Przerwał, a po chwili dodał: - Mówiąc szczerze, włazi w dupę wszystkim, którzy żyją w zielonych dzielnicach Dunetown.

Parsknąłem śmiechem. - Zakład, że nie przepadasz za nim.

- Niewiele ryzykujesz.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć załatwić Leadbettera?

- Dlaczego miałoby tego nie chcieć mnóstwo ludzi? Kuty na cztery nogi, ostry, sensowny gliniarz, uczciwy jak Stary Testament, w mieście zmieniającym się w Sodomę. Dopóki grę prowadził Leadbetter, nigdzie na Front Street nie dojrzałeś burdelu na kółkach. Dziś oprócz nich zobaczysz już tylko różowe cadillaki albo purpurowe rolls-royce'y.

- A jakie jest wasze miejsce w tym wszystkim?

- Straż graniczna. Staramy się namierzać przyjezdnych, miejscowymi zajmuje się obyczajówka. Nawet mnie o nich nie pytaj.

Osunąłem się głębiej w fotelu i potrząsnąłem głową.

- Znakomicie - mruknąłem. - Może bym tak sobie wziął zwolnienie lekarskie i trochę odespał to wszystko.

- Zostań, popatrzysz na fajerwerki.  
- Naprawdę spodziewasz się czegoś takiego?  
- W jedno przynajmniej nie wierzę: że Turner, jego goryl i małżonka wspólnie postanowili popełnić samobójstwo.  
- Nazywał się Tagliani - poprawiłem z uśmiechem.  
- Nieważne, jak mu tam było.  
- Zgoda. - Pokiwałem głową. - Z moich doświadczeń wynika, że kiedy ginie *mafioso capo di tutti capi*, nie ma mowy, by to sobie tak po prostu przyszło.

- *Verdammt!*

- Jeśli masz rację i Leadbetter został naprawdę zamordowany, mogło to być początkiem większej gry.

Szkop wyrzucił niedopałek i spojrzął przez okno. Na zewnątrz dalej trwało coś w rodzaju monsunu. Westchnął.

- Posłuchaj. Mówiąc krótko, wszystko zaczęło się od tego, że papa Findle przyjął Leadbettera i kazał mu oczyścić miasto. Tyle że cała miejscowa policja była jak stare, dziurawe wiadro, którym nie mógłbyś nosić nawet kamieni. Nie mógł po prostu wszystkich wypieprzyć. W tym miejscu pojawia się ja. Ike ściągnął mnie tutaj, dał niezłą forszę i powiedział: „Masz to i poszukaj sobie dziesięciu czy ilu tam znajdziesz twardych facetów, którzy nie robią w portki. Którzy wiedzą coś o LCN i których nie można podkupić”. No to poszukałem. Mam teraz zgrają niezłych zabijaków. Są dostatecznie łebscy i twardzi, by móc dać popalić komu trzeba. Taka sympatyczna kompania, miła jak gniazdo os.

- Mhm - zamruczałem z namysłem. W tym, co mówił, wyczułem pewną sugestię pod moim adresem.

- Chcę tylko, żebyś zrozumiał, jak się to wszystko kręci - mówił dalej. - Rzecz w tym, że Leadbetter nie dowierzał nikomu ze starych. Musieliśmy mieć oko na wszystko, organizować konfidentów, załazić za skórę zamiejscowym naciągaczom, kieszonkowcom, doliniarzom. Dopiekać trochę niepożądanym typkom, żeby nie poczuli się zbyt pewnie. Staraliśmy się wiedzieć, kto jest kto i co jest co. Kłopoty zaczynają się wtedy, gdy nie robimy

tego dyskretnie. Pogonimy kota kurewkom, obyczajówka jest wściekła, dopadniemy pod miastem spelunę z kośćmi, chłopaki z wydziału oszustw mają nam za złe. Jak dotąd ciągle wślizaliśmy komuś na odciski. To znaczy, rozumiesz, odwalamy dobrą robotę, ale... - Znowu przerwał, szukając właściwych słów, i wreszcie powiedział: - Może już jestem zmęczony tymi ceregielami z szefostwem.

Musiałem to wszystko przetrwać. Tyle z tego zrozumiałem, że miejscowi policjanci albo byli głupcami, albo siedzieli u kogoś w kieszeni. To Morehead musiał pokryć całe boisko.

- Leadbetter i Findley sprytnie to rozegrali. Dali nam, można tak powiedzieć, sporo luzu i tak wszystko załatwili, że odpowiadamy tylko przed specjalną komisją w radzie miejskiej.

- Więc nie jesteście częścią wydziału?

- Nie. Zadajemy się z nimi wtedy, kiedy musimy. Ale Walters nie może się przyczepić do żadnego z nas, tak że sporo robimy na własną rękę. Nie jest tym zachwycony, ale niewiele może poradzić. W przeciwnym razie już dawno sortowalibyśmy fiszki w Short Arm w Kansas.

- Zwalcza was?

- Nigdy otwarcie, ale chciałby nas kontrolować. Lubi zasady. Cholera, za dużo gadam. - Umilkł raptownie. Słuchając jego monotonnego głosu, domyśliłem się, że niełatwo mu było mi zaufać. Był na tyle uprzejmy, by nie być nieuprzejmym.

Ulewa się przewaliła, mżyło już tylko trochę. Zamknął samochód i ruszyliśmy do wejścia budynku, przywierając do ściany, by uchronić się przed wodą ściekającą z okapów.

- Skoro już wiesz, gdzie to jest, możesz wpaść, jeśli tylko zechcesz. Teraz, gdybym nie był z tobą, nie pozwoliliby ci się odlać.

Zatrzymałem się i niemal wpadł na mnie. Spoglądał z góry, trzymając ręce głęboko w kieszeniach, a nie zapalony papieros w kąciku ust.

- Jesteś cięty na ludzi z Federalnego?

- Powiedzmy, że zdarzyło się nam parę nieporozumień - odpowiedział, wpatrując się we mnie swymi szafirowymi oczkami. Krople ściekały z ronda podniszczonego brązowego kapelusza.

- A komu się nie zdarzyło?

- Ty jesteś fed.

- Słuchaj, jestem po twojej stronie. Nie jestem zwyczajnym agentem FBI, nie jestem z Leprozorium\*. Miałeś już chyba do czynienia z Figą. Ty i Mazzola jesteście właściwie starymi kumplami.

\* W oryginale: „Leper Colony”. Chodzi tu o Urząd Dochodu Wewnętrznego (International Revenue Service) wchodzący w skład Departamentu Skarbu USA, zajmujący się m.in. kontrolą podatków. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

- Już ci mówiłem, tu każdy liczy tylko na siebie. Te chłopaki czasami nie ufają nawet jeden drugiemu.

- Dobra, a jak ty? - spytałem. - Ja jestem także na okresie próbnym? Jak ty to widzisz?

- Rozpuścimy się na deszczu - powiedział. - Może byśmy porozmawiali w środku? Jak jesteś duży, to ci więcej moknie, kapujesz?

Odwrocił się i ruszył w stronę drzwi.

## 5. MAGAZYN

Zupełnie jakby jego zwalista postać torowała mi drogę do wejścia. Doświadczyłem już tego wielokrotnie: lokalna policja patrząca na mnie krzywym okiem. Miejscowe gliny nie lubią pracować z federalnymi, ponieważ ci traktują ich jak smarkaczy: fedziowie się wykręcają, ci od podatków wsadzają szpile. Ale my, Federalna Grupa Antymafijna byliśmy inni.



Do naszych zadań należała współpraca z policją lokalną, wspomaganie jej w sprawach, które wykraczały poza granice jednego stanu. Czasami musiało to jednak potrwać chwilę, zanim dopasowaliśmy się do siebie. Chciałem oszczędzić czasu, zagrałem więc rolę twardziela.

- Wolalbym wiedzieć, gdzie jestem, tak żebym nie musiał za każdym razem sięgać po mapę - powiedziałem stanowczym tonem, kiedy przemysłaliśmy się ku drzwiom w strugach deszczu.

- Jeśli muszę się dopiero wykazać w oczach tej twojej paki, to olejmy to. Pójdę swoją drogą.

Zatrzymał się z uspokajającym uśmiechem.

- Nie gadaj głupot - powiedział.

- To żadne głupoty. Do diabła z tym: „każdy liczy na siebie”, „albo utoniesz, albo dopłyniesz”. Nie przyjechałem tu na próbę głosu.

- Co cię nagle ukąsiło?

- Wiesz, co to takiego Figa? - zapytałem ostro i nie czekając na odpowiedź, kontynuowałem: - Jesteśmy jedyną agencją federalną, która pracuje z normalnymi posterunkowymi. Nie robi tego FBI, nie robi IRS, nie robi Departament Sprawiedliwości. Oni wszyscy działają tylko na własną rękę.

- A ty może nie? - odezwał się zaczepnie. - Przyjechałeś tutaj, żeby dobrać się do tyłka Taglianemu, czy nie tak?

- Przyjechałem, żeby zobaczyć, co tutaj robi...

- Robił - przerwał mi.

- W porządku, robił - zgodziłem się. - Ale tam, gdzie on przebywa, jest też w pobliżu cała jego zgraja. Znam tę bandę, Szkop. Znam ich lepiej niż ktokolwiek na świecie. Chcę ich wszystkich przyskrzynić, jasne? A ty co, wolałbyś im posłać bukiet kwiatów?

Zapalił camela i zaciągnął się głęboko, uważnie mi się przypatrując.

- No dobra - zaczął powoli. - Kiedy ci mówiłem, co tutaj robimy, jedną rzecz pominąłem. Mamy za zadanie nie dopuścić do pojawienia się w Domstowń zorganizowanej przestępczości. Nagle dowiaduję się od twojego

szefa, że wszędzie tutaj poroziadała się już mafia. Wiesz, jak się poczułem? Jak byśmy my, cała nasza paka, byli jakimiś kompletnymi sierotami.

- Możesz być pewien, że Cisco ich tu nie zaprosił. Rozpoznał parę twarzy i dał wam cynk, to wszystko. Gdyby to byli fedziowie, możesz się założyć o ostatni grosz, że od żadnego z nich nie dowiedziałbyś się, który dzisiaj jest.

- Co do tego, zgoda.

- Więc jak, dopadniemy ich razem?

- Jeśli ktoś nas nie uprzedzi.

- OK. Nie wypychaj więc swoim ludziom tego gówna, że college, stary Findley i tak dalej - powiedziałem, nadal udając zirytowanego. - To nie przyjęcie do tajnego bractwa studenckiego, nie zależy mi, żeby komuś imponować. Jeśli są takimi twardzielami, jak mówisz, najlepiej będzie, gdy od razu powiesz, że masz do mnie zaufanie.

Nieźle, Kilmer, całkiem nieźle. Ostry facet, ale nie pinezka; można z takim wyżyć. Szkop roześmiał się.

- Wrażliwe masz odciski, co? - powiedział i wprowadził mnie do budynku. Weszliśmy do czegoś, co przypominało przedsionek więzienia: małe pomieszczenie, drzwi z przyciskiem na framudze, obok niego lustro, z drugiej strony przejrzyste. Szkop przycisnął kciukiem dzwonek. W chwilę później drzwi otworzyły się gwałtownie. W nie oświetlonej budce siedział na warcie czarnoskóry policjant w mundurze. Tuż przy nim stał oparty o ścianę pistolet maszynowy uzi. Skinąłem strażnikowi głową, ale nadal patrzył na mnie nieruchomym i obojętnym wzrokiem.

- Zupełnie jakbyście oczekiwali natarcia - zauważyłem.

- Zwykle zabezpieczenie. Nikt nie może dostać się do środka bez zgody któregoś z nas. Dotyczy to wszystkich, od szefa miejscowej policji i burmistrza po prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Ładna maszynka - powiedziałem, wskazując brodą uzi.

- Odbiliśmy ją. Moje chłopaki są naprawdę nieźle w obrabianiu

cwaniaczków - skwitował uwagę Szkop, a potem dodał jakby mimochodem: - No i jeszcze w paru innych rzeczach.

Przestrzeń w przedniej części budynku zajmowało kilka pomieszczeń biurowych, za nimi ulokowano dość wyszukany system komputerowy i centralkę telefoniczną. Jeszcze dalej, jak się później okazało, mieściła się duża sala konferencyjna, z tablicami na dźwiękoszczelnych ścianach.

Na przodzie zainstalowano na ścianie siedemdziesięciodwucalowy ekran telewizyjny, a po całym pomieszczeniu rozrzucono ze dwadzieścia foteli na kółkach, z pulpitemi do pisania, takimi jakich używano w szkole, kiedy byłem smarkaczem, i jakich, zdaje się, jeszcze gdzieś używają.

Ów duży pokój na tyłach budynku nazywano pieszczotliwie Przed-szkolem.

Na zapleczu dawnego supersamu znajdowały się dwa pomieszczenia. W jednym był areszt, dostatecznie duży, by pomieścić armię inwazyjną, która lądowała na plażach Normandii, drugie mieściło się za drzwiami opatrzonymi napisem: WIDEO OPERACJI. Doliczyłem się trzech ludzi na służbie, uwzględniając wartownika i Murzynkę siedzącą przy centralce.

Tak właśnie powinna była wyglądać sala wojenna Moreheada.

- Ci tutaj to część twojej paki czy oddelegowani?

- Na próbie. Jeśli poradzą sobie z codzienną dłubaniną, może uda im się awansować do zabijaków. Przekonamy się też - i to szybko - czy potrafią trzymać język za zębami.

Postanowiłem raz jeszcze powrócić do mojego problemu.

- Czy zanim pojawi się tu reszta twoich ludzi - odezwałem się - możemy ostatecznie rozwiązać ten problem FBI?

- Przecież został rozwiązany. Nie ma żadnego problemu - odpowiedział niecierpliwie, jakby miał już dość tej kwestii.

- To pięknie - odparłem z wyraźnym sarkazmem. Chciałem, by się trochę wyszumiał.

- OK - parsknął ze złością. - Na początku próbowaliśmy kontaktów z IRS, ale współpracować z Leprozorium, to jak pożyczyć zegarek Jesse'emu

Jamesowi. Albo szczeniaki zaraz po college'u, które łatwo poduczyć, jak oszukać instytucję i nabić kabzę, albo odludki, których nie chce zatrudnić żadna inna agencja. Tak czy inaczej, każdy z nich pracuje tylko dla siebie, zupełnie jakby sadzili kapustę.

- Nic dodać, nic ująć - zgodziłem się.

- Banda *pfutzlückers!* - krzyknął ze złością.

- Z całą pewnością. Cokolwiek to znaczy.

- Gdybym złamał połowę tych paragrafów co oni, posiedziałbym nieźle za kratkami.

- Co najmniej dożywocie plus dwudziecha. - Teraz na niego przyszła kolej i trzeba było dać mu się wyładować.

Pochylił się nade mną, waląc z całej siły kciukiem w pierś.

- Nie wpuściłbym tu żadnego z nich, nawet gdyby przyszedł z nakazem sądowym i obstawą korpusu piechoty morskiej! - warknął. - A fedziowie nie są w niczym od nich lepsi! Jedyne na czym im zależy, to wypiąć pierś w Waszyngtonie do medalu. Jeśli wszystko ładnie wygląda w dziennym raporcie i mogą z tego zrobić konferencję prasową, nic już ich nie interesuje. Poproś o najmniejszą przysługę, możesz na telefon z odpowiedzią czekać do śmierci.

- Miałem z nimi to samo - powiedziałem ze zrozumieniem.

- Cholerni numeranci! - Teraz w ruch poszły także ręce. Zawirowały jak u dyrygenta w filharmonii. - Sukinsyny kradną nam informacje, dobijają targów, które rozpieprzają nam sprawy, łamią prawa obywatelskie, a potem wszystko na nas. Zawsze wyjdą na swoje.

Pokiwałem głową. Powoli uchodziła z niego para.

- A nam pozostaje tylko całować psa w nos, rozumiesz?

- Jasne. Tobie też?

- Co mnie?

- Ty też potrafisz od nich wydobyć tylko psiego całusa?

Lustrował mnie przez chwilę wzrokiem, a potem wybuchnął śmiechem.

- Niech cię diabli, koleś - wykrztusił. - Tutaj cieszy mnie nawet to, jak mnie pies polize.

- OK, Szkopie - powiedziałem spokojnie. - Nie zamierzam cię wykiwać. Jeśli ktoś bruździ ci tu w mieście, pomożemy ci się go pozbyć. Fidge zależy jedynie na informacjach. Kontakty. Jak działają? Jak udaje im się opanować miasto? Kogo muszą przekupić? Jakie mają powiązania z innymi bandami? Nie wchodzimy sobie w drogę, w porządku?

- Trzeba to będzie zgrabnie rozegrać - powiedział, nadal z rezerwą. Poczulem się tak, jakbym walił głową w mur.

- Do cholery, jeśli chcesz to nazwać grą, niech ci będzie gra - powiedziałem, wzruszając ramionami.

- Będziesz do tego dobry. Masz w tyłku tę samą zadrę, co każdy z nas.

- Robię, co mogę - powiedziałem z udaną pokorą.

- Zdaniem twojego szefa, nieźle ci to wychodzi.

- Co do mnie, jeśli tylko zbierzemy dość materiału, żeby wytoczyć komuś sprawę, zupełnie mi obojętne, czy odbędzie się to przed sądem stanowym czy federalnym. Zawsze wolę oddać ją tam, gdzie jest mocniejsze oskarżenie i lepszy prokurator. Robię się nieco nerwowy, kiedy ktoś mnie lekceważy.

- To normalka. Nikt tego nie lubi.

- A jakiego macie prokuratora okręgowego?

- Kobitka. Nazywa się Galavanti i jest dokuczliwsza od trzydniowego kaca.

- Dla nas czy dla nich?

Uśmiechnął się. - Dla każdego. Jak dasz jej wniosek z jakimiś lukami, usłyszysz taką więzankę, że facet z dożywociem spłonąłby rumieńcem.

- Fajnie. Będziemy mogli pomóc sobie nawzajem.

- Rzecz w tym, że o waszej paczce usłyszałem dopiero kilka miesięcy temu. Ten facet, Mazzola, pojawia się któregoś dnia nie wiadomo skąd, zaprasza mnie na obiad i tak samo jak ty pokazuje mi marchewkę i kij.

Mazzola to Cisco Mazzola, mój szef w Fidze. Powiedział, że Szkop Morehead to człowiek, który wie swoje, i trudno było się z nim nie zgodzić.

- A ty go wyśmiałeś - rzuciłem.
- Nie całkiem. Na początek włożył coś do koszyczka.
- Co na przykład?
- Na przykład Czerwia.
- Czerwia? Co to takiego?

Obrzucił mnie spojrzeniem typu „strugasz wariata?”

- Nie co, a kto? No wiesz... Czerw. Parver. Jak na razie nieźle do nas pasuje.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, o co może mu chodzić, ale zanim zdążyłem się dopytać, Szkop podniósł jaskrawoczerwony aparacik, pokręcił regulator głosu i wezwał swoich ludzi na zebranie.

Skorzystałem z okazji i z wolnego telefonu zadzwoniłem do hotelu. Przywołali Cisca, który siedział w restauracji i spożywał kolację. Przyleciał z Waszyngtonu, aby wprowadzić mnie w sytuację. Ponieważ w ciągu paru ostatnich godzin wszystko radykalnie się zmieniło, nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Cisco i ja byliśmy w pewnym osobliwym sensie przyjaciółmi. Był jednym z cieni przemykających przez moje życie i zmieniających jego bieg; nasze kontakty zawdzięczałyśmy najczęściej kompanii telefonicznej. Zналиśmy się od siedmiu lat przez te wszystkie lata ani razu nie widziałem jego domu, nie poznałem rodziny, nie dowiedziałem się niczego o jego upodobaniach, poza tym, że miał kota na punkcie witamin i zdrowej żywności. Obsesyjnie też dbał o włosy, których zresztą pozostało mu już bardzo niewiele.

Potrwało minutę, zanim podszedł do telefonu.

- Przepraszam, że odrywam pana od posiłku - powiedziałem. - Zadzwońlibym wcześniej, ale byłem zajęty. Była tutaj przewałka. Tagliani, Stinetta i żona Taglianiego.

- Tak, słyszałem już o tym - powiedział spokojnym, rzeczowym tonem. - Masz jakieś szczegóły?

- U niego w domu, jakieś trzy godziny temu. Pistolety i bomba. Kobieta zginęła od wybuchu. Ktokolwiek załatwił tamtych dwóch, dobrze wiedział, co chce zrobić. Wygląda mi to na dwóch facetów.

- Chcę, żebyś się tym zajął - oznajmił.

- W porządku. Co panu udało się ustalić?

- Jest tutaj cała banda, z wyjątkiem Tuny Chevosa i jego rewolwerowca...

- Nance - syknąłem, przerywając mu. Zakotłowało się we mnie ze wściekłości na samo wspomnienie Turka Nance'a. Kiedyś już spotkaliśmy się i wcale nie było to miłe. - Oni także są tutaj. Idę o zakład.

- Może tak, ale nie pora teraz na zemstę. Nance to mały morderca. Daj sobie z nim spokój.

- Dobrze.

- Daj sobie z nim spokój, Jake.

- Słyszałem!

- Co cię tak rozwścieczyło?

- Nic, naprawdę nic. Ile to już lat węszyć za tą bandą, cztery, pięć?

- Raczej pięć - westchnął.

- Trochę szkoda, że jakiś rzezimieszek mnie ubiegł.

- Jasne. Pamiętaj tylko, po co tu jesteś. Chcę informacji. Skąd dzwo-  
nisz?

- Z kwatery głównej Moreheada.

- Porządny facet - oznajmił Cisco. - Może trochę na bakier z regulaminem.

Recenzja roku.

- Na razie traktuje mnie tak, jakbym mu złamał nogę - powiedziałem.

- Ostrożniak - ostrzegł Cisco. - Daj mu trochę czasu.

- Co będzie, jak sprawy potoczą się szybciej i będę potrzebował jakieś ubezpieczenie?

- Pomoże ci Mickey Parver.

- To jego nazywają Czerw?  
- Tak.  
- Wyszedłem trochę na idiotę. Dlaczego dotąd nic o nim nie słyszałem?  
- Po prostu dlatego, że nigdy nie czytasz raportów tygodniowych - uciął Cisco. - Sporządza raporty każdego...  
Przerwałem mu, chcąc zmienić temat.  
- Ach tak, chyba przypominam sobie.  
- Przestań się zgrywać - warknął Cisco. - Nie czytałeś żadnego raportu tygodniowego od czasów, kiedy papież był hydraulikiem.  
- Od jak dawna jest u nas? - przerwałem znowu, żeby wreszcie zajął się czymś innym.  
- Rok albo coś takiego - odparł Cisco ze zniecierpliwieniem. - Polubisz go. Młody i jeszcze nie za bardzo zmęczony robotą. Nie zepsuj go, wyciągając na jakieś lewizny. Bardzo przypomina ciebie, samotny wilczek. Będziecie do siebie pasować.  
- Nie mam czasu, żeby być niańką jakiegoś...  
- A kto mówi o niańczeniu? Powiedziałem coś takiego?  
- Zabrzmiało to tak...  
- Zabrzmiało to tak, jak miało zabrzmieć. Nie zmieniaj tematu, Jake. Chcę informacji, koniec, kropka. Jesteś prawnikiem i wiesz, jak wszystko ma wyglądać do procesu. Chcę, żebyś trochę nauczył tego Czerwia.  
- Odniosłem wrażenie, że w paczce Moreheada niewiele znajdzie okazji do nauki.  
- To właśnie miałem na myśli. Będziesz pewną przeciwwagą dla chłopaka, OK?  
- A jeśli będę potrzebował pomocy profesjonalisty?  
- Musi być dobry, skoro jest w Fidze, i świetnie o tym wiesz - burknął Cisco. - Jeśli zrobi się gorąco, jest właśnie tym facetem, którego dobrze jest mieć w pokoju obok. Zależy mi na tym, żeby w razie zastosowania OPOP wszyściutko było jak trzeba. Żadnych nielegalnych taśm,



włamywania się do komputerów. Niczego takiego, co sąd mógłby odrzucić.

- Tak, jasne - powiedziałem.

Cisco nie mógł się powstrzymać od wsunięcia mi małej szpili.

- Może uda mu się nakłonić ciebie do sporządzenia raportu od czasu do czasu. Na przykład, raz na tydzień, jak myślisz?

- Mhm.

- Szkop ma tam sieć komputerową. Możesz połączyć się bezpośrednio z naszą końcówką w Waszyngtonie.

- Jasne.

- Czerw przesłał mi zdjęcia Taglianiego w raporcie z zeszłego tygodnia i w ten sposób dopadliśmy ich.

Poczułem, że zaczynam nienawidzić tego smarkacza, Czerwia. Wyglądało na to, że niezła z niego pszczołka.

- Jak długo tu pobędziesz?

- Wpadłem, żeby powiedzieć „cześć” - odparł Cisco. - Jutro wracam do Waszyngtonu.

- A tu zabawa dopiero zaczyna się na dobre.

- Ktoś musi ponakrywać do stołu. Jesteśmy właśnie w środku corocznej bitwy o budżet, co, nawiasem mówiąc, przypomina mi, że od dwóch miesięcy zalegasz z wykazem wydatków i raportem operacyjnym z...

- Powiedz mi coś więcej o tym Czerwiu - poprosiłem, gdyż pojawiła się kolejna nieprzyjemna kwestia.

Mazzola przez chwilę milczał. - Chcę dostać rozliczenia wydatków - powiedział sucho. - Jasne?

- Tak. Możesz uznać, że już je masz.

- Dobrze, teraz o Parverze. Zanim do nas przyszedł, był normalnym policjantem w District Columbia, potem pracował w narkotykach i w oddziale do walki z mafią w DC. A jeszcze wcześniej był w Namie. Wywiad wojskowy czy coś takiego. Niezły twardziel.

- I nie zmęczony, tak?

Cisco parsknął, jakby usłyszał sprośny kawał. - Wypożyczyłem go Szkopowi. Nikt z jego paki chyba nie wie, że jest od nas. Szkop tak to

załatwił, byście mogli pracować w parze. Polubisz go.

- Kto tak mówi?
- Wszystkie panie.
- Wspaniale.
- Szkoda, że tak wyszło z Taglianim - powiedział Cisco. - Wiem, jak długo nad tym pracowałeś.
- Federalne trochę na tym zaoszczędzi - odparłem. - Ale byłoby tak miło posadzić go w Leavenworth razem z braciszkiem.
- Jeszcze jedno - ostrzegł Cisco na zakończenie. - Nie jesteś tam po to, żeby szukać mordercy lub morderców. Masz zbadać, czy były jakieś zewnętrzne powiązania mafii z Taglianim i kto za tym stoi. To rzecz najważniejsza. Może tam się kroić piękna robota, Jake.
- Morehead powiedział coś dziwnego - oznajmiłem. - „Mamy wszystko na taśmie”.
- Jak to „wszystko”? Masz na myśli załatwienie Taglianiego?
- Chyba tak. Wykręcał się, gdy spytałem.
- Zapytaj raz jeszcze. Opowiesz mi przy śniadaniu.
- W porządku.
- Spotkamy się w restauracji hotelowej. Ósma rano pasuje ci?
- Lepsza byłaby dziewiąta.
- Widzę cię o ósmej - zakończył rozmowę.

## 6. NA ŻYWO

Kiedy powróciłem do Przedszkola, SOS Moreheada zaczął się dopiero zbierać. Szkop trzymał w ręku plik fotografii i przypinał je kolejno do tablicy. Rzuciłem tylko okiem i już wiedziałem, że gang Taglianiego znajduje się w Dunetown i to w swym najsilniejszym składzie. Brakowało tylko

zdjęć tych dwóch: Tuny Chevosa i jego rewolwerowca, Turka Nance'a. Ale, jak powiedziałem Cisco, byłem pewien, że są gdzieś w mieście.

- To paka Taglianiego - oznajmiłem Szkopowi. - Brakuje tylko dwóch. Znani są także jako Trójca z Cincinnati. Można zapytać, jak go namierzyłeś?

- Słyszałeś kiedyś o Charliem Flowersie? - odpowiedział pytaniem Szkop.

- „Jednouchy” Charlie Flowers? - upewniłem się.

- Jest jeszcze jakiś inny? - uśmiechnął się.

- Czy ktoś z naszej branży mógłby nie słyszeć o Jednouchym Charliem?

- Co takiego słyszałeś? - nastawał Szkop.

Jednouchy Charlie był prawdziwą legendą. Mówiono o nim, że ma najlepszą w całym kraju siatkę informatorów, mózg jak komputer, jest pół-Indianinem i najlepszym z żyjących wywiadowców. Jeśli wierzyć plotce, Flowers potrafił odnaleźć odcisk palca w słoiku z miodem, co powtórzyłem Szkopowi.

- Widziałeś go kiedyś?

- Nigdy nie spotkałem żywej legendy.

- A co słyszałeś o nim ostatnio?

Zadał mi to pytanie tak, jak to robi ktoś, kto z góry zna odpowiedź.

Zawahałem się przez chwilę, a potem powiedziałem:

- Mówiono coś, że narozrabiał po pijaku i musiał odejść na emeryturę.

- Słuchasz jakiejś bandy *schliess kopfes* - obruszył się Szkop. - Ten facet w tweedzie, w drugim rzędzie, to właśnie Jednouchy Charlie. Nigdy w życiu nie wypił nawet jednego kieliszka.

Przyjrzałem mu się. Był niski i krępy, prawdziwa baryłka, miał na sobie nienaganny tweedowy garnitur, brązową zamszową kamizelkę i znakomicie dobrany krawat. Starannie przystrzyżone wąsiki, nieskazitelne paznokcie. Nie miał prawego ucha, w miejscu gdzie powinno się ono

znajdować, dostrzegłem tylko niewielkie wybrzuszenie. Znałem i tę historię. Kiedy Flowers patrolował jeszcze ulice w St. Louis, pewien dowcipniś odgryzł mu małżowinę.

Gawędził z muskularnym zawadiaką średniego wzrostu, który, jeśli chodzi o ubiór, miał dokładnie przeciwstawne gusta: skóra i denimy w stylu Hell's Angels. Można by sądzić, że jego twarz została wypieczona w maszynie do gofrów.

- Flowers pamięta - oznajmił Szkop - każdą stronę raportu, każdą twarz, każdego łączę, wszystko, co kiedykolwiek zobaczył czy spotkał. Pamięć fotograficzna, absolutna rewelacja, nazwij ten talent, jak chcesz, on go ma. To jednak nie Tagliani wpadł mu w oko, lecz nietutejsi kolesie Taglianiego, którzy spędzali z nim na torze sporo czasu, żaden, mówiąc szczerze, nie wygląda raczej na amanta filmowego. O Taglianim niewiele było wiadomo, ale mocno szastał pieniędzmi. Dużymi pieniędzmi. Jednocześnie Charlie czujnie zrobił parę zdjęć poza torem, które Czerw wysłał do DC, do Mazzoli z informacją, że Turner - pod takim nazwiskiem znaleźliśmy go wtedy - spędza czas w gronie serdecznych kumpli, rzucając forszą na prawo i lewo, jakby był właścicielem Bank of England. Ciscowi wystarczyło jedno spojrzenie i bingo! - zamiast Turnera mamy Taglianiego. To było w zeszłym tygodniu.

- Szybko poszło - pochwalilem.

- Nie na wiele się to zdało - odparł Szkop ponuro.

- Z kim rozmawia? - spytałem.

- Masz na myśli tego gogusia w czarnym krawacie i fraku? - zachichotał Szkop. - To Chino Zapata. Wykwintna angielszczyzna sprawia mu nieco kłopotów i sądzi, że „Miranda” to środkowoamerykańska republika bananowa, niemniej jednak potrafi śledzić okruszek kurzu porwanego przez tornado i nigdy nie straci go z oczu. Jeśli trzeba, umie przywalić jak Dempsay.

- Gdzie go znaleźliście?

- W policji w Los Angeles. Powiadają, że zaangażowali go, żeby

wyciągnąć z ulicy, ale w Los Angeles Police Department nikt tego nie potwierdzi. Kiedy na niego trafiłem, był wtyczką w Hell's Angels.

- A jak ci się udało go zwerbować?

- Powiedziałem, że może zabrać ze sobą motor i nosić, co mu się żywnie podoba.

- Aha.

W tym czasie do pokoju przybyło trzech następnych facetów - zebrała się już niemal połowa zespołu Moreheada. W sumie tworzyli dziwną zbieraninę, mogącą zaimponować niezwykle bogatą gamą strojów - od tweedu i wykwiutnego krawata Flowersa po czarną skórę i podkute buty Zapaty. Stali, siedzieli, palili, popijali kawę, gwarzyli i gapili się na mnie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ów zespół do zadań specjalnych, który już wkrótce miałem poznać znacznie lepiej.

Morehead okręcił się i obrócony teraz plecami do pokoju, przedstawił mi resztę swojej gromadki.

- Zaraz za Zapatą siedzi Nick Salvatore, prawdziwy łobuz. Jego stary został *soldato* u faceta, który przez krótki czas był *mafioso* w północnej Filadelfii. Rozerwał się na strzępy, próbując zainstalować bombę pod samochodem pewnego polityka. Jeśli dłużej tu pobędziesz, pewnie sam opowie ci całą historię, ale w zasadzie wszystko sprowadza się do tego, że z całej duszy nienawidzi mafii. Naszą robotę uważa za łapankę na mieszkańców. Więcej wie o ulicy niż Zapata. Można by go nazwać naszym ekspertem od LNC. Nie żeby znał tam bardzo wielu ludzi, ale świetnie rozumie ich sposób myślenia.

Przez czysty przypadek Salvatore miał na sobie swój najlepszy strój: podkoszulek z napisem GRATEFUL DEAD wydrukowanym nad czaszką z piszczelami, czerwoną wiatróweckę i džinsy. Spod długich ciemnych włosów przeświecał jeden złoty kolczyk. Trudno było powiedzieć, czy zapuszcza brodę, czy też zgubił maszynkę do golenia.

- Kolczyk to ślubna obrączka jego matki - szepnął Szkop. - Jest bardzo

wrażliwy na tym punkcie. Nosi też pod pachą spiłowany kij bilardowy, obciążony ołowiem.

Nielatwo było mi się zdecydować, kto jest bardziej niechlujnie ubrany: Zapata czy Salvatore. Szkop kiwnął głową w kierunku Salvatore'a.

- Zapata nigdy nic innego nie nosił, Salvatoremu kompletnie to zwisa. Gdybyś zakrył mu oczy i zapytał, co ma na sobie, nie potrafiłby odpowiedzieć.

- Obok niego - kontynuował Szkop prezentację swego gangu - widzisz Cowboya Lewisa. - Równie wysoki jak Morehead chudzielec miał na lewym oku czarną przepaskę. Ubrany był w białe dżinsy i sztruksową kurtkę, rozpiętą do połowy i odsłaniającą nieowłosioną pierś. Czarna basebalowa czapeczka z wyszytym złotym delfinem przykrywała zmierzwioną gęstwinę blond włosów. Nie było na nim nawet grama tłuszczu. - Jeśli uwzględnić wszystko, najtwardszy facet w całej paczce - mówił Szkop. - Z reguły niewiele ma do powiedzenia, ale jeśli już przemówi, zawsze warto posłuchać. Jest bardzo logiczny. Z A wynika B, z B - C, z C - D i tak dalej. Kiedy chodzi o jakąś rozróżbę, to Lewisa najlepiej mieć na przodzie. Coś jak wymiatacz w drużynie, wiesz. Powiesz mu, że drzwi ci przeszkadzają, po chwili ich nie ma, całkiem po prostu, bez żadnych pytań. Przypuszczam, że gdybym go poprosił, aby usunął słonia, zniszczyłby go doszczętnie. Nie boi się chyba naprawdę niczego na świecie.

- A inni? - spytałem.

Szkop prychnął.

- Tak samo. Ale Lewis... - przez chwilę szukał odpowiedniego słowa - Lewis jest bardzo prostolinijny. Zaczynał jako hokeista, ale niczego specjalnego nie osiągnął. Nawet jak na hokej miał za krótki lont. Kapujesz, jeśli dostał krążek pod jedną bramką, to walił prosto na drugą, rozgniatając każdego, kto stanął mu na drodze.

- Nie bardzo chyba pasuje do jakiegokolwiek drużyny - zauważyłem.

- Nikt nie jest doskonały - pokiwał głową Szkop.

Ostatni z obecnych w pokoju mężczyzn, także szczupły, o twardym spojrzeniu, miał pod czterdziestkę i liczył sobie sześć stóp wzrostu. Wydawało się, że nie ma czasu na głupoty i pogaduszki.

- Wysoki facet w trzyczęściowym garniturze i z kwiatem w butonierce to Pancho Callahan. Skończył weterynarię na University of California w Los Angeles i może ci opowiedzieć więcej o wyścigach konnych niż cały personel Calumet Farms. Większość czasu spędza na torze. Nie otwiera ust, chyba że rozmowa zejdzie na konie; wtedy zagada cię na śmierć.

Callahan wydawał się niespokojny. Najprawdopodobniej wolałby być teraz zupełnie gdzie indziej, podobnie zresztą jak chyba wszyscy pozostali.

Było to najdziwaczniejsze grono obrońców prawa, jakie kiedykolwiek widziałem. Brakowało tylko Szczeniaka i Kite'a Lange'a, o których będzie jeszcze mowa, i oczywiście Czerwia, który ciągle stanowił dla mnie zagadkę. W sumie zespół składał się z ośmiu ludzi, a jeśli dodać także Szkopa - z dziewięciu.

- Powiedz mi coś o Czerwiu - poprosiłem. - Co to za facet?

Szkop wpatrywał się przez chwilę w kąt pokoju, gładząc koniuszek wąsów.

- Bardzo miły - powiedział w końcu - można by powiedzieć wręcz: przyjacielski. Swoiste poczucie humoru. Ale lepiej nie wchodzić mu na odcisk. Opowiem ci króciutką historyjkę. Ma taki stary kapelusz, który wygląda tak, jakby dość długo bawiła się nim małpa. Któregoś dnia zostawił go w samochodzie, kiedy szedł do fryzjera. Wraca, a tu nie ma kapelusza - ktoś mu go podpieprzył. Nie pytaj mnie po co, w każdym razie kapelusza nie było. Parę dni później Czerw idzie sobie po południu Bay Street, a tu ulicą zasuwają facet w jego kapeluszu. Czerw zawraca i rusza za nim. Tamten wchodzi do sklepu z płytami. W tym momencie Czerw przypomina sobie, że zostawił splotkę w skrytce na rękawiczki. Co robi? Wpada do sklepu z narzędziami, kupuje klucz Stillsona, piątkę, a kiedy gnojek wychodzi ze sklepu, Czerw krok w krok za nim i w pierwszej przecznicy, w

jaką skręcili, spuszcza mu solidny łomot. Facet nawet go nie zobaczył i nie wie, kto go złał, wie jednak dobrze, że Czerw odzyskał kapelusz. Umilkł na chwilę, po czym dodał:

- Taki właśnie jest, pomysłowy.

Zanotowałem to w pamięci, a potem rzekłem do Szkopa:

- Nie chciałbym się od samego początku wydawać natrętny, ale znam tę bandę Taglianiego. Chciałbym o niej powiedzieć parę rzeczy twoim ludziom, może to w czymś pomoże.

Pomyślał, a potem skinął głową.

- Dobra, ale najpierw wprowadzę cię w sprawę.

- Jak sobie życzysz.

Poszedłem w głąb pokoju i usiadłem z boku. Szkop, z ubraniem wymięty jak nie posłane łóżko, stanął przed swoją grupą.

- No dobra, posłuchajcie, chłopaki - zwrócił się do nich. - Wiecie już, co zdarzyło się dziś wieczorem. Z talii wypadł as, choć nasz człowiek znajdował się o dwieście jardów od miejsca, w którym się to stało.

Potoczył wzrokiem po sali, a potem ryknął głosem mogącym zbudzić umarłego:

- *Sheiss*, brakuje prawie połowy paczki. Czy nie słyszeli, że mamy dziś odprawę?

- Ciągłe są w robocie - bąknął ktoś z tyłu sali.

- Hmmmm - mruknął Szkop. - No dobra, wszyscy wiecie, że Tagliani i Stinnetto trafili do lodówki. My znaleźliśmy ich jako Turnera i Shermana. Mam dla was najpierw małą dobrą wiadomość, jeśli zgodzicie się na to określenie. Potem porozmawiamy, kto gdzie był i jak się ustawiamy na dzisiejszą noc. W każdym razie założyliśmy tam podsłuch i właśnie w jednym z okablowanych pokoi rozegrała się cała ta jatka. Wszystko mamy więc na taśmie, dzięki Lange'owi, który reperował tam telefon.

Szkop nacisnął guzik małego kasetowego magnetofonu i po chwili z głośnika popłynął równy, syczący dźwięk.



Przez jakieś dwie minuty słychać było tylko to.

Potem gdzieś daleko, w odległej części domu, rozległ się dzwonek.

Po chwili ktoś wszedł do pokoju.

Odgłos siadania, szelest papieru, trzask zapalniczki, znowu papier. Potem zbliżający się głos:

- Ej, Nicky, *bom dia*, jak ci poszło na torze?

- Straciłem paczkę. - Głos Stinetta.

- Jak, do kurwy nędzy, mogłeś stracić? Było załatwione. Dałem ci cynk dziś rano. Nie mówiłem: czwarty koń, trzecia gonitwa?

- Mówiłeś, mówiłeś. Szkoda, że pozostałych siedem nie było załatwionych.

Śmiech.

- Nie wierzę, kurwa. Daję ci murowany cynk, ty bie...

Hałas tłuczonego szkła, jakieś zmieszane głosy, przekleństwa i wrzaski.

Tagliani: - Boże, nie, nie...

Stinetta: - Skurwy...

Kilka strzałów z dwóch pistoletów.

Krzyk.

- Nicky...

*Brrddt*. Szybkostrzelna broń z tłumikiem, najpewniej pistolet maszynowy. Strzały tak szybkie, że ich dźwięk przypomina wiertło dentystyczne.

Dwa krzyki, straszliwe, pełne grozy, okropne wrzaski.

Jeszcze dwa strzały.

*Bang... bang*. Coś dużego, może .357.

Ktoś rzezi.

Coś wali się ciężko na podłogę z brzękiem szkła.

Odgłos oddalających się kroków i coś innego pada na podłogę, coś sycającego.

Głos kobiety przeraźliwie krzyczącej

zbliża się...  
słysząc go już w pokoju.  
*Barumf!*

Eksplozja rozwalila też mikrofon. Szkop wyłączył magnetofon.

- To tyle - powiedział.
- Czarujące - odezwał się Jednouchy Charlie. - Szkoda kobiety.
- Szkoda ich wszystkich - wpadł mu w słowo Morehead. - Żywi byli dla nas o wiele więcej wari niż martwi.

Cofnął taśmę i puścił ją raz jeszcze. Wszyscy pochyliliśmy się w nadziei, że usłyszymy coś istotnego, niestety... nic to nie dało. Wsłuchiwałem się w strzały, chcąc je policzyć.

- To coś jak wiertło do borowania - odezwał się Zapata.
- Chyba pistolet maszynowy.

Szkop jeszcze raz cofnął taśmę.

Było w niej coś przerażającego. Kiedy myślisz, że wszystko już widziałeś i słyszałeś, doświadczasz czegoś takiego: przysłuchujesz się jak umiera troje ludzi. Gangsterzy, nie gangsterzy, poczułem ciarki na plecach.

- Z całą pewnością dwie spluwy - orzekł Jednouchy.
- Znakomicie, Charlie. Sinetto nie zdążył sięgnąć po broń. Kiedy go znaleźliśmy, miał wciąż jeszcze pistolet za pasem. Nabity i nie odbezpieczony. Tagliani był bez broni.

- Ładna kanonada - dorzucił Charlie.
- Musiało ich być dwóch - zauważył Salvatore.
- Albo dwuręki bandyta - powiedział Jednouchy.
- Kurewsko zimna krew - wtrącił Zapata.
- Jeszcze jakieś uwagi? - zapytał Szkop.

Swoje zachowałem dla siebie.

- Dobra, idźmy dalej. Jest z nami facet, który może rzucić trochę światła na wydarzenia tego wieczoru, usiądźcie więc wygodnie i posłuchajcie. To Jake Kilmer. Pracuje w Fidge i jest ekspertem od bandy Taglianiego.

Po sali przebiegł szmer niezadowolenia. - Chcecie go posłuchać czy wolicie pozostać ciemniakami - warknął Szkop tonem, w którym nie było ani odrobiny humoru. Natychmiast powrócił spokój. Zimny jak lody z zamrażarki.

## 7. W KRZYKU

Ten dom, jednopiętrowy budynek z cegły i żelaza, stał przytulony do jednej z wysokich wydym wznoszących się ponad zatoczką. Na tyłach był basen, a nad nim miejsce z dziecięcych snów. Otoczony balustradą taras, karuzela z ośmioma konikami i kolejka z wagonikami mogącymi pomieścić po jednym małym pasażerze.

Przy balustradzie siedziało, paląc papierosy, dwóch mężczyzn.

Z wierzchołka wydmy oddzielającej dom od zatoki słychać było wesoły śmiech dziecka i basowy głos dziadka oraz dźwięki katarynki grającej *East Side, West Side, All Around the Town*. Chłopak siedział na czarnym drewnianym rumaku, za nim stał obejmujący go ramionami dziadek. Konie, ź płonącymi źrenicami, rozszerzonymi chrapami, otwartymi pyskami galopowały przed siebie w nie kończącym się wyścigu po kolistym torze. W dole pod nimi unosiła się w basenie zapomniana dętka.

Jakaś postać przemknęła bezgłośnie przez gęstą morską trawę i przycupnęła na szczycie wydmy, dokładnie ponad domem. Z tego miejsca widać było tylko basen. Ów ktoś, ubrany na czarno, trzymał w rękach broń, podobną do karabinu, ale o większych rozmiarach. Przypadł do ziemi, podczołgał się ku krawędzi wydmy, spojrzął ostrożnie w dół i dostrzegł starca i dziecko. Czekał.

W rozsuwanych drzwiach na tyłach domu pojawiła się kobieta.

- Ricardo, czas do łóżka! - zawołała.

Chłopak zaczął protestować, ale kobieta nie ustępowała.

- Jeszcze jedna rundka! - zawołał dziadek; kobieta zgodziła się i stała, czekając.

Czekał także mężczyzna na szczycie wydmy.

Skończyła się ostatnia przejażdżka, chłopak radośnie pobiegł ku rozsuwanym drzwiom, ale tuż przed nimi zatrzymał się i odwrócił ku dziadkowi.

- Dziadziu, choć pocałować mnie na dobranoc! - zawołał.

Starszy pan uśmiechnął się i pomachał ręką.

- *Un momento!* - odrzyknął i dał znak mężczyznom na tarasie, by wyłączyli karuzelę.

Chłopak podbiegł do babki i objęci weszli w głąb domu.

Człowiek na wydmie umocował na końcu broni coś, co wyglądało jak ananas, i nacisnął przełącznik z tyłu rury. Rozległ się szcęk metalu o metal.

Starszy pan rozejrzał się, jakby badając, skąd dobiegł odgłos. Jeden z mężczyzn wstał i spojrzał w górę.

- Coś nie w porządku? - spytał drugi.

Pierwszy wzruszył ramionami i powrócił na miejsce.

Stłumiona eksplozja...

*Pumf!*

Nocne niebo westchnęło nad ich głowami.

I nagle przerażający, pomarańczowo-czerwony błysk rozjaśnił cały taras.

Wybuch cisnął obu mężczyzn na ziemię. Starszy pan zamachał rękami jak skoczek, gdy potężna siła zmiotła go z tarasu i cisnęła do basenu. Strzępy rumaków z karuzeli posypały się na wszystkie strony.

Ciszę wieczorną rozdarł straszliwy grzmot, brzęk pękającego szkła, rozległy się krzyki, przeraźliwe krzyki...

## 8. TRÓJCA Z CINCINNATI

Morehead zawiesił na tablicy siedem fotografii, na każdej z nich było wypisane flamastrem odpowiednie nazwisko. Ponieważ wiedzieliśmy już, że Frank Turner to Tagliani, a Nat Sherman to Stinetto, Szkop wykreślił stare identyfikacje.

Jeszcze kilka godzin temu Tagliani był *capo di tutti capi*, „szefem szefów” w rodzinie Tagliani w Cincinnati, znanej jako trójca z Cincinnati.

Przez pięćdziesiąt lat Tagliani rządili światem przestępczym w południowo-zachodnim Ohio, rezydując w Cincinnati. Założyciel klanu, Giani, pierwszy *capo di tutti capi*, umarł w wieku osiemdziesięciu trzech lat i nigdy nie poniósł żadnej kary za swe zbrodnie, a nawet nigdy nie zobaczył na własne oczy sali sądowej. Imperium przejął jego syn, Joe „Skeet” Tagliani. Stary Tagliani zachował jeszcze nieco europejskiego wdzięku, Skeet był tylko zwyczajnym rzeźnikiem. Za jego rządów Tagliani weszli w sojusz z przywódcami dwóch innych gangów. Pierwszy z nich, Tuna Chevos, który poślubił córkę Skeeta Taglianiego, był jednym z najpotężniejszych na Środkowym Zachodzie władców narkotyków. Po drugiej stronie rzeki Ohio branżę tę kontrolował *mafioso* w starym stylu, Johnny Draganata. Kiedy spróbował go wygryźć z tego interesu ciemnowłosa irlandzki chojrak, nazwiskiem Bannion, Skeet dopomógł Draganacie. Wojna trwała niecałe trzy miesiące, polało się morze krwi i z tego, co wiem, po bandzie Banniona nie pozostał właściwie żaden ślad.

Tak powstała Trójca z Cincinnati: Skeet Tagliani, Tuna Chevos i Johnny Draganata.

Udało mi się wpakować Skeeta na dziesięć lat, ale zabrało mi to trzy bezcenne lata. Przez następne dwa próbowałem wykazać, że stanowisko *capo* objął po Skeecie Franco, jego brat. Była to paskudna, niewdzięczna i kosztowna robota, podczas której zginęło kilku naszych agentów i świadków, usiłujących zeznawać przeciw Taglianim.

A potem Franco zniknął, pstryk, i nagle wszelki ślad po nim zaginął; cały rok strawiłem na badaniu wszelkich tropów, najdrobniejszych poszlak, węszeniu w najciemniejszych zakamarkach całego kraju. Trójca z Cincinnati po prostu się rozplynęła.

Było to sprytne posunięcie ze strony Taglianiego: wszystko odsprzedać i zmienić skórę. Rzeczywiście, bardzo sprytne, ale dla mnie frustrujące. I oto po roku pojawił się w Dunetown w kostnicy, zimny i sztywny, z karteczką na palcu u stopy sugerującą, że nazywa się Fred Turner. Łatwo było zrozumieć zmianę nazwiska.

Mniej łatwo, jak się to stało, że spoczął na bryłkach lodu.

Znałem także pięć pozostałych twarzy na zdjęciach Szkopa, choć ci panowie nosili również nowe nazwiska. Byli to książęta z bandyckiego królestwa Taglianiego, *capì*, którzy pomagali nim rządzić: Rico Stizano - teraz zwał się Robert Simons; Tony Logeto, który został Thomasem Lanierem; Anthony Bronicata, obecnie Alfred Burns, i Johnny Draganata, stary lis, który przybrał teraz nazwisko James Dempsey. Najslabiej znałem faceta z piątej fotografii, choć również wiedziałem, kto to jest: Johnny „Dowcipas” O'Brian, mały rzezimieszek, który wykonywał dla gangu mokrą robotę w Phoenix do czasu, kiedy poślubił najmłodszą córkę Taglianiego, Dane. Zanim Trójca nagle się rozplynęła, O'Brian odbywał szkolenie zawodowe, zawiadując prostytutką.

Sprytne posunięcie, ale nie tak znowu oryginalne. Nowe nazwiska pasowały do inicjałów na walizkach, złotych spinkach, jedwabnych koszulach, srebrnych sygnietach i tym podobnych. Rodzina Taglianich miała kota na punkcie monogramów.

Brakowało jeszcze dwóch twarzy: Tuny Chevosa oraz jego głównego specja od zabijania i powiernika, Turka Nance'a. Z całej bandy to właśnie ci dwaj, Chevos i jego giermek, Nance, byli najgroźniejsi. Układ tutaj był zbyt lukratywny, żeby mogli przebywać gdzieś daleko. Poza tym Chevos zajmował się narkotykami, a całe wybrzeże Georgii, od Karoliny Południowej po Florydę, było amerykańską Marsylią. Narkotyki przepływały tędy tak łatwo, jak lodowata woda przez żyły Chevosa.

- Poznajesz tych ludzi? - spytał Szkop, robiąc gest w kierunku galerii parszywców.

Przytaknąłem.

- Wszystkich. Bandziory, jeden w drugiego.

- W porządku - powiedział. - To startujmy.

Usiadłem na rogu biurka. Postanowiłem, że rozegram całą rzecz delikatnie.

- Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to tak, jakbym wiedział absolutnie wszystko - zacząłem - ale od lat tropię tych sukinsynów. Wiem sporo o tej bandzie, gdyż staram się im popsuć zabawę od czasów, kiedy wyrosłem z krótkich spodenek.

Nikt się nawet nie uśmiechnął. Twardziele. Salvatore czyścił paznokcie nożem, przy którym maczeta wyglądałaby na szpilkę do ubrania. Jednochy Charlie rozwiązywał krzyżówkę.

- A co to takiego Figa? - spytał, nie odrywając oczu od gazety.

Nie chcieli, żeby poszło mi zbyt lekko.

- Może lepiej powiem, czym nie jest. To nie FBI, także nie Leprozorium. Mamy dwa zadania. Współpracujemy z lokalną policją we wszystkich sprawach, w których może chodzić o przestępstwa wykraczające poza jeden stan. Po drugie, zajmujemy się LCN. Nie jesteśmy zbratani z Leprozorium. Nie włączymy w dupę nikomu w Waszyngtonie, dopadając małych podatników, którzy nie mogą się obronić, nie odbywamy też co pięć minut konferencji prasowych jak FBI.

- A co to LCN? - spytał Zapata.

- La Cosa Nostra, ty pieprzony moronie - rzucił szyderczo Salvatore.

Zapata spojrział przez ramię na tamtego.

- Patrzcie, patrzcie. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś nazywał to LCN. Mój tata nie wylizywał dupy żadnemu malutkiemu podstarzałemu *mafioso*.

- To racja - odciął się Salvatore. - Twój ojciec szorował podłogi w burdelu w Tijuanie.

- Powinieneś się wychować w burdelu - rzucił przez ramię Zapata - to może byś nie laził z kolczykiem w uchu jak jakiś pierdolony pedzio.

- Ty, kurwa, to obrączka ślubna mojej matki! - rozdarł się Zapata.

- Spokój, spokój - odezwał się Jednouchy Charlie, podnosząc ręce w uspokajającym geście.

- A ty co się wtrącasz? - warknął Salvatore. - Ja mam przynajmniej ucho, w które mogę coś wpiąć; nie wpieprzył go na obiad żaden kieszonkowiec.

Zdziwiło mnie, że Szkop nie reaguje i nie stara się powstrzymać kłótni, zanim rozgorzeje na dobre. Nagle Zapata zachichotał, Salvatore ryknął śmiechem, a na twarzy Charliego pojawił się uśmieszek, i wtedy pojąłem, co się dzieje. Taki kolczasty humor często się spotyka u ludzi, którzy wspólnie nadstawiają karku. To sposób na wyluzowanie się. Żartobliwe obelgi znaczą: ufam ci, jesteśmy kumplami, możesz mówić o mnie, co chcesz, i nikt inny nie ma do tego prawa. Jest w tym nie wypowiedziane uczucie miłości i wzajemnej ufności łączącej ludzi żyjących stale w niebezpieczeństwie; męska przyjaźń, która sprawia, że zniewaga staje się najwyższym pochlebstwem.

Zaczyznałem rozumieć, co miał na myśli Szkop. Tworzyli małą, zżyłą społeczność i na swój sposób informowali mnie o tym.

Wszyscy włączyli się do przekomarzanki, z wyjątkiem Pancho Callahana, który się nawet nie uśmiechnął. Sponad palców złożonych dłoni mierzył mnie zimnym spojrzeniem klienta wpatrującego się w kelnera, który zapomniał o zamówieniu. Zrozumiałem milczące wyzwanie: - Pieprzyć, kocaczku, te przyjacielskie pogaduszki. Pokaż, co masz za pazuchą.

- Dobra, chłopaki, możecie przeciwzyć to sobie później - odezwał się wreszcie Szkop, kładąc kres zabawie. - Lepiej posłuchajmy, może dowiemy się czegoś ciekawego. Zapomnieliście już, że do naszych obowiązków należy usunięcie z miasta zorganizowanej przestępczości? Patrzcie, w czym ugrzęźliśmy.



Nagle wszystkie oczy skierowały się w moją stronę.

- Nie chodzi o niego - warknął Morehead. - Chodzi o *pfutzlücker* Taglianich.

Szkop nigdy nie kłął po angielsku, zawsze tylko po niemiecku. Sądzę, że w większości wypadków nikt z jego bandy nie wiedział, co właściwie ma na myśli. Nikt jednak nigdy o to nie pytał.

- Wal dalej - powiedział do mnie. - Nie przejmuj się.

- Ta banda, tu na ścianie, to nie groszowe złodziejaszki, nie przyjechali też tutaj, żeby zażywać kąpeli zdrowotnych. Przybyli, aby kupić miasto. Depczę im po piętach od chwili, kiedy znalazłem się w Fidze.

- No dobra, o co ci chodzi tym razem? - zapytał Cowboy Lewis.

- Zaraz wam powiem. Ustawa przeciw OPOP wszystkie pieniądze uzyskane z nielegalnych źródeł określa jako ZUB, czyli „Zyski Uzyskane Bezpprawnie”.

- No tak - roześmiał się Jednouchy - ach, ta niewyczerpana pomysłowość naszych urzędników.

- Co to za ustawa przeciw OPOP? - spytał poważnie Lewis.

- Ustawa przeciw Organizacjom Przystępczym i Opanowanym przez Przystępców - front walki z gangami. ZUB to po prostu forsa zarabiana na narkotykach, hazardzie, prostytucji, szantażach, pornografii... wszystkich tych ukochanych zajęciach LCN. Pieniądze te LCN musi wyprać, a to nie takie łatwe. Dlatego inwestują je w legalne przedsiębiorstwa, nawet w banki. Ustawa przeciw OPOP pozwala nam zarekwirować je, jeśli potrafimy wykazać, że jakieś przedsięwzięcie oparte jest na ZUB-ie. Jeśli uda nam się to zrobić, możemy zarekwirować im wszystko: pieniądze, przedsiębiorstwa, sprzęt, jachty, rolls-royce'y i całą resztę ich zabawek. Możemy wytaczać sprawy bandytom i wszystkim związanym z nimi osobom. Dotyczy to biznesmenów, polityków i każdego, kto daje im dupy.

- A czy na pewno nas za to pochwalą? - zapisał Zapata.

- Och, czym się to skończy? - zawtórował mu Salvatore.

Przez salę przetoczył się śmiech.

- Dajcie mu szansę - ostro wtrącił się Szkop.

- W porządku - ciągnąłem - nie warto się przejmować tym całym biurokratycznym gównem. Oto, z czym będziecie mieli do czynienia. Ludzie z Figi większość czasu spędzają wraz z miejscową policją na łączeniu znanych bandytów z ZUB-em, a ZUB z legalnymi instytucjami, które zostały przekupione. I po to tutaj jestem - chcę wiedzieć, jak zaczepili się w Dunetown i kogo musieli przekupić. Nie interesują mnie pojedyncze przestępstwa, prostytucja, hazard czy nawet zabójstwa. Wszystko, na co natrafię w tych sprawach, jest wasze.

- Nie raz słyszeliśmy już tę śpiewkę, kolego - powiedział zgryźliwie Jednouchy.

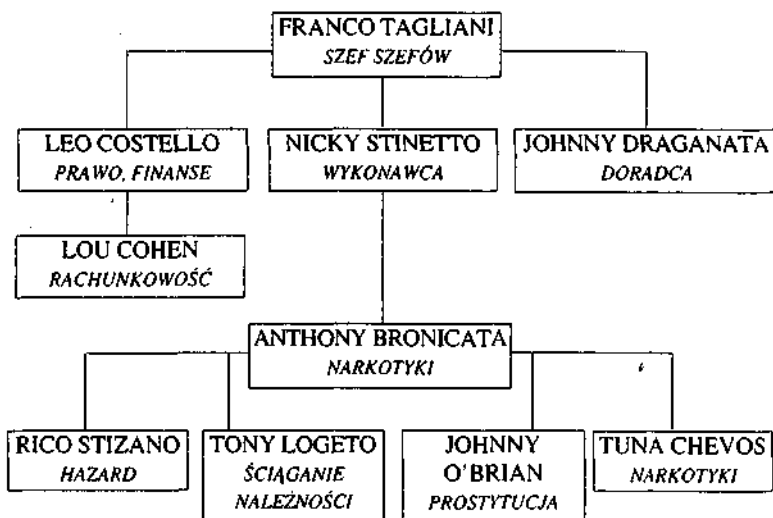
- Dajmy już spokój temu „masz rację - nie masz racji” - wtrącił się Szkop. - Pora na główne danie.

Przedstawiłem im krótką historię Trójcy, na tyle krótką, żeby nie zasnęli.

- Franco Tagliani był bardzo sprytny. Zanim przygwoździliśmy Skeeta, Franco już stał się bardzo znaną postacią. W Cincy był znaną figurą. Subsydiował malarstwo, balet, muzykę symfoniczną, miejscowe kluby sportowe, wszystko, co łączyło się z wykwintem i elegancją. Kochał zwierzęta. Kochany wujek Franco, nieprawdaż? Kiedy zapudłowaliśmy Skeeta, mieliśmy nadzieję, że Franco będzie musiał wyjść na powierzchnię, rozpoczęliśmy więc coś, co nazywamy analizą powiązań. Odnotowywaliśmy każdy drobiazg, który wpadł nam w ręce, a który wiązał się z Trójcą, nawet najbliższe szczegóły. Wszystko, co tylko dało się pozbiierać od szpiclów z odwiedzanych przez nich restauracji, spotkań towarzyskich, wesel, od ich kumpli, znajomych, z raportów policyjnych i sprawozdań wakacyjnych. Wszystkie te informacje, pozbierane i przesiane, dały nam w rezultacie coś takiego.

Wyjąłem karton z teczki i przypiąłem go do tablicy.

## TRÓJCA Z CINCINNATI



- Oto Trójca z Cincinnati - powiedziałem. - Każdy, kto myśli, że przyjechali tutaj na kurację, powinien wrócić do szkoły podstawowej.

Tym razem żadnych szmerów. Zainteresowałem ich.

Szedłem w dół listy, nazwisko po nazwisku, poczynając od Franca, który był ongiś *consigliere*, doradcą Skeeta i jeszcze kilka godzin wcześniej ojcem chrzestnym Trójcy.

- Tagliani był klasycznym *mafioso*. Jego zasada brzmiała: rodzina i przyjaciele, wszystko inne pieprzyć. Każda z jego trzech córek poślubiła jednego z rodziny *capì*. Trójca była szanowana w La Cosa Nostra; nikt nie wchodził im w paradę. Przynajmniej jak dotąd. Stinetta był przybocznym

Franco, oficjalnym wykonawcą wyroków gangu i gorylem Taglianiego. Wszyscy pozostali *capi* podlegali bezpośrednio Stinetcie. Ten należał do starej gwardii. Zdobywał ostrogi w latach pięćdziesiątych, mniej więcej w tym samym czasie co Buggsy Siegel. Chodzi mi o to, że obaj, Franco i Nicky, byli twardymi, starymi zawodowcami. Załatwienie ich obu, tak jak to zrobiono, wymagało pomysłowości i odwagi.

Szkop wpadł mi w słowo: - Ktokolwiek to zrobił, otrul dwa psy i minął trzech uzbrojonych strażników. Nikt nie dostrzegł jego czy ich.

Na tablicy Szkopa brakowało jeszcze jednej twarzy. Tym nieobecnym był Leo Costello, Czyściutki, *consigliere* bandy, dobiegający czterdziestki posiadacz dyplomu z wyróżnieniem Chicago Law School, który ożenił się z córką Taglianiego, Marią.

- Costello był majorem w Wietnamie - wyjaśniłem. - Generalski adiutant. Nigdy nie powąchał prochu, zajmował się przez cały czas przygotowaniem spraw dla sądu wojskowego. Nie tyka się broni, nawet nie poluje. Od rodziny zdecydowanie woli Country Club.

- Mazzola już go nam wskazał - odezwał się Charlie. - I jego kumpla.

- Lou Cohena? - zapytałem.

- Mhm - mruknął Flowers. - Żaden z nich nie zmienił nazwiska.

- To do nich podobne - stwierdziłem. - Costello jak może unika kontaktów z resztą bandy. Nie zatrudnia nawet rewolwerowców. A Cohen to spokojny, pełen rezerwy księgowy. Geniusz finansowy i skarbnik całej paczki. Chłopaki z Leprozorium od dziesięciu lat starają się go przyskrzynić. Ale teraz Costello będzie może musiał wyjść z cienia.

- Niby dlaczego? - spytał Zapata.

- Ponieważ najprawdopodobniej to on jest tym, który zostanie *capo di tutti capi* teraz, gdy Tagliani wyciągnął nogi. Chyba że jest coś, o czym nie wiem.

- Na przykład? - nagabnął Szkop.  
- Na przykład, że to ktoś z rodziny szturchnął starego, aby zająć jego miejsce.

- Aha, takie coś - skrzywił się Morehead.

Teraz zacząłem opisywać bandziorów przebywających w Doomstown.

Johnny Draganata, twardy, bezlitosny Mustache Pete ze starej szkoły, nauczyciel i kapłan wszystkich żołnierzy Taglianiego, najwyższy autorytet w sprawach tradycji i protokołu; Rico Stizano, znany także jako Fryzjer, gdyż kiedyś w Chicago, zanim poślubił żonę Taglianiego, pracował w tym właśnie zawodzie.

Obecnie jego specjalnością jest hazard. Wielki miłośnik życia rodzinnego, podobnie zresztą jak pozostali.

Tony Logeto, zięć Taglianiego, mąż jego najstarszej córki, Sheili, był facetem posługującym się znakomicie rewolwerem i potężnymi muskularni, specjalistą od ściągania należności, wymuszeń i wszystkich tych zajęć, gdzie bicepsy ważniejsze były od mózgu. Uważał się za znakomitego uwodziciela. Wiele kobiet podzielało tę opinię.

- Anthony Bronicata to kolejny przedstawiciel starej gwardii - kontynuowałem. - Ongiś był *soldato* i porobił na kolbie wiele nacięć. W narkotykowym biznesie znany jest jako Peg, co jest skrótem od *Il Peggioro*, Najgorszy, a znaczy tyle, że lepiej nie wchodzić mu w drogę. Jest królem handlarzy, zaopatruje wszystkie ulice, a nigdy nie udało się go na niczym przyłapać: ani na posiadaniu, ani na ukrywaniu, ani na rozprowadzaniu, dosłownie na niczym. Jego kamuflażem jest zawsze restauracja. Jedyna dobra rzecz, jaką mogę o nim powiedzieć to to, że robi dobre *fettuccine*. Chcecie go? Jeśli tylko uda się go udupić, jest wasz.

Niewiele mogłem sobie przypomnieć o O'Brianie. Zachowałem w pamięci niewyraźny obraz niskiego Irlandczyka z zawadiacką czerwoną twarzą i zepsutymi zębami. Na zdjęciu Szkopa miał zadarty nos i uśmiech mówiący: „daj mi święty spokój”. Była to jedyna przyjemna fotografia, ale nie

dałem się zwieść nawet przez chwilę. Jako najmłodszy stażem członek klanu ciągle był na okresie próbnym, co sprawiało, że stawał się jeszcze mniej przewidywalny niż cała reszta.

- Obecność wszystkich tych pistoletów - zauważył Szkop - w niczym nie pomogła Taglianemu w ostatniej minucie.

- Nic ci nie pomoże, jeśli ktoś naprawdę chce cię wykończyć - stwierdziłem.

Z teczki wyciągnąłem dwie nowe fotografie i podniosłem je do góry.

- Ktoś może zna tych dwóch przystojniaczków?

Nikt się nie odezwał.

Na początek wziąłem wyraźniejsze z tej pary zdjęć. Widniał na nim mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna o okrągłej twarzy, miłym uśmiechu i oczach węża, skrytych za okularami słonecznymi.

- To Tuna Chevos - oznajmiłem. - Dopadniemy go.

- Skąd ta pewność? - rzucił od niechcienia Jednouchy Charlie.

Żołądek skręcił mi się na samą myśl o Chevosie i jego prywatnym mordercy, Nansie.

- Kiedy ten skurwysyn jest w promieniu pięćdziesięciu mil, rozlega się we mnie taki mały brzęczyk.

- Jakieś osobiste względy? - zapytał Charlie, unosząc brwi.

Patrzyłem na niego nieruchomo przez minutę, aż odwrócił wzrok. Później pokazałem drugą, nieco zamazaną fotografię szczupłego faceta pod czterdziestkę, o twarzy fretki i oczach skrytych za okularami.

- Ten facet jest prawą ręką Chevosa, uprzejmy, przyjacielski morderca z sąsiedztwa. Nazywa się Turk Nance i jest najniebezpieczniejszy z całej bandy; psychopata, z lada przyczyny wpadający w furję. To dwie kobry. Chociaż Chevos wzenił się w rodzinę, obaj są outsiderami. Trzymają się własnych reguł.

- Może to oni załatwili starego sukinsyna? - zasugerował Zapata.

- Kto wie, ale raczej nie - odrzekłem.  
- Dlaczego? - zapytał Szkop.  
- Nie mówię, że ich wykluczam, ale nie sądzę, żeby to oni. Należą jednak do rodziny. Wiesz, co mam na myśli, Salvatore?

- Ma rację - potwierdził zapytany. - Z tego, co mówisz, wynika, że ten Chevos był szwagrem starego. Chyba że poszłoby między nimi naprawdę na noże... - nie dokończył zdania.

- Gdzie jest miejsce tych dwóch kochasiów? - zadał pytanie Cowboy Lewis.

- Chevos dostarcza materiał, Bronicata rozprowadza go między hurtowników. Nance to osobisty *soldato* Chevosa. Jeśli ten powie: idź, oplucz głowę w kiblu, to jakbyś już widział głowę Nance'a w muszli. Jeszcze jedno, niech was nie zmyli to, że Chevos ma w Nance'em człowieka od mokrej roboty. Krąży opowieść, że aby zdobyć sobie zaufanie Skeeta, Chevos zabił własnego brata. Nie wiem, czy tamten wart był śmierci, jeśli jednak należał do tej samej ligi co Chevos, strata była niewielka. Nance edukację odebrał na ulicy, studia podyplomowe odbył w Wietnamie. Najprawdopodobniej sam zamordował połowę gangu Banniona. Uwielbia dziewięciomilimetrowego lugera z dwunastocalową lufą oraz kule namoczone w arseniku. Prawdziwy kochaś. Nie potrafi usiedzieć na miejscu. Prędkiej czy później, kiedy uda mu się już ulokować bezpiecznie Chevosa na godzinę czy dwie, pojawia się w najbardziej nobliwym punkcie miasta. Wszyscy w rodzinie srają w portki na myśl o nim. Turk Nance, zapamiętajcie to nazwisko. Jeśli natkniecie się na niego, strzelajcie pierwsi.

- Przez cały czas mówisz nam tylko: „To mnie nie interesuje, tamto nie interesuje”. Co cię, u diabła, interesuje? - równym, obojętnym głosem spytał Callahan.

Myślałem już o tym, dlaczego tu jestem, co stało się z Dunetown i co się jeszcze zdarzy. Przez następnych kilka chwil przemyślałem mnóstwo innych rzeczy.

- Chcę, by cała ta banda zniknęła z ulicy. Wszystko mi jedno, czy

zrobicie to wy czy ja, czy też zrobimy to wspólnie. To karakany społeczeństwa.

Spojrzałem na Jednouchego.

- Pytasz, czy to coś osobistego. Straciłem na nich pięć lat. Ze wszystkich tych skurwieli tylko Costello i Cohen są czysti. Raportami o reszcie można by wyłożyć drogę stąd do Malibu.

Zacząłem przemierzać pokój tam i z powrotem. Nie z powodu pytania Charliego czy z tej racji, że zabijaki Moreheada mi nie ufały. Przywykłem do tego. Przyczyną było Cincinnati. Przystanąłem i przyjrzałem się po kolei wszystkim twarzom.

- Tak, do kurwy nędzy - powiedziałem - to osobista sprawa. Jednym z ludzi, którzy ze mną pracowali nad Taglianim, był Harry Nome, mówili o nim Harry Wielka Dusza. Najporządniejszy facet, jakiego spotkałem. Był naszą wtyczką w montowanym przez Chevosa przerzucie narkotyków. Nance go wyniuchał.

Wzięli Harry'ego na przejażdżkę; Nance przyłożył mu spluwę do nosa i oderwał go łufą, rozumiecie: oderwał. A potem wyrzucił Harry'ego z wozu jadącego pięćdziesiątką. Chłopak jest teraz paralitykiem.

Był inny facet, z Drug Enforcement Agency. Usiłował wkręcić się do jakiejś akcji z narkotykami powiązanej z Nowym Orleanem. Nigdy więcej ani go nie zobaczyliśmy, ani nie usłyszeliśmy o nim. Trzy lata temu po prostu zniknął. Kamień w wodę. Miałem też informatorkę, dziewczuszkę o imieniu Tammi. Skończyła osiemnaście lat, zwerbował ją Stizano, który przewoził ją na koniku, kiedy była piętnastką. Przerzucali ją ze stanu do stanu, ona chciała mieć już spokój, zgodziła się więc opowiedzieć prokuratorowi generalnemu, jak dziewczyny puszczane są w ruch, kto tym kieruje i takie rzeczy. Byłaby z tego mocna rzecz. Nance porwał ją, obciął jej nos i uszy, a następnie wepchnął je Tammi do gardła i udusił ją. A Costello, Czyściutki? Zawsze występował w imieniu Nance'a; bydlak nigdy nawet nie został oskarżony.

Zamilkłem na chwilę, chcąc, by wszystko dobrze przetrawili.

- A jednocześnie, to wcale nie są osobiste porachunki. Nigdy nie są,



no nie? Bo w końcu dlaczego niby miałbym się wściekać? Miałem szczęście. Kiedy strzelali do mnie, kula weszła tutaj, pod żebrami, wyszła plecami i poleciała sobie dalej. To boli, ale nie tak jak arszenik, w którym była zanurzona.

Usiadłem.

Nieźle, pomyślałem. Całkiem nieźle. Mocniejsze kawałki zachowaj na później.

Nikt się nie odezwał przez minutę czy dwie.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że do listy powinienem był dodać jeszcze jedno nazwisko.

Długonosy Graves.

Miałem go dobrze poznać w ciągu najbliższych kilku dni. W ciągu najbliższych kilku dni miałem poznać sporo ludzi, choć bardzo niewielu z nich na dłużej.

## 9. OPIEPRZ

Szkop stanął na środku pokoju; w jego twarzy dostrzegłem teutońskie zasepienie.

- Dzięki - powiedział.

- Do usług.

- Nie chciałbym nikogo urazić - zwrócił się do swoich ludzi - ale tych... *asch lochers* mieliśmy na oku już od dwóch tygodni. Całą rodzinę i w ogóle nie wiedzieliśmy o tym!

Wszyscy wciągnęli głowy w ramiona, upodabniając się do Jednouche-go.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówił, kręcąc głową ze zdumieniem. - Nawet najmniejszej sugestii od żadnego z moich kanarków. A można by przypuścić, że ktoś, cholera, czegoś się jednak dowie!

Siedzieli wpatrzeni w podłogę, przesuując stopami urojone śmiecie, wszyscy z wyjątkiem Lewisa, który spoglądał zmrużonymi oczyma w kąt pokoju, i Callahana, który zapytał z wyrzutem:

- Czemu się czepiasz, Szkop? Aż do zeszłego tygodnia nie mieliśmy pojęcia, kim są, i laźliśmy za nimi tylko dlatego, że Jednouchy wyczuł tu jakiś smrodek.

- To dotyczy także i mnie - stwierdził ponuro Morehead. - Przez ostatnie trzy kwartały robiliśmy dużo szumu. Dawaliśmy popalić alfonsom i kurewkom, łapaliśmy małych detalistów z kilkoma groszami w kieszeni. Strasznie mocni się zrobiliśmy.

- Ale nie wiedzieliśmy jeszcze... - nie zrezygnował Salvatore.

- Szkop ma rację - przerwał mu Charlie. - Wpadliśmy w rutynę. A ja byłem najgorszy.

- Ej, Chino, ty miałeś wieczorem oko na Taglianiego, tak?

- Na kogo?

- Franco Taglianiego - powtórzył wolno Szkop, wpatrując się w twarz Meksykanina z odległości kilku centymetrów. - Faceta, którego zamordowano, kiedy ty byłeś przed jego domem. Kapujesz już?

- Nie mogę zapamiętać tych ich nowych nazwisk - bronił się Zapata.

- To się postaraj. Od tej chwili nie chcę słyszeć o żadnym Franku Turne-rze, Nacie Shermanie i tak dalej, nie ma żadnych ksyw. Teraz używamy już tylko ich prawdziwych nazwisk, zrozumiano?

Wszyscy zgodnie kiwnęli głowami.

- W niedzielę, ten... no... Tagliani i... no... Nicky Stinetta jeżdżą do knajpy... Bronicata na kolację, więc ja tam na nich zaczekałem. Kurczę, na tej Thunderhead Island rzucasz się w oczy jak ślepy na pokazie dup. Na ulicy Tur... Taglianiego jest tylko jeszcze jeden dom. Dwa razy zaczepiali mnie miejscowi gliniarze.

- Aha, i dlatego musiałeś zejść z posterunku? - zapytał Morehead.

- Szkop, przecież to było tylko normalne namierzanie. Kurwa mać, byłem głodny, nic nie miałem w ustach od siedmiu godzin. Pojechałem przed nimi i coś sobie zamówiłem, żeby być gotowym, jak się będą rozchodzić. Kto mógł podejrzewać, że go rozwałą?

- Tak mi przykro, że nie dostałeś zaproszenia! - powiedział Szkop. - A co ze Stinnettem, kto go krył?

Jednouchy Charlie zapadł się trochę niżej w krzesło.

- Dublowaliśmy się. Wiedzieliśmy, że razem jadą na kolację, więc powiedziałem...

- Powiedziałeś Chino, żeby jechał do restauracji, bo ty obstawisz dom - dokończył za niego Morehead.

- Tak.

- To już był u niego stały punkt w programie tygodnia, szefie - odezwał się znowu Callahan. - Każdej niedzieli Tagliani jechał do Bronicaty na obiad i tam spotykał jednego czy dwóch ze swych *capi*. Draganatę, Stizana, Logeta i tak dalej. Bronicata zawsze wtedy dosiadał się do nich.

- Wspaniale, tylko kto wtedy przyrządza potrawy? Dobra, kto był tego wieczoru na obiedzie u Bronicaty?

- Logeto i ten... rudzielec, no, jak mu tam... - zająknął się Chino.

- O'Brian - podrzuciłem.

- Właśnie. No i, oczywiście, Bronicata.

- Mam nadzieję, że skoro już i tak się tam znalazłeś, to miałeś też oko na Bronicatę? - warknął Szkop.

- Tego ja obstawiałem - powiedział spokojnie Callahan. - Rozjechali się jednocześnie. Pojechałem do domu za Bronicatą, zanim pojawiłem się tutaj.

- Kto śledził O'Briana?

Ręka Lewisa w górze. - To samo. Także i on pojechał prosto do domu.

- No to co się zdarzyło w restauracji? - spytał gniewnie Szkop.

- Byłem w środku - oznajmił Chino - i podpatrywałem całą paczkę. Nagle Bronicata dostaje telefon i przyłazi sztywny, jakby właśnie zjadł czubatą łyżkę chili. Siada, szu-szu-szu...

- Co za „szu-szu-szu”? - warknął Morehead.

- No, szeptali.

- Aha.

- Potem Irlandczyk i Logeto wypadli, jakby się paliło. Po paru minutach przyłazi kelner z rachunkiem, że niby zamykają już knajpę. „Co się tu, do diabła, dzieje?”, pytam. On na to, że szef miał atak serca. Pewnie telefon był o tym, że załatwili starego.

Szkop wpatrywał się w sufit, podkreślając wąsa.

- Widzicie, to wszystko nie trzyma się kupy. Tagliani każdej niedzieli jedzie tą samą trasą. Jest w samochodzie, razem ze Stinnettem i szoferem, któremu przy szefie nie wolno nawet bąka puścić. Prościutka robota, tymczasem facet woli przejść koło straży, otruć dwa psy i rozpieprzyć Turnera i Shermana w domu.

- To byli Tagliani i Stinnetto - zauważył spokojnie Jednouchy.

Zaskarbił sobie tylko ciężkie spojrzenie.

- Salvatore - powiedział Szkop. - Kogo ty kryłeś?

- Tego playboya, jak on się nazywa?

- Logeto? - podsunąłem.

- Tak, tak. Także jest w domu.

- Patrzcie, wszyscy dziś w domu - zachichotał Zapata.

- Czy coś z tego, co nazbieraliście przez tych parę tygodni, odkąd ich namierzacie, jest w raportach? - spytałem.

- Nie robimy raportów - odparł Szkop. - Jak coś jest na papierze, to zawsze ktoś może przeczytać.

- Kto niby? - nagabnąłem.

- Ktokolwiek, każdy - odpowiedział wykrętnie.

- Wiecie, co mnie w tym wkurwia? - spytał Chino. - Wkurwia mnie to, że te dupki mają murowane alibi, same o tym nie wiedząc.

- I czy to nie zabawne, że się o tym nie dowiedzą? - tonem pełnym zadumy powiedział Charlie.

- OK - odezwał się Morehead. - Charlie, przyłóż no swoje zdrowe ucho do ziemi i wytęż słuch. Reszta wraca na swoje miejsca. Postarajcie się zapobiec temu, żeby do wianuszka przybyły kolejne stokrotki. Jak się gdzieś natkniecie na Szczeniaka Mufalattę, Kite'a Langa czy Czerwia, powiedzcie im, żeby się skontaktowali ze mną. Jakies pytania?

Nie było żadnych.

Kiedy wszyscy ruszyli do wyjścia, Cowboy Lewis powstał i podszedł do mnie, rozsuwając zawadzające stoły.

- Jesteś Jake, nie? - spytał.

- Tak. Wyciągnął dłoń.

- Nazywam się Chester Lewis. Mów mi Cowboy.

- W porządku.

- Chcesz dostać tego pieprzonego Nance'a?

- Tak. Muszę go mieć, Cowboy.

- Jest twój.

- Dzięki - powiedziałem, mocno ściskając jego rękę.

- Masz do tego prawo - rzucił szybko, zakręcił się na obcasach i tyle go było widać. Ledwie wyszedł, w drzwiach pokazała się nowa twarz.

Wiedziałem, kto to jest, nie musiałem pytać.

## 10. CZERW

Nikt z pozostałych ludzi Moreheada nie zwrócił uwagi na nowego faceta. Byli zbyt pochłonięci rozmową o nagraniu, by go zauważyć. Skierował się wprost ku mnie.

Miał to, co niektóre kobiety nazywają naturalną urodą. Indiańskie rysy, wystające kości policzkowe, długą, pociągłą twarz, mocną szczękę,

brązowe oczy, gęste, połyskujące włosy, które spływały na czoło i oczy. Przy sześciu stopach wzrostu był szczupły; choć mego wzrostu, był lżejszy o jakieś dziesięć funtów. Jego garnitur sprawiał takie wrażenie, jakby na noc zwiął go i wkładał pod poduszkę. Węzeł fabrycznego krawata znajdował się jakieś dwa cale poniżej rozpiętego kołnierzyka, którego rogi wywijały się w kierunku sufitu. Wątpię, by jego mokasyny widziały kiedyś szczotkę. Nie wyglądał z pewnością na strojnisia.

Jego sterany wygląd nie był efektem jednego złego dnia. Miał trwałe podkowy pod oczyma, zmarszczki pokryły mu twarz głębokimi bruzdami. Mówił niskim, dudniącym głosem, który zawdzięczał swą barwę zbyt wielu drinkom, zbyt wielu papierosom, zbyt wielu zarwanym nocom albo wszystkim tym trzem rzeczom naraz. Na głowie miał zmiętoszony, stary, brązowy kapelusz filcowy, a z kącika ust zwieszał się niedopałek papierosa.

Wiek od trzydziestu do czterdziestu lat. Wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że kobiety za nim szaleją.

Nie bardzo zmęczony robotą?

- Nazywam się Parver - przedstawił się. - Wszyscy mówią na mnie Czerw.

Obrócił się i odszedł, choć nie w kierunku wyjścia, za innymi, lecz ku automatowi z kawą.

- Jesteś kibicem? - zapytałem, by podtrzymać rozmowę.

- Nie bardzo. Czemu pytasz?

- Pseudo. Myślałem, że może od Czerwonych Byków.

- Skrócili tak od Czerwońca. Wszyscy mają mnie za cholernego Indianina - powiedział z wyraźną dezaprobatą - a ja tymczasem jestem Żydem z Bostonu.

- Ja nazywam się Jake Kilmer - powiedziałem. - I nigdy nie nazywano mnie inaczej.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Chodziło o morderstwo Taglianiego? - zapytał obojętnym tonem, jak gdyby podobne zdarzenie było w Dunetown czymś tak normalnym jak pchła piaskowa na plaży.

Skinałem głową.

- Było ich chyba dwóch - wyjaśniłem. - Zabili dwa psy, prześlizgnęli się obok uzbrojonych strażników i załatwili całą trójkę.

- Trójkę? - zapytał ze zdziwieniem Czerw. - Kiedy mijalem się z Cowboyem, powiedział mi, że załatwili Taglianiego i Stinetta.

- Najpierw wladowali kilkanaście kul w Taglianiego i Stinetta, a potem, żeby dokończyć robotę, rzucili bombę. Wtedy właśnie do pokoju wpadła żona Taglianiego. Zmarła w szpitalu.

- Szkoda baby - pokiwał głową. - Ale nie powiedziałbym, że bardzo mnie zmartwiła wiadomość o tamtych dwóch cwaniaczkach. - Tyle byłoby, jeśli chodzi o wyrazy współczucia. - Skąd wiadomo, że dwóch morderców?

- Dom był na podsłuchu. Szkop ma na taśmie całe wydarzenie, pluskwa była właśnie w pokoju, gdzie się to wydarzyło. Wszystko trwało niecałe pół minuty.

- Niezły wynik. Jesteś w mieście od godziny, a już ci wygarnęli podopiecznego spod nosa.

- Taki los.

- Spluwy i bomba - mruknął. - Wygląda na wojnę domową.

Wyraziłem nadzieję, że to nieprawda.

- Chłopaki cię trochę przeciwczyły? - spytał.

- Jak na to wpadłeś?

- I mnie dostało się trochę na początek. Taki rodzaj otrzęsin. Myślę jednak, że Szkop mnie zwerbował, nie byli więc tacy podejrzliwi, jak z pewnością wobec ciebie. Mają cię po prostu za fedzia, czyli śmierdziela. Nie bierz sobie tego za bardzo do serca; wkrótce im przejdzie.

- Zatem dla nich jesteś jednym z paczki Moreheada?

- Tak.

- Jakie zadanie dostałeś?

- Szkop gania mnie po całym boisku, żeby mi się kości nie zastały.

Tego dnia jeden gość, drugiego inny. Ale w zeszłym tygodniu, po tym jak Mazzola rozpoznał Taglianiego, śledziłem Costella i tego małego kutafo-  
na, Cohena.

- No i co?

- Do cholery, przecież lepiej znasz tę zgrają niż ktokolwiek z nas - powiedział Czerw. A potem dodał z uśmiechem: - Czy ty nigdy nie robisz raportów? Nic nie wiedziałem o Taglianim i Stinetcie, dopóki nie wprowadził mnie Cisco. To znaczy, w kartotece jest sporo drobiazgów o nich, ale żadnego mięsa.

- Tak, wiem. Jestem kiepski w pisaniu raportów. To trochę tak, jak ze Szkopem. Każdy może potem przeczytać.

- A wracając do twego pytania, Costello trzyma się z daleka od reszty.

- Co z Cohenem?

- To samo. Zaszuszone księgowy.

- Nie lekceważ go. Zna więcej sztuczek niż cygańska wróżka.

- Zapamiętam sobie. Widziałeś się z Cisco?

- Rozmawiałem telefonicznie. Mam się z nim zobaczyć na śniadaniu. Może powinieneś też tam pójść?

- Lepiej nie. Jak któryś z chłopaków zobaczy mnie z wami, mogą się zrobić podejrzliwi. Na razie mi ufają i wolałbym, żeby tak pozostało.

- Jak uważasz - powiedziałem.

Podszedł do nas Szkop.

- Ładna robota - pochwalił mnie. - Podobała mi się na koniec ta wstawka od serca. Co porabiałeś? - zwrócił się do Czerwia.

- Nie spuszczałem oka z Costella. Razem z Cohenem spędzili cały dzień na jachcie, rozmawiając o interesach.

- Świetnie. Następnym razem z murowanym alibi. - Obrócił się do mnie: - Rozmawiałeś już z Cisco?

- Tuż przed odprawą. Zaproponował, żebyśmy pracowali w parze z Czerwem. Będą z tym jakieś kłopoty?



- Chyba nie. Mamy dość luźno określone zadania. Trochę cię poprzynoszę od jednej rzeczy do drugiej, żeby chłopakom nie wydało się to podejrzanym, że od samego początku łączę dwóch nowicjuszy. Mogę ci jeszcze coś powiedzieć, czego nie wiesz?

- Ktoś z miejscowych, kogo powinienem poznać? - zapytałem, chyba nie bardzo licząc na to, że otrzymam odpowiedź.

- Chyba Długonosy Graves - odparł Szkop.

- Długonosy Graves? - Przydomek rozśmieszył mnie.

Szkop popatrzył na mnie spod ociężałych powiek.

- To nie jest facet, z którego można się śmiać - stwierdził oschle.

- Och? Kto to taki?

Potań brodę kciukiem.

- Miejscowy bandyta. Bandyta przez duże B. - Spojrzał z ukosa na Czerwia. - Jeśli chodzi o tę dzisiejszą historię, mam nadzieję, że to nie rozbują się tak, jak z Cherrym McGee.

- Cherry McGee? - spytałem. - Czy chodzi o tego z Pittsburgha?

- Cherry McGee, o którym mówię, spoczywa na miejscowym cmentarzu - rzekł Szkop. - Z najlepszymi życzeniami od Długonosiego.

Czerw przyniósł dwie kawy, jedną dla mnie. Była tak mocna, że przepłynęłoby się po niej kanał La Manche.

- Co to za historia z tym Gravesem? Jaką ma ksywę? Długonosy?

- Nie chodzi o dzisiejszy wygląd - zaczął Szkop. - Miał dawniej taki haczykowaty nos, że Durante przy nim wysiadał. W bójce odcięto mu kiedyś koniuszek, ale imię przyłgnęło. Czarny, elegancki, ale nie żaden fircyk, wiesz, o co mi chodzi. Sportowe kurtki, koszula i krawat, lubi szybkie samochody - to jego styl. Na długo przedtem, zanim ja się tutaj znalazłem, Graves kontrolował cały podziemny świat, który był w Dunetown dawnymi czasy. Panienki, lichwa, zakłady. Nie zajmował się twardymi narkotykami, zdaje się nawet, że nie wpuszczał ich do miasta.

- To ci odmieniec - powiedziałem.

- Zasady moralne - zasugerował Czerw.
- Jasne - parsknął Szkop i ciągnął: - Jakieś dwa lata temu pojawił się Charlie McGee w otoczeniu grupki chojraków i postanowił włączyć się do gry. Na początek spróbował zepchnąć Długonosego na bok, kiedy to się nie udało, chciał go wykupić. Też nic z tego nie wyszło. Wtedy spalił jeden z klubów Gravesa, by mu dowieść, że poważnie bierze się do rzeczy. To był błąd.
- Graves ma zawsze odpowiedzi w wielkim stylu - wtrącił się Czerw. - Kiedy McGee porwał się na niego, było to właściwie tak, jakby skoczył z Bay Bridge w przeświadczeniu, że potrafi fruwać.
- Potem jednak McGee zrobił coś nietypowego. Zakapował Gravesa. Wymuszenie. I to podziało: z pięcioletniego wyroku Długonosy odsiedział dwa lata w Małym Q.
- W Małym Q?
- Przestępczy Disneyworld - odpowiedział Czerw. - Najgorsza paka w tym stanie i paru jeszcze innych.
- Kiedy wyszedł, zrobił to z impetem byka wylatującego ze zjeżdżalni - mówił dalej Szkop.
- Udało mu się kontrolować interesy przez czas odsiadki? - spytałem.
- Połowę stracił. Nieobecność kosztuje. Doszło do porachunków. Trzech chłopaków Gravesa padło na ulicy, paru strzelców McGee skończyło w bagnisku.
- Czy to ciągle jeszcze trwa?
- Nie, skończyło się z chwilą, kiedy McGee i jego najlepszemu rewolwerowcowi wypuszczono mózg na bruk, *łam-bam* - i tyle - odparł Szkop.
- Szefie; telefon! - krzyknął Chino z drugiego końca pokoju. - Kite Lange, bulgocze jak wodospad Niagara.
- Przepraszam - rzucił Szkop i ruszył w stronę aparatu.
- A Szczeniak Mufalatta, co to za facet? - spytałem Czerwia.

- Czarny gliniarz z Nowego Orleanu. Bardzo dobry. Mięciutko porusza się po boisku. Zimny obserwator, ale jeśli się go wkurwi, ma się naprzeciwko naprawdę złego Murzyna, ważącego sto pięćdziesiąt funtów.

Okrzyk Szkopa: „*Schmerz!*” słychać było chyba na milę. Zapadła cisza jak w kościele. Potem znowu rozległ się głos Szkopa, podniesiony jak poprzednio, ale tym razem, ku zdumieniu wszystkich, ryknął po angielsku: „Gówno!”

Trzasnęła słuchawka.

- Ktoś rozerwał Johnny'ego Draganatę w jego basenie, w czasie kiedy Lange siedział tuż koło jego domu! - ryknął Morehead.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

- Ej, słuchajcie no! - zagrział Szkop. - Cała banda Taglianiego ma zostać pokryta jak sernik lukrem i to natychmiast. Ja rozejrzę się u Draganaty, Chino jedzie ze mną. I ruszcie się, zanim całe miasto zostanie mzdmuchnięte.

Zawrócił do nas.

- Chcecie jechać z nami?

- Za nic w świecie nie chciałbym tego stracić - odrzekłem.

- W drogę - warknął Szkop i pomknął szybciej niż którykolwiek ze znanych mi dotąd wielkoludów.

## 11. DOM ŚMIERCI NA FLORAL STREET

Ulice wyglądały jak podczas jarmarku w sobotnie popołudnie, a Czerw poczynął sobie jak Joey Chitwood. Przytwierdził niebieskie światło na dachu czarnego firebirda i ruszył, trzymając kierownicę jedną ręką, podczas gdy drugą przypalał papierosy, podstrajał policyjne radio i włączał syrenę, przy

czym papieros nieodmiennie zwieszał mu się z kącika ust. Przechodnie i inne samochody czmychali w popłochu przed zawodzącym pontakiem. Wcisnąłem się w siedzenie, sztywno zapierając się ramionami o deskę rozdzielczą.

- Boisz się? - zapytał Czerw.
- Skądże - zełgałem.

Zjechał z Azalea Boulevard i przyspieszył do siedemdziesiątki. Czulem, jak fotel wysuwa się spode mnie na zakrętach.

Podobała mi się u Czerwia ta postawa kawalerzysty, niemniej prowadził samochód w zupełnie wariacki sposób. Wiedziałem, że musiał być dobrym gliną, inaczej bowiem nie znalazłby się w Fidze. Federalna Grupa Antymafijna, zwana popularnie Figą, istniała od trzech lat, miała zbyt mało personelu, zbyt mało uznania, zbyt mało popleczników, lecz za to dostatecznie wielu uzbrojonych przeciwników. FBI chciało nas wchłonąć, ale jak na razie udało się nam zachować niezależność przede wszystkim z tej racji, że naszym zadaniem było zbieranie informacji, nie zaś bezpośrednia ochrona prawa. Tak przynajmniej wyglądało to od strony urzędowej, choć czasami nie było aż tak proste. Cisco Mazzola, twórca Grupy, był ongiś policjantem patrolującym ulice i przyjmował do siebie tylko ludzi z podobnym doświadczeniem. Z tego, co dotychczas zobaczyłem, Czerw nadawał się znakomicie.

Sprawił wrażenie, że zna miasto jak własną kieszeń. Minął kilka zadrzewionych przecznic i długi ciąg starych domów, kunsztownie przywróconych do dawnej świetności - ich światła rozmyły się w jedną wstęgę.

- Od dawna tu jesteś?
- Parę miesięcy - mruknął nad papierosem drgającym w kąciku warg.
- Aha, to byłeś tu, kiedy odbyło się to widowisko Graves - McGee?
- Skończyło się tuż przed moim przybyciem.
- Znałem w Filadelfii rewolwerowca nazwiskiem McGee, który

pracował w Pittsburghu - powiedziałem, żeby podtrzymać rozmowę - ten jednak miał pseudo Ipswitch.

- Nic mi to nie mówi - odrzekł Czerw. - Zresztą, było już po wszystkim, kiedy się tu zjawiłem. Wiem tylko tyle, ile zasłyszałem z opowiadań.

Kilka skrętów. Kilka przeraźliwych pisków opon. Kilku kolejnych przechodniów umykających spod kół.

- Jaki jest ten Graves? - spytałem.

- Jak mówił Szkop, od lat kręcił całym miastem. Mam wrażenie, że miejscowi stróże prawa nie ruszali go tak długo, jak długo nie wychylał się za bardzo.

- Wykończenie McGee nie było czymś takim?

- Wiesz, nikt chyba tak naprawdę nie miał mu za złe, że załatwił tamtego. Mówiąc szczerze, miejscowi gliniarze odetchnęli.

- Czy to on może stać za morderstwem Taglianiego?

- Nie wykluczałbym tego. Mufalatta ma go na oku. Jeśli ktokolwiek wie coś w tej sprawie, z pewnością będzie to Szczeniak.

Przemknąwszy przez centrum, wjechaliśmy przez most na Skidaway Island, oddzielającą śródmieście od plaż. Deszcz przestał padać, księżyc, korzystając z obecności chmur, bawił się w chowanego. Za mostem zniknął staromiejski czar Dunetown, ustępując miejsca sekwojowym rezydencjom i piętrowym budynkom, które w migotliwym świetle księżycy przypominały szare pudła. W Skidaway było coś sterylne i antyseptycznego. Dwadzieścia lat temu była to dzika, zaniedbana okolica, azyl zwierząt i ptaków. Dziś wydawała się wręcz zatłoczona.

Czerw potraktował Ocean Boulevard jak tor w Indianapolis. Podkręcony silnik gniewnie ryknął pod nami, a wskazówka szybkościomierza skoczyła powyżej stu dwudziestu. Wszystko za oknami zamieniło się w falującą plamę. Po pięciu minutach zmniejszyliśmy szybkość i z czteropasmówki zjechaliśmy w boczną drogę między rezydencjami, które kryły się za gęstym murem starannie przyszczyżonych drzew i krzewów. W ciemnościach trudno byłoby to miejsce odróżnić od tysiąca innych.

- Cisco mówił, że kiedyś tu mieszkałeś - odezwał się Czerw, trzymając papierosa między zębami.

- Spędziłem tu jedno lato, to wszystko - odpowiedziałem, starając się zorientować w okolicy.

- Kiedy?

- Wstyd powiedzieć. Prezydentem był jeszcze Kennedy.

- O kurczę, tak dawno? - mruknął, zdaje się nieco zdziwiony.

- Chodziłem wtedy jeszcze do college'u - wyjaśniłem, trochę się czując jak zabytek.

Pruł serpentyną, ciągle tylko zjedną ręką na kierownicy.

- Odrobinę się chyba zdziwiłeś, ile się tu zmieniło, co?

Zaśmiałem się, choć zdaje się, że bardziej przypominało to gdakanie.

- Jak chcesz, możesz nazwać to zdziwieniem, a przecież nie widziałem jeszcze miasta za dnia.

- No cóż, ja nic nie mogę powiedzieć na ten temat, nie mam żadnego odniesienia.

- To miejsce wyglądało kiedyś jak rezerwat - rzuciłem. - Coś ci to mówi?

Cisnął papierosa za szybę i lekko gwizdnął przez zęby.

- Wątpię, żeby dziś udało się tutaj zobaczyć wróbla. Za wysokie czynsze.

Dał nurka w Highland Drive, nie musnąwszy nawet hamulców i przypalając jednocześnie nowego papierosa. Przyszło mi właśnie do głowy, że zdrowiej będzie chyba przesiąść się do taksówki, gdy naraz zobaczyłem kilka niebiesko-białych wozów, które stały w poprzek ulicy, połyskując niebieskimi i czerwonymi światłami. Zatrzymaliśmy się tuż przed jednym z nich, a za nami pozostała dobra mila roztopionej gumy. Nigdy dotąd dźwięk ziemi pod stopami nie wydawał mi się czymś tak przyjemnym.

Wysiadając z samochodu, poczułem słony zapach wody morskiej.

- Dobrze zamknij - upomniał mnie Czerw. - Jeden sukinsyn ukradł mi kiedyś kapelusz.

- Słyszałem coś o tym - powiedziałem, kiedy zmierzaliśmy w kierunku domu, przykucniętego o jakieś sto jardów od nas pod wysokimi piaszczystymi wzgórkami. Nieoczekiwanych gości serdecznie witał płot pod napięciem.

Dochodziłem z wolna do wniosku, że cała ta zgraja zabijaków, włącznie z Czerwiem, była podobna do Cowboya Lewisa. Żyli najwyraźniej w świętym przekonaniu, że najkrótszą drogą między dwoma punktami jest linia prosta. Zaczynałem się zastanawiać, gdzie w tym wszystkim zmieścić legalne wymogi procesowe. Jeśli w ogóle.

Mignęliśmy legitymacjami facetowi stojącemu w bramie i poszliśmy długą alejką. Szkop był daleko za nami. Rozpoznawałem jego zwalistą sylwetkę w światłach aut patrolowych. Nie przykryte ciało leżało na skraju basenu. Znad zatoki wiał wiatr, gnając po wydmach nad nami zeszlę badyle.

Mężczyzny nie dałoby się rozpoznać. Cokolwiek spowodowało eksplozję, wybuchło mu tuż przed oczyma. Jedno ramię było oderwane. Został wrzucony do basenu albo znajdował się już w nim w momencie, kiedy bomba eksplodowała. Woda miała barwę soku wiśniowego.

Na ceglanej ścianie domu widać było krew i strzępki ciała.

Wszystkie szyby od tej strony wyleciały z okien.

Gdzieś ze środka dobiegało histeryczne kobiece zawodzenie.

- Cóż to za maniak się nam trafił? - odezwał się Szkop spokojnym jak zawsze głosem.

- Kurwa mać, tuż pod moim nosem - parsknął Kite Lang.

Ów nos był, nawiasem mówiąc, niczego sobie. Wyglądał jakby splaszczyl się pod ciosem żelaznej sztaby, a dobywający się przezeń głos sugerował, że Kite albo jest ciężko przeziębiony, albo bardzo lubi sobie powąchać. Co gorsza, ani jedno, ani drugie nie było prawdą. Złamano mu nos tyle razy, że matka najprawdopodobniej zalewała się łzami od nowa za każdym razem, gdy go widziała. Kostki u rąk miał wielkości bermudzkich cebulek.

Pewnie eks-bokser.

Miał na sobie poszarpane dżinsy, pogniecioną i przetartą panterkę nałożoną na gołe ciało, a na nogach buty kowbojskie, które musiały go kosztować najmniej pięćset dolarów. Opaska na głowie służyła tylko do ozdoby - jasnoblonde włosy zostało mu tyle, że śmiało mógł się nimi nie przejmować. Na samym przodzie ust dumnie połyskiwał złoty ząb. Później miałem się dowiedzieć, że był kiedyś zdobywcą Złotych Rękawic w wadze średniej, mistrzem Zachodniego Wybrzeża w surfingu i zanim formalnie wstąpił do policji, przez dziesięć lat polował na facetów zwolnionych za kaucją przez sądy San Francisco.

W strumieniach światła pojawił się Salvatore, węsząc raźnie dookoła.

- Zdaje się, że miałeś pilnować Stizana - mruknął Szkop.

- Co tutaj robisz, do cholery?

- Chciałem tylko rzucić okiem, nie? Gdzie Stizano miałby się teraz włóczyć? To stary pierdoła, a jest już po dziesiątej.

- Chyba nie sądzisz, że cała banda będzie spokojnie siedziała na tyłku w takiej chwili? Ktoś wytrącił im kolejnego króla.

- Wiszą na telefonach - powiedział Salvatore z przekonaniem. - Zachodzą w głowę, co teraz robić. Na pewno nie zamierzają w tej chwili zbiegać się do kupy. O Jezu, spójrzcie tylko na to!

Zaczyznałem już trochę wyczuwać zabijaków Szkopa, to, co czyniło z nich jedną drużynę. Niewątpliwe braki oglady nadrabiali czymś, co wyrozumiale można by nazwać indywidualnością. Zgodnie z prastarą teorią, gliny, które najwięcej mają do czynienia z forszą, najłatwiejsze są do podkupienia. Szkop poszukał sobie samotników zbyt dumnych, żeby wziąć łapówkę, i zbyt twardych, by można ich było przestraszyć. Mogli się prawdopodobnie poszczycić wieloma innymi zaletami, ale jedno na pewno mieli wspólne - byli rzetelni, najpewniej z tej przyczyny, że nawet w głowie im nie powstała inna możliwość.

- Najpierw rozwalilo żonę Taglianiego - odezwał się Lang - teraz o mały włos pacnęliby także wnuka starego.



- To nie wygląda mi na robotę mafii - pokiwał głową Salvatore. - Zabijanie rodziny to nie w ich stylu.

- Może to pomyłka - zasugerował Czerw.

- Pewnie - parsknął Szkop. - Jak Pearl Harbour.

- Bardziej ostrzeżenie - powiedziałem półgłosem.

- Ostrzeżenie? - zapytali jednocześnie Szkop i Lange. Kilka par brwi uniosło się wyżej.

- Tak. Ostrzeżenie, że on, ona czy ono - ktokolwiek to jest - zamierza załatwić cały klan.

- Masz może jeszcze jakieś dobre nowiny? - zapytał z przekąsem Szkop.

- To po co ich ostrzegać? - dopytywał się Lang.

- Tak to się robi - wyjaśnił Salvatore. - Ta główniana sycylijska etyka.

- Mamy już czterech sztywniaków, a nadal jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu - powiedział Szkop. - Panie doktorze, ma pan jakieś przypuszczenia, co to było?

Lekarz policyjny, mężczyzna cienki jak łądoga fasoli i liczący, na oko, ze dwieście lat, pochyłał się nad resztkami Draganaty. Rękawy miał zakasane, a na dłoniach gumowe rękawice, czerwone od krwi. Potrząsnął głową.

- Raczej nie. Może granat?

- Granat? - zdumiał się Czerw.

- Tak - potwierdził lekarz. - Gdzieś stamtąd. Został zrzucony tutaj z tarasu. Widzicie te plamy krwi?

- Słyszałem dwa - powiedział stanowczo Lang.

- Dwa co? - spytał doktor.

- Wybuchy. Byłem niedaleko stąd. Pierwszy przytłumiony, jakby coś wybuchło po wodą. Drugi to już była prawdziwa Hiroszima.

- A, i dzięki temu się zbudziłeś - zadrwił Szkop.

Lekarz, wyraźnie nie przekonany, kręcił głową. - Poczekajmy, aż wszystko obejrzę. Ale układ plam krwi i stan ciała wskazują na pojedynczą eksplozję.

- Słyszałem dwa wybuchy - upierał się Lang.
- Jak długo po sobie? - zapytałem.
- Cholera, nie bardzo. Ja wiem... Raz za razem, *bang, bang*, i już.

Przyszła mi do głowy okropna myśl, ale wolałem zachować ją dla siebie. Sam widok był dostatecznie przerażający.

Dochodzący z wnętrza domu rozpaczliwy skowyt kobiecy nie bardzo podnosił na duchu.

- Wszystkim zajmą się ludzie z Zabójstw - powiedział Szkop. - Mnie interesują wyniki sekcji zwłok. Może jakąś poszlaką będzie rodzaj użytego materiału.

Facetem z Zabójstw okazał się tłuściutki porucznik po czterdziestce, w brązowych spodniach, koszuli w kratkę, ciemnej kurtce i okropnym, kwiecistym krawacie. Na imię miał Lundy. Zbliżył się do nas, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Cześć, Szkop! No i co o tym myślisz? W niezłym gównie będziemy musieli się teraz grzebać, nie?

- Nie wpychaj mi tu kitu, Lundy. Żadni „my”. „Wy”. Zabójstwa to nie moja broszka.

- Sami sobie z tym nie poradzimy - powiedział Lundy z prośbą w głosie.

Szkop pokiwał głową z dwuznacznym uśmiechem.

- Trudno się z tobą nie zgodzić, Lundy.

- Nie uwierzysz, Szkop - odezwał się po chwili tamten - ale dzieciak ledwie, ledwie uniknął tego samego.

Nagle uświadomiłem sobie, że nikt nie znalazł nawet słowa współczucia dla dziadka Draganaty, którego twarz rozniosło po całej ścianie domu. Podzieliłem się swoim spostrzeżeniem z Czerwem.

- A czego byś oczekiwał, salutu z dwudziestu jeden dział?

- Cztery truposze w przeciągu niecałych trzech godzin - znowu zamruzczał Szkop. - Jak tak dalej pójdzie, do rana będę bez pracy.

- Tak, a mnie odstawią do czubków - zawtórował mu Lundy.

Rozejrzałem się dokoła. Basen przylegał do tylnej części domu; nad nim był taras z karuzelą, miniaturową kolejką i trzema stolikami. Za tarasem teren zaczynał się wznosić stromo ku wydmie, której wierzchołek znajdował się jakieś sto jardów od posiadłości.

- Wezmę Czerwia i rozejrzemy się trochę - powiedziałem do Szkopa, a Parverowi poleciłem: - Postaraj się o jakieś światło.

Stokiem nadszedł od strony tarasu młody policjant i oznajmił:

- Tam na górze jest dwóch goryli Draganaty. Zachowuj się tak, jakby to miejsce do nich należało.

- Pogadamy z nimi - powiedział Czerw. - Pożycz mi, bracie, na minutę latarkę.

- Prędnij mi kaktus wyrośnie, niż ci powiedzą, co się stało - burknął ze złością Szkop. - Ten cholerny kodeks makaroniarzy. - Na scenie znowu pojawił się Lundy.

- Chcesz iść z nami? - spytałem Szkopa.

Podniósł wzrok i roześmiał się.

- A po kiego? Zawołajcie mnie, jeśli coś tam znajdziecie.

Zaczęliśmy razem z Czerwem wspinać się ku tarasowi, rozglądając się dokoła. Zbliżył się do nas jeden z ochroniarzy Draganaty. Miał nie więcej niż sześć stóp, cztery, pięć cali i nie ważył nawet dwustu pięćdziesięciu funtów. Jego twarz przestraszyłaby portret Doriany Graya.

Palcem grubości słupa telefonicznego zaczął wiercić dziurę w mojej piersi.

- Własność prywatna - oznajmił.

Spojrzałem mu prosto w oczy, na ile to było możliwe, wzięwszy pod uwagę, że znajdowały się one jakieś cztery cale nad moimi.

- Dźgnij mnie tym paluchem jeszcze raz, a ci go odłamię i dam do zjedzenia - oświadczyłem tonem twardziela.

Goryl popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

- Co ty powiesz?

- Jestem oficerem policji federalnej, a ty zakłócasz ogląd miejsca

przestępstwa. To wykroczenie. A jeśli, misiu, dotkniesz mnie jeszcze raz, będzie to obrazą funkcjonariusza policji, co już stanowi przestępstwo. Tak ci spieszo do pierdła, dupku?

Przez chwilę przestępował z jednej nogi na drugą, starając się przetrawić to, co usłyszał, w tym, co służyło mu za mózg. Kiedy medytował nad moją groźbą, pojawił się drugi goryl.

- Ej, Larry, nie daj sobie wciskać żadnego gówna! - krzyknął już z daleka. Był równie wielki i dokładnie tak samo brzydki.

- Nieźle musieliście tu sobie dzisiaj baraszkujeć, cwaniaczku - powiedziałem. - Jak to jest, kiedy wiesz, że pieprzyłeś się z koleżką, kiedy szefowi rozwalali lepetynę w drobny mak?

Twarz Larry'ego spurpurowiała. Wydał z siebie jakiś dziwny odgłos i zrobił krok w moim kierunku. Zanim jednak zdążył ruszyć ręką, z mojej lewej strony wyskoczyła pięść i trafiła go w nasadę dolnej szczęki. Górna część twarzy pozostała nieruchoma, natomiast dolna podążyła na zachód, wydając trzask podobny do wystrzału. Trudno byłoby rozstrzygnąć, czy jego mina wyrażała ból czy zdziwienie. Potem oczy zaszyły mu mgłą i powoli osunął się na kolana.

Z jego ust wydobył się niewyraźny dźwięk. Brzmiało to jak: - „Arfrobie”.

Czerw potrząsał obok mnie dłonią.

Drugi bandzior zrobił ruch w jego kierunku, ale wyciągnawszy spod ramienia swoją trzydziestkęsemkę, wsadziłem jej lufę tak głęboko w jego lewe nozdrze, na ile pozwalała muszka.

- Nie dosłyszysz, czy co? - zapytałem.

Spojrzał na broń, na mnie i znowu na lufę. Czerw kopnął go z całej siły w klejnoty - nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś kogoś kopnął tak mocno. Upadł na ziemię obok swojego partnera, zacisnąwszy konwulsyjnie szczękę, wskutek czego ryk bólu, wibrujący w krtani, nie wydobył się na zewnątrz. Z oczu rzuciły mu się łzy. Padł na twarz i wymiotował. Drugi potrząsał głową, a szczęka podrygiwała mu bezsensownie.

- Gładolabor - oświadczył.

Przypomniałem sobie przemowę Cisco na temat Czerwia, jaki to on jest młody, nie zmęczony, i jak to powinienem go trochę poduczyć postępowania zgodnego z właściwą procedurą. Nie była to akurat najlepsza okazja po temu. Radził sobie zupełnie dobrze. Schowałem pukawkę i uśmiechnąłem się.

- No cóż - powiedział. - Niezła robota.

- Tak - potwierdziłem. - Może tylko trochę bardziej powinniśmy panować nad sobą.

Przeszukaliśmy razem stok, nie zwracając uwagi na powalone mastodonty.

- Zakłócać ogląd miejsca przestępstwa - powtórzył Czerw. - Gdzie to wyczytałeś?

- Nieźle brzmi - odparłem. - Nie sądzisz?

- Zupełnie jakbym usłyszał prokuratora. Cisco mówił, że byłeś prawnikiem, więc się domyślałem, że znasz się na tych różnych sprawach.

Wszedł na taras i włączył światła. Zagrała muzyka, ale karuzela była zniszczona, przekrzywiona na jedną stronę, jak beret na główce elegancika. Sprawiało to niesamowite wrażenie, dziwaczne, pokiereszowane konie, zakrzepłe w pokracznych wyskokach, bez łbów i nóg, a tuż obok wesoło przygrywająca pozytywka.

- Cisco lubi opowiadać, że byłem prawnikiem, bo jego zdaniem to robi dobre wrażenie - wyjaśniłem. - Nigdy jednak nie praktykowałem.

- Jakżeś w ogóle wpadł w to szambo?

Koński łeb z rozdętymi chrapami i dziko płonącymi oczami leżał u moich stóp. Podniosłem go delikatnie czubkiem buta i uważnie zajrzałem pod spód, jakbym liczył na to, że może znajdę tam coś, co pomoże wpaść na trop zabójcy czy też zabójców.

- Wiesz, miałem takie głupie wyobrażenie, że to zaszczytny zawód.

Zatrząśł się tym swoim szaleńczym śmiechem, oczy w słup, wargi wygięte w dół, a nie w górę. Łatwo to było pomylić z psim warkotem.

- Popatrz, a ja wszystko wiedziałem po pierwszym zetknięciu z prokuratorem. Ni mniej, ni więcej tylko chciał ode mnie fałszywych zeznań.

- A ty co?

- Poradziłem, żeby się odpieprzył. Rzeczy nie poszły tak, jak to sobie ułożył, stąd ta prośba. Wolał przegrać sprawę, niż spojrzeć w oczy faktom.

- Zaraz po dyplomie zgłosiłem się do wielkiej firmy prawniczej w San Francisco - powiedziałem. - Jednej z najbardziej szanowanych w mieście. Stary pracownik, który rozmawiał ze mną, przez ponad godzinę tłumaczył mi, jak działa system podziału honorariów. Adwokaci przeciwnych stron w ogóle się ze sobą nie wykluczają; wymieniają informacje na temat swych klientów i ustalają, na ile uda się ich wydoić. Jak cycuszki są już suche, zawierają ugodę. Kiedy wyszedłem, mało się nie porzygałem. Pochodziłem sobie przez parę minut i zgłosiłem się do policji.

- Wtedy przynajmniej poczułeś się dobrze. - Znowu ten jego wariacki śmiech.

- Ani trochę, jeśli koniecznie już chcesz wiedzieć. Trzy lata naprawie, tylko poto, żeby siedzieć za kółkiem niebiesko-białego patrolowca.

Czerw przysłuchiwał się przez kilka chwil muzyce i wreszcie przekręcił wyłącznik. Spojrzałem w górę na szczyt pagórka.

- Tam - powiedziałem.

Posapując, drapaliśmy się po piaszczystym stoku, aż wreszcie zobaczyliśmy w oddali ocean, połyskujący w księżycowej poświacie.

- Czego szukamy? - zapytał Czerw.

- Byłeś w wojsku - powiedziałem. - Co daje eksplozję przy odpaleniu pocisku, a potem drugą przy jego wybuchu?

- Moździerz.

- Za blisko.

Strzelił palcami. - Granatnik.

- Otóż to - zgodziłem się.

Spojrzelismy w dół. Taras można było dostrzec tylko z samego brzegu wydmy. Po chwili znaleźliśmy miejsce, w którym trawa była wyraźnie przypalona, a obok widniała plama tłuszczu używanego do konserwacji broni.

- To tu - powiedziałem. - Ktokolwiek zabił starego, stąd właśnie posłał łukiem granat na taras. Nie widział nawet Draganaty. Orientował się według jakiegoś punktu w basenie, a pocisk wybuchł staremu przed oczyma.

Omiotłem trawę światłem latarki, szukając śladów stóp.

- Tutaj - rzekł Czerw i pokazał kilka wgłębień, prowadzących w kierunku oceanu. Przyjrzelismy im się dokładniej.

- Chyba platfus - ocenił Czerw. Odciski były płytkie, wielkości małego arbuza. Nie sposób je było zidentyfikować.

Skierowałem snop światła na twarde piasek u stóp wydmy. Była niemal pełnia przyływu, piana lizala podnóże pagórka.

- Cudownie - mruknąłem. - Przyływ zjadł wszystkie ślady na plaży.

- Facet wiedział, co robi - powiedział Czerw. - Strzał na ślepo; czas wybrany idealnie.

- Musiał wszystko zaplanować. Znał miejsce. Wiedział, kiedy jest przyływ. Mając tych dwóch goryli na dole, mógł oddać tylko jeden strzał. Ale ma nerwy, skurwysyn. Nie naróbmy zbyt wielu śladów, może ci z Zabójstw coś jeszcze tu znajdą.

- Jednouchy! - przypomniał Czerw.

- Racja. Trzeba go tu przysłać.

Zeszliśmy na dół, poinformowaliśmy Lundy'ego, co znaleźliśmy na górze i poradziliśmy, żeby posłał tam dwóch ludzi i fotografa.

- Ci dwaj goryle pod tarasem mogą potrzebować lekarza - ostrzegł Czerw. - Będą wciskali różne gówna, więc lepiej zrób raport o obrazie oficera na służbie.

Brwi Lundy'ego wygięły się w zdumieniu.

- Tak, dzięki - mruknął, a w jego głosie usłyszałem nutę lęku.

- Pójdę do środka - oznajmił Czerw. - Zobaczę, może uda mi się złapać Charliego.

Podszedłem do Szkopa, który, oparty o róg domu, dłubał w zębach wykałaczką. Był pod wyraźnym wrażeniem naszych dokonań.

- Wy, chłopaki, szybko potraficie znaleźć sobie pracę - powiedział drwiąco.

Spojrzałem na zegarek. Było po dziesiątej, a żołądek mówił mi, że nie jadłem od południa.

- Muszę poinformować o wszystkim Mazzolę, a potem coś przekażę - oznajmiłem. - A następnie uderzam w kimono.

- Ja także bym coś zjadł - powiedział Czerw, który właśnie się pojawił. - Charlie jest w drodze, niezbyt szczęśliwy z tego powodu. Powiedziałem Lundy'emu, żeby jego ludzie nie łazili po szczycie wydmy, niech ją tylko zabezpieczą.

Następnie wyjął małą wizytówkę.

- Jeśli tylko będziesz mnie potrzebował - powiedział, wręczając mi kartonik - mój numer jest na odwrocie. Mam automat, jeśli odpowiada po czterech dzwonekach, to jestem, tyle, że robię kupę, biorę prysznic albo cokolwiek. Zostaw numer, z reguły po paru minutach oddzwaniam. Jeśli maszyna odpowiada po pierwszym dzwonku, nie ma mnie w domu.

- Spotkajmy się w Feed Mill - odezwał się Szkop. - Jake może pojechać ze mną.

Poczułem głęboką wdzięczność.

Kiedy szliśmy do samochodu, powiedziałem:

- Możemy wziąć tę sprawę razem z wami. Użyty został najprawdopodobniej granatnik, a ponieważ jest to broń prawnie zakazana, sprawa jest federalna.

- O kurczę - westchnął Szkop - czy te kruczki regulaminowe nie są wspaniałe?



## 12. RETROSPEKCJA: DZIENNIK WIETNAMSKI. PRZYBYCIE

### PIERWSZE DZIESIĘĆ DNI:

Na początku byłem nowy i nic więcej. Przez dziesięć dni siedziałem w centrum rekruckim w Cam Ranh Bay, potem pojechałem do kwatery głównej Trzeciego Korpusu, skąd wysłano mnie do Phuoc Binh, gdzie dopiero złapałem swój oddział. Zaledwie pięć tygodni wcześniej skończyłem Szkołę Podoficerów Piechoty, gównem wiedziałem i cały trząsałem się ze strachu.

Kiedy w drodze do Cam Ranh spojrzałem w dół, widok był naprawdę wspaniały, to niebiańskie miejsce aż do chwili, kiedy w cudownie zielonej dżungli zaczynasz wszędzie dostrzegać dziury po moździerzach. Zupełnie jak raj zamieniający się w piekło i w jego ogniu ginący.

W każdym razie, kiedy już byłem w Cam Ranh, czekając na oddział, wałęsałem się z tym plantatorem ziemniaków z Nebraski, który miał pseudo Szpadel, z racji tych ziemniaków i innych rzeczy. Nie bardzo mu się to podobało, ale się nie skarżył. Nie było źle, gdyż obaj byliśmy nowicjuszami, więc przede wszystkim rozmawialiśmy o tym, jak to będzie, gdy już wrócimy do Świata, znaczy do Stanów. Jak tylko przestawał o tym myśleć, zaczynał się strasznie bać. Trzęsły mu się ręce i w ogóle. No i go odesłali z powrotem do kraju Indian. Potem spotkałem tego chłopaka z Wisconsin, krótkoterminowca, z tylko dwoma jeszcze miesiącami przed sobą, który przyjechał z frontu na kilka dni, żeby odwiedzić w szpitalu ранego brata. Spiknęliśmy się w tym, przepraszam za wyrażenie, obwisaczu dup, który nazywają barem. Najpierw spróbowałem nawiązać rozmowę z jednym sierżantem, ten jednak spojrzał tylko na mnie martwymi oczyma, takimi jak grudki węgla, bez śladu emocji, bez niczego. Był jedną wielką bryłą lodu. Mówię do niego: „Hej”, a on spogląda na mnie, wstaje i wychodzi. Właśnie wtedy ten chłopaczek z Wisconsin, który siedział trochę dalej, odzywa się

tym swoim piskliwym głosikiem: „On jest z DROW, wiesz, oni nie przepadają za towarzystwem”. „Co to takiego DROW?” - pytam, a ona na to: „Jezu, bracie, ile ty tu jesteś?” „Niecały tydzień” - odpowiadam, wtedy tamten kiwa głową: „No to, kurczę, wszystko masz jeszcze przed sobą”, ale nie już więcej nie wspomniał o DROW, sam miałem się później dowiedzieć.

W każdym razie przyjechał do miasta z frontu, żeby zobaczyć się z bratem, ale okazało się, że chociaż był tu już od trzech dni, nie zajrzał jeszcze do szpitala. Kiedy zapytałem czemu, odpowiedział: „Mam mojra”. W końcu po paru piwach podprowadziłem go pod szpital, sam czekałem w hallu. Przez cały czas słyszałem zawodzenie jakiegoś faceta, od czego ciarki łąziły mi po grzbiecie. Chciałem po prostu wstać i wyjść, ale to nie byłoby w porządku, siedziałem więc dalej, aż wreszcie zakryłem uszy rękami, żeby nie słyszeć już tego wycia. Kiedy ten z Wisconsin w końcu wrócił, beczał, był w tym, jak to nazywają, stanie hysterii czy czymś takim, więc wyszliśmy i usiedliśmy na zewnątrz szpitala, ale ten chłopaczek był, naprawdę, kompletnie rozpieprzony. Nie pytałem go jednak o nic, bo zaczynałem się już uczyć, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań.

Może w pięć minut później, kiedy kończyliśmy właśnie dymka, nadlatuje ten huey, niemal siada na trawniku, wywalając kilka worków z ciałami, tak po prostu, hop na ziemię i fruuj z powrotem. Nigdy dotąd nie widziałem jeszcze nikogo nieżywego, zaczęło mi się zbierać na mdłości, a ten facecik z Wisconsin siedzi z gałami wlepionymi w torby, więc w końcu powiedziałem: „Zbierajmy się stąd lepiej”, no i poszliśmy do innej knajpki, i zaliczyliśmy jeszcze po parę piw.

Chłopaczek nieźle się upił i w końcu zaczął mówić, ale teraz bardzo szybko, jakby to wszystko chciał z siebie wyrzucić. Szło to jakoś tak: „Bobby mówi do mnie: «O rany, jak ja mam to powiedzieć Arlene (to jego dziewczyna), jak ja jej powiem, że nie mam już jaj», a ja siedzę tuż przy nim i myślę, Chryste, Bob, nie masz także pieprzonych nóg! Kurczę, i co, co

mu powiedzieć, «nie przejmuj się»? Arlene na Boże Narodzenie wyszła za jakiegoś bubka z miejscowej papierni i nawet słowa mu nie napisała. Myślisz, że coś mu powiem? Takich Arlene jest na świecie od groma, ale Bob miał tylko dwie nogi i dwa jaja i nie zostało mu nic!”

A ja siedzę i słucham, bo niby co mam powiedzieć, nie? A w środku zaczyna się we mnie przewracać i tylko myślę, kiedy puszcę pawia. A on wtedy: „Jak tam jest w normalnym świecie? Naprawdę opluwają żołnierzy?” Odpowiedziałem, że nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś pluł na żołnierza, chociaż raz byłem właśnie w mundurze, kiedy przechodziła demonstracja i paru z nich, faktycznie, spluwało na mnie, zupełnie jakby to była moja wina, że muszę jechać do Wietnamu.

Wreszcie odholowałem tego z Wisconsin na jego kwaterę, był całkiem zalany, ale na koniec wybełkotał mi: „Boję się wracać do domu; mam pory pełne strachu tutaj, mam pory pełne strachu przed wracaniem tam, oni mnie, kurczę, zniechęcą za Bobbiego”.

Nigdy go już więcej nie zobaczyłem, teraz jednak wiem, o co mu chodziło, kiedy mówił, że zniechęcą go za to, co się stało z jego bratem. Już po chwili dostajesz takiego kręcka. A potem wpadasz w przekonanie, że cała reszta świata ciebie właśnie obwinia o wszystko, co się tu dzieje.

Jak ten świr z Missisipi, na którego natknąłem się w Czerwonym Krzyżu. Ten był jeszcze gorszy. Mamrotał tak, że jedno słowo zlewało się z drugim, zupełnie jakby nie potrafił dostatecznie szybko wyrzucać ich z piersi, a ciągle gadał o zabijaniu dzieciaków. „Dzieciaków?”, pytam. „Słuchaj”, on na to, ciągle tym swoim głośnym szeptem, „nigdy nie strzelaj do bawołu, dobra? Możesz zabijać kobiety, możesz zabijać gnojów, ale jak zabijesz bawołu, wsadzą cię do pierdła”. Wtedy się roześmiał. Tak, roześmiał. I powiada: „Tutaj nic nie ma sensu. Czasami myślę sobie, cholera, czy my jesteśmy w porządku, czy nie? Ale zapytaj o to oficera, zaraz odeśle cię na oddział psychów. Nie modlę się już, za bardzo mnie męczą te rozmowy z

Bogiem. Mam mu za dużo do powiedzenia”. Nawijał tak chyba przez godzinę, przez cały czas potrząsając głową. I ciągle szeptem.

Kiedy dostałem wreszcie swoje papiery, byłem niemal szczęśliwy, że nareszcie w to wchodzi. Parszywe miejsce. Tutaj, w Cam Ranh, wszystko uderza ci do głowy, bo widzisz tylko, jak ludzie przychodzą i znikają. Każdy trochę stuknięty. Chciałbyś zadać wiele pytań, ale kiedy już po minucie kapujesz, że nikt nie zna żadnej odpowiedzi, to po co się dręczyć?

No, ale w końcu jestem w tym miasteczku nad rzeką, jeśli to w ogóle można nazwać miasteczkiem. Nie minęło pięć minut, zjawia się porucznik, na oko szesnaście lat, rudy i piegowaty, nazwiskiem Carmody, siada, wychyla dwa piwa i powiada: „A teraz dobrze mnie posłuchaj. Jestem tutaj już ósmy miesiąc. Przez ten czas nauczyłem się różnych rzeczy, masz więc robić to, co ci każe, żadnych dyskusji, żadnych pretensji, że tam, za wodą, uczyli was inaczej; będziesz robić to, co ci każe, dzięki mnie wrócisz do domu. Nie będziesz, to góra dwa tygodnie albo jesteś sztywny, albo nie masz czegoś, co wolałbyś mieć”.

Siedziałem jak trusia, tylko słuchałem, Chciałem opanować drzenie, ale naprawdę jestem nerwowo.

„Jest kilka reguł”, ciągnął, „Po pierwsze, cokolwiek by się działo, idziesz za mną. Żółtek zaczyna pukać, wy za mną. Żadnych rozmów, żadnych pokrzykiwań do innych. Kiedy padam, wy także leżycie plackiem. Znajdź sobie jakiś kamyczek, grudkę błota, kałużę, cokolwiek do czego można przypaść. Zejdź im z widoku. Jak kiedyś dostaniesz, żadnego słowa, żadnego ruchu, inaczej po tobie. Po prostu leżysz i czekasz, ktoś cię ściągnie. To ostatnia reguła - nikogo nie zostawiamy w polu. Żywi czy martwi, wracamy wszyscy”.

Byłem tak przerażony, że rozboleł mnie żołądek.

„Wietcong są dobre, cholernie dobre”, mówił dalej. „Nie słuchaj nikogo, kto mówi inaczej, bo wciska ci kit. Zapomnij o tym głównie, którym faszzerowali was w szkole. Mają tu tunele, ciągnące się pod ziemią

całymi milami. Mają tam na dole całe centra dowodzenia, żadne małe jamki, takie że wrzucisz jeden granat i po krzyku. Wyskoczą pięćdziesiąt metrów dalej i dupa mokra. Wpadają skurwysyny do wioski i znikają. Wtedy żadnego strugania bohaterów, spokojnie wzywamy pomoc z powietrza, niech Black Ponies podpalą wszystko. Wtedy wchodzimy. Nasze zadanie to szukać i niszczyć. Nie jest naszym zadaniem szukać i zostać zniszczonym”.

Pamiętam, że myślałem: o Boże, to naprawdę. Już za pięć minut to wszystko może się zacząć naprawdę.

„Jakieś pytania?”, powiedział.

Potrząsnąłem głową.

„No to witaj na wojnie”, uśmiechnął się do mnie.

### 13. TITAN STONEY

Jechaliśmy przez miasto w kierunku urwistego brzegu Dunetown River. Przestało padać, wiał ciepły południowy wiatr i rzeka parowała. We mgle majaczyły stare, ceglane domy, Bóg jeden wie, jak dawno temu zbudowane, których rzędy przywodziły na myśl wartowników strzegących nabrzeża od Front Street i Wstążki. Historia kłębiła się wokół nas we mgle, kiedy wąską, brukowaną uliczką jechaliśmy od Bay Street ku rzece.

Czułem na szyi zimny wiew przeszłości. Skryte w mroku niewidzialne znaki drogowe skrzypiały w podmuchach wiatru. Ciemny kształt statku przesunął się we mgle niecałe dwadzieścia jardów od nas, a oddalające się buczenie syreny wskazywało, którądy zmierza ku oceanowi.

To było Dunetown, które pamiętałem.

Wydawało się, że Doomstown leży gdzieś na Saturnie.

Feed Mill to podłużny, ciasny lokalik na Rover Street, z oknami wychodzącymi na rzekę. Menu było wypisane na zielonej tablicy na końcu, a między nim i drzwiami wejściowymi stało może ze dwadzieścia stolików. Siedzieliśmy blisko wyjścia. Szkop spojrzął przez okulary na ceny.

- Świetne są smażone piersi kurczęcia, tak samo gulasz barani. Również wszystkie jarzyny - mówił, studiując kartę.

Wybrał pierś kurczęcia, trzy rodzaje jarzyn, na przystawkę pieczone ziemniaki i gulasz oraz podwójną porcję puddingu z tapioki. Poczulem zgałę od samego przysłuchiwania się zamówieniu.

Ja i Czerw poprosiliśmy o normalne dania i kawę.

- Myślę, że można wykluczyć Długonosego - powiedział Szkop, rozpoczynając swą ucztę.

- A dlaczego? - zapytałem.

- To nie w jego stylu. Po wyjściu z Małego Q, po tym wymuszeniu, natychmiast skoczył na Cherry'ego McGee i rozwalil go w biały dzień, kiedy tamten wychodził z banku na Bay Street. Dokoła była kupa ludzi, ale nikogo nawet nie drasnął, prócz McGee i jednego z jego goryli. Tutaj przypieprzyli też kobiecie.

- Może niechcący - rzekł Czerw.

- Dlaczego Graves chodzi sobie spokojnie na wolności? - odezwałem się.

- Żadnych dowodów. Dwudziestu ludzi widziało wszystko, a nikt nie potrafił go zidentyfikować na policji.

- Dwudziestu dwóch - sprostował Czerw.

- Miał na twarzy pończochę, a samochód, z którego oddał strzały, skradziono pół godziny wcześniej z parkingu w śródmieściu. Najmniejszego śladu dowodu. Trzeba go było wypuścić. A jak się śmiał, kiedy wychodził.

- A ja nawet jakbym lubił tego Długonosego - powiedział Czerw.

- Za co? - spytałem z niedowierzaniem.

- Nikogo się nie boi. Jeden koleś przeciw całej zgrai.

- Fakt, trzeba mu pogratulować, że jeszcze żyje - wymamrotał Szkop z pełnymi ustami.

- No dobra, ale co z tego wynika dla nas? - rzuciłem.
- Nic, kurwa mać - oznajmił Czerw.
- Powiem ci coś - dodał Szkop. - Jak zaczynam o tym myśleć, dochodzę do wniosku, że mamy z setkę podejrzanych, do których moglibyśmy się zacząć przychrzaniać na podstawie tego, co w tej chwili mamy.
- Zdawało mi się, że zabójstwa to nie twoja broszka - zauważyłem.
- No wiesz, człowiek myśli o różnych rzeczach, chce czy nie chce. Poza tym, my już będziemy zgrzybiałymi dziadkami, jak Lundy i jego chłopcy na coś wreszcie wpadną. Potrzebna mu mapa, żeby wiedział, gdzie ma się podrapać po dupie.
- Mam wyraźne rozkazy - powiedziałem kwaśno. - Cisco oznajmił, że zawisnę wyżej niż Statua Waszyngtona, jeśli będę wsadzał nos w jakieś tam dochodzenia.
- W porządku, ale pomyśleć chyba wolno?
- Do rana możesz eliminować podejrzanych - stwierdziłem. - Masz całą bandę Taglianiego, a przynajmniej to, co z niej zostało. Stizano, Logeto, Bronicata, Chevoss...
- Jeśli jest tutaj - przerwał Szkop.
- Tak, jeśli jest tutaj. Potem masz Lea Costella. To nie tylko zięć Taglianiego, ale również *consigliere* całej rodziny.
- Spokojnie można dołożyć Cohena - podsunął Czerw.
- Ten to się boi własnego cienia - pokręciłem głową, a po chwili dorzuciłem: - Z drugiej strony, gdyby spalił księgi, wszyscy poszliby siedzieć do końca życia. Cholera, jeśli przyjąć, że to rozgrywka rodzinna, to każdy z nich ma motyw.
- Nawet jeśli nie, to i tak dzisiejszej nocy sporo jest podenerwowanych Taglianich.
- Kiedy nie ma już Taglianiego, Stinetta i Draganaty, to właściwie odeszła cała stara gwardia - powiedziałem. - Z wyjątkiem Fryzjera.
- Mogą pomyśleć, że to Długonosy - zasepił się Czerw. - Któryś z gorących szpenioliów Taglianich wywierci dziurkę w jakimś chłopaczku od

Gravesa i mamy trzydniową wojnę jak obszył.

- Jeśli Tagliani nie zaczną strzelać się między sobą.

- Cholera - syknął Czerw. - Kilku strzelców z Filadelfii już pewnie jest w drodze.

- Albo paru Chińczyków do wynajęcia, którzy akurat nie mają nic lepszego do roboty - uzupełnił Szkop.

- O kurczę, to może być ktokolwiek - westchnął Czerw.

- I właśnie dlatego kończę jeść i spływam do domu - oznajmiłem. - Możemy tu siedzieć przez całą noc i łamać sobie głowę, kto strzela do kogo. Niech się wszystko uleży do rana.

Zapłaciliśmy rachunek; Czerw pożegnał się i zniknął. Szkop i ja w czasie trwającej dziesięć minut drogi powrotnej do hotelu nie zamieniliśmy ani słowa.

Czarna limuzyna ciągle była zaparkowana pod markizą hotelu „Ponce”. Wysiadając, zapamiętałem numer rejestracyjny. ST-1.

- Sprawdź, czy są dla mnie jakieś wiadomości, a potem strzelmy sobie w barze po maluszku na sen - powiedziałem Szkopowi.

Dzwonił Cisco, była też hotelowa koperta, zaklejona, z nazwiskiem starannie wykaligrafowanym na froncie.

Zatelefonowałem do szefa, podałem mu najnowsze wieści i obiecałem, że o wszystkim opowiem dokładnie podczas śniadania.

Ruszyłem do baru i wtedy właśnie go zobaczyłem, pierwszą z kilku zjaw z przeszłości. Byłem zmęczony, coraz bardziej wściekły, jeszcze nie gotów, by spojrzeć mu w twarz, ale oto stał w trzyczęściowym, granatowym garniturze i szarym homburgu, oparty na laseczce z kości słoniowej ze złotą główką. Siwe włosy miał starannie przyczesane za uszami, szafirowe oczy skrzyły się dzikim ogniem pod grubymi, srebrzystymi brwiami.

Titan Stoney, szeryf i stwórca królów w Oglethorpe County, Mr Stoney dla wszystkiego, co poruszało się po mieście na dwóch nogach, stał pod markizą, wymachując krótkim, grubym palcem pod nosem wysokiego



kolesia o nieprzyjemnej buzi, odzianego w sztruksową marynarkę i szare flanelowe spodnie. Jedno kiwnięcie tego palca ziściło już lub zniszczyło niejednego polityczny sen. Facet pospiesznym krokiem oddalił się do baru.

Titan odwrócił się i podpierając się laską, podszedł, utykając, w kierunku limuzyny, gdzie stał już przy otwartych drzwiczkach wysoki drab w brązo-czarnym uniformie policji okręgowej. Miał właśnie wsiąść do auta, kiedy zobaczył mnie. Zawahał się przez chwilę. Poznał mnie; w niebieskich oczach zamigotała iskierka, ale już w następnej chwili zacisnął szczęki i wskoczył do samochodu, który natychmiast ruszył.

A w sekundę później zobaczyłem ją.

Cofnąłem się za wielką paproć i patrzyłem poprzez ciężko obwisające liście, zupełnie jak licealista podglądający swoją pierwszą miłość. Nie wiem, jak w ogóle mogło mi przyjść do głowy, że uda mi się jej nie spotkać. Wcześniej czy później musiało to nastąpić. Byłoby lepiej, gdyby doszło do tego później.

Doe Findley ciągle wyglądała jak osiemnastolatka, z długimi, jedwabistymi blond włosami, karmelowobrązową skórą i oczyma szarymi jak zawsze, jak wtedy. Przez głowę przemknęły mi wspomnienia: Doe na nartach wodnych, włosy falujące na wietrze; pędzi przez plażę na chroboczącym wózku golfowym; mocuje się na żarty na pokładzie łodzi z Teddym i spycha go do wody w jego najlepszych spodniach; goni mnie po wielkim trawniku aż nad urwisty brzeg nad zatoką.

Doe oglądająca zachód słońca na Windsong, obraz miękki i kruchy jak u Degasa.

Czas wytrawił wiele obrazów z mej pamięci, te jednak nawet po dwudziestu latach pozostały jasne i wyraziste jak fresk.

Pojawiły się i natychmiast zniknęły.

Rozmawiała z elegancką blondynką; wreszcie roześmiała się, odwróciła i poszła w stronę ciemnoniebieskiego mercedesa, przy którym czekał na nią w otwartych drzwiach wysoki mężczyzna.

Więc to był Harry Raines. Poczulem do niego natychmiastową i głęboką

niechęć; miałem sobie za złe to uczucie, ale cóż mogłem poradzić. Usiłowałem dostrzec jakieś skazy w twarzy szczęściarza, który zagarniał wszystko. Blond włosy przerzedziły się nieco, jak przerzedzają się włosy surfinisty; opaleniznę zamienił na gabinetową bladość, ale był diabło przystojny i roztaczał wokół siebie spokój i czar, jakimi promienieją najpotężniejsi faceci. Harry Raines sukces nosił tak, jak piękna kobieta diamenty. Jeśli miał jakieś braki, to tylko ukryte. Patrzyłem, jak pomaga jej wsiąść do auta, i starałem się zignorować uczucie, które powracało falami jak odbite echo. Piękna, dobrana para. Jak mogłem, starałem się zagnać moje emocje w mroczne zakątki, gdzie drzemały przez tyle lat, ale wszystko na próżno. Kiedy mercedes zniknął w ciemności, uświadomiłem sobie, że drżą mi ręce.

Spokojnie, Kilmer, mówiłem sobie. Wczoraj to wczoraj, a dzisiaj to dzisiaj. Ta elegancka dama pewnie nawet już nie pamięta, jak ci na imię. Poszukałem Szkopa; chciałem wszystko odegnać jak najdalej od siebie.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jedną z nich był Ponce Bar. Pokój wyłożony ciemnym dębem, z kafelkową posadzką, metalową ladą i lampkami Tiffany'ego na stolikach. Lustro za barem z wytrawionymi w szkle rysunkami bieгло przez pół sali. Nic tu się nie zmieniło nawet o jotę; to hotel został dobudowany do baru. Tutaj rodzili się i zapadali w nicosć politycy; tutaj uściskiem ręki finalizowali wielkie transakcje, tutaj obmyślano i szkicowano najbardziej zawile plany. Tu była siedziba budowniczych i burzycieli Dunetown. Od dwustu lat iskrzyło tu od rozpalonych głów tych, którzy walczyli o sukces.

Tylko Findley i Titan byli jakby ponad tym. Nie mając równych sobie pośród innych władców Dunetown, wspólnie zwoływali tutaj narady najgrubszych w całym hrabstwie ryb w biznesie i polityce. To tutaj Chief dał Teddy'emu i mnie jedną z pierwszych lekcji biznesu.

- Tam w kącie - opowiadał nam - po raz ostatni zmierzyłem się z Vikiem Larkinem. Byliśmy właścicielami połowy plaży na Oceanby. Jeszcze nasi

ojcowie byli partnerami, ale nam razem było nie po drodze. Larkin chciał budować na plaży takie cholerne świecidełko dla turystów. Za grosz nie miał smaku, ja wolałem zostawić plażę taką, jak była. Któregoś wieczoru poszło na noże. Pogadaliśmy ostro parę godzin, w końcu mówię: „Do cholery, Victor, sam wiesz, że nigdy się nie zgodzimy. Ciągnijmy karty, kto wyciągnie wyższą, wygrywa i wykupuje drugiego za dolara”. Vick pobladł, ale to był facet z jajami, trzeba mu to przyznać. Mówię do barmana, żeby przyniósł talię, ciągniemy. On dostał szóstkę, ja dziewiątkę. Ta dziewiąteczka dała mi posiadłość o wartości miliona dolarów za jednego zielonca.

- „I ty nazywasz to dobrym biznesem?” - zapytał Teddy.

- „Nazywam to hazardem” - odparł Chief. - ”Na tym, mój chłopcze, polega biznes. To gra hazardzistów”.

Rzuciłem tylko okiem na gości i już wiedziałem, że w elicie Dunetown niewiele pozostało hazardzistów. Nic tu już nie iskrzyło. Nie było żadnego pomruku burzy; normalny gwar pogawędek.

Blondynka, którą widziałem z Doe, rozmawiała teraz w małej grupce. Miała na sobie dokładnie dopasowaną, jasnozieloną, jedwabną suknię i żółty kapelusz z szerokim rondem, spod którego uważnym spojrzeniem omiatała całą salę, niczego nie przepuszczając.

- Blond piękność, na którą tak wytrzeszczasz oczy, to Babs Thomas - odezwał się Szkop. - Piśnij do niej słówko, a za pięć minut będzie o tym wiedziało całe miasto.

- Chodząca kronika towarzyska? - zapytałem.

- Coś w tym stylu. Prowadzi kolumnę w „Ledger” zatytułowaną „Na ucho”. Trafna nazwa. Ilekroć chcesz się dowiedzieć czegokolwiek o arystokracji Dunetown, zwróć się do niej. Wie, czyje buty są pod czym łóżkiem.

Odnutowałem to w pamięci, a potem powiedziałem:

- Przed wejściem widziałem przed chwilą Titana Stoneya.

- Taaak? - mruknął przeciągle Szkop.

- Myślałem, że zdążył już umrzeć.

- Mr Stoney sam powie Panu Bogu, kiedy będzie gotów, i jestem pewien, że Najwyższy będzie musiał jeszcze chwilę poczekać. Dobrze go znasz?

- Znałem go zbyt dawno temu, żeby mogło to mieć teraz jakieś znaczenie - odrzekłem, co nie było w pełni prawdą. Myślę, że Szkop też w to nie uwierzył, był jednak na tyle grzeczny, że nie okazał tego po sobie.

- Także i ja go widziałem, kiedy wychodził z baru - oznajmił Morehead. - Zamieniliśmy parę słów. Dał mi trochę *scheiss*.

- Czego od ciebie chciał?

- Zamknąć całą sprawę.

- Tak po prostu?

- Właśnie, tak po prostu. „Skończ to, zanim Harry coś zwęszy”, powiedział.

- Zanim coś zwęszy! - wykrzyknąłem. - A jak on sobie wyobraża trzymanie Rainesa z daleka? I po co?

- Ma nadzieję, że szybciotko ukręcimy łeb sprawie i Komitet będzie mógł wepchnąć ją pod sukno.

- Jaki znowu Komitet? - zdziwiłem się.

Szkop zawahał się przez chwilę, wpatrzony w szklaneczkę z drinkiem. Potrząsnął nią - kostki lodu zaklekotały cicho - a potem wrzucił ramionami.

- Miejscowe układy - burknął, najwyraźniej nie chcąc dalej ciągnąć tej kwestii.

- Wykręcasz się - powiedziałem.

- Widzisz, dla Rainesa liczą się tylko wyścigi - ciągnął, jakby mnie nie słysząc. - Gazety i telewizja jak szakale rzucają się na każdą krwawą zbrodnię. Pojawienie się tutaj mafii to spełnienie najczarniejszych snów Rainesa. Dla mnie może to skończyć się dymisją.

- Skoro tak mówisz.

Kelnerka przyniosła nam po drinku. Na razie postanowiłem nie zamięzać go pytaniami o Komitet; kto to taki lub co to takiego.

- Powiedz coś o Titanie - poprosiłem.

Znowu potrząsał kostkami lodu.

- Jedyne kłopot z Mr Stoneyem polega na tym, że już tak cholernie długo jest szeryfem. Ponad czterdzieści lat, to straszny szmat czasu.

- Wydaje ci się, że bierze do ręki?

- Nie w tym sensie, jak myślisz. Nic w mieście się nie dzieje bez jego wiedzy. Nie ma takiej szulerni, takiej przewalki pieniężnej, takiej nielegalnej loterii, żeby o niej nie wiedział. Nie ma takiego ułożonego biegu na torze. Zna pseudo i prawdziwe imię każdej kurewki, każdego bukmachera, sprzedawcy narkotyków, złodzieja samochodów. Nikt nie może siedzieć w tym tak długo, wiedzieć tak dużo, żeby się trochę nie skrzywić, kapujesz? Z drugiej strony, to mały, czupurny kogucik, żaden łapówkarz.

Inaczej zapamiętałem Titana. Pamiętałem go, jak w ciepłe letnie popołudnie siedzi z kurtką przerzuconą przez kolana i popija z Chiefem bourbona na werandzie w WINDSONG. Pamiętam, że zawsze zostawiał karabin w wozie, zanim wszedł do domu, i zdejmował kurtkę, z odznaką przypiętą do wewnętrznej kieszeni; był to chyba sposób, za pomocą którego dawał do zrozumienia, że chodzi o przyjacielską rozmowę. Pamiętałem go szczuplejszego i nie tak siwego. Do diabła, pomyślałem, przecież on zbliża się już do osiemdziesiątki. To śmieszne, jak w naszej pamięci ludzie się nie starzeją.

- Zastanawiam się, czy siedział w kieszeni u Taglianiego - powiedziałem.

- Jeśli się skrzywił, to nie w tym kierunku. To nie z nim - odrzekł Szkop.

- Nie potrzeba mu więcej pieniędzy ani władzy. Jest już za stary na pakowanie się w takie gierki. Titan mógłby zostać senatorem, może gubernatorem. Bóg jeden wie, jakie ma możliwości. Ale trochę przypomina faceta, który nie potrafi pływać - nigdy nie skoczy na głowę.

- Może on zabił Taglianiego? - zasugerowałem.

- To nie w jego stylu. Wykurzyć Taglianiego, czemu nie. Ale taka

egzekucja w wielkim stylu to nic dobrego dla Dunetown. I chyba nic nam nie da, jeśli zaczniemy sobie teraz nad tym łamać głowę, co?

Przyznałem, że istotnie niewiele można na razie powiedzieć. Oznajmiłem również, że nie sądzę, by udało się długo utrzymać w sekrecie walki gangów.

- Dzień, może dwa - rzekłem - ale nie dłużej.

- Kiedy Cherry McGee i Długonosy Graves skoczyli sobie do gardeł, prasa wszystko przemilczała - oznajmił Morehead. - Ludzie wiedzą tyle, że oprychy, poległe podczas strzelanin, to rzezimieszki i złodziejaszki, których śmierć włącza się do normalnej, rutynowej statystyki przestępstw.

- Nie mogłeś im czegoś podsunąć? - spytałem. - Czasami to pomaga, kiedy masz prasę po swojej stronie.

Przechylił się przez stół i powiedział:

- Jake, chłopcze, ty jakbyś nic nie pojmował. Oni przecież dobrze o wszystkim wiedzieli. Sami nie chcieli tego nagłaśniać. Tutaj zawsze tak to się załatwiało.

- Jeśli sobie przypominam, szeryf jest ważną osobą w tym stanie - powiedziałem.

- Stoney to ktoś znacznie większy niż „ważna osoba”! Z tego, co słyszę, zapewnił głosy dwóm gubernatorom, z dziesięć senatorów, to hrabstwo przyczyniło się również do wygranej Kennedy'ego w 1960.

- Wielu ludzi ma mu coś do zawdzięczenia - pokiwałem głową.

- Wielu.

- Mógłby pewnie wprowadzić Rainesa do Kongresu.

- Mógłby mu zorganizować dobre widowisko.

- A gdyby w mieście zaczęło teraz stale coś wybuchać, to tu, to tam, szanse Rainesa poleciałyby gwałtownie w dół?

- No cóż, można by to tak ująć. Chociaż Raines to twardy zawodnik. Potrafi się wygrzebać ze skandalu, jeśli tylko nie jest weń bezpośrednio zamieszany.

Teraz ja przechyliłem się przez stół i powiedziałem wolno i wyraźnie:

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogą tego zlekceważyć. Ta sprawa wypiętrzy się wyżej niż Mount Saint Helens.

- Myślę, że Stoney ma rację - rzekł Szkop. - Im szybciej zakończymy sprawę, tym lepiej.

- Dla Rainesa?

- Dla każdego.

- Lubisz Titana? - zapytałem dwuznacznie.

- To antyk - odparł Morehead. - A ja kocham antyki.

## 14. KOMITET

Wyglądało na to, że Szkop najchętniej poszedłby już spać, ale w powietrzu ciągle jeszcze wisiała jedna kwestia. Chciał się wykręcić, a ja nie chciałem pozwolić. Spróbowałem małego wstrząsu.

- Myślisz, że za całą tą sprawą mógłby stać Harry Raines?

Podziałało, zupełnie jakbym mu chlusnął w twarz kubel zimnej wody.

- Staram się uwzględnić wszystkich zawodników - powiedziałem.

- A po cóż to Harry miałby sam sobie przysparzać takich kłopotów? Mówiłem ci, dla niego to spełnienie najczarniejszych snów.

- Może myśli, że uda się załatwić sprawę po cichu, tak jak z Cherrym McGee. Pozbyć się tych bandziorów, a potem wszystko potraktować jako porachunki między złodziejaskami.

- Przesadzasz, bracie. Harry Raines ma tu więcej do stracenia niż ktokolwiek inny.

- Może chce, by wszyscy tak myśleli.
- Mówisz poważnie, czy się zgrywasz?
- Wszystko ma zawsze dwie strony. Najwięcej straci, jeśli rzecz wyjdzie na jaw, najwięcej zyska, jeśli pozbędzie się Trójcy.
- Wiesz, można by pomyśleć, że chciałbyś, żeby tak właśnie było.
- Tylko pytam. Mówilem, staram się uwzględnić wszystkich graczy.
- Tym razem trafiłeś jak kulą w płot - powiedział i popatrzył na mnie wilkiem znad swojej szklanki. Rozejrzał się po barze i znowu zachrobotał kostkami lodu.

Trzeba go było trochę przycisnąć. Byłem pewien, że wie więcej, niż chciał mi powiedzieć.

- Słuchaj - zacząłem - nie mam pretensji o to widowisko przed całym twoim SOS. Wszystko rozumiem i sam sobie dojdę z nimi do ładu. Ale musimy w końcu zacząć sobie ufać. Mam takie uczucie, że gram talią, w której nie ma wszystkich kart, a reszta jest u ciebie.

Nadal bawił się drinkiem. W końcu odezwał się:

- W porządku. Co ci nie pasuje?
- Co to za Komitet, o którym wspomniałeś? Co tu jest grane? Rozejrzyj się dokoła, Szkop. Cała śmietanka Dunetown jest tutaj. Towarzystwo, polityka, forsa. To ich wodopój. Zabawiają się, zupełnie jakby się nic nie zdarzyło. Rozpieprzono trzech głównych gangsterów i kobietę, a tu nikomu nawet nie drgnie brew.

- Nic jeszcze nie wiedzą - odparł. - A miejscowa prasa nie puści pary z gęby tak długo, jak długo im każą.

- Kto?

Westchnął tak, jak tylko wielkolud potrafi westchnąć. Zatrząsał się cały stolik.

- To najpierw ja będę miał parę pytań - powiedział.
- Mój stary zwykł mawiać: „Kiedy mówisz, to nie słuchasz”.
- No proszę. A mój stary mawiał: „Nie nabierzesz wody z pompy, jeśli jej najpierw nie zalejesz”.



Zachichotałem.

- Jesteś starszy ode mnie, Szkop, więc pewnie wygrasz na powiedzonka. Czego chcesz się dowiedzieć?

- Od samego początku odgrywasz ćwieka, zupełnie jakby to była twoja pierwsza wizyta w mieście. To nie ze mną; kapujesz, nie jesteś moim przełożonym i to nie może być ulica jednokierunkowa, musimy grać z ręki do ręki, ja ci coś, ty mi coś.

Nie doceniałem trochę tego wielkoluda. Albo był bardziej spostrzegawczy, niż go o to posądziłem, albo wiedział o mnie o wiele więcej, niż myślałem.

- Daj przykład, o co ci chodzi.

- Przykład? Odniosłem takie przyjemne wrażenie, że sam wiesz wszystko o Chiefie, Titanie i Findleyach.

Nie byłem pewien, czy mogę zaufać komukolwiek. Od czegoś jednak musiałem zacząć. Postanowiłem odrobinę zalać pompę.

- Tylko bez kitu - ostrzegł.

- Bez kitu - zgodziłem się. - Jedno lato mieszkałem u Findleya. To było w 1963 roku. Teddy Findley był moim najlepszym przyjacielem. Razem graliśmy w futbol. Razem byliśmy w Wietnamie. Byłem z nim, kiedy zginął.

- O!

Tylko tyle. Czekał na więcej.

- Nigdy nie widziałem ojca - zginął na Guadalcanal, zanim się urodziłem. Myślę, że Chief mi go zastępował. Co powiedział, to było święte. Można było poczuć jego siłę, gdy tylko wszedł do pokoju. Wraz z nim pojawiała się napięcie. Dzisiaj myślę o tym z mieszanymi uczuciami.

- Tak mi o nim opowiadali. Dziś niewiele już z tej siły pozostało.

- Zdaje się, że teraz to Raines gromadzi ładunek elektryczny.

- Co to ma do rzeczy?

- Bardzo wiele. Jeśli to Raines jest teraz pierwszą osobą w mieście, on będzie zbierał ciężki za wszystko, co się tu dzieje. Wcześniej czy później to na niego spadnie.

- Więc?
- Więc jak może tak chować głowę w piasek?
- Harry Raines to chłopak z tego miasta - zaczął Szkop. - Zaskoczył wszystkich, bo z łobuziaka wyrósł na cwane go biznesmena i twardego polityka. Jego stary był sędzią, którego nikt nie szanował z racji pasji, jakich nie oczekuje się od kapłana sprawiedliwości: kobiety, konie, hazard. Do diaska, umarł na torze w Hialeah, mając pełną garść wygrywających biletów.
- Stąd ta namiętność do wyścigów - mruknąłem.
- Z tego, co słyszałem, odkąd Harry był dostatecznie duży, by samodzielnie siusiać, odwiedzał wszystkie tory w całych Stanach. Grał w futbol na uniwersytecie, był w reprezentacji Vince'a Dooleya, skończył prawo na Harvardzie, wrócił, pracował jako adwokat u Chiefa, poślubił Doe Findley, biorąc w posagu całą władzę w Dunetown, potem wystartował do stanowego senatu i został wybrany, zawdzięczając to w niemalym stopniu Titanowi. Oto w największym skrócie historia Harry'ego Rainesa.
- Niezła fuzja - powiedziałem, nieco dwuznacznie, tonem o wiele bardziej zgryźliwym, niż pragnąłem.
- Szkop uniósł brwi, potem wydał wargi i mruknął:
- Możesz to tak ująć.
- To znaczy, Chief wybrał go na następcę?
- Nie wiem, to było przed moim przybyciem. Nie jesteśmy, mówiąc szczerze, kumplami od kieliszka, Harry i ja. Nie znam zbyt wielu szczegółów.
- W jaki sposób został szefem Komisji Wyścigów?
- Zrzekł się miejsca w senacie i zaczął jeździć po całym stanie, propagując swój pomysł. Głównym argumentem było to, że dzięki torowi będzie więcej pieniędzy na szkoły. Przekazał też kierownictwo Findley's Enterprises swemu przyjacielowi, Samowi Donleavy'emu, żeby nikt nie mógł go oskarżyć o konflikt interesów. Bracie, on nawet nie pozwala, żeby w wyścigach startowały konie Doe. Jake, on jest czysty.
- Tak, wiem, chciałby zostać gubernatorem.

- Może, jeśli te eksplozje nie wysadzą go teraz z siodła.  
- Są jacyś zawistnicy? No wiesz, poślubił piękną dziewczynę i stale się bogaci.

- Pewnie są.

- Ktoś, kto mógłby chcieć go zniszczyć?

- Popatrzył mi twardo w oczy.

- Słuchaj no, kupa ludzi w tym mieście skorzystała na ruchu w interesie i są za to wdzięczni Harry'emu. Jeśli podejrzewasz, że jest niepopularny, przemysł to raz jeszcze. To ulubieniec Dunetown.

- I władca - dorzuciłem.

- Niech będzie i tak.

- A wszystko pod parasolem Chiefa - ciągnąłem.

- Może na początku, ale teraz już nie. Dzisiaj jest na swoim, nie potrzeba mu pomocy zgrzybiałego starca.

- Ale wykorzystuje Titana.

Błąd; wiedziałem o tym, już w chwili, gdy wypowiadałem te słowa. Pozwoliłem, by uczucia zagrały w rozmowie. Szkop potrząsnął głową i zapatrzył się w szklankę.

- Tracisz czas, próbując znaleźć coś w tych układach - odezwał się w końcu. - Raines nie bardziej wykorzystuje Titana, niż Titan jego. Sprawy ułożyły się w ten sposób, że ludzie, którzy rządzą Dunetown, nie muszą już jeździć na Front Street. Mogą sobie pozwolić na zakupy w Atlancie.

- Front Street stała się więc linią frontu - powiedziałem. - Oddali ją bandziorem.

- Mniej więcej.

Teraz ja spojrzałem na niego ostro.

- Co to za Komitet? - zapytałem zaczepnie.

Znowu milczenie. Chciał chyba wyciągnąć więcej ode mnie, zanim sam coś powie, ale go przetrzymałem. W końcu zaczął mówić.

- Przed wycofaniem się ze spraw publicznych Harry zorganizował nieoficjalny Komitet. Pięciu najpotężniejszych ludzi w mieście. Komitet

sam przez się nie ma żadnej władzy. Nie ma żadnej nazwy, żadnego biura, nie mają nawet żadnego stałego miejsca spotkań. Po prostu, starzy przyjaciele, którzy czują się odpowiedzialni za to, co się dzieje w mieście, tak jak dawniej twój przyjaciel Chief i ciągle jeszcze Titan. Tak to się tutaj załatwia.

- No ale coś jednak robią?

- Jeśli dobrze rozumiem, chodziło o to, by przeświecić każdego, kto pojawi się w okolicy z zamiarem zainwestowania najmarniejszego dolara.

- Żeby mieć pewność, że faceci typu Taglianiego nie wsadzą nogi w drzewi, tak?

- Po części. A także po to, żeby trzymać wszystkie męty w pojemniku, aby się nie rozlały.

- I od tego jesteś ty, od trzymania mętów w pojemniku?

- Oczywiście.

- Rozumiem, kupa roboty, żadnych osiągnięć.

- Stokrotne dzięki.

- Daj spokój, nie chodzi mi o ciebie. Namierzenie Taglianiego to nie była twoja broszka.

- Jake, oni są stąd. Nic nie wiedzą o mafii. To dzieciaki we mgle. Właśnie Leadbetter miał mieć oko na przyjeżdżających tu rozrabiaków.

- Co, jak się zdaje, mocno obciąża rodzinę Taglianich odpowiedzialnością za śmierć Leadbettera - powiedziałem. - Może ich nakrył, a oni go zabili, zanim zdążył dać znać komukolwiek.

- Też o tym myślałem. Kiedy zafundowano mu kąpiel, wszystko spadło na moją głowę. Powiem ci tyle, Tagliani podpadł nam wszystkim.

- Kurczę, nie przeboleję tego - prychnąłem. - Straciłem ich z oczu na rok. Ale jak nieoficjalny pięcioosobowy komitet może sterować miastem?

- Bo są najwięksi w mieście, bracie, i starczy. To dla nich ciągle jest miescina. Od czasów, kiedy położono tu pierwsze fundamenty, Dunetown zawsze rządziła garstka ludzi. Oni, ich żony, ich krewni - albo mają, albo

kontrolują wszystko, co warte jest posiadania na tych wysepkach. Oni są władzą polityczną. Oni narzucają reguły towarzyskie. Oni prześwietlają każdego, kto chce tu robić interesy. Bezpośrednio lub pośrednio kontrolują wszystkie duże banki. To cesarstwo rzymskie, Jake. Palec w górę, wchodzisz, palec w dół, wypadasz z gry. Może to się nie podobać tobie czy mnie, ale tak już jest. Nikt nie może obalić takiej władzy,

- Zatem wiedzą, kto jest właścicielem hoteli, przystani, pensjonatów, tak?

- Pewnie tak, choć może większość to podstawieni ludzie. Hotele są w posiadaniu miejscowej spółki.

- Jesteś pewien?

- Wiem to z pierwszych ust.

- Czyich to?

- Sama Donleavy'ego. To prawa ręka Harry'ego, drugi co do ważności człowiek w Dunetown. Jeśli Komitet ma w ogóle jakiegoś szefa, to jest nim Sam.

- A Raines?

- On nie należy. Donleavy jest jego człowiekiem w Komitecie. Konflikt interesów to prawdziwa obsesja Rainesa. Teraz cały czas poświęca wyścigom. Jeśli uzna, że to gra warta świeczki, wparuje do rezydencji gubernatora.

- Kto jeszcze jest w Komitecie?

Pokiwał głową jak stary niedźwiedź.

- Cholera, brachu, tobie ciągle mało, nie? Podlejesz do pompy szklaneckę, a wyciągnąć chciałbyś galon. Coś mi się wydaje, że niezły z ciebie sukinsyn.

- Ktoś mi to już powiedział.

Sterana twarz rozplynęła się w uśmiechu.

- Teraz mówisz prawdę.

- Zawsze. - Odwzajemniłem się uśmiechem.

- Sami prawdomówni. Dobra, pierwszy jest Donleavy. Siedzi tam, w sztruksowej marynarce.

Kiwnął głową w kierunku faceta, którego widziałem gawędzącego z

Titanem. Był to zwalisty mężczyzna o byczym karku i barach, groźących rozdarcie marynarki na pół. Miał trzydzieści parę lat, krótko ostrzyżone włosy i nos splaszczony dobrych parę razy. Dawny futbolista, ocenilem. Zabawiał panie siedzące przy stole, wiele było przy tym chichotów, ale w twarzy miał zacięty wyraz, a w oczach nie dostrzegłem nawet śladu uśmiechu. Wyglądał na faceta, który ma kłopoty i stara się rozerwać. Podzieliłem się ze Szkopem swoim wrażeniem.

- Myślę, że Stoney popędził mu kota - powiedział Morehead. - Sam polecę przed Harrym, a kiedy wypadnie z łask, nie będzie miał oparcia w milionach Findleya.

- Co znaczy, że tobie zaczniesz dobierać się do dupy.

- Nam, kolego.

- OK, nam.

- Już nam się pali pod stopami, nie zapominaj.

- Kto jest jeszcze w Komitecie?

- Charles Seaborn. Jest prezesem sieci Seacost National Bank. To stara forsa. Jego ojciec, który umarł w zeszłym roku, był szefem rady nadzorczej. Dalej mamy Arthura Logana, który zostanie szefem najbardziej szacownej i najlepiej sobie radzącej firmy prawniczej, kiedy za rok czy dwa jego staruszek odejdzie na łono Abrahama lub na emeryturę. Potem Roger Sutter, właściciel Sutter Communications, gazeta i stacja telewizyjna. Mówiąc między nami, większość łąk w całym hrabstwie należy do nich. To potęga.

- No to brak już tylko jednego - stwierdziłem. - Powiedziałeś, że w Komitecie jest pięciu ludzi.

- Zanim ci powiem, mam jeszcze jedno pytanie.

- Dawaj.

- To osobiste pytanie, Jake. Jeśli nie chcesz, możesz powiedzieć, że bym się odpieprzył.

Wiedziałem chyba, co to za pytanie, zanim je zadał.

- Czy dwadzieścia lat temu kochałeś się w Doe Findley?

Zastał mnie przygotowanego. Zaprezentowałem uśmiech radosny jak banknot pięćdziesięciodolarowy.

- Kurczę, Szkop, jestem dokładnie taki jak ty. Zawsze w końcu cauję psa w nos. Kto jest piąty?
- Kto? Kamienny Titan.

## 15. DOE

Dopiłem drinka i powiedziałem dobranoc. W moim pokoju na trzecim piętrze było wielkie okno, pokryta perkalem sofa, przed którą stał niski stolik do kawy, telewizor, podwójne łóżko i sufit tak wysoki, że można by tu puszczać latawce. Tapicerka, tapety, dywan, parapety - wszystko było utrzymane w dwóch kolorach: zieleni i bieli, jakby pokój zaprojektowali fanatyczni członkowie klubu działkowiczów. Wyciągnąłem butelkę amaretto i naląłem sobie na kilka grubych palców.

Czułem się wypalony, w kościach choroba samolotowa. Nie mogłem uwolnić się od obrazów, które utrwaliła moja pamięć tego dnia. Tagliani i Stinetta w trupiarni. Monitor nad żoną Taglianiego, linia gasnąca na moich oczach. Okropna taśma: dwaj mordercy wykonujący swe zadanie. Krwawa tylna ściana domu Draganaty. Widziałem już gorsze rzeczy, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się oglądać czegoś takiego w świecie kultury i oglady.

Potem zajrzałem do koperty, którą odebrałem w recepcji. Staranne, kaligraficzne pismo; rozpoznałem je od razu. Dawny prąd przebiegł przeze mnie od żołądka po gardło.

„Wiem, że jesteś. Będę na przystani w Windsong, jutro wieczorem, o 21:00. Proszę. D.”

Musiała to napisać przed pójściem do restauracji, z której wychodziła, kiedy ją zobaczyłem.

Myślę, że dobre rzeczy w życiu zapamiętujemy zawsze lepszymi, niż rzeczywiście były. Dunetown pozostało dla mnie jak zwolnione, nieostre

ujęcie filmowe. Wszystko było miękkie, połyskujące gwiazdzistymi rozbłyskami i pozbawione ostrych karków. Początek dorosłości i zetknięcie się ze słodyczą istnienia, której zaznałem tylko przez chwilę. Życie na szczytach, bale w country club, odkryte samochody, śmiech i chłodne noce na plaży.

Miasto Obfitości: oto, czym było dla mnie Dunetown.

Dunetown to była również Doe Findley.

Przychodziła z mej przeszłości jak miraż. Przez dwadzieścia lat była mą nadzieją w upiornych snach, czarowną wróżką rozjaśniającą mroczne zakamarki dręczących wizji, jak lampka nocna na końcu długiego, czarnego korytarza.

Ciągle przypominałem sobie tę łódź mieszkalną i Doe; tańczymy mocno wtuleni w siebie w rytm muzyki sączącej się z radia, a nasze ręce pływają między guzikami, zatraskami i suwakami. Nie pamiętam, co to była za melodia, ale tkwiła gdzieś we mnie przez długi czas, zanim nie wymazał jej Wietnam.

Myśl o Doe przenikała mnie jak łyk dobrej brandy. Była wspomnieniem owego straconego lata, ostatniego pełnego zieleni lata, jakie zapamiętałem. A wszystko skończyło się w jesienne niedzielne popołudnie na Sanford Stadium.

To dziwne, ale wraz z Teddym podkpiwaliśmy w Wietnamie z tamtych dni. Tam wykpiwało się wszystko. Pamiętam, jak Teddy kiedyś powiedział: „Wiesz co, Jake, powinniśmy się byli urodzić albo odrobinę wcześniej, albo odrobinę później. Trafiliśmy na okropne czasy. Pomyśl tylko - graliśmy w Buldogach przez trzy najgorsze sezony w całej ich historii. Pamiętasz, cholera, jakie zaliczyliśmy wyniki?” Czy pamiętałem? Pamiętałem jak jasna cholera! „Dziesięć, szesnaście i cztery”, odrzekłem z obrzydzeniem. „No właśnie, a rok po naszym dyplomie przyszedł Dooley i mieli siedem, trzy i jeden. No a teraz jesteśmy tutaj. Kapujesz, o co mi chodzi? O dolar za mało i o dzień za późno - to właśnie my”.

Kiedy nad tym dobrze się zastanowić, może miał rację. Może od



samego początku ciążyło na nas fatum. Tej niedzieli, która odmieniła moje życie, ciągnąłem prawym skrzydłem, Teddy przede mną, i zrobiłem jeden z tych ostrych zwrotów, z których zdążyłem już zasłynąć. Stopa źle jakoś stanęła i usłyszałem trzask w kostce, zanim jeszcze poczułem ból. Zabrzmiało to tak, jakby pękła gałąź. Pamiętam jeszcze tylko nachylającą się twarz trenera, który mówi: „Kurwa mać! No i po obrońcy!”

W szpitalu dostałem list od Chiefa Findleya. „Strasznie mi żal, synu”, pisał. „Zatrzymaj wóz. Pozdrowienia od Doe”. W kopercie były papiery rejestracyjne MG. I ty le. W ten sposób dowiedziałem się, ile jest wart w Dune-town były obrońca z pękniętą kostką. Findley był moim sponsorem. Na uniwersytecie nie mogli nam płacić za granie, zawsze jednak znajdowali się jacyś bogaci absolwenci, którzy od czasu do czasu podrzucili gustowne ubranka, samochód, zaferowali wakacje u siebie w domu. Czasami nawet córkę.

Nie przysłała nawet kartki.

Dwadzieścia lat. Od tej pory nie widziałem jej ani nie dostałem od niej choćby jednej wiadomości, nawet po śmierci Teddy'ego. Potrafię to zrozumieć, potrafię zrozumieć niemożność poradzenia sobie z bólem tego rodzaju. Tak, cholera, wszystko potrafię zrozumieć. Kiedy się kogoś kocha, wybaczają się wszystko.

Powyciągałem ze skóry wszystkie kleszcze, wszystkie oprócz Doe.

Nie potrafiłem wygnać jej ze swych marzeń, z tego, co po nich zostało. Wietnam był dla duszy spustoszeniem. Złe było to, co się tam widziało i robiło, ale jeszcze gorsze było to, co się myślało. Z całą resztą można było sobie w końcu poradzić, ale nigdy nie da się zapomnieć tego, co się stało z duszą. Teddy Findley był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem - był nim od chwili, gdy przyjechałem na studia, aż po ów dzień, w Sajgonie, kiedy na moich rękach wykrwawił się na śmierć. Teddy nigdy nie zrobił żadnego fałszywego kroku. Był nadzieją Chiefa na nieśmiertelność. Plan był znakomity: cztery lata futbolu na uczelni; chłopak

pokazuje, co potrafi, potem prawo gdzieś na północy, by podbarwić jeszcze jego obraz, potem wraca, by przejąć rządy i zachować Dunetown dla Findleyów.

Wszystko pokrzyżował Wietnam. Zamiast w Harvard Law School Teddy wylądował ze mną w Wietnamie; parą świeżo upieczonych poruczników, za wszelką cenę usiłujących nie zwariować i przeżyć.

A potem Teddy nagle nie żył i pamiętam, że w chwili, kiedy to wreszcie do mnie dotarło, pomyślałem: „Jezus Maria, Teddy, jak mogłeś mi to zrobić, jak ja mam teraz powiedzieć o tym Chiefowi i Doe?”

Tak pomyślałem, dobrze pamiętam. Wiele rzeczy wypędziłem z głowy, ale ciągle pamiętam, że kiedy Teddy skołał, nie o nim wcale myślałem, lecz siebie było mi żal. O to mi chodzi, kiedy mówię o Wietnamie i spustoszeniu duszy.

W końcu napisałem, oczywiście list. Napisałem im to, co - byłem o tym przekonany - Chief chciałby tam znaleźć.

Wysłałem im ten załgany list i nigdy nie otrzymałem nań odpowiedzi, nawet potwierdzenia, że dotarł do adresatów.

Staralem się więc, zupełnie autentycznie, zapomnieć. Bohaterzy futbolowi istnieją tylko w promienne jesienne popołudnia, a piękne dziewczyny pozostają młode tylko na zdjęciach spoglądających z ramek.

Z wyjątkiem Doe, która się w ogóle nie zmieniła. Nadal wyglądała tak zdumiewająco i młodo, jak owa dziewczyna, którą była przed dwudziestu laty. Nadal miała długie, złociste włosy. Jedwab. Szczupłe, jędrne ciało. Piersi, za których podrobienie niejedna kobieta oddałaby majątek. Kremowa skóra. I raptem przestała być nieosiągalna. Przestała być wróżką ze snu, mglistą fantazją; była boleśnie rzeczywista jak pęknięta goleń. Jak nagły telefon.

I oto po dwudziestu latach chciała, żebym podreptał na przystań zupełnie jakby nic się nie zdarzyło.

Spotkać się z nią na przystani? Kogo staram się nabrać, przecież wiadomo, że się z nią spotkam. Przyszedłbym na piechotę z Pittsburgha, żeby zobaczyć się z nią na przystani.

Cholera.

Położyłem się do łóżka z książką Donleavy'ego *Meet My Maker, the Mad Molecule*, która, miałem nadzieję, łagodnie mnie uspi. O drugiej obudził mnie telefon. Odłożyłem książkę na stolik i zgasilem światło.

Dwanaście dzwonek, zanim ktoś dał za wygraną.

Kurwa mać, na pewno złe nowiny.

## 16. ZŁE SNY

Tej nocy znowu miałem ten sen. Po raz pierwszy od czterech, pięciu lat. Ostatni raz snił mi się tak dawno, że już o nim zapomniałem. Zaczęło się to rok po powrocie z Wietnamu. Podobno normalne zjawisko. Nazywają to odroczonym szokiem nocnym, czy jakoś w tym rodzaju. Z początku miałem zawsze ten sam, ten właśnie sen. Nigdy nie mogłem przypomnieć sobie całości, tylko kawałki i strzępy. Po jakimś czasie tak do niego przywykłem, że dobrze wiedziałem, iż snię, i przestałem odczuwać go jako udrękę.

Potem to się zmieniło.

Na początku szybuję na lotni nad miastem, może nad Sajgonem, ale nie jestem tego pewien. Nagle zaczynają do mnie strzelać z ziemi. Nie mogę dostrzec strzelców, ale kule przeszycją skrzydła lotni. Potem trafiają już we mnie, ale odskakują, zupełnie jakbym miał kuloodporną skórę. Nie czuję uderzeń, niczego nie czuję, niczego także nie słyszę. To sen bez dźwięku. Teraz pojawia się Teddy. Biegnie po grani i ucieka. Nie wiem, przed czym ucieka, może biegnie po coś. Zaczyna do mnie machać. Próbuję obniżyć lot, żeby go schwycić, ale lotnia nie reaguje. Teraz Teddy zaczyna do mnie

krzyczeć, bezgłośnie. Rozpaczliwie próbuję dotrzeć do niego, wreszcie zsuwam się z siodełka, przechylam się na bok i wypadam. Lecę, ale nie napotykam ziemi, lecę przez pustą przestrzeń.

Wtedy się budzę.

Potem sen zaczął się komplikować, ale przywykłem już do niego i zmiany nie robiły na mnie wrażenia.

Pojawiły się inne lotnie, które chciały mnie staranować. Były czarne, a ludzie w nich mieli na twarzach maski. Przypominało to bieg z przeszkodami po niebie. Dopiero przywykałem do nowej wersji, kiedy ludzie na lotniach zaczęli zdejmować maski. Była pośród nich moja matka. Był nauczyciel z piątej klasy liceum, którego nie widziałem i o którym nie myślałem od piętnastu lat. Był ojciec, którego znałem tylko z fotografii. Był proboszcz z miasteczka w New Jersey, gdzie się urodziłem. W żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska, wszystkim, co pamiętałem, były jego „ciche zbiórki”, co znaczyło, że na tacę padać miały banknoty, a nie monety. Okropnie mnie to złościło. Był także kapitan nazwiskiem Grant, służbista, który dowodził nami w Wietnamie jeszcze jako podporucznik.

Wszyscy darli się na mnie, choć, oczywiście, nie mogłem posłyszeć nawet słowa. Straszliwy, nie kończący się niemy horror.

Kilka lat później, kiedy patrolowałem ulice San Francisco, pracował ze mną pewien chłopak, który także był w Wietnamie. Nazywał się Winfield. Był czarny i chodził na wykłady z psychologii, miał bowiem nadzieję, że pomoże mu to zostać detektywem.

Któregoś wieczoru po zbyt wielu piwach zaczęliśmy rozmawiać o snach. Opowiedziałem mu swój, a on dał mi próbkę tego, co warta jest psychologia na 102: „Jake, wszystkie twoje wartości rozpieprzyły się. Teraz wydaje ci się, że jesteś jedyny. Gówno prawda, wstąp do klubu rozpieprzeńców. Mam na myśli coś takiego: można było postąpić tak, można było inaczej. Z powodu tego kurewstwa masz straszne poczucie winy. Dlatego boisz się zaufać komukolwiek, boisz się, że inni się dowiedzą. Bracie, to

dotknęło nas wszystkich. I teraz musisz zdecydować, co ma dla ciebie sens. Postaw na to i pierdol całą resztę”.

Wiele potem rozmawialiśmy, a sny stawały się tymczasem coraz rzadsze, aż w końcu ustały.

Tej nocy w Mieście Straconym znowu miałem swój sen, tyle że tym razem to nie Teddy biegł po grani.

Uciekającym był Franco Tagliani.

## 17. KSIĄŻKOWA ROZGRYWKA

Palm Room w Ponce Hotel był dużą salą, jasną jak cieplarnia i jak cieplarnia pełną pnączy, paproci i kwiatów w wielkich donicach. Sprzęty i tapety utrzymane były w miękkich odcieniach zieleni, żółci i różu; ścianę, która wychodziła na hotelowy dziedziniec, zajmowały ogromne, sięgające do podłogi okna. Basen, nad którym dawnymi laty wygrzewała się i plotkowała śmietanka Dunetown, zmienił się od tamtych czasów w wielki staw rybny, pokryty dużymi liśćmi lilii wodnych. Choć ciągle jeszcze poniewierało się tutaj kilka starych leżaków, miejsce wyglądało na porzucone, zaniedbane i od dawna nie użytkowane. Wszelako restauracja była zatłoczona, wypełniona wesołym gwarem ożywionych konwersacji.

Następnego ranka pojawiłem się tu parę minut po ósmej, z głową ciężącą jak kamień oraz niemłym posmakiem starej skarpetki i amaretto w ustach. Nałożyłem ciemne okulary i na wpół po omacku zacząłem przemieszczać się wzdłuż sali.

Francisco Mazzola, niezrównany szef Figi, siedział w pobliżu jednego z wielkich okien. Przed jego talerzem piętrzył się stos kilkunastu witaminowych tabletek różnej wielkości i barwy, on zaś kolejno łykał je, popijając

sokiem owocowym. Ucisnął mi dłoń, objął ramieniem i poprowadził do krzesła, a kiedy siadałem, podsunął poranną gazetę.

- Zamówiłem ci śniadanie: sok pomarańczowy, dwanaście grubaśnych naleśników, jedno jajko sadzone, żadnego mięsa. Jestem pewien, że twój organizm potrzebuje odmiany. Dziewczyna właśnie niesie kawę, a ja znajdę dla ciebie trochę wyśmienitych witamin.

- Jeśli zjem to wszystko, wykorkuję - oświadczyłem.

- Musisz odzyskać dawną siłę.

- Witamin wystarczyłoby chyba dla całej restauracji.

- Witaminy wspaniale działają na mózg - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Dla Mazzoli witaminy były tym, czym dla ćpuna amfetaminy. Drugą z jego pasji była beznadziejna walka z włosami. Każdego ranka spędzał ponad godzinę na układaniu kilku ostatnich kosmyków na czaszce łysej jak kolano. Dla równowagi zapuścił sobie brodę, która nadała mu wygląd śródziemnomorski, a jego ciemnobrązowym oczom wyraz bardziej jeszcze onieśmielający rozmówców. Podał mi nad stołem garść pigulek.

- Te dla ciebie - powiedział. - Z Chin. Wspaniałe, zawierają...

- Cisco, nie zmuszaj mnie do witamin, dobra? Mnie najlepiej służy kawa, odrobina gorzalki, od czasu do czasu duży, niedosmażony stek, wino, do tego ziemniaki z gęstym sosem do pieczenia...

Popatrzył na mnie tak, jakby za chwilę miał zwymiotować.

- Nie zmuszaj mnie do witamin ani do czarodziejskich ziółek.

- Po dwóch dniach poczujesz się znacznie lepiej.

- Poczuję się znacznie lepiej, jeśli będę mógł się którejs nocy dobrze wyspać. Byłem na nogach niemal do rana, z powodu nagłego i zdecydowanego odjazdu połowy klanu Taglianiego.

- Zaraz o tym pomówimy - oznajmił i zaczął dziobać w swoim śniadaniu, talerzu zdrowej żywności, która wyglądała, jakby ją przed chwilą wydobyto z dna bagniska.

- Poza tym - dodałem - czytałem gdzieś, że od przedawkowania witamin wypadają włosy.

Spojrzał na mnie z wyraźnym przestraczeniem.

- Gdzie to czytałeś?

- W jakiejś gazecie, w kolumnie porad zdrowotnych. Nadmiar witamin powoduje gnicie cebulek włosowych.

Nie zdołałem jednak zachować powagi i wybuchnąłem śmiechem. Odchylił się i popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma.

- Wypraszam sobie żarty na temat włosów, jasne? Czy ja się nabijam z twojego kolana?

- Kostki.

- A, widzisz, jaki jesteś czuły na tym punkcie?

- Jaki tam czuły. Traf chciał, że mam kiepską kostkę. Wielka mi rzecz, pieprzona kostka, gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj. Jako emerytowany mistrz futbolu żyłbym sobie teraz na Tahiti. Z drugiej strony, zostały ci wszystkiego cztery pasemka włosów, choć muszę przyznać, że z brodą wygląda to trochę lepiej.

- Odepierz się - przerwał. - Opowiedz mi o wszystkim.

Złożyłem mu dokładne sprawozdanie z wydarzeń niedzielnego wieczoru.

- Jesteś specjalistą od Trójcy; co tu się dzieje, u diabła? - spytał.

- Powiem ci raczej, co się tutaj, moim zdaniem nie dzieje. Nie wydaje mi się, żeby to była robota przyjezdnego gangu, ale nie sądzę też, żeby chodziło o wewnętrzne porachunki.

- Interesujący pogląd - oświadczył. - To eliminuje właściwie wszystkich. Więc kto to zrobił, Królowa Śnieżka?

- Nie wiem, czy to interesujący pogląd, w każdym razie logiczny. Ostatnią rzeczą, na której mogłoby zależeć Taglianim, jest zwracanie na siebie uwagi. Cała rodzina wyrwała korzenie w Cincinnati i przemknęła się tutaj. Gdyby chodziło o jakieś waśnie rodzinne, znacznie rozsądniejsze byłoby załatwienie tego jeszcze tam, na miejscu. Poza tym, to nie wygląda na robotę mafii. Salvatore zgadza się ze mną.

- To jakiś ekspert, tak? - wymruczał, spoglądając znad talerza i unosząc brwi.

- Zna ich styl. Do diaska, jak miałby nie znać, skoro jego ojciec był kanonierem LCN w południowej Filadelfii.

- Wiem, wiem. - Powrócił do swoich smakołyków, machnąwszy widelcem w kierunku mojego talerza.

- Mów i jedz, inaczej ci wystygnie.

- Wyjątek należałoby zrobić dla Chevosa lub Nance'a.

Popatrzył ze zdziwieniem.

- Nie wiedziałem, że są tutaj.

- Gdzieś muszą być.

- Aha, znowu zgadujesz.

- To logiczne.

- Ty i twoja logika - parsknął. - Jak zechcesz, wszystko uzasadnisz. Najpierw mi mówisz, że to nie jest wewnętrzna rozróżba, a po chwili, że jednak jest.

- Chevosi i Nance są inni niż reszta.

- Tylko dlatego, że, chcesz, żeby byli inni - powiedział, mierząc we mnie palcem. - Słuchaj, przyjacielu, to sprawa wydziału. Nie przysłałem cię tutaj, żebyś dochodził osobistej zemsty.

- Pokazuję ci tylko różne możliwości. Chevosi jest dostatecznie przewrotny, by się porwać na coś takiego, a Nance wystarczająco szalony, żeby to wykonać... Jeśli kawałki do siebie pasują... - nie dokończyłem zdania.

- Właśnie, „jeśli” - powtórzył z naciskiem.

- W tym wypadku to pewne.

- Dobra, jedź dalej.

- Są powody, aby uznać, że ktokolwiek to jest, spędził jakiś czas w Wietnamie.

- Jakie to powody?

- Broń, odwaga, styl.

- Mhm.

- Nance był w Wietnamie i to w najgorętszym okresie.

- Mhm. Ale byliście także: ty, Czerw i połowa gromadki Moreheada.



Do cholery, ja też byłem w Namie. To wcale jeszcze nie robi z Nance'a mordercy. Niektórzy uznaliby go za bohatera.

- Wojna się skończyła - mruknąłem.
- Wydaje mi się, że robisz z igły widły - powiedział.
- Może - wzruszyłem ramionami.
- Coś jeszcze?
- No więc...

Pochylił się nad stołem i zniżył głos do szeptu.

- Poczekaj, zanim zaczniesz, muszę ci przypomnieć, że nie masz tutaj rozwiązywać żadnych kryminalnych zagadek. Mówiąc między nami, nawet jeśli sprawcą jest Yankee Doodle, zupełnie mnie to nie obchodzi, chyba że ma jakieś znaczenie dla naszej sprawy. Chcę mieć pakiecik dowodów na Tagliameli.

Nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął dalej:

- To było kiedyś miłe, spokojne miasto, atrakcja dla turystów. Teraz rośnie tu Miasto Zepsucia, Rotten City, USA. Chcę wiedzieć, jak głęboko maczał w tym ręce Tagliani. Co zawłaszczył? Kogo podkupił? Jak mu się to udało? Do cholery, nie muszę robić ci wykładu, sam dobrze wiesz, po co jest Figa.

- Jeśli interesuje cię moja opinia - doszedłem w końcu do głosu - to uważam, że te morderstwa wiążą się z naszymi sprawami.

Dźgnął w moim kierunku widelcem.

- Przestań mnie irytować, Jake. I nie psuj mi Czerwia.  
- Zepsuć Czerwia! Chyba żartujesz. I po co te wszystkie historyjki, że jeszcze nie jest zmęczony robotą i różne takie.

- Co o nim myślisz? - zapytał z uśmiechem.

- Urwał się z choinki, podobnie jak reszta tych chuliganów Szkopa - prychnąłem.

- Byłeś taki sam - pokiwał głową. - Chętny do bitki, ostry, samotny wilk. Możecie pomóc sobie nawzajem. Praca ze Szkopem i jego chłopakami wyrobi w was ducha kolektywnego.

- Pamiętaj, że ja już grywałem w drużynie.

- W tej chwili rozgrywasz własną grę - powiedział Cisco.

- Masz tu sporo pomocników. Chcę przyszpilić Trójcę z Cincinnati. Myślę, że tu odchodzi ostre pranie, Jake, i chcę, żebyś przyjrzał się od środka tej pralce. Muszę wiedzieć, jak ona działa. Po to cała ta wycieczka, kapujesz? - Na chwilę zamilkł, a potem dodał: - A chcę się dowiedzieć, dopóki paru z nich jeszcze dycha. Widziałeś poranną gazetę?

Cisco potrafił zmieniać temat w połowie zdania. Kiedy powiedział wszystko, co miał do powiedzenia w jakiejś kwestii, porzucał ją po prostu i przechodził natychmiast do następnego punktu.

Gazeta leżała koło mojego talerza, otwarta na dwunastej stronie. Informacja o zabójstwie Taglianiego, utrzymana w spokojnym tonie, opatrzona była jednokolumnowym nagłówkiem:

#### NAPAD NA DOM TRZY OSOBY ZABITE

Przeczytałem notatkę niejasną, niedokładną i krótką. O policji było powiedziane tyle tylko, że „wkrótce” oczekuje aresztowania winnych.

- Policja oczekuje aresztowań, rozumiem - skomentowałem beznamiętnie tę interesującą wiadomość.

- Czytaj dalej - powiedział Cisco. - Znajdziesz jeszcze lepsze kwiatki.

Tagliani został zidentyfikowany jako Frank Turner, biznesmen z Cincinnati, pasjonujący się wyścigami. Stinettę - w notatce Nata Shermana - nazwano „wspólnikiem od interesów Mr Turnera”. Przypuszczalnym motywem był rabunek, ani słowem nie wspomniano o koktajlu Mołotowa, który morderca rzucił na odchodnym. Notatka informowała, że zdaniem policji Turner i Sherman zaskoczyli włamywaczy i zostali zabici. Zamieszczono też zamazane zdjęcie Taglianiego wsiadającego z żoną do samochodu, najwyraźniej zrobione gdzieś z odległości New Jersey, a potem powiększone do takich rozmiarów, że ziarna obrazu zrobiły się wielkie jak księżyc.

- Żadnej wzmianki o Draganacie - zauważyłem.
- Na osiemnastej stronie - powiedział Cisco, nie odrywając oczu od talerza.

Informacja o Draganacie, nazwanym Johnem Dempseyem, emerytowanym biznesmenem, była jeszcze bardziej zełgana. Miała trzy akapity i według niej stary umarł podczas kąpieli w basenie. Policja nie podejrzewała żadnego przestępstwa.

- No cóż - powiedziałem - policja słusznie oceniła wypadek Dragana-ty. Z całą pewnością zmarł, pływając w basenie.

- Z czego widać, jak tutaj funkcjonuje prasa. Nikt niczego się tu nie dokopuje; faceci drukują to, co im się każe wydrukować.

- Szkop dokładnie to przewidział, a ja mu się roześmiałem w nos.

- Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Warto o tym pamiętać, tutaj wszyscy byli za torem wyścigowym. Prasa, stowarzyszenie biznesmenów, izba handlowa oraz lokalni politycy. Tor wychwalała pod niebiosa nawet komisja edukacji. Nie rozumiesz? Nie chcą niczego, co mogłoby zakłócić wizję spokojnego miasta. Będą więc to chcieli rozegrać tak, by wszystko wyglądało niewinnie: niech ktoś rozwiąże całą sprawę, a wtedy oni opuszczą szczelną zasłonę milczenia. Niech morderca wykpi się czymkolwiek, byle tylko buzia na kłódkę.

- Czyste kurewstwo - powiedziałem.

- Taki jest świat. Dlatego nie chcę, żebyś się grzebał w sprawach jakichkolwiek zabójstw, nie mieszaj się do tego. Masz się tylko dowiedzieć, w jaki sposób gromadka Taglianiego wepchnęła nogę w drzwi i jak daleko się posunęli. Jasne? Nie mieszaj się do lokalnej polityki. Nic tu się nie zmieniło od dwustu lat i mała masakra ma niewielkie znaczenie.

- Te piękne wyspy zgwałcono - powiedziałem z goryczą.

- Może i tak - odparł - ale spójrz wokół siebie. Ci ludzie pociągają wszystkie sznurki. Jeśli mówisz o gwałcie w rajcu, masz tutaj gwałcicieli. To oni robią wielki szmal. Tagliani nie chciał niszczyć Dunetown. Chciał się

przyłączyć do rypania. - Cisco raz jeszcze raptownie zmienił temat. - Jeszcze coś ważnego?

- Słyszałeś taśmę z morderstwa Taglianiego? - zapytałem.

Skinął głową.

- Zauważyłeś to z układaniem gonitw?

Obdarzył mnie spojrzeniem typu: „Masz mnie za głupka?”

- A co? - spytał.

- A to, że skoro Tagliani wiedział o tym, to może i wyścigi wcale nie są czyste.

Brązowe oczy Cisco wwierciły się we mnie.

- To nielegalne nagranie - powiedział z naciskiem. - Najprawdopodobniej któryś z właścicieli chce trochę zarobić na swoim koniku. Chociaż... - Zamilkł na chwilę i zapatrzył się w przestrzeń.

- Chociaż? - ponagliłem.

- Chociaż czemu by nie komisarz, pan Harry Raines? Z powodzeniem mógłby w tym maczać palce. Najlepiej umięśniony, najbardziej sprawny facet w całym mieście.

Bingo! Jak to dobrze poczuć poparcie.

- Kontroluje gry hazardowe w całym stanie - ciągnął Mazzola. - Komisja wyścigowa jest zarazem komisją do spraw hazardu. Tak to zostało urządzone.

- Interesujące.

- Tak. Jeśli chcą czegokolwiek, muszą dogadać się z Harrym Rainesem - albo coś przed nim ukryć.

- Może go kupili - podsunąłem.

- Z tego co wiem, chyba nie, choć, oczywiście, wszystko jest możliwe. Teraz ja się pobawię logiką. Kupili go czy nie, ostatnią rzeczą, na jakiej może komukolwiek tutaj zależeć, jest wojna między gangami. Jeśli Raines siedzi u nich w kieszeni, rozróżba wystawia mu kiepskie świadectwo i podważa jego skuteczność. Jeśli go nie podkupili, to i tak jatki szkodzą wszystkim, włącznie z Trójcą. Wniosek: Rainesowi takie kłopoty potrzebne są jak dziura w moście. On i jego wspólnik, Sam Donleavy, znaleźli się teraz w tarapatach.

- Donleavy był tu wczoraj wieczorem - oznajmiłem. - Rozmawiał z nim Titan i jakoś nie było widać, żeby stary chciał być tylko honorowym szeryfem.

- Oni wszyscy są jacyś strasznie ostrzy - skonkludował Cisco i podsunął mi przez stół rachunek. - Masz, wpisz do swoich kosztów. Muszę się spieszyć na samolot.

Wstał i rzucił na stół zmiętą serwetkę.

- Najwyższy czas, żeby ktoś wrzucił trochę gówna do ponczu, który tu gotują - oznajmił. - Cieszę się, że tu jesteś, nie mógłbym sobie wymarzyć nikogo lepszego. Kończ śniadanie i bierz się do roboty. Zobaczymy się za jakiś tydzień.

I z tymi słowami zniknął.

Nie musiałem wychodzić z restauracji, żeby zabrać się do roboty. Wychodząc, Cisco minął w drzwiach Babs Thomas. Uznałem, że pora już dowiedzieć się, czyje buty stoją w Doomstown pod czym łóżkiem.

## 18. MAŁA POGAWĘDKA, DUŻA FORSA

Thomas była wysoką, ciemną blondynką, starannie uczesaną i z doskonałym manikiurem; miała na sobie wzorzystą, jedwabną suknię z pojedynczym sznurem pereł wokół szyi, która wydawała się wręcz dla nich stworzona. Oprawki jej okularów słonecznych wykonane były z dwudziestoczołkatowego złota. Elegancka dama, tak szykowna jak różowy pudel w brylantowej obroży.

W poprzek swego menu napisałem: „Gangster z Toronto marzyłby o postawieniu pani śniadania” i przywołałem kelnera, by przekazał mą propozycję. Przeczytała i powiedziała coś do kelnera, który wskazał przez salę w moim kierunku; opuściła okulary o cal czy dwa i dokładnie

zlustrowała mnie wzrokiem. Obdarzyłem ją moim pięćdziesięciodolarowym uśmiechem gangstera z Toronto. Po chwili kelner znów był przy mnie.

- Pani Thomas kazała powiedzieć, że byłoby jej miło, gdyby pan się do niej przysiadł. - Dałem mu napiwek, a poszperawszy w kieszeni, znalazłem wizytówkę, która informowała, że jestem dziennikarzem z fikcyjnej gazety na Wybrzeżu Zachodnim. Potem ruszyłem do jej stolika.

Obejrzała mnie uważnie od stóp do głów. Miałem na sobie sztruksowe spodnie, niebieską koszulę, rozpiętą pod szyją, i starą, połataną bluzę. Z pewnością nie był to gangsterski szyk.

- Jeśli pan jest gangsterem z Toronto, ja jestem Lady Dianą - powiedziała dźwięcznym głosem, w którym brzmiał lekki wyrzut - a mam od niej dobre dziesięć lat więcej.

Raczej piętnaście, pomyślałem, ale dobrze zakonspirowane.

- Nie dałbym pani nawet o dzień więcej niż dwadzieścia sześć - zełgałem.

- Chyba znajdziemy wspólny język - powiedziała, wskazując mi miejsce. - Nich pan siada.

Usiadłem i położyłem przed nią wizytówkę. Nazywałem się Wilbur Rasmussen, a pracowałem dla wychodzącej w San Francisco „Gazette” Lasa Andreasa. Przeczytała, prychnęła z lekceważeniem, spojrzała na odwrotną stronę bileciku i odepchnęła go w moim kierunku.

- Phi, strażak na gościnnych występach - podsumowała. - A ja już myślałam, że będzie się do mnie zalecać jakiś dziarski *mafioso*.

- Naprawdę wyglądam na dziarskiego *mafioso*?

- Wygląda pan jak skacowany angielski profesor.

- Ma pani częściowo rację.

- Niech pan spróbuje na klina wódki z sokiem pomarańczowym. Sok da panu poczucie, że robi pan coś pożytecznego dla znużonego organizmu.

- Źle mi się robi na samą myśl o wódce.

- Serce znowu panu żywiej zapika. Czy mogę panu w czymś pomóc? Założę się, że przyjechał pan w związku z tą wczorajszą historią. - Pochyliła się nad stołem i powiedziała cicho: - W mieście mówią o tym wszyscy. - Jednocześnie przywołała kelnera i zamówiła dla mnie klina.

- Serio? - zapytałem zdziwionym głosem.

- To okropne. Telefony rozdzwoniły się dziś rano, zanim pokojówka rozsunęła zasłony w mojej sypialni. Prawie nie znałam tego faceta, Turnera, ale wyglądał na czarującego, starszego pana.

- Czarującego? - Wujaszek Franco prawdopodobnie uśmiechnął się w grobie.

- No wie pan, sponsorował balet i orkiestrę symfoniczną, należał do rady szpitala dziecięcego, a wszystko to robił bez żadnego rozgłosu.

- Żadnych zdjęć, żadnych wywiadów, o to pani chodzi?

- Coś takiego. Czemu pan pyta?

- Z ciekawości. Nigdy nie dowierzam skromnisiom. To nienaturalna postawa.

- Jest pan cynikiem.

- Być może.

- Nigdy nie dowierzam cynikom - odwzajemniła mi się.

- A to dlaczego?

- Cynizm jest zwykle maską ochronną - stwierdziła. - Pod nią najczęściej skrywa się wielka samotność.

- Pani jest miejscowym filozofem? - zapytałem z lekką ironią, chociaż trudno było nie zgodzić się z jej tezą.

- Nie odparła z pewnym smutkiem. - Jestem miejscowym cynikiem, rozpoznaję więc swój gatunek od pierwszego wejrzenia.

- Co więc ćwierkają wróble o całej tej historii? - zapytałem, zmieniając temat.

Znowu opuściła okulary, przypatrując mi się badawczo.

- Że sprawcą jest gangster z Toronto - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Niemożliwe. Musiałbym coś o tym wiedzieć.

- Czym się pan zajmuje?
- Piszę różne kawałki.
- Doprawdy?
- Tak.
- Dużo łgarstw?
- I to się zdarza.
- Plotki towarzyskie?
- Żadna praca nie hańbi.
- Dziękuję.
- Może spróbowałbym pracować dla „Ledgera”? - Kolejna zmiana tematu.
- Po co, na miły Bóg?
- Niewiele wiem o kobiecych strojach, ale kiedy widzę jedwabną suknię, potrafię rozpoznać projektanta. Za to muszą nieźle płacić. Odrzuciła głowę, zanosząc się śmiechem.
- Niezły dowcip. Zna pan jakąś gazetę, gdzie dobrze płacą?
- Kelner przyniósł koktajl. Pociągnąłem porządny łyk i krew rzeczywiście popłynęła żwawiej.
- No cóż, mój biedny mąż umarł młodo, zostawiając mi pewne zabezpieczenie - oznajmiła Babs.
- Nie wydaje się, by bardzo pani oplakiwała jego utratę.
- Był przemiły, ale zapił się niestety na śmierć.
- A czym się zajmował? - dopytywałem się, pociągając drinka.
- Był właścicielem hotelu - powiedziała obojętnym tonem, ale oczy jej rozbliły.
- Jakiego hotelu?
- Tego hotelu.
- „Ponce” należy do pani? - zapytałem z niedowierzaniem.
- W każdym calu. Mówiąc ściśle, jeszcze przed śmiercią Logana najęłam bardzo dobrego faceta z Kalifornii, który zajmuje się wszystkim. Uwielbiam być właścicielką, ale źle mi się robi na myśl o kierowaniu interesem.



- Mieszka pani tutaj?

Skinęła i wskazała oczyma na sufit.

- Sześć pięter wyżej. Pod samym niebem, szanowny panie. Posiadanie hotelu ma swoje dobre strony. Należy też do mnie kawałek plaży na Isle of Sighs, ale rzadko tam bywam, to takie odludne miejsce.

- Ja mieszkam na trzecim piętrze - poinformowałem. - Żadnych dobrych stron.

- Coś nie w porządku w pana pokoju? - zapytała. - Jeśli są jakieś kłopoty, to wie pan, mam swoje chody w kierownictwie.

- Nie, nie, całkiem przyjemny pokój. - Zamówiłem kawę, aby splukać smak wódki.

- A jaki to numer? Każę im wstawić do pana kosz owoców.

- Trzysta szesnaście. Uwielbiam ananasy.

- Nie zapomnę. Właśnie zaczął pan mówić, co pan tutaj robi.

- Tak?

- Mhm.

- Mówiąc prawdę, chciałbym napisać artykuł o społeczności Dunetown. Kto się wzbija, kto bruździ, takie rzeczy.

- Dla „Gazette” z Los Angeles, czy jak tam się nazywa to pana pismo? Założyłbym się o ostatnią koszulę, że świetnie pamiętała tytuł i w ogóle wszystko, co dotąd powiedziałem.

- Tak, takie spojrzenie od kulis.

Znowu wydała przeciągle „mmmhhmmmm”, ale zdaje się, że nawet to nie było szczere. Zapaliła różowego shermana, oparła się wygodnie na krześle i wypuściła dym w kierunku sufitu.

- Dunetown zostało założone w 1733...

- Nie chcę cofać się tak daleko.

- No to czego pan chce, panie Wilbur o jakimś tam nazwisku? Choć ani ono, ani to imię na pewno nie jest prawdziwe.

- Kto wybrałby sobie pseudo Wilbur Rasmussen? - zapytałem.

Znowu spojrzała na mnie nad okularami, ale tym razem bez żadnych komentarzy.

- Słyszałem, że to stare miasto, w którym rządzą stare fortuny.

- Niektóre z nich może pan tu zobaczyć, miły panie.

- Tutaj?

- Niewątpliwie.

- Czy ich właściciele zbierają jakieś nielegalne zyski?

- Kochany, tutaj wszyscy zarabiają nielegalnie. W tym mieście może się pan wzbogacić, jeśli ma pan kartę rowerową. - Westchnęła. - Myślę, że trzeba jeszcze będzie o tym porozmawiać, prawda?

- Wcześniej lub później.

Kelner przyniósł mi kawę, a kiedy dodawałem do niej śmietanki i cukru, wykonała ledwie dostrzegalny gest palcem w kierunku ślicznej, wymuskanej czarnej hostessy, która miała nie więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat. W dwie sekundy później była przy naszym stole.

- Przepraszam - dygnęła. - Telefon do pani, pani Babs.

- Wzywają mnie interesy - powiedziała z udaną, irytacją. - Pozwoli pan, że przeproszę na chwilę?

Obserwowałem ją w lustrach u wejścia do restauracji. Podeszła do telefonu na biurku hostessy i wystukała numer. Pewnie sprawdzała mnie, dzwoniąc do recepcji. Powiedziała kilka słów, odłożyła słuchawkę i powróciła do stolika, ciągle z uśmiechem na twarzy, tym razem jednak odrobinę bardziej chłodnym niż na początku naszej znajomości.

Odwzajemniłem jej uśmiech.

- Jake Kilmer - stwierdziła.

- Zgrabny numer z hostessą. Widziałem w lustrze, jak dzwoni pani do recepcji.

- Tak po prostu? Hm. Ciekawe, ile już ludzi przyłapało mnie na tym.

- Mnóstwo. Tylko że inni byli zbyt grzeczni, by się przyznać.

- Skąd ja znam pana nazwisko?
- Jest dość zwyczajne.
- Hm. I jest pan gliną - powiedziała.
- W pewnym sensie.
- Jak można być gliną „w pewnym sensie”?
- Robię zestawienia statystyczne, studia demograficzne i tego typu rzeczy.
- Jest pan zbyt przystojny, żeby zajmować się czymś tak nudnym.
- Dziękuję. Trudno nie błyszczeć w pani towarzystwie.
- Bezwstydnym komplementarzem.
- Ja? - zapytałem z niedowierzaniem. - Jeszcze nikt nie miał o to do mnie pretensji.
- A kto mówi o pretensjach? - Spojrzała na mnie sponad szkieł szarymi jak deszczowy dzień oczami. Umknąłem wzrokiem.
- No, niech pani powie, kto porusza sprężynami Dunetown.
- Ale uparciuch - westchnęła i wzruszyła ramionami. - Dobrze, ale będzie to pana kosztowało drinka wieczorem.
- Zrobione.

Wiedziała wszystko. Znała każdą chlubę rodu, każdą zakąłę, każdy nadpsuty liść na każdym drzewie genealogicznym. Mówiła o prapradziadkach i prapradziadkach, którzy przybyli tutaj na początku dziewiętnastego stulecia i porobili fortuny na korsarstwie, bawelnie, spekulacji ziemią, a którzy wyrosli na arystokratycznych rozbójników, zwanych przez Babs „hultajami”. Słowo to brzmiało w jej ustach niewinnie, ale oznaczało, jak się zdaje, bezwzględnych facetów, którzy w walce o władzę nie cofali się przed niczym i przed nikim. Opowiadała o rozbójniku irlandzkim, nazwiskiem Larkin, który umknął od stryczka tylko dzięki temu, że najął się na służbę u plantatora tytoniu z Wirginii, a uciekwszy od niego do Dunetown, w piętnaście lat później został pierwszym miejscowym bankierem; o tragarzu portowym z Dublina, Timie Clarke’u, który przyплыł do Dunetown jako majtek, ale skończył życie jako właściciel

stoczni; o irlandzkim górniku, Findleyu, który zabił człowieka w kłótni o zabłąkaną świnię, ale potem zrobił majątek na bawelnie, zdążywszy zamienić swe miliony na ziemię, zanim koniunktura się złamała, i który wyprosił Shermana z płonącego Dunetown, ponieważ był właścicielem większej części miasta i nie chciał, by zgorzało jak Atlanta. Taki był Pradziadek Doe.

Garstka hultajów, Findleyów, Larkinów, Clarke'ów, w drugim pokoleniu obdarzonych imionami takimi jak Colonel, Chief, od dwustu lat ludzi wypowiadających „tak”, „nie” i „być może” w odniesieniu do każdej sprawy dotyczącej miasta. I wreszcie trzecie pokolenie, Bubasów, Chipsów i Juniorów, tak zepsutych przez swych ojców, że stali się tylko rajfurami bardziej zainteresowanymi golfem niż cesarstwem.

Kiedy już zaczęła, trajkotała jak katarynka. Dwudziestominutowy monolog, po którym wiedziałem o każdym dziecku z wrodzonym mongolizmem, o każdej ciemnej damie, która wżeniła się w białą rodzinę, o wszystkich dzieciach z nieprawego łoża i poronionych ciążach, cudzołożnikach i cudzołożnicach, zatajonych samobójstwach, pijakach, pedałach, nienawistkach rodzinnych, o córce bankiera, która była prostytutką w L.A., i o dwóch członkiniach Junior League, które czmychnęły razem, zostawiając dwu stropionych mężów i piątkę dzieci.

Typowe dla małego miasta siedzącego na pieniądzech.

Wybijały się trzy nazwiska: Findley, Clarke i Larkin.

Findleyowie i Larkinowie od lat byli ostrożnymi współnikami.

Clarke'owie byli doradcami: w sprawach politycznych, finansowych i miłosnych.

- Jimmy Clarke strasznie pragnął poślubić Doe Findley - mówiła Babs - ale Chief nawet nie chciał o tym słyszeć. Wybrał dla niej faceta z drugiego rzędu. Żadna dawna fortuna, ale szanowana rodzina. Jego ojciec był adwokatem, a później sędzią.

- Harry Raines? - spytałem. Zabawne, nie mogłem sobie przypomnieć Jimmy'ego Clarke'a, choć coś we mnie drgnęło na dźwięk tego nazwiska.

- Celny strzał - oznajmiła Babs.
- A co z nim?
- A co ma być?
- Z tego, co słyszałem, ożenił się bogato, a jest jeszcze bogatszy.
- No, no, no. - Pokiwała z wyrzutem głową. - Czyżbyśmy zazdrościli?
- Nadstawiam tylko uszu, to wszystko.
- A mówiono panu także, że Harry ma niebawem zostać gubernatorem?
- Wszędzie to słyszę. Dostał już nominację?
- Przystojniaczku, czyżbyśmy zazdrościli?
- A dostał?
- Tak jakby, kochany.
- Tak jakby?
- Bo jest ulubieńcem całego Dunetown. Bo jest urodziwy, bogaty, młody. Bo jest prawnikiem, ożenionym z piękną kobietą, i dawnym gwiazdorem futbolu. Bo jest umiarkowanym politykiem. Bo jest stanowym komisarzem wyścigów konnych. Czy to za mało?
- Zupełnie jakby się urodził na gubernatora.
- A poza tym, Dunetown od dawna marzy o gubernatorze, szczególnie teraz, kiedy miasto tak rozkwitło. Harry doskonale do tego pasuje.
- Nie jest to aby niebezpieczne miejsce?
- Fotel gubernatora?
- Fotel komisarza wyścigów.
- Co to, to nie, drogi chłopcze. Harry przysporzył moc pieniędzy całemu stanowi. I wiele forsy z podatków szkołom.
- Nie dowierzam politykom, którzy rodzą się w kołysce ze złota.
- To nie Harry.
- Wżenił się w pieniądze, czy tak?
- Zna pan Harry'ego? - zapytała, a w jej tonie pojawiła się nieufność. Chyba trochę przeciągnąłem strunę.

- Nie - odparłem. - Staram się jedynie wczuć w całą atmosferę. To facet z wielką siłą przebicia, to jasne. I z ogromną ambicją.

- Czy to coś złego? - zapytała.

- Niekoniecznie. Wszystko zależy od tego, jak wiele jest tej ambicji i jak silny ciąg na bramkę. I jaką cenę chce się zapłacić za sukces.

- Drogi panie dziennikarzu, Harry nie musiał wchodzić w żadne konszachty. Po prostu zgarnął wszystkie nagrody. Najpiękniejszą i najbardziej pożądaną kobietę w mieście oraz polityczne kontakty ojca. Ale nie spoczął na laurach i nie poprzestał na spijaniu pianki, jak cała reszta. Sam zapracował na swoje nazwisko.

- A jaki jest jako człowiek?

Odchyliła się i popatrzyła na mnie podejrzliwie. Za bardzo zacząłem wyglądać na faceta, który szykuje się do przykręcenia imadła, a Babs Thomas nie była z pewnością idiotką.

- W co pan właściwie gra, panie Kilmer? - zapytała przeciągle.

- Mówiłem już, chcę zajrzeć pod podszewkę Dunetown.

- O nie, pan chce zajrzeć pod podszewkę Harry'emu Rainesowi.

- Jest w końcu ważną częścią całego obrazu - powiedziałem, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie.

Nagle zaczęła mówić z podejrzaną nonszalancją.

- Nie musi się kochać człowieka, na którego się głosuje. Jako człowiek wydaje mi się zbyt zimny, ale załatwia tyle rzeczy. Cała reszta stanu ogarnięta jest recesją i tylko Dunetown nieustannie rozkwita. Nie można mieć wszystkiego. Gdyby na dodatek miał jeszcze trochę miłszy charakter, musiałby pewnie sfrunąć z ekranu.

Roześmiałem się, rozbawiony jej wywodem. Pewnie większość wyborców w całym stanie tak patrzyła na Harry'ego Rainesa. Babs Thomas miała w sobie coś z typowej Amerykanki, choć pewnie by mnie zabiła, gdybym jej to powiedział.

- W każdym razie - dorzuciła, podnosząc wyzywająco brodę - ma po swojej stronie szeryfa. A to wystarcza, żeby wygrać wybory.

- Szeryf to ten, jak mu tam, Titan?

- O nie, mój drogi. Żaden „jak-mu-tam-Titan”, lecz Pan Stoney. Jego dłużnikiem jest, zdaje się, także Pan Bóg.

- Titan i Raines są kumplami?

Wręcz przymilałam się o informacje.

- Kiedy syn Chiefa, Teddy, zginął w Wietnamie - powiedziała - Findley również mało nie umarł. W niecały rok później Doe wyszła za Harry'ego. Zaraz potem Chief wycofał się ze sceny.

- Kiedy tylko się upewnił, że klucze do królestwa znalazły się we właściwej kieszeni - bardziej stwierdziłem, niż zapytałem. - A teraz Sam Donleavy prowadzi sklepik dla Rainesa, prawda?

- Tak. To nierozłączni przyjaciele.

Sluchając jej, miałem wrażenie *déjà vu*.

- Czy Donleavy wywodzi się ze starej arystokracji?

- Nie. Pochodzi z prostej rodziny. Z New Joisey - powiedziała z lekkim przekąsem. - *Nouveau riche*. Spodoba się panu.

- Z pewnością - uśmiechnąłem się z przymusem.

- Żartowałam. Chociaż Sam naprawdę stara się być uroczy. Jakiś rok temu żona rzuciła go dla instruktora karate. Sam z początku bardzo to przeżywał, ale doszedł już do siebie. Teraz jest najbardziej rozchwytywanym w mieście wolnym facetem i stara się nie uronić ani minutki szczęścia.

- Czy Raines jest czysty? - zapytałem znienacka.

- Czysty? Chodzi panu o to, czy często się kąpie? Nie żartowała, najwyraźniej mnie nie zrozumiała.

- Skądże; czy oszukuje żonę lub coś takiego?

- Harry? Oszukuje? Niechby spróbował! - Spojrzała ponad moim ramieniem i oczy jej rozblęsyły. - O wilku mowa - szepnęła. - Oto i Doe Findley.

## 19. MAŁY TONY LUKATIS

Niełatwo udawać obojętność, kiedy każdy mięsień ciała napięty jest do ostateczności. Próbowałem zagrać na czas.

- Kto? - spytałem głosem, który wydał mi się o oktawę wyższy niż zwykle.

- Doe Findley - obruszyła się Babs, wskazując oczyma za mnie. - Niech pan się odwróci!

Obróciłem się powoli, ciągle udając, że to ociężałe znudzenie. Doe wychodziła właśnie z małego pokoju konferencyjnego w towarzystwie kilkunastu innych eleganckich kobiet. Miała na sobie brązowe jedwabne spodnie, ciemnozieloną jedwabną bluzkę, blond włosy ściągnięte były w tył i związane w koński ogon czerwoną wstążką.

- Posiedzeniu klubu hippicznego - powiedziała Bab. - Hodowczynie folblutów.

Nie zwracałem jednak na nią uwagi. Przypomniałem sobie ten moment, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Doe. Jej włosy były spięte zupełnie tak samo, tyle że miała wówczas tylko piętnaście lat. Teddy przy wiozł ją do internatu, w którym dzieliliśmy pokój. Miała ciasno opięte białe dzinsy i czerwony sweter; nie bardziej wyglądała na swoje piętnaście lat niż ja na Muhammada Alego. Przedtem widziałem oczywiście jej fotografie, bo Teddy robił wiele szumu wokół zdjęć rodzinnych. Ale wyglądała zupełnie inaczej niż na zdjęciach. Kompletnie. Najwyraźniej zapamiętałem jej absolutnie fenomenalny tyłeczek. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Czulem zażenowanie, ale oczu oderwać nie mogłem. Był jak magnes. Bardzo starałem się patrzeć gdzieś indziej, nic jednak nie pomagało, wzrok sam biegł w tym kierunku. Nagle Teddy wsadził mi łokieć pod żebra.

- Ona ma dopiero piętnaście - syknął.

- O co ci znowu chodzi? - szepnąłem w odpowiedzi.

- Nie wybałuszaj tak gał, Junior. Tknij ją palcem, zanim będzie miała osiemnaście, a rozwałę ci twój interesik.



Była jesień 1960 roku, minęło zaledwie parę tygodni od dnia, gdy poznaliśmy się i zamieszkaliśmy we wspólnym pokoju, dnia, kiedy zaczęła się nasza przyjaźń, która miała przetrwać college. Od pierwszej chwili nazywał mnie: Junior, nie wiem czemu, on nigdy mi tego nie wyjaśnił. W końcu pomyślałem, że to z powodu przewagi wzrostu, jaką miał nade mną; dwa, trzy cale. Nikt poza nim, nawet Doe, nie miał prawa tak mnie nazywać.

Tak czy inaczej, poczekałem, aż skończyła osiemnaście lat.

Dwa i pół roku to szmat czasu. A ona coraz bardziej rozkwitała, z siostrzyczki stając się siostrą, a wreszcie po prostu kobietą, wszystko zaś rozgrywało się na moich oczach. Teddy w niczym nie ułatwił mi sytuacji. Stał się rodzajem gadającego kalendarza, odliczał mi każdy kolejny tydzień.

- No i co ty na to, Junior - mówił. - Zostały już tylko cztery miesiące. - I przez cały ten czas w ogóle nie przyszło mi do głowy, że dałem się złapać w potrzask, gdyż czekanie do chwili, gdy skończy osiemnaście lat, było nie tylko moją, ale i jej sprawą.

- Jake! Jake Kilmer? To naprawdę ty?

Stała tuż obok mnie. Czulem jak ogień rozpala się w dole pleców i biegnie aż do szyi, jak płomień po lonicie laski dynamitu.

Czas był wobec niej bezsilny. Ani jednej zmarszczki. Tylko te same bladoszare oczy wpatrzone we mnie i ciepło jej dłoni w mojej ręce.

Wstałem i powiedziałem coś zupełnie bezsensownego, chyba: „Hej, Doe”.

Zarzuciła mi ręce na szyję, a ja rozpląnąłem się w ciepłe jej ciało, twardości pośladków i miękkości całej reszty. Zalała mnie fala pożądania.

Potem odstała o krok i spojrzała mi w twarz, lekko przechylając głowę.

- Prawie żadnego siwego włosa - oznajmiła. - I każdy miesiąc na swoim miejscu.

- Chcesz w ten sposób powiedzieć, że starzeję się z wdziękiem? - próbowałem zażartować.

- Och, nie - powiedziała cicho - wcale nie. Pięknie wyglądasz. - Znowu wpatrzyła się we mnie, na dwie, trzy sekundy, a potem raptownie przeniosła wzrok na Babs.

- Widzę, że już go usidliłaś - powiedziała żartobliwie, a potem znowu do mnie: - Zadzwoń... proszę. Do domu. Jestem w książce telefonicznej pod D.F. Raines. Chief będzie zachwycony twoją wizytą.

Nie uwierzyłem. Dla Chiefa będę jedynie złym wspomnieniem, zamgloną twarzą z przeszłości, potwierdzeniem śmierci syna. Prawdziwe pytanie brzmiało: „Będziesz dziś w Windsong?”

- Oczywiście - odrzekłem.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam.

Nie odeszła: odfrunęła.

Usiadłem i spojrzałem na Babs, która przyglądała się nam z rozdziawionymi ustami. Doszła wreszcie do siebie i pogroziła mi palcem.

- Ty cholerny cwaniaczku.

- Ma pani mnie na myśli?

- Zna pan Doe Findley aż tak dobrze? - zapytała.

- Aż jak dobrze?

- No, tak dobrze.

- Poznaliśmy się w college'u. Dwadzieścia lat temu.

- Aha, kochasiu. Nie, nie, to nie było spojrzenie typu: „Jak miło cię zobaczyć po tylu latach”. To było spojrzenie typu: „Gdzieś się, u diabła, podziwał przez tych dwadzieścia lat?”

- To tylko szok spowodowany moim widokiem. Znałem jej brata.

- Co mnie obchodzi pańscy koledzy. Mam może stare oczy, ale dobry wzrok. Dwadzieścia lat, tak?

- Czym pani się tak znów zachwyca?

- Kiedy była w panu zakochana? Nie pojechała na Georgia University... była w którymś z tych zasmarkanych college'ów na północy, zaraz, co to było?

Teraz ona była przymilna.

- Vassar - odpowiedziałem. - Niełatwo zapamiętać.

- A, śledził pan ją?

- Wiedziałem przez Teddy'ego.

- No tak, pewnie. I teraz siedzi pan sobie tutaj i pozwala mi paplać o Findleyach, Harrym Rainesie...

- Niech pani da spokój.

- Dać spokój?

- Tak. Nic się za tym nie kryje.

Ale nie zamierzała się poddać. Taksowała mnie zmrużonymi oczyma, odchyłona od stołu.

- Jake Kilmer. To nazwisko powinno mi coś mówić - stwierdziła w zamysleniu.

Zmagała się ze swoją pamięcią, starając się wyłuskać mnie spośród setek dawnych nazwisk i twarzy. Po chwili przypomnienie z wolna rozjaśniło jej twarz.

- Oczywiście - skonstatowała. - Grał pan w Psach.

- Co za pamięć - pochwaliłem, zastanawiając się zarazem, ile jeszcze usłyszę o swych piłkarskich wyczynach. Nikt nie wspominał o nich ani razu przez ostatnie dziesięć lat, a teraz odżywały znowu, ilekroć ktoś się ze mną przywitał. Może odżywały tylko w mojej głowie.

- Graliście razem z Teddym, prawda?

- Przez jakiś czas.

- Ona jest naprawdę szczęśliwa, panie Kilmer.

- A skąd pani wie o tym?

- Ja wiem wszystko, mój drogi. Zapomniał pan już? Ja jestem uchem i okiem tego miasta.

- Mówiła pani, zdawało mi się, że Rainesowie są szczęśliwą rodziną.

- Nic nie mówiłam o szczęściu. Raines poślubił politykę, a Doe nigdy nie przystanie na rolę drugich skrzypiec.

- Ludzie jednak sądzą, że to dobrane małżeństwo.

- Tom Findley nie mógł znaleźć lepszego faceta do tej roboty.

- I w pani jest trochę z dziwki.
- Lubię Doe - powiedziała, ignorując zniewagę. - Jest bardzo uczciwa, choć chyba nie przesadnie błyskotliwa, jak pan sądzi?
- Nie pamiętam. Kiedy byłem w college'u, uważałem, że wszyscy są błyskotliwi, oprócz mnie.
- Wie pan, że miała romans?
- Nachyliłem się ku niej.
- Nic o niej nie słyszałem od śmierci Teddy'ego. Nie mam gorącej linii z Dunetown.
- Naprawdę nie chce pan zapytać, z kim miała romans?
- Nie.
- Z Tony'm Lukatisem.
- Bez żartów. Z małym, starym Tony'm?
- Pan za bardzo wygląda na zblazowanego, żeby być naprawdę zblazowanym. Mnie pan nie oszuka, znam te wszystkie sztuczki. Niech pan posłucha, tutaj do nas przyjeżdżają na występy w hotelach prawdziwe nazwiska. Nieraz z nimi plotkowałam. Wszyscy starają się być zblazowani i nigdy im nie wychodzi, choć próbują przez cały czas. Tony Lukatis, to był naprawdę ekstra facet. Zawodowy gracz w golfa w country clubie, który był prowadzony przez jego ojca.
- Tamto lato pojawiło się w mej pamięci tak nagle, jak wspomnienie roztańczonego balu przywołane przez starą melodię filmową.
- Nick?
- A, pamięta pan.
- Pamiętam Nicka, ale nie mogę sobie przypomnieć Tony'ego.
- Raptownie stanął w moich oczach dzieciak z nieprawdopodobnymi kędziorami, większość czasu spędzający na trawniku golfowym jako podręczny. Tamtego lata musiał mieć szesnaście, siedemnaście lat.
- Oho, błysk w zielonych źrenicach, czyżby jakieś przypomnienie?

- Tak, ale on jest chyba od niej młodszy.  
- Czy to zły układ, mój drogi?  
- Miał chyba siostrę.  
- Dierdre... DeeDee? - podsuwała Babs.  
- Chuderława smarkula, która ciągle kręciła się w pobliżu klubu? - zapytałem.

- Chuderława smarkula? Łatwo zgadnąć, że dawno jej pan nie widział.  
- Co teraz porabia? - usiłowałem udąć zainteresowanie.  
- Jest sekretarką Charliego Seaborna tego od Seacost National Bank.  
- Czy Raines wiedział o ich romansie? - zapytałem, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- W każdym razie nie było tego po nim widać.  
- Jak to się skończyło?  
- Biedny mały Tony. Mówią, że chciał się szybko wzbogacić i wziął się za jakiś szmugiel. Poszedł za kratki na pięć lat, co niemal zabiło DeeDee. Nigdy więcej już o nim nie słyszałam.

Rozmowa niebezpiecznie zaczynała się zbliżać do kwestii drażliwych. Uznałem, że najwyższy czas kończyć.

- Bardzo mi pani pomogła - oświadczyłem, nisko pochylając głowę. - Muszę się zbierać, ale jestem pani winien drinka.

- Lepiej pamiętaj o tym, kochany - odparła przeciągle. - Wie pan, jak się ze mną skontaktować. Jeśli pan zapomni, ja to zrobię.

Wyszedłem z restauracji w poczuciu, że z trudem udało mi się uniknąć niebezpieczeństwa.

Ale los nie był dla mnie aż tak łaskawy.

## 20. ZABAWA W CHOWANEGO

Kiedy opuszczałem restaurację, w hallu hotelowym Czerw krył się za gazetą. Poczęstował mnie szelmowskim uśmiechem, kiedy go dostrzegłem.

- Nieźle, całkiem nieźle - pokiwał głową. - Na śniadanie Doe Findley i Babs Thomas. A już się bałem, że będzie ci dokuczać samotność.

- Sprawy zawodowe, nic więcej - powiedziałem oziębło.

- Jasne - zawołał, podnosząc ręce w obronnym geście - ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

- Założę się, że zajęcia masz dla mnie rozpisane na dziś, minuta po minucie - powiedziałem. - O co chodzi?

- Taka sobie narada wojenna z chłopakami.

- Mówią coś o mnie?

- Myślą - odpowiedział, wychodząc z hotelu ku swemu black maria, zaparkowanemu w strefie przeznaczony dla samochodów dostawczych.

- Może ja pojedę swoim? - podsunąłem. - Na wypadek, gdybyśmy musieli się rozdzielić.

- Nie ma obawy - odrzekł i otworzył przede mną drzwi. - Dzisiaj jestem twoim przewodnikiem. Było losowanie, ja przegrałem.

- Mógłbyś nie przekraczać dziewięćdziesiątki? - spytałem, wsiadając.

- Poniżej dziewięćdziesiątki dostają czkawki - odparł.

- W porządku. Posłuchajmy trochę tej czkawki.

Zawiózł mnie do jasnego, przestronnego lokalu, umieszczonego w szeregowym domku, którego okna wychodziły na rzekę. Miejsce nie przypominało w niczym restauracji, miało się raczej uczucie popijania kawy w jadalni u znajomych. Lokal odległy był o pięć minut od drogi, toteż maria nie miała możliwości rozpędzić się na dobre, za co składałem w tej chwili dzięki losowi. Byłem pewien, że nie będzie mi się układało tak

dobrze przez cały dzień. Przy stoliku na końcu sali siedzieli: Zapata, Salvatore i Flowers.

- Hej, Mildred! - krzyknął Zapata, kiedy zobaczył nas w drzwiach. - Przynieś no jeszcze dwie kawy.

Wszyscy trzej wpatrywali się we mnie uważnie.

- Co się stało, rozpiął mi się rozporek? - zapytałem, siadając.

- Przepraszam - powiedział Jednouchy Charlie. - Nie widzieliśmy cię jeszcze za dnia.

- To, co widzicie, koledzy, to prawdziwa ruina - oznajmiłem. - Dajcie mi parę dni, żebym mógł nabrać opalenizny. Wyglądam dużo lepiej, kiedy się dobrze wysypię i nabiorę trochę kolorków.

- To te jarzeniówki w Magazynie - zażartował Charlie. - W ich świetle każdy wygląda jak widmo.

- Dziękuję w każdym razie - powiedziałem, uśmiechając się do wszystkich - że nie poprzestaliście na pierwszym wejrzaniu.

- Nie ma za co - odrzekł Salvatore.

- Widzisz, Kilmer, zdecydowaliśmy się trochę ci pomóc - oznajmił Zapata. - Na razie, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

- No, no, doprawdy nie wiem, co powiedzieć - stwierdziłem ironicznie.

- Wystarczy „dziękuję” - rzucił Charlie.

- Zatem, dziękuję.

- OK - skwitował całą kwestię Jednouchy. - Za czym konkretnie mamy się rozglądać?

- Interesują mnie powiązania.

- Jakie, na przykład? - nastawał Zapata.

- Na przykład kurewka, której obcasy starły się od wystawiania na Louisville, a która nagle pojawia się tutaj. Jest szansa, że poszła w kurs. Mafia tak je przerzuca z miejsca na miejsce.

- A co z alfonsami? - zapytał Charlie.

- To samo, oczywiście. Może mam któregoś z nich podwiązanego pod jakiś gang w Cincy albo Chicago. Następna rzecz, dla kogo pracuje? Jak się tu dostał? Alfonsi nie krążą zazwyczaj z miasta do miasta. Chodzi mi o to,

że rzadko są to wolni strzelcy. Ruszają się dopiero, kiedy ziemia zaczyna im się palić pod stopami. Zwykle mają jakiegoś bossa, który mówi im, gdzie jechać.

- To dlaczego właśnie Dunetown? - zdziwił się Salvatore.

- Co jest tutaj takiego szczególnego?

- Szczególnie jest to, że mamy tutaj rodzinę Taglianich - wtrącił się Czerw.

- No właśnie - potwierdziłem. - Jeśli uda mi się połączyć to, co tutaj się dzieje, z jakimś innym miejscem, wtedy mamy już sprawę między stanową, a jeśli uda się to połączyć z bandą Taglianiego, mamy drugi atut. Z dowodami w rękę mogę skierować sprawę do Departamentu Sprawiedliwości. Atut numer trzy, ale dalej to już ich sprawa. Całą resztę zostawiam wam. Nie przyjechałem tutaj po medale, jasne?

- W subtelny sposób starasz się nam zasugerować, że chodzi ci o zamiejscowych artystów? - Jednouchy Charlie popatrzył na mnie pytająco.

- Zgoda. Chciałbym też mieć nazwy firm należących do Taglianich. Z jakimi bankami współpracują? Z kim robią interesy? W jakich legalnych przedsiębiorstwach uczestniczą?

- To trochę w bok od tego, co robimy - skrzywił się Zapata.

- Kluczową postacią jest skarbnik, Cohen - oznajmiłem.

- To facet ze wspólną torbą. Jeśli tylko nie zmienił obyczajów, przyjmuje forsy trzy, cztery razy dziennie, nigdy w tym samym miejscu. Nosi ze sobą małą, czarną torbę, podobną do dawnych sakw lekarskich, w której chyba zawsze jest pełno forsy. To brudy, mamona, którą muszą wyprać.

- ZUB - przypomniał Jednouchy.

- Zgadza się - potwierdziłem.

- To forsa zebrana na ulicy, tak? - spytał Czerw, udając naiwniaka. - Hazard, prostytutka, narkotyki, te rzeczy.

Przytaknąłem.

- To dlaczego nie wyrwać torby temu małemu skurwielowi i nie zapuścić do środka żurawia? - zaproponował Zapata.



- Po pierwsze dlatego, że najpewniej eskortuje go trzech lub czterech przyjemniaczków.

- No właśnie - wtrącił szyderczo Charlie. - Poza tym, to niezgodne z prawem. Rabunek. Rok do pięciu, jeśli to pierwsze przestępstwo, co chyba nie odnosi się do ciebie.

Zapata spojrział na niego i wybuchnął śmiechem.

- Tych swoich brudów nie odkładają zwykle na konto - odezwał się Salvatore.

- To prawda - zgodziłem się. - Ale Cohen to sprytny skurwysyn. Mógł sobie coś załatwić w jakimś banku.

- Wchodzą w jakieś lipne spółki? - spytał Zapata.

- Niekoniecznie - wyjaśniłem. - Mogą rozrzucić forszę po kilkunastu kontach, mogą złożyć ją w depozycie, a bank wcale nie musi o tym wiedzieć.

Starąłem się być maksymalnie bezstronny, niemniej nie potrafiłem oprzeć się myśli, czy czasem Charles Seaborn, prezes banku, nie zna osobiście Cohena. A jeśli tak, to czy Sam Donleavy wie o tej znajomości. I czy Raines wie, że Donleavy wie, że Seaborn zna Cohena. Był już najwyższy czas, by zająć się faktami. Bardzo chciałem, żeby Raines i Donleavy siedzieli po uszy w tym gównie, gdyby bowiem rzeczy potoczyły się inaczej i Teddy dalej by żył, to ja byłbym na miejscu Donleavy'ego. Przykro mi było, że tak to odczuwam, ale powrót do Dunetown obudził dawne uczucia, o których myślałem, że są już martwe. Kłamstwa, bóle, urazy były równie dotkliwe jak świeże rany. Poczulem zapach krwi. Po prostu. I co miałem na to poradzić?

- Może warto pogadać z Cowboyem? - głos Salvatore wyrwał mnie z zamyślenia. - On przetrząsał to zielsko przez dobrych parę dni.

- Dobra - zgodziłem się. - Jeśli uzbieramy dowody wystarczające do tego, by wnieść sprawę, może znajdziemy jakiegoś sędziego, który pozwoli nam zajrzeć do ich kont lub zrobić parę nagrań.

- Kite Lang może to załatwić - zapewnił Zapata.

- Jemu chodzi o legalne nagrania, *el retardo* - mruknął Salvatore.
- Na razie mogę wam podsunąć kilka ziarenek - zaproponowałem.
- Jak to? - zdziwił się Zapata.

Postanowiłem wypróbować, czy Jednouchy Charlie jest rzeczywiście tak dobry, jak o nim mówią.

- Po drodze przyuważyłem Eddie'ego Fuereco, Hiszpana - powiedziałem.

- Na pewno na lotnisku - zareagował natychmiast Charlie.

Zapata spojrział na niego z wyraźnym podziwem.

- Tak - potwierdziłem.

- Skąd wiesz, Charlie? - spytał Zapata, który najwyraźniej był pod urokiem jednouchego detektywa.

- I do tego w barze - dodał Flowers.

- Też racja - przyznałem.

- Chryste! - syknął Zapata.

- Stary numer z monetą - oznajmił Jednouchy. - Wykrecał orla i reszkę?

- Trafieś!

- Jaki to numer z monetą? - dopytywał się Zapata.

- Robi znak na podrobionej ćwierćdolarówce, na przykład na reszce, ponieważ jednak biegnie wzdłuż krawędzi, możesz go dostrzec tylko wtedy, kiedy specjalnie go poszukasz - tłumaczył Jednouchy. - Jeleń kręci monetą, Hiszpan nawet jej nie dotyka. Facet niczego nie podejrzewa, gdyż przez cały czas to on ma pieniądze w ręku, a Eddie dzięki oznaczeniu odgaduje, co padnie: orzeł czy reszka. Ma też niebywale zręczne ręce. Jeśli jeleń chce wymienić monetę, Hiszpan zawsze ma w pogotowiu następną.

- O kurczę! - pokiwał głową Zapata, a jego szacunek wyraźnie rósł.

- Bardzo dobry zawodnik - powiedział Charlie. - Jeśli przydarzy się naprawdę dobry wieczór, potrafi zarobić na nowy samochód.

- Ale skąd wiedziałeś, że był na lotnisku?
- Kiedy jeleń staje się podejrzliwy - cierpliwie wyjaśniał Charlie - Fuereco zamienia monetę na normalną i przez kilka rundek traci pieniądze frajera, a potem nagle musi iść, bo ma samolot. Dlatego lubi lotniska. Dobra wymówka, by zakończyć grę.
- Niech cię diabli - nie mógł się nadziwić Zapata. Popatrzył na mnie. - Charlie zna każdego śmierdziela w tym interesie - powiedział z niewątpliwą dumą.
- Tylko najwybitniejszych - sprostował skromnie Jednouchy. - Hiszpana znam tylko ze słyszenia. Z chęcią zagrałbym z nim kilka kolejek, zanim założyłbym mu kajdanki.
- Zgrywasz się - zachnął się Zapata. - Przecież moneta jest znaczona.
- Także i ja mam trochę talentu w palcach - oznajmił chępliwie Charlie. - Oznaczyłbym dwie monety i podmieniałbym je na zmianę, tak by się ciągle mylił. Niezła rzecz, wykiwać Fuereco w jego własną grę!
- Jest twój. - Zrobiłem szeroki gest ręką.
- Uwielbiam takie triki - stwierdził Zapata. - Czy próbowaliście kiedyś dociec, kto je wymyśla?
- Jednouchy Charlie przez chwilę spoglądał na Zapatę, a potem odrzekł:
- Ja nie, właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem.
- Dostrzegłem także Digit Dana - powiedziałem.
- O, to prawdziwy artysta - ożywił się Jednouchy. - Najszybsze ręce, jakie kiedykolwiek widziałem. Nikt tak nie robi „ramiączka” jak Dan.
- Ramiączka? - zapytał Zapata. Jego podziw dla Charliego rósł w zawrotnym tempie.
- Pracuje w tłumie. Zderza się z frajerem ramię w ramię. Ten zwykle odruchowo łapie się za portfel, żeby się upewnić, iż nie zginął. To załatwia Danowi dwie rzeczy. Po pierwsze, wie teraz, gdzie szukać portfela. Po

drugie, kiedy wpadnie na niego ponownie, jeleń z reguły nie sprawdza jeszcze raz, a tu: bingo! Forsa już jest u Dana.

- Cholera, Charlie, przed tobą nic się nie ukryje - pokręcił głową z niedowierzaniem Zapata.

- U Digit Dana niesłychane jest to - mówił dalej Flowers - że zawsze wpada na nadzianego faceta. Wystarczy mu jedno spojrzenie, żeby ocenić, ile koleś może mieć przy sobie.

- O rany! - Zapata nie posiadał się ze zdumienia.

- Jutro będzie pracował na torze - zapowiedział Jednouchy. - Tam go przyszpilimy. Dobrze, wróćmy do twoich problemów. Myślę, że od razu możemy ci coś podrzucić.

Nie byłem nadmiernie zaskoczony.

- Alfons nazwiskiem Mortimer Flitch, alias Mort Tanner. Niezbyt twardy i niezbyt błyskotliwy. Obsługuje zazwyczaj dobrą klientelę, ma cztery, pięć dziewczyn, nie więcej. Jego bazą jest Saint Louis. Ma także okazalca dla pań w potrzebie.

- Chodzi ci o bogate dziurki? - zaśmiał się Zapata.

- Tak, Chino, bogate dziurki.

- Żigolak? - wtrącił się Czerw.

- To za ładne dla niego określenie - pokręcił głową Charlie.

- Gdzie go widziałeś? - spytał Zapata.

- Na Wstędze, jakiś tydzień temu, może dwa. Potem zaczęła się sprawa z Turnerem i przestałem się nim interesować.

- On się nazywał Tagliani - poprawił Salvatore.

- Jak wygląda ten Tanner? - dopytywał się Zapata.

- Wysoki, trochę ponad sześć stóp. Szczupły, myślę, że waży sto czterdzieści, sto czterdzieści dwa funty. Trzyczęściowe garnitury, lekkie, z uwagi na klimat. Uwielbia kolorowe koszule i okropne krawaty. Kwiaty, ohydne kolory. Włosy ciemnoblond, niewiele ich już zostało. Oczy brązowe. Na nogach obowiązkowo czarne buty.

- Jakież cechy szczególne? - nastawał Zapata.

- Pasjami obgryza paznokcie.

- Chcesz tego gościa? - Zapata spojrzał na mnie pytająco.

Nie byłem pewien, do czego mógłby mi się przydać, ale odpowiedziałem:

- Jasne, na dobry początek.
- Pół godziny - oznajmił Meksykanin. - Poczekaj tutaj. Chodź ze mną, Salvatore, dla towarzystwa. - I tyle ich było widać.
- Zapata jest niezwykły - powiedział Jednouchy, spoglądając za oddalającą się dwójką. - Ma nos jak pies myśliwski.
- Bardziej przywodzi na myśl gofra - odrzekłem ze śmiechem.
- Zgoda - przytaknął Charlie. - Ale to w niczym nie umniejsza jego talentu odnajdywania ludzi. Jest nieomylny.

Odnosiłem wrażenie, że Zapatę o jeden czy dwa razy za dużo zdzielono w miękką część głowy. Potem miałem odkryć, że nigdy jeszcze nie spotkałem gliny z tak instynktowną pewnością poruszającego się po mieście. Niewiele może wiedział o Szekspirze, ale miał inne talenty.

- Był bokserem, waga średnia - ciągnął Jednouchy. - Pełen patriotyzmu zgłosił się na ochotnika do wojska i pojechał na rok do Wietnamu. Kiedy wrócił, przyłączył się do Hell's Angels. Nigdy nie mogłem do końca zrozumieć, dlaczego.

- Ładny podział pracy - stwierdziłem. - Ty ich namierzasz, Zapata wyniuchuje, a Salvatore jest plastrem.

- Lepszym niż lep na muchy - potwierdził Flowers.

Czerw chciał zadzwonić do koronera, żeby dowiedzieć się, czy są już jakieś wyniki sekcji zwłok. Kiedy odszedł, nachyliłem się do Charliego.

- Chciałem cię o coś zapytać. Ale to osobista sprawa.

- Wał.

- Słyszałem, że twój ojciec był angielskim lordem, a twoja matka Indianką z plemienia Ute. - Ilekroć pojawiało się twoje nazwisko, ktoś zaraz o tym mówił.

- To prawda, choć nie całkiem. Chodzi o moich dziadków, ona była zresztą Indianką Cree. Pamięć odziedziczyłem po ojcu, a instynkt po matce.

Dziękować Bogu, że nie odwrotnie. To miłe, że słyszałeś o mnie.

- Charlie Flowers, człowiek, który niemal w pojedynkę załatwił gang opiumowy Wong Yang Fu w San Francisco! Jesteś jakby chodzącą legendą - powiedziałem z uśmiechem.

- Nie powiem, żebym tego nie lubił - odparł i odwzajemni uśmiech. - Potrzebuję pochwał.

- Podobno tak znalazłeś kiedyś za skórę bimbrownikom w Georgii, że nasłali na ciebie dwóch rewolwerowców z Filadelfii?

- Ściśle biorąc, czterech, był wśród nich także Rodney Shutz Balownik, o którym wieść niosła, że zabił sześćdziesięciu ludzi, w tym wielu, nawiasem mówiąc, niezbyt godnych szacunku.

- I załatwiłeś wszystkich?

- Tak. Nawet bez jednego draśnięcia. Popelnili mały błąd. Wzięli się do mnie wszyscy naraz, sądząc pewnie, że w kupie są bezpieczniejsi. - Przez chwilę milczał, a potem błysnął dwudziestodolarowym uśmiechem. - Balownik Rodney był tak zdziwiony, że chyba po dziś dzień się nie zorientował, że już nie żyje.

Obydwaj parsknęliśmy śmiechem.

- Więc czemu znalazłeś się tutaj? - zapytałem.

Uśmiech nie zniknął mu z twarzy, ale był teraz odrobinę wymuszony.

- W przeciwieństwie do Szkopa, nie mam uprzedzeń do kurortów. Mnie i żonie podoba się tutaj. Piękne widoki. Woda blisko. Przyjemny klimat... - Urwał. Mógłby na tym zakończyć, ale po chwili dodał: - Poza tym nigdzie indziej nie mogłem dostać pracy.

- Co?!

Wyjął jedno z tych długich, cienkich cygar, które palił Morehead, zapalił i wypuścił pod sufit niebieskie kółko.

- Parę lat temu rozpracowywałem lokalne sprawy dla policji stanowej w Arizonie. Popelniono tam całą serię morderstw, były podstawy, by przypuszczać, że mają one związek z narkotykami. Głównym podejrzany był

hurtownik Mizero. Posłali mnie incognito, żebym spróbował coś wyniu-chać. Co do Mizera nie było to takie trudne, ale facet miał wtyczkę w policji, wysoko ustawionego ćpuna, nazwiskiem Burke. Robili coś takiego: Mizero organizował dużą transakcję, powiedzmy sto funtów proszku, po czym na scenie pojawiał się Burke, aresztował kupca, konfiskował forszę i towar, a następnie radził frajerowi, żeby spływał, a wszystko ujdzie mu na sucho. Jeśli facet się stawiał, wtedy Mizero go załatwiał. Potem wspólnie sprzedawali zdobycz. Kiedy byłem już blisko kłębka, ujawniłem się; Burke uznał, że musi pozbyć się Mizera. Rzecz w tym, że wszystko poszło na opak i to Mizero zastrzelił Burke'a. Miejscowa policja porozumiała się z władzami stanowymi, chcąc Burke'a wyłączyć z całej sprawy, która zdążyła już nabrać rozgłosu. Był to rok wyborów i nikt nie życzył sobie skandalu związanego ze zdemoralizowanym gliniarzem. Miałem wystąpić jako główny świadek oskarżenia. Wiedzieli, że nie zamkną ust Mizero, chcieli więc, żebym zeznał, że Burke był podstawiony tak samo jak ja. Nie, powiedziałem, nie ma mowy. Mogę pójść na różne rzeczy, ale nie będę krzywoprzysięcą, zwłaszcza gdy chodzi o to, by bronić skorumpowanego policjanta. Wtedy wysłali mnie poza granice stanu, tak żeby obrona nie mogła mnie odnaleźć, i rozpuścili pogłoskę, jaki to ze mnie pijak i rozrabiaka. A następnie przyklejono mi łatkę krzywoprzysięzcy. Przez ponad rok wszyscy w branży byli przekonani, że jestem zapijaczonym kłamcą. Ja, który nigdy nie zaglądam do kieliszka!

- A co z FBI? - zapytałem.

- Nie chcieli mnie z powrotem. Zawsze byłem zbyt samodzielny jak na gust biurokratów. Wtedy dowiedział się o mnie Szkop. Mieszkałem w Trenton i pracowałem dla firmy ubezpieczeniowej, kiedy zjawił się tam nagle i o nic nie pytając, zaoferował mi robotę. Najpierw ją przyjąłem, a potem powiedziałem: „Nigdy nie piłem i nigdy nie skłamałem, zeznając pod przysięgą”. A on na to: „Wiem”. I więcej do tego nie wracaliśmy.

Nachylił się ku mnie.

- To mój powód. A twój?

- Tutaj jest cała reszta Trójcy z Cincinnati. Chcę wykopać pod nimi wszystkimi dół. Nie wiem, gdzie wylądują, ale chcę, żeby wlecieli.

- Ponieważ nie udało ci się tam ich przyskrzynić?

- Trochę i dlatego.

- A reszta to sprawy osobiste? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Całkowicie.

Poczęstował mnie kolejnym szerokim uśmiechem.

- Pięknie. Podziwiam ludzi o silnej motywacji. - Podał mi rękę. - Myślę, że razem z Zapatą poszukamy tego Nance'a.

- Będę naprawdę wdzięczny - odrzekłem.

Minutę czy dwie później przy stoliku znowu pojawił się Czerw.

- Przed chwilą dzwonił Zapata. Wyśledził już Tannera. Je śniadanie w Breakers Hotel.

- No i jak, nie, mam racji co do Chino? - zapytał z uśmiechem Jedno-uchy.

Ruszyliśmy w stronę wyjścia.

## 21. MEMORANDUM

Zawsze masz do mnie pretensje, Cisco, że nie robię raportów dla ciebie. Po pierwsze, nie umiem pisać na maszynie i sporządzenie jednego parszywego raportu trwa u mnie wieczność. Po drugie, na formularzu nigdy nie ma dostatecznie dużo miejsca, a ja nie potrafię drobić między nadrukowanymi liniami. Jeśli chcesz wiedzieć, dla mnie pisanie raportu to jak sranie



kolczastymi kasztanami. No, ale gdybym miał kiedyś napisać memorandum, wyglądałoby ono jakoś tak.

Nie minęła jeszcze jedna doba, odkąd jestem w Dunetown, a już byłem świadkiem jednej śmierci, widziałem świeże zwłoki trzech innych ofiar, zostałem potraktowany jak trędowaty przez Szkopa Moreheada i jego gromadkę zabijaków, a z samego miasta zobaczyłem tyle, by zrozumieć, dlaczego przemianowano je na Miasto Stracone, co i tak wydaje mi się oględnym określeniem.

Urzędowe procedury? Daj sobie spokój. Tutaj o czymś takim jak przepisy nikt już nie pamiętał w chwili, kiedy kładziono pierwszą ulicę. Jeśli chodzi o zabijaków Szkopa, jedyną znaną im urzędową procedurą jest upomnienie, które przychodzi z urzędu telefonicznego. Większość z nich uważa, że „Miranda” jest prezydentem bananowej republiki w Ameryce Środkowej.

Czerw nieźle się tu zadowił, ale jest trochę między młotem a kowadłem, gdyż z jednej musi trzymać z zabijakami, żeby się nie kapnęli, że jest fedziem, z drugiej, dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że dowody, które ci kolesie mogą zebrać, nie będą dla sądu nawet funta kłaków warte.

Mówiąc prawdę, Cisco, tutaj widać, jak ważną rzeczą jest odpowiednia edukacja. Czerw to zręczny agent, ale dla reszty chłoptasiów Moreheada dokopanie komuś jest czymś znacznie ważniejszym od zjedzenia obiadu. Wczoraj spróbowałem wyjaśnić im, co to jest OPOP; Chino Zapata przypuszczał, że to ksywa gangstera, którego znał w Buffalo.

Wyjątkiem jest Jednouchy Charlie Flowers, który dobrze wie, na czym polega ta gra, ale nie zamierza trzymać się reguł. Jest dokładnie taki sam jak cała reszta: urzędowy świat dał im tyle razy kopa w dupę, że urzędowe regulaminy nic już dla nich nie znaczą. Zrozumiem dobrze, niczego ani nikogo nie oceniam; może w paru przypadkach te kopniaki były nieźle zasłużone.

Weźmy na przykład Salvatore. Kiedy Szkop znalazł go w Nowym Jorku, chłopakowi właśnie dali dyscyplinarkę. Z tego, co usłyszałem, Salvatore miał na oku jeden z tych rodzinnych sklepików na Bronksie, który był

napadany tak często, że właściciele wykładali forszę na ladę, jak tylko pojawił się jakiś nowy klient. Starego postrzelono dwa razy. Normalka. Gdzieś pod koniec roku Salvatore siedzi ukryty za przezroczystym lustrem, a tu włazi koleś i zaczyna odstawiać program sylwestrowy. Salvatore wyszedł ze swego schowka ze słowami: „Szczęśliwego Nowego Roku, skurwysynu” i paroma strzałami wymiótł faceta na środek ulicy. Sprawą zajął się inspektor policji i Salvatore jest teraz w Dunetown.

Co ciekawe jednak, żaden z nich się nie uskarża. Mówiąc między nami, cieszę się, że są tutaj.

No a do tego wszystkie te rzeczy z miastem. Każda kolejna wycieczka po Dunetown, to dla mnie kolejny bolesny szok. Jak dzisiejszy wypad na plażę. Nie byłem na to przygotowany, choć ostrzeżeniem powinien być dla mnie ruch samochodowy. Zrobiło się naprawdę gęsto już na jakieś ćwierć mili przed miejscem, gdzie bulwar wychodzi na Dune Road, biegnącą równoległe do oceanu. W moich wspomnieniach pozostała ona zagubiona pośród wydym, brukowaną uliczką. Ciągnęła się do północnego skraju wyspy i urywała się tuż przy morzu. Jedna z tych starych ulic, które prowadzą właściwie donikąd.

Teraz to czteropasmówka, gęsto usiana płatnymi parkingami. Stoją tu trzy hotele, które natychmiast przypomniały mi Las Vegas, sklepy i budki z przekąskami cisną się jedne na drugich, siatki odgradzają hotelowych gości od zwykłych ludzi. Dwa następne hotele w budowie, a wszędzie pomiędzy nimi domy i domeczki, żeby zepsuć widok do reszty. Potworny hałas: radia, magnetofony, klaksony, setki głosów, wszystko oczywiście naraz.

Właściwą nazwą byłoby Wybrzeże Koszmaru.

Rozumiesz teraz, co mam na myśli, mówiąc o bolesnym szoku. Wstażka jest jednym bolesnym szokiem.

Tak czy inaczej, jadę tam sobie w samochodzie Czerwia, za nami Jednouchy w swoim aucie. Jazda gdziekolwiek z Czerwiem to nieustanne

żegnanie się z życiem. On nie prowadzi samochodu, on nim leci. Z pontiakiem potrafi zrobić wszystko, nie potrafi tylko jeździć wolno. Nie, żebym miał mu to za złe, niemniej jednak uważam, że należy mi się dodatek do pensji za pracę w warunkach skrajnie niebezpiecznych dla zdrowia.

Żeby nie nudzić cię szczegółami: Salvatore i Zapata namierzyli alfonsa z St. Louis, Mortimera Flitcha, pojechaliśmy więc, żeby trochę sobie z nim porozmawiać.

Biesiadował na Wstążce, najpierw powiem ci więc parę słów o niej. Uderzyło mnie natychmiast, że te hotele wyglądają jak trojaczki jednojajowe. Opiszę Breakers, bo reszta jest taka sama. Hall jest wielkości stadionu w Dallas. W pięć minut można zamienić go w kasyno i prawie już słyszysz tasowanie kart, grzechot kuleczki w ruletce i szcęk automatów do gry. Kiedy Raines otrzymał prawo na totalizatora, przyrzekł uroczyście, że w Dunetown nigdy nie będzie kasyn. Można na to splunąć, Cisco. Oni są już gotowi, to tylko kwestia czasu. Moim zdaniem, wystarczy rok, może dwa. To już jest Atlantic City. Wystarczył kwadrans, żebym się dowiedział wszystkiego o Wstążce.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, ten cwaniaczek Mortimer siedział w barze kawowym, a wyglądał tak, jakby przed chwilą połknął boeinga 747. Naprzeciwko niego, grzecznie ku niemu pochylony, ulokował się Salvatore, uśmiechnięty od ucha do ucha, jakby właśnie wygrał wybory na burmistrza. Aha, zapomniałem o jednym drobiazgu: Salvatore nosi w specjalnym futerale przycięty kij bilardowy, który uprzejmie wychyla się spod poły, kiedy właścicielowi coś lub ktoś się nie spodoba. Zapata stał w drzwiach. Oni tak rozumieją osłanianie.

Gdy tylko się zjawiliśmy, Zapata zniknął. Węszy za Nance'em i Chevosem, co naprawdę poprawia mi humor, jeśli bowiem ta przemiła parka znajduje się gdzieś w promieniu stu mil, Zapata ich wy ni ucha. Idę o zakład.

Przysiedliśmy się do Salvatore i Mortimera i wtedy zrozumiałem, skąd ten dziwny wyraz na buzi alfonsa. Salvatore wpakował kij między nogi

Mortimera i przy każdym pytaniu postukiwał go w jaja.

- No, Mort, powtórz kolegom to, co mnie opowiedziałeś - powiada Salvatore i *bong!* Kuksaniec w jaja, a Mortimer wydaje z siebie głos śpiewaczki operowej.

- Miałem mały kłopot w Louisville jakieś dwa miesiące temu, więc...

*Bong!* - Powiedz kotku, jaki kłopot.

- Wygrzmociłem trochę kociaka. Zasłużyła sobie, bo...

*Bong!* - Żadnych usprawiedliwień - ostrzegł Salvatore.

- W każdym razie prokurator stanowy miał na mnie haka...

*Bong!* - Powiedz, dlaczego.

- On, no... hm.

*Bong!*

- To była już piąta sprawa. W każdym razie zadzwoniłem do kumpla, który zarabia trochę z ulicy w Cincy, a on do mnie: „Daj sobie siana, tutaj robi się rzeczywiście gorąco, spróbuj zadzwonić do Johnny 'ego O' Bri ana w Dunetown”. Tak zrobiłem, noi jestem tutaj.

Mortimer przerwał, by zaczerpnąć tchu, a Salvatore dał mu kolejne upomnienie.

- Opowiedz im o hotelu i tak dalej - przynaglił.

- Słuchajcie, O'Brian był wobec mnie całkiem w porządku. Jak go sypnę to zrobią ze mnie miazgę.

*Bong!* - Opowiedz im o tym pieprzonym hotelu, kochasiu.

- Wynajął mi pokój tutaj, w Breakers, dał dwa tysiączki i powiada: „Masz dwa tygodnie, żeby zmontować jakieś panienki”. Podział sześćdziesiąt do czterdziestu, on bierze czterdzieści.

Salvatore spojrział na mnie i uśmiechnął się.

- Chcesz jeszcze coś wiedzieć?

- Zabrałeś ze sobą jakieś dziewczynki? - zapytałem.

- Ja...

*Bong!*

- Tak, tak, dwie.

- Urowadzenie. Miła sprawa - oznajmiłem.  
- Słuchajcie, nie mogliśmy spotkać się gdzieś indziej, żeby porozmawiać? - zasugerował błagalnym głosem Mortimer. - Przejechalibyśmy się samochodem, to bym wam wszystko opowiedział.

- Ilu alfonsów pracuje tutaj dla O'Briana? - zapytałem.

Mortimer spojrział z przerażeniem na Salvatore i powiedział pospiesznie:

- Nie wiem, przysięgam. Ja obstawiam hotel i to wszystko.

- To wyłącznie twój rejon? - odezwał się Jednouchy, a Mortimer gorliwie przytaknął.

- W porządku - powiedziałem. - Skończ śniadanie. Chcieliśmy tylko informacji i nikomu nie opowiemy o naszej pogawędce. Siedz spokojnie na dupie i rób swoje.

Z zapalem pokiwał głową. Salvatore schował kijaszek i wyszliśmy.

- Możemy z tego zrobić jakiś użytek? - zapytał po drodze Charlie.

- Nie - odrzekłem - ale przyjemnie wiedzieć.

- Wymuszenie, tak?

- Mhm.

Teraz wiesz, do czego Salvatore używa kija bilardowego. Nazywa go dziadkiem do orzechów.

Sam widzisz, Cisco, jak tutaj jest z tymi urzędowymi procedurami.

## 22. PRZY DRODZE

Czerw jechał z powrotem dość spokojnie, jak na niego. Żaden z nas nie miał zbyt wiele do powiedzenia. W połowie drogi zatrzymaliśmy się

obok przydrożnego baru i wzięliśmy po hamburgerze i po piwie. Odjechał kawałek dalej, stanęliśmy na parkingu pod palmami i uchyliliśmy okna, żeby trochę powietrza wleciało do środka.

- Wszystko w porządku? - rzucił.

- Tak, czemu pytasz?

- Wydawało mi się, że coś cię trapi.

- Dlaczego?

- Masz taki wyraz oczu.

- Nie, nie, wszystko w porządku.

- A mnie skręca, jak tylko ich widzę. - Popatrzył na mnie z tym swoim cholernym uśmiechem. - Wiesz, ja potrafię słuchać i mam całkiem dobrą pamięć.

- Nie mam do powiedzenia nic takiego, o czym byś już nie słyszał.

- Mam dopiero trzydzieści jeden lat i pewnie byś się zdziwił, jak wielu rzeczy jeszcze nie słyszałem.

- Zapamiętam to sobie - powiedziałem.

Na parkingu był straszny ruch; mnóstwo dziewczyn mających na sobie tylko to, czego wymagało prawo, i chłopczków z pryszczami, w obciętych do uda dżinsach, którzy nachalnie się do nich podwalali. Piwo było lodowato zimne, język od niego sztywniał, a w ustach pojawiała się miła świeżość; hamburger był zdrowym kawałem mięsa, całkiem dobrze podpieczonym. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu, oparłem kolanami o deskę i pociągnąłem długi łyk z butelki. Ile to już czasu upłynęło od chwili, kiedy ostatni raz zjadałem śniadanie, popatrując na rozdokazywane młode dziewczęta.

- Tylko spójrz na nie - odezwał się tęsknym tonem Czerw.

- Właśnie patrzę - powiedziałem z tą samą nutą w głosie. Po chwili dwie dziewczyny zajęły TR-3 i zaparkowały obok nas. Jedna z nich wysiadła i cisnęła coś do kosza ze śmieciami. Ubrana była w cienkie białe szorty, ledwie skrywające pupkę, i w białą męską koszulę, podwiązaną pod

jędrnymi piersiami, które najwyraźniej miały ochotę wyskoczyć na świeże powietrze. Stała przez jakąś minutę w drzwiach TR-3, przegadując się z Czerwem, a potem wsiadła do wozu i nachyliła się do przyjaciółki. Szorty opięły się na wszystkich krągłościach; wyraźnie widać było zarys malutkiego bikini i dwie urocze półkule.

- Niech to cholera - mruknął Czerw. - To niemal przestępstwo.

- Spokojnie, Czerw, ma nie więcej niż piętnaście lat.

- Nie pamiętam, żebym będąc chłopakiem, widział tak odstawioną piętnastkę - rzekł ponuro Czerw. - Nie wiem, jak ty.

Dobrze pamiętałem Doe, kiedy miała piętnaście lat, przyjeżdżała do Athens z Chiefem, żeby zabrać Teddy'ego do domu, i zalecała się do mnie, ilekroć brat i ojciec spoglądali w inną stronę. Z całą pewnością tak właśnie wyglądała.

- Wydaje mi się, że w ogóle nie miały piersi i wszystkie chichotały - odezwał się Czerw.

- Te też chichoczą - uspokoiłem go.

- Cholera, to jest inny chichot.

- One dopiero się uczą - powiedziałem.

- Czego znowu?

- Jak rozpalić faceta do białości.

- No tak, mają na nas haka. - Kiwnął głową, bębniąc palcami jednej ręki po kierownicy i wpatrując się uparcie w kociaka, który znad przeciwsłonecznych okularów posłał mu zalotne spojrzenie.

- O kurczę - westchnął boleśnie Czerw. - Nigdy nie wiesz, już można, czy jeszcze nie.

- Tutaj trzeba jeszcze poczekać ze trzy latka - oceniłem.

- Jaka szkoda.

Pociągnął solidnie z butelki, oblizał wargi i znowu westchnął.

- Wszystko przeszło mi koło nosa - powiedział. - Kiedy wyjeżdżałem do Wietnamu, były jeszcze dziewczynkami, a jak wróciłem, były już wyrosnięte i obstawione. Co za pieprzony niefart.

Dziewczyna w TR-3 odchyliła głowę do tyłu, a potem gwałtownie

pochyliła się i odgarnęła włosy rękami. Koszula niemal się rozjechała.

- Przecież ona to robi celowo - zachnął się Czerw, który uważnie śledził każdy jej ruch. Odwrócił się do mnie: - Piętnastka, tak?

- Najwyżej.

- Co za pieprzony niefart.

Dziewczyna siedząca za kierownicą TR-3 uruchomiła silnik i wzięła ciasny zakręt, tak że przejechały tuż obok nas.

- Uwielbiam twój kapelusz - zaszcebiotała biała koszula, kiedy nas mijaly. Czerw zerwał kapelusz i cisnął go w ślad za TR-3. Nakrycie głowy potoczyło się po parkingu, a sportowe autko zniknęło za rogiem budynku. Czerw poszedł po niego i po chwili znów siedział za kółkiem.

- Wszystko dla picu - mruknął, a potem dodał: - Może powinienem wziąć sobie wolny dzień.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wziąć sobie wolne już do końca życia - oznajmiłem. - Za długo już grzebię się w tej sprawie. Ponad sześć lat. Jestem zmęczony Taglianiami i rzygać mi się chce na samą myśl o nich.

- Odpręż się. Jeśli wszystko potoczy się dalej tak jak dotąd, już niedługo żaden z nich nie będzie cię męczył ani przyprawiał o mdłości - powiedział Czerw bez troski i wpatrzył się w inną dzierlatkę w bikini, która wystawiała twarz do słońca w samochodzie z opuszczanym dachem. Długie nogi oparła na burcie wozu, a piersiątką prawie rozsadały obcisły stanik. Kierowca, szczupły chłopak w surfingowych spodenkach i podkoszulku z krótkimi rękawami obserwował ją łakomie w tylnym lusterku.

- Spójrz na tego szczeniaka - odezwał się znowu Czerw. - Nie wie nawet, jak się zabrać do rzeczy.

- Jeszcze się dowie.

- Wszędzie ich tu pełno. - W głosie Parvera słyhać było pożądanie. - Wiesz, co tu się dzieje? Nastala plaga mlodych ciał. Nie masz takiego wrazenia, ze to jest plaga mlodych ciał?



- Tak - zgodziłem się. - Nadchodzi sądny dzień. Bóg wystawia na próbę naszą powściągliwość.

- Powściągliwość, popierdliwość - zachnął się Czerw. - Jeśli ta malutka na tylnym siedzeniu weźmie głębszy oddech, te miseczki jej odskoczą i rozwałą łeb chłoptasiowi z przodu. - Po chwili dodał: - Aż szkoda wracać.

Dokończył piwo, a pustą puszkę położył na podłodze.

- I to wszystko? Po prostu jesteś zmęczony sprawą Taglianiego?

Zastanawiałem się, co i po co chce ze mnie wydobyć. Tak czy inaczej, czegoś chciał. Przeleciała mi nagle przez głowę szalona myśl, że Czerw ochrania mnie, ponieważ jest młodszy i jest krócej w branży. Poznałem już kiedyś to uczucie, teraz przeraziło mnie ono, bo przypomniało mi o Teddym.

- Zajmuję się Taglianiami dłużej niż czymkolwiek innym w życiu - powiedziałem. - To trwa już dłużej niż college, studia prawnicze, dłużej niż służba w armii. Wiem wszystko, co można wiedzieć o tych pieprzonych Taglianich.

- No i jesteś tutaj, masz słoneczko nad głową i słoneczka przed oczyma - rzekł Czerw. - Pomyśl tylko, przecież mógłbyś siedzieć w Cincinnati. I być może wreszcie skończą się twoje kłopoty.

- Mam nadzieję, że nie jesteś jednym z tych koleśków, którzy we wszystkim dostrzegają tylko przyjemniejsze strony - burknąłem z gryźliwie.

W jakiś kretyński sposób czułem się związany z Taglianiami, jakbym był czarną owcą w rodzinie. Od sześciu lat moje życie było splecione z ich życiem. Wiedziałem o nich więcej niż o Findleyach czy którymś z zabijaków Moreheada. Znałem ich żony i kochanki, wiedziałem, co lubią jeść, jak lubią się ubierać, co oglądają w telewizji, gdzie jeżdżą na wakacje, o co zabiegają, jak uprawiają miłość. Wiedziałem nawet, kiedy są urodziny ich dzieciaków.

- Chcesz usłyszeć coś naprawdę głupiego? - zapytałem.

- Jednemu z ich szczeniaków omal nie posłałem kiedyś kartki na urodziny.

- Znałem detektywa z District Columbia, który jak kogoś rozwalił, posyłał wieniec pogrzebowy. Z dołączoną karteczką: „Od przyjaciela”.

- Świr - skwitowałem.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić, bracie? Kiedy już wszystko tutaj będziemy mieli za sobą, weźmiemy miesięczny urlop i pojedziemy do Keys. Mam tam paru kumpli, przez cały dzień palą trawkę i zajadają krewetki. To się nazywa życie. Albo może grzmotniemy się gdzieś za granicę, na jakieś wyspy, Aruba, albo coś takiego. Łowić sobie raje, wylegiwać się na plaży i zapomnieć o całym tym gównie.

- Byłoby pięknie. - Pokiwałem głową.

- I tak zrobimy! - wykrzyknął i klasnął dłonią w kierownicę, a potem nagle zapytał: - Ej, słuchaj, jesteś żonaty?

- Nie, a ty?

- Coś ty. Jaka kobieta o zdrowych zmysłach spędziłaby ponad tydzień w pieprzonym Holiday Inn?

- Mieszkasz w Holiday Inn?

- Tak. To jakby mój dom. Wszystkie są do siebie podobne, a jak weźmiesz jeden z tych pokoi, którego okna wychodzą na basen, nawet widok jest dokładnie ten sam.

- Miałem kiedyś taki w Cincinnati - powiedziałem. - Siedziałem w nim przez miesiąc, bo nie przypuszczałem, że będę tam tak długo. Nawet nie było żadnych obrazków na ścianach. Wreszcie kupiłem kiedyś trochę książek w antykwariacie i parę tanich reprodukcji, ale niewiele to zmieniło; kiedy wracałem, ciągle miałem wrażenie, że jestem u kogoś w gościach.

- Tak, znam to - przytaknął. - Tak samo było w Namie. Nie mamy korzeni.

Najlepsze określenie. Bez korzeni. Od lat miałem partnerów w robocie, ale zawsze dzielił nas niewidzialny dystans, jak w przelewającym się tłumie. Nie wiedziałem, czy są żonaci czy rozwiedzeni, nie znałem ich

dzieci ani zainteresowań. Wiedziałem o nich tylko, czy są dobrymi czy złymi gliniarzami i że wszystkich nas dręczy ten sam gniew, ta sama frustracja, nuda i samotność.

- Zastanawiasz się czasami, po co wybrałeś tę parszywą robotę? - pytałem.

- Cały kłopot z tobą, Jake, polega na tym, że za dużo myślisz. Kiedy się za dużo główkuje, zaraz zaczynają się kłopoty.

- Pieprzysz.

- Wcale nie. Myślenie może cię zabić. Nie dlatego przeżyłeś Wietnam, że dużo kombinowałeś. Nikt dlatego nie przeżył. Myśliciele tam zostali i oglądają kwiatki od spodu.

Miał dużo racji. Za dużo myślałem. Cisco powiedział mi, żebym nie zajmował się żadnym morderstwem, które nie wiąże się bezpośrednio ze sprawami interesującymi Figę. To mnie zaniepokoiło. Do diabła, byłem gliną, a morderstwo jest morderstwem. Częścią tego zawodu, czy to się podoba czy nie, jest ochrona życia ludzi, czy ci się podobają czy nie, a ochrona życia to także znalezienie mordercy, cokolwiek mówiłby Cisco. To były fragmenty tej samej całości. A z Teddym wiązało się kłamstwo, o którym nie myślałem od lat, ponieważ ukryłem je gdzieś głęboko w sobie, razem z innymi wspomnieniami. Odwróciłem się od przeszłości, a przynajmniej tak mi się zdawało. Przestałem nawet śnić, chociaż sny są zawodowym ryzykiem tych, którzy byli na wojnie. Teraz znowu się zaczęły. Nie można od nich uciec. W ciszy nocy rozpełzają się po tobie, jak cień i dym, przypominając, czym byłeś. Śni ci się nie wojna, lecz coś znacznie gorszego. Śni ci się to, co mogłoby się zdarzyć.

- Do diabła, to nie takie proste, Czerw - powiedziałem w końcu. - Chyba nie uporałem się z tym jeszcze na tyle, abym mógł rozmawiać. Czasami mam takie uczucie, jakbym żonglował zbyt wieloma piłkami, by je wszystkie złapać.

- To odrzuć kilka.

- Nie wiem które.

- Takie jest życie, kolego - oświadczył. - Proces eliminacji.

- Zanim się tutaj znalazłem, myślałem, że wszystko mam już za sobą. Wszystko było takie proste. Nieskomplikowane.

- To pułapka - prychnął. - Czy Wietnam niczego cię nie nauczył, Jake? W życiu ciągle otrzymujesz jakieś przesyłki. Jeśli jest spokojnie, to znaczy, że umarłeś.

- I o to tylko chodzi, przyjacielu?

- Tylko. Masz też odpowiedź na swoje pytanie. Jesteśmy glinami, bo musimy ciągle węszyć za informacjami. To trzyma nas przy życiu.

- Och - powiedziałem, przeciągając się - trzeba tak zrobić, wyjechać na te wyspy, rozłożyć się na piasku i zapomnieć o całym świecie.

- To cię najbardziej dręczy, dusisz się w robocie?

- Tak.

Obdarzył mnie swoim wariackim uśmiechem.

- Nie wierzę ci za grosz - powiedział i zapuścił silnik.

## 23. INKASENT

W Magazynie czekał już na nas Cowboy Lewis. Wielki, grubokościsty, siedział za biurkiem i pracowicie wypisywał raport na urzędowym formularzu. Nie przejmował się nadmiernie linijkami; pisał na nich, pomiędzy nimi, a także tam, gdzie ich już nie było. Chciał sporządzić raport, nic więcej go nie obchodziło. Wiele miejsc było wyksovanych, parę razy zapomniał o oddzielaniu wyrazów, ale i tak odę mnie dostałby piątkę za sam wysiłek. Przynajmniej próbował. Na nasz widok jego twarz zajaśniała jak zorza polarna.

- Ej, właśnie pisałem dla was notkę - powiedział, przerwał w pół słowa i wyrwał papier ze swojej selectomatic. - Ale lepiej po prostu powiem.

Spojrzałem na niedokończony raport i powiedziałem, że z chęcią posłuchamy. Przyszło mi do głowy, iż mógłbym go podpisać swoim nazwiskiem i wysłać do Cisco. Raz na zawsze skończyłyby się utyskiwania na moje raporty czy, mówiąc ściślej, ich brak.

- Salvatore powiedział mi, że interesujesz się tym ziółkiem, no... - przerwał, nie mogąc sobie przypomnieć nazwiska.

- Cohenem - podrzuciłem.

- No właśnie. Taki czterooki facio, któremu główka kiwa się jak na sprężynce? - Zrobił gwałtowny ruch głową do przodu i do tyłu, aby zilustrować, co ma na myśli.

- To ten - potwierdziłem. - Jeśli nic się zmieniło, jest inkasentem całej bandy.

- Tak - zgodził się Cowboy. - Targa ze sobą starą, czarną, lekarską torbę. Jest do niej tak przy lutowany, jakby nosił w środku klejnoty rodzinne.

- Bo i tak jest - wtrącił się Czerw. - Właśnie klejnoty rodzinne.

- Chodziłem za nim jak cień trzy dni, we wtorek, środę i piątek, i dokładnie go rozpracowałem. - Lewis wyjął mały, czarny notesik. - Rano jest zawsze bardzo zapracowany i kręci się jak fryga. Codziennie zjawia się w banku o drugiej, tuż przed zamknięciem.

- Codziennie? - upewniłem się.

- Każdego z tych trzech dni odwiedzał bank tutaj nad rzeką - stwierdził.

- A ta poranna biegania? Czy zawsze udaje się w te same miejsca? - odezwał się Czerw.

Cowboy potrząsnął głową.

- Fruwa po całym mieście. Wydaje się jednak, że zawsze koło południa pojawia się na Wstążce. A przynajmniej tak było, kiedy go obserwowałem.

- Co to za bank? - zapytałem.

- Seacost National, jak mówiłem, tutaj nad rzeką. Chociaż czasami składa depozyty w innych oddziałach.

Znowu coś poruszyło mi się w żołądku, ale tym razem powodem była dobra nowina. Siedziba Charlesa Seaborna.

- Depozyty pieniężne? - pytałem dalej.

- Nigdy nie udało mi się znaleźć tak blisko - wzruszył ramionami Lewis. - Nie chciałem wkładać palca między drzwi. Nieźle sobie jeździ. Ma czarną limuzynę cadillaca z białym kierowcą, który wygląda jak Waligóra. Na przednim siedzeniu rozwała się drugi goryl, a za nimi jedzie podrasowany dodge charger z napędem na tylne koła, wiozący w środku najczęściej dwóch, trzech facetów.

- Uroczysty przejazd, nie ma co - prychnął Czerw.

- Tak - uśmiechnął się Lewis - uroczysty przejazd. Każdy z tych kochaśiów, z rękami w kieszeniach mógłby wygrać konkurs piękności. Charger jest zwykle dość blisko, najwyżej kilkadziesiąt metrów z tyłu.

- I Cohen jest ciągle w ruchu, tak? - zapytałem raz jeszcze.

- Mhm. Ale zawsze kończy w tym banku nad rzeką, tuż przed zamknięciem.

Podał mi notesik; uwagi były nabazgrane wszędzie: ukosem, na samym marginesie, do góry nogami. To było jeszcze gorsze niż jego raport.

- Co to wszystko znaczy? - Woląłem zaczerpnąć wyjaśnień u źródła.

Spojrzał lekko spłoszony.

- Adresy i szczegóły - wyjaśnił. - Widzisz tutaj, 102 Fraser, to adres, pod którym się zatrzymał. A tutaj Zat. Od.: oddział banku nad zatoką. Cholera, nie jestem pewien, czy to rzeczywiście tak, ale mogę sprawdzić.

- Znasz któryś z tych adresów?

- Niektóre. Patrz tutaj, gdzie jest napisane „Port”. To Porthole Restaurant na drodze wyjazdowej ze Wstążki. Odwiedził ją we wtorek i piątek. Tutaj masz „Bron”, to knajpa Bronicaty. To było w środę.

- Zdaje się, że to niezły obżartuch - powiedziałem.

- Gdzie tam. Nigdy nie siedzi długo. Pięć, może dziesięć minut. Raz wszedłem za nim do „Porthole”. Wypił kawę w kącie baru, wpadł do kibla i wyszedł. Dwóch facetów z chargeera usiadło kilka stołków dalej, jeszcze jeden zajął miejsce przy drzwiach.

Dwaj pozostali czekali w samochodzie. Z pewnością nie narzeka nigdy na samotność.

Odwalił znakomitą robotę, ale w żaden sposób nie mogłem odczytać jego bazgrołów.

- To piękne - powiedziałem - ale muszę cię prosić o przysługę. Czy mógłbyś zrobić listę miejsc, gdzie się zatrzymywał, z podaniem daty i godziny? Nie chcę niczego nadzwyczajnego, po prostu spisz jedno po drugim na kartce papieru.

- Nie możesz mnie odczytać, tak? - spytał, trochę jakby urażony.

- To nie ma związku z tobą - starałem się go ułagodzić. - Myślę w sposób bardzo linearny.

- Aha - mruknął, choć nie wydaje mi się, by wiedział, o co mi chodzi. W każdym razie nie zamierzał się dopytywać.

- Czy Szkop przydzielił ci jeszcze Cohena? - zapytałem.

- Jutro - odparł. - Nadgodziny. Wieczorem Logeto, rano Cohen. Potem mam dzień wolny.

- Może bardziej powinien zająć się samochodem niż Cohenem - zasugerował Czerw. - Któryś z jego ludzi ma pewnie klucz do torby. Cohen parkuje przed wejściem czy na jakiejś sąsiedniej uliczce, a kiedy go nie ma, pośrednik wrzuca składkę do torby.

- Świetny pomysł - przyznałem. - Można również podmienić samochody. Oni są bardzo nerwowi, oczy mają szeroko otwarte; na tym polega ich praca.

- Na tym i załatwianiu każdego, kto za bardzo zbliży się do klejnotów rodzinnych - stwierdził Czerw.

- Kapuję. - Skinął głową Cowboy. - Zajmuję, zdaje się wysoką pozycję na tej liście. - I powrócił do swego biurka.

Odszedłem z Czerwem tak, że tamten nie mógł nas usłyszeć.

- Kiedy skończy - powiedziałem - trzeba zbadać cały materiał i zobaczyć, które miejsca się powtarzają. To samo trzeba zrobić z całą resztą gangu. Cohen jest bardzo ostrożny i jestem pewien, że nie jeździ codziennie jedną i tą samą drogą, ale czy mu się to podoba czy nie, na dłuższą metę musi odtwarzać pewien wzorzec.

- Jakie znaczenie mają restauracje? - zapytał Czerw.

- Muszę zgadnąć.

- Więc zgadnij.

- Bronicata jest zapewne właścicielem nie tylko swojej oficjalnej knajpy, ale i „Porthole”. Być może także innych lokali w mieście. Forsa najprawdopodobniej pochodzi z narkotyków. Hotel to tylko przykrywka, mają pewnie podwójne księgi handlowe, żeby Leprozorium nie dobierało im się do dupy.

- Może by Salvatore znowu odwiedził Mortimera - zaproponował Czerw - żeby ustalić kto i kiedy płaci. To dałoby nam wskazówkę, jak funkcjonuje zbieranie forsy od dziewczyn.

Czerw szybko się uczył. Okazywał się pierwszorzędnym detektywem, mającym wyczucie, jak działa mafia. Powiedziałem muto.

- Dziękuję, panie profesorze - odpowiedział z krzywym uśmiechem. - Jeszcze coś?

- Tak. Nie zaszkodziłoby dowiedzieć się, kto jest właścicielem odwiedzanych przez nich firm. Powoli trzeba zacząć zakreslać całość tutejszych poczynań Trójcy.

- Do tego najlepszy jest Jednouchy Charlie. Zna wszystkie sztuczki i nie sposób wywieść w pole komputera, który służy mu za mózg. Ja mogę służyć swoimi nogami.

- Całkiem niezła pomoc - stwierdziłem.

- Może byśmy razem zjedli kolację? - zapytał Czerw. - Można by potem wpaść w kilka miejsc.

- Jestem już dzisiaj umówiony - odparłem. - Może jutro wieczór?

Czerw uśmiechnął się.



- Muszę sprawdzić w swoim karneciku.

Z zaplecza wyłonił się Jednouchy. Wyraz jego twarzy zapowiadał kłopoty.

- Musisz, stary, pogadać ze Szkopem - zwrócił się do mnie.

- Kłopoty?

- Myślę, że czuje się urażony.

- Cudownie - mruknąłem.

- Opowiem wszystko Charliemu - rzucił za mną Czerw, kiedy zmierzałem do gabinetu szefa. Szkop urządził sobie stanowisko dowodzenia w pokoju, który miał wielkość skromnej ubikacji. Biurko, dwa krzesła, w tym jedno jego, i okno. Biurko kwalifikowało się do natychmiastowej naprawy, a na dodatek tak było zasłane papierzyskami, że telefon - z którego właśnie korzystał, kiedy zapukałem - musiał stać na parapecie.

- Zadzwoń do ciebie później - warknął do słuchawki i cisnął ją na widelki. Pomyślałem, że lepiej zamknąć drzwi.

- Możesz zostawić drzwi otwarte - burknął. - My tutaj nie mamy przed sobą sekretów. - Wskazał na drugie krzesło. - Rozgość się.

Usiadłem. Odchrząknął i przez jakąś minutę przewracał szpargały na biurku, potem zdjął okulary, odchylił głowę i wpatrzył się w sufit.

- Nie chciałbym wyjść na malkontenta - zaczął - ale mam swój sposób załatwiania spraw, jasne? Może nie jest to całkiem regulaminowe, może nie bardzo przypada do gustu fedziom, ale tak już jest. A ty nagle zaczynasz kierować całą operacją, rozsyłasz mi ludzi po mieście, wyczyniasz jakieś sztuczki z wędrownym alfonsem i różne takie. Ponieważ nie lubię dusić pretensji w sobie, więc stawiam sprawę jasno.

- Tylko o to ci chodzi? - zapytałem, gdyż wydawało mi się, że jest jeszcze jakiś inny powód jego niezadowolenia, nie wiedziałem jednak jaki.

- Na razie, tak.

- W porządku - powiedziałem. - To twoje boisko, może więc powiesz mi dokładnie, jakie obowiązują tutaj reguły.

Otworzył szufladę i wyciągnął z niej arkusz papieru.

- To mój grafik. Wiele czasu nad nim spędziłem, aby uzyskać pewność, że mam poustawiane wszystkie ważne sprawy i że ludzie mają wolne, kiedy jest im to potrzebne. Teraz ty w to wszystko ingerujesz, co spowoduje cholerne kłopoty.

Nie lubię być spychany do obrony, nie lubię też przepraszać i tłumaczyć się.

- To rozsądne - stwierdziłem. - A czy moglibyśmy pójść na pewien kompromis?

- Jaki, na przykład?

- Taki, na przykład, żebyśmy usiedli razem i sporządzili listę priorytetów.

- Mam już taką listę.

- Wiele by ułatwiło, gdybyś mnie z nią zapoznał.

- Zrobię to, jak przyjdzie taka potrzeba.

- Słuchaj, Szkop, nie przyjechałem tutaj, żeby ci się wpietrzać w paradę. Masz tu paczkę fajnych ludzi, trochę kanciastych, co zresztą na dłuższą metę może okazać się korzystne. Staram się jedynie trochę ich ukierunkować.

- Jest hierarchia - powiedział obcesowo.

- Jaka hierarchia? Ty sam jesteś tutaj najwyższym szczeblem. Przepraszam, jeśli nastąpiłem ci na odcisk...

- Nie o to chodzi - uciął gwałtownie.

- No to o co? Słuchaj, tam gdzie chodzi o pogonienie złodziejasków czy popędzenie kota handlarzom narkotykami czy kurewkom, to twoja sprawa. Nie przyjechałem tutaj, żeby siedzieć na tyłku, przyjechałem, żeby wykonać swoją robotę, to znaczy załatwić bandę Taglianiego. Miałem wrażenie, że wyraźnie ustaliliśmy to już sobie.

- Nie rozpieprzaj mi grafiku! - wrzasnął i walnął pięścią w blat biurka.

Skoczyłem na równe nogi.

- Odwal się z tym twoim grafikiem! - powiedziałem wolno i wyraźnie. - Może poszukam sobie pomocy gdzie indziej i wszystko załatwię sam. I nie podnoś na mnie głosu. To nie uniwersytet.

Blefowałem, ale chciałem oczyścić trochę atmosferę, zanim nie będzie za późno. Czasami najlepszym sposobem na rozładowanie sytuacji jest podpalenie lontu. Wcale mu się to nie podobało. Zobaczyłem, że stracił panowanie nad sobą. Oczy groźnie mu się roziskrzyły, a na wąsach pokazały się kropelki potu. Ruszyłem ku drzwiom.

- Powinieneś być mi powiedzieć o sobie i Doe Raines - rzucił, zanim dotarłem do wyjścia.

Więc o to chodziło. Titan spuścił tygrysa z uwięzi.

- Niby dlaczego? To sprawa osobista. I Titan dobrze o tym wie.

- To nie od Titana wiem o sprawie.

- A niby od kogo innego? - zapytałem. - Do diabła, to było dwadzieścia lat temu.

Uniósł brwi, przechylił się przez blat i powiedział tylko:

- Babs Thomas.

Poczułem się jak głupiec. Za nic w świecie nie chciałem w tym momencie okazać Szkopowi swego rozżalenia. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a miałem wrażenie, że upłynęła dobra godzina. W końcu jego ramiona rozluźniły się. Otarł usta wierzchem dłoni.

- *Sheiss* - mruknął półgłosem i opadł na krzesło. - Siadaj.

Zacznijmy od początku.

Usiadłem. Nie warto się było spinać. Obaj powiedzieliśmy to, co chcieliśmy powiedzieć.

- Może byś mi wyjaśnił, jakie miejsce widzisz dla mnie w twoim sklepiku.

Było już po burzy.

- To żaden problem - powiedział. - Wiesz, trochę się zagotowałem. Nie lubię o facecie, z którym mam pracować na dobre i na złe, dowiadywać się jakichś rzeczy od miejscowej plotkarki.

- Ona tylko zgaduje - powiedziałem lekceważąco.  
- Ale ma rację? Było coś między tobą a Doe Raines?  
- Kurczę, Szkop. Miałem w college'u romans z Doe Findley. Dawno temu, wszystko skończyło się raz i na zawsze. A poza tym, co ma piernik do wiatraka?

- Każdy skandal jest nam teraz potrzebny jak dziura w butcie.

Z jednej strony miałem prawo się oburzyć, z drugiej – on miał więcej racji, niż mogłem przypuszczać. Nie bardzo wiedziałem, jak poradzić sobie z sytuacją, nie mówiąc mu o wszystkim.

- Nie będzie żadnego skandalu - powiedziałem w końcu.

- Na pewno? - zapytał poważnie.

- Na pewno.

Pokiwał wolno głową.

- W porządku. Przepraszam, że dotknąłem tej sprawy, cieszę się jednak, że mamy to teraz z głowy. Ale dziś rano przepuścili mnie przez maszynkę. Titan i Donleavy zjawili się tutaj obaj i złożyli ultimatum.

- Czy Donleavy wie o Doe i o mnie?

- Wątpię. Ta sprawa się nie pojawiła.

- To co im leży na wątrobie?

- Nietrudno zgadnąć - westchnął. - Moim zadaniem było nie wpuszczanie tutaj ludzi typu Taglianiego. Teraz chcą, żeby wszystko wyprostować. Titan domaga się, żeby wyrzucić ich z miasta.

- Takie numery skończyły się wraz z Buffalo Billem.

- Sam im to powiedz. W każdym razie Raines wszystko już sobie obmyślił. Ma być to akcja pod hasłem: „Ani widu, ani słyhu”.

Sprawy zaszły już za daleko.

- O tym wiemy: ja i ty.

- Ale nie oni, tak?

- Żyją przeszłością - mruknął. - Donleavy nie ma żadnego pojęcia o mafii. Za dużo się naoglądał filmów Jamesa Cagneya.

- Jeśli się nie mylę - powiedziałem - Donleavy maczał w tym palce. Zdaje się, że ochraniał tych facetów.

- Myślę, że można by to ująć tak: wszystko kończy się tutaj - powiedział, wskazując na siebie. - Wyżej każdy jest czysty.

- Jak mogłeś dać się wplątać w taki układ? - zapytałem. - Nie wyglądasz na faceta, który włazi w dupę jakiemuś Donleavy'emu.

Myślałem o opowieści Jednouchego Charliego, jak Szkop zatrudnił jego i Salvatore. Byłem pewien, że Szkop przykładał tę samą metkę do całej reszty swoich zabijaków.

- W odniesieniu do mnie reguły się zmieniły - oznajmił ze smutkiem. - Leadbetter był swego rodzaju pośrednikiem. Kiedy jego zabrakło, wszystko zważyło się na mnie. Jak dotąd nie było żadnych pretensji.

- Jak dotąd nie było to takie ważne - powiedziałem.

Popatrzył na mnie przeciągle. Wpychałem go w imadło i wiedział o tym. Chciał, żebym mu odpuścił, ale tego nie mogłem zrobić. Potrzebny mi był w tym właśnie miejscu, między mną a pieprzonym Komitetem. A to znaczyło, że - chce czy nie chce - musi świecić przed nimi oczyma.

- Nikomu nie przepuścisz, co, koles'?

- Nie chcę cię pouczać, jak masz robić swoje, Szkop. Mógłbym ci poradzić, żebyś mi zaufał, ale nie znasz mnie jeszcze na tyle dobrze. Chcę ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem, cała ta sprawa niedługo wybuchnie. To beczka prochu na ognisku.

- To co ja mam zrobić? - Wyciągnął ręce jak tonący, który za chwilę trzeci raz pójdzie pod powierzchnię wody.

- Staraj się nie dopuścić do eksplozji - poradziłem. - Muszę znaleźć klucz, który pozwoli mi ustawić całą Trójkę pod ścianą.

- Co to za klucz?

- Muszę wytoczyć przeciw tym sukinsynom sprawę o OPOP.

- Przecież to może potrwać lata! - wykrzyknął.

- Tyle że mamy już na nich haka - powiedziałem. - Znam zawodników i wiem, jak działają. Wiesz, czego mi potrzeba? Korupcji w tym mieście.

- Kogo podejrzewasz? - zapytał.

- Cholera, w tym drewnie jest tyle korników, że niełatwo powiedzieć. Daj mi na kilka dni wolną rękę z twoim SOS-em. Działajmy razem, ale jak coś wyskoczy, żebym nie musiał gnać tutaj i wprowadzać cię we wszystko. Zaufaj mi na tyle. Zagonię twoich chłopaków na śmierć, ale na dłuższą metę to się opłaci.

- W porządku - Jednouchy, Salvatore i Cowboy Lewis już i tak zapalili się do roboty z tobą. Zapata jeszcze się waha, ale nie potrwa to długo. Trzeba więc jeszcze tylko przekonać Kite'a Lange'a, Szцениaka Mufalattę i Pancho Callahana. Nie wiem, jak to zrobisz, ale na pewno ci się uda.

- Jestem po prostu czarujący. - Uśmiechnąłem się, chcąc trochę rozładować atmosferę.

- To jak, masz jakieś podejrzania? - nacisnął jeszcze raz.

- Może Raines. Taki ścichapęk, trzyma się jak najdalej od wszystkiego, a Donleavy'ego wysuwa na pierwszy plan.

- To się nie trzyma kupy, Jake. Mają więcej do stracenia niż ktokolwiek inny. A zwłaszcza Harry.

- Harry Raines nie zdobył swojej pozycji za darmo - powiedziałem. - Jest ambitny i myślę, że szacunek nie jest wszystkim, na czym mu zależy. Mafia mogła mu zaproponować coś znacznie większego od stanowiska gubernatora stanu. Mają straszne plecy w Waszyngtonie.

Pokręcił głową.

- Masz robaczywe myśli.

Nie powiedziałem nic więcej. Nie powiedziałem, że chciałem, żeby Raines był w to wplątany. Albo Donleavy. Ani tego, że chciałem, by tak było z powodów zupełnie osobistych, gdyż kochałem żonę Rainesa. Do diabła, jestem tylko człowiekiem.

## 24. URZĘDOWE PROCEDURY

Kiedy wyszedłem od Szkopa, Jednouchy Charlie siedział w pobliżu automatów z napojami. Spojrzał na mnie pytająco. Kciuk i palec wskazujący ułożyłem w „o” i mrugnąłem porozumiewawczo.

- To ten wasz zasadniczy brak komunikacji - powiedziałem.

- W porządku - uśmiechnął się. - Szkop to fajny gość. Każdy z chłopaków dałby się za niego zabić.

- Zasznużył sobie na to - rzekłem. - Ma parszywą robotę, a teraz jeszcze miejscowe ważniaki stawiają go pod ścianę.

- Chciałem tylko mieć pewność, że to rozumiesz - pokiwał głową Jednouchy. - Równy z ciebie chłop i tak dalej, ale chcemy ci pomóc, bo wydaje się, że to jedyna dla niego szansa.

Jasne było, że Charlie jest rzecznikiem całego SOS-u, choć może określenie „przewodniczący” byłoby bliższe prawdy.

- Dzięki za szczerość, Charlie. Skoro nie ma już między nami żadnych nieporozumień, pozwolę sobie wykorzystywać tę waszą lojalność przy każdej okazji.

Wyciągnął do mnie rękę z uśmiechem.

- Jak na razie wygląda na to, że wiesz, co robisz. Mam nadzieję, że dopiszę kolejny rozdział do legendy, która podobno buduje się wokół mojej osoby. Rozpieprzenie Trójcy wraz z Jake'em Kilmerem.

- Oby tak się stało - powiedziałem. - Czas działa na naszą niekorzyść.

- Także i ja doszedłem do tego wniosku - zgodził się Jednouchy i ruszyliśmy ku drzwiom. - Zdaje się, że komuś w Dunetown zależy na tym, by zatuszować sprawę tych morderstw.

- Zauważyłeś to?

- Jasne. Liczą najwyraźniej na to, że uda im się zrobić porządek, zanim wszystko wypłynie na wierzch. Myślę jednak, że ludzie u władzy zdają sobie sprawę, iż koledzy z wydziału zabójstw nie mają tak dobrze zgranych zadków, żeby harmonijnie pierdzieli na komendę.

- Czerw mówił ci, jakich informacji potrzebujemy?
- Tak - potwierdził Charlie. - Zabiorę się za to po południu. Chciałem się tylko upewnić, że ze Szkopem wszystko dobrze się ułożyło.
- Życzył sobie jedynie, żebym nie rozpieprzał mu harmonogramu - wyjaśniłem.
- Od pierwszego tygodnia, gdy zaczęliśmy razem pracować, całymi dniami przesiadywał nad tym cholernym harmonogramem - powiedział Jednouchy z dziwnym grymasem na twarzy.
- A ja myślę, że po prostu chciał wypuścić z kotła trochę pary - zaśmiałem się.
- Ale, ale, trzeba ci wiedzieć, że Cowboy może czasami wydawać się tępay, lecz tak naprawdę jest świetny. Zaskakuje z jakimś dziesięciosekundowym opóźnieniem.
- Jasne - powiedziałem. - Zawsze tak było?  
Jednouchy potrząsnął głową.
- W Wietnamie odwalilo mu tył głowy. Ma teraz metalową płytkę. To dlatego nosi te śmieszne baseballowe czapeczki. Chowa pod nimi łyse miejsca.
- Nie wiedziałem, co powiedzieć. „O rany, to i takie numery tam były?”  
Każdy wiedział, że były.
- Mówię o tym dlatego, że Cowboy, zanim poszedł na wojnę, był szeryfem w Waco w Teksasie. Kiedy wrócił, nikt nie chciał go zatrudnić. Szkop odnalazł go w Nowym Orleanie, pracował w dokach.
- Dziękuję, Charlie. Dobrze, że o tym wiem.
- Jestem pewien, że listę będziesz miał gotową na jutro. Zrobi ci ją, choćby miał siedzieć nad nią przez całą noc.
- Powiedz mu ode mnie „dziękuję” - poprosiłem.
- Powiedz mu to sam - rzekł Charlie. - Ruszam do roboty.
- Cowboy Lewis siedział w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłem, i nadal ślezczał nad swoim niezwykłym notatnikiem.
- Cowboy, nie zapracuj się na śmierć, dobra?



- Jutro - westchnął, zakładając na głowę swoją czapeczkę. - Muszę dzisiaj popilnować Logeta, ale na jutro będziesz wszystko miał gotowe.

- Dzięki.

- Aha, Zapata kazał ci powtórzyć, że wychodzi poszukać tego gada, który cię postrzelił.

- Nazywa się Turk Nance - powiedziałem.

- Turk Nance, w porządku - powtórzył z uśmiechem. - Zapata znajdzie go, masz to jak w banku.

- Myślę, że będę musiał wziąć lekcje kaligrafii - sapnął, kiedy zbierałem się do wyjścia. - Sam nie mogę odczytać swoich pieprzonych notatek.

Zanim doszedłem do drzwi, wyrosła przede mną zupełnie nowa postać. Policjant z twarzą przypominającą gofra.

- Nie mieliśmy okazji poznać się wczoraj wieczorem - powiedział. - Nazywam się Kite Lang.

- Jake Kilmer.

- Znam się na drucikach - oznajmił. - Jeśli tylko chcesz, żeby zamontować gdzieś podsłuch, daj mi znać, dobra? Potrafię przypiąć słuchaweczkę do lecącej muchy tuż przed twoim nosem tak, że niczego nie zauważysz.

- Wspaniale.

- Nie, żebyśmy się przechwalał. - Jego zmaltretowana twarz rozplynęła się w uśmiechu. - To talent zesłany przez Boga.

- Mam nadzieję, że go nie nadużywasz - zażartowałem.

- Nigdy, chyba że ktoś mnie poprosi - zapewnił Kite. Potem dodał: - Słyszałem, że byłeś w Wietnamie.

- Tak.

- Kiedy?

- 67-68. Powrót do domu wstrzymali z powodu ofensywy Tet.

- Gdzie służyłeś?

- W wywiadzie wojskowym. A ty?

- Byłem pilotem helikoptera sanitarnego.

- Ile miałeś lotów?

- Podskoczyłbyś do sufitu, gdybym ci powiedział.

Na chwilę się zawahałem, nim zadałem następne pytanie, ale potem pomyślałem: do diabła, mam przecież zostać jednym z nich.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Wał.

- Za co cię wypieprzyli i jak się tu dostałeś?

Lange zaniósł się śmiechem.

- No proszę, prosto do celu, nie ma co. Dobra, latałem helikopterem w drogówce w Denver. Trzech facetów obrobiło bank, a ja leciałem za nimi na wysokości jakichś pięciuset stóp. Niebiesko-biały zbliżał się już do nich, ale stracił panowanie nad maszyną i wyleciał z drogi. Wtedy ja musiałem się nad spieszącym autem. Kapujesz, parę stóp nad dachem. Wisiałem tak sobie nad nimi, podając pozycję i starając się zepchnąć ich z szosy, kiedy napatoczył się ten cholerny most kolejowy. W ostatniej chwili musiałem poderwać się, żeby nad nim przeskoczyć.

- Tak.

- Nie wiedziałem, że przejeżdża właśnie pociąg towarowy i wleciałem do środka otwartego wagonu. Traf chciał, że była to ulubiona maszynka burmistrza. Nazwisko na burcie i takie tam. Trzeba było potem zobaczyć to cacuszko. - Przerwał i cmoknął z podziwem. - Wyglądało, jakby dostał je na obiad Jolli Zielony Gigant.

- Więc hop-siup wywalili cię, bo zniszczyłeś ulubioną zabawkę burmistrza.

- No i miasto musiało jeszcze zapłacić kolei za zniszczony wagon. Nie urządzili nawet żadnego pożegnania.

- Szczęście, że wyszedłeś z tego z życiem - powiedziałem.

- Widzisz, co się stało z moją twarzą? - zapytał Kite, ciągle się uśmiechając.

- Co robiłeś, gdy znalazł cię Szkop? - Oczekiwałem odpowiedzi, że sprzedawał auta lub coś takiego.

- Byłem kierowcą w Roanoke w Wirginii u jednej dziennikarki. Po pracy w policji była to poniekąd pewna degradacja, ale i tutaj zdarzały się niezłe momenty. Dawała mi całkowitą swobodę, kiedy wracaliśmy do domu w popołudniowym tłoku.

Teraz ja się roześmiałem.

- Niezły z ciebie musi być pilot - powiedziałem.

- Po Wietnamie wszystko wydaje się ciastkiem z kremem.

Wtedy przyszedł mi do głowy ten pomysł. Do tej pory nie mogę uwierzyć, że tak było naprawdę. Specjalista od Urzędowych Procedur, ekspert, zawsze-w-porządku Jake Kilmer. Być może zaczynał mi się udzielać nastrój zabijaków.

- Mam pewną myśl - powiedziałem.

- Wal.

- Wiesz, gdzie jest główny oddział Seacoast Bank, nad samą rzeką?

- Łatwo znaleźć.

- Chciałbym wiedzieć, z kim prezes robi interesy. Z kim rozmawia w ciągu dnia, tego typu rzeczy. Nazywa się Charles Seaborn.

- Telefon? - zapytał Lange. - A może chcesz także pluskwę? Mam taką zupełnie specjalną.

- Nie, nie będą tacy tępi.

Gofrowata twarz Lange'a znowu rozjaśniła się w uśmiechu.

- Załatwione.

## 25. LUDZIE-BŁYSKAWICE

Przez całą drogę do hotelu myślałem, że pewnie zadzwoniła, odwołując spotkanie. Wyobrażałem to sobie tak intensywnie, że zacząłem się pocić; tak to jest, kiedy starasz się wymyślić coś aż tak złego, że z pewnością nie

będzie mogło się wydarzyć. Zaczęło mi się kręcić w głowie i zanim dotarłem do hotelu, odbyłem już w myśli całą rozmowę z Doe. Chciałem wreszcie, po raz pierwszy i ostatni, wszystko z siebie wywalić.

Szybko dotarłem do swego pokoju i nie znalazłem kartki ani żadnej informacji o telefonach. Poczulem się niemal rozczarowany.

Lepiłem się od potu, ściągnąłem więc koszulę i spodnie i siadłem przed klimatyzatorem w samych slipach. Siedziałem tak, dopóki nie zrobiło mi się zimno. Zajęło mi to piętnaście minut, co oznaczało, że pozostały mi jeszcze cztery godziny.

Ciągle czekałem, mając nadzieję, że zadzwoni telefon i usłyszę jej głos; powie mi, że nici z naszej randki. Napięcie było straszliwe. W końcu zdjąłem słuchawkę z widełek, ale zaczęła piszczeć jak zepsute hamulce, więc odłożyłem ją z powrotem. Siadłem na łóżku, znowu podniosłem słuchawkę, a kiedy zaczęła zawodzić, przycisnąłem guziczek i czekałem jakąś minutę, po czym zwołałem przycisk. Na tym zajęciu spędziłem następny kwadrans, aż rozboleł mnie palec.

Okolo szóstej zamówiłem stek z ziemniakami i sałatką oraz kawę. Dopiero pierwszy kęs przypomniał mi, jak fatalne jedzenie podają do pokoiów. Zresztą nie byłem wcale głodny. Kawę przyniesiono w jednym z tych utrzymujących ciepło czerwonych dzbanków, które zawsze wyglądają na brudne. Była oczywiście letnia, ale wypilem ją, bo stanowiło to jakieś zajęcie.

Staralem się jakoś zabić czas. Ale kogo właściwie mam oszukiwać: patrzyłem jak czołga się, pełźnie, powoli, leniwie i co pięć minut sprawdzałem zegarek. Doprowadzony do rozpaczyny usiłowałem czytać raport Cisco o Dunetown. Gdyby został sporządzony przez izbę handlową, pewnie nie dowiedziałbym się z niego mniej. Cisnąłem sprawozdanie do kosza i przez następne pół godziny gapilem się w telewizor.

O siódmej postanowiłem wziąć kąpiel, rozluźnić zmęczone mięśnie i uporać się z kolejnymi trzydziestoma minutami. Włożyłem korek i odkręciłem krany. Woda była niesamowicie gorąca - musiałem najpierw na

przemian podrywać się i przysiądać i dopiero po dziesięciu minutach takich igraszek mogłem zanurzyć się ostatecznie. Woda wspaniale odprężyła, szczególnie wtedy, gdy jest tak gorąca, że prawie nie da się w niej wytrzymać. Otwiera umysł, rozplątuje pajęczę sieci, pozwala oddzielić rzeczy ważne od bzdur. Rodzaj przyjemnego lekarstwa.

Kiedy posiedziałem już w wannie około kwadransa, usłyszałem w sobie jakieś głosy. Mówiły szeptem rzeczy, o których nie chciałem słuchać. Głosy nie zawsze mówią to, co nam odpowiada.

Oprzytomnij, Kilmer, mówią głosy, przyrzekłeś coś Szkopowi. Żadnych skandali, obiecałeś mu, a on ci uwierzył i o nic dalej nie pytał.

Oprzytomnij, Kilmer, nie można zatrzeć dwudziestu lat jednym pocałunkiem, uśmiechem i przewracankami na sianie. 1963 to już historia. Wtedy miałeś jeszcze jakieś perspektywy. A co masz dziś? Czerw dobrze to ujął: Pieprzony Holiday Inn, to wszystko. To naprawdę przyprawi Doe o śmiech, przynajmniej przez pierwsze pięć minut.

Ocknij no się, Kilmer, nie potrafisz już nawet odróżnić rzeczywistości od fantazji.

Po pewnym czasie miałem już serdecznie dość wszystkich głosów, ale i radio nie bardzo pomagało. Nastawiłem jedną z tych przyjemnie słuchających się stacji: Eydie Gorme śpiewała *Who's Sorry Now?* Tego właśnie było mi potrzeba: ściszająca się w tle muzyka, której każda nuta łkała.

Podniosłem stopę i odkręciłem palcami kurek od ciepłej wody, i pozwoliłem jej lecieć tak długo, że w końcu musiałem zagryźć wargi, by wytrzymać ten ukrop. Zakręciłem kran, gdy temperatura zbliżała się do punktu wrzenia. To wszystko zajęło mi kolejne piętnaście minut.

Należało spojrzeć na całą sprawę z pewnego dystansu, oddzielić to, co rzeczywiste, od tego, co chciałem za takie uważać. Powinienem zdobyć się na obiektywizm.

Ale moje myśli pobrnęły w inną stronę. Pobrnęły ku miękkiemu miejscu

u nasady jej szyi, gdzie można było dostrzec pulsowanie krwi. Ongiś tyle razy wpatrywałem się w nie i liczyłem tętno. Wiedziałem, kiedy staje się podniecona.

Myślałem o sposobie, w jaki zamykała oczy i rozchyłała wargi na ćwierć cala na chwilę przed pocałunkiem, moim pocałunkiem. Miała najdelikatniejsze usta na świecie. Można było się zakochać w samych wargach; były takie miękkie, nigdy nie czułem jej zębów. Nie wiem, jak to robiła. W każdym razie wargi miała miękkie jak poduszka.

Trzy lata, tyle musiałem czekać, patrząc jak z piętnastoletniego podlotka przeobraża się w osiemnastoletnią kobietę, każdego weekendu obserwując, jak odgrywają role brata i siostry, kiedy przyjeżdżała do Athens na nasze mecze. Miało to uspokoić Chiefa. Gdy miała już około szesnastu lat, jej pocałunki na pożegnanie stały się bardziej miękkie. I dłuższe.

Można by wręcz powiedzieć, że przeciągle.

Daj sobie z tym spokój, Kilmer. Pomyśl o czymś innym. Drobiazgi, skup się na drobiazgach. I na faktach. Realia, o to nam chodzi.

Zacząłem wspominać przyjęcie z okazji jej osiemnastych urodzin. Powracało do mnie w oderwanych fragmentach jak film, w którym zerwała się klisza i trzeba było wyciąć trochę klatek.

Przez cały dzień nie pozwalała mi się zobaczyć. Można by pomyśleć, że to dzień ślubu. Wczesnym przedpołudniem Chief, Teddy i ja pojechaliśmy do biura Findleya na Factors' Walk. Było to jakby czymś w rodzaju rytuału, że kiedy przyjeżdżaliśmy na weekend, w sobotę rano odwiedzaliśmy biuro. Musieliśmy mieć krawaty i marynarki, by dać pracownikom przykład, że choć jest sobota, to nie można sobie folgować. Chief przywiązywał wielką wagę do tego, żeby dawać właściwy przykład. Biuro było otwarte tylko przez pół dnia, więc pracownicy uważali, że i tak dobrze na tym wychodzą. - W poniedziałek rano będziemy mieli cztery godziny przewagi nad konkurencją - mówił Chief, mrugając porozumiewawczo. Często puszczał oko, gdy chciał podkreślić jakieś słowo, a Teddy przejął od niego ten zwyczaj.

Zwykle dogadywał przez telefon jakiś interes, żebyśmy zobaczyli, jak to się robi. Kiedy związane to było z jakąś machlojką, lewe oko miał pół-przymknięte. Teddy nazywał je Diabelskim Okiem. Jeśli oko zaczynało się przymykać jeszcze bardziej, uwaga!, zdobycz była w pobliżu, a on szykował się do skoku. Jest to jedna z tych cech, którą bogaci dziedziczą: zmysł zabijania. Przypuszczam, że to właśnie czyni ich bogaczami: instynkt skakania do gardła.

Nigdy nie miałem prawdziwej żyłki do biznesu. Findleyowie zajmowali się wszystkim: bawełną, statkami, nieruchomościami, przemysłem, rolnictwem, czym tylko sobie życzysz. Mnie przyprawiało to jedynie o kompletnego kręčka. Myślę, że Teddy również nie odczuwał pociągu do ojcowskich interesów, Bardziej interesowało go rozrabianie. I orzeszki. Tak to nazywał, orzeszki. „Choć, Junior, skoczmy na plażę i poszukamy jakichś orzeszków”.

Następny obraz. Tego właśnie ranka biuro było zamknięte dla uczczenia osiemnastych urodzin Doe. Kiedy dotarliśmy na miejsce, stróż wpuścił nas i pojechaliśmy na trzecie piętro. Bardzo lubiłem ten budynek. Wszędzie mosiądz i dąb, wszystko wypa stowane i wypolerowane do połysku.

Chief stał w swoim gabinecie, który, tak mi się teraz wydaje, zajmował połowę całego piętra, szeroko rozpostarłszy ręce.

- Chcę to podzielić, chłopcy, na trzy pokoje - powiedział.

- Ja wezmę ten róg, wybierzcie, który woli widok na rzekę, a który na park. - Potem rzucił monetę.

- Co wybierasz, Jake? - zawołał. Nie pamiętam, co odkrzyknąłem, w każdym razie przykrył pieniądze dłonią, zajrzał pod nią, a potem powoli podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie.

- Wygrałeś, Jake. Wybieraj, rzeka czy park? - Pomyślałem, że Teddy wolałby spoglądać na rzekę i miał do tego prawo, gdyż bez wątplenia panorama była piękna. Wybrałem więc widok na park.

Pamiętam, że Chief spojrzął na mnie przeciągle, lewe oko na chwilę się zmrużyło, a potem powiedział:

- Cóż za wielkoduszność, Jake.

Diabelskie Oko. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że Chief dostrzegł w moim wyborze przejaw słabości. Dla niego prawdziwy zwycięzca bierze wszystko.

Im bardziej zanurzałem się we wspomnieniach, tym szybciej zmieniały się obrazy. Samo miejsce: stokrotki w całym Windsong, całe setki. I świece, mój Boże, musiało ich być z dziesięć tysięcy, tak wiele, że groziło to pożarem.

Ludzie. Chyba trzysta osób, śmietanka towarzyska. Czarne krawaty, orkiestra, szampan, nakrycia. Chief osobiście wszystkiego dopilnował. Nazywają to smakiem, coś z czym bogacze się rodzą.

- Należą ci się słowa uznania, Junior - powiedział Teddy, kiedy poprawiałem mu czarny krawat. - Trzy lata, bracie, ale wytrzymałeś.

- O to chodziło? Próba?

Zanim goście zaczęli się zjeżdżać, Chief wyszedł z nami na taras, otworzył butelkę szampana i spoglądaliśmy na zachodzące słońce. Wypiliśmy toast za Doe i rozbiliśmy kieliszki o wielki dąb.

- Jeszcze rok, chłopaki - odezwał się Chief- i wyjedziecie na studia. Czas zacznie lecieć wam jak szalony. Zanim się zorientujecie, będziecie już z powrotem, tkwiąc po uszy w interesach.

Inny fragment pułapki: Chief, z taką pewnością przewidujący wszystko, układa nasze życie. Tyle że wtedy wyglądało to dobrze. Zawsze wygląda dobrze, kiedy jesteś w środku. Dotknął mego ramienia; w jego palcach był ładunek. Taki właśnie był Chief. Tacy byli oni wszyscy troje. Ludzie-błyskawice. Czuło się, że powietrze wokół nich trzeszczy od nadmiaru elektryczności.

- Jaki wspaniały wieczór - powiedział.

Nawet w połowie nie wiedział, jak wspaniały.

Zapadł już mrok, wszystkie świece były zapalone, goście zgromadzeni i wtedy ukazała się ona. Jeszcze dziś tracę oddech, kiedy wspominam tę chwilę. W ustach znowu mi zasycha, a ręce zaczynają drżeć, gdy widzę ją,



jak wkracza w feerię migotliwych świateł, odziana w białą suknię ze szkarłatną szarfą, oplatającą jej kibić i podkreślającą cudowne linie ciała. Zalśniła jak błyskawica. Zewsząd rozległy się oklaski, a ona podeszła wprost do Chiefa i ucałowała go. Chief zawsze był pierwszy. Potem podeszła do nas; czułe miejsce pulsowało jak szalone i ze wszystkich sił musiałem się powstrzymać, żeby nie chwycić jej w ramiona. I tak było przez całą noc. Ani na chwilę nie znalazłem się przy niej naprawdę blisko. Myślę, że nigdy to nie nastąpi.

Przyjęcie skończyło się koło trzeciej nad ranem i wszyscy byliśmy trochę podchmieleni szampanem. Teddy przygruchał sobie jedną zwariowaną panienkę; całą czwórką załadowaliśmy się do wózka golfowego i pojechaliśmy na plażę. Ja miałem kierować, bo on z tyłu próbował schrupać orzeszka. Kiedy wsiedliśmy, Doe i ja powinniśmy byli się pilnować i broń Boże nie dotykać jedno drugiego. Stało się jednak inaczej. Nachyliła się ku mnie, położyła rękę po wewnętrznej stronie mojego uda i oplótszy palcami kolano, mocno je ścisnęła, a mnie przeszył prąd elektryczny.

Na plaży pokręciliśmy się trochę wózkiem pośród wydym w świetle księżycy. Teddy otworzył butelkę szampana, zatkał kciukiem, potrząsnął i skierował na nas pianisty strumień. Wszyscy byliśmy zmoczeni, a zwariowana panienka wyskoczyła na piasek, pognęła ku morzu i wbiegła w ubraniu do wody. Teddy skoczył za nią. Zawróciliśmy i zostawiliśmy ich samych, baraszkujących przy brzegu.

Pamiętam, jak Doe powiedziała: - Zatrzymaj się jak najszybciej, Jake. Błagam! - Nigdy dotąd nie słyszałem takiego tonu w jej głosie. Wymówiła to niemal szeptem i niemal bez tchu. Wjechałem na szczyt małej wydmy i gwałtownie nacisnąłem na hamulce. Wskoczyliśmy, zanim wózek się zatrzymał, a on zsunął się w dół i ugrzązł w piachu u podnóża wydmy.

Byliśmy jak zwierzęta wypuszczone z klatki, dotykaliśmy się, ocierali się o siebie, obejmowali. Znalazłem miękkie miejsce u nasady jej szyi,

a kiedy je całowałem, poczułem jej serce bijące w mych ustach; krzyknęła i gwałtownie zaczęła zdzierać z siebie suknię, piersi wytrysnęły na wolność, a ja spuściłem głowę i otworzyłem usta tak szeroko, jak potrafiłem, i wysysałem ją, czując sutki twardniejące pod dotknięciami języka. Jej dłonie pobiegły w dół, odnalazły mnie i zaczęły głaskać. W końcu rozpiąłem do końca suknię i ściągnąłem ją przez stopy, a ona, zahaczywszy kciukami za majtki, jednym ruchem zerwała je z siebie. Potem pomogła mi pozbyć się ubrania i przez chwilę leżeliśmy tylko, patrząc sobie w oczy. Potem znowu całowaliśmy się, obejmowali i głaskali, aż wreszcie poczułem, jak rozstępuje się pod moimi palcami, wciąga na siebie, wprowadza do środka i jak obejmują mnie, miażdżą, pozerają jej miękkie mięśnie...

Dobra robota, Kilmer! Właściwa perspektywa i obiektywizm, prawda?

No właśnie.

## 26. SREBRNA DOLARÓWKA

- Och, Boże, nie wyjmuj go!
- Weź go, weź go całego.
- Och, och, nie przestawaj!
- Zawsze taka sama, nigdy nie masz dość, co malutka?
- Nigdy!
- Teraz...
- Jeszcze... ach, tak, JESZCZE!
- Teraz...
- Co ty wyrabiasz?
- Teraz...
- Do cholery, pieprz mnie, ty sukinsynu!

- Jużzaraz jużzaraz
- OCH... ooch, taktak, ooch, taak, taak...
- Już, już... wyyladunek!
- Teraz, taaak, teeraz!
- RAZ i DWA i TRZY i... CZTERY...
- Och, ty... maszynko do jebania...
- Cho-le-RA!
- Nie przerywaj, najslodszy Jezu, nie przerywaj teraz!
- Będę... cię... zajebię cię... na śmierć... m-a-l-u-t...
- Och... Boże... TERAZ!
- Taaak.
- TERAZ!
- TAK!
- TERAZ!

Trochę później...

- Będzie mi ciężko przez ten tydzień, ty cholerniku...
- Do diabła, tylko ty jedna płaczesz za mną.
- Tak... Jeszcze...
- Niczego nigdy nie masz dość, co?
- Nie o to mi chodzi.
- Ja wiem, nie tylko o kutasa, chcesz wszystkiego.
- Po tej nocy będziemy mieli wszystko.
- Malutka, nigdy nie mów WSZYSTKO. I nigdy nie mów DOŚĆ.
- Wypieprz mnie znowu.
- Muszę oszczędzić trochę śmietanki, mała. Przed nami długa noc.
- A kiedy się skończy...
- Uczymy zakończenie. Wypierdolę cię tak, że ci odpadnie głowa.
- Przyrzekasz?
- Masz jak w banku.
- Dzisiaj pieprzyłeś jak szalony.

- O której on będzie?
- Za piętnaście minut.
- Cholera, jak taniec na linie.
- Kocham to. Pocałuj mnie.
- Chodź. Do zobaczenia, malutka.

Pogłaskał palcami jej gardło, potem od obojczyków przesunął je w górę do tętnicy szyjnej, znowu w dół i znowu w górę, ale tym razem palce zaciśnęły się mocniej, a jej twarz nabrzmiała.

Za mocno...

Za późno... Kciuki kobiety spazmatycznie chwyciły za palce obejmujące jej grdykę.

Oczy zolbrzymiały, z ust wypelzł język, ohydnie rozedrgany.

Wcisnął palce głębiej, coś trzasnęło. Bełkotała, miotła się, chciała uciec...

Nagle puścił jej szyję i gwałtownym ruchem ugodził ją dwoma palcami w skroń; życie zgasło w niej jak zdmuchnięta nagle świeca.

Ułożył ciało na łóżku, jakby do snu, zgasił światło i podszedł do okna.

Minęło dziesięć minut. Pod dom zajechały dwie czarne limuzyny. Z pierwszej wyskoczyło czterech mężczyzn, uważnie rozglądając się po ulicy. Dwóch weszło do budynku, dwaj pozostali stanęli przy drzwiach.

Kroki na schodach, przytłumione głosy. Na palcach przeszedł przez pokój i wśliznął się do szafy.

Jeden z dwójki, która znalazła się w środku budynku, otworzył frontowe drzwi i kiwnął głową do czekających na zewnątrz. Na ten znak goryl stojący o stopień niżej zbiegł do drugiego samochodu i otworzył tylne drzwiczki. Z wnętrza wysiadł wysoki, otyły mężczyzna, schludnie ubrany w granatowy blezer, brązowe gabardynowe spodnie, jasnoniebieską koszulę i ciemny krawat w prążki. Jego twarz świadczyła o tym, że kiedyś był znacznie szczuplejszy. Wszedł do hallu. Jeden z przybocznych wspiął się

na pierwsze piętro, rozejrzał się po podeście, a następnie pomachał dłonią do grubasa. Ten wszedł na górę, dał znak głową facetowi stojącemu pod drzwiami apartamentu, aby zszedł do hallu. Grubas wyjął klucz i otworzył drzwi.

Czwórka z obstawy skupiła się przy drzwiach wejściowych; rzucali srebrną dolarówką o ścianę wyłożonego grubym dywanem hallu.

Otyły mężczyzna stał w drzwiach, wpatrzony w kobietę, która spała na boku w skłębionej pościeli. Poczul, jak mu twardnieje na samą myśl o niej. Co za rozpustna suka. Z uśmiechem podszedł do brzegu łóżka i delikatnie zaczął nim potrząsać.

Drzwi szafy otwarły się bezgłośnie. Grubas usłyszał dopiero świst sznura opadającego mu na szyję. Nagły, okropny ucisk wokół gardła. Zareagował niemal natychmiast.

Niemal.

Noga napastnika podcięła nogi ofiary, grubas runął na twarz na łóżko. Szarpał się rozpaczliwie, walcząc o oddech, ale pętla zaciskała się nieubłaganie.

Zaczął drgać...

Drgać...

I drgać...

W hallu ludzie z obstawy bawiący się srebrną dolarówką słyszeli skrzypiące sprężyny.

- Cholera, ten Tony to nie traci czasu.

- Pieprzony buhaj. Dawaj, Rick, rzucaj.

Dolarówką brzęknęła, odbijając się od ściany, potem potoczyła się po dywanie i upadła tuż przy murze. A zwycięzca zanucił:

*Rzuc pieniążek se na ziemię,*

*A okrągły zatańcuje,*

*Nie dba baba o chłopaka,*

*Aż go całkiem wyroluje.*

## 27. NORMALNY BIZNES

Po wyjściu z wanny wytarłem się, pomaszerowałem nago do pokoju i wyciągnąłem się na łóżku, aby ochłonać. Obiektywizm to trudna rzecz, co tu gadać, a ja nie próbowałem jej od dwudziestu lat. Teraz, kiedy za oknem zaczęło się ściemniać, cienie w pokoju wydłużały się, jak palce wymierzone we mnie w geście oskarżenia. W samotności mroku romantyczny nastrój ulatniał się, a górę zaczęło brać poczucie rzeczywistości. Zaczęły powracać także inne wspomnienia. Znowu ożyły obrazy z przeszłości, nie były już jednak obramowane świecami i stokrotkami. Spośród groźnych cieni wyłonila się jedna twarz, wykrzywiona w szyderczym uśmiechu, twarz Titana Stoneya.

Pamiętam Titana na przyjęciu, mały facecik, odrobinę mniej niż pięć stóp pięć cali wzrostu, który zamiast smokingu nałożył swój normalny trzyczęściowy garnitur zimowy i zjawił się na chwilę przed triumfalnym wkroczeniem Doe.

Kilka razy w ciągu tego wieczoru pochwyciłem jego spojrzenie, utkwione we mnie agatowe oczy połyskujące w blasku świec. Nie zwróciłem wtedy na to żadnej uwagi, wydało mi się czymś bez znaczenia. Mr Stoney nieczęsto się uśmiechał, był cichym człowiekiem, zawsze pełnym rezerwy lub zamyślonym albo jedno i drugie, co spotyka się nierzadko u tych, którym natura poskapła wzrostu. Ale kiedy teraz to wspominałem, uderzyła mnie twardość tego wzroku; w jego oczach dostrzegłem niemal gniew, zupełnie jakbym go czymś obraził.

Kiedy Doe po triumfalnym *entré* oficjalnie przywitała się już z Teddym i ze mną, ściskając mi dłoń tak, że niemal zmiażdżyła palce, a potem pofrunęła witać innych gości, podszedłem do Titana, aby go pozdrowić. Popatrzył na mnie z dołu i wycedził:

- Dużo miałeś cierpliwości, he? Długo musiałeś czekać na ten wieczór, prawda?

- Co pan ma na myśli? - zapytałem z uśmiechem.

- Niedźwiedź jeszcze w lesie, mój chłopcze - powiedział i odszedł.

To było wszystko. Sarkastyczna uwaga, której nie powtórzył już ani razu w ciągu tego lata spędzonego u Findleyów. Zapomniałem o niej. Teraz przyszło mi do głowy, że Titan uważał mnie pewnie za niegodnego dziedzictwa Findleyów. A ponieważ wydawało się, że ten wieczór kończy okres próbny, najwidoczniej dał za wygraną. Później, bardziej niż kiedykolwiek dotąd, byłem traktowany jak członek rodziny Doe, ale Titan zawsze odnosił się do mnie chłodno, gdyż, jak sądzę, gniewało go to, iż pozwoliłem sobie na zbytnią poufałość wobec lepszych ode mnie.

Czy naprawdę przez te lata poddawano mnie próbie, czy też to tylko sobie tak uroliłem, specjalnie szukając pretekstu, by już nigdy więcej nie zbliżyć się do nikogo, pozostać bez korzeni, jak to określił Czerw? Żadne z tych podejrzeń nawet nie powstało wówczas w mojej głowie. Kiedy ma się dziewiętnaście, dwadzieścia lat i wszystko układa się dobrze, nie myśli się o takich rzeczach.

Teraz jednak w mrocznym pokoju zaczęły się we mnie rozrastać wątpliwości.

Czyżby istotnie wszystko było częścią testu ułożonego przez Findleya? Czy Teddy i Doe byli częścią tej trzyletniej próby, podczas której oceniali i sprawdzali moją wytrwałość, stanowczość, cierpliwość, lojalność, wszystkie te ważne cechy? Być może w ogóle nie zdałem egzaminu. Może dostrzegli we mnie jakąś fatalną ułomność, której nie byłem świadom, coś znacznie bardziej złowrogiego niż słabe kostki, coś, co nie przeszkodziło wprawdzie Teddy'emu uważać mnie za swego najlepszego przyjaciela, niemniej wykluczyło mnie z grona potencjalnych spadkobierców Findleya. Być może moja krew nigdy nie była dostatecznie błękitna.

Zbudź się, Kilmer.

Leżąc tak na łóżku, poczułem się jak kawałek żelaza uwięziony pomiędzy dwoma magnesami. Jeden ciągnął mnie ku Doe, Chiefowi i słodkiemu życiu, które ciągle może jeszcze na mnie czekało. Drugi - ku światu Tagliani, który, paradoksalnie, był znacznie bezpieczniejszy. Ufałem

Taglianim właśnie dlatego, że ich znałem i wiedziałem, iż nie można im ufać. Ta wiedza dawała poczucie bezpieczeństwa.

Zauważyłem liczne ostre krawędzie, które mnie przerażały. To zmąciło jasność widzenia. Dunetown było dla mnie groźnym miejscem. Zrywało ze mnie osłony, obnażało moją piętę Achillesa.

Magnesy wyrywały mnie z bezpiecznej samotni.

Leżałem znieruchomiały i wpatrywałem się w leniwy wentylator pod sufitem, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Pięć po dziewiątej zadzwonił telefon. Dzwonił długo i uparcie. Dwadzieścia po dziewiątej odezwał się znowu. Nie ruszyłem się i tym razem. Leżałem jak posąg. Nie mogłem z nią rozmawiać; nie teraz. O dziewiątej trzydzieści dzwoniący odczekał dwanaście sygnałów, policzyłem. Potem telefon terkotał co pięć minut. Za pięć dziesiąta usłyszałem skrobanie do drzwi. Brzmiało to jak przemarsz karalucha po kuchennym stole. Uniosłem się na łokciu i spojrzałem w tamtą stronę. Pod drzwi ktoś wsunął kartkę papieru. Podniosłem ją i przez jakieś pięć minut siedziałem w ciemnościach na brzegu łóżka, potem zapaliłem światło. Wiadomość telefoniczna od Szkopa Moreheada.

Następnym na liście okazał się Tony Logeto.

## 28. ŚPIEWAJĄCY SZNUR

Ubrałem się w ciągu kilku minut. Kiedy biegłem przez hall do garażu, z piskiem opon zatrzymała się obok black maria. Przednie drzwiczki otwarły się gwałtownie. Wskoczyłem do środka. Czerw wrzucił jedynekę i zostawił za sobą cal spalonej gumy.

- Do diabła, mam nadzieję, że to niedaleko - jęknąłem.
- Dziesięć minut - odpowiedział, umieścił na dachu czerwone światło



i włączył syrenę. Było to chyba najdłuższe dziesięć minut w moim życiu. Pognaliśmy na południe wzdłuż rzeki. Płynące po niej spóźnione łódki poławiaczy krewetek przybrały postać drobnych plamek światła.

Miejsce akcji znajdowało się w pobliżu Back O'Town; podupadły budynek, który przerobiono na dom z luksusowymi apartamentami, stał niedaleko potoku zwanego Hampton Run. Płaski dach, ozdobne drzwi wejściowe, eleganckie miejsce. Kilka samochodów policyjnych rozrzuconych było wzdłuż wąskiej uliczki biegnącej od frontu.

Przy drzwiach stał Cowboy Lewis; miał nieszczęśliwą minę.

- Spieprzyłem to - powiedział z pasją. - Przeszli mi pod nosem.

- Kto przeszedł, Cowboy? - spytałem.

- Ci, co ich załatwili - mruknął ponuro Lewis, nie patrząc mi w oczy.

- Ich? - usłyszałem głos Czerwia.

- Dwoje - wyjaśnił Cowboy, wskazując kciukiem za siebie. - Drugie piętro, od frontu.

- Kogo jeszcze? - zapytałem, kierując się już ku wejściu.

- Delię Norman. Nowe nazwisko!

Zatrzymałem się.

- Powinienem coś o niej wiedzieć?

- Była ulubioną panią Długonosego Gravesa - objaśnił Czerw.

Gwizdnąłem pod nosem.

Masakry dokonano w sypialni na drugim piętrze.

- Śpiewający sznur - pokiwałem głową, wpatrując się w szyję mężczyzny.

Szkop mruknął coś, co świadczyło, że nie znał tej sztuczki.

- Tak nazywają to Wietnamczycy, śpiewający sznur. Zrobiony na wzór węzła Dusicieli.

Brytyjczycy znali tę broń jako Bombajowy Burke. Bombajowy, gdyż

Dusieciele działali w Indii, Burke zaś było slangowym określeniem wieszania, po tym jak szyją zapłacił noszący to nazwisko sprawca nieudanego zamachu na królową Wiktorię.

Już dobrych kilkanaście lat nie widziałem tej szczególnej rany. Czerwona plama wielkości półdolarówki na karku Logeta, u nasady czaszki. Głęboki, napuchnięty, krwawy pierścień na szyi dopełniał obrazu.

- Jest tu jeszcze ktoś z naszych? - zapytał Czerw Szkopa.
- Salvatore - odrzekł Morehead. - Kontroluje okolicę.
- Nie widziałem takiej szramy od czasów Namu - stwierdziłem.
- Wspaniale. Co jeszcze się wydarzy? - mruknął ponuro Szkop.

Cowboy Lewis wypełnił sobą drzwi, rękojeść cobry .357 sterczała mu ze spodni na linii rozporoka.

- Jeśli to przypadkiem wypali - uśmiechnął się krzywo Szkop - to będziesz musiał zmienić imię. - Lewis nic nie odpowiedział. - Dobra - ciągnął Szkop - powiedz krótko, co się tu stało.

- Przyjazd Logeta tutaj to normalka. W każdy poniedziałek wieczorem, deszcz czy mróz, zjawiał się mniej więcej o szóstej. Siedział godzinę, półtoręj. Przyjeżdżał w dwie limuzyny, z czterema pistoletami. On wchodził do niej, a goryle grali w pieniądze w hallu. Dwie godziny minęły, a koleś nie wychodzi. O wpół do dziewiątej zacząłem się denerwować. W końcu postanowiłem wejść, żeby się rozejrzeć.

- Sam, na czterech goryli przy wejściu? Nie pomyślałeś, do cholery, o jakiejś obstawie? - prychnął Szkop.

Cowboy wzruszył ramieniem.

- Miałem w magnum trochę grubszego śrutu. Wszedłem i od razu na schody. Oni w krzyk, to pokazałem im pukawkę i mówię tylko: „Jak nie chcecie, żeby was wywozła śmieciarka, to odpieprzcie się”. Przyłożyłem ucho do drzwi, zawołałem raz czy dwa. Nic. No to wywalilem drzwi.

Szerokim ruchem ręki pokazał, co zastał.

Łóżko wyglądało jak pole po wykopkach. Koldra i prześcieradła pościągane na ziemię, na twarzach i stopach poduszki. Kobieta leżała na boku, naga, z twarzą ukrytą we włosach. Logeto całkowicie ubrany zastygł na brzuchu, palce obu rąk zacisnęły się kurczowo na prześcieradle, a stopy zwisały z łóżka, nie dotykając podłogi.

- Więc to była Della Norman - powiedziałem.

Nawet po śmierci wydawała się smacznym kąskem.

- Niech to cholera - mruknął Czerw.

- Chodzi ci pewnie o to, że Długonosy nie będzie zbyt uszczęśliwiony - odezwał się Szkop i smętnie pokiwał głową: - Kolejna zagadka. Dlaczego, u licha, Tony Logeto pieprzył tutaj ulubioną damę Długonosego?

Jego rozmyślenia przerwał przyjazd Chessa, lekarza sądowego. Chess był niski i baryłkowaty, miał na sobie stare spodnie i byle jak pod niewepchniętą bluzę od piżamy. Nie wyglądał na nadmiernie uszczęśliwionego tym, że go tu ściągnięto.

- No i kogóż tutaj mamy? - spytał.

- Zięcia Taglianiego i przyjaciółkę Długonosego Gravesa.

Na twarzy Chessa pojawił się lubieżny uśmieszek.

- Czy to nie interesujące? To są najlepsze historie, te wewnętrzne awanturki. Ciekawe jak na to zareaguje Długonosy.

- Fatalnie - krótko odparł Czerw.

Chess postawił swoją czarną torbę na podłodze.

- Panie mają pierwszeństwo. Trzeba zrobić kilka zdjęć, zanim zacznę wszystko przewracać.

Pojawił się fotograf, obcykał pokój z każdej możliwej strony i po dieściu minutach już go nie było. Doktor podszedł do łóżka i rozpoczął oględziny, trajkocząc przy tym nieustannie.

- U kobiety mamy najnormalniejsze uduszenie, przynajmniej kiedy oglądam to od przodu. Spójrzcie tutaj, na odciski kciuków na tchawicy. Śmierć nastąpiła szybko. Oceniam na podstawie stanu tętnicy szyjnej, szyi, cała krtań jest wgnieciona.

Potężne łapy były tu w robocie.

Kontynuował badanie, nie przestając mówić ani na chwilę.

- Musisz trochę przyhamować, Szkop. Chłodziarka miejska jest już pełna, w patologii mamy tylko pięć osób, a ja za trzy miesiące chciałbym pójść na urlop. Byłoby dobrze, żeby nic nade mną wtedy nie wisiało.

- No, no - powiedział kwaśno Szkop; jego poczucie humoru wyraźnie osłabło w ostatnich dniach, to samo zresztą można by powiedzieć o całej naszej grupie.

Lekarz prowadził dalej oględziny, a ja tymczasem rozejrzałem się po mieszkaniu. Zajmowało frontową część budynku; salon, sypialnia i kuchnia w jednym rzędzie. Było urządzone bez gustu, a drogie meble nie pasowały do siebie. W szafie znalazłem ilość strojów wystarczającą, by otworzyć salon mody.

Łazienka przylegała do bocznej ściany budynku, wzdłuż której biegła niewielka wąska uliczka. Do apartamentu prowadziły tylko jedne drzwi, te, przez które weszliśmy.

Wśliznąłem się do łazienki. Było to duże pomieszczenie, z dwiema umywalkami, komodą, brodzikiem i prysznicem. W otwartym oknie nad komódką zasłona lekko falowała. Wyrzałem w górę, na dach, i w dół, na bruk. Powróciłem na miejsce zbrodni.

Pojawiła się nowa twarz. Był to facet z wydziału zabójstw, nazwiskiem Braun, niski, szczupły, o twarzy sępa, z plamkami na dłoniach i ciemnymi, siwiejącymi włosami.

- Słyszałem, Szkop - odezwał się Braun nosowym głosem - że od jutra wybierasz się na emeryturę. Nic już nie będziesz miał do roboty.

- Nie rozśmieszaj mnie za bardzo, bo się zsikam w portki - odpowiedział łagodnie Szkop.

- Ilu tam odwalilo kitę w ciągu ostatniej doby? - dopytywał się Braun, starając się najwyraźniej wyprowadzić Moreheada z równowagi. - Będzie już drużyna futbolowa?

- Zajmij się swoją robotą, dobra, Braun? Żarciki zostaw Bobowi Hope'owi.

Gliniarz z Zabójstw popatrzył na Delię Norman.

- Tylko spojrzcie na te cycki. Cholera, kolejna fajna dupcia zniknęła ze świata.

- Jak chcesz, to wyjdziemy na minutkę czy dwie, żebyś i ty trochę pożywał - powiedział Szkop z niesmakiem.

- Pierdol się - warknął Braun.

Nienaganne maniery.

Chess zakończył badanie kobiety i zajął się teraz Logetem.

- A tu co mamy? - spytał sam siebie. - Coś jak powieszenie.

- Jake, ten tutaj, mówi, że to wygląda na starą wietnamską sztuczkę, „śpiewająca struna” czy jakoś tak.

- Nauczyli się tego podczas *The Lawrence Welk Show!* - zapytał zjadliwie Braun.

- Nazwałem to „śpiewającym sznurem” - sprostowałem. - Działa następująco: bierze się sznur, w połowie zawiązuje węzeł, a na końcu mocuje mały patyk. Zabójca staje za ofiarą, owija sznur wokół szyi i dokręca patyk. Węzeł uciska z tyłu na główny nerw i paraliżuje tamtego. Potem wszystko trwa już tylko minutę, nie dłużej.

- Lubisz, bracie, wysługiwać się w robocie pieprzonymi fedziami? - spytał Braun.

Coś zakotłowało się w krtani Lewisa, zacisnął gwałtownie wielkie jak bochny pięści. Szkop położył mu uspokajającym gestem dłoń na ramieniu.

- Ktoś czegoś tutaj dotykał? - upewnił się Chess.

Cowboy przestąpił z nogi na nogę.

- Wziąłem papier toaletowy, żeby nie zostawić śladów przy dzwonienu - wyjaśnił.

- Świetnie, chłopcze. Dobrze ich uczysz - zwrócił się lekarz do Szkopa.

- Tak, jeszcze tylko przydałoby się nauczyć ich gadać - mruknął Braun.

- Cowboy, skocz no na dół i zobacz, co da się wycisnąć z tych gównianych grajków - powiedział Morehead, co najprawdopodobniej pozwoliło Braunowi uniknąć pobytu na oddziale intensywnej terapii.

Kiedy Lewis zniknął. Szkop spojrział na Brauna:

- Masz, koleś, jakiś problem?

- Ty, ten twój oddział, kurwa, specjalny i całe to gówno - wyrzucił z siebie Braun. - Wszystko, za co się weźmiecie, zawsze spieprzycie.

- Nieźle się żołądkujesz jak na faceta z sześcioro nie wyjaśnionymi przypadkami morderstwa - powiedział uprzejmym tonem Morehead.

- Dostyc już tych truposzy, jak na jedną noc.

- Chcesz chusteczkę, Braun? Otrzyj oczka, bo nic nie zobaczysz przez łzy.

- Pierdol się - warknął tamten.

W pokoju zapachniało burzą. Chess przerwał wymianę grzeczności.

- W porządku - odezwał się - jeśli panowie aktorzy dostatecznie już wygwizdali siebie nawzajem, to może ktoś zechce zabrać stąd tę parę, bo musimy nad nią popracować.

- To nie moja działka - rzucił Szkop. - Ja zajmuję się nimi dopóki żyją, koleś - jak są już martwi.

- Jak pan przypuszcza, kiedy to się stało? - wtrąciłem się, mając nadzieję, że zapobiegnę rękoczynom.

- Przypuszczam, ale powtarzam: przypuszczam, żebyście mnie później nie łapali za słowo, że zostali zabici jedno nie długo po drugim, dziewczyna pierwsza. Trzy, cztery godziny temu, może trochę mniej, może trochę więcej.

Teraz była dziesiąta trzydzieści pięć.

Lekarz przewrócił ciało Logeta; martwy gangster leżał na plecach, niewidzące oczy wpatrywały się w sufit, język zwisał mu z ust. Ubranie zachowało staranny wygląd. Nawet krawat mu się nie przesunął.

W głowie zaświtały mi jeden czy dwa domysły.

Wysunąłem się na korytarz, znalazłem schody prowadzące na dach i wspiałem się po nich. Właz był otwarty. Stałem nad otwartym oknem łazienkowym Delii Norman i dokładnie sprawdziłem mur w tym miejscu. Były trzy wyraźne rowki.

Na dole zobaczyłem Czerwia rozmawiającego z jednym z czterech goryli, małym facetem o tłustej twarzy, który przez cały czas spoglądał w dół ulicy, zupełnie jakby nikogo przy nim nie było.

Wreszcie Czerw kiwnął głową, zostawił swego informatora, wszedł do budynku i dogonił mnie na pierwszym piętrze.

- Czegoś się dowiedziałem, choć niewiele - powiedział. - Ten gówniarz, z którym rozmawiałem, ma brata w pace, skazanego za narkotyki. Ma nadzieję, że dzięki mnie mogą mu skrócić odsiadkę. Nic nie wie, co się tu stało, podobnie jak tamci trzej. Mówi, że Logeto przyjechał tu piętnaście po szóstej. Widzieli, że wchodzi do mieszkania dziewczyny jak w każdy poniedziałek. Słyszeli skrzypienie sprężyn łóżka, ale pomyśleli, że Logeto, napalony, z miejsca zabrał się do roboty. Skwitowali to kilkoma dowcipami i dalej grali w pieniądze, aż pojawił się Cowboy Lewis.

- Rozejrzyj się trochę w środku.

Znowu poszliśmy do apartamentu. Ciało Delii Norman było już przykryte i ułożone na noszach. Obsługa ambulansu naciągała właśnie torbę na stopy Logeta; po chwili zabrali zwłoki obojga. Braun wyszedł za nimi do hallu i w pokoju pozostaliśmy tylko my trzej: Szkop, Czerw i ja.

- Co to za gadanina, że zostali „zaburkowani”? - spytał Szkop. - Skąd to się wzięło?

- Raz to widziałem w Wietnamie. Używali tego w DROW. Zabija cicho i szybko.

- Co to za DROW?

- Drużyny Rozpoznania i Wywiadu. Odpowiednik Zielonych Beretów, tyle że w piechocie. Nie przechodzili jednak żadnego specjalnego przeszkolenia, przyjmowano każdego, kto się nadał. Facetów, którzy

inaczej trafiliby pod sąd wojskowy, takich, którzy uciekali przed czymś lub przed kimś, ludzi z francuskiej Legii, zawodowych najemników, facetów, którzy nie chcieli wracać, kiedy odsłużyli swoje. Z reguły używano ich do akcji likwidacyjnych, gdy trzeba było zabić przywódcę wioski, jakiegoś poborcę podatkowego, dowódcę bandy, który urósł za bardzo - takie rzeczy.

Morehead pokiwał w zadumie głową.

- To już zupełnie inne wojsko.

- A ty byłeś w wojsku? - spytał Czerw.

- W Korei. Szesnaście miesięcy w piechocie - odparł ogromny Niemiec. - Wiecie coś o Korei, chłopaki? Większość ludzi myśli dziś, że to nazwa sklepu całodobowego.

- Biedna Della - odezwał się Czerw. - Z jakiego powodu ktoś mógł chcieć ją zabić?

- A co z nią? - Spojrzałem na niego pytająco.

Wzruszył ramionami.

- Poznaliśmy się kiedyś. Miałem na nią malutkiego haka, znaleźliśmy u niej trochę maryški. Ale tylko tak próbowaliśmy to tu, to tam, żeby zdobyć może coś na Długonosego. Od razu zorientowała się w mojej grze i wszystko potraktowała jako dobrą zabawę.

- Dlaczego Logeto się z nią obściskał?

- Może po prostu dlatego, że była fajną dupką - zasugerował Czerw. - Logeto był zdaje się u Taglianich głównym buhajem.

- To dostatecznie proste wyjaśnienie - przytaknął Morehead.

Prawie ich nie słuchałem, za bardzo bowiem absorbowало mnie pytanie, w jaki sposób można było zamordować Logeta i Delię Norman, żeby czterej goryle u stóp schodów niczego nie zobaczyli ani nie usłyszeli.

- Przychodzi mi do głowy, dlaczego zginęła Della - odezwałem się.

- Wstrzymujemy oddech - mruknął Szkop.



Wypowiedziałem to na głos, żeby zobaczyć, czy wszystko trzyma się kupy.

- Logeto zjawiał się tutaj w każdy poniedziałek. Ten, kto go zabił, kimkolwiek był, wiedział, o jakiej porze zazwyczaj przyjeżdża, wiedział także, że ma zawsze obstawę, obok której niełatwo się prześliznąć. Co należało zatem zrobić? Przyjść wcześniej i zabić dziewczynę. Morderca wiedział, że Logeto wejdzie tutaj sam; za bardzo będzie napalony, żeby wysłać przodem chłopaków na rozpoznanie. Zatem morderca, on czy ona, zabija Delię i czeka. Kiedy Logeto wszedł, „zburkował” go, tamten nie wydał nawet głosu.

- A potem morderca zmył się stąd w prosty sposób - spuścił się po linie z okna w łazience - dodał Czerw.

- Zgoda, tyle tylko, że poszedł po linie w górę, a nie w dół - sprostowałem. - Potem przedostał się na dach sąsiedniego domu i dopiero stamtąd zszedł, dlatego właśnie nikt go na dole nie widział.

- Zapewne dostał się do środka w ten sam sposób - ciągnął Czerw. - Zszedł po linie, zabił tamtych dwoje i powrócił na dach.

- Pięknie zaplanowane - stwierdziłem.

Szkop przez chwilę przetrwał to w sobie.

- Tak, trzyma się to kupy. Trzeba mieć nerwy jak postronki, żeby załazić jednego z najważniejszych *mafioso*, kiedy w hallu na dole czterech goryle rzucają sobie pieniążkiem.

- Tak, to są mocne nerwy albo rozpacz - powiedziałem.

- Rozpacz?

- Właśnie. Albo ktoś, kto ma więcej charakteru od Mojżesza, albo ktoś, kto absolutnie musi to zrobić.

- Gdyby założyć - mówił dalej Morehead - że robi to Nance z polecenia Chevosa, wtedy pozostają już tylko Costello, Bronicata, Stizano, O'Brian i Cohen.

- Pięć wolnych miejsc na liście - mruknął Czerw.

Szkop stał oparty o ścianę pokoju z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie.

- Jest pełnia księżycy - skonstatował wreszcie ponuro. - Ciężarne rodzą dzieci, mężczyźni dostają świra. Nic więcej wam nie powiem.

- To niezłe - ucieszył się Czerw. - Tak powiemy dziennikarzom: była pełnia księżycy.

## 29. DISAWAY

Wróciłem do hotelu i położyłem się do łóżka.

W nocy kilkakrotnie dzwonił telefon, nie umiałbym powiedzieć ile dokładnie razy. W końcu postawiłem go na podłodze, przykryłem poduszką i nareszcie miałem spokój. Następną rzeczą, którą pamiętam, było wrażenie, iż ktoś stara się wyłamać drzwi. Zapaliłem lampę, pospiesznie naciągnąłem spodnie. W progu stał Pancho Callahan.

- Zmiana planów - powiedział tylko.

- He? - udało mi się wydobyć z siebie.

- Próbowałem dzwonić - wyjaśnił.

- Dzięki. - Kiwnąłem głową i zacząłem ładować się z powrotem do łóżka.

- Jedziemy na wyścigi - oznajmił z właściwą sobie lakonicznością.

- Teraaaz?

- Mhm.

- Która godzina?

- Piąta.

- Rano?

- Mhm.

- Wtorek rano?

- Wtorek rano.

Patrzyłem na niego ponurym wzrokiem. Wyglądał, jakby zszedł z okładki magazynu dla pedziów. Szare bawełniane spodnie, kamizelka pod szykownym niebieskim blezerkiem, jasnoniebieska koszula, krawat w kolorze czerwonego wina z szarymi końmi gnającymi gdzieś szalonym pędem. Na głowie czapeczka filuternie naciągnięta na czoło.

Wyglądał na glinę jak John Dillinger na księcia Walii.

- Niedoczekanie twoje - warknąłem.

- Zapowiada się wspaniały dzień - powiedział łagodnie.

Byłem zbyt znużony, żeby się kłócić.

- Upiorny.

Dokładnie piętnaście po piątej wsiedliśmy do czerwonego sportowego samochodu, w którym było więcej bajerów niż w F104, i pognaliśmy w wilgotny, lepki poranek. Za wysokim wiszącym mostem, łączącym wysepki z lądem stałym wjechaliśmy w mgłę tak gęstą, że nie widziałem pobocza drogi. Callahan, wysoki, muskularny zuch, z kwadratową szczęką, jakby obrysowaną przy szablonie, nie zamierzał się tym przejmować. Prowadził tak, jakby w słoneczne przedpołudnie jechał autostradą międzystanową. Zaczynałem podejrzewać, że jest to oddział samobójców.

- Mgła - to było jedyne, co wydusił z siebie przez dwadzieścia minut. Ani słowa o wydarzeniach ubiegłej nocy.

Zdjął nogę z gazu, kiedy znaleźliśmy się przy wjeździe do Palmetto Gardens, i beztrósco zasalutował strażnikowi, który nisko się pochylił, by móc go dojrzeć przez tę gęstą zawiesinę. Zaparkowaliśmy tuż przy stajniach.

- Masz, przypnij to sobie - powiedział i podał mi małą, zieloną plakietkę informującą, że jestem z obsługi toru wyścigowego. Zrobiłem, jak mi powiedział, i poszedłem zanim. Po chwili omal nie wpadłem na barierkę, która znienacka wynurzyła się z oparów mgły. O torze wyścigowym mogłem na razie powiedzieć tylko tyle, że znajduje się w Georgii, o dwadzieścia minut drogi od Dunetown, jeśli będzie się jechało jak Mario Andretti.

- Poczekaj tutaj - rzucił Callahan i zniknął na pięć minut.

Zatopiony w mgłę tak gęstej, że nie widziałem własnych stóp, słyszałem parskanie koni, męski kaszel, śmiechy, uderzenia kopyt o miękką ziemię. Zjawił się wreszcie Callahan z gorącą kawą w plastikowym kubku i świeżo upieczonymi plackami. Myślałem, że go ucałuję.

- Co tutaj, u diabła, robimy? - zapytałem z ustami pełnymi ciasta.

- Trening trzylatków - odparł.

- Rozumiem. Tak właśnie spędzamy sobie czas w środku nocy. Przysłuchujemy się, jak trenują trzylatki.

- Jak na razie.

- A co jest takiego szczególnego w ujeżdżaniu koników? Jak często się to odbywa?

- Każdego ranka.

- Robisz ze mnie balona.

Dostrzegłem przez mgłę, że kręci przecząco głową.

- Nie robisz mnie w balona. Wspaniale. Wyciągasz mnie z łóżka, żeby... sobie postać w... w tym mlecznym sosie i posłuchać... tak właśnie: p o s ł u c h a ć , jak paru chłopaczków obsługuje konie.

Callahan pochylił się odrobinę i po raz pierwszy zobaczyłem uśmiech na jego twarzy.

- Odhamuj się, kotku. Jesteś rano na świeżym powietrzu, zaczerpnij tchu. Wpuść do duszy trochę poezji.

- A to co znowu, Callahan? Jesteś jakimś guru?

- W sprawach koni, tak. Poza tym Szkop powiedział, że powinieneś zapoznać się trochę z torem.

- Czubka nosa nie widzę, a co dopiero mówić o torze. I nie nazywaj mnie kotkiem, jak jakieś zwierzątko domowe. Na imię mam Jake.

- Jasne.

Odwrócił się, a ja poszedłem za nim. W mlecznym oparze pojawiły się mroczne kształty. To foryście przez bramę w ogrodzeniu wyprowadzali swych podopiecznych na tor.

- Na porannym treningu - wyjaśnił Callahan - pracujecie nad usunięciem wad koni. Wskazał na wspaniałego, cynamono-wobrzazowego wala cha, szarpiącego się i brykającego na końcu liny. - Popatrz tylko na tego.

- A co z nim? - zapytałem.

- Wspaniały koń.

- Aha.

- Nie obraż się, że zapytam - powiedział - ale czy dużo wiesz o wyścigach?

Byłem na torze dwa razy w życiu, dwukrotnie zresztą w Kalifornii, i dwukrotnie z Cisco Mazzola, który kochał na świecie trzy rzeczy: rodzinę, witaminy i grę na wyścigach konnych, przy czym nie jestem do końca pewien kolejności. Za każdym razem straciłem dobrych kilka setek dolarów, choć absolutnie nie mogłem sobie na to pozwolić, a stało się tak, gdyż obstawiałem jak frajer. Zdegustowany Cisco przestał mnie zapraszać.

- Potrafię odróżnić łeb koński od ogona i to mniej więcej wszystko.

- Dobra - oznajmił Callahan, choć wydał się nieco zdziwiony tym, że ktoś może nie interesować się końmi - słuchaj tylko uważnie, a podszkolę cię trochę.

Do końca dnia miałem się dowiedzieć wiele o Pancho Callahanie, a jeszcze więcej o wyścigach; mówił bez ustanku, i było tak, jak bym przysłuchiwał się pocięciu opisującemu piękną kobietę.

- Najpierw powiem ci coś o folblutach. Różnią się od wszystkich innych koni. Są piękne, harde, narowiste, niezależne i dumne. Nawet więcej, są zarozumiałe, bo, widzisz, dobrze wiedzą, jakie są znakomite. Znający się na rzeczy dżokej bierze swojego konika za uzdę i oprowadza po torze, przez cały czas z nim rozmawiając. Trener może powiedzieć dżokejowi, jak chciałby rozegrać bieg, na przykład, żeby trzymał konia do ostatniej prostej, wypuścił go napięciu ósmym czy na wejściu w ostatni wiraż, ale kiedy uniosą się bramki, zostaje tylko dżokej i koń, i tylko oni się liczą.

We mgle, w której blado zajaśniało słońce wstające nad pobliskimi dębami, mogliśmy słyszeć konie, ale ujrzelśmy je dopiero wtedy, kiedy były tuż przy nas. Trzyletni wałach był bardzo niespokojny i foryś miał kłopoty z okiełznaniem go. Koń prychał, szarpał długą szyją i usiłował ugryźć człowieka w dłoń, kiedy przebiegali koło nas we mgle rozświetlonej pierwszymi promieniami słońca.

Wspaniały widok. Callahan miał rację, to była rzeczywiście poezja.

Trzylatek miał odegrać o wiele ważniejszą rolę, niż mogliśmy wówczas przewidzieć. Nazywał się Disaway, a tego ranka marzył mu się bieg.

- To go przepelnia - powiedział Callahan głosem pełnym zachwytu. - Folblut, kiedy siła go rozpiera; czy to nie piękny widok?

Przytaknąłem, bo widok był istotnie piękny.

- Folbluty trenuje się tak, by ostro ruszały z boksów, szły szybko aż do samej mety, zachowując w rezerwie tylko trochę sił na finisz, tak jak biegacz na czterysta metrów - mówił Callahan.

- Ten koń rwie się do biegu, trzeba go zatem trochę uspokoić, żeby nie był zbyt nerwowy i narowisty, kiedy dosiądzie go jeździec.

Chłopak i koń nie biegli więc szybko, kłusując, wynurzali się z, mglistej waty i pogrążali się w niej znowu. Podczas drogi powrotnej z toru trzylatek, nieco z obowiązku, jeszcze raz usiłował ugryźć forysia, a potem, odskakując trochę na bok, podrzucił kilka razy zadnimi kopytami i wreszcie uspokoił się. Trener poprowadził go do osiodłania.

Disaway był pięknym zwierzęciem o bardzo silnych nogach i twardej jak beton, połyskującej potem piersi. Drgające mięśnie były gotowe do biegu. Callahan zbliżył się, pogłaskał najpierw jedną, potem drugą przednią nogę i powrócił do ogrodzenia.

Bez komentarzy.

Właściciel, niski, ciężki facet, w koszulce polo, ze stoperem zaciśniętym w garści i okularami dyndającymi teraz na złocistym łańcuszku, stał

plecami do dżokeja, zagryzając wargi. Nazywał się Thibideau. Miał nieprzyjemny głos, który rozbrzmiewał tak, jakby gotowało mu się w gardle.

- Dobra - powiedział, nie oglądając się na jeźdźca. - Zobaczymy, jak pójdzie. Popuścisz mu na trzech czwartych.

Ujeźdźca wydawał się lekko zaskoczony, odpowiedział jednak posłusznie.

- Tak, proszę pana, na trzech czwartych.

Zarzucili siodło na grzbiet wałacha, mówiąc do niego i uspokajając go bez przerwy, gotowi w każdej chwili zdjąć z niego obciążenie.

- Wszyscy teraz są bardzo ciekawi - powiedział Callahan. - Sędziowie, właściciele, trenerzy, znajomkowie: wszyscy chcą zobaczyć, ile chce z siebie dzisiaj dać.

Ujeźdźca wyjechał na tor, zatrzymał Disawaya, a potem stanął w strzemionach i przywarłszy do jego grzywy, zaczął go zachęcać, aż koń nagle ruszył w mgłę. Wokół rozległ się zgodny trzask kilku stoperów.

Usłyszałem go nadbiegającego na długo przed tym, zanim wypadł z białej zawiesiny, głośno parskając i wałąc kopytami w ziemię. Przemknął koło nas, z wysoko uniesioną głową i rozwianą grzywą. Znowu rozległ się chrobot stoperów. Callahan spojrzał na swój chronometr umieszczony na przegubie.

Nadal żadnych komentarzy.

- Chodźmy zjeść śniadanie - odezwał się. - Niedługo pojawią się dżokeje.

Patrzyłem, jak odprowadzają okrytego kocami Disawaya, aby go wyczyścić i nakarmić. Nozdrza miał szeroko rozwarte, uszy postawione i lekko pochylone do przodu, w oczach isierki szaleństwa. Zaczynałem rozumieć, dlaczego Pancho ma lekkiego bzika na punkcie folblutów.

- No i co o tym myślisz? - zapytałem, kiedy szliśmy wzdłuż stajen.

- O czym?

- Co to miało znaczyć, to obmacywanie nóg konia, mierzenie czasu, rozmowa z ludźmi w stajni?

- To niezły konik - mówił Callahan, kiedy szliśmy w powoli rzadniejącej mgłę. - Jest silny, dobrej krwi, ma mocne nogi. Jest bardzo dobry na szybki tor. Gdybym był graczem, postawiłbym na niego forszę. Niewiele już mu brakuje, by został czempionem.

- Wszystkiego tego dowiedziałeś się, obmacawszy mu nogi?

- Dowiedziałem się tego, obserwując jego zachowanie.

Kiedy minąwszy stojące rzędem szopy, ruszyliśmy w stronę kafejki dżokejów, dostrzegłem zaparkowanego koło stajni granatowego mercedesa. W środku nie było nikogo. Rozejrzałem się dyskretnie, ale mgła ciągle nie pozwalała widzieć dalej niż na odległość dwudziestu stóp.

- Aha, zjawił się Stary. Drakula - powiedział Callahan.

- Drakula?

- Raines. Komisarz.

- Nie lubisz go? - zapytałem i złapałem się na tym, że liczę na odpowiedź: „Nie, nie lubię”.

- To delikatna praca. Lubiłbym go odrobinę bardziej, gdyby miał w żyłach trochę więcej krwi. Zimny jak lód. A oto i jego żona.

Kompletnie mnie to zaskoczyło. Szybko się odwróciłem i dostrzegłem we mgłę Doe z twarzą tuż przy wychylającym się z boksu pysku konia. Potem mgła znowu zakłębiła się i Doe zniknęła.

- Zajrzyjmy do kafejki - rzucił Callahan. - Może złapiemy jakieś nowinki, słuchając dżokejów i trenerów.

Niezbyt jeszcze dobrze znałem Callahana, ale wydawało mi się, że jest na jakimś tropie.

Mgła rozwiła się na chwilę na tyle, bym mógł dostrzec kontur kawiarni, niskiego, parterowego drewnianego budynku. Przyjemna, jasna sala pachniała świeżą kawą i śniadaniem. Zapełniali ją ludzie związani z torem: dżokeje, trenerzy, właściciele koni, sędziowie, ujeżdźacze, stajenni. Rozmawiano tylko o koniach. Gdyby wspomnieć im o Taglianim, zapytaliby, jakiej jest rasy i kto na nim jeździ.



Trzymając się blisko Callahana, zamówiłem śniadanie, którego nie powstydziliby się robotnik portowy, i przysłuchiwałem się temu, co mówił. Callahan pasował do tych ludzi tak, jak ręka grubasa do za ciasnej rękawiczki. Do tamtych mówił jednym kącikiem ust, do mnie drugim.

- Ten niski facet z krogulczym nosem i malutkimi oczkami to Johnny Gavilan. Bardzo obiecujący dżokej do dnia, kiedy mu się przydarzyła paskudna wywrotka na Delray parę lat temu.

Potem został trenerem...

Albo:

- Bysior w płaszczu i czapce to sędzia Willie Zegarek. To on ustala wyjściowe stawki w każdym wyścigu. Zna się na koniach lepiej niż sam Bóg, a do tego jest cholernie uczciwy...

Albo:

- Ten łysy w czerwonym swetrze to Charlie Entwhistle.

Świetny hodowca. Zaczynał jako trener, potem wygrał w pokera konia Omal. Z początku wszyscy traktowali to jako dobry kawał, ponieważ wydawało się, że jest to omal najbrzydsze ze wszystkich stworzeń. Nie miał zębów. Stał na padoku, przeżuując dziaśła, a z boku wydawało się, że ma nogi jak kabłaki. Ludzie pokazywali go palcami, ciskali w niego, czym popadło, zaśmiewali się w głos. Wołali na niego Bezzębne Straszdyło i nikt nie wierzył, by na torze potrafił prześcignąć najbardziej nieruchawego tłusciocha. Wszyscy nabijali się więc z Charlie'ego Entwhistle'a.

Tymczasem okazało się, że jedną jedyną rzeczą, do której nadawał się Omal, było bieganie. Nie tylko je uwielbiał, ale nie mógł też ścierpieć nikogo przed sobą. Wpadał na metę, zanim reszta wyszła na prostą. Na nowo zapisał księgę rekordów, wielu starych graczy wystrychnął na dudków, a Charliego uczynił bogaczem.

Callahan spojrział na mnie i uśmiechnął się.

- I takie właśnie są wyścigi. Skończył śniadanie i dopił kawę.

- No to do roboty - powiedział i poszliśmy w drugi kąt sali.

### 30. CZARODZIEJSKIE RĘCE

- Teraz posłuchaj - powiedział, choć przez ostatnie pół godziny jedynym dźwiękiem, jaki wydałem, było odchrząknięcie.

- Każdego dnia wyścigowego Willie Zegarek typuje trzy najlepsze konie w każdej gonitwie i ustala wyjściowe stawki. Drukuje się to w programie jako poradę dla grających. Nic gwarantowanego, oczywiście, ale zawsze. Przegrani niezmiennie na niego pomstują. Choćby był najlepszy w tej branży i tak będzie to parszywa praca.

- Dlaczego?

- Ponieważ ci, co obstawiają faworytów, więcej tracą niż wygrywają. Wystarczy, że koń źle wyjdzie z boksu albo zostanie zablokowany i nie będzie potrafił się przebić, przybiega jakiś fuks, w kasach płacą trzydzieści do jednego, a na torze wszyscy krzyczą: „Granda!” i chcą zlinczować Williego.

Przysiedliśmy się do małego, barczystego człowieka, w wieku około sześćdziesięciu lat, o ogorzalej twarzy. Miał na sobie płaszcz, który nosił w słońce i w deszcz, zimą i latem, oraz czarny kaszkiet naciśnięty na oczy. Okulary na pół twarzy. Mówił bardzo mało i zazdrośnie strzegł swojego notesika, w którym zapisane lub raczej nabazgrane miał różne informacje.

Spojrzał podejrzliwie spod daszka czapki, poznał Callahana, obdarzył go czymś, co w jego mniemaniu było zapewne uśmiechem, i spode łba popatrzył na mnie.

- To Jake, Willie - przedstawił mnie Callahan. - Jest po naszej stronie. - Tamten mruknął coś niewyraźnie i powrócił do przerwanego śniadania.

- Co nowego? - zapytał przyjaźnie Callahan.

Człowieczek wzruszył ramionami i nadal jadł w milczeniu.

Chlipaliśmy kolejną kawę, a Callahan rozglądał się po pokoju. Trącił mnie w pewnej chwili i wskazał głową na szczupłego, niskiego faceta, najwyraźniej dżokeja, który usiadł sam przy narożnym stoliku. Nowo przybyłemu nie dałbym więcej niż piętnaście lat; w kombinezonie nurka

z trudem osiągnąłby wagę pięćdziesięciu funtów.

- W piątek nieźle wygląda Ginny's Girl - oznajmił Willie, a potem zamilkł na następne pięć minut. Callahan nie naciskał, w końcu jednak zapytał:

- A co z Disawayem?

Willie spojrzął na niego spod oka.

- Coś nie w porządku? - mruknął.

Callahan wzruszył ramieniem. - Martwię się tylko, że tak zasnę w zeszłą niedzielę.

- Prezentuje się nieźle.

Kolejna dziesięciminutowa pauza, a potem:

- Bez żadnych szaleństw dziś rano miał czas 3,22. Nieźle, skoro popuścił mu na trzech czwartych, a on lubi prostą...

Ostatni kawałek grzanki popił łykiem kawy, pogmerał wskazującym palcem w kącik ust i dodał:

- Jeśli tor potem nieco stwardnieje, będzie musiał powalczyć lepiej. W tej chwili wahałbym się między nim a Polką Dits, która była całkiem ostra rano.

- Jeszcze do ciebie zajrzę - powiedział Callahan i odeszliśmy.

- No i co z tego zrozumiałeś? - spytał, kiedy znaleźliśmy się już dostatecznie daleko od Williego.

- Jeśli tor będzie twardy - odrzekłem - to Disaway będzie musiał dać z siebie wszystko na prostej. Jeśli będzie miękki, to może być drugi.

- Bardzo dobrze. Jesteś pojętny.

- A ten mały koles, którego mi pokazałeś - powiedziałem - kto to taki?

- Scoot Impastato z Luizjany. Zaczął jeździć, gdy miał trzynaście lat. Przeszedł na folbluty jako szesnastolatek, jeśli wierzyć jego świadectwu urodzenia. Jest świetnym dżokejem, wspaniałe nogi, czarodziejskie ręce, a wszystkiego ma dwadzieścia lat.

- Olśniewające - odrzekłem. - Ale czemu mnie trącałeś?

- To on jechał na Disawayu w niedzielę - odparł Callahan i ruszył w kierunku Scoota.

Dzokej był mężczyzną o ciele chłopca, którego głos jakby się wahał, czy mutacja już była, czy jeszcze nie. Wyglądał jak ministrant, ale miał stałowy uścisk dłoni.

- Dzień dobry, panie Callahan - powiedział, kiedy usiedliśmy przy nim.

- Jak dziś biegają? - spytał Callahan.

- Tak sobie - odparł młodziak. - Wie pan, jak to jest, czasami nawet nie chce się odpowiadać na takie pytania.

- Ciągłe martwisz się tą niedzielną gonitwą? - nagabnął Callahan.

Węszył za czymś; niewiele może wiem o wyścigach, ale zawsze wyczuje, kiedy ktoś węszy.

Chłopak zachichotał.

- Którą? Startowałem cztery razy i cztery razy forsa przeszła mi koło nosa. - Nie wydawało się jednak, żeby był tym specjalnie przejęty.

- Może jakiś drobiazg, może prowadziłeś je odrobinę inaczej niż zwykle i nie wyszło. Wiesz, jak to jest z folblutami.

Dzokej zaśmiał się głośno.

- Powinienem, nie? - Odlął połowę kawy do pustej szklanki i dopełnił ją śmietanką, tak że wyglądała jak mleczna czekolada. Tak pijają kawę w Nowym Orleanie.

Wrzucił trochę cukru i ciągnął, mieszając:

- Kiedyś w Belmont jechałem na Fancy Dan, pięćdziesiąt wygranych w sezonie, nie mógł przegrać. Był faworytem, stawka trzy do dwóch. Dzwonek, bramki idą w górę, a ten stoi! Daję mu batem, kopię jak szalony, klnę, szepczę słodko do ucha! A on nic, stoi sobie, gapi się na ludzi i niucha za trawą. Z tego, co wiem, nie ruszył się do tej pory.

- A co się przytrafiło Disawayowi?

- Wykręcił numer - odparł Scoot, wzruszając ramionami. - Wyszedł z boksu jak burza, na przeciwnej prostej prowadził całą stawkę, wchodzimy

w zakręt, a ten nagle zaczyna zasypiać. Midnight Star mija nas, jakbyśmy stanęli, żeby nabrać paliwa, przechodzi obok nas połowa całej stawki. Myślę, że nagle zachciało mu się do domu. Musiałem drzeć się na niego, żeby go dobudzić.

- A jak wyglądał dziś rano?

- W porządku. Bez wariactw, ale biegł dobrze. Dwie dziesiąte lepiej od normalnego wyniku.

- Fajnie - stwierdził Callahan. - Chyba już doszedł do siebie.

- W niedzielę było tak samo. W ogóle wszystkie konie, na których jechałem, biegały tak, jakby marzyły o czymś innym. No, ale takie już są folbluty, sam pan powiedział.

Podano mu śniadanie. Stek, trzy jajka, płatki owsiane. Zabrał się do tego z zapałem. Zastanawiałem się, jak udaje mu się utrzymać wagę. Callahan węszył dalej.

- Jedziesz dziś na Disawayu?

- Nie. Już nie. Dostałem innego, Chiggera Bite'a.

- Dlaczego?

- Pogryźliśmy się ze Smokym. Po biegu zaczął się do mnie przypieprzać, że za wcześnie wypuściłem Disawayę. W końcu mówi: „Do diabła, to nie ja, to pan Thibideau”, a on patrzy na mnie, jakbym mu łął albo coś takiego. Po co miałbym wciskać kit, co? Jak właściciel mówi, popuść mu na pięciu ósmym, to popuszczam na pięciu ósmym. - Znowu się roześmiał. - Może myślał sobie, że meta jest przy słupku na siedem ósmym. - Opowiadał, nie przerywając jedzenia. - Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Jak mówiliśmy o tym, to pan Thibideau chciał spróbować trochę zmienić, wypuścić na pięciu ósmym, a nie na prostej, że może urwie parę dziesiątych ze swojego czasu. Ale na prostej siły z niego wyszły. A zresztą, nigdy nie wyklócam się z właścicielami.

- To znaczy, nie miałeś żadnej kłótni z Thibideau?

- Głośno nic nie powiedziałem. Ale, cholera, przychodzi tuż przed goniwą i zmienia uzgodnienia; zrobiłem, jak kazał. Myślę sobie, że nie ma co

zmieniać, jak jesteś faworytem, nie? Lepiej poczekać, jak masz jakiegós fuksa, nic nie masz wtedy do stracenia.

- Pewnie miał swój powód.

- Przyszedł po biegu, przeprosił i wsunął mi dwie setki. „Pomyliłem się”, tyle powiedział.

- Ujeżdźczycowi znowu dziś kazał wypuścić go na trzech czwartych - powiedział obojętnym tonem Callahan i przełknął kolejny łyk kawy.

- Disaway jest nie do przewidzenia. Jeśli znajdzie się na torze z ciężkimi końmi, przyjdzie w pierwszej trójce, jeśli będzie w humorze, przedtem trochę popada, miękki tor, te rzeczy. Trochę błota, miękki tor, wtedy zbiera forszę.

- Może Thibideau powinien trochę lepiej go obciążyć?

- Pan Thibideau ciągle próbuje, że może coś więcej z niego wycisnąć. Wie pan, o co chodzi, jak mówię, że koń jest na prostą. Nie musiał gnać na całego przez ostatnie trzy ósemki. No i oglądał mu później przednią lewą nogę. Ale co tam, ja mam teraz innego konia.

- A kiedy badał nogę?

- Zaraz po gonitwie. Może jakiś kamyk utkwił w kopycie. Mówiłem o tym Smoky'emu.

- Fajnie, niech ci się dzisiaj poszczęści - powiedział Callahan i wyszliśmy na zewnątrz.

Nie było już śladu mgły, piękny dzień, chłodny wietrzyk pod bezchmurnym niebem.

- Pewnie to brzmiało dla ciebie jak greka? – zażartował Callahan.

- Rozumieć rozumiałem, ale nie wiem, co z tego wszystkiego wynika.

Kiedy minęliśmy róg kafejki, po raz pierwszy zobaczyłem tor w całej okazałości i nie mogłem się powstrzymać od gwizdnięcia przez zęby.

- Robi wrażenie, co? - powiedział Callahan.

„Robi wrażenie” - to było za słabo powiedziane.

W porannym słońcu na tle ciemnego lasu jaśniała biała budowla. Miała trzy kondygnacje, zwieńczone na każdym końcu kopułami ; najwyższe piętro stanowił biegnący przez całą długość, przeszklony pawilon klubowy. Architekt za wzór wziął tor wyścigowy w Saratodze i parę innych słynnych torów. Patrząc na budynek, odnosiło się wrażenie, że stoi w tym miejscu już od dziesiątków lat. Całości przydawały koloru azaliowe klomby. Na rogach sprawowały wartę olbrzymie dęby. Rzuciło się w oczy, że starano się o to, by pozostawić tu tyle drzew, ile było można. Nawet na parkingu wystrzelały w niebo dęby i sosny. Widok był doprawdy wspaniały i w żaden sposób nie mogłem odmówić Harry'emu Rainesowi dobrego smaku. Szyby pawilonu skrzyły się srebrzyście w porannym słońcu, trawa rosnąca na obszarze wewnątrz toru miała barwę szmaragdu.

- O kurczę! - wykrztusiłem.

- Niezła robota - zgodził się Callahan.

Mercedes zniknął.

Powróciłem do tematu.

- Dlaczego tak interesujesz się Disawayem? - spytałem.

- W niedzielę w trzeciej gonitwie biegł z numerem dwa.

- To przynosi pecha czy szczęście?

- Pamiętasz taśmę, której słuchaliśmy w niedzielę wieczorem?

- Trudno nie pamiętać.

- Coś jednak zapomniałeś - stwierdził Callahan. - Tagliani powiedział Stinetcie, że w trzeciej gonitwie murowany był koń numer cztery.

- Ciągle nie chwytam.

- Z czwórką biegł Midnight Star. Był fuksem, osiem do jednego, ci, co go obstawili, dostali niezłą paczuszkę. Faworytem był Disaway. Gonitwę obgadali nie po to, żeby Midnight Star wygrał, lecz żeby Disaway przegrał. Inaczej nic nie trzyma się kupy. W niedzielę wszystko przemawiało za nim: słaba stawka, miękki tor, szansa pięć do dwóch. Przybiegł jako ósmy.

- Ósmy!

- To się zdarza. Każdy może mieć gorszy dzień.

- Sztuczka polegała więc na tym, żeby go spowolnić?

Callahan przytaknął.

- Kiedy Midnight Star zameldował się pierwszy, płacili 46 dolarów 80 centów. Za każde postawione dwa dolce dostawałeś 46,80. Powiedzmy, że włożyłeś w to tysiączek, wracasz do domu mając w kieszeni 23 400 zielonców - niezła dniówka. Moim zdaniem, Disaway nie miał złego dnia w niedzielę.

- To kto miał. Midnight Star?

Callahan uśmiechnął się.

- To wyścigi, bracie, konie.

- Jak zrobili? Rozumiesz, że był wolniejszy?

- Jest kupa sposobów. Całkiem legalnych.

- Myślisz, że dzokej maczał w tym palce?

- Może tak, ale raczej nie. Scoot nie lubi ani Thibideau, ani trenera. To prosty chłopak, wołałbym, żeby to nie był on.

- Trener?

- Smokey? Znowu, może tak, ale z drugiej strony, był wkurwiony, że dzieciak pogonił konia za wcześnie. Nie wiedział, że tak kazał Thibideau.

- To pozostaje właściciel?

- Na to wygląda. Ale najważniejsze, że wiedział o tym Tagliani. Parę godzin później było już po nim. Może nie ma tu żadnego związku, ale musimy uwzględnić wszystkie możliwości.

- I co z tym zrobimy? Pójdziemy do Rainesa?

- Nie da rady. Nielegalne nagranie. Szkop nie może sobie pozwolić, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Żadnych taśm, mamy tylko przypuszczenia.

- Puszczamy więc w niepamięć?

- Ja nie zapomnę - powiedział złowrogim tonem. - Zdarzyło się raz, wydarzy się drugi.



### 31. ZAPROSZENIE

Byłem już zmęczony i chciałem jak najszybciej wracać do miasta. Wiele było niepowiązanych końców, a nagle poczułem, że straciłem czucie w palcach. Zbliżało się południe; powiedziałem Callahanowi, że wykonam jeden, dwa telefony i wrócę taksówką do miasta.

- Czerw jest już w drodze - odparł. - Tylna brama, za piętnaście minut.

- Skąd wiesz? - zapytałem, zastanawiając się, czy prócz tak licznych innych talentów Callahan nie miał także zdolności telepatycznych.

- Umówiliśmy się wczoraj wieczorem - odparł i dodał, ciągnąc swój tajemny dialog: - Czekają na mnie na trybunie głównej. Sie masz.

- Dziękuję za naukę - powiedziałem.

Callahan chwilę mi się przyglądał, a potem skinął głową.

- Disaway znowu biegnie w czwartek. Warto, żebyś zobaczył.

- Umowa stoi - potwierdziłem.

Zbierał się już, ale jeszcze się odwrócił i wyciągnął dłoń.

- Jesteś w porządku - stwierdził. - Lubię facetów, którzy potrafią słuchać. Myślałem, że jesteś jednym z tych, co to zjadł wszystkie rozumy.

- Trzeba by poświęcić cały cykl wykładów, gdyby się chciało choćby z grubsza wyliczyć to, czego nie wiem.

- Wiesz już sporo - stwierdził i pomaszerował w kierunku białej budowl.

Szukałem telefonu, żeby się dowiedzieć, czy są dla mnie jakieś wiadomości w hotelu. Zaczęły powracać wspomnienia ubiegłej nocy. Wiedziałem, że parę razy musiał dzwonić Szkop. Zastanawiałem się, czy za którymś z dzwoneków nie kryła się Doe.

Mijając stajnie, usłyszałem głos.

- Jake?

Wołanie dochodziło z jednego z boksów. Zajrzałem tam, ale ponieważ

nic nie zobaczyłem, ostrożnie wszedłem do środka. Słyszałem parskanie koni i lekki stukot kopyt, uderzył mnie w nozdrza ostry zapach siana i moczu, ale oczy bardzo powoli oswajały się z mrokiem.

- Czyżbyś na stare lata tracił wzrok? - rozległo się za moimi plecami. Obróciłem się i oto stała w drzwiach, jak duch majaczący w jaskrawym świetle. Zaczynałem stopniowo rozróżniać szczegóły. Była w bryczesach, wiktoriańskiej bluzce z czarną apaszką i ciemnej kurtce jeździeckiej. Dwadzieścia lat jakby się nagle rozplynęło. Miała znowu osiemnaście lat: ten sam strój, ta sama szpicruta lekko postukująca o udo. Kolana zdrząły pode mną. Czulem się jak chłopaczek na pierwszej potańcówce.

- Mogłeś przynajmniej zadzwonić - powiedziała chłodno, jak do dziecka złapanego na kradzieży ciastek.

- Byłem zajęty.

Podeszła blisko i dotknęła końcem szpicruty mojej szczęki, a potem po szyi przesunęła nią do miękkiego wgłębienia między obojczykami.

- Serce ci wali.

- Pewnie tak.

- Czy możesz mi wybaczyć?

- Co?

- Tamto, dwadzieścia lat temu.

- Nie ma czego wybaczać - skłamałem. - Zdarza się.

Powoli pokręciła głową i podeszła jeszcze odrobinę bliżej.

- Wcale nie - powiedziała. - Jest wiele do wybaczenia. I wiele do zapomnienia, jeśli potrafisz zapominać o takich rzeczach.

- Jakich rzeczach?

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedziała wykrętnie.

- Słuchaj, Doe, ja...

Końcem szpicruty przykryła mi wargi, nie pozwalając skończyć.

- Nic nie mów, proszę. Boję się, że powiesz coś, czego nie chciałabym usłyszeć.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, stałem więc jak głupek, z

niezręcznym uśmiechem na wargach, zastanawiając się, czy ktoś może zobaczyć nas z zewnątrz. Ona jednak najwidoczniej wcale się o to nie martwiła. Zrobiła jeszcze jeden mały krok, zarzuciła mi szpicrutę na szyję i oburącz przyciągnęła do siebie. Jej rozchylone usta, jej włosy, jej zmrużone oczy...

- Boże, tak mi przykro - wyszeptwała. - Za nic nie chciałam cię skrzywdzić. Nie wiedziałam o tym liście od Chiefa, dopiero Teddy mi powiedział. Przestałeś pisać, nie dawałeś żadnego znaku życia.

- Telefon działa w obie strony - usłyszałem swój głos i pomyślałem: „Zamknij się, durniu, rozegraj to z klasą. Daj jej mówić. Czekales na ten moment dwadzieścia lat, a teraz wszystko chcesz spieszyć”.

- Cholerna duma - westchnęła. - Wszyscy popełniamy błędy. To jeden z moich najgorszych. Chciałam się odezwać, ale wtedy Teddy powiedział, że bym dała ci spokój. Że już starczy. Wybacz mi, proszę, że byłam taka głupia.

Czy ona naprawdę sądzi, pomyślałem, że można tak łatwo przekreślić dwadzieścia lat? Przepraszam i zapomnij. Czyżby była tak pewna siebie, tak bardzo przekonana o mojej bezbronności? Poczulem, jak coś tężeje we mnie, ona jednak przysunęła się jeszcze bliżej, lekko potrząsając głową i odchylając gwałtownie - teraz dzieliło ją ode mnie raptem sześć cali. - Nigdy już nie zdarzy się ktoś taki jak ty. Nigdy. Wiedziałam to od pierwszej chwili, kiedy cię utraciłam, tak jak wiedziałam wczoraj, że nie przyjdiesz.

- Skąd niby mogłaś to wiedzieć? - zapytałem głosem ochrypłym i niepewnym.

- Ponieważ nie zasłużyłam na to - powiedziała i wargi zaczęły jej drżeć. - Ponieważ tak bardzo chciałam, żebyś przyszedł i...

- Cicho, cicho - wyszeptalem i położyłem palec na miękkich, zapraszających ustach.

Co tu się dzieje, myślałem. Co ze wszystkimi wczorajszymi postanowieniami? To tak stary Kilmer rozmienia się na drobne?

Tak, właśnie tak.

Wtedy zamknęła oczy, wargi rozchyliły się jeszcze bardziej, była przy mnie i znowu były dawne dni. Zatraciłem się w jej ustach, czułem jej delikatny, badający język i mój żarliwie odpowiadający. Potem znalazła się w moich ramionach i jedyne, o czym myślałem, to żeby jej nie zmiażdżyć. Jej kolana ocierały się o moje, usłyszałem spadającą szpicrutę, poczułem jak jej ręce ześlizgują się po karku, przyciągając mnie, przyciągając...

Zapomniałem o wszystkim, co zamierzałem jej powiedzieć. Oskarżenia, pytania, które rozjaśniłyby ciemne zakamarki mojej pamięci. Jeśli był we mnie jakiś gniew ku niej, rozplynął się w jednej chwili. Ręce pobiegły w dół, zatrzymały się na pośladkach i przyciągały ją, przyciągały...

- Och, Jake - wyszeptwała. - Tak bym chciała, żeby znowu wróciło tamto lato. Żeby nigdy nie było tych dwudziestu lat.

Nie tylko ty, pomyślałem, czyż nie byłoby pięknie? Ale tylko pomyślałem.

- Zapomnij o wszystkim - wymamrotałem. - Nie ma czego wybaczać.

- Jake, chcę, żeby wszystko było jak dawniej. Przyjdź wieczorem. Proszę, przyjdź. Nie bocz się już na mnie.

A ja, nie myśląc już o niczym, odrzekłem: „Tak”. I tego chciałem. Do diabła ze Szkopem, do diabła z Taglianiami, do diabła z bezpieczeństwem, dystansem i bólem. Wiedziałem, że przyjdę, ponieważ chciałem przyjść i ponieważ była to moja zapłata za te dwadzieścia lat. Więc powtórzyłem. I powiedziałem jeszcze raz. I jeszcze raz.

- Tak... tak... tak...

## 32. DIABEŁ Z PUDEŁKA

Pierwszą osobą, na którą natknąłem się po wyjściu ze stajni, był Czerw. Oparty o czarnego pontiaka patrzył prosto na mnie. Doe stała parę metrów za mną, w głębi stajni, ale można ją było dostrzec. Wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet odrobinę, po prostu spojrzął w inną stronę i zapalił papierosa.

- Zostań - powiedziałem, nie odwracając się, i podszedłem do samochodu. Czerw zmienił ubiór, wymięty garnitur zastąpiły znoszone spodnie, brudne tenisówki i czarny podkoszulek, jednakże brązowa fedora nadal siedziała na tyle głowy.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziałem, patrząc przed siebie.

- Wszystko ma swoją kolej - odrzekł. Zawrócił i ruszył w stronę bramy.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu, aż w końcu odezwałem się:

- To nie tak, jak może się wydawać.

- Nic nie widziałem.

- Słuchaj, znałem ją dawno, dawno temu. To nic poważnego.

- Rozumiem. Nic poważnego.

- Cholera, mówię ci, że to nic poważnego!

- Jake, to nie moja sprawa - powiedział spokojnie Czerw. - Co złe, tego nie widzę ani nie słyszę.

- A co niby jest złe?

- Nie podniecaj się, to takie powiedzenie. Po co się zaraz tak irytować. -

Po chwili dodał: - Cholernie mi się podoba twój sposób zbierania informacji. - I roześmiał się. Zakipiało we mnie, ale wtedy spojrzął na mnie i mrugnął. Przypominał mi Teddy'ego. Tylko czekałem, aż powie do mnie: „Junior”. W końcu także się zaśmiałem.

- Niech to cholera! - mruknąłem.

- Takie ważne?

- Nie wiem - powiedziałem z niesmakiem. - To jedna z tych kulek, którymi żongluję.

Sam się zdziwiłem, jak łatwo mi to przyszło.

- Jeśli może ci się na coś przydać opinia laika, tej kulki bym nie odrzucił.

- Jej mąż to ten pieprzony komisarz wyścigów - warknąłem.

- Wiem, kim jest jej pieprzony mąż - oznajmił, chichocząc. - Wystarczy pobyć w tym mieście kwadrans, żeby wiedzieć, kim jest jej mąż.

Chwila ciszy. Potem znowu chichot.

- Tak, tak, podziwiam twój styl pracy.

- To nie ma nic wspólnego z pracą - zachnąłem się. - Stara prywatna sprawa, której nie udało się odpowiednio zakończyć.

- Jaaaaasne - odparł, ciągnąc to przez jakieś trzy minuty i pięć zakrętów. - Cieszę się, że teraz zabierasz się odpowiednio do rzeczy.

- Przestań pieprzyć głupoty - poradziłem.

- Czemu o tym nie pogadasz?

- Nie mam najmniejszej ochoty o tym gadać.

- W porządku. - Długa cisza. - Ale i tak wiem, że chcesz o tym mówić.

- Do diabła, o niczym nie chcę mówić!

- To tak jak ze strapieniami; wyczuwam takie rzeczy.

- Do ciężkiej cholery. Czerw, daj spokój.

- Jasne - powiedział i dał spokój. W przeciwieństwie do mnie. Miał rację, musiałem to z siebie wywalić.

- Było kiedyś tak... miałem... przestawałem być chłopaczkiem, kiedy myślałem, że się z nią ożenię. Byłem tego pewien, jedna z bardziej widowskich omyłek w moim życiu.

- Ho, ho, ożenek. To rzeczywiście masz niewąski problem.

- Nie ma żadnego problemu.

- Słuchaj, spójrz na mnie. Możesz mnie czarować, różne te stare rzeczy, co to się ich nie udało odpowiednio zakończyć, i takie pogaduchy. Ale nie mów mi, że nie ma problemu.

- Nie ma żadnego problemu - powtórzyłem z naciskiem, choć zabrzmiało to tak, jakbym przekonywał przede wszystkim siebie samego.

- Jake, gdy się w coś pakujesz, nigdy nie ma problemu. Problemy zaczynają się, kiedy usiłujesz się wygrzebać.

- Już się wygrzebałem. Teraz chcę tylko znowu się nie wpakować.

- Rozumiem. Tego chcesz.

- Tak!

- Masz oryginalne podejście do tych spraw - orzekł, a po paru sekundach zapytał: - Ciągłe ją kochasz?

- Cholera!

- Żadna cholera.

Westchnąłem.

- Cholera, nie wiem. Może kocham jej obraz, jaki sobie stworzyłem. Może nie starczyło mi czasu, żeby się w niej odkochać. Nie rozgryzłem jeszcze tego.

- Kiedy macie się zobaczyć?

Przez chwilę wpadłem w panikę, że powiedziałem mu zbyt wiele. Stara paranoja.

- O której umówiłeś się z nią wieczorem?

- Kto powiedział, że umówiłem się z nią wieczorem?

Posłał mi swój kolejny wariacki uśmiech.

- O dziewiątej - wyznałem.

- Chcesz jakąś osłonę?

- Nie wygłupiaj się.

- Jake, nie żartuję - powiedział poważnym tonem. - Czy chcesz, żebym czuwał na zewnątrz, popilnował, czy nikt nie siedzi ci na karku? Powiem ci tylko tyle, możesz na mnie liczyć. Nie wiem, ile to wszystko dla ciebie znaczy, ale mam nadzieję, że skończy się dobrze. Dla ciebie.

Wzruszył mnie tą swoją troską. Miał w sobie wiele z Teddy'ego. Jednakże trochę się go obawiałem. Wszystkich się obawiałem. Zrobiłem dwa niebezpieczne kroki. Otworzyłem się przed Doe, a teraz przed Czerwiem. Coraz

bardziej oddalałem się od bezpiecznej samotni. I to mnie przerażało.

- Nie powinienem był wracać do tego cholernego miasta - burknąłem w końcu.

- Daj spokój - prychnął. - Wtedy nie spotkałbyś się ze mną. Jestem magikiem, bracie. Zrobię parę gestów i stają się rzeczy niemożliwe.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem, żeby zmienić temat.

- Do doków.

- A po co tam?

- Mamy dla ciebie niespodziankę.

- Jacy „my”?

- Ja i Zapata.

- Pięknie, ale czy mógłbyś nie przekraczać dziewięćdziesiątki?

- On zaczyna trochę rzeźić poniżej dziewięćdziesiąciu - odparł z uśmiechem i poklepał kierownicę.

- To przykre. Ja zaczynam trochę rzeźić powyżej dziewięćdziesiątki. Co wydarzyło się w dokach?

- Rybacy rozładowują tam złowione krewetki - odpowiedział, jak gdyby tłumaczyło to wszystko. Postanowiłem czekać na niespodziankę.

Skręcił we Front Street i wolno, jak na niego, pojechał w kierunku plaży. Zanim minęliśmy dwie przecznice, naliczyłem sześć dziewczynek, pracujących parami. Dwie gawędziły z bardzo przyjaźnym usposobionym policjantem, który czas rozmowy umiał sobie delikatnym ich podmacywaniem; dwie inne toczyły negocjacje z parą w średnim wieku, która siedziała w samochodzie z rejestracją Iowa; dwie następne niemal wskoczyły pod samochód, usiłując pozyskać sobie naszą uwagę. Od tej chwili przestałem już liczyć.

- Jadę trochę naokoło. Klasyczne zwiedzanie Dunetown - powiedział Czerw, kiedy spoglądałem na przesuwane się za oknami lokale striptizowe, sklepy z fikuśną bielizną i handlowe domy porno. - Pomyślałem, że



chciałbyś może zobaczyć to za dnia.

- Oto i cała Ameryka - odezwałem się. - Pięćdziesięcioletni kochasie w wycieczkowych autach zastąpili Bunker Hill. Co się stało z Beaverem Cleaverem i jego ojcem, który wszystko wiedział najlepiej; gdzie te czasy, kiedy największym problemem było, czy Ricky'emu w Nelsons' Chevy zabraknie benzyny?

- Kto to taki Beaver Cleaver? - zapytał z sarkazmem.

Kiedy się już napatrzyłem do syta, Czerw wykręcił z Front Street, pojechał na północ i minąwszy dwie przecznice, wjechał na Ocean Boulevard. Niewielki ruch pozwalał się rozkoszować palmami i azaliami na trawniku oddzielającym oba pasma. Za dnia, bez agresywnych nocnych świateł, wszystko wyglądało nieco lepiej.

Dzień stał się gorący i parny; z otwartymi oknami przejechaliśmy przez most wiodący na Thunderhead Island. Chociaż od oceanu dzieliła nas jeszcze jedna wyspa, czułem, że powietrze jest już chłodniejsze.

Przypomniało mi się hrabstwo Oglethorpe sprzed dwudziestu lat i letnie nocne wyprawy na plaże po dwupasmowej szosie. Hrabstwo położone było na dziesięciu czy jedenastu wyspach, a mieszkańcy odczuwali swoistą dumę, jak się zdaje właściwą wszystkim wyspiarzom: mieli owo poczucie niezależności, płynące z oddzielenia od stałego kontynentu. Ci, których poznałem, zupełnie nie przejmowali się tym, co myśleli czy robili inni. Na wszystko mieli swoje własne sposoby.

- Wiesz, przez całe lata, zanim alkohol stał się legalny w Georgii, w tym hrabstwie mogłeś sobie kupić drinka zupełnie jawnie w każdym barze. Mówiono: Wolne Państwo Oglethorpe.

- Łamanie prawa w tych czasach miało w sobie jakiś czar - powiedział. - To pewnie wtedy zaczęła się rodzić władza Titana.

Nigdy o tym przedtem nie pomyślałem, ale Czerw miał najpewniej rację. To wtedy powstawał system patronatu. A diabli wiedzą, jak daleko sięgał teraz.

- Co myślisz o Titanie? - spytałem.

- Najtwardszy siedemdziesięciopięciolatek, jakiego kiedykolwiek widziałem - odparł z wyraźnym podziwem.

Dwadzieścia lat zmieniło Thunderhead Island z czarownego, porośniętego moczarami pustkowia w upiorne osiedle letniskowe: gładkie, białe trzypiętrowe budowle ciągnęły się wzdłuż rzeki na północ, na południu natomiast mokradła osuszono, uporządkowano i przekształcono w rozległą przystań. Nie widać było niemal żadnych drzew, nic tylko stal i beton oraz maszty setek łodzi, nieprzerwanie unoszące się w górę i w dół, w górę i w dół, jak ruchome wykałaczkę.

Zastanawiałem się, kto naprawdę wzbogacił się na zniszczeniu tego kawałka rajów.

Czerw przerwał moje rozmyślenia.

- Ściągnąłem przez komputer wojskowe akta tych wszystkich członków Trójcy, którzy byli w Wietnamie. Costello spędził w Sajgonie sześć tygodni, pomagał rozwiązywać jakiś problem prawny. Resztę czasu przebalował w Waszyngtonie jako adiutant generała. Dobra robota. Tak samo się wykreśliło paru ich mięśniaków. Ale zupełnie inaczej było z Harveyem Nance (to jego prawdziwe imię, Harvey). Spędził w Wietnamie dwa lata; był w DROW, bazę mieli w Dau Tieng. Słyszałeś o DROW?

- Łowcy głów - odparłem.

- To może zabrzmieć zabawnie - powiedział Czerw - ale zawsze jest coś takiego dziwnego, gdy spotykam facetów po Wietnamie: wystarczy, że pobędziesz z takim chwilę, już go wyczuwasz, on zaczyna zdanie, ty możesz je skończyć za niego. Kiedy coś go gryzie, dobrze o tym wiesz. Jak ja teraz o tobie.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Zaraz po powrocie z Namu poszedłem we Frisco do kina, a kiedy wychodziłem, na schodach siedział chłopak - nigdy chyba nie widziałem jeszcze tak wytatuowanych rąk - i płakał, głośno pochlipując. Ludzie przechodzili obok niego, spoglądali, pewnie myśleli, że jest naćpany. Cóż, może był, miał chyba do tego prawo. Tak czy inaczej, siadłem koło niego, objąłem go ręką, a on tylko podniósł na mnie wzrok

i powiedział: „O Jezu!” Siedzieliśmy tak niezły kawał czasu, potem on podniósł się, podziękował i wyszliśmy z kina. On szedł w jedną stronę, ja w drugą. Dobrze wiedziałem, o co chodziło Czerwiowi.

No i miał rację, coś rzeczywiście mnie gryzło.

- Poczucie rzeczywistości traci się szybko - powiedziałem. - Kiedy po raz pierwszy znalazłem się w polu, hueye powiozły nas do lasu U Minh. Była to strefa niczyja, co załatwiły dla nas nieco wcześniej B-52. Oparty o ścianę siedział starzec i do piersi przyciskał nogę, zupełnie jakby się bał, że ktoś mu ją ukradnie. Wykrwawiał się na śmierć, przyciskając tę nogę. Staruszek, nie wiem, sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat, za stary, żeby komukolwiek móc zrobić krzywdę. Do kurwy nędzy, pomyślałem, gdzieś na górze są jacyś pomyśleńcy. Tym, którzy dowodzą tą wojną, trzeba by przemeblować w głowach.

Słuchał mnie, potakując.

- Tak - przyznał - Wietnam to było ostatnie kurewstwo, jedno wielkie oszustwo. Kurczę, od pierwszej chwili kiedy się urodzisz, faszerują cię tym gównem o wojnie i bohaterstwie. I nie przestają już do końca życia. Bajer wielkiej, pieprzonej wojny. Bądź bohaterem, tyle że w Wietnamie nie było żadnych bohaterów. Jedno wielkie gówno i długa lista poległych.

- A, więc o to ci chodzi, Czerw? Chciałbyś zostać bohaterem i wziąć udział w uroczystej paradzie?

Roześmiał się.

- Czemu nie, gdyby ktoś tylko mnie zaprosił.

- Do końca nie udało mi się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi - oznajmiłem ponuro. - To było najgorsze.

- O winę, bracie, o nic więcej.

Wiedziałem o tym. Z początku jesteś uszczęśliwiony, ponieważ ciągle żyjesz, a wszyscy dokoła umierają. Nie bardzo chcesz się do tego przyznać, nawet przed sobą, ale tak już jest. Poczucie winy pojawia się później. Tak było z Teddym.

- Tak czy inaczej - zauważyłem - cała ta gadanina o koleżeństwie

wylatuje - ci z głowy, kiedy po raz pierwszy zaczną do ciebie strzelać. Wtedy myślisz tylko o sobie. To część tego kurewstwa.

- Nie chciałem zmieniać tematu - powiedział Czerw. - Ważne jest, że DROW to były podle skurwysyny, a Nance do nich należał.

- Skąd to zainteresowanie Nance'em? - zapytałem.

- Zaraz ci wyjaśnię.

Zjechał z Ocean Boulevard tuż przed mostem prowadzącym na Oceanby Island i jej plażę. Port rzeczny był czysty, zadbane; dziesiątki betonowych nadbrzeży, ciągnących się przez kilkaset jardów. Było jeszcze za wcześnie na poławiaczy krewetek. Rozładowywano tylko jedną pomalowaną na czarno łódź. Sieci zwisały się z wysięgników jak skrzydła nietoperza. Robotnicy wysypywali krewetki na pas transportera, który przenosił je do blaszanego budynku, będącego po prostu nieco większą zamrażarką.

Czerw wjechał na parking zatłoczony samochodami rybackimi i zatrzymał się koło poobijanego forda, który wydał mi się dziwnie znajomy. Na przednim siedzeniu dojrzałem uśmiechniętego Zapate.

- Cześć, *amigo* - powiedział. - Jak tam poszło na torze?

- Pobierałem nauki - odparłem.

- Zaraz otrzymasz następną - obwieścił.

- Jaką znowu?

Wyciągnął rękę przez okno w kierunku naszego wozu i podał mi lornetkę.

- Spójrz na transporter.

Spojrzałem na transporter i nie dostrzegłem nikogo.

- Pusto - powiedziałem.

- Popatrz sobie przez chwilę - nastawał Zapata.

Czerw przysunął zapalniczkę do papierosa i skulił się za kierownicą.

Z chłodni wyszedł jakiś mężczyzna, niski, z siwą brodą, o wyglądzie poczciwca. Sądząc po brzuchu, był zbyt gorącym entuzjastą piwa. Okrągłą głowę przykrywała jaskrawozielona czapka. Facet zaczął grzebać w paletach zrzuconych na stos z tyłu budynku. Dopiero po całej minucie

zorientowałem się, że jest to Tuna Chevos. Usprawiedliwiały mnie jedynie świeżo wyrosła broda i ciemne okulary; samą twarz znałem aż za dobrze.

- Skurwysyn - warknąłem. - Oto figura brakująca na szachownicy. Wiedziałem! Wiedziałem, że także i Nance nie może być daleko. Jak na niego trafiliście?

- E, kurczę, to było proste - odparł Zapata. - Mówiłeś, że Chevos prowadził barki po Ohio River, wydawało się więc logiczne, że będzie się trzymał podobnych zajęć, zwłaszcza że łódki krewetkarzy wożą także sporo trawy. Załapałem więc książkę telefoniczną i poszukałem spółek połowowych. Miałem szczęście. Ta jest trzecią, którą sprawdziłem.

- Jak się nazywa?

- Jalisco Shrimp Company - odpowiedział Czerw.

- Trzeba się dowiedzieć, kto jest właścicielem.

- Sprawdzę to.

Do Chevosa dołączył drugi facet, wysoki, chudy, z lisią twarzą, stąpający miękko i zwinnie. Był cały czas w ruchu, jakby podkradał się do nieoczekującej niczego ofiary. Zdawało mi się, że nawet z odległości trzystu jardów czuję zapach drapieżcy.

- To on - powiedziałem z ponurą zawziętością w głosie, nie starając się ukrywać nienawiści do Turka Nance'a. - Nance.

- Tak też sobie pomyślałem - powiedział Zapata uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Świetna robota, Chino. - Klepnąłem go w ramię.

- Dziękuję. Ale to bułka z masłem, nic wielkiego.

- Ten Nance rzeczywiście założył ci za skórę, co? - odezwał się Czerw.

- Mamy długi do wyrównania - powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

- Może uda nam się tak to urządzić, żebyś wyszedł na swoje. - Zapata wyglądał na uszczęśliwionego.

- To byłoby wspaniale - odrzekłem. - Wiemy przynajmniej tyle, że wszyscy od Taglianich są tutaj.

Patrzyłem, jak przeglądają skrzynki.

- Naprawdę wyglądają tak, jakby zarabiali na utrzymanie - mruknąłem.

- To są te najgorsze parszywce, tak? - upewnił się Zapata.

Nie spuszczałem wzroku z Nance'a, w którego oczach zawsze tliła się groźba. Z tego, co wiedziałem, zabił co najmniej kilkanaście osób.

- To prawdziwe łotry - potwierdziłem. - Jeśli ktokolwiek od Taglianich potrafiłby zniszczyć całą rodzinę, to właśnie Chevos, a Nance wykonywałby robotę. Obserwujcie tę dwójkę dzień i noc, dobra?

- Sam się tym zajmę - odparł Zapata, najwyraźniej dumny z dotychczasowych osiągnięć.

- Nie zaszkodziłoby też zbadać, co obaj robili wczoraj w nocy. Szczególnie Nance. Ale nie mogą się dowiedzieć, że ktoś się nimi interesuje.

Oddałem lornetkę Zapacie.

- Powiem ci, jak chciałbym urządzić Nance'a. Chciałbym, żeby całymi dniami w najgorszym pierdłu do końca życia był w samotnym cierpieniu.

Czerw przez kilka chwil wpatrywał się we mnie w zdumieniu, a potem na twarz wypłynął mu krzywy uśmiech.

- Chyba wiemy, o co ci chodzi - odparł.

### 33. ISLE OF SIGHS

Na Isle of Sighs wyruszyłem o wpół do dziewiątej, zmierzchało już więc, kiedy opuszczałem Front Street i w ogóle Dunetown. Łowcy krabów uparcie tkwili przy poręczy mostu łączącego główną wyspę z Sea Oat Island. W dole, starsza kobieta w zniszczonym kapeluszu, którego rondo

opadało jej na uszy, zarzucała wędkę z płaskodennej łódki, wolno płynącej wzdłuż trzcin. Hieny jeszcze tu nie dotarły.

Sea Oat była swego rodzaju buforem, małą, bagnistą wysepką oddzielającą rozpusztne miasto od pełnej zadumy Isle of Sighs. Niewiele było tu samochodów, a na drogach spotykało się najczęściej tubylców na rowerach. Wyglądało na to, że wyspiarze ciągle jeszcze stanowili tu większość, uparcie nie chcąc ustąpić miejsca wymogom czasu i postępu. Miąłem coś, co wyglądało na opuszczony rynek, pośrodku którego sterczały zarośnięte bujnymi chwastami ruiny jakiejś budowli, mniej więcej milę dalej osiedle odremontowanych murowanych domków, między którymi biegały roześmiane dzieci i ujadające psy. Ulice stały się uliczkami, pod oponami skrzypiały skorupy ostryg, a zgięte od starości dęby zmieniały drogi w żywe kolumnady, w których spływające spod sklepień szare mchy hiszpańskie z miękkim szelestem przesuwały się po dachu samochodu.

Ściąłem się z zachodzącym słońcem, usiłując dotrzeć do Windsong przed zapadnięciem nocy, kiedy jednak zbliżyłem się do starego, wąskiego, drewnianego mostu, który łączy Sea Oat z Isle of Sighs, zniemacka wyskoczyłem spomiędzy drzew na odkrytą przestrzeń: jak na afrykańskiej równinie na milę rozciągnęły się przede mną mokradła. Można by pomyśleć, że dotarłem na kraj świata.

Przystanąłem, wysiadłem z auta i oparłem się o błotnik. Pożółkła kula słońca wisiała o cal nad falującym morzem traw; ptaki, motyle i przeróżne bzykające istoty wzbily się do ostatniego przed zmrokiem lotu. Patrzyłem, jak słońce osuwa się na horyzont i zapada w równinie, rozpalając ją. Niebo stało się purpurowe i całe mokradła zalane zostały tym kolorem jak łuną pożaru. Przez minutę cały świat był czerwienią, a potem słońce bezgłośnie zatoneło w zaroślach i trawach.

Jak za skinięciem czarodziejskiej różdżki, nagle zrobiło się ciemno.

Kiedy wsiadłem z powrotem do samochodu, ogarnęło mnie raptownie

poczucie winy. Przypomniałem sobie Szkopa i obietnicę, którą mu złożyłem. Nie będzie żadnego skandalu, przyrzekłem mu. Zastanawiałem się nad tym z minutę, a później przez mostek wjechałem na Isle of Sighs. Nic się tu nie zmieniło, zupełnie jakbym wpadł w pętlę czasu. To tu, to tam, przy nierównych drózkach pojawiały się tablice z ręcznie wyrytymi nazwami domostw ukrytych między sosnami i palmami. Kiedyś tutaj biło serce Dunetown, tutaj mieszkali władcy, którzy podejmowali boje, zdobywali lupy, dzielili je i rządzili miastem, ciesząc się niekwestionowanym autorytetem. Każdy z tych domów był niepowtarzalny, każdy odznaczał się niewymuszonym wdziękiem.

Windsong było fortecą.

Stało na skraju lasu, o jakąś milę od głównej drogi. U końca piaszczystego dojazdu - bardziej ścieżki niż drogi - obramowanego karłowatymi palmami, widać było rozległy, widmowo biały w świetle księżyca, dwupiętrowy budynek z wielkimi werandami, cedrowymi gontami i wysokimi, ciemnymi okiennicami. Za nim starannie wypielegnowany trawnik ciągnął się przez kilkaset jardów w kierunku oceanu, który połyskiwał o milę dalej, już za północnym cyplem Skidaway Island. Nad samą wodą, jak pion na pustej szachownicy, stało podium, z którego ongiś przygrywały orkiestry.

Wspomnienia cisnęły się jedno przez drugie.

W narożnym pokoju na drugim piętrze dostrzegłem słaby blask lampki, z głównego salonu strumień światła spływał na róg werandy. Poza tym wszędzie było ciemno.

Zatrzymałem się przy granatowym mercedesie zaparkowanym niedbale na końcu podjazdu, wysiadłem i przez dwie, trzy minuty, stałem nieruchomo, pozwalając oczom oswoić się z mrokiem. Księżyc rzucał wokół niewyraźne cienie. Południowy wiaterek ciągnął od oceanu, poruszając wierzchołki drzew. Gdzieś za domem jakiś ptak zawodził żalną pieśń miłosną, czekając na odpowiedź, która nie nadchodziła. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego Chief nazwał swą posiadłość Windsong, Wietrzna Pieśń; żadna inna nazwa nie pasowałaby tak dobrze.



Przypomniało mi się, jak Chief i Titan na zakończenie każdego dnia sączyli whisky na werandzie. Otworzyłem bagażnik, umieściłem pistolet pod zapasową oponą i jak najciszej zamknąłem wieko. Każdy gwałtowny dźwięk byłby tu profanacją.

Ciemny kwadrat mieszkalnej łódki wynurzał się z oceanu na wschód od domu. Poszedłem wolno w jej kierunku. Ptak znowu podjął śpiew, który nagle urwał się w szeleście liści. Potem słychać już było tylko wiatr.

Wiedziałem, co jej powiem; powtarzałem to sobie w głowie od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem.

Bądź twardy, Jake, nie poddawaj się czułym wspomnieniom. Mów, co masz do powiedzenia, i wynoś się.

Byłem gotów.

Czekała na pokładzie, osrebrzona poświata księżycy, który zawisł na bulinie dwudziestopięciostopowego żagla. W pierwszej chwili nie dostrzegła mnie; stała z zamkniętymi oczyma, zanurzona we własnych wspomnieniach. Gdzieś zająk plecami płynęła cicha muzyka z małego magnetofonu. Powróciło tamto lato, a fala obrazów porwała też ze sobą pracowicie układany scenariusz. Poznałem gitarę Phila Spectrona w starej wersji *On Broadway* Driftersów. Dwadzieścia lat temu potrafiłem wygwizdać z nimi każdą nutę i każde zamilknięcie. Nawet nie wiedziałem kiedy, zacząłem poświstywać przez zęby, zdumiony, że ciągle jeszcze pamiętam wszystkie dźwięki i pauzy.

Odwróciła się spłoszona i zmrużyła sarnie oczy, usiłując dojrzeć coś w mroku. Fale chlupotały o brzeg, łódka miękko odbijała się o opony.

Tylko wiatr.

- Jake? - powiedziała ledwo dosłyszalnie.

- Tak.

Oderwała się od liny.

- Ciągle jeszcze pamiętasz - zaśmiała się.

- Trochę się zaniedbałem.

- Nie, wcale nie - odparła z naciskiem.

Potem nastąpiła ta straszliwa chwila, podczas której czujesz, że musisz coś powiedzieć, żeby wypełnić ciszę. Zrobiła to za mnie. - Cieszę się, że przyszedłeś. Pragnęłam tego aż do bólu.

- Nic się nie zmieniłaś - powiedziałem ochryple. - Czas się ciebie nie ima.

- Zawsze znajdujesz właściwy ton. Tak jak dawniej. - Znowu przerwa.

- W ogóle cię nie słyszałam. Na chwilę pogrążyłam się w sobie.

- Trudno o lepsze do tego warunki.

Postąpiła w moim kierunku, bezcielesna zjawą, kołysząca się w takt muzyki.

- Pamiętasz tamto party? Kiedy Dewey Simpson upił się i chciał popłynąć do boi w smokingu...

Pamiętałem. Potwierdziłem.

- ...a ty go jeszcze podpuszczałeś...

Światło ją zalewało, cudowne nogi rysowały się pod bawełnianą sukienką.

- ...i ciągle graliśmy tę melodię, aż wreszcie Teddy skoczył, żeby go przyholować.

Trójkąt jej bikini, wypukłość piersi, którą głaskał promień księżyca.

- I jeszcze moje osiemnaste urodziny, kiedy wzięliśmy wózek, a potem zostawiliśmy Teddy'ego i tamtą dziewczynę...

Włosy lekko powiewały na wietrze, rzucając na jej twarz ruchome cienie.

- Wtedy... To było tutaj. Fale tryskały tak wysoko. Przesunęła koniuszkami palców po swej szyi.

- Było wtedy tak ciepło. Pamiętasz?

Poczułem jak tamto ciepło teraz spowija mój kark. Była artystką, zawsze bezbłędna.

- Zupełnie jak dzisiaj... Pełnia...

Stała już tak blisko mnie, że mogłem poczuć jej zapach.

- Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam cię nagiego...

Teraz to ona mogła usłyszeć łomot mojego serca.

- Upadliśmy na piasek i pozwoliłeś, żeby wózek zsunął się z wydmy...  
- Pamiętam, tak, pamiętam...  
- Byłeś taki wspaniały...  
- Ty ciągle jesteś - usłyszałem swój głos, niepewny jak marzenie starej panny.

- Jake, czuję dokładnie to samo, jakby płonął we mnie ogień...

Nachyliła się ku mnie, a jej piersi otarły się o moją skórę lekko jak motyl o kwiat.

Ale to wcale nie był rok 1963 i wcale nie byliśmy na plaży; było to żywe i namacalne tutaj. Cofnęła się o krok, dekolt już rozpięty, piersi wyrrywające się z białego stanika, wyzwoliła ramiona ruchem tak płynnym, że niemal niedostrzegalnym, a sukienka spłynęła w dół, układając się na kamieniu u jej stóp. Pochyliła się, a dłonie gładko zsunęły się po udach, i nagle, znowu... znowu stała przede mną naga.

Jeśli coś się zmieniło w jej ciele, to tylko to, że stała się jeszcze piękniejsza.

Była przy mnie, moje ręce zsunęły się po krągłości pośladków i mocno, bardzo mocno ją przygarnęły. Zaczęła się kołysać na boki, przyciągając mnie do siebie. Przesunąłem rękę po wewnętrznej stronie uda, ona zaś na nią naparła. Była ciepła i wilgotna; mocno ścisnęła nogi, unieruchamiając moją dłoń, a jej ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze. Palce powędrowały do paska od spodni, rozpięły go i zaczęły mnie pieścić. Teraz poruszaliśmy się już razem.

- Jake, Jake, mój Boże, gdzie byłeś? - jęknęła.

Powoli opuściłem ją na posłanie w łodzi i oto leżała przede mną, z rękami odrzuconymi za głowę, podczas kiedy pieściłem ją delikatnymi muśnięciami, aż nagle jej ciało przebiegł dreszcz, zaczęła drżeć pod moimi palcami i pochyciła głaszczącą dłoń, teraz kierując nią, pokazując, gdzie dotykać, gdzie drażnić, dyrygując swoją rozkoszą. Potem nagle jej ręce odfrunęły, szukając jakiegoś oparcia, i mocno wczepiły się w krawędź

koi. Miotłała się coraz gwałtowniej, gdy moje palce wędrowały pieczołtliwie wśród tajnych zakamarków jej ciała.

Westchnienia Doe stawały się coraz głębsze, po chwili przeszły w jęk, dobywający się gdzieś z głębi krtani, aż nagle wyprężyła się, objęła mnie gwałtownie rękami i wtuliła się w moje ramiona, tak, że jej głos uwiązał w nich, stłumiony.

Rozbiegane palce zaczęły szukać, odnalazły i delikatnie poprowadziły mnie w głąb niej samej. I teraz czułem już tylko ją, jej mięśnie czule mnie ogarniające, wprawiające we wspólne drganie, jej niecierpliwe usta wpijające się w moje.

Nie było nic więcej.

Nie było żadnych Cisco, żadnych Tagliameli, żadnych zabijaków, ran i krzyków żalości. Były tylko nasze okrzyki rozkoszy i spełnienia, przez wiatr niesione w morze.

## 34. PÓŹNY TELEFON

Taśma się skończyła i magnetofon sam się wyłączył, ja zaś narzuciłem na nas wiatrówkę, choć nie była wcale potrzebna. Jej gorące ciało przykrywało mnie jak koc. Nic niemal nie mówiliśmy, po prostu leżeliśmy przytuleni jedno do drugiego. Uplłynęło pół godziny i nagle zabrzmiał mój przyzwyczajony, jak słuchawka telefoniczna, która zbyt długo leżała odłożona.

Wychyliwszy się spod niej, na oślep obmacywałem rozrzucone ubrania, aż w końcu dotarłem do sygnalizatora i wyłączyłem go. Wpół do dwunastej.

Obróciła ku mnie głowę i zapytała z westchnieniem:

- Co to było?

Zastanawiałem się, któż to mógł mieć ochotę rozmawiać ze mną o tak późnej porze.

- Przyzywać? - powiedziałem. - Muszę zadzwonić do biura.

Uniosła się o cal; potargana głowa i spoglądające spod burzy włosów półprzymknięte oko.

- Która jest?

- Po jedenastej.

- Musisz dzwonić do biura o północy?

- Mam okropnie ustawiony dzień pracy.

- To śmieszne. Poza tym za wcześnie, żebyś odchodził.

- Masz męża, nie zapominaj o tym.

- Tej nocy mam męża w Atlancie - powiedziała i popatrzyła na mnie z uśmiechem. Żadnego zakłopotania. Wyglądała niewinnie jak pięciolatka.

- Może zadzwonić.

Zachichotała.

- Mmm. Co z oczu, to z myśli. Poza tym, ufa mi.

Na to nie byłem przygotowany. Na nic z tego, co się zdarzyło, nie byłem przygotowany. Poczucie winy zapiekło w żołądku jak wrzód, a nie miało nic wspólnego z Harrym Rainesem. Przez cały czas okłamywałem się, że było to nieuchronne. Znowu się wychyliłem, sięgnąłem po ubranie. Usiadła, opierając się o ściankę; jej skóra brązowiła w bledniejszym świetle księżycowym.

- Jeszcze - szepnęła i było to bardziej żądanie niż prośba.

Ogień znowu rozgorzał we mnie, ale zdążyły się też już rozgościć stare upiory: uczucie winy, rozgoryczenie, zazdrość, niewiara. Zarzuciłem na nią wiatrówkę.

- Daj mi odsapnąć - powiedziałem z wymuszonym uśmiechem.

- Kiedyś nigdy o to nie prosiłeś - szepnęła, kładąc mi na piersi rękę delikatną jak aksamit.

- Wtedy trenowałem.

- Wróć, proszę - wykrztusiła, kiedy zacząłem się ubierać.

- Nigdy nie wiem, co zaraz nastąpi. Za godzinę mogę być już w drodze na Alaskę.

- Nie.

Roześmiałem się.

- Nie? Jak mam to rozumieć?

- Przez wszystkie te lata czekałam na ciebie. Nie możesz tak po prostu pojawić się i zniknąć.

Przymknęła oczy i oparła głowę o ściankę.

- Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, kiedy wczoraj zobaczyłam cię w restauracji, a potem dziś na torze. Wszystko nagle wróciło. Jak fala przypływu. - Uniosła powieki i spojrzała na mnie. - Tak było i to jedna z tych rzeczy, w które nie możesz wątpić. Wiesz, co mam na myśli?

Natychmiastowy odzew: szalona fantazja z przeszłości. Po otrzymaniu od Chiefa pożegnane listu moje dni przez długie miesiące przepełnione były fantazjami. Nie panowałem nad nimi, były jak szklane talie oddzielające mnie od rzeczywistości. Były to sny na jawie, śniłem, jak któreś nocy stanie w moich drzwiach i powie, że nie może już wytrzymać beze mnie nawet chwili dłużej, że będzie na mnie czekała w kącie jakiejś restauracji. Rozglądałem się za nią w każdym sklepie, wpatrywałem się w szyby wozów mijanych na szosie, szukałem jej wszędzie. Kupiłem tanią lornetkę, by w futbolowe weekendy móc zajrzeć do łoża Chiefa na Sanford Stadium. Żeby zobaczyć ją choćby na chwilę, myślałem, to już wystarczy. Potem pogodziłem się z niebezpieczeństwem takich fantazji. Przekształciły się w senne widma, a potem odeszły, pozostawiając tylko blizny.

Czułem, jak zaczyna mnie okrywać stalowa, zimna zbroja.

- Nie odchodź znowu - poprosiła. - Przynajmniej na razie. Daj nam szansę.

Tchnąłem w słowa odrobinę gniewu, żeby choć na chwilę zmniejszyć dręczące mnie napięcie.

- Nie było dokładnie tak - odpowiedziałem szorstko.

- To wina Chiefa. Nigdy nie rozumiał, co naprawdę do siebie czujemy.

- Myślę, że rozumiał bardzo dobrze.

Spojrzała w bok, mnąc w palcach rąbek sukienki.

- Och, Jake, znasz przecież Chiefa. Zawsze robił to, co uważał za słuszne, więc... więc... Nikt nigdy nie sprzeciwił się Chiefowi.

- Może ktoś w końcu powinien był to zrobić. Popatrzyła na mnie przeciągle, a potem zapytała:

- Więc czemuś tego nie zrobił? Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Duma. - Cała odpowiedź, na jaką się zdobyłem. Pokiwała głową.

- Zawsze wygrywa za nas.

- Słuchaj, nie tak łatwo powiedzieć sobie, że straciło się dwadzieścia lat, bo za mało miało się charakteru. Trzeba wtedy zbyt radykalnie zmienić opinię o samym sobie.

- Jake - odezwała się raptownie, zupełnie innym głosem. - Chcę usłyszeć o Teddym.

- Napisałem wszystko, co jest do powiedzenia.

- Chcę to usłyszeć z twoich ust.

- Dlaczego, na Boga?

- Żebym wiedziała nareszcie, że to prawda, tak bym mogła o tym zapomnieć raz na zawsze.

- To prawda, wierz mi. Nie mogę tego powtarzać, Doe. To nie jest dla mnie najprzyjemniejsze wspomnienie.

Było to już tak dawno, że niemal zapomniałem, jak brzmiało kłamstwo. Pamiętałem tylko tyle, że było to coś heroicznego jak w greckiej tragedii.

- Już czas, byś pozwoliła Teddy'emu spocząć w spokoju - powiedziałem łagodnie. - Przestań nareszcie myśleć o wojnie.

To nie była rzeczywistość, lecz obłąd. Pamiętaj go takiego, jakim był tego dnia, kiedy wepchnęłaś go do zatoki. Tego by chciał.

Zaczęła płakać, tak cicho, że niemal niedosłyszalnie.

- Tak by się cieszył, że jesteśmy razem. Jake. Byliśmy dla niego wszystkim.

- Wiem.

Mówiła dalej, a łzy spływały jej po policzkach.

- Kiedy przypominam sobie tamte lata, to widzę wszystkich nas razem. Tyle obietnic, nadziei i wszystko na darmo. Wszystko poszło źle i tak już zostało. Wszystko zaczęłam tracić. Najpierw ciebie, potem Teddy'ego, potem... ech, wszystko, wszystko.

- Potem co? Dlaczego nie dokończyłaś?

- Było wiele takich „potem”. Mam konia, wspaniały ogier, wychowany tutaj, w Georgii. Wydawało się, że będzie wspaniały. Chief dał mi go w prezencie, kiedy skończyłam trzydzieści lat. Nazwałam go Ognistonogi, może to głupie, ale jest kruczo czarny, tylko jedna biała plama na przedniej nodze, jak płomyk, więc tak już zostało, Ognistonogi. Chief powiedział, że razem pozostaniemy wiecznie młodzi. Chciałam, żeby ścigał się, strasznie o tym marzyłam. Ale wtedy Harry wdał się w ten tor. Myślałam, że skoro odziedziczył Dunetown od Chiefa, to już wystarczy, ale nie. Powiedział, że to byłoby nie w porządku, żeby w gonitwie startował koń, którego właścicielką jest żona komisarza wyścigów. Więc Ognistonogi jest teraz tylko do rozplodu. Kiedy przychodzę, biegnie do mnie po łące, z podniesioną głową, taki dumny... tak by chciał biegać, jak wszystkie folbluty. Są urodzone do wyścigów, do rywalizacji. Zasłużył sobie na to, żeby i on mógł spróbować, naprawdę zasłużył. Takie zwierzę też ma swoje prawa.

Przerwała na chwilę, bezwiednie wyciągnęła nitkę z sukienki, splotła w palcach i znowu się odezwała:

- I tak było ze wszystkim, od czasu, jak odszedłeś. Wszystko szło nie-dobrze.

- Cóż za pech - powiedziałem z goryczą.

- Każdy jest inny niż się w pierwszej chwili wydaje - mówiła z goryczą w głosie. - Harry na początku przypominał mi ciebie. Był zabawny, wesoły, sprawiał, że ciągle się śmiałam. Potem Chief zdecydował się iść na emeryturę i Harry zmienił się z dnia na dzień. Nic, tylko interesy, interesy i interesy!

- Obowiązki następcy tronu.

- Nie przypuszczałam, że ma takie ambicje. Nagle okazało się, że



Findley Enterprises to już dla niego za mało. Potem pojawiła się polityka, jeszcze później tor. Ciągłe coś nowego. Jest jak dzieciak na karuzeli wesołym miasteczku: nie potrafi wsiąść. Nigdy tego nie chciałam. To bez sensu. Mamy więcej, niż kiedykolwiek będziemy w stanie zużyć.

Przez chwilę było mi żal Harry'ego Rainesa, gdyż znałem tę obsesję. Harry Raines musiał nieustannie się sprawdzać. Nie wystarczała mu rola męża Doe Findley i za to należało go szanować. Przemknęło mi przez głowę, czy i ja zachowałbym się tak samo. Nie powiedziałem jednak nic, słuchałem tylko. Miałem w niewielkim poważaniu jego zapędy polityczne. W mojej prywatnej klasyfikacji politycy zajmowali na ogół miejsca tylko o szczebel wyższe od zboczeńców napastujących dzieci oraz bankowych rabusiów. Było to oczywiście uprzedzenie i powinienem jakoś z nim walczyć, ale cóż mogłem poradzić, skoro w całym swoim życiu tak cholernie niewiele poznałem polityków, których mógłbym polubić lub którym mógłbym zaufać.

- Kocham Harry'ego - powiedziała. - Ale w tym człowieku już nie jestem zakochana. To nie Harry, to gubernator Raines.

- Może popadł w jakieś tarapaty - zasugerowałem, zapinając koszulę.

- Ciągłe mówi tylko o drażnieniu tygrysa.

- To raczej dwutonowy słoń na cieniutkiej linie.

- Aż tak źle? Co to za kłopoty? - zapytała niespokojnie.

- Nie wiem dokładnie. Czy jest uczciwy?

- Chief wierzył... wierzy mu.

- Aha, i dlatego go wybrał. - Był to okrutny komentarz i pożałowałem go, zanim jeszcze wypowiedziałem do końca.

Zerwała się, wyprostowana jak trzcina.

- To ja go wybrałam - powiedziała wzburzona.

- Przepraszam. Tak czy inaczej, Doe, interesuje mnie nie to, co myśli Chief, lecz to, co myślisz ty.

Naciągnęła sukienkę, choć nie dopięła jej pod szyją, i zwróciła mi wiatrówkę.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłby być nieuczciwy.  
- Spore zaufanie.  
- Sama staram się być uczciwa. Jesteś tutaj ze względu na coś, co ma związek z torem?

- Do diaska, nie wiem, niczego nie jestem pewien. Teraz jestem tutaj zupełnym nowicjuszem. Czy mogę zadzwonić z domu?

Otworzyła metalową skrytkę w ścianie łódki, wyjęła stamtąd aparat, podała mi słuchawkę i oparła się o przepierzenie, wpatrzona we mnie.

Naciskając guziczki na słuchawce, wybrałem numer sali wojennej w Magazynie; po drugiej stronie zgłosił się Szkop.

- Gdzie się podziewasz?! - zagrział.

- Ze znajomymi - odparłem. - Co się stało?

- Jakąś godzinę temu był do ciebie dziwny telefon. Odebrał go Kite. Mówi, że facet strasznie chciał rozmawiać z tobą, ale rozłączył się, kiedy Kite usiłował go przycisnąć. Rzecz w tym, że, jak mówi Kite, facet nie miał bynajmniej głosiku Mary Poppins. Ale zanim jedno poskładał z drugim, powiedział już tamtemu, że może cię zastać w hotelu. Dzwonię więc do ciebie z ostrzeżeniem, że lepiej, byś rozglądał się dokoła.

- Dzięki. Co byś powiedział na wspólne śniadanie i poskładanie różnych fragmentów?

- Podjadę po ciebie o dziewiątej - powiedział.

Podziękowałem, mówiąc, że ma naprawdę dobre serce, i odłożyłem słuchawkę.

- Jakież kłopoty? - spytała Doe zalekzionym głosem.

- Chyba nie.

- Wróć jeszcze, proszę.

- Jasne - odpowiedziałem niedbale, starając się być twardzielem. Nachyliłem się i musnąłem ją ustami. Kiedy się odwracałem, poczułem rękę na rękawie.

- Jake?

- Tak?

- Co oni z nami porobili?

- Opadły nas hieny. Te sukinsyny nigdy nie popuszczą.

Wracając do samochodu, spostrzegłem, że w sypialni na drugim piętrze nadal paliło się światło. Przypomniałem sobie, że to dawny pokój Teddy'ego. Czyżby lampa paliła się tam stale, jak wieczysta pochodnia na cmentarzu Arlington?

Ruszyłem, gdy tylko udało mi się powrócić do rzeczywistości.

## 35. WESTERN UNION

Stary oldsmobil przyczepił się do mnie kilka przecznic przed hotelem i jechał za moim wozem, zachowując stały dystans. Niezły kierowca; zrobiłem kilka pętelek, usiłując go zgubić, ale nie wpadał w panikę i nie zmniejszał odległości między samochodami. Przez całą drogę był mniej więcej o jedną przecznicę z tyłu.

Zatrzymałem się przed wejściem i wręczyłem kluczyki chłopcu hotelowemu. Olds stanął po drugiej stronie z zapalonymi światłami. Sprawdziłem w recepcji, czy nie ma czegoś dla mnie, potem przeszedłem przez hall i dałem nura za kępę paproci i fikusów zieleniejącą przy windach.

Facet, który wysiadł z oldsmobila, godnie przemierzył Palm Drive, jak gdyby nigdzie mu się nie spieszyło. Mogłem przyjrzeć mu się dokładnie. Nie był ani wysoki, ani niski: ani tęgi, ani chudy; ani stary, ani młody. Absolutny średniak. Miał na sobie całkowicie nieokreślony szary garnitur, był z gołą głową, a jego twarz o ostrych rysach mogłaby wydać się przystojna, gdyby nie zdobiły jej trądzikowe skazy. Kiedy znalazł się w hallu, głęboko osadzone oczy zaczęły myszkować wokoło. Ruszył ku windowi i wskazującym palcem przycisnął guzik.

Stałem z tyłu i chwyciwszy go za marynarkę na karku, popchnąłem w kierunku ściany, po czym wykręciłem mu lewą rękę i wydobyłem spod pachy Smith&Wessona .38.

- Co to ma znaczyć? - zaskomlał.  
Nachyliłem się do jego ucha i wychrypiałem:  
- Wyjąłeś mi to z ust. Śledzisz mnie od dziesięciu minut. Nie myślę, żebyś poleciał na moje śliczne oczka.  
- Proszę mnie puścić - jęknął płacząco.  
Wbiłem mu pukawkę między łopatki.  
- Nazywasz się jakoś? - zapytałem.  
Nie odezwał się, więc przycisnąłem mocniej. Obrócił twarz, żółtawe oczy węża zerknęły na mnie z ukosa i usłyszałem: - Harry Nesbitt.  
- To co ci się we mnie tak spodobało, Harry?  
- Chciałem porozmawiać. Puść mnie.  
- Zawsze bierzesz ze sobą pukawkę na rozmowy?  
- Ty też masz broń, cwaniaczku.  
- Tak, i zrobiłem się ostatnio dosyć nerwowy, bo zabijanie stało się najbardziej popularną zabawą w mieście. Gadaj.  
- Pracuję dla Western Union. Mam mówić dalej?  
- Słucham, kochasiu.  
- Johnny O'Brian chce się spotkać.  
- Doprawdy. A co to ma wspólnego z tobą?  
- Pracuję dla niego.  
- W jakim charakterze? Nosisz za nim spluwę, żeby się nie przedźwiagał?  
- Okropnie zabawne - powiedział, a w jego głosie zaczynała już pojawiać się pewność siebie. Puściłem go, wsunąłem rewolwer za pasek spodni i pociągnąłem kołosa w kąt sali.  
- Może byśmy nie stali tak na widoku - powiedział, a jego oczy znowu zaczęły błędzić wokoło. - O'Brianowi nie zależy na tym, żeby całe to pieprzone miasto wiedziało, że gadamy ze sobą.  
- Aha - odparłem ze zrozumieniem.  
Wsunął się jeszcze bardziej za roślinność.  
- Kupa ludzi się tu kręci - wyjaśnił, choć jedynymi osobami, jakie udało mi się dostrzec, byli goniec hotelowy i recepcjonista, zajęty porządkowaniem rachunków.

- Mów, co masz do powiedzenia, i zjeżdżaj.  
- O'Brian kazał ci powiedzieć, że gotów jest się spotkać, gdzie będziesz chciał i kiedy będziesz chciał. Jeden na jednego. Będziecie o tym wiedzieli tylko ty i on.

- A ty? Przewidujesz atak amnezji?

- Spryciarz - zachichotał. - Ja już w tej chwili nic nie pamiętam.

- Jak mam się skontaktować z O'Brianem?

- Nie musisz. Ja będę pośrednikiem, kapujesz? Co mi powiesz, ja przekazę bossowi.

- A dlaczego niby mam ci zaufać? Bo podoba mi się twój krawat?

- Posłuchaj - powiedział z naciskiem Nesbitt. - Szef chce z tobą ubić interes, rozumiesz? Nie ma nic wspólnego z całą szopką, która się tu rozgrywa.

- Dlaczego mam w to uwierzyć?

- O'Brian dowiedział się z pewnych źródeł, że ładnie rozpracowałeś Trójcę. Słyszał, że dopadłeś Skeeta Taglianiego i że dałeś popalić Wujowi Franco i całej reszcie. Słyszał także, że można ci ufać, tam gdzie w grę wchodzi twoje słowo. Proponuje więc biznes. Po pierwsze, co jest grane, masz coś przeciwko legalnym firmom?

- Cała ta gadka tylko po to, żeby mi pochlebić? - zapytałem.

- Słuchasz czy wolisz się zgrywać? O'Brian chce uchronić się przed kłopotami, jasne? Jesteś zainteresowany?

- Zaczyna trząść portkami?

- O'Brian nie boi się niczego - stwierdził rzeczowo Nesbitt.

- A koty przepadają za psami, jasne.

- Słuchaj, bracie, szef nigdy nie idzie na przyjęcie z gołymi rękami, rozumiesz, o co mi chodzi? Wolisz się mądrzyć, nie chcesz słuchać, to spieprzaj.

Pomyślałem przez chwilę - nie nad tym, czy spotkać się z O'Brianem, to było oczywiste, ale gdzie i kiedy. Mogła to być pułapka, tylko że

nikt by na tym nie skorzystał. Czy występował w imieniu całej rodziny? Czy też działał na własną rękę? O czym takim, co mogłoby mnie interesować, chciał porozmawiać? Nadal mi się wydawało, że O'Brian wpadł w pośluch i szukał parasola, pod którym mógłby się schować.

- Czy twój szef wie, kto załatwił Taglianiego i całą resztę? - zapytałem.

Nesbitt przestąpił z nogi na nogę i westchnął.

- Dlaczego sam go nie zapytasz? Powiedziałem ci, pracuję dla Western Union, nie wiem nic więcej, a i o tym mam zapomnieć!

- Kiedy? - zapytałem w końcu.

- Czym prędzej, tym lepiej.

- Jutro rano pasuje?

- Lepiej byłoby zaraz, ale i tak dobrze, że nie później - powiedział, wzruszając ramieniem.

- Teraz już za późno na cokolwiek - odparłem. O tej porze podejmuję zbyt często złe decyzje. - Jutro, wczesnym przedpołudniem.

- Skoro nie masz nic lepszego do zaproponowania, niech będzie. Wybierzesz miejsce?

Nie znalazłem czy raczej nie pamiętałem miasta dostatecznie dobrze. A poza tym chciałem odrobinę wypróbować przeciwnika.

- O'Brian ma na myśli coś konkretnego?

- Tak, ale nie chce, żebyś był podejrzliwy z tego powodu, że to on ustala.

- Wypróbujmy tę moją podejrzliwość.

- Na Skidaway ma takie przyjemne miejsce do łowienia ryb. Od strony zatoki, cichutko, nad samą wodą. Zupełnie prywatne, nawet jego stara się tam nie zjawia. Dobra widoczność, w promieniu dwudziestu jardów nie ma nawet źdźbła trawy.

Zastanawiałem się przez moment; najrozsądniej byłoby pojechać tam od razu, mając Nesbitta za przewodnika, ale z drugiej strony chciałem, żeby ktoś wiedział, gdzie będę.

- Gdzie to dokładnie jest? - zapytałem.

- Jak przejedziesz przez most między Thundrehead a Oceanby, skręcisz w prawo, w trzecią przecznicę. Pojedziesz milę, czy cos koło tego, do samej zatoki. Nie zabłądzisz, droga sama cię zaprowadzi.

Popatrzyłem na niego przeciągle, podrapałem się za uchem i kiwnąłem głową.

- Jak się nazywa ta ulica?

- Bayview.

- Umówiłem się już wcześniej na śniadanie. Będę około wpół do jedenastej.

- Nie ma sprawy, szef nocuje tam dzisiaj. Wpół do jedenastej. - Uśmiechnął się i wyciągnął otwartą dłoń.

- A co z maszynką?

Wyjąłem rewolwer zza paska, zwolniłem zatrzask, wypchnąłem bębenek i podałem mu pusty korpus.

- Resztę oddam O'Brianowi, jak się z nim zobaczę - oznajmiłem.

Krosty na jego twarzy spurpurowiały, a na czole pojawiły się kropelki potu. Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

- I po co to wszystko? Nie musisz pokazywać, jaki z ciebie chojrak. Mówiłem ci już, że wiemy, jak sobie dawałeś radę w Cincinnati.

- Jestem ostrożny, tylko tyle - odparłem. - Dziwnie wielu ludzi umiera ostatnio w tym mieście.

- Zrobiłem coś nie tak, Kilmer? Nie. Po prostu, przyszedłem, przekazałem wiadomość, jak mi kazano. Dobrze wiesz, że jak komuś podpadnę, skończę w zatoce i będę sobie parlował z krewetkami.

- To nie mój interes.

- I mam wracać z połową spluwy? To będzie kiepski wstęp do rozmowy, kapujesz?

Podąłem mu bębenek, a on chwycił go, nie odrywając ode mnie oczu.

- Jesteś moim dłużnikiem - powiedziałem.

- Pogadaj z O'Brianem - odrzekł - a odda ci zawiązką. - Odwrócił się i przemknął przez hall jak wąż, znikając w wyjściu.

### 36. POGAWĘDKA PRZY ŚNIADANIU

Kiedy zszedłem następnego ranka na spotkanie ze Szkopem, w mojej przegródce w recepcji znalazłem wiadomość od Babs Thomas.

„Jutro o szóstej cocktail u mnie, na gorze. Oczekuję pana. Ściskam i całuję. B.T.”

Nie było jej w jadalni, siedzieli tam za to Szkop i Jednouchy Charlie. Popchnąłem karteczkę przez stół do Szkopa i zająłem miejsce przy stoliku. Przeczytał i uśmiechnął się.

- Lepiej, żebyś poszedł - oznajmił. - W Dunetown sprzeciwienie się rozkazowi księżniczki uznawane jest za przestępstwo.

- Tylko tego mi brakowało - parsknąłem - kretyńskiego cocktail party.

- Będziesz miał okazję zobaczyć, jak wygląda światowe życie - pocieszył mnie Charlie znad swojego napoju owocowego.

- Nie lubię tłoku - broniłem się.

- Być może będzie was tylko dwoje - zasugerował z uśmiechem Charlie.

Obrzuciłem go spojrzeniem bazyliuszka.

- Lepiej nie narzekaj - odezwał się Szkop - mogło ci się trafić gorzej.

- Dajmy na razie spokój cocktailom - powiedziałem, przerywając te spekulacje. - Coś się pojawiło i to może być prawdziwym przełomem.

- Tak? - spytał wyczekująco Szkop.



- Wczorajszej nocy Johnny O'Brian przysłał do mnie jednego ze swoich goryli. Chce odbyć konferencję. Zdaje się, że jest wystraszony.

- Spotkasz się z nim? - zapytał Morehead.

- Tak, o wpół do jedenastej. Czy ktoś siedzi O'Brianowi na karku?

Szkop przytaknął.

- Mhm, dzisiaj kryje go Salvatore.

- Składał jakieś meldunki?

- Myślisz, że którykolwiek z nich złożył kiedyś jakiś raport? - prychnął Szkop. - Sprawdzę w Magazynie, ale wiele bym się nie spodziewał.

- Trzeba go odwołać - oznajmiłem. - Umowa brzmi, że przyjdę sam. Jeśli O'Brian wypatrzy Salvatore, wszystko na nic.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział Szkop, ruszając do telefonu.

- Myślisz, że to rozsądne? - zapytał Jednouchy.

- Chodzi ci o pójsie w pojedynek?

Kiwnął głową, a mięśnie jego twarzy napięły się. Wiedziałem, co go trapiło.

- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Gdyby szykowali jakąś pułapkę, nie uprzedziliby mnie. Nie mogą być aż tak pewni, że nikt mnie w ogóle nie będzie krył.

- Znasz ich lepiej niż ja - odparł i powrócił do śniadania. - Ale na wszelki wypadek wołałbym być gdzieś w pobliżu.

- Doceniam twoją troskę, rzecz jednak w tym, że jeśli O'Brian rzeczywiście chce dobić jakiegoś targu, nie możemy zmarnować okazji. Znam te ścieżynki, Charlie, i naprawdę patrzę pod nogi.

- Jesteś już dużym chłopcem - powiedział, wzruszając ramionami. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Zamówiłem lekkie śniadanie i kawę. Szkopa nie było pięć minut. Wrócił nieco zasępiiony.

- Dobra - powiedział. - W Magazynie był Zapata i wywołał sygnałem Salvatore. Zadzwoni do mnie, jak tylko tamten się odezwie.

- Myślałem, że Zapata śledzi Nance'a - mruknąłem.

Szkop spojrział na mnie wilkiem. Zapalił papierosa i wydmuchnął dym pod sufit.

- Zgubił go - przyznał w końcu. - Tamten o zmroku poszedł wzdłuż portu, wskoczył nagle na łódkę rybacką i w ten sposób zrobił Zapatę w konia.

Poczułem nagły chłód, tak jakby zimny wiatr przeleciał mi po krzyżu. Nance bez kontroli stanowił niebezpieczeństwo, którego nie brałem pod uwagę.

- Myślałem, że nikogo nie można już nabrać na taki numer - westchnąłem.

- Sądzisz, że coś może grozić Salvatore albo Zapacie? - zapytał Morehead.

- Nie, ale nie chcę, do cholery, żeby ktoś spieprzył całą sprawę.

- Nie martw się - oświadczył chłodno Szkop. - Złapiemy Salvatore i odwołamy go, jeśli jesteś pewien, że tak właśnie chcesz to załatwić.

- Taka stała umowa. - Zabrałem się do śniadania, które właśnie wjechało na stół.

- Powiesz nam, gdzie to się ma odbyć? - odezwał się Jednouchy. - Nie. Znasz ich, Charlie. Mogą ostrzelać własny cień.

Uznałem, że dość już rozmowy o O'Brianie i zmieniłem temat.

- Jest coś nowego w sprawie Logeta?

Szkop potrząsnął głową.

- Przeczesałismy całą okolicę. Nikt nie widział żadnej osoby na dachu ani wspinającej się po ścianach. Na razie najmniejszego śladu, za którym można by pójść. Mam jednak coś dla ciebie. - Wyciągnął z kieszeni koperkę i podał mi ją nad stołem.

- Lista miejsc, w których zatrzymywał się Cohen. Cowboy wreszcie się z nią uporał.

- Przejrzałeś to? - spytałem.

Przytaknął.

- Mogę ci wiele opowiedzieć o każdym z tych miejsc.

- Teraz nie mam na to czasu - odparłem. - Ale jest jedna rzecz, która mnie zastanawia: dlaczego Cohen dwukrotnie w tym samym dniu odwiedził bank. We środy i w piątki udawał się i do filii, i do głównego oddziału. Po co?

- Może nie chciał zbyt długo obnosić się z dużą forszą - zasugerował Jednouchy.

- Może - powiedziałem, przypatrując się liście. - Ale nie sądzę. Wszystko może się zmienić, jednak przywykł do noszenia przy sobie dużych sum.

- Masz inny pomysł? - zapytał Szkop.

- Tak. Może zbiera z wierzchu trochę śmietanki i odkłada do własnego garnuszka.

- Ho, ho - pokiwał głową Morehead. - Jeśli to prawda, to ma więcej charakteru, niż przypuszczałem.

- Albo uzgodnili to z Costellem.

- Czyż nie byłoby pięknie - rozmarzył się Jednouchy - przywoździć ich na czymś takim. Zaraz wszystkie ptaszki by się rozśpiewały.

- Jeśli rzeczywiście prowadzi jakąś grę - zauważyłem.

- Dzisiaj śledzi go Cowboy - poinformował Szkop. - Może dowiemy się czegoś nowego. - Nagle jego brwi podskoczyły. - Do cholery! O wilku mowa. Widzicie tych dwóch facetów, którzy właśnie weszli? Jeden jak środkowy napastnik, drugi jak meduza?

Mężczyźni, których nam wskazał, zajęli stół w kącie i natychmiast zaczęli szeptać niczym dwie rozplotkowane stare panny. Jednym był Donleavy. Drugi, wyższy, szczuplejszy, trochę starszy, miał pewnie pod pięćdziesiątkę, faliste siwiejące włosy, twarz miękką i sflaczałą. Kiedy mówił, jego

wypielegnowane palce tańczyły nerwowo, bawiąc się grzankami jak pajak muchą. Widać było, że obaj dużo czasu spędzają na słońcu.

- Ten po lewej to Donleavy - objaśniał Szkop. - Koleżka w niebieskim garniturze to bankier, Charles Seaborn. Wygląda na to, że umówili się tu na randkę.

- Spróbuję wetknąć kij w mrowisko - powiedziałem.

- Co zamierzasz zrobić? - zaniepokoił się Szkop.

- Tylko się przedstawię - wyjaśniłem i klepnąłem go po plecach. - Nikogo nie ugryzę.

Przeszedłem salę restauracyjną, kierując się ku stolikowi, przy którym Donleavy i Seaborn zasiedli do śniadania. Donleavy dostrzegł mnie kątem oka. Mówił dalej, ale widać było, że zorientował się, iż ktoś ku nim zmierza, i nie chciał, by zostali podsłuchani. Kiedy stanąłem przy nich, podniósł na mnie gniewny wzrok.

- Nazywam się Jake Kilmer - powiedziałem, zanim zdążył wybuchnąć. - Myślę, że najwyższy już czas, byśmy się poznali.

Nie wiedział, co z tym począć. Wściekłą minę zastąpił szeroki uśmiech, grymas agenta samochodowego, na widok którego przeliczasz na wszelki wypadek palce u obu rąk.

- Tak, tak, tak - zajazgotał nieoczekiwanie i zerwał się na równe nogi. - Oczywiście. - Z entuzjazmem uściskał moją dłoń i przedstawił mnie Seabornowi, który wyglądał, jakby przed chwilą ugryzł się w język. Podał mi rękę wilgotną i niepewną.

Nie ulegało wątpliwości, że wcale się nie cieszą z naszego spotkania.

- Chciałbym z panem porozmawiać - zwróciłem się do Donleavy'ego - gdy tylko znajdzie pan dla mnie chwilkę czasu.

- Czy to coś pilnego? Chyba i tak się zobaczymy jutro wieczorem?

- Jutro wieczorem?

- Na party u Babs - powiedział, uśmiechając się nieszczerze. - Lepiej, żeby pan nie zapomniał, zdaje się, że ma pan być jej honorowym gościem. Jest bardziej pamiętliwa niż wyrozumiwała.

- Będę u niej - odpowiedziałem - ale chciałem też porozmawiać z panem na osobności. Nic nieprzyjemnego, chodzi mi po prostu o kilka informacji.

Z wewnętrznej kieszeni wydobyl mały notesik i zaczął go kartkować.

- Może w piątek koło południa? Zadzwoniłbym, żeby przynieśli nam z knajpy coś do zjedzenia.

- Brzmi nieźle - odparłem. - Ja stawiam.

- Nie w moim mieście - odpowiedział. Tym razem jego uśmiech był szczery. - W składzie, drugie piętro, nad Quadrangle. Mamy dla siebie całe piętro.

- Przykro mi, ale jutro wieczorem chyba się nie zobaczymy - wtrącił Seaborn. - Mam w banku kontrolerów, wie pan, jak to wygląda.

- Ale, ale - podchwycilem. - Wydaje mi się, że do grona pańskich klientów należy też mój znajomy z Cincinnati, Cohen.

- Cohen? - powtórzył jak echo, unosząc brwi odrobinę za wysoko. Można by pomyśleć, że właśnie przed chwilą połknął coś, co nie chce mu przejść przez gardło i podryguje w krtani jak soplawik wędki.

- Tak, Lou Cohen.

- Ach, tak, widziałem go chyba u nas parę razy.

- Niech pan go pozdrowi ode mnie przy następnej okazji.

Odchodząc od stołu, niemal słyszałem westchnienie ulgi. Zdążyłem już poznać trochę naturę ludzką, toteż byłem przekonany, że Charlesa Seaborna łączy coś z Lou Cohenem, coś znacznie głębszego niż przelotna znajomość.

Może Cowboy Lewis potwierdziłby moje przypuszczenia. Na razie nie dawało mi spokoju pytanie, dlaczego na górnej wardze Seaborna pojawiły się kropelki potu. Rzadko się zdarza, by ludzie aż tak denerwowali się z mojego powodu.

Gdy powróciłem do naszego stolika, Szkop ciągle jeszcze wyglądał na zdenerwowanego.

- O czym z nimi mówiłeś? - zapytał niecierpliwie. - Seaborn wyglądał, jakby połknął cytrynę skropioną octem.

- Zapytałem go tylko, czy zna mojego starego przyjaciela Cohena - odparłem z uśmiechem.

- *Verdammt* - Szkop pokręcił głową z niedowierzaniem. - Ostro pogrywasz.

- Jest jakiś inny sposób? - rzuciłem zaczepnie.

Pojawił się goniec z nazwiskiem Moreheada na tabliczce.

Szkop rozmawiał chwilę przez telefon, potem odwiesił słuchawkę.

- Zapata - oznajmił. - Salvatore strasznie się piekli, ale daje O'Brianowi spokój. Uznał cię za kretyna.

- Nie on pierwszy - przyznałem.

- Do twojej wiadomości - ciągnął Szkop - Salvatore wie, gdzie jest O'Brian. Jeśli nie wrócisz za dwie godziny, wchodzimy tam, choć mówiąc szczerze, nie rozumiem, dlaczego niby mielibyśmy się tym przejmować.

- Chyba trochę już przyzwyczailiśmy się do tej buziuchny - wyraził przypuszczenie Jednouchy.

To miłe, że ktoś się o mnie troszczył.

## 37. PRZYNETA

Stary, tłusty pelikan, o znudzonym wyglądzie, siedział na rogu pomostu okalającego starą rybacką chatę. Spoglądał w kierunku zatoki, która o milę dalej, na wschód od Thunder Point przechodziła w Ocean Atlantycki. Od cieśniny ciągnął ciepły wiaterek i stare ptaszysko sennym wzrokiem wpatrywało się w lekko zmarszczoną taflę wody, czekając na sygnał zapowiadający posilek. Dojrawszy w końcu ławicę cefali, rozpostarł szerokie skrzydła, wzbil się na jakieś dwadzieścia stóp w górę, zatoczył krąg, a

potem zanurkował pionowo, rozbryzgując wodę, by wynurzyć się po chwili z rybą trzepoczącą się bezsilnie w obwisłym worze dzioba.

Mężczyzna przyglądał się polującemu pelikanowi. Przygotowywał wędkę, starannie łącząc żyłkę, błystki i haczyki. Spoglądając na ptaka, przerwał na chwilę, ale linkę trzymał przez cały czas napiętą, aby się nie splątała.

Był jednym z tych rumianych Irlandczyków, którzy zachowują żwawość i świeżość aż do dziewięćdziesiątki. Na twarzy miał kilka zmarszczek, nie na tyle jednak głębokich, by mogły odebrać jej młodzieńczy, beztroski wyraz.

Zatoka oddychała spokojem. Parę łódek rybackich zmagало się ze wzbierającym przyplływem, kilkaset jardów od brzegu niedzielny żeglarz usiłował złapać w żagle słaby wietrzyk. Było tak cicho, że słyszało się wyraźnie szelest kołysanych wiatrem zarośli.

Irlandczyk kochał to miejsce prawdziwą miłością, znajdował tu wytchnienie od interesów, których ani nie lubił, ani nie rozumiał. On, rewolwerowiec, musiał teraz poczynać sobie jak biznesmen; źle się czuł w tej nowej roli. O'Brian lubił rozwiązywać nieporozumienia po swojemu; negocjacje nużyły go. Ale tu był królem: samotny i wolny, pan samego siebie i swego małego księstwka, poznał bowiem wszystkie sekrety rybołówstwa. Była to jedna z niewielu rzeczy, które potrafił robić dobrze i oddawał się temu sportowi z prawdziwą pasją.

W oddali odezwał się telefon; Irlandczyk zaklął pod nosem: „cholera”, obciążył wolny koniec wędki metalowym przyciskiem i dopiero wtedy ruszył do aparatu.

- Szefie, to ja, Harry - odezwał się chrapliwy głos po drugiej stronie.  
- Je teraz śniadanie. Na pewno nie iść za nim, żeby sprawdzić, czy kogoś ze sobą nie przyciągnie?

- Powiedziałem, że chcę być sam.
- Ale ktoś może z nim być.
- Nie, tego nie zrobi.

- Z fedziami nigdy nic nie wiadomo.
- Nie ma na mnie żadnego haka - powiedział Irlandczyk.
- To szybki koleś, szefie.
- Zatrzymaj się u Benny'ego. Będę cię potrzebował, to wrasnę.
- Może zadzwonię i odwieszę słuchawkę po pierwszym dzwonku, jak wyruszy.

- Dobry pomysł.
- U pana wszystko w porządku?
- Zupełnie. Parę łódek rybackich. Nikogo na szosie. Jakiś pacan usiłuje dopłynąć z powrotem do miasta. Boki zrywać.
- A co w tym śmiesznego?
- Nie ma wiatru, a pacan się szamocze.
- Może lepiej się jakoś zabezpieczyć?
- Nie panikuj. Stań u Benny'ego, wypij parę piw i zjaw się tutaj, jak zobaczysz, że tamten wyjeżdża.
- Zrobione.

Rozłączyli się; Irlandczyk nastawił radio i wrócił na pomost. Żaglówka przedrytowała w tym czasie ze czterysta jardów na zachód. Facet na próżno szamotał się z zewnętrznym silniczkiem. Typowy wycieczkowicz, w wygniecionym białym kapeluszu, którego rondo opadało mu na uszy. Dupek, pomyślał, pewnie zabrakło mu ropy.

Jednakże od czasu, kiedy zżył się z morzem, nauczył się jednej rzeczy: na wodzie ludzie sobie pomagają.

Złożył dłonie wokół ust i zawołał:

- Ej, dopchaj się jakoś tutaj, może ci pomogę.

Żeglarz pomachał w podzięcie. Pod kurtkę leżącą u stóp wepchnął pistolet maszynowy, z kokpitu wziął wiosło i zaczął płynąć w kierunku Irlandczyka...



## 38. RETROSPEKCJA: DZIENNIK WIETNAMSKI PIERWSZE SZEŚĆ TYGODNI

### DZIEŃ DWUNASTY:

Dzisiaj po raz pierwszy zabiłem człowieka. Trudno mi o tym pisać. Podeszliśmy pod wioskę, raptem parę chatynek. Leżała u stóp wzgórza, po obu stronach pola ryżowe, ona u końca szerokiej drogi, wytyczonej rzędami pieprzowców i bambusów.

Zanim zaczęliśmy, Doc Ziegler, nasz lekarz, dał mi parę guziczków. „Po co?” - pytam. „Deks - on na to - żebyś lepiej się poczuł, lepiej słyszał, szybciej się ruszał. Weź”. Więc się trochę podkreśliłem. Po dwudziestu sekundach dostałem kopa. Nigdy jeszcze nie miałem takiego spida. Mogłem sam wziąć tę wioskę. Właśnie tak, nie było na mnie silnych!

Szliśmy dwiema drużynami, nie drogą, lecz każda przez, pole po swojej stronie, bo wtedy była jakaś osłona. Z tyłu kryła nas Trzecia Drużyna. My byliśmy po lewej, Pierwsza po prawej. Oni dostali pierwsi. VC przygrzali z moździerzy i maszynowców i zaczęli robić z nich sieczkę. Jednemu facetowi odpięprzyło cały szczyt głowy. Jezu, co to był za dźwięk, nigdy bym nie uwierzył.

Porucznik pognał w kierunku wioski, z głową nisko pochyloną, ja zaraz za nim. Radiowiec nie mógł się połączyć z rezerwą, bo byliśmy w małej kotlinie i odbiór był do dupy, więc porucznik pchnął gońca i mówi: „Skurwysyny rozpieprzają Pierwszą, musimy ich dopaść”. - Wyskoczył z rowu i gna do kępy bambusów, może dwadzieścia jardów od skurwieli, ja wciąż za nim.

Zorientowali się i teraz wzięli się do nas. Zwalali bambusy, ogień po prostu ścinał je wokół nas. Potem zobaczyłem tego Wietconga w czarnej piżamie, wysadził główkę tylko odrobinę, żeby się rozejrzeć, dojrzałem go i: ping! wyrzucił ręce do góry i poleciał na plecy. Wtedy wyleciał drugi, bez przerwy strzelając, ale mierzył jakieś dziesięć jardów w lewo ode mnie i także go dostałem. Teraz dostrzegłem kaem, w kupie błota, przed jedną z chatek, dwóch

facecików, tną Pierwszą na miazgę, skoczyłem przez bambusy, pozycja strzelecka, i po nich, puch, puch, puch, puch!

Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że porucznik i reszta drużyny przelatują obok mnie, Pierwsza rozbiega się i - po wszystkim. Pięć minut, nie dłużej. Chryste Panie, pomyślałem, przez te pięć minut narobiłem więcej, niż przez całe swoje życie. Byłem na strasznym hajcu i ciągle cały!

Nikt nie został. Kobiety, dzieci, starcy, VC. Załatwiliśmy całą wioskę. Nikt chyba się nie przejmował, normalna robota. Potem wzięli miotacz płomieni i wszystko podpaliłi. Nie patrzyłem na cywilów, w ogóle starałem się nie patrzeć. Pomyślałem, że tak to się tutaj robi, i nieważne, co ja tam sobie czuję.

Zresztą wszyscy byli naprawdę weseli, bo nikt z naszych nie dostał.

- Jak, w porządku? - zapytał porucznik, kiedy podliczył ciała.

- Tak, w porządku - odrzekłem.

I czułem się rzeczywiście fajnie.

- Dobrze sobie radzisz - oświadczył porucznik.

Straciłem dziewictwo i nic mi się nie stało. Jezu, jak dobrze się czułem. Długo potrwało, zanim przywykłem do myśli, że zabiłem tych ludzi i że to było w porządku, tego ode mnie chciano. Przez jakiś czas naprawdę się bałem, że w nocy przyjdą mnie aresztować.

## DZIEŃ TRZYDZIESTY ÓSMY:

Doc Ziegler ma to wszystko w dupie. Jest lekarzem, nie nosi w ogóle żadnej broni. Mówi, że spieprzyłby do Kanady, ale ojciec ma kiepskie serce i mógłby tego nie przeżyć, że syn prysnął przez granicę. Kiedy więc otrzymał powołanie, powiedział: „Pierdole! Przez rok wszystko przetrzymam”. Doc

między innymi podkreca nas. Sam tego nie robi, bo mówi, że skoro nie nosi broni, to nie potrzebuje. Ale pali sporo marihuany. Z rana, w południe i wieczorem. Kurczę, chyba nigdy nie widziałem, żeby nie był ujarany. Kiedy jednak coś się zaczyna, jest jednym z najlepszych. O co się przypieprzać, jeśli mu z tym łatwiej. Jest na linii o miesiąc dłużej ode mnie, a wygląda, jakby się tu urodził.

Carmody to najlepszy oficer, jakiego w życiu widziałem. Myśli tylko o tym, jak stąd wyjść cało. Nigdy nie gada o domu, żonie, żadnych takich. Tylko robota i jego chłopaki. Kiedy dziesięć miesięcy temu przyleciał do Namu, był nieopierzonym porucznikiem. Jest strasznie dowcipny, o co go zapytać, zawsze ma jakąś śmieszna odzywkę. Ciekawiło mnie, skąd pochodzi.

- Mój stary ma najbiedniejszą farmę w całej Oklahomie - on na to. - Nasz wieprzek jest taki chudy, że kiedy położysz mu dziesięć centów na nosie, tylne nogi pojadą w powietrze.

Jest jeszcze Jesse Hatch, jeździł ciężarówką po całych Stanach, jedną z tych wielkich bud; i Donny Flagler, który, podobnie jak ja, przyjechał prosto z college'u. Obaj są czarni. Jest także Jim Jordan, który był na prawie; ma ojca senatora, ale i ten nie potrafił go wybronić. Jest krótko-terminowy, zostały mu już tylko dwa miesiące, niezła zadra w dupie. Hatch jest facetem od M-60 i naprawdę zna się na tym. Flagler to nasz radiowiec. Nikt z nas nie jest zawodowy, ale po miesiącu tutaj czuję się jak profesjonalista.

## DZIEŃ CZTERDZIESTY DRUGI:

Dostaliśmy rozkaz wzięcia tego wzgórza, bo żółtki są tam wszędzie i ani myślą się wynieść. Dobrze się usadzili, przywarowali na górze i napięprzają nas z moździerzami przez całe popierdolone południe. Carmody wezwał

przez radio hueye. Chciał, żeby oczyścili miejsce, potem byśmy ruszyli, ale padało i były niskie chmury, więc coś mu tam powiedzieli na odczepnego, wtedy on zaczyna się drzeć:

- Chcę natychmiast jakiejś osłony z powietrza! Nie wpierdalajcie mi tutaj żadnego gówna z chmurami. Nam nikt nie powie, żebyśmy wracali do domu, bo bździ deszczyk. Dawajcie mi, kurwa mać, jakąś czapę od góry!

Cisnął słuchawkę.

- Słuchaj, brachu. Jeśli potrzebujesz kręciółka. bo nie możecie ruszyć się z miejsca, a tamci wam mówią, że nie mogą, pieprz to! To jest gruba pała, a bez pały nic tu nie zrobisz. Gołymi rękami nie rozwalimy tych sukin-synów, oni to robią, kurwa, od piętnastu lat. Jak musisz mieć wsparcie z powietrza, musisz stawiać się ostro.

Zawsze był taki, przez cały czas mnie uczył.

Po dziesięciu minutach pojawiły się dwa hueye i zrobiły ze wzgórz kaszane, Carmody nie czekał ani chwili; ruszyliśmy po stoku, zanim kręciółki odwały robotę. Sześć czy osiem 50- i 20-milimetrowych działek w robocie. Mój Boże, Wietcongi wszędzie fruwały w kawałkach. Na plecy spadł mi but z nogą w środku, wszędzie krew. Zacząłem rzygać. Potem kolesie dali sobie siana i zaczęli spieprzać, a my ze szczytu grzaliśmy do nich, kiedy gnali w dół. Dziesięciu, może dwunastu dostało w plecy. Po jakimś czasie przestałem liczyć. To nie było OK. Może za dużo naogładałem się westernów, ale strzelanie od tyłu wydawało mi się okropne. Byłem jednak na linii dopiero dwa miesiące. Ciągle się uczyłem.

## DZIEŃ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY:

Zeszłej nocy żółtki zajęły lądowisko osiem czy dziewięć kilosów na północ od nas i przechwyciły dwa samoloty transportowe. Dostało im się trochę naszych Skaczących Beatek. Taki 60-milimetrowy nabój moździerzowy, tak zamontowany, że kiedy na niego wleziesz, wyskakuje na wysokość pasa i wybucha, rozcinając cię na dwie połówki.

Zawsze pilnujemy się z minami, ale teraz skurwiele wszędzie zasadzili Skaczące Beatki. Pozakładali dla picu linki, spostrzeżasz drucik, schodzisz z drogi i włączysz na ten właściwy, pociągasz i - po wszystkim.

Słyszę. Nikt nie wrzeszczy, żadnych zawodzeń, po prostu buuuuum! I koło mnie lecą liście z drzew. Gnam z powrotem, może sto metrów. Flagler leży na ziemi, rozpieprzony na połówki. Dwa kawałki Flaglera. Nie mogę w to uwierzyć, zaczynam się trząść. Osuwam się, cały rozdygotany. W końcu zjawił się Doc i dał mi coś na uspokojenie.

Carmody strasznie to przeżył, ani na chwilę nie przestawał kłąć. Potem złapaliśmy dwóch Wietcongów. Nie wiedzieliśmy, czy to oni założyli Beatki, ale przywiązaliśmy ich do tych dwóch drzew stojących obok siebie, umieściliśmy minę między nimi, uzbroiliśmy i cofnęliśmy się jakieś sto stóp. Potem zaczęliśmy strzelać w linke, a tamci darli się wniebogłosey. W końcu Jesse trafił. Zostawiliśmy ich zawieszonych na drzewach.

Wojna psychologiczna, tak to się u nas nazywa.

### 39. CHATKA ZABITEGO

Po dwudziestu minutach dotarłem na Skidaway Island. Trzy przecznice za mostem odnalazłem Bayview, odludną żwirowaną drogę, na której z trudnością zmieściłyby się dwa samochody, wijącą się pośród dębów z brodami z hiszpańskiego mchu. To tu, to tam widać było ścieżki biegnące ku domkom skrytym wśród drzew i krzewów. Przejechałem obok knajpki o nazwie Benny's Barbecue. Wyglądała na zamkniętą, ale obok niej stał zaparkowany stary, szary oldsmobil, dziwnie jakoś podobny do wozu, który prowadził Harry Nesbitt, śledząc mnie wczorajszej nocy. Potem, przez całą milę, aż do chatki O'Briana, ciągnęły się trawy i zarośla.

Niewiele więcej tu było oprócz niej, choć nie można by narzekać na brak miejsca. Stała na palach jakieś dwadzieścia jardów od brzegu, połączona z nim kładką szeroką najwyżej na trzy stopy. Była pora przyływu i, sądząc po rozmiarach, dwupokojowy domek z niewielką werandą, otoczony pomostem, wznosił się ze dwie stopy nad wodą. Mała łódka, przycumowana do jednego końca platformy, kołysała się lekko na falach.

Nesbitt miał rację: wokół chatki nie dostrzegłem nawet źdźbła trawy.

Było tu cicho jak w kościele o zmierzchu.

Pod drzewem zobaczyłem zaparkowany samochód - srebrzystoszary continental. Stał już jakiś czas, maska była równie chłodna jak cała reszta. Wyszedłem na wolną przestrzeń i gestem kaznodziei podniosłem otwarte dłonie do góry.

- O'Brian? To ja, Kilmer.

Za mną rozdarł się przedrzeźniacz i z furgotem zerwał się z palmy. Gdzieś w pobliżu chatki O'Briana w wodzie rzuciła się ryba. Poza tym nic.

Poczekalem chwilę, a potem znowu zawołałem:

- Tutaj Jake Kilmer! Wchodzę na pomost!

Żadnej odpowiedzi.

Zatknałem obie poły kurtki z tyłu za pas, żeby widział, że nie chowam broni, i wszedłem na kładkę, nie odrywając rąk od poręczy.

- O'Brian!

Wystraszyła mnie ryba, która skoczyła gdzieś pode mną. Łatwo było zrozumieć, dlaczego O'Brian w tym właśnie miejscu postawił swój domek. Mógł zarzucać wędkę przez okno i łowić ryby, nie wychodząc z łóżka.

- O'Brian, tu Kilmer! Jesteś tam?

I dalej cisza.

Dotarłem do budyneczku. Wejściowe drzwi były zamknięte, obszedłem więc pomost, przycisnąłem twarz do ażurowej ścianki werandy i usiłowałem dojrzeć coś wewnątrz. Zupełna pustka.

- O'Brian?

Żadnego dźwięku, z wyjątkiem skrzypienia liny, przyczepionej do bariery pomostu.

W żołądku zaczęły mi się ruszać robaki.

- Ej, O'Brian, jesteś tu?! - wrzasnąłem, ale wystraszyłem jedynie starego pelikana, który przycupnął w kącie platformy.

Skrzeczając, zerwał się ociężale do lotu.

Nacisnąłem drzwi od werandy i te ustąpiły. Domek był pusty, nikogo pod łóżkiem ani pod prysznicem. Radio było jednak włączone, tyle że zupełnie ściszone, a ze stołu zwieszał się koniec wędki.

Robaki znieruchomiały i zaczęły mnie kąsać od środka.

Wszedłem i raz jeszcze rozejrzałem się po pomoście. Łódka była pusta.

Może nie zauważyłbym otworów po kulach, gdyby nie krew, rozprysnięta wokół dwóch dziurek w tylnej ścianie chatki; ciemnopurpurowa, niemal zbrązowiła w upalnym słońcu, ciągle jednak lepka w dotyku.

Robaki zamieniły się w węże.

- Do diabła! - usłyszałem własny szept.

Ukląkłem na pomoście i zajrzałem pod domek. Pierwszą rzeczą,

którą zobaczyłem, była stopa w czerwonej skarpetce uwięzła w złączeniu belek. Ta stopa należała do O'Briana. Reszta jego ciała kołysała się twarzą do dołu. Ręce rozrzucił szeroko, jakby pragnął objąć miłościwie zatokę.

Ryby uwijały się wokół cieniutkich czerwonych nitek wysnuwających się z jego głowy niczym macki meduzy.

Nie potrzebowałem opinii lekarza; było oczywiste, że zginął nagłą śmiercią.

## 40. KNAJPA SKEELERA

Szkop omal nie udławił się słuchawką, kiedy się do niego dodzwoniłem. Był w drodze, zanim zdążyłem się rozłączyć. Reakcja koronera była dość podobna.

Morehead zjawiał się na miejscu po kwadransie, a za kółkiem siedział Salvatore; za nimi jechał ambulans z koronerem i lekarzem sądowym.

Wielkolud wytoczył się z auta, z rękami wbitymi w kieszenie spodni, niezapalonym camelem zwieszającym się z kącika ust i ponurym spojrzeniem świdrującym mnie zza grubych szkielec. Salvatore, który wyskoczył za nim, wyglądał jak kogut szykujący się do bójki.

- Tym razem biorę wszystko na siebie - uprzedziłem atak. - Gdybyś nie odwołał Salvatore'a, O'Brian może by żył.

- Powinienem był zostawić go tam, gdzie był - syknął Szkop. - To był mój błąd.

- Zrobiłeś tylko to, o co cię prosiłem. Przyrzekłem O'Brianowi, że będę sam. Gdzie twoi kumple z Zabójstw?

- Już gnają - powiedział. - Co to było tym razem? Miotacz płomieni?



- Nieduży kaliber, prawdopodobnie pistolet automatyczny.  
- Dlaczego tak sądzisz?  
- Pociski .22 przecięły mu twarz od czoła do podbródka linią tak idealnie prostą, jakby ją ktoś wykreślił przy ekierce. Przypuszczam, że już pierwsze kule odrąbały mu głowę, seria poszła tak szybko, że było to jak pociągnięcie kreski, o, w ten sposób.

Przesunąłem gwałtownie palcem wskazującym od czoła do policzka.

- Szybkostrzelna pukawka.

- Tak - powiedziałem. - Przychodzi mi na myśl tylko jedna broń, która by tu pasowała.

- Nie trzymaj nas w napięciu - prychnął Szkop. Również Salvatore okazał pewne zainteresowanie. Przestał wpatrywać się w przestrzeń i skierował wzrok w moją stronę.

- American 180. Trzydzieści pocisków na sekundę. Brzmi jak wiertło dentystyczne.

- Tak jak na taśmie z domu Taglianiego - zauważył Szkop.

- Właśnie. Wyobrażam sobie, że zabójca O'Briana podpłynął łódką i wygarnął do niego, kiedy tamten wyszedł z domku. Dwie kule przebiły głowę na wylot i ugrzęzły w tylnej ścianie chatki.

- Jaki stąd dla nas wniosek? - zapytał Szkop.

Podczas gdy koroner badał ślady krwi, jego ludzie zrobili martwemu O'Brianowi wszystkie możliwe zdjęcia, z wyjątkiem podwodnych.

- Chevos ma łodzie - powiedziałem. - To jego działka. Słyszałem, że mieszka gdzieś w rejonie portu Thunder Point. W którym to kierunku?

Morehead machnął na wschód. Thunder Point było odległe o milę, zamglony, niski kształt, otoczony mikroskopijnymi jachtami.

- Zdaje się, że chciałbyś to powiązać z Nance'em, nie? - spytał Szkop.

- Może.

- Słuchaj, nic nie mam przeciwko łowcom skalpów, czasami daje to świetne efekty. Jeśli coś przyczepisz temu *sheiss kopf*, to i ja na tym skorzystam.

Koroner wydłubał z deski dwie łuski i pomaszerował kładką na brzeg.

- Może się ukrył na jakiejś łodzi.
- Musiałby wtedy wiedzieć, że go szukamy.
- Tak, do cholery. Robię kupę błędów.

Szkop położył mi swoją wielką dłoń na ramieniu.

- Wszyscy robimy - powiedział, zamykając sprawę. Zaczął przecha-dzać się po pomoście; mruczał coś do siebie, jakby przygotowywał się do występu w konkursie krasomówstwa. - Trzeba zapakować wszystkich, całą tę cholerną bandę - odezwał się raptem. - Wszystko wywlec na wierzch. Trochę to olałem, bo to sprawa Zabójstw, ale nie maco, to także nasz kłopot. Prędej Morze Czerwone się zazieleni, niż ci *pfutzlückers* sami z siebie wychylą lby na tyle, żeby ich można było przyskrzynić. Nieładnie wszystko śmierdzi! - Spojrzał w kierunku Thunder Point. - Chcę wszystkich wciągnąć do gry i usłyszeć parę odpowiedzi. Być może uda się przynajmniej tyle, że ci mordercy zaczną robić nerwowe ruchy.

Salvatore, który nadal wpatrywał się w przestrzeń, skwitował jego tyra-dę tylko mruknięciem.

- Dobra - westchnął Morehead - spójrzmy, kto nam jeszcze został. - Są Bliźniacy, Costello i Cohen - wyliczał, odginając palce. - Potem Stizano, dalej król makaronu, Bronicata, i ci twoi kolesie, Chevfts i Nance. Zapomniałem o kimś?

Wymienił wszystkich. Jak w *Dziesięciu małych murzynkach* Christie, liczba uczestników gry ciągle się zmniejszała.

- Jedno tylko - wtrąciłem swoje trzy grosze. - Jeśli chcesz wciągnąć wszystkich naraz, to musisz mieć sporo ludzi do pomocy. Mają całą armię *pistolleros*. Będziesz miał także do czynienia z Lou Costello. Jest szybki i o wiele sprytniejszy, niżbyś chciał. Ten sukinsyn śpi z *Habeas Corpus Act* pod poduszką.

- Zapamiętam to sobie - odparł Szkop.

Teraz odezwał się wreszcie Salvatore. Spojrzał na mnie i powiedział:

- Cholera, widzicie, ja mogę iść za cholernym ćwokiem do sypialni i drapać go po jajach, kiedy dmucha swoją starą, a ciągle nie będzie wiedział, że ktoś jeszcze jest oprócz nich. Mam do tego talent. Ja i Zapata jesteśmy niewidzialni.

- Przyrzekłem mu, że będę sam - zacząłem tłumaczyć raz jeszcze. - Trzeba było wykorzystać szansę, co jeszcze mogę powiedzieć? Drugi raz bym tak nie postąpił.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem raptownie odwrócił się ze słowami: - E, dajmy spokój.

- Jak myślisz, czego chciał O'Brian? - zapytał Szkop.

- Nie wiem, ale jeśli w ogóle ktoś jeszcze wie, to Nesbitt. Posadźmy go na chwilę na kuchence, zobaczymy, co powie.

- W porządku - mruknął Szkop. - Dołączam go do listy.

Wąską kładką przeszliśmy na brzeg, skąd machał do nas ręką koroner.

- Titan Stoney tu jedzie - oznajmił, po czym obrócił się do mnie i dodał: - Chce z panem zamienić kilka słów.

- Wydaje się, że wreszcie także i stary postanowił trochę powiosłować.

Nie byłem w nastroju do pierwszej po latach pogawędki z Titanem, mój umysł pochłaniało teraz coś innego. - Muszę załatwić jedną sprawę - zwróciłem się do Szkopa. - Wiesz o całym tym gównie tyle co ja. Porozmawiaj sam ze starym.

- Wcale mu się to nie spodoba - mruknął gniewnie olbrzym.

- Nic na to nie poradzę - odparłem i pojechałem do Benny's Barbecue. Niepokoilem się, czy szary oldsmobil jeszcze tam będzie. Nie było go, kiedy jednak skręciłem pod budynek, drogą przemknęła czarna limuzyna Titana. Pędził tak, jakby spóźnił się na bal policyjnych prymusów.

Obszedłem budynek, rozgniatając pod stopami skorupki ostryg i

natknąłem się na wysokiego, mocno opalonego, jasnego blondyna, który niewątpliwie większość czasu spędzał na słońcu i desce surfingowej. Ładował do magazynu puszek z napojami. Miał nagi tors, ciemne dżinsowe szorty, nosił brudne trampki, a liczyć mógł sobie od trzydziestu do pięćdziesięciu lat.

- Otwieramy dopiero o piątej - powiedział, kiedy wysiadałem z auta.

- Szukam kumpla - wyjaśniłem, idąc za nim do środka. Było ciemno i w powietrzu, przepelnionym zapachem zwietrzałego piwa i krewetek, unosił się jeszcze chłód nocnej klimatyzacji. Spojrzał na mnie przez ramię.

- Nie znam nikogo. Czasem trudno mi sobie przypomnieć, jak moje dzieciaki mają na imię.

- Parę chwil temu widziałem tu jego samochód - nastawałem.

- Możliwe. Mógł złapać gumę.

- Nie było go nigdzie w pobliżu.

- Pewnie skończyła mu się benzyna i musiał poczłapać z kanistrem do stacji.

- Może i tak, ale miałem jakieś takie uczucie, że jest w środku.

- Ciekawe - mruknął, stawiając karton z puszkami w rogu. - Jak pan myślisz, jak długo siedzę w tej dziurze?

- Nie wiem, ale z pewnością mi powiesz.

Wyciągnął dwa piwa spod lady i jedno pchnął przez bar w moim kierunku. Było chłodniejsze niż Boże Narodzenie na Jukonie.

- Trzydzieści trzy lata. We wrześniu będzie trzydzieści cztery.

Pociągnąłem łyk piwa i patrzyłem wyczekująco.

- Wiesz pan, dlaczego tak długo?

- Bo pilnowałeś tylko swego nosa.

- Zgadłeś pan.

- Facet nazywa się Nesbitt. Nieduży koleś z rozbieganymi oczkami.

- W ogóle mnie pan nie słuchasz.

- Jak najuważniej - powiedziałem, popijając z puszki. - Gdyby zjawił się tu znowu, przekaż mu od Kilmera, że musimy porozmawiać. Bardzo pilna sprawa.

- Kilmer to pan?

- Mhm.

- Znałem kiedyś faceta, do którego ktoś miał jakiś żal. Ten mieszkał sobie bezpiecznie w Pittsburghu, aż tu nagle taczki pełne zaprawy zleciały mu na głowę z szóstego piętra.

Metafora nie wydała mi się do końca jasna, spróbowałem ją jednak wykorzystać.

- Powtórz, że nawet kropla zaprawy nie kapnie mu na włosy.

Barman zachichotał i wyciągnął rękę.

- Ben Skeeler - powiedział. - Kiedyś nazywało się to „U Skeelera”, ale jak wszyscy mówili: „Wpadnijmy do Benny'ego”, zmieniłem szyld.

Mocny uścisk dłoni.

- Skoro już się sobie przedstawiamy, to może i pan pokazałby coś na dowód - powiedział Ostrożniak.

- Całkiem rozsądnie - pochwaliłem i pokazałem swój przyzywacz.

Popatrzył i pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że mówisz pan prawdę. Na oko, tak mi się wydaje, ale to miasto potrafiłoby przekabacić ewangelistę, zanim ten zdążyłby powiedzieć „amen”.

Czekałem.

- Ostry. Tak słyszałem, że jesteś pan ostry.

- Lubię poważne gry - odparłem po chwili.

- W dzisiejszych czasach, wiesz pan, niczego nie można być pewnym.

- Mhm.

- Niedawno przeleciał tędy ambulans na pełnym gazie. Pewnie nie pan o tym nie wiesz?

- Facet nazwiskiem O'Brian zabił się niedawno w zatoce - wyjaśniłem.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, a potem zerknął na swoją puszkę.

- Więc to tak - skwitował całą sprawę, poskrobał się za uchem, wyciągnął z kieszeni złożoną serwetkę i podał mi ze słowami: - Wytrzymaj pan sobie usta. Muszę wracać do roboty.

Wyszedł na zewnątrz, a ja rozłożyłem bibułę. Wiadomość napisano w pośpiechu długopisem, który w paru miejscach przedziurawił serwetkę. „U Wuja Jolly'ego. 18 mil na południe drogą 14, dziś wieczór o 9. Bądź sam”.

Bez podpisu. Wrócił Skeeler z kolejnym pojemnikiem.

- Wiesz, gdzie jest „U Jolly'ego” za miastem, gdzieś przy drodze 14?

- Jolly's Fillup, „do pełna”? Brzmi jak stacja benzynowa.

- To ty powiedziałaś.

- Sam pan się zorientujesz, jak tylko tam dojedziesz - powiedział i znowu zniknął na dworze. Skończyłem piwo i poszedłem za nim.

- Dzięki za piwo - powiedziałem, wsiadając do samochodu. - Może kiedyś wpadnę na krewetki.

- Wpadnij pan, zapraszam - uśmiechnął się. - Ale przedstaw się pan wtedy jeszcze raz, bo nie mam pamięci do nazwisk. - I wszedł do środka.

## 41. ZABYTKI

Ruszyłem w kierunku Dunetown, kiedy jednak dotarłem do bulwaru, skręciłem na wschód, a nie do miasta. Nie miałem nic specjalnego do roboty, chciałem jednak oddalić się trochę od Miasta Straconego. Musiałem mieć trochę czasu tylko dla siebie, 7, dala od Czerwia, Szkopa, zabijaków. Z

dala od Doe. Z dala od tego wszystkiego. Byłem kompletnie wymęczony próbami złożenia w jakąś sensowną całość kawałków układanki: Harry Raines, Chief, Stoney Titan... Donleavy i jego milutki koleżka - bankier, Seaborn... Chevos, Nance, pechowy koń o imieniu Disaway i czarny gangster, którego jeszcze nie widziałem na oczy, a którego wszyscy nazywali Długonosym, choć nie z powodu jego obecnego wyglądu. Nagle doznałem wrażenia, że wykorzystywanie ludzi stało się już moim sposobem życia; było to bardzo nieprzyjemne uczucie i musiałem jakoś dojść z nim do ładu. Musiałem, przynajmniej na chwilę, powrócić do swojej bezpiecznej samotni.

Dotarłszy do Wstażki, skręciłem na południc, zostawiając za sobą wysokie hotele, które zawiadnęły plażą. Jechałem przed siebie, bez żadnego konkretnego celu, mając ocean po lewej stronie. Wreszcie minąłem stary znak, przykucnięty w zielsku, który informował, iż znalazłem się w East Beach. Było całkiem przestronnie; postęp i nowoczesność jeszcze tu nie dotarły.

Zatrzymałem się na pustym parkingu. W pęknięciach nawierzchni rosły chwasty, wokół nierówności gromadziły się kupki piasku nawiewanego przez wiatr. Przez chwilę siedziałem nieruchomo, wpatrzony w Atlantyk. Woda była spokojna, drobne fale lśniły w promieniach słońca, plaża szeroka i czysta. Odżyły wspomnienia z pięknych lat młodości, która upływający czas pokrywa cieniem melancholii.

Moje myśli oderwały się od Dunetown. Miejsce nazywało się Beach Heaven; mała wioska na wybrzeżu Jersey, gdzie przez kilka letnich wakacji mieszkalem na łodzi z rodziną najlepszego kolegi z podstawówki. Nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska, pamiętałem jednak, że jego ojciec był Norwegiem, mówił z prześmiesznym akcentem, nosił grube okulary, cała zaś rodzina była pozbawiona wszelkiej pruderii i siostra chłopaka, która chodziła już do ogólniaka, bez skrępowania brała przy nas prysznic. Siedząc tak w rozgrzanym sedanie, z kroplami potu ściekającymi po policzkach, przypomniałem sobie też następne lato, kiedy największym moim

kłopotem stało się ukrywanie nieustannej erekcji.

Po jakimś czasie wysiadłem, zdjąłem buty, skarpetki, marynarkę, krawat i wpakowałem to wszystko do bagażnika. Zatrzasnąłem go, otworzyłem, wrzuciłem jeszcze mój przyzywacz i zszedłem na plażę.

Zakasałem spodnie do kolan i poszedłem przed siebie, po skrzypiącym pod stopami piasku. Maszerowałem chyba milę, zanim dotarłem do kolonii domków letniskowych, odgródzonej od oceanu granitowym murem. Daremny gest. Domki były opuszczone. Niektóre już się porozpadały i stały tak, koślawe i porzucone, wśród szczątków różnych przedmiotów i roślin naniesionych przez przypływ.

Jeden z nich, mały budynek z drzewa cyprysowego i dębowego z dwiema sypialniami przycupnął na skale; werandę podparto słupkami ze skrzynek po piwie. Krzywo przyczepiona do balustrady karteczka informowała, że domek jest na sprzedaż; pod spodem ktoś dopisał farbą: „lub do wynajęcia”. Był też numer telefonu.

Wdrapałem się na pomost i zajrzałem do samotnego, opuszczonego domku. Podłoga, skrzypiąca przy każdym kroku, pozapadała się niebezpiecznie w kilku miejscach. Poświstywanie wiatru wpadającego do środka przez porozbijane okna przypominało śmiech zmieszany z płaczem.

Ściągnąłem spodnie i koszulę, zszedłem na plażę i wskoczyłem do wody. Ostro i z pasją popłynąłem przeciw przypływowi, aż ramiona i nogi powiedziały mi, że czas wracać. Na ostatnich kilkudziesięciu jardach z trudem łapałem oddech, a kiedy wyszedłem, kurczowo chwytałem powietrze i kłuło mnie w piersiach. Czulem się jednak odświeżony, skóra szczypała mnie od słonej wody. Wróciłem do domku i wyciągnąłem się w słońcu na pomoście.

Z drzemki wyrwała mnie kobieta, która wyszła zza rogu budynku. Wystraszyliśmy się oboje, ale kiedy nerwowo zacząłem macać za spodniami,



roześmiała się: - Niech się pan tak nie przejmuj. Większość żigolaków kręcących się przy basenach hotelowych ma na sobie o wiele mniej.

Odgadłem od razu, że jest wyspiarką: sympatyczna kobieta o delikatnej budowie, rysach wyrzeźbionych przez wiatr i słońce, z drobnymi zmarszczkami wokół oczu i bursztynowymi włosami, które układał wiatr. Nie potrafiłbym zgadnąć, ile może mieć lat, nie miało to znaczenia. Niosła sieć: dwa pięciostopowe drążki, z siatką owiniętą wokół i starannie ułożonymi pływakami z korka.

- Myślałam, że może spotkam znajomego. Czasami czeka tu na mnie - powiedziała, ukradkiem zerkając do wnętrza. - Nocuje pan tutaj?

Zaśmiałem się.

- Nie, ale to niezły pomysł.

Rozejrzała się dokoła.

- Bardzo kiedyś lubiłam ten dom - powiedziała, nie starając się ukryć smutku.

- Zna pani właścicieli? - spytałem.

- Kiedyś należał do Jackowiczów, ale teraz rękę położył na nim bank. To smutne wyjaśnienie wystarczyło za całą historię.

- Szkoda. Ciągłe jest w nim jeszcze trochę życia.

- Tak. Ale nie serca.

- Takie są banki. Żarłoczne, ale bez duszy. To roboty.

- O, widzę na plaży znajomego. Cieszę się, że podoba się panu ten domek.

Szczupły młody człowiek w obciętych spodniach, z długimi blond włosami muskającymi ramiona, nadchodził plażą, niosąc w ręku wiaderko. Zeszła po kamieniach na piasek.

- Halo! - zawołałem. Odwróciła się zdziwiona.

- Czy to pani nazywa się Jackowicz?

- Kiedyś tak się nazywałam - odrzekła i pobiegła na spotkanie znajomego.

Ubrałem się i brodząc w wodzie, wróciłem na parking. Znalazłem cudem jeszcze działającą budkę telefoniczną i zadzwoniłem pod podany numer, który, jak się okazało, należał do Island Trust and Savings Bank. Dzięki pewnej nieustępliwości dotarłem w końcu do niemilego półgłówka, nazwiskiem Ratcher, który, jak mi powiedziano, „zajmuje się plażą”.

- Interesuje mnie działka w East Beach - oznajmiłem. - Należała chyba kiedyś do rodziny Jackowitz.

Posyłałem dochodzący z wielkiej oddali szelest papierów.

- Ach, tak - odezwał się wreszcie, przebadawszy pewnie wszystkie księgi hipoteczne - pamiętam to miejsce. - Byłem pewien, że wie o nim tyle, co ja o dzierżawie saudyjskich pól naftowych.

- Chciałby pan kupić? - zapytał szorstko.

- Nie, myślałem raczej o wynajęciu do końca sezonu.

- To marna okolica - oświadczył gburowato. - A domek przeszkadza w dojściu na plażę. - I odłożył słuchawkę. Postąłem chwilę, a potem poświęciłem jeszcze jedną ćwierćdolarówkę i zadzwoniłem do kolesia.

- Ratcher!

- Tak!

- Jesteś żaloszną dupą wołową - poinformowałem go i rozłączyłem się.

Zszedłem na plażę i odnalazłem drogę do domku. Usiadłem na pomoście i przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w kobietę, która kiedyś nazywała się Jackowitz, a teraz ze swym młodziutkim znajomym ciągnęła w wodzie sieć, co jakiś czas podnosząc ją i wybierając do wiaderka krewetki i mule. Wkrótce zaczęło padać i przerwali swe zajęcie. Pomachałem do nich, kiedy wyszli na plażę. Nie jestem pewien, czy mnie zobaczyli, ale sprawiało mi przyjemność myśleć, że tak było i że się dowiedzieli, iż dom ciągle jeszcze coś znaczy dla kogoś. W końcu pojechałem w deszczu do miasta, czując się zmęczony, ale odświeżony wewnątrz.

Przez następne dni często przypominałem sobie to miejsce, ale nigdy tam nie wróciłem. Nie było po co. W drodze do Dunetown uświadomiłem sobie, że nie ma już dla mnie bezpiecznych, spokojnych miejsc.

## 42. WIECZORNA POTYCZKA W MAGAZYNIE

Pojechałem do magazynu i tu trafiłem w sam środek awantury.

W drzwiach tłoczyło się kilkunastu ludzi, wśród nich paru mundurowych. Mnóstwo było przepychanek, przekleństw i gróźb. Czerw, stojąc na zewnątrz, przyglądał się z uśmiechem temu zamieszaniu.

- Niech to diabli - powiedział, kiedy podjechałem. - Szkop zabrał się za Costella i wszystkich jego wesołków.

Wyskoczyłem z auta i zaczęliśmy się przepychać do środka budynku.

Jakiś gliniarz zatrzymał Czerwia na chwilę dostatecznie długą, by poinformować, że zgarnęli Costella, jego głównego goryla i egzekutora, Dracka Moreno, który wyglądał i mówił jak kretyń, ale miał nieprawdopodobny iloraz inteligencji, dwóch jego najlepszych rewolwerowców. Silo Murphy'ego, znanego również jako Wydra, z racji bliźniaczego podobieństwa do tego stworzonka, oraz Arthura Pravano, noszącego z trudnych do odgadnięcia przyczyn pseudo Kochaś, a także dwóch jeszcze innych kulturystów. Capnięto też Chevosa i Bronicatę wraz z obstawą. Brak było Nance'a, podobnie jak Stizano.

Cała doborowa dwunastka, z wyjątkiem milczącego Costella, darła się wniebogłosy.

Pomaszerowaliśmy do sali wojennej, z której dobiegały wojenne z całą pewnością odgłosy.

Także zabijaki były dobrze reprezentowane: Pancho Callahan, Salvatore, Chino Zapata, Jednouchy Charlie, Cowboy Lewis, Szkop Morehead. Wszyscy oprócz Kite'a i Mufalatty, którzy jakby zapadli się pod ziemię. Wraz ze mną i Czerwiem drużyna liczyła osiem osób.

Wrzaski, wyzwiska i pogrożki rozbrzmiewały bez końca. Sala wojenna przywołała na myśl giełdę przed końcowym dzwonkiem.

Szkop oddzielił szychy i wszystkich zgromadził w jednym pokoiku, rewolwerowcy zebrani byli w sali wojennej. W chwili gdy wchodziliśmy, Szkop stał przed nimi i ryczał jak ranny wieloryb.

- Zamknąć się, do cholery; albo mnie posłuchacie, albo polecą parę łbów!

Wrzask przeszedł w przytłumiony pomruk.

Ludzie Costella i zabijaki tworzyli najbardziej imponujący zestaw podejrzanych typów, jaki zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać.

Stałem w drzwiach, wpatrzony w Chevosa i Costella. Przez te wszystkie lata, kiedy rozpracowywałem gang, zawsze widywałem ich tylko przelotnie, po drugiej stronie ulicy lub przez lornetkę. Teraz stali nie dalej niż piętnaście stóp ode mnie. Spoglądałem na nich z nieskrywaną pogardą.

Tylko Costello wydawał się spokojny. Wysoki mężczyzna o nieznośnie porządnym wyglądzie: ogorzała twarz o ostrych rysach i mocno zarysowanej szczęce, długie ciemne włosy, zbrązowiałe na słońcu, szczupła postać, odziana w granatowy blezer, jasnoniebieską koszulę, rozpiętą pod szyją, białe luźne spodnie, na nogach miał białe mokasyny. Jeden z tych facetów, których wiek trudno określić. Było wiele powodów, by go nie cierpieć. Tylko oczy zdradzały to, co czuł, płonąć hamowaną wściekłością. Ja wcale nie kryłem ani gniewu, ani nienawiści, jaką we mnie budził, na razie jednak w ogóle się nie odzywałem.

Chevos stał w kącie, ze stoickim spokojem wpatrując się w ścianę. Bronicata trąkotał jak poparzona małpa.

Pozostali członkowie rodziny Tagliani mieli na sobie normalne stroje plażowe, co sprawiało, że wyglądali jak mieszkańcy Sing Sing przebrani za drużynę wioślarską Harvardu.

Między rewolwerowcami kręciły się zabijaki. Ktoś nie wprowadzony miałby sporo kłopotu z odróżnieniem dobrych chłopców od złych.

- Przymknij te drzwi, Pancho! - krzyknął Szkop, a Callahan wykonał jego polecenie.

Teraz strony rozeszły się, zajmując miejsca pod przeciwległymi ścianami; zabijaki ustawiły się w pobliżu drzwi, chłopcy Costella na wprost nich.

Cowboy Lewis, w zniszczonych dżinsach, pogniecionej kurtce Levisa i westernowym kapeluszu, opalony na murzyna, dźwigał wielką papierową torbę.

- Przyskrzyniliśmy ich, jak złazili z szalupy Costella - oznajmił głosem, który brzmiał tak, jakby przeczyścił gardło gruboziarnistym papierem ściernym. Później dowiedziałem się, że szalupa, jak to delikatnie określił Lewis, była sześćdziesięciostopowym jachtem, na którym mogło się wygodnie przespać dziesięć osób.

Cowboy wy sypał na biurko Szkopa zawartość brązowej torby.

Osiem pistoletów najróżniejszych kształtów i kalibrów, noże sprężynowe, dwa wąskie woreczki wypchane ćwierćdolarówkami i inne śmiertelne zabawki.

- Brytany okazały się barankami - skwitował Lewis.

Szkop uniósł brwi, drwiący uśmiech wykrzywił mu usta.

- Ślicznie. Ktoś może słyszał, że Rosjanie wylądowali w Charleston? - zapytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Nikt też nie udzielił mu wyraźnej odpowiedzi, dało się jednak słyszeć gniewne pomruki.

- Nielegalna broń - oświadczył Cowboy, ssąc rozciętą wargę.

- Co ci się stało w usta? - zapytał Szkop.

- Ten mały gnojek przywalił mi, kiedy nie patrzyłem - odparł Lewis

i pokazał na tego z chłoptasiów, który miał limo wielkości naleśnika. - Musiałem użyć siły, żeby podporządkował się funkcjonariuszowi na służbie.

Mały gnojek wyraźnie zeszywniał.

- Dobra, teraz przystąpimy do sporządzania listy - oznajmił Morehead. - Po pierwsze, mamy tu nielegalną broń...

- Wszystko zarejestrowane - przerwał Szkopowi jeden z paczki Costella.

- Zamknij się - powiedział cicho Kochaś Pravano. - L.C. mówi, że mamy się nie odzywać do tych rakarzy. Ani słowa.

Oczy Salvatore zwięzły się w szparki, a dłonie nieustannie zaciskały się i prostowały. Cowboy Lewis zapatrzył się w plamkę w rogu sufitu i sprawiał wrażenie śmiertelnie znudzonego. Callahan zachichotał, a Chino Zapata wyjął z przedniego mostka złoty ząb, schował do kieszonki w dżinsach i potrząsnął opuszczonymi rękami. Jednouchy mruknął coś, co zabrzmiało jak „zjadacz gówien”, ale nie jestem tego pewien.

Czerw i ja stanęliśmy w neutralnym narożniku i oparci o ścianę czekaliśmy, co nastąpi.

Zaczął Callahan.

- Spisać to i zabezpieczyć - zwrócił się do niego Szkop.

Nasz elegancik znalazł papier, długopis i podszedł do biurka.

Podniósł malutki, mieszczący się w dłoni pistolecik .25, z perłową rękojeścią, skuteczny może na odległość trzech stóp przy bezwietrznej pogodzie.

- Która z was, dziewczynki, należy do tego cacuszka? - spytał drwiąco Callahan, trzymając broń palcami jak zdechłą rybę.

Kochaś Pravano, mający dobrze ponad sześć stóp wzrostu i zbudowany jak rosyjski ciężarowiec, podszedł do niego i lekkim machnięciem palców wytrącił mu goździk z kłapy marynarki.

- Czemu nie zeżresz tego kwiatuszka, pieprzony cwelu? - zapytał.

Odpowiedzią był prawy sierpowy, od którego nawet mnie rozboleła

szczęka. Kochaś pofrunął przez pokój, wylądował na stole, po czym z hukiem zwałił się z niego na podłogę.

Natychmiast rozpętało się piekło.

Szkop był tak zaskoczony, że tylko przyglądał się wszystkiemu z rozdziawionymi ustami.

Cowboy zgarnął cały arsenał z powrotem do torby i wrzucił ją do szuflady biurka.

Trzymałem się ciągle swojego narożnika.

Czerw dał nura w tłum.

Spod kurtek, pach, zza pasków i nogawek wychyły zniecka podręczne pięścielka.

Salvatore przygrzał swym kijem bilardowym w tył głowy Wydrze Murphy'emu. Peruka Wydry pofrunęła w powietrze, a on sam przeleciał przez blat stołu, pociągając za sobą na podłogę teczki, kartoteki i inne biurowe akcesoria.

Callahan wybrał sobie najbardziej plugawego z bandziorów Costella, przyjął postawę bokerską, a kiedy tamten ruszył na niego, kopnął go w szczyt szczęki. Jak się okazało, szpic bucika wypełniony był kulkami łożyskowymi i kiedy rozleciał się jak pęknięty grejpfрут, stalowe śruciny rozsypały się po podłodze. Przeciwnik Callahana rozwalił stanowisko z maszyną do pisania i wylądował w kącie, popluwając zębami.

Cała podłoga była teraz pokryta kuleczkami. Odniosłem wrażenie, że to amatorski konkurs rock and rolla, tak zgrabnie wszyscy kiwali się w biodrach i balansowali.

Jednouchy, który jak na moje wyczucie był zbyt ocieźzały i elegancki, by mieszać się do burdy, wyswobodził się z tweedowej marynarki, okręcił się na jednej nodze, starannie odmierzoną ciosem drugiej ugodził kolejnego z goryli w przepone, kantem dłoni wymierzył cios w skroń i stał znowu na obu nogach, zanim jeszcze napadnięty znalazł się na podłodze. Malutki, elegancki *pas seul*.

Zapata zawierzył samym pięściom, tańcząc po zdradliwym parkiecie i atakując każdego przeciwnika, który się nawinął.

Czerw upatrzył sobie Dracka Moreno, który był od niego cięższy o dobre dwadzieścia funtów i wyższy o trzy cale. Nie zrażony taką przewagą, Czerw kopnął przeciwnika w kolano i błyskawicznie wyrwał z kieszeni chusteczkę wypełnioną srebrnymi dolarówkami, rozkręciwszy ją jak bolo. Twarz Moreno, ugodzonego kilka razy, wykrzywiła się z bólu. Cios w krtań sprawił, iż język wylądował niemal na przeciwległej ścianie. Oczy zaszyły mu mgłą, rozpaczliwie łapał powietrze. Dopełnił wszystkiego Zapata pięknym podwójnym ciosem: krótki sierpowy został wsparty bezlistosnym hakiem z prawej.

Srebrne dolarówki Czerwia i kijaszek Salvatore radykalnie odebrały Wydrze Murphy'emu ochotę do podniesienia się z podłogi, którą nieopatrznie zdradził.

Jednouchy dał jeszcze jeden mały pokaz, techniki karate i kolejny mafioso został wyłączony z walki.

Ostatniego z delikwentów Salvatore trzymał pod szyją za kołnierz i jakby od niechcenia raz za razem walił w twarz swoją pałką.

Kres bijatyce położył Szkop, strzelając dwukrotnie w sufit.

Wszyscy znieruchomieli.

- *Verdammt!* Salvatore, puść tego faceta.

Salvatore rozluźnił uścisk, a nieszczęśnik poleciał najpierw twarzą w maszynę do pisania, by następnie runąć na podłogę.

Wydra Murphy z jękiem osuwał się po ścianie.

Mały gnojek miał teraz sińce pod obu oczyma, brakowało mu natomiast przednich zębów.

Twarz Dracka Moreno wyglądała jak sierpniowa plaża po zachodzie słońca.

Na ile mogłem się zorientować, nikt z zabijaków Szkopa nie został nawet draśnięty, jeśli nie liczyć napuchłej wargi Lewisa.

Całe przedstawienie nie trwało dłużej niż minutę.

Szkop stał przy drzwiach, a na barki osypywał mu się tynk z dwóch dziur w suficie.

- Co się wam wszystkim stało? Czyście powariowali? Zapudłujcie ich wszystkich za stawianie oporu władzy.



Drzwi uchyliły się nieśmiało. Trzej mundurowi najpierw nerwowym spojrzeniem omietli pokój i dopiero wtedy zdecydowali się wejść. Przez jakiś czas słychać było trzaskanie kajdanek i jęki wyprowadzanych wojowników rodziny Taglianich.

Lewis i cała reszta zaczęli pomagać Callahanowi w uprzążaniu kulek.

- Nowiutkie buty - poskarżył się, pokazując rozwalony szpic.

Wszystkie pięści delka poznikały jak zaczarowane.

Czerw z uśmiechem na ustach powrócił do mojego neutralnego narożnika.

- Czuję się teraz dużo lepiej - oznajmił.

- Myślałem, że może któryś z nich ukradł ci kapelusz - powiedziałem.

### 43. PASKUDNIE ZAKATARZONY PIES

Kiedy sytuacja została znowu opanowana, przeszliśmy z sali wojennej do przedniej części Magazynu.

Costello dalej trwał w swoim rogu, napięty jak kot, który szykuje się do skoku. Przyglądał mi się przez kilka chwil, jakby nie całkiem pewien, kim jestem, i nagle dostrzegłem błysk w jego oczach - poznał mnie. Poczuliem, jak przez pokój przepływa fala nienawiści. Uśmiechnąłem się promiennie. Teraz nadchodziła moja kolej.

Chociaż towarzyszyli mi tylko Szkop i Czerw, burzowa atmosfera przeniknęła wraz z nami do pokoju.

- Przepraszam - powiedział Costello głosem równym, chrapliwym i ostrym jak żądło osy. - Może zechcieliby panowie odczytać nam informację o naszych prawach i poinformować, o co jesteśmy oskarżeni.

- Jeśli chodzi o resztę - zaczął Szkop - to zamierzam ich oskarżyć, kolejno, o napaść na funkcjonariuszy policji na służbie, stawianie oporu, wzniesienie burd, niszczenie własności miejskiej...

- Dobrze, dobrze - przerwał Costello. - Skracajmy się. Co my tu, u diabła, robimy?

- Było jakoś za spokojnie - odrzekł Szkop - mieliśmy dzisiaj raptem tylko jedno morderstwo, pomyślałem więc sobie, że może byśmy wyprawili mały piknik.

- Niech pan posłucha, Morehouse - odezwał się Costello. - Wiem, że jest pan szanowanym oficerem policji, ale tym razem...

Tym razem przerwał Szkop.

- Morehead. Porucznik Morehead.

- W porządku. Więc tym razem, Morehead...

- Poruczniku.

Costello spoglądał na niego zimnym wzrokiem przez parę chwil.

- Poruczniku Morehead, czego od nas chcecie? Dlaczegoście nas tutaj przywlekli?

- Może nie zauważył pan - wolno cedził słowa Szkop - ale w ostatnich dniach sporo pańskich krewniaków zmarło nagłą śmiercią.

- Czy to dlatego ta gromada pańskich oberwańców zamęcza nas od kilku tygodni?

- Nie nazwałbym tego zamęczaniem, panie Costello. Jeśli pan zechce, z przyjemnością pokażę, jak wygląda prawdziwe zamęczenie.

W czasie tej konwersacji. Chevoss ani na chwilę nie spuszczał ze mnie oczu. Lśniły jak ślepiec nocnego drapieżnika. Nagle uświadomił sobie, że jestem tym człowiekiem, którego kiedyś kazał zabić. Patrzyliśmy na siebie tylko przez krótki moment, ale i tak wiele uczuć zdążyło przebiec przez jego twarz: nienawiść, trwoga, zdumienie, ciekawość, gniew, zawód. Wreszcie odwrócił wzrok.

- Zatem reprezentuje pan ich wszystkich, panie Costello? - wtrąciłem się do rozmowy.

- Otóż to. Cieszę się, że nareszcie ktoś sobie przypomniał, iż jestem prawnikiem.

- No to porozmawiajmy - rzuciłem i cofnąłem się do sali wojennej. Szkop popchnął do środka Costella, a Czerw wkroczył za nimi.

Zatrzasnąłem drzwi i powiedziałem:

- Przestańmy się bawić w kotka i myszkę. Jesteś gangsterem, Costello, i wszyscy o tym wiemy, możemy więc sobie darować to całe prawnicze gównno. Wujaszek Franco nie żyje i ty jesteś pierwszym kandydatem na *capo di capi*, jeśli oczywiście nie podążysz śladem twoich zasłużonych poprzedników, co zresztą nie wycisnęłoby mi z oczu nawet jednej łezki.

Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymałem go ruchem dłoni i mówiłem dalej:

- Otóż tak, Costello. Są dwie możliwości: albo jakiś gang z zewnątrz postanowił wykurzyć was z Dunetown, żeby zająć wasze miejsce, albo ktoś z twojej rodzinki chce upiec własną pieczeń.

- Czy pan insynuuje, że to ja zorganizowałem te morderstwa? - prychnął gniewnie.

- Na to brak ci jaj - odparłem, hamując wściekłość. - Powiem ci, co wiemy, a czego się tylko domyślamy.

- To nasza sprawa.

- Kolejny błąd, ty dupo wołowa. To teraz nasza sprawa.

- Nie sądzę - powiedział, wymawiając powoli każde słowo. - O cokolwiek tu chodzi, to nasz problem i my się nim zajmujemy.

- Jasne - uśmiechnąłem się drwiąco. - Tak jak dotąd?

Jego twarz spurpurowiała gwałtownie.

Teraz włączył się Szkop.

- Tak czy inaczej, nie masz racji. Mówimy o morderstwie, o kilku morderstwach, i to już nie jest twoja sprawa. Costello. Teraz to urzędowa

sprawa policyjna. W tej sytuacji proponujemy współpracę.

- Powtarzam raz jeszcze - oznajmił z namaszczeniem, podnosząc wskazujący palec. - Nie wiem, kto to robi i dlaczego. I nikt z nas nie ma nic więcej do powiedzenia w tej kwestii.

- Trudno to nazwać współpracą, panie prawniku - zaczął się Szkop. Potem dodał: - Dla mnie jest pan numerem jeden na liście kandydatów do odstrzału, ale także numerem jeden na liście podejrzanych. Może pan mieć sporo kłopotów, panie Costello. Na przystawkę mogę pana zamknąć jako koronnego świadka zbrodni.

- Wyjdę, zanim woźny sądowy zdąży otworzyć usta - zapewnił Costello.

- Gdzie jest Turk Nance? - zapytałem.

- Kiepsko znam Turka Nance'a. Czemu pan pyta, czyżby się zawieruszył? - syknął Costello, po czym odwrócił się do Szkopa i oznajmił: - Wychodzę i zabieram swoich ludzi.

- Ta pańska banda została aresztowana za zakłócanie porządku - stwierdził Szkop. - Siedemdziesiąt pięć dolarów od sztuki.

- Niech się pan nie wygłupia...

- Zakłócanie porządku, koniec, kropka - uciął Szkop. - Jeśli chce pan dyskutować, spotkamy się w sądzie. Jeśli nie, niech pan zapłaci przed wyjściem. Będziemy mieli na remont sufitu. - Pokazał kciukiem na dwa otwory po kulach.

Costello znowu obrócił się do mnie.

- Wiem o tobie parę rzeczy. Przyjechałeś tutaj z Cincy. Słyszałem, że jesteś na liście, mój drogi. Wyluzuj trochę. Wuj mojej żony, Skeet, ma wielu przyjaciół.

- Umieram ze strachu na myśl o wuju twojej żony, Skeecie - odparłem. - Coś ci obiecuję, mięczaku. Chcę cię zapudłować razem z nim. Prezent na Boże Narodzenie.

- Uważaj, Kilmer, bo zapracujesz się na śmierć.

- Popatrz, a ja myślałem, że nie jesteś aż tak głupi, żeby zadzierać z fedami - odezwał się Czerw do Costella.

- Jest. - Machnąłem ręką. - Normalny głupol.
- Może i ciebie warto by wciągnąć na listę. - Costello spojrzal uważnie na Czerwia.
- Będę zachwycony - odparł tamten i wybuchnął śmiechem.
- Strasznie już długo podgryzasz moją rodzinę jak wesz, Kilmer - raz jeszcze zaszczycił mnie zainteresowaniem Costello.
- I dlatego uciekliście wszyscy z Cincinnati. - Łypnąłem na niego okiem. - Pewnie nie lubicie śwędzenia.
- Radzę, żebyś dał nam spokój - powiedział zimno. - Wszystko, co tutaj robimy, jest legalne. Nic ci do tego.
- Interesuje mnie wszystko, co robicie - warknąłem. - Staliście się moją ulubioną instytucją charytatywną.
- Zapadła ciężka cisza. Przerwałem ją po chwili.
- Jest taka afrykańska historyjka. Kiedy skunks zobaczył, że lew przed nim ucieka, pomyślał, że teraz on jest królem zwierząt. Ale następnym zwierzęciem, jakie spotkał, był bardzo zakatarzony pies. To ja, Costello, jestem tym paskudnie zakatarzonym psem. Znam wszystkie twoje kruczki i sztuczki, ale na nic się one nie zdadzą. Chcę cię dopaść. Wcześniej czy później zaczę wreszcie gryźć. Jeśli jeszcze będziesz w okolicy.
- Och tak. będę, o to się nie martw - powiedział i ruszył w stronę wyjścia. W drzwiach się zawahał. - To rodzinna sprawa. Jej rozwiązanie jest dla nas sprawą honoru.
- To wszystko wyjaśnia - powiedziałem. - Skoro chodzi o honor, to już jesteś martwy.
- Odwrócił się i wyszedł bez słowa. Opuściłem pokój w chwilę po nim, podszedłem do Chevosa i stanąłem tak blisko niego, że nasze twarze dzieliło tylko kilka cali. Przypominał mi któregoś z tych sowieckich przyjemniaczków, jakich zwykle wybierali do Politbiura.
- Gdzie jest Nance, staruszkuz? - zapytałem szeptem pełnym nienawiści.
- Popatrzył na mnie wzrokiem węża, szczeka mu drżała. Nic nie

odpowiedział, ale nie patrzył mi też w oczy, wbiwszy wzrok w moje ramie.

- Gdzie jest Nance, s t a r u c h u ? - starałem się nadać memu głosowi jak najgroźniejsze brzmienie.

Twarz nabiegła mu krwią, ale i teraz się nie odezwał.

- Przekaż mu ode mnie wiadomość. Powiedz temu tchórzowi, który strzela w plecy, że tamtej nocy w Cincinnati nie udało się. Powiedz mu też, że następnym razem zabiorę mu spluwę, wsadzę głęboko w dupę i odstrzelę mózg. Czy uwiad starczy nie przeszkodzi ci zapamiętać?

Mgła wściekłości przesłoniła mu oczy. Nieustannie przelykał ślinę, grdyka podskakiwała jak oszalała.

- Wiem wszystko o tobie, skurwielu - ciągnąłem z nie słabnącą pasją. - Małe dziewczynki robisz dziwkami. Mordujesz kobiety. Jesteś parszywym gównem, Chevos, i ciebie także mam na liście.

Ach, jak to smakowało. Co za rozkosz. Nie mam może kulek w szpicach butów ani ściętego kija bilardowego, ale uczucie było przednie.

Odwrociłem się i poszedłem w stronę sali wojennej, a za mną, jak dwa cienie, ruszyli natychmiast Czerw i Szkop.

- Tak to dzisiaj wygląda stary obyczaj ciskania rękawicy - powiedział Czerw.

- Do diabła ze starym obyczajem - mruknąłem. - Porwałem się na szefa i wcześniej czy później jakiś marny bandycina postanowi wyrównać rachunki, a przy okazji zrobić sobie na tym imię. Dałem więc tylko lekkiego szturchańca.

- To uspokajająca myśl - pokiwał głową Czerw, a Szkopa zapytał:

- I co nam to wszystko dało?

- Upuściło trochę pary. Pomyślałem sobie, że potrzeba wam, chłopaki, bliższego kontaktu z nimi, spojrzenia im prosto w oczy. I żeby oni nam spojrzeli. Nieźle jest z bliska obejrzeć sobie wroga. A poza tym wszystko teraz jest jasne, wiadomo, gdzie kto stoi.

Twarz Czerwia rozjaśniła się w tym jego wariackim uśmiechu. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Chciał tylko, żeby wszystko było jasne.

W tym momencie Szkop ze zdziwieniem spojrzął nad naszymi głowami.

- Niech mnie kule biją - stwierdził. - Patrzcie, kogo przywiały wiatry.

Obejrzałem się, żeby sprawdzić, kto przybył.

- Wreszcie poznasz Szczeniaka Mufalattę, Jake - oznajmił Morehead.

Wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. Wyobrażałem sobie kogoś znacznie niższego i chudszego, jakiegoś mizeraka. Tymczasem Szczeniak Mufalatta miał trochę mniej, niż sześć stóp wzrostu, budową przypominał wyczynowego pływaka. Był zupełnie rozluźniony: ręce swobodnie zwisające po bokach, roztańczone palce, kołyszące się barki. Tylko stopy stawał mocno i pewnie. Żadnych ozdóbek, kolczyków, pierścionków. Ubrany był jak na przejażdżkę jachtem: jasnoniebieska koszula żeglarska, dzinsy i zabrudzone mokasy na niskim obcasie. Brakowało jedynie sztormiaka i fajki. Najbardziej zdumiewało mnie to, że wyglądał na najwyżej szesnaście lat. Niewiele pomagał hiszpański wąsik: „Szczeniak” to była dobra ksywa: robił wrażenie dzieciaka.

- Witamy, witamy - burknął Szkop. - Mam nadzieję, że miałeś dobrą podróż.

Szczeniak nic nie odpowiedział, ale nie wydawał się też specjalnie przejęty czymkolwiek.

- Gadaj - nalegał Szkop. - Co się z tobą działo? My stacamy tutaj trzecią wojnę światową, a ty jakbyś się zapadł pod ziemię.

- Wozilem się za Dupą Wołową od soboty rano, ściślej od jedenastej. - Głos miał miękki i przyjazny. Dupa Wołowa to, zdaje się, był Długonosy Graves.

- Tyle czasu włączyłeś się za jednym gościem?

- Skończyłem jakieś pół godziny temu. W Breakers Hotel ma partyjkę pokera z dwoma koniarzami z Kalifornii, jednym dupkiem z Hot Springs w Teksasie, który ma na głowie białego stetsona i zdążył już poobrażać wszystkich przy stole, białym alfonsem z Front Street i paroma golcami, którzy zaraz wymiękną. Później dosiadł się hodowca z Luizjany, więc Długonosy zakrzętnął się, żeby i jego podskubać. Jebaniec, jeszcze nie zdążył wysiąknąć nosa, a już był do tyłu piętnaście kawałków.

- Wszyscy przegrywają do Gravesa? - spytałem.

- Tak - odrzekł. - Nawiasem mówiąc, ktoś ty taki?

Szkop dokonał prezentacji. Mufalatta ścisnął mi dłoń tak, że dusza poszła mi w pięty. Popatrywał na mnie krzywym okiem od chwili, gdy dowiedział się, że jestem z FBI. Następny do przeszkolenia.

- Wiesz, co się tutaj dzieje? - odezwał się Szkop.

- Niezbyt dokładnie. Tyle, że wszyscy ci kolesie są z północy i że ktoś zaczął się do nich dobierać. - Przerwał, spojrzął na mnie i dodał: - Ni stąd, ni zowąd.

- Kilmer był w drodze tutaj, kiedy dostali Taglianiego - powiedział Szkop. - Sam go ściągnąłem z lotniska.

Szczeniak wzruszył ramionami.

- Nie ma się co obrażać. Jak miałem cztery lata, mamusia sprzedała mnie za sześć dolców straganiarzowi na Canal Street. Od tego czasu nie ufam nikomu.

- Jak udało ci się nie stracić go z oczu przez trzydzieści sześć godzin? - zainteresował się Morehead.

- Długonosy nie zna mnie, przekupiłem więc chłopaczka, który obsługiwał jego pokój, dałem „Franklina”, obiecałem wszystkie napiwki i zająłem jego miejsce. Sprzątałem, mieszałem drinki, musiałem też zrobić dobre paniom w drugim pokoju. Coś ci powiem, czarnuch tylko jeden raz ruszył się od stołu - do kibla.

- Był sam? - zapytał Szkop.

- Tylko z jednym gorylem, Chińczykiem Songiem. Wielkim Chińczykiem. - Mufalatta lekkim *vibrato* podkreślił niezwykle rozmiary faceta.



- King Kong wygląda przy nim jak małpa na katarynce.
  - Sam trzyma się pewnie z daleka od mokrej roboty - podsunąłem.
  - Trochę bym postawił, jakby szło o zakład. - Szczeniak zerknął na mnie spod oka.
  - Myślisz, że sam by się wziął za coś takiego?
  - Załatwił Cherry'ego McGee. Kurwa mać, w jasny dzień. I nie można było wsadzić nawet za zakłócanie porządku faceta, który nieźle zakłócił porządek McGee.
  - Co wiesz o McGee?
  - Martwy fiut i tyle.
- Przyszła mi nagle do głowy dziwna myśl, którą podzieliłem się z Mufalattą.
- Czy ten hodowca z Luizjany, który dosiadł się później, nie nazywał się czasem Thibideau?
- Spojrzał zdumiony.
- Thibideau? Tak, chyba tak. Niski, ciemne włosy, napakowany?
  - Coś takiego. Ile umoczył?
  - Piętnaście kawałków i trochę drobnych. Skąd wiedziałeś, że to on?
  - Telepatia.
  - Bez kitu? - ożywił się Szczeniak. - To może byś mi powrózył z ręki.
- Kiedyś słyszałem, że linię życia mam krótszą od dziobu wilgi.
- Nic ci nie powiem - odparłem. - Nie znam się na ptakach.
  - A co tu mają do rzeczy ptaki - fuknął, odwracając się do Szkopa: - Szeffie, co tu się, kurwa mać, dzieje? Skąd się tu wzięły te wszystkie bandziory?
  - Chłopaczkę, to długa, b a r d z o d ł u g a o p o w i e ś ć - oznajmił Morehead uspokajająco. - Jesteś prawie trzy dni do tyłu. Załatwię ci jakieś kanapki, a przez ten czas może Kilmer cię trochę wprowadzi.

Wrócił do mnie wzrokiem.

- Pieprzony fedzio, mhm. Mało nam było kłopotów.

- Jeszcze mnie pokochasz - powiedziałem i oddaliłem się pod jakimś mglistym pretekstem. Miałem się spotkać z Harrym Nesbitem u „Wuja Jolly'ego” i tym razem postanowiłem zachować to dla siebie.

Wpadłem jeszcze do hotelu, żeby wziąć szybki prysznic. W mojej przegródce czekały cztery karteczki. Trzy były od Doe Findley. Czwarta od DeeDee Lukatis.

#### 44. „U WUJA JOLLY'EGO”

Naciągnąłem najgorsze džinsy, pomiętą koszulę flanelową, buty na obcasach i brudnego sztormiaka. Pod pachę wsunąłem .357, a do buta ściętą dwudziestkędwójkę. Była już prawie ósma, kiedy autostradą 35 jechałem na południe.

Myślałem o Doe, myślałem też o DeeDee Lukatis. Zostawiła w recepcji napisaną odręcznie wiadomość.

Drogi Jake!

Pewnie mnie nie pamiętasz; kiedy widziałeś mnie ostatni raz miałam zaledwie 15 lat. Muszę z tobą porozmawiać w pewnej pilnej sprawie. Na dole masz mój numer telefonu. Gdybyśmy się rozminęli, dziś wieczór od dziesiątej będę w „Casablance”.

Twoja stara przyjaciółka  
DEEDEE LUKATIS

Było jeszcze postscriptum z numerem telefonu. Zadzwoiłem, ale nikt nie odpowiedział. Zignorowałbym może tę prośbę, ale miałem

dwa powody, by tego nie czynić. DeeDee była siostrą Tony'ego Lukatisa, a Tony Lukatis był kiedyś zalotnikiem Doe. Już choćby dlatego chciałem z nią porozmawiać, a jeszcze w dodatku Babs Thomas poinformowała mnie, że DeeDee Lukatis jest osobistą sekretarką mego ulubionego bankiera z Dunetown, Charlesa Seaborna. Należało zatem koniecznie zadzwonić. Mogła dużo wiedzieć o kontaktach Lou Cohena z Seabornem.

Potem wróciłem myślą do Doe. Pierwsze dwie karteczki były krótkie, o identycznej treści: „Proszę porozumieć się z panią Raines w sprawie honorarium za ogiera”. Po prostu urocze. Trzecia informowała, że Doe nie będzie wieczorem, mogę jednak zadzwonić do niej rano po dziesiątej. Co miało mnie ostrzec, że Harry jest znowu w mieście. Odczułem nagłą potrzebę zobaczenia jej, choć wiedziałem, że to niemożliwe, zaczęły mnie też dręczyć wyrzuty sumienia, iż nie zadzwoniłem do niej wcześniej.

Wuj Jolly przerwał mi rozmyślania. Nietrudno było znaleźć to miejsce, znacznie trudniej byłoby je przeoczyć.

Widok przypominał okolice stadionu piłkarskiego przed meczem. Ruch pojazdów regulował policjant, przy czym zdecydowana większość podążała w tym samym kierunku co ja. Przejechałem szpalerem palm w ślad za tłumem dwie mile i dotarłem na parking. Znaki z popękanej i złuszczonej farby ułożyły się w napis: PARKING DLA GOŚCI DO PEŁNA U WUJA JOLLY'EGO.

Na oko z setka aut.

Zaparkowałem między brudnymi chevroletami, dodgami, pontiakami z wgniecionymi zderzakami, pikapami ze strzelbami opartymi o tylną szybę i dałem się ponieść tłumowi. Mijałem jeden z tych pikapów na wysokich, sześciostopowych kołach, kiedy nagle rozwarły się drzwi, a ze środka wyjrzała karmelowa twarz Szczeniaka Mufalatty.

- Gdzieś się pogubiłeś na zakręcie? - zapytał.
- Co tu robisz? - odpowiedziałem pytaniem.
- Objężdżam rewir.
- Ja też.

- Spokojnie, kochasiu. Miejscowi łatwo się tu denerwują na widok obcych.

- Nawiasem mówiąc, co tu się właściwie dzieje?

- Chcesz powiedzieć, że jechałeś taki kawał, nie wiedząc po co? - zapytał z niedowierzaniem. - Faktycznie, jesteś świr. Walki psów, kochasiu.

Nie wierzyłem własnym uszom.

Walki psów były ostatnią rzeczą, której bym się spodziewał. Boks z piesszczochami na dłoniach, występ porno, jarmark, różne rzeczy przychodziły mi do głowy, kiedy zobaczyłem ten ruch na szosie, ale o walkach psów nawet nie pomyślałem.

- Walki psów - powtórzył. - Zdaje się, nie w twoim guście, co?

- O kurczę, nawet nie wiedziałem, że jeszcze robi się coś takiego.

- No to teraz, bracie, wiesz. Stąd te tłumy.

- Idziesz sobie popatrzeć?

- Ja? Sam? Czyś ty zgłupiał? Jakbym był takim durniem, to bym nie miał w ogóle żadnej linii życia. Ci faceci traktują swój sport bardzo poważnie. Chcesz, żeby cię znaleźli w jakimś odległym bagnie w pieprzonej południowej Georgii? Jakbym był na twoim miejscu, to brałbym dupę w troki i zjeżdżał z powrotem, wesół, że mi się udało.

- Nie chcę tu z nikim zadzierać - powiedziałem niepewnie.

- Jak się tutaj znalazłeś, do kurwy nędzy?

- Umówiłem się - odparłem,

- Pracuś, w porządku. Czerw coś mi o tobie opowiadał. „Pracuś”, mówi. Zapomniał tylko dodać, że także świr.

- Zawsze tak jest, jak znajdziesz się w obcym mieście - skonstatowałem. - Wszystko zrobisz, żeby się tylko rozerwać.

Patrzyliśmy na przechodzących: wielu wymizerowanych mężczyzn w filcowych kapeluszach i kombinezonach, wiele podniszczonych kobiet w łachach z Armii Zbawienia ciągnących ze sobą cztero- i pięcioletnie dzieciaki i dyskutujących nad zaletami psów, dwóch piegowatych licealistów,

którzy zboczyli w krzaki, by przedyskutować coś z przewodniczką wyglądającą na trzynaście lat, ale obdarzoną piersiątkami mogącymi podtrzymać wystawny obiad, kilku Murzynów, pomarszczonych, wychudzonych i roześmianych.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno i przewalił się już tłum widzów, pojawiła się grupka facetów o nerwowych, ostrych spojrzeniach, odzianych w nylonowe garnitury. Buzie jak z obrazka, jedna w drugą. Było ich ze dwudziestu. Rzymianie przyjechali, czas na igrzyska.

- Eleganciki z wyścigów - mruknął Szczeniak. - Tor im nie wystarcza. Spójrz na te ubranka. No, ale teraz dopiero zjawia się rasowy bandzior.

Cesarz nadjechał w srebrzystoszarym lincolnie, dostatecznie dużym, by pomieścić przyjęcie weselne. Karoca zatrzymała się przy jednym z goryli.

- Oto Elroy Luther Graves we własnej osobie - oznajmił Szczeniak Mufalatta. Teraz wiedziałem, co go tu sprowadziło.

- Elroy Luther?

- Tak się nazywa, kochasiu, Elroy Luther Graves.

- Dobrze wiedzieć - powiedziałem i postanowiłem przyjrzeć się facetowi, o którym wszyscy wyrażali się z respektem. Zrobiłem ruch w kierunku samochodu i wtedy poczułem na ramieniu dłoń Szczeniaka. Nigdy nie patrzył na ciebie; mówiąc, zawsze spoglądał w jakimś nieokreślonym kierunku.

- Mmm - mruknął ostrzegawczo.

- Mmm? - wyraziłem wątpliwość

- Mmm - potwierdził. - Nie tak ostro.

- Mam go w dupie - szarpnąłem się.

Mufalatta puścił mnie.

- OK - powiedział - ale jesteś na jego terenie, koleś. Po co kłopoty?

Zastanowiłem się przez chwilę; Szczeniakowi chodziło nie tylko o to, że to teren Gravesa. To także był jego teren.

- Nie wiedziałem, że masz tu jakąś sprawę - stwierdziłem w końcu. -  
Przepraszam.

- Nie ma za co. Tak to tutaj jest. Sam jeszcze zobaczysz.

- W porządku. Zrobimy to po twojemu.

- To znaczy na zimno. Mój sposób to wyluzować się, nie wskakiwać z hukiem do wody, nie afiszować się z twarzą, stać z tyłu i mieć oczy otwarte.

- Coś może się tu zdarzyć?

- Wszędzie, gdzie jest Elroy Luther, może się coś zdarzyć. Kłopoty ciągną do niego jak muchy do miodu.

- Dobrze, czy czegoś się s p o d z i e w a s z ?

- Już ci powiedziałem - zbył mnie Szczeniak.

- Trochę się rozejrzę - oznajmiłem i ruszyłem śladem lincolna. Po przejściu jakichś stu jardów dotarłem do starej gospody, wielkiego budynku o pochyłym dachu i oknach podnoszonych do góry, z którego wnętrza dochodził straszny zgiełk.

Tam były psy. Złe psy. Nie te, które merdają ogonkiem. Wściekle, warczące, wystraszone, szczerzące kły, odsłaniające dziąsła, ociekające śliną, kąsające kraty. Poczulem, jak włosy jeżą mi się na karku.

W środku znajdowało się w sumie jakieś trzysta pięćdziesiąt - czterysta osób, z których każda - mężczyzna, kobieta czy dzieciak - musiała zapłacić olbrzymowi przy wejściu dziesięć dolarów. Facet był łysy, miał czarną brodę, a ramiona grube jak opony kilkutonowej ciężarówki. Spod rozpiętego na piersiach kombinezonu wyglądały ciemne, gęste włosy. Dla tych, na których jego rozmiary mogły nie wyrzeć dostatecznie mocnego wrażenia, przeznaczony był dodatkowy argument - spluwa .38, która wystawała sugestywnie z tylnej kieszeni. Kiedy tłum na zewnątrz znacznie się przerzedził, z przodu lincolna wysiadł wysoki, chudy jak trzcina Murzyn. Tylna szyba opuściła się, chudzielec sięgnął ponad nią i wydobyl z wnętrza wozu paczkę banknotów, którą udławiłby się hipopotam. Na krótką chwilę dojrzałem przystojną twarz pasażera z tylnego siedzenia. Przypuszczałem,

że Długonosy Graves będzie brzydalem. Tymczasem, jeśli widziałem właśnie jego - co wydawało się niemal pewne - był to prawdziwy pożeracz serc niewieścich. Starszy niż oczekiwałem, miał jakieś czterdzieści pięć lat, parę lat mniej, parę więcej. Bujne włosy zaczynały siwieć na skroniach, nad brwią dostrzegłem szeroką bliznę, a szary ślad drugiej nad uchem. Nos miał prosty i wcale nie dłuższy od mojego. Nosił okulary przeciwsłoneczne w złotych oprawkach. Podejrzewam, że nie zdejmował ich nawet w łóżku.

Szyba uniosła się bezszelestnie, a chudzielec ruszył ku tylnym drzwiom „U Wujka Jolly'ego”. Więc to tak. Bankierem był Długonosy Graves, a dom należał do niego.

Podszedłem do głównego wejścia. Moja dycha zniknęła w garści bramkarza. Zlustrował mnie dokładnie od góry do dołu chyba z sześć razy, zanim dał mi głową znak, że mogę wejść do środka.

Hałas, ciepło, zapach stłoczonych ciał spłynęły na mnie jak ukrop. Od ringu pośrodku sali odchodziły piętrami rzędy miejsc. Dokoła krążyły dzbany z bimbrem. Niektóre rodziny przyszły z walówką i czekając na rozpoczęcie walk, spożywały wieczorny posiłek. Wokół kilku przyćmionych, dwustuwatowych żarówek, które spod sufitu zwieszały się nad drewnianą areną, kłębił się gęsty dym.

Większość widzów sprawiała wrażenie zabiedzonych farmerów, którzy już od dawna nie mieli ani grosza. Gdy jednak zaczęto przyjmować zakłady, zaroilo się wokoło od „Grantów” i „Franklinów” i zapanowała atmosfera jak na aukcji tytoniowej. W środku ringu pojawił się facet Gravesa i poprowadził totalizatora ze sprawnością nieco znudzonego profesjonalisty. Za nim stał zasuszony staruszek z brudnosiwą brodą, którego uznałem za Wujka Jolly 'ego. Na jednym z przegubów zawiesił sobie rulon biletów kinowych i oddzierając je kolejno, podawał graczom, zapisawszy uprzednio na odwrocie - jak przypuszczam - wysokość stawki i numer psa.

W dół popłynęły pieniądze, duże pieniądze. A była to dopiero pierwsza walka. Gdyby Clyde Barrow zrobił tu skok tego wieczoru, zapewnili by sobie na pewno dostatnią emeryturę.

## 45. PODWÓJNY SEANS

South Longbeach Cinema widziało już lepsze czasy. Stanowiło prawdziwy pałac dziesiątej muzy w epoce, kiedy gwiazdami były Garbo i Taylor, a czar podwójnych seansów pozwalał na chwilę zapomnieć o bólach kryzysu. Dziś ściany były wyblakłe i popękane, a markiza nad wejściem stale upstrzona odchodami gołębi i mew.

Budynek stał samotnie, zajmując wraz z przyległym do niego parkingiem duży obszar naprzeciwko niewielkiego parku. Za nim, jak przedtopowe zwierzę, wypiętrzał się szkielet roller-coastera, przywołujący wyblakłe wspomnienia czasów, kiedy świat był odrobinę bardziej niewinny, a South Longbeach stanowiło ulubione miejsce zabaw mieszczuchów z Dunetown.

Obecnie specjalnością South Longbeach Cinema było prezentowanie filmów zagranicznych w oryginalnej wersji. Przyciągały one dostatecznie wielu widzów, by kino ciągle jeszcze działało, nie tylu jednak, by warto je było utrzymać w dobrym stanie. Park także był zapuszczony, pozarastany; mały staw pełen śmieci, większość żarówek w latarniach zbita lub przepalona. W nocy kręcili się tu tylko pijacy, włóczędzy i - drapieźnicy.

Od oceanu oddzielała ten teren jedna z owych wysokich wydmy, którym miasto zawdzięczało swą nazwę\*. Okrążając ją, wiodła w kierunku plaży zniszczona droga zarzucona starymi butelkami i puszkami.

\* Dunetown - dosłownie: Miasto Wydmy.

Przed kinem, w miejscu, gdzie parkowanie było zabronione, stała długa, czarna limuzyna. Na podwójnym seansie pokazywano dziś *Romę* i *La Strade*. Stizano przyjechał ze swoją gromadką dopiero na drugi obraz, *La Strade*. Zaprzysięgły miłośnik sztuki filmowej, podrzucił jeszcze żonę do domu, po czym pojechał do kina w towarzystwie swego głównego goryla oraz dwóch innych rewolwerowców. Lubił się odprężyć w ten sposób.



Byli nadal ubrani na czarno. Pierwsi wyszli szeregowcy, obaj wyglądający jak komediancy na stypie, garnitury ciasno opięte, szyje wylewające się znad kołnierzyków. Omiętli wzrokiem ulicę, potem któryś z nich cofnął się i otworzył drzwi. Pokazał się goryl numer jeden, szczupły mężczyzna o chorowitym wyglądzie i twarzy mającej barwę mokrego cementu. Wzruszył ramionami i dał znak swemu szefowi.

Stizano wyszedł dostojnym krokiem, siwe włosy spływały mu na uszy: domorosły poeta pośród rzezimieszków. Podpierał się laseczką z kości słoniowej, na palcach skrzyły się pierścionki.

Kierowca obiegnął auto, aby otworzyć drzwi.

Nagle wszyscy zmienili się w marionetki tańczące do wtóru bezgłośnemu bębnowi. Strzępy materiału posypały się z ich ubrań; póżona kukurydza wyfrunęła w powietrze.

Słysząc było tylko odgłos kul pogrążających się w ich ciała, potem brzęk szkła z rozbitych szyb kina oraz huk żarówek pękających pod markizą nad wejściem.

Pappappappap pappappappap...

Pappappappappappap...

Po jezdni rozsypały się odłamki rozbitych żarówek.

Pięciu ludzi znieruchomiała na chodniku i asfalcie przed wejściem...

Żadnego dźwięku wystrzału.

Żadnego błysku z lufy.

Nic.

Nic, tylko pięć kukielek tańczących na sznurku śmierci.

I już po wszystkim. Nad parkiem zapadła cisza.

Tylko wiatr szemrał w wyschniętych liściach palm. Tylko jakiś ptak kwilił żałośnie.

Gdzieś, po drugiej stronie parku, wolno przejechał samochód zmierzający na plażę.

I zawodziły druty zwieszające się nad wejściem do kina.

## 46. PSY

Harry Nesbitt usiadł z tyłu, w kącie pod przepaloną żarówką. Stanąwszy o kilka rzędów niżej, rozejrzałem się po tłumie. Nikt nie interesował się nami, uwaga wszystkich była skupiona na dwóch psach, szykujących się do pierwszej walki. Jeden, brudnoszary bokser, miał pysk pokryty szramami po poprzednich pojedynkach. Drugi, biały mieszaniec, półbuldog, bez żadnych okaleczeń, był najwyraźniej nowicjuszem.

Dwaj mężczyźni, niewątpliwie właściciele, po przeciwnej stronie ringu, choć nie w nim samym, zlewali psy jakąś białą substancją. Jeden z nich nachylił się i ugryzł półbuldoga w kark.

Podszedłem i usiadłem obok Nesbitta.

- Nie byłem pewien, czy przyjedziesz- powiedział.

- Ciekawość jest moją wadą - poskarżyłem się. - Poza tym spodobał mi się twój kumpel Benny Skeeler.

- Tak, równy gość.

- Co oni takiego robią? - spytałem, skinąwszy głową w kierunku areny.

- Każdy sprawdza psa przeciwnika. Ten biały płyn to ciepłe mleko, które pomaga wykryć, czy zwierzak nie został czymś nafaszerowany.

- Dlaczego tamten gryzie go w szyję?

- Smakuje skórę. Podobno można wyczuć, jeśli pies jest naszprycowany.

Wskazał na małego mieszańca.

- Spójrz na tego nieowłosionego kundla, wygląda jak buldog, nie, tylko że jest jeszcze brzydszy.

- Mówiąc szczerze, Nesbitt, nie przepadam za psimi walkami.

- Mów mi Harry, będę czuł się trochę pewniej, OK?

- Jasne.

- Dobra, więc wiesz, jak je nazywają? Wieprzne psy. Używa się ich do polowania na dziki. Psiaczek wczesia się odyńcowi w ucho, kapujesz, i za nic nie puszcza. Ściąga łeb dzika do ziemi i tak trzyma. Strasznie twarde

sukinsyny. Postawiłem na niego setkę.

- Często tu bywasz?

- Co tydzień. To lepsze od koni. Wybrałem to miejsce, bo nikt ze znajomych na to nie łązi. Wiem, że nie natknę się przypadkiem na kogoś, kapujesz?

Właściciele wymienili się zwierzetami i wepchnęli je na arenę. Już poczuły siebie, choć na razie, stojąc w przeciwnych narożnikach, zwrócone były tyłem jeden do drugiego. Na starym zabijace włos zaczął się jeżyć od karku po ogon. Buldog przysiadł na tylnych łapach, a jego wargi cofnęły się, odsłaniając dziąsła i zęby.

Żaden z psów nie wydał dźwięku: nawet jednego szczeknięcia czy warknięcia; sprawiało to niesamowite wrażenie.

Zakłady zostały zawarte. Tłum uspokajał się, wszyscy pochylili się w ławkach.

Sędzia, szczupły mężczyzna o twarzy pokrytej brodawkami i wypchanej żutym tytoniem, gwizdnął między zębami; na sali zapadła cisza.

- Panowie - oznajmił Brodawka - niech psy staną pyskami do siebie.

Spojrzałem na Nesbitta; utkwił szeroko rozwarte oczy w zwierzakach, czekając, aż rzucią się na siebie i rozszarpią na strzępy.

- To co, pogadajmy - rzuciłem.

Usłyszałem okrzyk sędziego: „Ring!”

Tłum oszalał; psy nawet teraz nie wydały z siebie głosu. Dowiedziałem się później, że są do tego przyuczane, gdyż mniej wtedy tracą energii.

Mój towarzysz był tak przejęty jak pozostali widzowie. Zerwał się na równe nogi, drąc się:

- Bierz go, bierz, ty mały szczylu!

- Pogadajmy! - wrzasnąłem Nesbittowi do ucha. - Nie przepadam za walkami psów!

- Sam wiesz, co się tu wyprawia, bracie. Czy ja wyglądam na kogoś,

kto sam pakuje szyję w stryczek?! - powiedział, nie spuszczać oczu z psów. Nie tyle zresztą powiedział, ile wydarł się, abym mógł go zrozumieć w tej wrzawie.

- Dobra, wal swój kawałek.
- Kilmer, nie przyłożyłem nawet paznokcia do załatwienia szefa.
- Po co mi to mówisz?

Zatrąkotał jak katarynka, niemal krztusząc się słowami.

- Zaraz kapniesz się po co. Miałem na ciebie oko, zanim wyszedłeś z restauracji. Zjadłeś śniadanie z dwoma kumplami, potem pogadałeś z inną dwójką, w końcu poszedłeś po swój samochód, tak? Wyskoczyłem na autostradę przed tobą i czekałem w tamtym miejscu, u Benny'ego, obok którego przejechałeś. Widziałem cię, była dokładnie za pięć jedenasta.

- No i?
- No więc, ja nie mogłem go zabić. Do diabła, zadzwoniłem do niego, jak tylko skończyłeś śniadanie.

- Dlaczego?
- Co dlaczego?
- Dlaczego do niego dzwoniłeś?

- Słuchaj, to wszystko nie mój interes, kapujesz? O'Brian powiada, że chce z tobą dobić targu. Ty trzymaj się z daleka, mówi, obiecałem, że będę sam. Jeden na jednego, mówi. Trzymam się więc ciebie przez cały czas, zanim przyjedziesz, potem dzwonię, żeby wiedział, jak wszystko idzie. On mi na to, jedź do Benny'ego i poczekaj, aż Kilmer będzie wracał. Nie miałem czasu, żeby go przydupić, niech mnie diabli.

Jeden z psów wydarł z siebie najokropniejszy głos, jaki dotąd słyszałem. Nie kończący się skowyt cierpienia. Oczy same powędrowały na ring.

Stary bokser schwycił mieszańca za udo i miotał nim gwałtownie, a tamten rozpaczliwie starał się wyrwać.

- Zakleszczył się na moim szczylu - oznajmił Nesbitt.
- Jak to zakleszczył się?

- Przebił mu udo i wgrzył się w swoją wargę. Biedny gówniarz się nie wyrwie.

Sędzia ostrożnie zbliżył się do walczących psów i za pomocą kija starał się podważyć szczękę boksera. Miałem już dosyć.

- Słuchaj, nie moglibyśmy pogadać na zewnątrz? Naprawdę za tym nie przepadam.

- Kiepskie nerwy?

- Powiedzmy.

- Zawsze jest mała przerwa, kiedy sędzia stara się rozewrzeć pysk.

- Co powiedział O'Brian, kiedy do niego zadzwoniłeś? - zapytałem.

- Nic. Nikogo nie było w pobliżu. Paru rybaków, jakiś facet, który usiłował dopłynąć do miasta. Nikogo więcej.

- O której to było?

- Wyjechałeś pięć po dziesiątej.

- Byłbyś z ręką w nocniku, jakby mi się z czasem jakoś inaczej ułożyło, co?

- Co ty pieprzysz? W nocniku to ja, koleś, cały jestem. Wszyscy dobierają mi się do dupy: gliny, FBI, rodzinka Tagliameli, to, co z niej zostało. Wszyscy, kurwa, jeszcze tylko piechoty morskiej brakuje...

- Ktoś ci groził?

- Myślisz, że sam nie wiem, brachu? Byłem pierwszym pistoletem O'Briana; miałem go pilnować. Spieprzyłem sprawę. I jak ci się zdaje, dadzą mi teraz drugą szansę? O'Brian był z rodziny, był zięciem starego Franco.

- Może o to chodziło.

- Co ty znowu wygadujesz?

- Chodzi mi o to, że może ktoś chciał usunąć O'Briana z drogi, jakaś szycha z rodziny. Może kogoś namówili, żeby posunął O'Briana. A ten ktoś tak sobie wszystko ułożył, żeby mieć murowane alibi, na przykład dzięki mnie. Harry, za kogo ty mnie masz...

- Ej, zaraz, ty myślisz, że to ja załatwiłem szefa? Że to moja robota? Bez jajec, Kilmer. I że rodzina mnie na to namówiła? Bez jaj! Braaacie, ty się lepiej lecz, jak masz takie odjazdy. Cała pieprzona rodzina miałyby się smarować na samej górze? Za wszystkim miałyby stać k t o ś z n i c h?

- A czemu nie? To niezły kąsek, Dunetown. Wziąć to w łapki, miła rzecz.

- Kurwa mać, jeśli myślisz, że to wewnętrzna rozróżba, nigdzie nie za-jedziesz.

- A co z Chevosem? Z Nance'em?

- Mówię, kurczę, to rodzina!

- Nie całkiem.

- Nie było tu żadnych kwasów. Wszyscy byli zadowoleni do chwili, kiedy załatwiono Taglianego. Każdy miał swoją działkę.

- Zdarzały się już takie rzeczy, dobrze wiesz. Ktoś czuje, że ma za mało. Te rzeczy.

- Ale nie tym razem, koleś. Jasne, ten Nance to kawał skurwiela, zgoda, ale ja go w tym nie widzę. Ani Chevosa. Posłuchaj jeszcze raz, nie było żadnych problemów, tylko ten miejscowy czarnuch.

- Ja ci tam nie wierzę, Harry - upierałem się. - Zupełnie dobrze mogłeś mnie wyciągnąć na to odludzie, żebyś ci załatwił alibi.

Ociekał potem. Psy znowu zaczęły walczyć, ale ich pojedynek przestał go interesować. Teraz interesował się już wyłącznie swoją osobą. Wierzchem dłoni otarł czoło i przysunął się do mnie, przekrzykując wrzaski tłumu.

- Co chcesz, kurczę, wiedzieć?! Ci faceci z tobą, jeden był z półciężkiej, drugi bez ucha... ty zjadłeś tyle, że hipopotam by się udławił. Potem podszedłeś do tamtych gości...

I tak dalej. Gadał jak nakręcony, wyliczając wszystkie drobiazgi, których nie mógł od nikogo usłyszeć. Spozstrzegawczy koleś, nie ma co.

- Dobra - przerwałem mu - może ci już wierzę. Chcesz zahandlować?

Ty mnie zaprosiłeś, więc przypuszczam, że masz coś dla mnie. Gwiazdka już minęła, więc pewnie nie chodzi o cukierki. Inaczej nie siedzielibyśmy w tym burdelu.

- Słuchaj, więcej niż pewne, że jestem na śmierdzącej liście. Nie mam co wyjeżdżać z miasta, jeśli podpadłem. Trójca w całym stanie ma ludzi na pensji. Jeśli podpadłem, to wszystkie chłopaki będą o tym wiedzieć. Za Boga nie dojadę do granicy z Karoliną Południową.

- A więc o to chodzi? - powiedziałem zaskoczony. - Żeby policja pomogła ci zniknąć ze stanu bez żadnej draki?

- Jak się tylko wydostanę, wszystko jest w porządku. Mam paru kumpli w Phoenix. Wezmę sobie jakąś ksywę. Ale nie mogę ryzykować, że jakiś platfus załatwi mnie już tutaj.

- Bierz samochód i zjeżdżaj.

- To ich samochód, ich karty kredytowe. Zostawiłem wózek na parkingu, karty w skrytce, wysłałem im klucze. Chcę być czystutki. Bałem się nawet podjąć coś ze swojego konta, wyobrażasz sobie? Wszystko jest urządzone przez rodzinę.

- To co, nie masz nawet grosza przy duszy?

- Mam trochę odłożone na czarną godzinę, starczy mi na początek. Słuchaj, o co proszę, to żeby ktoś mnie podwiózł do Jacksonville i tam wsadził do samolotu. Nic więcej. Kilmer, czy ja jestem na liście podejrzanych?

- Kolego, czasami myślę, że i ja jestem na liście.

- Brachu, potrzebuję osłony, żeby stąd spieprzyć. Co ty na to?

Krzyki nagle tak się wzmogły, że musiałem spojrzeć. Mały pies, wieprzny, jak go nazwał, wżarł się w ucho boksera i ciągał go po całym ringu.

- A widzisz, nie mówiłem?! - krzyknął Harry, na chwilę zapomniawszy o kłopotach.

- Co masz do sprzedania? - zapytałem.

- Za bardzo się uczepiłeś jednej myśli.

- Może i tak, ale chcę się jej trzymać i wycisnąć, ile się da.

- Dobra, co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.
- Tylko tyle?
- Co z narkotykami?
- Od dragów to ja się trzymałem z daleka.
- A Chevos?
- Kilmer, co jest grane? Ja chcę tylko wyjechać z tego pieprzonego miasta, i tyle. Nie rób z tego cholernej inkwizycji. Nie będę na nikogo kablował. Nie o to w tym wszystkim chodzi.
- Czy ja chcę, żebyś na kogoś kablował, Harry? Ale ty byś wolał odpowiadać jak na teleturnieju. W ten sposób nie dojdziemy do porozumienia. Co się tu dzieje?
- Słuchaj, powtarzam ci, nie wiem tego, co chcesz wiedzieć. A już na pewno nie wiem, kto wszystkich załatwił.
- Zacznij od początku. Od momentu, kiedy przyjechałeś tu z Cincy. Przez chwilę myślał, a ja patrzyłem na ring. W końcu powiedział:
- Pierwszy raz przyjechałem tu cztery lata temu. Z Taglianim, Costello i Cohenem. Nikogo więcej. Wtedy byłem jeszcze żołnierzem Starego.
- Co się stało?
- Nic. Mieliśmy zatrzymać się w takim starym hotelu, tam gdzie dziś jest Wstażka, ale to była straszna rudera. Wylądowaliśmy w końcu na jachcie tego faceta.
- Jakiego faceta?
- Nie pamiętam, jak się nazywa.
- Miejscowy?
- Tak, koleś z Doomstown. Zdaje się, że siedzi w biznesie bankowym, gruba ryba. Dobra, jak chcesz wiedzieć, to jeden z tych, z którymi rozmawiałeś przy śniadaniu.
- Seaborn czy Donleavy?
- Nie wiem, nie mam pamięci do nazwisk. - Słyszałeś, o czym rozmawiali?
- Nigdy nie nadstawiałem ucha. To nie mój interes. Ale dobra, w



drodze powrotnej Tagliani powiedział Costellowi, że facet jest ugadany.

- To znaczy, zawarli jakąś umowę?

- Chyba tak. To znaczy, na pewno. Wszyscy mieliśmy konta w jego banku.

- Którym?

- Seacost National.

- W s z y s c y mają rachunki w tym samym banku?

- Jasne. Regularna pensja. W każdy piątek, możesz iść w ciemno, forsa czeka.

- Cała rodzina?

- Wszyscy, których znam.

- Byłeś tam jeszcze kiedyś z Franco?

- Jeden raz. Byliśmy na tym samym jachcie. Czekał na nas taki starszy gość, żaden zapaśnik, a z nim był jeszcze jeden facio. Mały, kościsty. Jakies trzydzieści pięć, czterdzieści lat.

Chciałem kopnąć się w dupę za to, że nic nie wiedziałem o Sutterze i Loganie. Dwaj członkowie Komitetu, których nie widziałem na oczy. Nie wiedziałem, jak wyglądają, w jakim są wieku, znałem tylko ich funkcje, Sutter był od prasy, Logan - od prawa.

- Czy któryś z nich mógł nazywać się Logan albo Sutter? - zapytałem.

- Dla mnie to mógł być choćby Mussolini - westchnął Harry.

- I nie słyszałeś nawet strzępu rozmowy?

- Kilmer, wiesz dobrze, że nie mogłem tam nadstawiać ucha. Miałem nic nie widzieć, nic nie słyszeć. Poza tym, zupełnie wtedy nie kumałem, co jest grane. Teraz zresztą też nie wiem.

To, że Seaborn zaprosił Taglianiego na jacht, trudno było uznać za coś niezgodnego z prawem. Jego rola w Komitecie polegała na urabianiu poważnych inwestorów. Jeśli jednak Seaborn czyścił forszę Lou Cohena, rzecz wyglądała zupełnie inaczej. Wtedy takie spotkanie było poważną poszlaką.

Zmieniłem temat.

- Co wiesz o Cherrym McGee?
- Nie żyje - odparł Harry.
- Tyle wiem sam. Co było wcześniej?
- Był pistoletem w Covington, potem załatwiał sprawy Draganaty, kiedy Bannion próbował tamtego wykołegować.
- Zatem kiedy tu przyjechałeś, McGee pracował dla Trójcy?
- Nie wiem na pewno. Nikt się jednak specjalnie nie przejął, kiedy go zastrzelili.
- Kiedy się tu zjawiał na stałe?
- Z O'Brianem. Byłem jego prezentem ślubnym, więc przyjechałem z nimi. Jakieś dziewięć miesięcy temu.
- Dom był już kupiony?
- Tak. To także był prezent ślubny.
- Jaka była reakcja, gdy zginął Tagliani?
- Wiesz, to nie pierwsza wojna, którą widziałem. Jak ktoś z rodziny zostaje odstrzelony, wszyscy się zbierają i zaczynają kombinować, kto to zrobił i dlaczego. Tak właśnie było następnego dnia, w domu Franco.
- Do czego doszli?
- Do niczego. Nie było w tym żadnego sensu. Było już wtedy po Franco i po Draganacie. Wszyscy byli cholernie spietrani. W ogóle nie przypuszczali, że ktokolwiek ich tutaj zna. Zaczęli gadać o tobie.
- O mnie? Co takiego?
- Że przystawiałeś się do paniusi Rainesa.
- Kto to powiedział?
- Chyba Costello.
- No i?
- Costello powiedział, że jesteś straszną zarazą. Oni wszyscy okropnie cię nienawidzą. Dlatego tak się bałem, kiedy O'Brian postanowił się z tobą spotkać. Mówili, że przyszpiliłeś Skeeta, a potem podłożyłeś im ogień pod dupę w Cincy, bo tak zresztą było.
- No i?

- Chevos zaproponował, że może on się tym zająć, ale Costello powiedział, że nie, żadnego załatwiania fedziów, żadnych takich numerów. No i że poza tym Nance raz już spieprzył sprawę. Nance strasznie się wkurwił, okropnie się wściekł, myślałem, że urwie Costellowi głowę. Musieliśmy ich rozdzielać. Ale jakoś przeszło, Costello przeprosił potem Nance'a i rozeszło się po kościach, ale Chevos kombinował, że może dałoby się wykorzystać tę sprawę z Rainesami, żeby cię jakoś udupić.

- A co Costello na to?

- Powiedział, że się zastanowi, a Chevos na to, że jesteś pechowy. „Jak czarny kot ci przebiegnie drogę, powiedział, trzeba go zabić, tak czy inaczej”. Takie były jego słowa, a Costello powtórzył, że musi wszystko przemyśleć.

- Jest na mnie wyrok?

- Nie słyszałem, no ale są pretensje. Chryste, popatrz na to.

Oba psy szepiły się na środku areny. Krew była wszędzie, na podłodze, na bandzie. Mieszaniec stracił już dziewictwo. Miał na pysku głębokie rany. Musiałem stamtąd wyjść.

- Czy ktoś w mafii miał jakiś żal do Tagliameli?

- Nic nie słyszałem.

- A ktoś u was miał pretensje do szefów?

- Ej, zaraz, już ci mówiłem. Wszyscy byli zadowoleni.

- Jeszcze coś? - zapytałem.

- Czy ja wiem... może jeden drobiazg. Coś mi się obilo o uszy, że nadchodzi duży transport koki. Ładnych parę kilogramów.

- Dobra, co z tym? - ponagliłem.

- Wiem tylko tyle, że towar ma przyjechać gdzieś z południa. Z jakiegoś innego kraju. Wiem, bo parę dziewczynek wacha śnieżek, a ostatnio było krucho.

- No?

- No i statek się spóźnia. Ale mówią, żadnej paniki. Może sztorm albo coś takiego. Jakby była wpadka, wiedzielibyśmy o tym. Zawsze lubicie robić koło tego dużo szumu.

- Hm, może Nance udał się właśnie po towar.

- A co z nim?
- Zapadł się pod ziemię. Szukamy go od poniedziałku.
- Nic o tym nie wiem - oznajmił Harry Nesbitt.

W dole wieprzny pies tracił szansę. Stary zabijaka złapał go za gardło i po raz pierwszy zawarczał. Widać było, że już po debiutancie. Jedna z jego łap wygięła się jak złamana, a szyja pokryta była krwią.

- Spadam - powiedziałem do Nesbitta. - Kiedy chcesz pryskać z miasta?

- Za godzinę.

- W porządku, zobaczę, co się da załatwić. Nic nie obiecuję, ale zrobię, co się da. Mówiąc szczerze, nie wiem, ile warte jest to, coś mi powiedział, ale pogadam z jednym facetem, ten pogada z innym i razem spróbujemy coś urządzić. Może uda się na jutro rano. Masz się gdzie zamelinować?

- Tak. Wcześniej rano, co? - Zadzwoń do mnie.

- Siódma będzie w porządku?

- Czy tutaj wszyscy się budzą o świcie?

Ale uwagę Harry'ego znowu pochłonęły psy. Kiedy schodziłem w kierunku drzwi, sędzia postanowił zakończyć walkę.

Mały mieszaniec był gotów. Podpełził kawałek w kierunku swego pana, ale teraz zastygł i tylko ogon podrygiwał mu lekko. Patrzył żałośnie na właściciela.

Odwrociłem się i dlatego nie widziałem, że tamten wyjął zza pasa trzydziestkęósemkę i przyłożył psu do łba między oczami.

Strzał mnie zaskoczył. Odwróciłem się i odruchowo wyciągnąłem magnum. Szybko ukryłem broń z powrotem, ale trwało to o sekundę czy dwie za długo.

Olbrzym, który oddalił się nieco od wejścia, dostrzegł mój gest. Kiedy byłem już w drzwiach, usłyszałem jego dudniący głos: - Ej, koleś.

Szedłem dalej. Prosto na limuzynę Długonosego Gravesa.

- Ej, ty, pistolecik. Mówię do ciebie.

Zatrzymałem się o kilka stóp od samochodu i odwróciłem. Do bramkarza dołączyli dwaj koledzy. Równie wielcy i równie niemili.

- Masz jakąś sprawę? - spytałem najbardziej stanowczym tonem, na jaki udało mi się zdobyć.

- Zrobileś dziwny ruch - powiedział wielkolud. - Zupełnie jak z westernu.

- Taki nerwowy tik - odrzekłem. - Ciągłe mi się przytrafia.

- Musisz się go pozbyć.

- Zapamiętam.

Podszedł jeszcze bliżej.

- Jedyne pukawki, jakie są tu dozwolone, należą do firmy - oznajmił.

- Ja już sobie idę.

- W złym kierunku.

Usłyszałem za sobą szelest szyby. Spojrzałem do tyłu. Na tylnym siedzeniu dostrzegłem niewyraźną sylwetkę Gravesa i parę oczu płonących chęcią rozróby. Nie miałem okazji wpatrzeć się w nie dłużej, gdyż moją uwagę pochłonął pistolet .38, którego niewłaściwy koniec ukazał się w uchylonym oknie.

Rozległ się głos delikatny jak skóra niemowlęcia:

- Niech no powtórzy ten ruch.

Chcieli się najwidoczniej zabawić.

Nie zdążyłem bąknąć ani słowa, kiedy pikap Mufalatty ryknął na parking i nagle wylądował tuż przy mnie, hamując w obłoku kurzu. Kiedy chmura opadła, ukazali się Mufalatta i Zapata. A ten skąd się tu wziął, pomyślałem zdumiony.

Zapata w jednej ręce trzymał portfel z legitymacją, w drugiej policyjną splotkę. Z portfela połyskiwał sygnalizator. Mufalatta stał za drzwiami wozu i mierzył w limuzynę ze swej cobry.

- Ty naprawdę potrafisz rozruszać najnudniejszą zabawę - powiedział Szczeniak.

## 47. TITAN ROZDAJE KARTY

Napięcie rozładowało pojawienie się kolejnej limuzyny. Ten czarny samochód widziałem już kiedyś: przed hotelem Ponce po morderstwie Dragany. Zapamiętałem tabliczkę rejestracyjną: ST-1. Powoli toczył się w naszym kierunku, aż jego światła rozdzieliły nas i gromadkę Wuja Jolly'ego. Wszystkie pukawki zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Usłyszałem delikatny szelest szyby w samochodzie Gravesa.

- Tłoczno tu jakoś dzisiaj od limuzyn - zauważyłem.
- Tłoczno byłoby nawet z jedną - prostował Szczeniak.

Z otwartych drzwi wynurzył się kierowca, wysoki, szczupły mężczyzna w uni formie urzędnika stanowego. Miał jakieś sześć stóp i sześć cali, ale ważył nie więcej niż dwieście pięćdziesiąt funtów. Wyraźnie utykał na jedną nogę, a w jego wylupiastych oczach malował się niepokój. Widziałem już nie raz takie oczy, pełne lęku przed tym, co za chwilę zobaczą, lub co już zobaczyły. Stał przed samochodem i oparł się o maskę; nie powiedział jednego słowa, nie zrobił żadnego gestu - po prostu oparł się o maskę.

Bramkarz i jego koledzy wykonali, zgodnie jak roboty, w tył zwrot i zniknęli w gospodzie.

- Luke Burger, człowiek szeryfa - mruknął Zapata. - Ma tylko jedną zdrową nogę, ale i nią potrafi wytluc życie z nosorożca.

- Co mu się stało? - zapytałem.

- Z tego, co słyszałem - odparł Mufalatta - gonił na motocyklu przemytników alkoholu, wpadł w poślizg na South River Bridge, przeleciał przez barierkę, spadł na dach jakiegoś budynku i zatrzymał się dwa piętra niżej. Podobno pół roku zabrało im sklejanie go. W efekcie jedna noga pozostała o trzy cale krótsza od drugiej.

- Słyszałem także - dodał Zapata - że Titan pokrył wszystkie rachunki, których nie chciało zaakceptować ubezpieczenie.

Facet Gravesa podszedł do lincolna szefa i podał mu przez okno paczkę banknotów.

Nagle wszystko znowu stało się banalnym codziennym interesem.

- Mnie już na dzisiaj starczy tych zabaw - odezwał się Zapata.

- Myślę, że czas przewietrzyć dupę gdzie indziej. Idziesz Kilmer?

- A ja myślę, że najwyższy już czas uciąć sobie pogawędkę z Mr Stoneyem - powiedziałem.

- Ja zostaję - oznajmił Mufalatta. - Aż mi się kręci w głowie od tych niespodzianek. Weź pikapa, ja wrócę z Kilmerem.

Podszedłem do czarnego cadillaca. Za sobą usłyszałem pisk opon. Człowiek Titana otworzył przede mną tylne drzwi.

- Wsiadaj - usłyszałem gniewny głos Titana. Wsiadłem.

- Masz więcej odwagi niż buhaj, chłoptasiu – powiedział - ale nawet wróbel ma więcej rozumu.

Przesunął się do przodu, siedział teraz niemal na krawędzi fotela, ściskając nogami czarną laseczkę. Oczy lśniły mu jak diamenty. Jeśli chciał, jego głos brzmiał miękko, ociekał nawet słodyczą, był to głos, którego słuchało się z ochotą i zaufaniem. Jeśli chciał, brzmiał twardo jak głos pastucha.

- Słyszałem, że jesteś mądrym gliną - ciągnął. - Masz sporo oleju w głowie, tak mówią o tobie. Chciałbym w to uwierzyć. Byłeś cholernie dobrym graczem. Szkoda, że tak się stało z tą stopą.

- Kostką.

- Stopa, kostka, co za różnica? Pamiętasz mnie jeszcze, co?

- Panie Stoney, któż mógłby pana zapomnieć? Pamiętam wszystko. To było piękne lato, naprawdę.

- Dawno się skończyło. Najlepiej zapomnij o nim albo wyjedź sobie gdzieś.

Nie reagowałem na ukrytą groźbę. Po prostu słuchałem.

- Wiem o wszystkim, co się dzieje w tym mieście, w hrabstwie. Kiedy pierdnie krowa, wiem, jaka to krowa. Mam cię na oku od chwili, kiedy wysiadłeś z samolotu. Nieźle tu sobie używasz.

- Wykonuję swoją robotę - powiedziałem.
- Starczyłby jeden mój telefon, żeby cię odwołali, chłoptasiu. Grasz nie na swojej pozycji, hasasz po całym boisku.
- Moim zdaniem na tym właśnie polega moja robota.
- Przestań śnić na jawie. Zapomnij o przeszłości i zajmij się tym, co do ciebie należy. Po pierwsze, czym ty chcesz jej zaimponować, co? Po drugie, to zadowolona z życia kobieta, tylko może trochę samotna.
- Wysłał cię Chief czy...
- Chief w ogóle nie wie, że tu jesteś; mówiąc szczerze, wątpię, żeby cię pamiętał. Jego życie zatrzymało się w roku 1969. Śmierć Teddy'ego była dla niego wielkim wstrząsem.
- Trudno powiedzieć, żeby była szczęśliwym wydarzeniem dla Teddy'ego.
- Masz zamiar ciągle tak odwarkiwać?
- Byłem przy nim, kiedy zginął. Takich rzeczy się nie zapomina.
- Czytałem list - powiedział. Patrzył wprost przed siebie, utkwivszy wzrok gdzieś w przestrzeń.
- Spojrzałem na niego twardo.
- Nigdy pan za mną nie przepadał, prawda, panie Stoney? Nigdy nie wydawałem się panu dostatecznie dobry dla niej.
- Już ci powiedziałem - powtórzył znudzonym głosem. - Byłeś dobrym graczem do czasu, aż cię skosili. Potem...
- Nie dokończył zdania. Pozwolił, by tak zawisło, niepełne.
- To była część mojej normalnej pracy, czuwanie nad Dunetown, rozumiesz? Co ty tutaj wyprawiasz? Widzę, że znowu pakujesz, nos w moje interesy.
- Spojrzał na mnie, wyginając pogardliwie kącik warg.
- Trzeba znać swoją pozycję, chłoptasiu - pouczył.
- Jak pan, prawda?
- Milczał przez kilka sekund, a potem zaczął mówić, znowu nie patrząc na mnie.
- Harry Raines ma przed sobą bajeczną przyszłość. Niewiele z tego



wyjdzie, jeśli przyłapią jego żonę, jak pieprzy się z jakimś gliną.

- Albo kimś innym - podrzuciłem.
- Nie ma nikogo innego, kochasiu.
- A co z Tonym Lukatisem?

Oczy mu się zwały.

- Strasznie lubisz pchać się w sprawy, które nic a nic cię nie obchodzą.
- Cóż, jest już nas takich dwóch. Poza tym, to pan poruszył tę kwestię.

Tutaj wszyscy jakoś strasznie troszczą się o przyszłość Harry'ego Rainesa, a nikt nawet nie pomyśli o jego żonie.

- Ona nie ubiega się o żadne stanowisko.
- A, rozumiem, o to tylko chodzi, o stanowisko?
- Posłuchaj, przestań robić z siebie pajaca. Jest teraz w trudnym momencie i rzygać mi się chce, gdy pomyślę, jak ty wykorzystujesz tę sytuację.

- Strasznie dużo czasu mi pan poświęca - zakpiłem.

Pomimo półmroku panującego w samochodzie dostrzegłem, że oczy zapłonęły mu jeszcze silniejszym blaskiem. Kiwnął gwałtownie głową.

- Sam nawet nie wiesz, ile.
- Mogę to zrozumieć.
- Nic nie rozumiesz. Chief i Doe to dla mnie rodzina. Nie będę stał z boku i przyglądał się obojętnie, jak ktoś ich krzywdzi.

- Nic takiego nie jest moim zamiarem.

- Żadne inne głupstwa mnie nie obchodzą - mruknął. Jego głos utracił już całą słodycz, nabrał natomiast twardości krzemienia.

- Może jednak chodzi jeszcze o coś więcej - powiedziałem.

- O co, do diabła?

- Jak pan myśli, czy długo uda się panu chować to pod sukniem? Jak długo Harry Raines może strugać czyścioszka?

- Niczego nie struga - obruszył się szeryf. - Gdyby Morehead pracował jak należy, nic by się nie wydarzyło.

- Gówno prawda, dobrze pan wie o tym. Gdyby Komitet działał jak należy, nic by się nie wydarzyło.

Na wzmiankę o Komitecie rzucił się gwałtownie do tyłu, jakby otrzymał policzek. Mówiłem dalej, zanim zdążył zripostować.

- Jest pan odpowiedzialny za to, co się tutaj dzieje, co najmniej w tym samym stopniu jak parę innych osób. Rozumiem, że Donleavy czy Seaborn mogli być na tyle naiwni, iż połknęli przynętę Taglianiego. Ale to pan jest szeryfem Dunetown, panie Stoney, najwyższym obrońcą prawa i wszystkich mieszkańców, od prostaczków po bogaczy. To pan powinien się był za nich zabrać. Dlaczego zrzuca pan to na innych?

- Wiesz co, chłopaczku, coś mi się wydaje, że postanowiłeś rozstać się z życiem - powiedział miękko, ale groźba w głosie zabrzmiała tak wyraźnie, że lekki dreszcz przebiegł mi po grzbiecie.

- Dobrze - odezwałem się po chwili. - Wyłożmy karty na stół. Jak bardzo ubabrany jest Harry Raines?

- Nie pleć głupstw - warknął. - Myślisz, że Harry ma z tym cokolwiek wspólnego?

- Jeśli ktokolwiek wdał się w jakieś konszachty z Taglianiami, może zostać wplątany w OPOP. Dotyczy to w równym stopniu pana, Harry'ego Rainesa, jak i kogokolwiek innego.

- Najpierw musiałbyś dowieść Taglianim związków z mafią - powiedział Titan - a z tego, co słyszę, nie masz na nich najmniejszego gównienka. Znowu dasz plamę, jak przedtem na północy. Wykiwali cię tam, chłoptasiu, musisz to przyznać.

Chciałem coś odpowiedzieć staremu chytrusowi, ale się powstrzymałem.

- Jeśli w coś się wpięprzył - powiedziałem - nie da się tego ukryć.

- Jeszcze raz ci powtarzam, nie strugaj wariata. Harry jest pewny jak szwajcarski zegarek. Jeśli myślisz, że jest inaczej, gonisz za zwidami. Niebezpiecznymi zwidami. Harry. Sam Donleavy, ja, wszyscy robimy, co się da, żeby nie dopuścić brudu do Dunetown. Coś mi się wydaje, że ty

bucik ósemkę chcesz pakować na nogę o rozmiarze dwanaście.

- Gdyby jednak bucik pasował..

Tym razem to ja nie dokończyłem zdania.

- Chcesz karty na stół, proszę bardzo, chłoptasiu - powiedział Titan głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Trzymaj się z daleka od Doe Raines.

Nic nie odrzekłem. Siedzieliśmy tak, patrząc w milczeniu w mrok, przez dłuższą chwilę. Szczęki miał mocno zaciśnięte.

- Niewiele dała ta rozmowa - powiedziałem w końcu. - Muszę jednak panu podziękować, że się pan pokazał. Odrobina prawa nigdy nie zaszkodzi.

- O d r o b i n a prawa zda się psu na budę - odparł. - Albo masz siłę, albo liczysz na fart. Albo jedno, albo drugie.

Pytanie nagle spłynęło mi z ust, całkiem bezwiednie. Jakiś odruch, jak wtedy, kiedy spluwa wyskoczyła mi zza pazuchy.

- Czy to pana gra, panie Stoney?

Zachichotał; złośliwy chichot, który sprawił, że poczułem się jak głupek, o co zapewne mu chodziło.

- Coś ci powiem, chłoptasiu, skoro uczestniczymy, jak się zdaje, w tej samej grze. Ja siedzę w tym od czterdziestu pięciu lat, a ty?

- Od dziesięciu.

- Hazard będzie zawsze, to naturalne. Naturalne, ponieważ większość facetów to dupy wołowe i wiedzą o tym, że nimi są. Wiedzą, że nie są warci złamanego szeląga, więc ryzykują, liczą na kartę, na kości, na numerki, bo to jedyna szansa, jaką widzą, żeby coś zmienić. Dlatego zawsze będą hazardziści i najtwardsze prawo niewiele tu pomoże. Tak samo jest z kurewstwem. Zawsze, chłoptasiu, będą kurewki; jak facet będzie chciał dupy, zawsze znajdzie chętną dupę. Nie jest moim zadaniem pouczać ich: nie grajcie, nie pieprzcie, to robota dla księdza. Ja mam pilnować, żeby sobie przy tym nie narobili zbyt wiele szkody. Wszyscy wiemy, że hazard i kurewstwo zawsze będą przyciągać różnych

podejrzanych typków i dlatego muszę trzymać na tym rękę. Lubię wiedzieć, co kto robi. Dzięki temu nie pozwalam, żeby rzeczy wysliznęły się spod kontroli i żeby ludzie zaczęli się kąsać.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Chciałbyś, żebym ci odpowiedział „tak” lub „nie”. Wiesz, mam kilka psów do walki. To taka rodzinna tradycja. Przez całe życie tresowałem psy do bitki, jak mój ojciec i jak jego ojciec. Stoneyowie szykowali psy do walki jeszcze wtedy, kiedy Georgia była kolonią. Ale ja nie gram. Walki psie i zakłady są wykroczeniem, jeśli jednak moje sumienie pozwala mi przytknąć oko na wykroczenia, to nie pozwala przejść obojętnie obok przestępstwa.

Teraz ja wybuchnąłem śmiechem.

- To najładniejsza racjonalizacja, jaką zdarzyło mi się usłyszeć - prychnąłem.

- Zwij to jak chcesz, ale w ten właśnie sposób pilnuję tutaj prawa i nie miałem nigdy zbyt wielkich problemów, choć robię to dłużej, niż ty chodzisz po świecie. To powinno ci dać trochę do myślenia. A przede wszystkim, to nie jest Cincinnati, to nie jest Chicago, to nie jest Nowy Jork, to jest południowa Georgia.

- Mógłby mi pan powiedzieć, co zaszło między Długonosym Gravesem a Cherryem McGee? Historia zupełnie jak z Bronksu.

- A czemu cię to interesuje?

- Ponieważ kiedyś McGee prał forszę Taglianemu. Nie wierzę w przypadki, panie Stoney.

- Rozumiem, nie wierzysz w przypadki. I co dalej?

- Myślę, że McGee został wysłany tutaj przez Taglianiego, żeby się rozejrzył i zobaczył, czy będą jakieś kłopoty z miejscowymi. Okazało się, że poważnym problemem dla McGee jest Graves. Tyle że Tagliani następnie spasał. Jak pan myśli, dlaczego wujek Franco się wycofał? To zupełnie nie w jego stylu.

- To twoja historyjka chłopaczku, więc ty mi powiedz.

- Może nie chciał na siebie ściągać specjalnej uwagi. Jest taka możliwość.

- Choć zdaje się, że ciebie to nie przekonuje - powiedział szyderczo.

- Nie.

- Więc co ty podejrzewasz, chłoptasiu?

- Może ktoś mu doradził, żeby spasował.

Wyraz twarzy Titana nie zmienił się nawet odrobinę, ale kciuki dłoni splecionych na laseczce zbiały.

- I któż to mógłby być? - zapytał.

- Myślałem, że pan mi powie.

- Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, żeby łączyć ich ze sobą, Taglianiego i Gravesa.

- To tylko takie rozważania - powiedziałem - ale jeśli, założmy. Franco przespałby się z kimś w Dunetown, ten ktoś mógłby mu szepnąć do ucha, żeby dał sobie siana, bo nici będą z całej umowy.

- Ależ ty masz wyobraźnię.

- Wyobraźnię? Czy ja wiem? Trudno mi tylko pojąć, jak to jest, że facet, który załatwił McGee, siedzi sobie ot, tam w limuzynie, i liczy wpływy z pierwszej walki, a szeryf siedzi trzydzieści stóp dalej i omawia problem romansów.

- Znam Luthera Gravesa od czasu, kiedy jeszcze się kotłował w brzuszku mamusi. W tym, co robi, nie ma niczego nieuczciwego. Jest jak wąż, staje się niebezpieczny tylko wtedy, kiedy na niego wleziesz. Już ci mówiłem, to ciągle nieduże miasteczko i moja rola polega na tym, żeby na wszystko mieć oko. Jeśli jednak zdarzają się tu takie czy inne rzeczy, lubię mieć do czynienia z przewidywalnymi facetami.

- Powiada pan zatem, że gra całkiem uczciwie. Dobrze zrozumiałem?

- Nazwij to, jak chcesz.

- No cóż, panie Stoney, to hrabstwo należy do pana od tak dawna, że może pan, zdaje się, rządzić nim, jak się panu spodoba.

Spojrzał na mnie przeciągle, z uśmiechem błakającym się w kąciakach ust. Oczy błyszczały mu pod siwymi brwiami.

- Masz chyba jednak mniej oleju w głowie, niż przypuszczałem. Teraz ja cię o coś zapytam. Czy to ty ich zabiłeś, chłoptasiu?

- Czy ja ich zabiłem?

Już miałem parsknąć śmiechem, kiedy nagle zorientowałem się, że on wcale nie żartuje. To było coś, nad czym zdążył się już zastanowić.

- Chyba czas już spadać - powiedziałem. - Tamten niebieski ford to mój wóz.

Facet Titana ciągle stał, opierając się na masce.

- Nie odpowiesz?

- To obraźliwe pytanie, szeryfie. Poza tym, byłem w towarzystwie paru gliniarzy, kiedy nastąpiły dwa z tych morderstw, a kiedy załatwiono Taglianiego siedziałem w samolocie lecącym tutaj. No i wreszcie, mordowanie to nie moja specjalność. Dzięki, że odwołał pan psy, jeśli nie weźmie mi pan za złe tego wyrażenia.

Zabrałem się do wysiadania.

- Nie odgrywaj tylko Buffalo Billa, Pata Garetta czy kogoś takiego. I bez tego mam pełne ręce roboty.

Będąc już na zewnątrz, pochyliłem się przez uchyloną szybkę i wyciągnąłem dłoń w jego kierunku. Jego ręce, splecione na złotej główce laseczki, nie drgnęły.

- Dzięki za przejażdżkę - odezwałem się.

- Weź sobie do serca moją radę co do Doe Raines. Mówię to jak jeden stróż prawa do drugiego - powiedział, nie patrząc na mnie. Potem nacisnął guzik i szyba podjechała do góry. Rozmowa była skończona.

## 48. DO... WIDZENIA...

Szczeniak siedział na przednim siedzeniu mego wozu. Jak miało się jeszcze okazać, był filozofem całej grupy zabijaków.

- Nie będziesz miał mi za złe, że zabiorę się z tobą do miasta? - powiedział. - Nie chcielibyśmy, żebyś się zgubił albo coś takiego.

- Gdzie twój pikap? - zapytałem.

- Dałem go Zapacie - wyjaśnił. - Wrzucił swój motor na tył.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oznajmiłem.

- Nie słyszałem żadnych strzałów - powiedział Mufalatta - więc przypuszczam, że jakoś zeście się porozumieli.

- Mniej więcej - mruknąłem.

- Nie jesteś zbyt rozmowny - zauważył Szczeniak.

- To sprawa poniekąd osobista - rzekłem. - Kiedyś, dawno temu, znaliśmy się z Titanem.

- O!

- Jak to się stało, że się tu znalazłeś? - zagadnąłem.

- To był pomysł Szkopa, żeby jechać za tobą. Powiedział Zapacie, że możesz napytać sobie biedy, jak będziesz sam. Ja śledziłem Gravesa.

- Co za troskliwość ze strony Szkopa.

- Nie pieprz. Można zapytać, co cię, do kurwy nędzy, ściągnęło tutaj?

- Goryl O'Briana trzęsie portkami. Chce, żeby go wywieźć z miasta.

- Zaproponował coś w zamian?

- Naprawdę, nie wiem - roześmiałem się. - Jego zdaniem, to jedna szczęśliwa, zgodna rodzinka.

- A ty w to wierzysz? - zapytał Szczeniak.

- Pewnie. Tak samo jak w bociany i w Świętego Mikołaja.

- Parszywie musisz się czuć, kiedy tyle roboty włożyłeś w tę zgraję, a teraz ich ktoś rozwała jednego po drugim.

- Nie znoszę morderstw - stwierdziłem - niezależnie od tego, kto ginie. Przez chwilę milczeliśmy obaj, potem powiedział:
- Mój ojczym mówił, że kiedy dobrze nastrosisz dwoje skrzypiec, jak grasz na jednym, drugie także grają.
- Nie żartuj - powiedziałem, zastanawiając się, co tu mają do rzeczy skrzypce.
- Stary muł był nafaszerowany koką - ciągnął Szczeniak - ale na skrzypcach się trochę znał. Nie, żeby jakoś specjalnie, ale w końcu grał. A ja w ogóle. Ja i skrzypce, byliśmy od początku w stanie wojny. Tak czy inaczej, myślę, że wiedział, co mówi.
- Mhm - mruknąłem, ciągle nie mając pojęcia, do czego zmierza. Rychno się dowiedziałem.
- Powiedział tylko jeszcze jedną rzecz, którą też zapamiętałem na całe życie, choć wtedy nic z tego nie zrozumiałem. Kurczę, byłem jeszcze szczawik, dopiero później pojąłem. Tak czy inaczej, strasznie mnie wtedy wkurwiała, że mój najlepszy przyjaciel często się ze mną nie zgadza. Stary powiada: „Kłopot z tobą. Knytku” - nazywał mnie Knytkiem, bo jako dziecko byłem bardzo mały, co także mnie wkurzało - „kłopot z tobą, Knytku, jest taki, że dla ciebie każdy widzi wszystko dokładnie tak jak ty”. Potem pochylił się, podrapał w kostkę i mówi dalej: „Swędzi mnie noga. Ja to czuję. Ciebie nie swędzi. Więc nie czujesz”. I wrócił do swojej gazety. Kapujesz, miałem osiem, może dziewięć lat, co ja mogłem wiedzieć o świcie, o swędzeniu. Myślałem, że stary zbzikował. Dwadzieścia lat później zagiąłem sobie parol na jednego zbira i trzy razy mi się wymykał. Jakbym go przygwoździł, poszedłby na resztę lat do kicia. Ale zawsze był o jeden krok szybszy, nie mogłem sukiny syna złapać za rękę. Cholera, myślę sobie, znam go przecież sto razy lepiej niż ktokolwiek inny, dlaczego nie udaje mi się go przygwoździć? Któregoś wieczoru przypomniałem sobie słowa starego. Uświadomiłem sobie, że znam go może świetnie od przodu i od tyłu, ale wcale nie myślę jak on. Wyobrażam tylko sobie jak ja bym myślał, gdybym był nim, chwytasz?



- No i co, złapałeś go?

- Udałoby mi się w końcu, gdyby dureń wcześniej się nie zastrzelił, czyszcząc swoją trzydziestkęósemkę. Ależ byłem wściekły. Więc teraz, rozumiesz, staram się myśleć jak ktoś, kto załatwia tych wszystkich bandziorów.

- I do czego doszedłeś?

- Do niczego, cholera jasna.

Westchnąłem. Przez chwilę miałem nadzieję, że Szczeniak powie coś ważnego.

Ale nie skończył jeszcze.

- Nie rozumiem, dlaczego, kapujesz? - ciągnął. - Gdybym wpadł na to, dlaczego, dobrałbym się do niego. Czy do niej. To może być świr, przyszło ci to kiedyś do głowy?

- No cóż - powiedziałem z mądrą miną - jak będziemy znali motyw... Przerwał mi.

- Przestań gadać o motywach i różnych takich. Motywy, srotywy, chodzi o to, co dzieje się w głowie tego skurwysyna. D l a c z e g o to robi. Słuchaj, życie wcale nie jest logiczne. To mit. Tak naprawdę, rzeczywiste jest tylko to, co ze wszystkiego robimy. Rzecz w tym, że jeśli jego śwędzi kostka, a my zaczynamy się drapać, wtedy go mamy.

- W porządku - powiedziałem - jak zaczniesz mnie śwędzić, dam ci znać.

Zachichotał.

- Pomyśl o tym.

- Dzięki za pomoc.

- Przecież o to przede wszystkim chodzi - wzruszył ramionami.

Po pięciu minutach jazdy w światłach reflektora zobaczyłem Zapatę. Pi-  
kap stał na poboczu, a on machał do nas latarką. Zahamowałem.

- Szczeniak, wiesz, gdzie jest South Longbeach Park, na końcu Ocean-  
by?

- Nie.
- To jedźcie za mną. Tylko się nie wleczcie.
- Co się dzieje, do diabła?! - krzyknąłem za nim, kiedy gramolił się do samochodu.
- Masakra! - wrzasnął i z rykiem silnika wyskoczył na szosę przed nami. Na dachu miał czerwone światło, spod maski zawodziła syrena. Nie jechałem tak od szczeniackich czasów, przez cały czas wisiałem na kierownicy.
- Po pół godzinie byliśmy w South Longbeach. Zajechaliśmy pod kino, z góry już nastawieni na ponure widowisko.
- Na miejscu zgromadził się spory tłum, stało też kilka samochodów policyjnych, połyskując czerwonymi i niebieskimi lampkami.
- Policjanci utworzyli przed kinem półkole o promieniu pięćdziesięciu jardów. Nie przepuszczali nikogo i żaden z nich sam nie podchodził bliżej. Kilku chłopaków z Zabójstw odgradzało liną budynek i samochód.
- Nick Salvatore, z marnym cygarem w ustach, siedział na zderzaku swego auta ponury jak noc. Szkop wyciągnął się na przednim siedzeniu własnego wozu, nogi wystawiwszy na zewnątrz.
- Co tu się, do cholery, stało?! - zawołałem.
- Ktoś postanowił zaćmić masakrę w dniu świętego Walentego - prychnęła Szkop.
- Ja pieprzę, na moich oczach - odezwał się Salvatore, potrząsając z niedowierzaniem głową.
- Także i Szkop potrząsnął swoją.
- Te ostatnie cztery dni to rok pracy dla geniuszów z Zabójstw. Jak będziemy mieć szczęście, może uda im się wpaść na jakiś ślad do następnego spisu ludności.
- Kto tym razem? - zagadnąłem.
- Rodzinny facet - odrzekł Szkop. - Pamiętam, że tak o nim mówiłeś: rodzinny koleś.
- Stizano?
- I grono przyjaciół. Salvatore widział, jak się to wszystko odbyło. Mamy naoczny świadka, dacie wiarę? Nikt się nie śmieje?

Salvatore nie zwracał uwagi na Szkopa. Korciło go, by raz jeszcze wszystko powiedzieć.

- Nie uwierzylibyście - zaczął mówić powoli, dobierając słowa, jak gdybyśmy wszystko notowali, od czasu do czasu wzbogacał narrację pantomimą. - Stizano wychodzi po filmie, ja jestem może o jakieś sto jardów, aż tu nagle... zupełnie jakby się zatrzęsła ziemia. Ja pieprzę, padali jak kwiaty. Ale najdziwniejsze, mówię wam, było to, że zupełnie nic nie słyszałem, nic zupełnie nie widziałem. Jedyne dźwięki, rozumiecie, to były kulki, jak w nich wchodziły. Potem poszły szyby, w kasie, w oknach kina. No, mówię wam, pieprzony surrealizm.

Pięć ciał, jakby porzrzucanych niedbale, leżało wokół wejścia do kina. Wszędzie wałały się mniejsze i większe kawałki szkła. Kilka kul ugrzęzło w samochodzie.

- Wygląda na bombę - powiedziałem.
- Ja chromolę, czy to nie surrealizm? - dopytywał się Salvatore.
- Ci pozostali, to kto? - zapytałem.
- Dwa pistolety, kierowca i facet, którego najczęściej widywałem ze Stizanem - wyjaśnił Salvatore.
- Ten z szarą twarzą, jakby zmarł od zatrucia?
- Tak.
- Nazywa się Moriarity. Pierwszy goryl Stizana - przypomniałem sobie.
- Już nie - sprostował Salvatore, zupełnie innym, niemal rozbawionym głosem.

Dziwaczna scena, jak zawsze u Felliniego.

Stizano leżał na plecach, wpatrzony w markizę z zastygłym uśmiechem na twarzy i cygarem przyklejonym do kącika ust. Jego czarny garnitur był podziurawiony kulami jak sito. Wyglądało to, jakby pokąsał go wściekły pies. Jeden z rewolwerowców leżał o pięć stóp dalej, pod kasą, w pozycji niemal embrionalnej. Borsalino zawadiacko przekrzywił mu się na głowie. Goryl, na którego po raz pierwszy się natknąłem, kiedy był chuliganem w

Chicago, Manny Moriarity, znany także jako Moriarity Martwa Twarz, opierał się, klęcząc, o ścianę budynku, z prawą ręką pod paltem i po raz pierwszy z jakimś wyrazem na twarzy. Dwie kule utkwiły mu w czole, jedna w prawym oku, pierś wyglądała jak otwarta do sekcji. Drugi z rewolwerowców, o wyglądzie kulturysty, leżał twarzą do ziemi, z rękami panicznie osłaniającymi klejnoty rodzinne. Kierowcy udało się dowlec do auta, przy którym osunął się na ziemię, splecionymi rękami usiłując powstrzymać wylewające się wnętrzności. Nie bardzo mu się to udało, ale nie miało to i tak żadnego znaczenia. Był równie martwy jak pozostali.

Kiedy mały Włoch kończył swoją opowieść, pojawił się Czerw, ciągnąc za sobą chmurę niebieskawego dymu. Rozejrzał się dokoła i zapytał:

- Co to, pantomima?
- Chyba jesteś zboczony - warknął Szkop. - Pięciu ludzi nie żyje.
- Upojny wieczór - oznajmił Czerw.

Salvatore raz jeszcze opowiedział wszystko, a potem wskazał w kierunku parku.

- Musiało to być gdzieś stamtąd, ale...
- Co „ale”? - ponaglił Szkop.
- To może zabrzmieć idiotycznie...
- Zdziwiłbym się, gdyby coś tu zabrzmiało normalnie - powiedział znużonym głosem Morehead.
- No więc... myślę... z tego jak padali... no dobra, mnie się wydaje, że to był jeden strzelec.
- Jeden facet załatwił wszystkich? - zapytał z niedowierzaniem Szkop. - To wygląda na oddział komandosów.
- Wiem, wiem. Ale, widzisz, oni lecieli tak bim-bam-bom, jeden po drugim, jak kaczki na strzelnicy, najpierw szofer, tu, w poprzek ulicy. Potem te dwa pistolety i goryl - jak mu tam?
- Moriarity Martwa Twarz - podrzuciłem.
- Moriarity Martwa Twarz - powtórzył Szkop z dziwnym uśmiechem.

- Tak, on, a potem Stizano. Kapujesz, Szkop, to jakaś pieprzona broń. Ścięło wszystkich, ja wiem... w dziesięć sekund.

Czerw nachylił się nad Stizanem i wyciągnąwszy palec, liczył. Potem wyprostował się i potrząsnął głową.

- Naliczyłem osiem kul, może być więcej. Spójrzcie na niego, niczego nie podejrzewał. Nadal ćmi pieprzone cygaro i śmieje się.

Zachichotał; był to taki nerwowy, nieopanowany chichot. Zawtórował mu Szkop, tyle że ten już nie chichotał, lecz śmiał się i to z każdą chwilą coraz głośniej. Zaraz potem ryknął Salvatore i zanim się zorientowałem, także i ja przyłączyłem się do zbiorowego rechotu. Im bardziej staraliśmy się uspokoić, tym głośniej rozbrzmiewał śmiech. Trwaliśmy w tym ataku histerii, kiedy nadjechał szef policji.

Szef policji Walters miał pięćdziesiąt funtów nadwagi, przekrwione oczy, nos pokryty popękkanymi żyłkami i szyję dwa numery większą od kołnierzyka, który nosił.

- Coś musiałem przegapić - odezwał się ponurym głosem, zawdzięczającym swą głębię ulubionemu trunkowi Waltersa - bourbonowi. - Co was tak rozśmieszyło?

- Szkoda, że cię tu nie było, Herb - wykrztusił Szkop.

- Zdaje się, że i ciebie nie było - warknął Walters. - Myślę, że lepiej będzie porozmawiać o tym z rana.

- Porozmawiać możemy od razu - obruszył się poirytowany Szkop, na którego twarzy nie było już śladu uśmiechu.

- Od razu to ja pójde do moich ludzi - powiedział Wallers, wyraźnie akcentując „moich”.

Szkop rozładował nieco sytuację, przedstawiając mnie Waltersowi, co zażyczyło mi wilgotny, miękki uścisk dłoni.

- Szkop skorzysta z pewnością ze wszelkiej pomocy, jakiej może mu pan użyczyć, mam rację Morehead? - stwierdził przyjacielsko.

- Może rzeczywiście idź do swoich chłopaków z Zabójstw i dodaj im trochę otuchy - mruknął Szkop.

- Jeśli będę mógł panu w czymś pomóc, Kilmer, niech pan zaraz dzwoni. Wszystkie telefony odbieram osobiście.

- To chwalebne - powiedziałem z uznaniem.

Na odchodnym rzucił jowialnie:

- Przynajmniej jednego nie może pan powiedzieć, Kilmer: że to nudne miasto.

Zacząłem się zastanawiać, czy nabór do miejscowej policji został przeprowadzony w Domu Zasłużonego Gliniarza.

- Teraz, kiedy już poznałeś naszego szefa, czym prędzej o nim zapomnij - poradził Morehead.

- Dwanaście w Stizano i w tym kolesiu w kapeluszu! - krzyknął Czerw, który powrócił do liczenia dziur w ciałach ofiar.

Ostatni przybył Callahan, w trzyczęściowym garniturze i z różą w butonierce. Wysiadł z auta i rozejrzał się wokoło. Nie powiedział ani słowa. Podczas gdy my liczyliśmy kule, drapiąc się w głowy, Callahan zniknął w parku, skąd powrócił po pięciu minutach, ciągnąc za sobą pijanego włóczęgę, odzianego w najbrudniejszy trencz, jaki dotąd widziałem. Jego oddech czuć było przez ulicę.

- Uwaga z zapalkami - powiedział Salvatore, kiedy się zbliżali.

- Coś widział - wyjaśnił Callahan.

Pijak pociągnął parę razy nosem, a potem wytarł go wierzchem dłoni.

- Nie chcem kłopotów - mruknął.

Szkop nachylił się nad nim z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni i niezapalonym camelem w kąciku ust.

- Coś ci powiem - oznajmił. - Jak zaraz wszystkiego nie powiesz, będziesz miał więcej kłopotów niż jest pcheł na psie.

Łazęga w pierwszej chwili poczuł się urażony, ale zaraz uzmysłowił sobie, że znalazł się w centrum uwagi. Nagle zaczął trajkotać jak katarynka.

- Siedzem sobie w parku, koło stawu, na ławce, a tu wisz, nagle słyszem takie klekociki. Ja wiem, jakby zęby dzwonili. - Zawahał się na chwilę, po czym zachichotał, a jego dziwny śmiech przeszedł natychmiast w okropny kaszel.

- Mów dalej, kolego - przynaglił Szkop. - Dobrze zacząłeś. I postaraj się nie wypluć całych płuc, zanim nie odpowiesz na wszystkie pytania.

Oczy włóczęgi zalśniły chytrze.

- A co ja z tego będę mieć? - zainteresował się. Potem spojrzawszy wokoło, zapytał:

- Macie szluga?

Czerw podał mu papierosa i podtrzymał dłoń starego, kiedy tamten przypalał.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- J.W. Guttman - padła dumna odpowiedź. - Kumple mówią na mnie Skarpeta. - Wyszczerył zęby i wskazał na stopy. Nie miał butów, a z dziur przepoconych, białych ongiś skarpetek wyzierały palce.

- Dobra, Skarpeta, siedziałeś sobie na swojej ulubionej ławce, aż tu nagle słyszysz, że ktoś szczęka zębami - powiedział Szkop.

- Tak, to słyszałem. - Obliznął językiem wyszczerbione zęby, a potem nagle zajazgotał: -Tiktik-tik-tik, jakoś tak.

- Fajnie - przytaknął Szkop.

- No a potem wszystkie lampki koło kina zaczęły się rozpieprzać...

Reszta zdania zatonała w kolejnym ataku kaszlu.

- A w i d z i a ł e ś coś? - zapytał Szkop. Nabrawszy tchu, Skarpeta odpowiedział:

- Właśnie to mówiłem, ekh, ekh, widziałem, ten, samochód...

- Gdzie?

- Na Pelican Avenue, w stronę plaży.

- Co to był za samochód?

- Samochód. One wszystkie do siebie podobne.

- Jakiego koloru?

- Ekh, takiego, no ciemnego.  
- *Verdammt*- zaklął Szkop.  
- Czarny? - wtrącił się Czerw. - Dwudrzwiowy, czterodrzwiowy?  
- Gadam ci, ciemny. Może... - zamilkł na parę chwil, zastanawiając się -  
ja wim, niebieski? Pewnie tak, ciemno było, mógł być, skubany, niebieski.  
Może granatowy, czyja wim.

Zgarbił się, zakaszłał, przez jego ciało przeszedł dreszcz. Potarł się łokciem po boku, pod stertą łachów coś go uwierało.

- Komuś przychodzi coś do głowy? - zwrócił się do nas Morehead.

- Może myśli, że to jakiś konkury - zasugerował Salvatore.

- Jeszcze coś - wydobył z siebie J.W. Guttman.

- Gadaj, nie daj się prosić - powiedział Morehead.

- Śmieszne koła.

- Miał śmieszne koła - powtórzył Szkop.

Guttman przytaknął z zapalem.

- No, no.

- A jak wyglądały te śmieszne koła? - indagował dalej Szkop, a jednocześnie mruknął do mnie półgłosem: - Zaczynam się czuć jak pielęgniarzka.

- Takie duże, pluchające koła. Dobrze słyszałem... pluch, pluch, pluch, tam na Pelican.

- O czym on, do cholery, mówi? - zdziwił się Czerw.

- Proszę, proszę - zawtórował mu Szkop. - Pluchające koła, tak, J.W.?

- Popeta. popeta, popeta. Taki dźwięk.

- Może ktoś złapał gumę - wysunąłem przypuszczenie.

Skarpeta rozglądał się po nas, szeroko uśmiechnięty; nagle stał się ważny dzięki tik-tik-tik i popeta-popeta-popeta.

- I to wszystko? - nalegał Szkop.

- Ciemno było - piskliwie odezwał się Skarpeta.

- Tak, wiem, że było ciemno - prychnął Szkop.

Łachmaniarz skulił się.



- Ktoś rozwala pięciu facetów - rozejrzył się po nas Morehead - a najlepszy świadek, jakiego mamy, jest nałogowym alkoholikiem. - Potrzęsnał głową z rozgoryczeniem. - Wracaj pan na swoją ławkę, panie Guttman.

- Skarpeta.

- Skarpeta. - Szkop odwrócił się, ale tamten złapał go za rękaw. - Panie kapitan, weź mnie pan zamknij jako świadek albo co. Kap, nie jadłem nic porządnego od Świętego Patryka.

Dutch wyciągnął z kieszeni dychę i przywołał jednego z policjantów.

- Weźcie Skarpetę do jakiegoś baru, kupcie mu porządne zarcie i przypilnujcie, żeby zjadł.

- Ja? - zapytał gliniarz z niedowierzaniem.

- A jak wam się zdaje, do kogo ja mówię, do Pana Boga?! - ryknął Szkop. - Wykonać!

- Rozkaz.

Trzymany za rękaw przez policjanta, Guttman jeszcze odwrócił się ku nam. - Kap?

- Czego tam jeszcze?

- A dostanę też paczkę szlugów?

- Kupcie mu także paczkę papierosów - polecił Morehead policjantowi.

- Tak jest, sir.

- Stokrotne dzięki - wybełkotał wzruszony pijak i wyciągnął dłoń w kierunku porucznika, który cofnął się w popłochu.

- Zabieraj tę grabę - warknął do Skarpety, a w kierunku gliniarza rzucił: - Przypilnujcie, żeby umył ręce przed jedzeniem, inaczej gotów otruć sam siebie.

Pojawili się Salvatore i Callahan, za którymi pałętało się kilku mundurowych.

- Przejrzelśmy park. Nic - stwierdził Callahan.

- To musiał być ten samochód - pokiwał głową Salvatore.

Czerw stał po drugiej stronie ulicy, wpatrzony w markizę nad wejściem do kina. Przywołał nas ruchem ręki i pokazał na fronton budynku. Żarówki tworzące nazwę popękały, ale nie wszystkie.

Te, które zostały, układały się w napis: SO... LONG... DO... WIDZENIA.

## 49. KTO NASTĘPNY?

Pod South Longbeach Cinema zebrała się już większość zabijaków z SOS, pozostali, z wyjątkiem Kite'a Lange'a i Cowboya Lewisa, byli już w drodze. Czas oczekiwania skracalem sobie rozmową z Czerwem.

- Jest coś nowego o Nance i Chevosie? - zapytałem.
- O Nance jeszcze nic - odparł Czerw przepraszającym tonem. - Żadnych nowin, ale Lange ciągle tkwi w porcie, gdzie mieszka Chevos.
- Dlaczego Stizana nie było na stypie?
- Był, ale wyszedł wcześniej razem ze swoją gromadką, pewnie dlatego, że chciał zdążyć na film.

Moim zdaniem w tej sytuacji Nance pozostawał nadal podejrzany i nie starałem się nawet ukryć, że byłem z tego bardzo zadowolony.

Następnym przybyszem był Jednouchy Charlie, jak zawsze wytworny, tyle że do tweedów dołączył teraz nie koszulę z krawatem, lecz golf.

- No proszę, ale chryja! - taka była jego reakcja.
- Tam, z tamtego końca parku - odezwał się Callahan.
- A co - dopytywał się Jednouchy - tam jest jeszcze gorzej?
- Linia ognia - wyjaśnił Callahan, lakoniczny jak zawsze.

- Mamy też świadka - dodał Salvatore. - Mówi, że widział samochód. Charlie popatrzył na paradę policjantów przed wejściem do kina i powiedział:

- Jeśli już mowa o linii ognia, to zejdźmy może trochę na bok, panowie? Mam parę informacji, którymi nie chciałbym się dzielić z pospólstwem.

Wraz ze Szkopem podeszliśmy do budki z przekąskami, gdzie szef zamówił dwa hot dogi, przyozdobione chili, kapustą, musztardą i cebulą. Reszta zdecydowała się na kawę, jak się okazało, dostatecznie mocną, by powalić wieloryba. Jedynie Jednouchy zamówił herbatę. Poszliśmy w dół ulicy na pogaduszki.

- Jak na razie kacza dupa - zaczął Charlie. - Nikt nic nie wie, nikt o niczym nie słyszał. Całe popołudnie krążyłem po mieście i nie zauważyłem nawet jednej twarzy, która by mnie zaniepokoiła. Zadałem więc w róg i zacząłem wykorzystywać znajomych...

Wyliczał, odginając palce.

- Nowy Orlean, Nowy Jork, Cincinnati, Detroit, Saint Louis, Chi, Vegas, L.A. Nigdzie nic. W tej chwili gotów jestem założyć się o całą pensję, że nie ma w mieście żadnych pistoletów z zewnątrz. A przynajmniej takich, których mógłbym powiązać z tym małym tornado.

- A może siedlibyśmy z boku i poczekali dzień lub dwa - odezwał się Salvatore. - Wtedy nikt już nie zostanie i będzie po kłopotcie.

- Gdyby maczała w tym palce mafia z zewnątrz - ciągnął Charlie - ktoś musiałby coś wiedzieć. Takie informacje rozchodzą się szybciej niż świński kawał na weselu.

- Czy któryś z tych twoich znajomych nie próbował może zgadnąć, co się tu dzieje?

Jednouchy pokręcił głową.

- Nie, ale, co gorsza, słyhać, że Tagliani czy raczej to, co z nich zostało, stali się bardzo nerwowi. Najwidoczniej i oni nic nie rozumieją.

Szkop odszedł od nas i stanął na krawężniku, kręcąc głową. Nagle odwrócił się i z rozmachem cisnął kubek o ścianę. Kawa rozprysnęła się po murze i chodniku.

- Co za banda *sheiss kopfes!* - krzyknął. - A ja jestem szefem! Dwunastu ludzi! Nie spuszczaamy ich z oka i mimo to rozwalają kolejno jednego po drugim tuż pod naszym nosem.

Wściekłość biła z całej jego postaci, wpił się we mnie spojrzeniem płonącego oczu.

- Jestem, kurwa, w kropce, jeśli chcesz wiedzieć - wycedził.

Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy zaklął po angielsku.

- Nie bierz sobie tego tak do serca - powiedziałem. - Ci ludzie są o wiele bardziej od nas doświadczeni w ubezpieczaniu siebie. Jeśli i im nie udaje się obronić, to nie nasza wina.

- Szefie, naprawdę mi przykro - wtrącił się Jednouchy - ale niewykluczone, że mam dla ciebie coś na pocieszenie. Nie wiem, czy ma to jakiś związek z naszą sprawą, ale jeden znajomek handluje trochę śniegiem. Powiada, że choć rynek jest wyschnięty od około miesiąca, miejscowe ćpuny są już w skowronkach. Rozeszła się wieść, że koniec suszy blisko.

- To samo mówił Harry Nesbitt - potwierdziłem.

- A kiedy ma nadejść ta lawina? - zapytał Szkop.

- Już nadchodzi.

- Czy ten łach wie, kto jest importerem?

- Niekoniecznie musisz nazywać ich łachami - sprzeciwił się Jednouchy. - Niektórzy z nich są dumni, że pracują dla mnie. Traktują to jako rodzaj służby publicznej.

- Dobra, Charlie, znam tę śpiewkę. Wie, kto jest dystrybutorem, czy nie?

- Zna tylko swoich odbiorców na ulicy.

- Ja się domyślam - powiedziałem. - Bronicata. To jego gra.

- Niegłupie - stwierdził Czerw. - Jeśli nie on, to może Długonosy.

- Graves trzyma się z daleka od twardych dragów - sprzeciwił się Mufalatta.

- Ludzie się zmieniają - odparłem. - To dzikie miejsce, tarzają się tutaj prawdziwe bestie.

- Nie mówię, że to świętoszek - upierał się Szczeniak. - Łobuz jak inni, tyle że czarny. Ale nie wpięrdala się w twarde dragi, to tyle. Nie w jego stylu.

- Wiadomo mniej więcej - wtrącił się Szkop - o ile koki tutaj chodzi?

- Różnic mówią. Moim zdaniem, jakieś pięćdziesiąt kilo czystego towaru.

- *Gemütlich!* - powiedział półgłosem Morehead.

- Niezłych parę dolców - gwizdnął z podziwem Salvatore.

Charlie wyjął z kieszeni cieniutki kalkulator i zaczął liczyć.

- Spójrzmy. Sto dziesięć funtów, które rozrobią sześć, może osiem do jednego. W zaokrągleniu osiemset funtów, czyli jakieś trzynaście tysięcy uncji, co daje trzysta tysięcy gramów. Jedna porcja osiemdziesiąt zielonców, na Wstążce znajdzie się zatem około dwudziestu czterech milionów dolarów.

Na chwilę zapadło milczenie. Przerwał je Czerw.

- Nareszcie będą mogli spłacić zaległe raty za samochód - westchnął.

Teraz Szkop zwrócił się do mnie.

- Ty ich znasz najlepiej - powiedział. - Jak myślisz, mogą się wystrzelać nawzajem dla dwudziestu czterech milionów?

- Za taką forszę, Szkop, ja bym ich sam wystrzelał. Rzecz w tym, jak to wygląda z ich punktu widzenia. Oni w ciągu każdego tygodnia obrażają większą forszą.

Poparł mnie Salvatore:

- Ma rację. Zaczęliby się zreć między sobą, gdyby jeden wszedł na działkę drugiego, ktoś poczuł się obrażony, rozumiesz jakaś osobista sprawa. Wtedy może tak. Ale ja też nie myślę, żeby skoczyli sobie do gardeł z powodu dużego transportu koki. - Pokręcił stanowczo głową. - To niemożliwe.

- No to jesteśmy w punkcie wyjścia - stwierdził ponuro Szkop - tyle że zwiększyła nam się liczba denatów.

- Będę dalej, oczywiście, zarzucał sieci - obiecał Charlie i wraz z Salvatore oraz Callahanem udali się w stronę parku, żeby poszukać śladów samochodu.

Wrócili dziesięć minut później. Charlie stał przez chwilę w milczeniu i kołysał się na obcasach. Po dramatycznie wytrzymanej pauzie obwieścił:

- Jest bardzo prawdopodobne, że morderstwa dokonano z tamtej strony parku. Znaleźliśmy coś, co może być śladem opon, ale wydaje się, że ktoś założył na koła worki, czy jakiś inny materiał, żeby uniemożliwić identyfikację.

- Jak daleko jest stamtąd do kina? - spytał Szkop.

- Jakiś furlong - powiedział Jednouchy, a kiedy wszyscy spojrzeli na niego w zdumieniu, dodał: - mniej więcej dwieście metrów, parę stóp więcej, parę mniej.

- Dla dobrego strzelca z M-16 nie powinno być problemu - powiedział Czerw.

- Kamień spadł mi z serca - oświadczył Szkop.

Odciągnąłem Callahana na bok i opowiedziałem mu o pokerze w Breakers Hotel i Thibideau, który umoczył ponad piętnaście tysięcy.

- To ciekawe - pokiwał głową Callahan. - Niedługo gonitwa Disawaya, stawki dwadzieścia, trzydzieści do jednego. Jeśli popada i wałach wygra, Thibideau będzie mógł wykupić cały hotel.

- Może przyjdę jutro na tor po południu - stwierdziłem.

- Tylna brama, godzina trzynasta, czekam dziesięć minut - zapowiedział Callahan i dołączył do pozostałych, a tymczasem podszedł do mnie Szkop.

- Rozwalono dwunastu ludzi, których obserwujemy, a jedyne, co nam się udało, to dostarczenie murowanego alibi tym, którzy byliby najbardziej podejrzani. A przynajmniej tym, którzy się jeszcze uchowali.

- Z wyjątkiem jednego - powiedziałem.
- Kogo? - zapytał Szkop.
- Turka Nance'a.
- Uczepiłeś się tylko tej jednej myśli - parsknął Morehead i podszedł do Szczeniaka i Zapaty. Spojrzałem na zegarek. Było wpół do dwunastej. Od-  
szukałem Czerwia.
- Po maluszku na dobranoc? - zapytałem.
- Chętnie. Spotkamy się u ciebie w hotelu?
- Byłeś kiedyś w knajpie, która nazywa się „Casablanca”?
- W jego oczach zobaczyłem zdziwienie.
- Byłem w każdym lokalu tutaj przynajmniej raz. Jeden raz w „Casa-  
blance” całkowicie mi wystarczył.
- Pojedziemy moim wózkiem - powiedziałem, ignorując jego komen-  
tarz.
- W porządku - zgodził się, wzruszając ramionami. Kiedy szliśmy w kie-  
runku wynajętego forda, Czerw cisnął swoje kluczyki Zapacie.
- Ej, Chino, odprowadź mojego grata pod Magazyn, dobra? Poniżej czter-  
dziestki jedź na dwójce, żeby ci się silnik nie zatarł. - Po czy m odwrócił się do  
mnie: - No to ruszajmy do tego zoo.
- Wkrótce miałem się dowiedzieć, co miał na myśli.

## 50. „CASABLANCA”

Niewiele mówiłem po drodze; myślałem o opowieści Szczeniaka o swę-  
dzącej nodze, potem o morderstwie, potem znowu o Szczeniaku.

Może myliłem się co do Nance'a. Może morderca był znacznie bliżej.  
Salvatore? Jednouchy Charlie? A może Callahan?

Niemal każdy z zabijaków mógł wykonać tę robotę, z wyjątkiem Szkopa,

który był ze mną, kiedy zginął Draganata, oraz Mufalatty i Zapały, którzy byli u Wujka Jolly'ego, kiedy przyszła kolej na Stizana.

Salvatore mógł mieć jakiś powód związany z ojcem *mafioso* i Filadelfią. Staralem się zrozumieć, dla czego, myślałem o śwędzącej kostce.

Dałem sobie spokój. Nie podobały mi się te podejrzenia. „Casablanca” znajdowała się na przedmieściu w pobliżu rzeki, jakiś kwadrans drogi od miejsca, gdzie zginął Stizano. Zaparkowałem przy promenadzie wiodącej skarpą nadbrzeżną i po spiralnych schodkach zesliśmy nad samą wodę. Tworzyliśmy z Czerwem niezłą parę; ja w pokierszowanym sztormiaku i kowbojskich butach. Czerw w swym garniturze, który wyglądał, jakby miał co najmniej dziesięć lat, krawacie bohatersko opierającym się upływowi czasu i kapeluszu balansującym na czubku głowy.

Klub nocny przycupnął w rogu nabrzeża. Na lato wyjęto okna i zastąpiono je żaluzjami, teraz szeroko otwartymi. Przy wejściu uderzyła w nas fala głośnej muzyki i gorąca.

- Witaj w Mondo Bizarro - skłonił się ku mnie Czerw.

Wnętrze wyglądało tak, jakby projektant obmyślił je po niezłej dawce LSD.

Stoły i krzesła nie pasowały ani do siebie, ani do reszty lokalu.

Ściany pokryte były wielkimi fotosami z filmu. W centrum, na największym z nich, Bogart z papierosem w wykrzywionych pogardliwie ustach, w białym smokingu stał przed nocnym klubem Ricka. Na innym Peter Lorrie zezował żabimi oczami ku odzianej w fez, nieprzystępnej Sydney Greenslreet. Na przeciwległej ścianie Claude Rains, szykowny w swym uniformie i czapeczce, patrzył arogancko na Conrada Veidta, który wyglądał, jakby przed chwilą połknął zepsuty kawior.

I, oczywiście, Bergman. Naprzeciwko Bogarta nieśmiertelna gwiazda spoglądała tajemniczo spod szerokiego ronda kapelusza.

Ale to nie fotosy nadawały temu miejscu jakiś odpychający



czar, lecz zwierzęce łby, jak trofea myśliwskie rozmieszczone pomiędzy wizerunkami gwiazd ekranu. Psychodeliczne, papierowe głowy zwierzęce, pomalowane na makabryczne kolory. Ogromny purpurowy słoń pokryty był różowymi kropeczkami, gigantyczny czerwony hipopotam miał oczy barwy fiołków. Wokół jednego ze zdjęć zwieszających się spod sufitu, wisi się pomarańczowy wąż, pokryty niebieskimi cętkami. Pomędzy wentylatorami przysiadła w brązowym kole lazuruwa papuga.

Kelnerki, powbijane w brązowe skórzane spodnie i wysokie kowbojskie buty, nosiły również skórzane staniki, które z trudem zasługiwały na tę nazwę, a na głowach kapelusze safari.

„Mondo Bizarro” stanowiło raczej delikatne określenie.

Towarzystwo było równie niejedolite, jak styl wystroju: turyści, uczniowie colleg'ów, stręczyciele, alfonsi, pedały, kowboje apteczni no i - co wydawało się regułą w mieście - dziewczynki chętne do towarzystwa.

Wybraliśmy stolik naprzeciwko wyjścia i zaczęliśmy się rozglądać po tym Circus Maximus. Niepokoilem się, czy dojrzę w tłumie DeeDee Lukatis, a jeśli nawet dojrzę, czy ją rozpoznam.

Nie upłynęło pięć minut i akcja się rozpoczęła.

Poczułem na sobie czyjeś spojrzenie; mrowienie na karku, które zmuszało do obejrzenia się. Przez kilka chwil się opierałem, ale w końcu odwróciłem się, by odnaleźć natrętne oczy.

Poprzez kłęby dymu dostatecznie gęste, by spowodować raka, w nagłych rozbłyskach kolorowych świateł dostrzegłem ją: śniada lwica, migająca w tłumie spoconych tancerzy, którzy kiwali się w takt rytmicznego huku o dobrych parę decybeli przekraczającego ludzką wytrzymałość.

Jej włosy o barwie miodu sprawiały takie wrażenie, jakby przez wiele godzin rozczesywały je czyjeś palce, długie pukle luźno spływały na szerokie, odsłonięte ramiona. Lekka jak mgielka biała bluzka rozpięta do pasa utrzymywała się w tym rozwarciu dzięki pewnej osobliwej strukturze, która jedne kobiety wprawia we wściekłość, a u innych rodzi chęć skorzystania

z dobrodziejstw chirurgii plastycznej. Nie miała na sobie stanika, w każdym razie nie byłam w stanie dostrzec nawet jego skrawka. Długimi palcami jednej dłoni bębniła rytmicznie po trąbie purpurowego słonia, w drugiej trzymała wysmukły kieliszek o długiej, delikatnej nóżce.

Patrzyłem, jak prześlizguje się między kołyszącymi się w ekstazie tancerzami, z nikim się nie zderzając. Ćwiczyła te ruchy przed lustrem czy też przychodziły jej zupełnie naturalnie? Zresztą, cóż to miało za znaczenie.

Czyżby to była DeeDee Lukatis? Nie miałbym absolutnie nic przeciwko temu.

Upłynęło sporo czasu, zanim dotarła do naszego stolika.

Osunęła się na krzesło naprzeciwko mnie, stając się jego częścią. Delikatnie gładziła nóżkę kieliszka, jak gdyby wyczuwała drgnienie każdej molekuly.

- Hej - odezwałem się, starając się nadać memu głosowi ton możliwie najbardziej miękki i pieszczotliwy.

I wtedy zorientowałem się, że to wcale nie ja jestem przedmiotem jej zainteresowania.

Wpatrzona była w Czerwia, który rozwalił się na krześle z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni i papierosem przyklepionym do wykrzywionych w półuśmiechu ust.

- Wiesz co - powiedział - okazuje się, że można tu jednak znaleźć parę rzeczy z klasą.

- Ooo - mruknęła - toto także mówi.

Jej głos, który wydobywał się gdzieś z okolicy pępka, przywodził na myśl welwet przesycony wódką. Poczulem się jak intruz. Ale Czerw nie sprawiał wrażenia zbitego z tropu.

- Słuchaj - powiedział - pełno tu facetów młodszych, lepiej ubranych i bogatszych. Czemu się do mnie przysiadłaś?

Uśmiech ciągle jaśniał na jej twarzy.

- Podoba mi się twój krawat - oznajmiła. - Uwielbiam stare, wypłowiałe krawaty, z których wyłazi podszewka. Uwielbiam także twój garnitur. Byłam pewna, że już takich nigdzie nie robią.

- Bo nie robią. Jest starszy od krawata - poinformował ją Czerw.  
- Ciągłe będziesz taki trudny? - zapytała. - Boże, uwielbiam również trudności.

Nachyliłem się do Czerwia i powiedziałem półgłosem:

- To jakaś gra, tak? Macie to przećwiczone? - Moje zranione ego szukało jakiejś rekompensaty.

- Nigdy dotąd jej nie widziałem - odburknął kącikiem ust, nie spuszcza-  
jąc oczu z dziewczyny. - Jak się nazywasz? - zagadnął.

- Lark.

Pięknie, pomyślałem. Po prostu „skowronek”. Albo po prostu „figielek”.

- To imię czy charakter? - upewnił się Czerw.

Nagrodą była kaskada perlistego śmiechu. Szarozielone oczy rozjarzyły się iskierkami. Na jej widok góra lodowa zaczęłyby topnieć.

- Cudownie - powiedziała. - Może byśmy poszli sobie?

Tak po prostu. Obrzydliwość.

Czerw wskazał na mnie kciukiem.

- Samochód należy do niego.

Spojrzała na mnie. Powieki powoli zamrugały flap-flap, potem oczy wróciły do Czerwia.

- No a taksówka? - zasugerowała.

- Wezwiemy czy złapiemy na zewnątrz? - zapytał.

- Miałam jego na myśli - wyjaśniła, wskazując na mnie.

- Wybornie - powiedziałem. - Rozegrane po mistrzowsku.

- Na pewno nas zrozumiesz - zamruczała i leniwym ruchem wyciągnę-  
ła rękę w moją stronę.

Rzuciłem kluczyki w jej otwartą dłoń i spojrzałem na Czerwia.

- Bądź o pierwszej - burknąłem.

Uśmiechnął się odrobinę szerzej.

- To nic osobistego - podkreślił.
- Pewnie.
- Następnym razem pożyczę ci garnitur.

Dziewczyna już stała. Czerw podniósł się także i zaczął przepychać się ku drzwiom, Lark popłynęła za nim.

Zahaczyłem którąś z kelnerek w kapeluszu safari i zamówiłem dzin z wodą sodową i cytryną, ale bez lodu. Potem zacząłem się rozglądać za kimś, kto mógłby być DeeDee Lukatis. Lokal wyglądał coraz okropniej. Miejsce dymu papierosowego zajęła mgła. Od mokradeł powiał zimny wiatr i pognał przed sobą ciepłe powietrze znad rzeki. „Casablance” społyły nagle gęste opary.

Zacząłem już żałować mego pomysłu, który okazał się najwyraźniej niewypałem, kiedy naraz poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem pochyloną nad sobą piękną twarz kobiecą. Dziewczyna o figurze modelki, wysoka i szczupła, głowa zwieńczona długimi, jasnymi włosami. Regularne rysy miały delikatność chińskiej porcelany; ta twarz wymagała bardzo oszczędnego makijażu. Szare, głęboko osadzone oczy.

- Hej, Jake - powiedziała. - Pamiętasz mnie? DeeDee Lukatis.

## 51. STRZELANINA

- Zacząłem już tracić nadzieję - wyznałem.

Usiadła naprzeciw. Miała na sobie sukienkę w kolorze khaki, z pagonami Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej. Biegący od góry do dołu zamek błyskawiczny rozsunięty był do pasa, co jak na „Casablance” było dość konserwatywnym rozwiązaniem.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi mały fortel, jaki obmyśliłyśmy z Lark - powiedziała.

- To twoja przyjaciółka?

- Pracuje ze mną w banku.

- Mój szacunek dla pana Seaborna zaczyna się pogłębiać - oznajmiłem z powagą.

- Mr Seaborn jest całkiem fajny. Może tylko trochę nadęty.

- Trudno coś zarzucić jego gustowi.

- Dziękuję. Powiedziałaam Lark, że chciałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy. Zgodziła się mi pomóc i wywabić od stolika każdego, kto zjawiłby się z tobą.

- Wywabić?

Roześmiała się.

- Mimo wszystko uznała, że twój przyjaciel jest całkiem przystojny.

- Jeśli to było odegrane, to szkoda, żeby marnowała się w banku.

- Jest zupełnie niezależna. Robi to, na co ma ochotę. Chciałabym być taka. Przychodzi tu dwa razy w tygodniu. Lark mówi, że to dobre miejsce na pozbycie się zahamowań. Nawet ta sukienka jest nie moja, pożyczona od niej.

- Masz jakieś zahamowania?

Uniosła oczy ku górze.

- Gdybyś wiedział, ile walczyłam ze sobą, zanim napisałam ten liścik.

- Cieszy mnie, że się przemogłaś.

Musiała się nachylić, by móc mnie słyszeć. Wydawało się, że muzyka potężnieje z każdą chwilą.

- Czuję... czuję się trochę nie w porządku - wyznała.

- Dlaczego?

- No, że poprosiłam cię o spotkanie. Mówiąc szczerze, chciałabym cię poprosić o przysługę.

- Nie widzę w tym nic złego.

Roześmiała się i odrobinę odpreżyła.

- Często o tobie myślałam przez ten czas - powiedziała. - Tamtego lata tak bardzo zazdrościłam tobie, Doe i Teddy'emu Findleyowi. Przez cały czas byliście tacy szczęśliwi, wydawało się, że cały świat leży wam u stóp. Miałam czternaście lat, twarz pokrytą krostami i byłam w tobie strasznie zakochana.

- We mnie?!

- Idiotyczne, nie? - powiedziała, spuszczać powieki. - W jakimś sensie, chyba nadal jestem. Nigdy się nie można do końca wyżyć pierwszej miłości.

Pomyślałam nad tym przez chwilę, a potem zgodziłam się:

- Tak, pewnie nie można.

I naraz poczułam to szczególne mrowienie na karku, tyle że teraz wcale nie było ono przyjemne. Odwróciłam się i ostrożnie rozejrzałam po sali, na ile dało się w niej coś zobaczyć, tym razem jednak nie dostrzegłam żadnej śniadej lwicy, prześlizgującej się między tancerzami. Żadna twarz nie wydała mi się znajoma.

Skupiłam uwagę na DeeDee.

- No więc, co to za przysługa? - spytałam, chcąc jej ułatwić zadanie.

- Słyszałam, że jesteś teraz detektywem - powiedziała.

- Niezupełnie. Prowadzę śledztwa na zlecenie rządu.

- FBI?! - wykrzyknęła z przestraszeniem.

- Tak, ale dlaczego cię to niepokoi?

- Nie wiem. - Zawahała się, zanim zaczęła mówić dalej. - Chodzi o mojego brata, Tony'ego. Boję się o niego, ale nie mogę iść na policję.

- Dlaczego?

- Ponieważ mógł się wpakować w coś niedobrego.

- Coś sprzecznego z prawem, to masz na myśli?

Przytaknęła.

Zgiełk w „Casablance” stawał się niebezpieczny dla zdrowia. Muzyka była coraz głośniejsza, tancerze coraz bardziej zapamiętali, efekty świetlne coraz bardziej surrealistyczne. Wyłączono lampy, reflektory przebiegały

się z trudem przez opary dymu i mgły, lasery trzaskały na przemian to w jednym, to w drugim końcu sali.

Znowu poczułem dreszcz na szyi. Kiedy odwróciłem się, miałem wrażenie, że kogoś zobaczyłem, ale było to tylko mignięcie w nagłym błysku światła w gęstych oparach.

DeeDee zadrżała, jakby zrobiło się jej zimno.

- Przepraszam - powiedziała - ale, wiesz, ten hałas...

- Nie musimy tu siedzieć. Wezwę taksówkę, pojedziemy gdzieś i napijemy się kawy - zaproponowałem.

- Mam tu samochód. Taka była umowa. Lark zabierze twój samochód i twojego kumpla, a ciebie ja wezmę swoim wozem.

- Od dawna to ćwiczycie?

Roześmiała się. Miałem wrażenie, że propozycja opuszczenia „Casablanki” bardzo jej odpowiada. Zapłaciłem rachunek, przepchaliśmy się przez tłum i wyszliśmy na zewnątrz.

Było pusto; lampy nad rzeką dziwnie mrugały we mgle.

Niewyraźna postać męska przesunęła się w kręgu światła jednej z nich.

Niemal zagłuszone hukami dochodzącym z „Casablanki” otwały się i zamknęły drzwi samochodu.

Skierowaliśmy się ku spiralnym schodom, które prowadziły na górę, na promenadę. Ulica rozbrzmiewała pogłosem muzyki. Otuliła nas gęsta mgła. Kroki rozbrzmiewały jak podkowy końskie uderzające o bruk.

Usłyszałem rozrusznik samochodu, potem wskoczył bieg. Auto ruszyło, na razie powoli.

Bez świateł.

Poprzez mgłę dojrzałem ciemny wylot uliczki jakieś trzydzieści stóp dalej.

- Słuchaj uważnie - zacząłem mówić pospiesznie do DeeDee. - Kiedy znajdziemy się przy tej uliczce, wepchnę cię w nią. Biegnij. Jestem za tobą.

- Ale... - zaczęła, lecz w tym momencie opony zapisały na kostce i wóz skoczył przed siebie.

- Już! - krzyknąłem i rzuciłem się do przodu, ciągnąc DeeDee za sobą.

Światła rozdarły szarą zasłonę. Samochód leciał wprost na nas. Niemal wlokąc ją za sobą, dopadłem wąskiego przejścia między starymi magazynami. Kilka pojemników na śmiecie rozkraczało się u wejścia.

- Na ziemię! - ryknąłem i pchnąłem dziewczynę z całej siły między kosze.

W chwilę później nadleciał czarny pontiak, zapiszczały hamulce i padły trzy strzały. Usłyszałem kule uderzające w metal i mur.

Wyrwałem swój .357 i trzy razy wystrzeliłem. Trafiony w bok wóz, na wstecznym biegu zniknął nagle we mgle.

Rozejrzałem się. Uliczka była szeroka na półtora auta, długości dwustu stóp. Żadnych drzwi, tylko w połowie widać było niszę, z której na jakieś trzy stopy wystawała rampa. Przyćmione światło lampy jarzyło się na drugim końcu.

- Biegnij tam - powiedziałem. - Będę tuż za tobą. Nawet jeśli usłyszysz strzały, biegnij dalej. Biegnij, choćbyś słyszała za nami samochód.

Patrzyła na mnie przerażona.

- Ruszaj się! - Trąciłem ją mocno w ramię.

Ściągnęła buty i pobiegła, ja w ślad za nią. Trzeba przyznać, że nawet w rajstopach szło jej całkiem dobrze. Byliśmy już blisko wylotu, kiedy usłyszałem warkot sedana.

Objechał budynek i był teraz przed nami. Reflektory zamieniły opar kłębiący się u końca uliczki w mleczną zawieszinę światła.

- Cholera! - krzyknąłem i pociągnąłem ją wstecz. Rzuciliśmy się z powrotem. Za nami opony zaplakały na zakręcie.

Usłyszałem trzask, świst kuli koło ucha, terkot kół na kostce. Cała uliczka pojaśniała.

Dobiegliśmy do platformy, wskoczyłem na nią, wciągnąłem za sobą DeeDee i potoczyliśmy się aż pod metalowe drzwi.



Kierowca, który trzymał się naszej strony, zobaczył rampę zbyt późno. Metal zazgrzytał o drewno; odpadł przedni reflektor i kawałek zderzaka. Odepchnięty sedan ślizgał się po kamieniach i wyrznął tyłem w przeciwną ścianę, aż posypały się iskry.

Ale facet był niezłomny. Kolejne trzy pociski walnęły w drzwi za nami.

Tak się niestety składa, że jestem dosyć kiepskim strzelcem. Jednakże mój .357 naładowany był fosforyzującymi nabojami; podniosłem ciężki rewolwer, podtrzymałem dłoń i zrównawszy mały szary guziczek na końcu lufy z nacięciem na kolbie, zacząłem strzelać, mierząc w twarz widoczną w tylnej szybie. Szkło rozprysło się pod uderzeniem pocisków.

Nie rezygnowali. Sedan stanął i mogłem posłyszeć, jak kierowca walczy ze wstecznym biegiem. Zanim jednak uporał się z drążkiem, na drugim końcu uliczki rozległa się eksplozja, a po niej dwie następne. Dwa pociski rozwalily resztki tylnej szyby, trzeci ugodził w tył maski, cał nad zbiornikiem benzyny.

Z oddali dobiegł mnie głos Czerwia:

- W opony!

Kolejny wystrzał i iskry posypały się z kostki, ledwie o milimetry od celu.

Gardłowy, znajomy głos, zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

- W porządku - powiedziałem do DeeDee. - To Czerw. Już po strachu.

Wymierzyłem raz jeszcze i posłałem dwie kule w lewe tylne koło. Opona wystrzeliła jak ręczny granat. Kierowca wrzucił bieg i wóz skoczył do przodu, sflaczała opona zsuwała się z koła i stalowa obręcz zawodziła po kamieniach. Osłona koła odleciała i z brzękiem uderzyła o mur.

Zdewastowany sedan wpadł na pojemniki na śmiecie, wypchnął je na placzyk, zazgrzytał na zakręcie i zniknął we mgle.

Obróciłem się do DeeDee, która skuliła się pod metalowymi drzwiami. Jej oczy były jak dwa księżycy w pełni.

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

Patrzyła na mnie przez kilka sekund, a potem gwałtownie pokiwała głową.

- Masz pamięć do liczb?
- Ppracuję w bbbanku - wyjąkała.
- B-G-O-3-9-6.

Powtórzyła.

- To rejestracja?

Przytaknąłem.

W chwilę później nadbiegł Czerw ze swoim .357 w dłoni.

- Nic się wam nie stało? - zapytał, z trudem łapiąc oddech.

Objąłem go ramieniem.

- Nic i cholerrmie się cieszę, że cię widzę - powiedziałem, przyciskając go mocno do piersi. - Skąd się tu wziąłeś, u licha?

- Jak wyjeżdżaliśmy, pod latarnią stał jakiś facio - odparł Czerw. - Zatrzymaliśmy się więc na skraju parku na parę chwil, ot tak, na wszelki wypadek.

- Więc to tak - wyduła wargi Lark, która właśnie stanęła obok nas. - A ja myślałam, że to z miłości.

Czerw obdarzył ją swoim wariackim uśmiechem.

- Jedno i drugie, serce. Dwoilem się i troilem.
- Cokolwiek miałoby to znaczyć - powiedziała kwaśno.
- Znaczy przynajmniej tyle, że żyjemy - wpadłem jej w słowo. - Za co będziemy dozgonnie wdzięczni.
- Nienormowany czas pracy - oznajmił Czerw. - Dzięki temu jesteśmy ciągle w formie.

Pomogłem DeeDee zejść z rampy; z westchnieniem ciężko oparła się o mnie. Czulem na piersi łomot jej serca.

- Dobra - powiedział Czerw i ujął mnie pod ramię. - Pójdziemy razem. Szkop ma rację. Sam stajesz się niebezpieczny.

## 52. DEEDEE

DeeDee zaproponowała, żebyśmy pojechali do niej; chętnie się zgodziłem. Mieszkała o dziesięć minut drogi, w odrestaurowanej części miasta, niedaleko miejsca, gdzie kilka dni temu zginęli Della Norman i Tony Logeto.

- Nie powinniśmy o tym komuś zameldować? - zapytała po drodze.
- Ja jestem jednym z tych, którzy przyjmują meldunki - odrzekłem. -- Poza tym, rejestracja jest zapewne fałszywa. W tej chwili samochód spoczywa już w rzece albo na złomowisku. Nigdy więcej go nie zobaczymy.
- Strasznie dużo wiesz o tych wszystkich sprawach.
- To mój zawód.
- Myślałam, że zajmujesz się tylko dochodzeniami.
- Niektórym to napędza stracha.
- Napędza stracha! Niektórym! - wykrzyknęła. - Dobrze sobie.

Dom przycupnął pośród kosmatych dębów, dwustuletni budynek jeszcze sprzed rewolucji, starannie odnowiony, podobnie jak inne domy na tej ulicy. Zupełnie jakby się wchodziło w osiemnaste stulecie. Wnętrze, równie starodawne, przywodziło na myśl muzeum, pełne bibelotów, starych szkiców i map oraz antycznych mebli, równie stylowych, co niewygodnych.

- To było moje wiano - powiedziała. - Ojciec nie miał wiele, ale ten dom kupił za grosze, kiedy był zupełną ruiną. Sam go właściwie wyremontował, razem z Tonym, i trwało to strasznie długo.
- Tony mieszka tu z tobą?
- Czasami - padła niejasna odpowiedź.

Przez dziesięć, piętnaście minut gawędziliśmy o tym i owym, starając się zapomnieć o nieprzyjemnych wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. W końcu wziąłem od niej telefon Lark, ona zaś poszła zrobić kawę.

Lark podniosła słuchawkę po jakichś ośmiu sygnałach. Głos ciągle miękki, choć nie tak miły jak poprzednio.

- Halo? - odezwała się wyczekującym tonem.

- Przepraszam, że cię niepokoję - zacząłem - ale dostałem twój numer od DeeDee. Chciałbym zamienić kilka słów z Czerwiem, to bardzo ważne.

- Z kim?

- Z Mickeyem.

- Mogłeś poczekać jeszcze dwie minuty, dwie minuty.

- Ale rozmowa potrwa tylko trzydzieści sekund.

- Cholera. Czar prysł.

Po chwili Czerw wychrypiął swoje „halo”.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziałem - ale zapomniałem ci o czymś wspomnieć.

- Tak? - Był bardzo umiarkowanie zainteresowany.

- Zdążyłem przyjrzeć się facetowi, który strzelał. To Turk Nance.

- Tak cię to zdziwiło?

- Pomyślałem, że dobrze, jak będziesz wiedział.

- Śniadanie - warknął. - Spotkamy się u ciebie w hotelu o dziewiątej.

Weźmiemy trochę wałówki i pojedziemy zapolować.

- Coś brak ci tchu. Biegałeś?

- Odwał się, Kilmer.

*Klik.*

Wróciła DeeDee z kawą. Siedliśmy na ławach obciążonych cielecą skórą, przegrodzeni klonowym stołem.

- Dobra - odezwałem się. - Na czym to stanęliśmy?

Naląła do kawy śmietanki, zamieszała, pociągnęła łyk i dopiero wtedy odpowiedziała.

- Nie miałam znaku życia od Tony'ego od soboty. To do niego niepodobne, żeby się nie odzywał dłużej niż przez dwa dni.

- Może wyjechał z miasta.

- Powiedział, że wróci w niedzielę wieczorem, najpóźniej w poniedziałek rano.

- To raptem kilka dni zwłoki.

- Mam złe przeczucia, boję się, że stało się coś strasznego - powiedziała, a po chwili dodała: - Może lepiej, żebym zaczęła od początku.

- To na pewno nie zaszkodzi.

- Tony już wcześniej miał kłopoty.

- Tak?

- Trzy lata temu. Razem z przyjacielem, rybakiem, zostali złapani na przemyście marihuany.

- Ile jej było?

- Dużo. Dwieście czy trzysta funtów.

- To rzeczywiście sporo.

- Dostał wyrok od dwóch do pięciu lat. Byłoby gorzej, ale to była jego pierwsza wpadka.

- Ile posiedział?

- Prawie rok.

- Potem był już czysty?

- Czysty?

- Nie miał więcej kłopotów? Ruchem głowy potwierdziła, że nie.

- Po co to robił? Chodziło o coś więcej niż pieniądze? Przez moment bawiła się filizanką i zastanawiała nad odpowiedzią.

- Chciał czegoś, co było nie dla niego - odrzekła w końcu.

- Czegoś, czego nie można kupić za żadne skarby świata.

- Doe Findley?

- Raines.

- Racja. Raines. - Więc już wiesz?

- Niewiele więcej.

- Z Tony i Doe było tak samo, jak ze mną i z tobą, tyle że ty nigdy nie popatrzyłeś na mnie dłużej. Zawsze byłam dla ciebie tylko niezgrabną, brzydką dziewczynką.

- Pewnie nie wiesz - przerwałem jej - ale tak się składa, że zawsze trzymam się jednej kobiety.

- Nadal? - Delikatny wiraż, który wziąłem delikatnie.

- Nadal.

- Zawsze dobrze się upewnić. W każdym razie, Tony kochał się w Doe od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Nie obwiniam jej o to, co się stało. Harry Raines rozjeżdżał się po całym stanie, agitując na rzecz legalizacji hazardu. Była sama, a Tony był zawsze pod ręką. Tak się złożyło.

- Postanowił zatem zrobić szybki skok i wyrwać ją z tego wszystkiego.

- Nie, cała historia się skończyła, zanim zaczęły się jego kłopoty. Ale dla niego... Myślę, że jemu ciągle się wydaje, że gdyby miał ekstra samochód i konto w banku... Nie wiem... Może buntował się przeciw całemu temu układowi i chciał zdobyć to wszystko, czego nie miał. Nigdy o tym ze mną właściwie nie rozmawiał. Kiedy poszedł siedzieć, skwitował to tylko tak: dobrze, iż ojciec już tego nie zobaczył.

- I myślisz, że znowu się wplątał w dragi?

- Tego właśnie się boję. Wyjechał w sobotę rano. Byliśmy na kolacji w piątek wieczorem i powiedział, że ma do wykonania jakąś robotę, zupełnie bezpieczną. „Nie martw się”, uspokajał, „wróć na obiad w niedzielę”. Od tej pory nie dał znaku życia.

- Nie mówił, co to za robota?

Potrząsnęła głową.

- Nic mu się nie układało od roku. Chciałam mu jakoś pomóc, ale odmówił. Myślę, że był zdesperowany.

- Wspominał coś o narkotykach?

- Powiedział tylko tyle: „Potem nie będę już od nikogo gorszy”. Nic więcej.

- Pojechał samochodem?

Przytaknęła.

- Białym mustangiem, rocznik chyba 79, ale wygląda jak spod igły.

- Znasz numery?
- Zaraz poszukam.

Wstała, podeszła do mahoniowego biurka i zaczęła przerzucać leżące na nim papiery. Po chwili znalazła duplikat dowodu rejestracyjnego i podała mi dokument wraz z fotografią wyciągniętą z portfela. Na kolorowym zdjęciu zobaczyłem wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, przystojnego, choć może trochę zbyt cukierkowego, który wyglądał na trzydzieści lat i zbudowany był jak atleta. Siedział na brzegu basenu z nogami w wodzie.

- Teraz go sobie przypominam - mruknąłem.
- Pomyślałam, że może mógłbyś się rozejrzeć. Może ktoś widział coś albo słyszał. Nie chcę żadnego oficjalnego śledztwa. Rozumiesz mnie? - Było to bardziej błaganie niż prośba.

Skinąłem głową.

- Jasne, da się to zrobić. Jeszcze coś?
- Chciałabym być pewna, że on...

Nie dokończyła, plecy zaczęły jej drżeć. Usiadłem przy niej i objąłem ją ramieniem. Im bardziej usiłowała opanować drżenie, tym było gorzej.

- Jutro się rozejrzę - obiecałem, próbując ją uspokoić. - Nie martw się, wszystko jest na pewno w porządku. To dopiero pięć dni. Gdyby coś mu się przytrafiło, już byś o tym wiedziała.

Nie byłem wcale pewien swoich słów, ale zabrzmiały dobrze, a ona bardzo chciała uwierzyć. Nałożyły się na siebie dwa stresy: niepokój o brata i wspomnienie z uliczki. Delikatnie masowałem jej kark dwoma palcami, chcąc rozluźnić mięśnie na plecach. Po chwili odprężyła się, odwróciła do mnie i skulona przywarła do mej piersi.

Masowałem jej szyję, aż zdrętwiały mi palce, a ona opowiadała o rzeczach, które przywoływały przeszłość, choć pewnie dla każdego z nas w inny sposób.

- To śmieszne, co zapamiętałam o Doe z okresu szkolnego - mówiła, chichocząc. - Czy ty wiesz - ciągnęła takim tonem, jakby zdradzała jakiś wielki sekret - że bieliznę prasowały jej służące? To pewnie głupie

zapamiętać coś takiego. Ale kiedy o tym usłyszałam, pomyślałam, że tak właśnie powinno być. Tak traktuje się księżniczkę. Bo dla mnie była prawdziwą księżniczką. Jej ojciec był królem, żyła w zamku nad oceanem, i nigdy nie mogło się jej przydarzyć nic złego. Teraz wiem, że to nieprawda. Straciła Teddy'ego. - Na chwilę zamilkła, po czym dodała: - Straciła ciebie.

- To niedokładnie tak - sprzeciwiłem się. - Nie straciła mnie.

- Tak, tak - upierała się. - Straciła cię.

Nie kłóciłem się, nie było o co. Miała swój własny punkt widzenia.

- Marzyłam dawniej, że jestem Doe - mówiła dalej. - Jak mieliśmy piknik, Doe zawsze nosła flagę, a reszta uprzątała śmiecie. Tak to było. Nigdy sama nie zabiegała o wyjątkowe traktowanie, po prostu przydarzały się jej same dobre rzeczy. Myślę, że zawsze tak jest z bogaczami.

Powiedziała to ze smutkiem. Ale bez odrobiny złośliwości w głosie, jak gdyby wyraziła niepodważalną prawdę. Może i jest to niepodważalna prawda, ale tylko do chwili, gdy życie nieuchronnie wymierza sprawiedliwość, także bogaczom. Przez chwilę chciałem jej opowiedzieć, co stało się naprawdę z Teddym, ale zrezygnowałem z niszczenia pięknej mydlanej bańki. Sterowała chyba swoimi wspomnieniami. Może właśnie dlatego powracała do nich z taką niewinnością i bez trwogi. Poznała już różnicę między marzeniami a wspomnieniami.

Zaczęła drzemać w tej pozycji. Tak przyjemnie było czuć ją tuż przy sobie, tulącą się ufnie do mojej piersi. Pomyślałem, że poczekam jeszcze parę minut, by się upewnić, iż zasnęła na dobre. Oparłem się wygodnie i zacząłem myśleć o Tonym i DeeDee Lukatisach, wciąż spoglądających na życie jak przez szybką wystawową; byli zawsze dostatecznie blisko, by móc poczuć jego aromat, nigdy na tyle, by go móc posmakować. Myślałem o Tonym Lukatisie, który usiłował urzeczywistnić swój sen i wylądował w



więzieniu, i o DeeDee, która ze swoim szkolnym snem nie rozstawała się przez wszystkie te lata. W końcu zasnąłem, uświadomiwszy sobie, że ostatecznie my wszyscy troje, DeeDee. Tony i ja, nie różnimy się zbytnio od siebie.

I znowu nawiedził mnie stary sen, ale tym razem to Tony Lukatis biegł wzdłuż grani.

## 53. LOTERIA

Obudził mnie delikatny blask słoneczny, sączący się przez muślinowe firanki, oraz zapach świeżo zmielonej kawy. W nocy DeeDee podłożyła mi poduszkę pod głowę i przykryła kocem, mimo to czułem się jak z krzyża zdjęty.

Miała na sobie prostą czarną sukienkę, a długie włosy zebrała w kok na tyle głowy; cóż za kontrast z wczorajszym wieczorem. Tak czy inaczej, wyglądała zabójczo. Postawiła przede mną tacę z sokiem pomarańczowym, grzanką i kawą.

- Dziękuję - powiedziałem. - Która już jest?

- Trochę po ósmej. To ci doda sił, żebyś mógł wrócić do hotelu i wziąć prysznic przed spotkaniem z... jak on się nazywa?

- Mickey Parver, ale wszyscy mówią na niego Czerw. Nie pytaj dlaczego, dla mnie za wcześnie na rozmowę.

Sok był lodowato zimny, kawa gorąca i mocna, a grzanka pięknie wypieczona. Pożerałem ją z wilczym apetytem, podczas kiedy DeeDee przyglądała mi się z tamtej strony stołu, popijając swoją drugą już dzisiaj kawę.

- Chciałam ci podziękować za wczorajszą noc - odezwała się z wyraźnym zakłopotaniem w głosie.

- Za co, za to, że omal cię nie zabito?

- Myślę o tym, co było potem. Po raz pierwszy od wielu dni tak łatwo

zasnęłam. I dziękuję... że wysłuchałeś tych moich bzdur.

- Pilnuj się - roześmiałem się przyjaźnie. - Twoje zahamowania znowu dają o sobie znać.

- Gdybym tylko wiedziała, jak mogę ci się zrewanżować.

Cóż za niepowtarzalna okazja. Nadeszła pora, by znowu przedzierzgnąć się w glinę. Wypiłem jeszcze trochę kawy. Niełatwo było zacząć.

- Może to nie byłoby takie trudne - odezwałem się w końcu.

Moja odpowiedź najwyraźniej ją ucieszyła.

- Naprawdę? - wykrzyknęła. - No więc jak? Zrobię wszystko!

Znowu pociągnąłem łyk, starając się jak najlepiej dobrać słowa, ale nic mi nie wychodziło. Cokolwiek wymyśliłem, zaraz wydawało mi się okropne.

- Może powinnaś się nad tym zastanowić - stwierdziłem.

- Nad czym?

- Nad tym, o co mogę cię prosić.

Uśmiech zaczął gasnąć na jej twarzy.

- Znasz faceta o nazwisku Cohen, który ma konto u Seaborna? - zapytałem.

- Tak. Nie osobiście, ale jako klienta.

- Czy często się pojawia?

- Prawie każdego dnia. Dlaczego pytasz?

- Czy ty prowadzisz jego konto?

Potrząsnęła głową jak szczeniak, kiedy usłyszy nieprzyjemny dźwięk.

- Nie - odrzekła. - Konto prowadzi sam pan Seaborn.

Miałem ich. Znali się. Serce żywiej mi zabiło, choć ciągle nie był to żaden dowód.

- Czy to normalne? Często się zdarza, że prezes banku sam prowadzi konto jakiegoś klienta?

- Tak jest z kilkoma poważnymi klientami, na wyraźne życzenie klientów. O co chodzi, Jake?

- Potrzeba mi paru informacji - odparłem. - Przyrzekam wszystko

zachować w sekrecie. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że ktoś mógłby się dowiedzieć, jak te informacje wydostały się na zewnątrz. To, co mi powiesz, posłuży mi do uzyskania pewnych istotniejszych wiadomości...

Pokręciła głową, wyraźnie zafrasowana.

- Cóż to takiego? Czego chcesz się dowiedzieć? - zapytała tonem o wiele bardziej urzędowym.

- Chcę znać numer wejściowy komputera bankowego oraz numer albo numery kont Cohena.

Zaszokowało ją to. Przez pełne dwie minuty wpatrywała się we mnie szeroko rozwartymi oczyma. Potem opuściła wzrok na podłogę.

- Więc to tak - szepnęła. - Obydwoje mieliśmy interes.

Trudno było zaprzeczyć. Miała rację.

- Jeśli wiąże się z tym jakieś ryzyko... - zacząłem, ale pod jej spojrzeniem dalsze słowa uwięzły mi w gardle.

- Czy podawanie takich informacji nie jest przestępstwem? - zapytała.

- Tylko jeśli cię złapią.

- Wydaje mi się, że ktoś tak kiedyś powiedział Tony'emu.

Gotów byłem z pokorą wysłuchać wszystkiego, co będzie miała do powiedzenia na mój temat. Podłością było o to prosić, podłością było stawiać ją w takiej sytuacji. Gdyby nie jej troska o Tony'ego oraz moja obietnica pomocy, nie mógłbym nawet pisać słowa na ten temat. Wszystkie te myśli błyskawicznie przemknęły mi przez głowę.

- Słuchaj - powiedziałem - jeśli mi nie wierzysz, zapomnijmy o wszystkim. Tak czy inaczej rozpytam się o Tony'ego i dowiem wszystkiego, co będzie możliwe.

- Dzięki przynajmniej za to - odparła, nadal wpatrując się w podłogę.

Spróbowałem trochę ją nacisnąć.

- Są przepisy prawne, które pozwalają pozbyć się pewnych ludzi, tych, którzy na to sobie zasłużyli. Można to zrobić, jeśli uda się dowieść, że zarobili

pieniądze nielegalnie. Jestem przekonany, że Cohen jest skarbnikiem mafii. To oni próbowali nas zabić ubiegłej nocy.

Podniosła szybko wzrok; ciekawość wzięła górę nad przygnębieniem.

- To nie pierwszy raz usiłują mnie sprzątnąć - ciągnąłem. - Jako pamiątkę po pierwszej próbie noszę dziurę w boku.

Wpatrywała się we mnie bez słowa.

- Chcesz posłuchać, jak zdobywają forszę? Albo co robią z ludźmi, którzy stają im na drodze?

- Coś niecoś zobaczyłam wczoraj wieczorem - odrzekła. Wstała i zabrała tacę do kuchni. Kiedy wróciła, powiedziała: - Chodź, odwiozę cię do hotelu.

Nie dodała nic więcej, pozbierała swoje rzeczy, a gdyśmy już wyszli, sprawdziła, czy dobrze zamknęła drzwi. Para normalnych ludzi ruszających do codziennej harówki. Za dnia uliczka była jakby żywcem wyjęta z pod ręcznika historii osiemnastego wieku. Zupełnie bym się nie dziwił, gdyby przebiegł koło nas Benjamin Franklin z latawcem lub gdybyśmy zobaczyli na rogu przemawiającego Thomasa Paine'a. Wydawało się czymś zupełnie niewiarygodnym, że kilka przecznic dalej jest Front Street.

W drodze do „Ponce” DeeDee nie odezwała się do mnie ani słowem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, odwróciła ku mnie twarz pełną zgrzyoty i niepokoju.

- Wiem, jak się z tobą skontaktować - powiedziała. - Zadzwoń, nawet jeśli nie miałabym dla ciebie niczego konkretnego.

Zacząłem wysiadać z wozu.

- Jake?

- Tak?

Milczała przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

- Nie mogę tego zrobić. Wiele zawdzięczam Charlesowi Seabornowi, a to, o co prosisz, wydaje mi się czymś trochę obraźliwym wobec niego. Kiedy Tony popadł w tarapaty, kilku dyrektorów banku nalegało na pana Seaborna, żeby mnie zwolnił. Uważali, że wymaga tego dobre imię firmy. Nie

zgodził się; nigdy zresztą nie wspomniał o tym ani też nigdy nie prosił o nic, co wykraczałoby poza moje obowiązki. Przez kilka miesięcy nawet nie wiedziałam, co mi groziło. Dopiero potem doszło to do Lark i ona mi powiedziała. Przykro mi, ale to, o co prosisz... To tak, jakbym mu wyrządziła osobistą krzywdę...

- Mój błąd - powiedziałam. - Nie powinienem był w ogóle prosić.

- A ja się cieszę, że poprosiłeś. Że zaufałeś mi na tyle. Po prostu przykro mi tylko, że nie mogę.

- Lojalność to rzadka dzisiaj cecha - westchnąłem - więc nie masz za co przepraszać. Odezwę się do ciebie.

- Jeszcze raz dzięki - mruknęła, kiedy wysiadałem z wozu. Popatrzyłem, jak odjeżdża, i wszedłem do hotelu. Czerw siedział w hallu i czytał poranną gazetę.

- Okropna godzina na powrót do domu - oznajmił gderliwie. - Co sobie pomyślał twój sąsiadzi?

- Wiesz, co mi mogą zrobić sąsiedzi - odpowiedziałem nieco opryskliwie.

- Mhm. Wstałeś dzisiaj lewą nogą?

- W tym rzecz.

Zajrzałem mu w oczy i zaproponowałem, byśmy dla oszczędzenia czasu zjedli śniadanie u mnie w pokoju.

- Muszę wziąć prysznic - burknąłem.

Poszliśmy do pokoju i zamówiłem coś do jedzenia; grzanka i kawa u DeeDee to było dla mnie zdecydowanie za mało. Zadzwoiłem do Szkopa i pokrótce zreferowałem mu wydarzenia wieczorne, nie chcąc, by dowiadywał się o nich od kogoś innego. W rozgardiaszu pod kinem zapomniałem mu opowiedzieć o moim spotkaniu z Harrym Nesbitem, zacząłem więc od tego, a skończyłem na strzelaninie pod „Casablancą”.

Ta ostatnia wprawiła go we wściekłość.

- Zaraz każę Kite'owi, żeby zgarnął tego skurwysyna Nance'a.

- To nic nie da. Ma już na pewno tuzin ludzi, którzy pod przysięgą zeznają, że był w tym czasie w sześciu różnych miejscach.

- No to co, puścimy to płazem?

- Na razie - powiedziałem. - Kiedy już go dopadniemy, chcę, żeby to było bez pudła i na amen.

- Co chcesz zrobić z Nesbittem? - zainteresował się Szkop. - Trudno powiedzieć, by jego informacje o Nance'em były dokładne.

- Może Nance rzeczywiście wyleciał już z gry. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Costello czy Cohen zdecydowali się na tak kretyńskie zagranie.

- Czemu nie? - Szkop nie był przekonany. - Gdyby cię załatwił, mógłbyś zostać uznany za kolejną ofiarę.

- Przyrzekłem Nesbittowi i chcę tego dotrzymać - przerwałem. - Znajdziemy dwóch uczciwych gliniarzy, którzy przesznują go do Jax i oczekają, aż znajdzie się w samolocie?

- Zajmę się tym - obiecał Szkop. - Daj mi znać, jak zadzwoni do ciebie.

- Ja i Czerw pracujemy nad czymś jeszcze innym. Odezwę się później.

Rozłączył się, a ja dałem Czerwiowi numery czarnego pontiaka. Kiedy brałem prysznic i goliłem się, on zadzwonił do drogówki.

Ślad był jeszcze gorący; tabliczkę skradziono na kilka godzin przed atakiem Nance'a i jego kumpli.

- Kurwa mać - warknąłem. - Dzień się tak zaczyna, że może lepiej poszedłbym do łóżka i zaczął wszystko od nowa.

Pojawił się ze śniadaniem chłopiec hotelowy mający najwyżej piętnaście lat. Zadzwonił telefon; usiłowałem naraz rozmawiać, jeść i się ubierać.

- Dzień dobry, kochanie - głos Doe był miękki i zaspany. - Późno położyłeś się spać?

Popatrzyłem na Czerwia zatopionego w lekturze gazety, polem obróciłem się do niego plecami i obniżyłem głos o oktawę.

- Tak - odparłem. - Bardzo późno. Wiele się wydarzyło.

- Myślałam o tobie i w dzień, i w nocy.
  - Ja także - mruknąłem.
  - To była dla mnie męczarnia, spać następnej nocy z Harrym.
  - Rozumiem cię - stwierdziłem.
  - Jesteś jeszcze pod koldrą? Ledwie cię słyszę.
  - Kumpel je ze mną śniadanie - powiedziałem niemal szeptem.
  - A, rozumiem - mruknęła. - Dobrze, już ci nie przeszkadzam. Chciałam tylko usłyszeć twój kochany głos, zanim wstanę. Będę teraz jeszcze leżeć i marzyć o tobie. Proszę, musimy to jak najprędzej powtórzyć. Boże, jak ja tęsknię za tobą.
  - To... to dobrze - powiedziałem niezręcznie.
- Zaśmiała się.
- Ale to głupio brzmi. Słuchaj, przez cały tydzień, może dłużej, będę nocowała w Windsong, a Harry będzie pracował po nocach w naszym domu w mieście. Pojadę tam zaraz po przyjęciu.
  - Jakim przyjęciu?
  - Cocktail party Babs, ty głuptasie. Jeśli się nie zjawisz, zabije cię, chyba że ja to zrobię pierwsza. Do zobaczenia o szóstej. Jake, dziękuję, że wróciłeś. Kocham cię, najdroższy.
  - Mm, eee... ja także.
- Odłożyła słuchawkę.
- Wróciłem do ubierania się. Dopiero po jakiejś minucie Czerw odezwał się, nie odrywając oczu od gazety:
- Rzeczywiście kiepsko z tobą. Nie potrafisz już nawet rozmawiać z kobietą. - I zanim zdążyłem zaprotestować, wyciągnął rękę w obronnym geście: - Proszę, nie wciskaj mi kitu, że to był twój agent ubezpieczeniowy.
  - A właśnie, że tak - powiedziałem tonem zirytowanym i kpiącym razem. - Mój agent ubezpieczeniowy.
  - Chciałaby cię zjeść do ostatniej kosteczki, nie? Zawsze tak jest następnego ranka.
  - Dla ciebie to zawsze ta sama płyta? A może, o coś innego?
  - Na pewno coś innego, oczywiście! Jej stary ma w kieszeni całe miasto,

jej mąż rządzi całym miastem, ty chciałbyś go wpakować do kicia, jak już, nie będzie za co innego, to za morderstwo. I ty mi mówisz: „coś innego”. Stwierdzenie roku!

- Będzie to problemem tylko wtedy, kiedy ja z tego zrobię problem.

- Bracie, ty już z tego zrobiłeś problem. Co ty, do cholery, nazwałbyś problemem, jeśli nie to?

- Dunetown. To prawdziwy problem.

Skończyłem się ubierać i przelknąłem kolejną grzanekę.

- Dobra - przyznałem - to jest problem. Jest naprawdę zepsuta. Nie mogłem wygnać jej z pamięci przez dwadzieścia lat. Przez cały czas wierzyłem, że była czymś najlepszym, co mnie spotkało w życiu. Chciałem spróbować jeszcze raz. Trzymam się ciągle tego, co mogło być, a nie tego, co naprawdę jest.

- Nie ty jeden - odezwał się Czerw z nieoczekiwaną goryczą. Nastąpiła kolejna pauza, po której dodał: - Ale o czymś chyba nie wspomniałeś. O cenie, którą musisz zapłacić. A może nie troszczysz się o to?

- Nie znam ceny. W tym cały kłopot.

- I ja nie wiem, jaka może być. - Pokiwał głową Czerw. - Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Ponura czynność: zagłębiać się w to, co mogło być się zdarzyć. Komu jednak miałem zaufać, jeśli nie Czerwiowi? Nagle zorientowałem się, że mówię mu o wszystkim, począwszy od, dnia, kiedy zamieszkaliśmy z Teddym w jednym pokoju na kampusie, a kończąc na kopniaku, którego otrzymałem od Chiefa. Niczego nie ukrywałem, odsłoniłem serce i duszę, gniew, ból, wszystkie uczucia, które odżyły, kiedy wróciłem do Dunetown.

- Chryste Panie, bracie, przecież oni wypieprzyli cię na cacy - brzmiał jego komentarz.

- Nigdy się do tego przed sobą nie przyznałem. Patrzę na Rainesa i myślę: „To mógłbym być ja”. Patrzę na Donleavy'ego i myślę: „Gdyby Teddy żył, to mógłbym być ja”. Ile razy wspominam przeszłość, czuję tego kopniaka.



- Należysz do tych, co nie potrafią zachować dystansu - powiedział Czerw. - Taką już masz naturę. Ale trwa to tak długo, że nawet już tego nie dostrzegasz - boisz się chwytać szansę. Tak było w Namie: bałeś się zbliżyć do faceta obok, bo wiedziałeś, że za godzinę może go już nie być. To najlepszy sposób, żeby uniknąć później poczucia winy: trzymać dystans. Do siebie, do innych.

- Do tego wszystko się sprowadza, Czerw? Poczucie winy?

- Już ci kiedyś mówiłem; zawsze cię w końcu dopada. To ono nie daje ci teraz spokoju. Czujesz się winny z powodu dziewczyny, czujesz się winny, bo chciałbyś coś znaleźć na jej męża, czujesz się winny, bo tracisz obiektywizm, winny z powodu jej brata. O co chodzi z Teddym? Ciągłe krążysz wokół tego. Stale o nim mówisz, ale coś pomijasz.

I w końcu opowiedziałem mu prawdziwą historię. Z nim było łatwiej; był tam, poznał to szaleństwo, wiedział, jak tam rzeczy wyglądały.

Bywały dni, kiedy czas łagodził nieco wspomnienie tego wieczoru, ale zdarzało się to nieczęsto. Ciągłe jeszcze tkwiło gdzieś we mnie wiele obrazów, ale ten jeden był najżywszy ze wszystkich. Trójwymiarowa zmora nocna, nieodstępująca mnie jak wspomnienia o Doe. Tak naprawdę Teddy Findley nie zginął na polu bitwy ani w jego pobliżu. Chociaż mógł tak polec. Znowu to samo: co mogłoby być. Dla mnie i Teddy'ego naprawdę trudny czas zaczął się w Wietnamie dopiero na parę tygodni przed regulaminowym terminem powrotu do Świata. Dopiero od ofensywy Tet, kiedy ziemia zaczęła się nam trząść pod nogami. Setki ataków powstańczych naraz. Czyste szaleństwo. Wciągnęli nas na swoje tereny i dopiero wtedy poznaliśmy prawdziwy Wietnam. Przetrwaliśmy to tak, jak można było przetrwać, i wróciliśmy do Sajgonu. Teddy był trochę rozkojarzony. Zaliczał tajlandzkie dziewczyny i przez cały czas chodził pijany. Zaczął mówić o białych kapeluszach i czarnych kapeluszach.

- Nareszcie zrozumiałem, jak to jest z tą wojną, Junior - obwieścił mi

któregoś wieczoru. - Kapujesz, zawsze dotąd byliśmy białymi kapelusza-  
mi. Byliśmy uważani za porządných facetów. Ale tutaj nikt jeszcze nie usta-  
lił, jacy jesteście. Białe kapelusze czy czarne kapelusze? - I dodał głosem  
wróżki z *Czarodzieja z krainy Oz*: „Jesteś dobrą wiedźmą czy złą wiedź-  
mą?” W Sajgonie była taka wojskowa dzielnica. Nazywali ją Dodge City.  
bo wszystkim zarządzał major o nazwisku Dillon. Wyglądało to zresztą  
jak Dodge City: raj dla rozrabiaków, miejsce, gdzie można się było tro-  
chę wyszumieć: dobrych kilka ulic z burdelami i barami, kontrolowanymi  
przez wojsko dla naszego bezpieczeństwa. Ale żandarmi nie mogli być  
wszędzie naraz i czasem robiło się gorąco. Któregoś wieczoru upaliliśmy  
się tak, że nienawykłego mogłoby to przyprawić o paraliż, pojechaliśmy do  
Dodge i wylądowaliśmy w burdelu. Normalny barak poprzedzielany ścian-  
kami. Wszędzie dokoła słychać było uwijających się żołnierzyków.

- Weźmy sobie pięć albo sześć - powiedział Teddy. - Zabawimy się  
trochę. - Nie zgodziłem się. Nie byłem aż tak najarany, a poza tym tkwiły  
we mnie jeszcze jakieś resztki katolicyzmu. On zatem wszedł za jedną  
ściankę, ja za następną. Zaczął nabijać się ze mnie, zupełnie jakbyśmy byli  
w jednym pokoju.

- Jak tam gra wstępna, Junior?

- Zamknij się!

- Co, jakieś problemy?

- Odwal się, Teddy!

Zaczął się śmiać, ale śmiech przeszedł w krzyk, a krzyk w zduszony  
bełkot, jakby się topił. Wyskoczyłem z łóżka i staranowałem przepierze-  
nie.

Dziewczyna już znikła. Był to dosyć częsty numer. Kiedy zabrała się do  
całowania go, trzymała między zębami przelamaną żyletkę, odcięła mu ję-  
zyk, a kiedy zaczął się dusić własną krwią, rozplątała mu gardło. Umarł w  
moich ramionach, zanim zdążyłem zawołać o pomoc. Nie pamiętam, jak

wyglądała dziewczyna, tym co pamiętam, było straszne uczucie, że równie dobrze mogłem to być ja.

- Wiedziałem, czym by to było dla Doe i Chiefa Findleya, gdyby się dowiedzieli, jak naprawdę zginął Teddy - kończyłem swoją opowieść. - Sfałszowałem raporty; teraz, według nich Teddy zginął w akcji, sfałszowałem też rekomendację do Srebrnej Gwiazdy i Purpurowego Serca. Kapitan nawet nie mrugnął okiem. Zupełnie jakby nic nie zauważył. Potem napisałem list, że Teddy poległ w walce, że śmierć przyszła szybko i że nie cierpiał.

Teraz jednak nie wiem, co było gorsze, śmierć Teddy'ego czy kłamstwo. Wszystko ostatecznie sprowadziło się do kurewskiego kawałka papieru.

Czerw siedział długo w milczeniu, zaciągając się papierosem i wpatrując w swoje buty. Nie, żeby był zaszokowany; to była normalka, kolejny dzień w rajku.

Wreszcie potrzęsął głową.

- Bracie, ty naprawdę wykreśliłeś tutaj numer, wiesz? Jaki jest ostateczny efekt? Nakłamałeś i dzięki temu zrobiłeś z faceta bohatera. Niezła, kurwa mać, transakcja.

- Chodziło o to, żeby wszystko wyglądało poważniej. Wietnam nie powinien sprowadzić się do historii z burdelu.

- Wietnam był jednym wielkim kurewstwem. To jak blizna na brzuchu: chowasz ją i zapominasz o niej, a nie malujesz na czerwono, biało czy niebiesko. Kilmer, przyjacielu, ty jesteś jak chaber, czekający na kosę, jak kaczka, czekająca na szakala. Posłuchaj, co ci powiem: zapomnij, że było jakieś kłamstwo. Trzymaj się swojej historii, nikt nie chce znać prawdy. Słuchaj, bracie, pieprz wszystkie skrupuły, idź na całość. Może to twoja ostatnia szansa.

Zapalił papierosa i powrócił do swojej gazety. Po chwili dorzucił zza papierowej płachty:

- Wciągnij tylko w sprawę starego, on już wszystko za ciebie załatwi.

- Nie mów takich gównien.

Cisnął papierosa na ziemię i wpił się we mnie roziskrzonymi oczyma.

- Mówię zupełnie szczerze. Najlepsze dla ciebie rozwiązanie, to wykazać, że Raines stoi za tymi wszystkimi morderstwami, a wykonawcą jest Nance. Masz ich obu w jednym saku. Wyrównujesz rachunki i bierzesz dziewczynę. Wspaniałe zakończenie.

- Nieprawdopodobne - powiedziałem. - Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Wiesz przynajmniej, jaka jest cena.

- Tak, zwyyczajny interes - wycodziłem, a w moim głosie sporo było zjadliwości.

- Jeśli to taki interes jak wczoraj - wzruszył ramionami Czerw - zawsze możesz na mnie liczyć. - Było jasne, że powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia na temat moich osobistych spraw.

- Dzięki, że oszczędziłeś mi opowieści o swoich wczorajszych podbojach - powiedziałem.

- Wracając do interesów, mam coś dla ciebie. Zajmijmy się naszym problemem numer jeden. Nie lubię się chwalić, ale byłem w Magazynie już 80 lat. Mam wiadomości dobre, złe i nijakie.

- Zaczynaj od dobrych.

- Dobra wiadomość: Kite dopadł w końcu Nance'a. Zła to ta, że nastąpiło to dopiero o trzeciej nad ranem. W przeciwnym razie Kite byłby może świadkiem twoich wyczynów nad rzeką.

- Dobrze byłoby wiedzieć, co Nance robił przez ostatnie dwa dni - powiedziałem.

- Kite nad tym pracuje. Jednouchy ma trochę informacji o tym, kto co posiada w mieście, a Cowboy Lewis depcze dziś po piętach Cohenowi. A ty właściwie czemu zaczynasz dzień tak leniwie? Jedynym wytłumaczeniem jest to, że głowę masz dziś źle przykręconą.

- Po pierwsze, byłem nieprzyjemny wobec niesłychanie miłej damy.

- Dałeś jej kosza?

- Gorzej, poprosiłem, żeby złamała prawo.
- Tylko tyle? Morderstwo, napad na bank czy coś innego?
- Kod komputera bankowego i numery kont Cohena.

Nawet brew mu nie drgnęła. Pewnie zachowałby się dokładnie tak samo, gdybym mu powiedział, że poprosiłem o szklanę wody.

- Zrobi to?

Potrząsałem głową.

- Ta dama ma mocniejszy kręgosłup moralny ode mnie.

- Lark na szczęście nie ma takich skrupułów - oznajmił Czerw ze swoim niesłychanym uśmiechem. - To jest następna dobra wiadomość - powiedział, wyciągnął z kieszonki koszuli skrawek papieru i podał mi ponad stółkiem. Na karteczce były wypisane dwa numery; pod drugim Lark narysowała uśmiechniętą twarz.

- Czy to oznaczenie kodowe komputera bankowego? - zapytałem.
- Tak i numer rachunku Taglianiego.
- Niesłychane. Jesteś pewien, że numery są w porządku?
- Ja ufam damom.
- Niezłą pamięć ma ta dama - zauważyłem.
- Nie tylko to. Zgadnij, kto obsługuje komputer w banku?
- Żartujesz!

- Dostała dyplom magistra matematyki i nauk komputerowych na Emory University. Cholera, może się zakochałem. Wydaje się, że ma same zalety; do diabła, zacząłem nawet myśleć o wcześniejszej emeryturze.

Byłem zaskoczony, ale jeszcze bardziej zdumiało mnie to, że poprosił o numery.

- Skąd wiedziałeś, że zależy mi na tych danych?

- Lark opowiedziała mi, że wybrała się do „Casablanki” na spotkanie z DeeDee, pomyślałem więc sobie, że musisz czegoś od niej potrzebować. Nietrudno było zgadnąć czego. Kurczę, uwierzysz, że jak dodam dwa do dwóch, to najczęściej wychodzi mi cztery?

- Teraz, kiedy już je mam, nie bardzo wiem, co z nimi zrobić - powiedziałem.

- Zapominasz, że po przejściu do Figi pół roku spędziłem przy komputerach? Dobrze wiem, co zrobić.

- Czy za pomocą tego kodu możesz włamać się do bazy danych banku?

- Mogę włamać się, gdziekolwiek sobie zażyczysz - powiedział, krzywiąc się zabawnie. - Nie pamiętasz, że jestem magiem?

Dłonie spotniały mi na samą myśl, do czego możemy się teraz dokopać. Po raz pierwszy od momentu przyjazdu do Dunetown poczułem, że jesteśmy bliscy zdobycia czegoś naprawdę ważnego. Nasze informacje nie mogły być wykorzystane na sali sądowej, ale mogły nas doprowadzić wprost do źródeł zła.

- Możesz mi powiedzieć konkretnie, o co ci chodzi? - zapytał Czerw.

- Nie wiem na pewno, jestem jednak przekonany, że Cohen jest inkasentem i prowadzi interesy tylko z bankiem Seaborna. Powiedziała mi o tym Deede. Bank służy im do prania pieniędzy. Powinniśmy się czegoś dowiedzieć o tym z konta.

- Zgoda co do Cohena. Lark mówi, że niemal każdego dnia dokonuje dużych wpłat.

- Wie, jak dużych?

- Nie, ale któregoś dnia z czystej ciekawości sprawdziła kwit i była na nim liczba sześciocyfrowa.

- Cooo! O kurczę, Czerw, wpadliśmy na coś. Tym razem już ich chyba dopadniemy.

Zagwizdałem przez zęby, a potem zaśmiewając się, zaczęliśmy się klepać po plecach i zachowywać jak para uczniów. Jeśli Lark się nie myliła, każdego tygodnia Cohen mógł przeprowadzić przez rachunek Taglianich pół miliona dolarów i więcej.

- Musi być jakaś przykrywka - powiedział jeszcze Czerw.

- Takie sumy przyciągają uwagę Leprozorium jak petunia kolibra.

- Z tego wynika - zauważyłem - że także Seaborn jest zamieszany.
- Zamierzasz zapolować?
- Aha. Teraz chodzi mi o jakieś hollywoodzkie pudełko, coś, skąd mogą podejmować forszę.
- Tak, żeby chłopcy od podatków nie mogli się przyczepić? - zapytał Czerw.
- Właśnie.
- Wszystko było przecież na pewno sprawdzane przez naszych fachowców.
- No cóż - odparłem - zawsze jest ktoś, kto uważa, że ma najlepszą na świecie pułapkę na myszy.

## 54. SZCZĄTKI

Szkop wpadł na pewien pomysł.

Kiedy przyjechaliśmy do Magazynu, siedział z nogami na biurku, wpatrzony w dwie dziury, które zrobił w suficie poprzedniego wieczoru.

- Czytaliście to? - zapytał.

Na siódmej stronie znajdował się artykuł zakreślony długopisem, zatytułowany:

### MEŹCZYZNA PRAWDOPODOBNIĘ OFIARĄ KATASTROFY STATKU

Korespondent z Jacksonville donosił, że ubiegłej nocy dwadzieścia mil na północ od ośrodka wypoczynkowego znaleziono ciało niezidentyfikowanego białego mężczyzny. Miejscowa policja nie wykluczała, że mógł znajdować się na pokładzie trawlera, który jak przypuszczano, spłonął na morzu trzy dni wcześniej. Wypalony wrak dryfował wzdłuż wybrzeża przez

dwa dni. Obok wzmianki o planowanej sekcji zwłok nie było żadnych dalszych informacji. Cała notatka miała trzy cale długości.

- Mało nam własnych kłopotów? - zapytał Czerw.

- Rozmawiałem już z miejscowymi chłopakami - oznajmił Szkop.

- W przeciwieństwie do nas - domyślił się Czerw.

- I mam pomysł - powiedział Morehead najwidoczniej bardzo dumny z siebie.

- O kurwa - mruknął Czerw. - Jaki pomysł?

- Straż Przybrzeżna po zbadaniu szczątków wraka ustaliła nazwę statku. Dziewięć dni wcześniej wypłynął z Maracaibo z czteroosobową załogą. Maracaibo jest o międzę od Kolumbii, a Kolumbia znaczy dla mnie kokaina. Od poniedziałku poznajdowano dalsze szczątki. Dziś rano wypłynął kolejny umarłak, tym razem czarny. Obaj nafaszerowani są kulami, Jake. Dwudziestkadwójka.

- Co to ma wspólnego...

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Naszywki na koszulce i spodniach Murzyna świadczą, że był z Dunetown. Spodnie na miarę, koszulka za dwadzieścia dolców, buty za ćwierć stowy. I jeszcze jedno: miał bliznę, stąd dotąd. - Kciukiem pociągnął linię od ucha do ust.

- Niech to diabli! - wykrzyknął Czerw. - Zszywany Harper?

- Wszystko pasuje do niego jak ulał. Miał też pustą kaburę na pasku - ciągnął Szkop. - Teraz nasuwa się pytanie: jaki inny żeglarz tak się ubiera i nosi w ten sposób spluwę?

- Kto to taki Zszywany Harper? - zagadnąłem.

- Jeden z głównych pomocników Długonosego Gravesa.

- Jeśli to rzeczywiście Zszywany Harper - mówił z ożywieniem Szkop - to łatwo już odtworzyć cały scenariusz. Będziemy wiedzieć, czy to on, za godzinę. Mają nam przesłać teleksem zdjęcia obu ofiar.

- No, dobrze, to jak brzmi twoja teoria? - zapytałem.



Morehead przypuszczał, że Długonosy Graves przewoził statkiem ładunek kokainy z Kolumbii do Doomstown. Zwierzył się z tego Delii Norman, ta przekazała informację swemu nowemu kochankowi Tony'emu Logeto, a od niego z kolei dowiedziała się reszta rodziny. Gdzieś na wschód od Jacksonville Beach ktoś z Taglianich napadł na statek, zabił ludzi z załogi i podpalił trawler. Jeśli wszystko tak się właśnie potoczyło, było to pomysłowe uderzenie. Długonosy został pozbawiony dobrych kilku milionów dolarów, które zarobiłby na śniegu, a zarazem stracił twarz w oczach swoich ludzi.

- Dlatego myślę - kończył Szkop - że Długonosy wkroczył na ścieżkę wojenną. Jeśli dodamy do tego jego przyjaciółkę przyszpiloną w łóżku z Logeto, mamy pełny obraz rozwścieczonego gangstera.

Teoria miała wiele zalet i nie omieszkalem powiedzieć o tym Szkopowi. Gdyby istotnie miał rację, sprawcą napadu byłby najprawdopodobniej Turk Nance, co wyjaśniałoby jego nieobecność w ostatnich dniach.

- Moim zdaniem - powiedział Szkop - za wszystkimi tymi morderstwami stoi Costello albo Graves. Jak na razie tylko Graves miałyby oczywisty motyw.

- Ale nie ma tu dla nas żadnego punktu zaczepienia - zauważył Czerw.

Miał rację - to były tylko przypuszczenia i hipotezy. Postanowiłem odegrać rolę adwokata diabła.

- Przypuśćmy, że Costello jest naprawdę chciwy. Może postanowił usunąć wszystkich z wyjątkiem tych, którzy byli mu niezbędnie potrzebni, więc Tuna Chevosa, który kontroluje transport morski, Lou Cohena, czarodzieja finansowego, i Bronicaty, który pompuje narkotyki na ulicę. Może spotkali się i uzgodnili, że załatwią resztę rodziny, pozbawią wiarygodności Gravesa i dokonali podziału miasta na trzy części.

- To mniej prawdopodobne niż wersja z Gravesem w roli głównej - sprzeciwił się Szkop. - Walczy o życie i ma powód, żeby się mścić.

- Tak czy inaczej - wtrącił się Czerw - potrzebujemy tej koki. Bez niej wszystko jest tylko czystą spekulacją.

Wszyscy zgodziliśmy się co do jednego: jeśli wyłowiony Murzyn nie jest Zszywanym Harperem, cała teoria Szkopa nie warta była złamanego grosza. Postanowiliśmy odroczyć wszelkie dyskusje do chwili, gdy nadejdą zdjęcia.

Poszukałem tymczasem Jednouchego Charliego. Siedział w swoim pokoiku, odziany jak zwykle w nienaganny garnitur, z papierosem wynurzającym się z szykownej cygarniczki, i pisał na maszynie raport z szybkością stu dwudziestu słów na minutę.

- Tak ci to idzie, jakbyś zarabiał w ten sposób na chleb - powiedziałem.

- Moja matka była zwolenniczką wszechstronnej edukacji - odparł.

- Można cię prosić o małą przysługę? - zapytałem. - Chciałbym się czegoś dowiedzieć o Tonym Lukatisie, trzydzieści lat, ciemne włosy...

- Znam Lukatisa - przerwał mi Charlie. - Siedział w Małym Q. Szmulował kokę.

- To ten.

- Znowu ma kłopoty? - zapytał Jednouchy.

- Znam jego siostrę - wyjaśniłem. - Obawia się, że znowu mógł się w coś...

Przerwałem w pół zdania. Poczulem to znajome szczypanie w żołądku.

- O Boże - jęknąłem i pobiegłem do pokoju z teleksem, a Charlie w ślad za mną. Szkop siedział przy aparacie, przeglądając jakieś raporty.

- To żenujące - powiedział na nasz widok. - Gdyby przeczytał to ktoś z zewnątrz, przysiągłby, że Salvatore i Zapata to pólanalfabeci. - Dostrzegł wyraz mojej twarzy i zapytał: - Co się stało?

Podąłem mu zdjęcie Tony'ego Lukatisa.

- Znasz go? - zapytałem.

Spojrzał na fotografię i powiedział:

- Pewnie, to Tony Lukatis. Dostał dwa lata za przemyt trawy. Przydybał go Titan.

- Titan? Miałem wrażenie, że raczej toleruje kokę.

- Palenie, nie szmugiel - wtrącił się Charlie. - Ale o co ci chodzi?

- Ten biały, wyłowiony ze Zszywanym Harperem, to może być Lukatis - powiedziałem.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał Szkop.

- Przeczucie. Nie było go w domu od soboty. Jego siostra sądzi, że jest może zamieszany w jakiś przemyt.

Dwadzieścia minut później z aparatu wysunęły się zdjęcia.

- Harper - powiedział Szkop. - Czy raczej to, co z niego zostało.

Kraby czy rekiny, a może i jedno, i drugie, zniszczyły twarz czarnego mężczyzny, dało się jednak rozpoznać, do kogo należała. Biały miał mniej szczęścia. Zwłoki były pozbawione jednej stopy, twarz poszarpana na kawałki, okropnie wydęta. Bardzo chciałem, by ta twarz należała do kogoś innego. Ciągle miałem przed oczyma otrzymane od DeeDee zdjęcie Tony'ego: czarnowłosa, miły, dobrze ułożony chłopak. Myślałem też o DeeDee, której życie, jak dotąd, z pewnością nie oszczędzało. Najpierw śmierć ojca, potem uwielbiany brat idzie do kicia. Ale nie długo się łudziłem.

- Lukatis - brzmiał bezlitosny wyrok Szkopa.

- Jesteś pewien? - zapytałem. Kiwnął głową.

- Twarz bardzo zniszczona, ale można rozpoznać.

Odwrociłem się do drzwi. Wiedziałem, że to ja będę musiał powiedzieć o tym DeeDee. Zaczynało mnie dręczyć także coś nowego.

Dla kogo pracował Tony Lukatis? Dla Długonosego Gravesa czy dla rabusiów?

## 55. NEKROLOG

Quadrangle okazało się czworokątnym skwerem, którego trzy boki tworzyły stare składy, pamiętające czasy federalistów, a czwarty graniczył z rzeką. Trawnik przecinały biegnące w różne strony, wyłożone drobną kostką dróżki, zegar słoneczny matowo połyskiwał pod rozpalonym niebem. W rogu skweru stał stary dąb, pokryty licznymi naroślami, rzucającymi na ziemię nikły cień, w którym jednak nikt w tej chwili nie szukał schronienia. Powietrze było zupełnie nieruchome.

Przybyłem na miejsce za pięć dwunasta. Park zaczynał się zapelniać pięknymi dziewczętami w letnich sukienkach i mężczyznami, którzy wyglądali niezgrabnie w niewygodnych garniturach urzędniczych, choć większość przerzuciła zdjęte marynarki przez plecy. Sprzedawca hol dogów robił kokosowy interes. Pomimo upałów było to świetne miejsce na południową przekąskę.

Seacost National mieścił się na pierwszym piętrze jednego z budynków. Po przeciwnej stronie Quadrangle znajdował się Trzeci, gdzie miałem się nazajutrz spotkać z Samem Donleavym. Trzeci budynek, łączący tamte dwa, zwrócony ku skwerowi i rzece, był niegdyś siedzibą rachmistrzów, a teraz mieściło się w nim muzeum morskie.

Siedziałem na kamiennej ławce ustawionej niedaleko rogu banku i starałem się mieć na oku oba wejścia. Czekałem na DeeDee. Nie trwało to długo. Pięć po dwunastej wyszła razem z Lark; urzekająca para, na widok której wszystkie głowy odwracały się jak na komendę.

Kiedy zbliżyły się, obrzuciła mnie niepewnym spojrzeniem, jakby nie bardzo wiedziała, czy jeszcze ze sobą rozmawiamy. Pierwszy spróbowałem przełamać lody.

- Pomyślałem, że może lepiej nie rozmawiajmy już o interesach i pozostańmy nadal przyjaciółmi - powiedziałem.

Lark wpadła mi natychmiast w słowo.

- Hot dogi i cola dla wszystkich? - zapyłała wesoło. - Ja stawiam.

Zgodziliśmy się na propozycję i Lark popłynęła ku stoisku z hot dogami, a tam, gdzie przechodziła, zamierały natychmiast rozmowy.

- Miałas rację dziś rano - powiedziałem. - Byłoby nieuczciwe gdybyś zgodziła się spełnić moją prośbę. Przepraszam za nią.

- Co to za różnica - powiedziała nachmurzona - skoro i tak dostałeś te numery. Twojemu przyjacielowi udało się przekonać Lark, że to obowiązek patriotyczny.

- Jak widać, lepiej potrafi postępować z kobietami niż ja - zażartowałem.

- No, nie wiem - mruknęła, nie patrząc na mnie.

Zaczęliśmy spacerować, wziąłem ją więc pod ramię i poprowadziłem pod stary dąb, gdzie znaleźliśmy się z dala od fanatyków opalenizny. Nagle odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy, wyczuwając moją konsternację,

- Coś się stało - powiedziała. - Czuję to. - A po krótkiej chwili wykrzyknęła: - To Tony! Coś stało się Tony'emu?!

Oczy natychmiast zaszyły jej łzami. To dziwne, jak ludzie potrafią wyczuwać wiadomość, zanim ją jeszcze usłyszą.

- O Boże - jęknęła. - Nie żyje, czy tak?

Pokiwałem głową nieporadnie, szukając daremnie jakichś słów pociechy, których i tak nikomu nie udało się znaleźć.

Osunęła się na mnie jak szmaciana lalka, z której wyszarpnięto wnętrze. Otoczyłem ją ramieniem i staliśmy tak długo, oboje znieruchomiali. Czulem, jak jej ciało napręża się; usiłowała zapanować nad łkaniem. W chwilę potem zatrzęsła się i raptem wybuchnęła nieopanowanym płaczem. Posadziłem ją na trawie i usiadłem obok niej, przyciągnąwszy do siebie, kołysząc lekko, zupełnie jakby była małą dziewczynką, której właśnie zginął ulubiony psiaczek.

Zobaczyłem Lark, szła przez skwer objuczona zakupami i rozglądała się

wokoło. Kiedy nas dostrzegła, pomachałem ku niej dłonią. Domyśliła się, że coś się stało, zanim do nas dotarła. Spojrzała na mnie, unosząc pytająco brwi. Nie powiedziała ani słowa, po prostu siadła obok DeeDee i zaczęła gładzić przyjaciółkę po plecach, walcząc jednocześnie ze łzami, które pojawiły się w kącikach jej własnych oczu.

Kiedy tak siedzieliśmy, spojrzalem naraz w kierunku banku i zobaczyłem na chwilę Charlesa Seaborna wyglądającego z okna. Zniknął w głębi gabinetu, kiedy zorientował się, że go dostrzegłem. Obejrzałem się i zerknąłem na najwyższe piętro Składu Trzeciego. Nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć, może Donleavy'ego, dającego poprzez skwer jakieś tajne sygnały bankierowi. Okna były puste, jak oczy ślepcy patrzącego na świat niewidzącym spojrzeniem ze środka starej budowli. Wydawało się, że cała moc, która trzęsła ongiś Dunetown, skupiła się na trawiastej płaszczyźnie, tyle że teraz owa moc zmieniła się w trwogę.

Siedzieliśmy pod drzewem blisko kwadrans, starając się pocieszyć DeeDee. Wreszcie zebrała się na odwagę i zapytała, co się stało.

- Wypadek na morzu. - Ta półprawda była w istocie kłamstwem, ale nie czułem się na siłach, by jej teraz wszystko wyjaśniać. Po raz pierwszy od czasów Wietnamu pożałowałem kogoś, kto przekroczył prawo.

Bez względu na to, co zrobił Tony Lukatis, wiedziałem, jakie demony popchnęły go w objęcia śmierci: Doe, pokusa Windsong, lekkie życie, te same demony, które kusily mnie, wypaczały moje wartości, sprawiły, że po Wietnamie stałem się wewnętrznie wypalony, niezdolny do uczuć. Przypomniał mi się dzień, kiedy pisałem list do Doe i Chiefa. Zupełnie jakby historia się powtarzała, tyle że teraz nie mogłem schronić się za listem. DeeDee była tuż obok i musiałem oglądać jej rozpacz, czuć ją, czuć na twarzy jej łzy.

Wreszcie zaczęła stawiać nieuchronne pytania, na które nie znałem jeszcze odpowiedzi.

Kiedy? Gdzie? Czy utonął? Prawdopodobnie tak. Czy robił coś złego, kiedy wydarzyło się nieszczęście? Nie byłem pewien. Gdzie były teraz jego zwłoki? Nie wiedziałem. Czy bardzo cierpiał? Nie, powiedziałem, chyba nie. Myślę, że wszystko nastąpiło bardzo szybko.

- Słuchajcie - stwierdziłem. - Muszę teraz coś zrobić, chcę powiedzieć o tym Seabornowi. Lark, odwieź ją do domu. Wezwij lekarza i daj coś na uspokojenie, przyjadę tak szybko, jak tylko będę mógł.

Zaprowadziłem ją do samochodu i Lark usiadła za kierownicą. Deede-e, nieruchoma i bezwładna, patrzyła w przestrzeń przez lzy.

Nagle wybuchnęła. - Cholera, cholera, cholera! Niech to wszyscy diabli! - Potem ukryła twarz w dłoniach, a Lark zapuściła silnik.

Mackowate palce Seaborna przebierały po krawędzi pustego biurka, wielkiego jak boisko piłkarskie. Starał się sprawiać wrażenie zajętego, kiedy zapukałem do drzwi i wkroczyłem do gabinetu bez zaproszenia. Był przestraszony; oczy wielkie jak u spłoszonej lani.

Pokój był dostatecznie wielki, by pomieścić ogromne biurko i równie pusty jak jego blat. Za fotelem z wysokim oparciem wisiał olejny obraz przedstawiający chmurnego mężczyznę o diabelskich, wygiętych na końcach brwiach i niesympatycznym spojrzeniu. Po ubiorze odgadłem, że to ojciec Seaborna. Spostrzegłem jeszcze jeden obraz, ten także, jak sądzę, przedstawiał kogoś z rodziny. Poza tym gabinet był pusty jak jesienna plaża. Kiedy wszedłem, gospodarz zaczął protestować.

- Brat DeeDee Lukatis został zabity - przerwałem mu - a Lark zawiozła ją do domu. Obiecałem im, że powiem panu o tym.

- O Boże - westchnął. - To okropne. Co się stało?

- Wypadek na morzu - odparłem, utrwalając kłamliwą półprawdę. -

Przebywał w wodzie przez kilka dni. Drapieżniki bardzo uszkodziły ciało.

Twarz mu poszarzała, kiedy sobie uzmysłowił, co powiedziałem.

- Co robić? - powiedział półgłosem, jakby pytanie to skierował do samego siebie.

- No cóż - powiedziałem - na pewno przyda się odrobina łagodności i wyrozumiałości.

- Oczywiście, oczywiście - pospiesznie zapewnił Seaborn, który miał chyba nawyk powtarzania wypowiedzianych słów. - Czy ma to jakiś związek z... hm...

- Morderstwami? - dokończyłem za niego. Pospiesznie skinął głową. - Skąd takie przypuszczenie?

- Wie pan, jej brat miał już dawniej kłopoty z prawem - powiedział porozumiewawczym szeptem, jakby wyjawiał mi jakiś sekret.

- Słyszałem o tym - powiedziałem. - Nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie. W tej chwili myślę przede wszystkim o DeeDee, a znacznie mniej o okolicznościach śmierci jej brata.

- Oczywiście, oczywiście - powtórzy! jak papuga. - A kim ona jest dla pana?

- Po prostu znamy się - wyjaśniłem. - Wszyscy potrzebujemy przyjaciół, prawda? - I zostawiłem go w dużym, pustym gabinecie, ocierającego z czoła krople potu.

W drzwiach do budynku przemknął obok mnie nerwowy niski mężczyzna o rzadkich włosach i rozbieganych oczach. Lou Cohen spieszył się ze swoją codzienną wplątą. Śmierć wcale nie zmieniła schematu codziennych zajęć w Doomstown.



## 56. ŚMIERTELNY UPAŁ

Jadąc na tor, nie mogłem się uwolnić od uczucia, że wybierając się na wyścigi, po tym, co zdarzyło się dzisiejszego poranka, popełniam coś szokującego. Po raz pierwszy od lat czułem się związany z czymś bólem. Wiedziałem, jak bardzo cierpi DeeDee, ale niewiele mogłem na to poradzić.

Chmura ciemna jak przyszłość Tony'ego towarzyszyła mi przez całą drogę, by pod sam jej koniec zniecała połknąć słońce i w przeciągu pół minuty zrzucić pół cała deszczu. Był to jeden z tych szybkich i odświeżających deszczy letnich, które nadlatują błyskawicznie i równie prędko przelatują, spowodował jednak wiele zamieszania na drogach dojazdowych do wyścigów i sprawił, że spóźniłem się kilka minut.

Callahan czekał przy tylnej bramie, jak zwykle z kwiatkiem w kieszonce garnituru, w filuternie przekrzywionej czapce na głowie. Był to człowiek, który potrafił się ubrać na każdą okazję.

- Jaki jest obecnie stan zabitych? - zapytał oschle, kiedy zmierzaliśmy ku głównej trybunie.

- Straciłem rachubę - odparłem, nie chcąc się zagłębiać w historię Tony'ego Lukatisa. - Co dzisiaj mamy?

- Disaway zapewne wygra - powiedział obojętnie. - Ulewa zmoczyła tor dokładnie tak, jak lubi.

- Czy zmniejszy to stawki?

- Raczej nie. W dwu ostatnich gonitwach nic nie pokazał. Gracze nie wierzą w niego.

- Zamierzasz coś postawić? - zapytałem.

- Nigdy tego nie robię - stwierdził. - Wolę oddać na biednych.

Stadion i sam tor wyglądały wspaniale. Główna trybuna, przykryta dachem z wieżyczkami na rogach, reprezentowała znakomicie styl Starego Południa. Można by śmiało jej dać ze sto pięćdziesiąt lat. Callahan szybko oprowadził mnie po budynku.

Zjawiły się tłumy. Parking był wypełniony niemal do ostatniego miejsca;

wewnątrz ludzie kłębili się przed kasami, dyskutowali o formie swych faworytów, wpatrywali w tablicę totalizatora, która informowała między innymi, że za Disawaya płacą 33,05, czyli ponad piętnaście do jednego.

- Musi pokonać Ixnaya - powiedział Callahan. Ixnay był faworytem, za którego w razie zwycięstwa płacono 3,4 do jednego. - Numer osiem - kontynuował Callahan. - Numer dwa, Johnny's Girl, powinna być w pierwszej trójce. Reszta z równymi szansami.

Przeszliśmy na padok. Widać na nim było Disawaya w towarzystwie rywali. Dość spokojny, na lekko rozstawionych nogach, przypatrywał się tłumowi z rozchyłonymi chrapami. Opierając się na samym wyglądzie, postawiłbym pieniądze na Disawaya. Wydawało się, że pozostałe konie z pierwszej gonitwy miałyby kłopot z doniesieniem do mety worka z obrokiem dla siebie.

- Ładny koń - ocenił Callahan. - Szkoda, że ma takie miękkie pęciny.

- Kto dziś na nim jedzie? - zapytałem.

- Scoot Impastato.

- Myślałem, że zerwał z Thibideau - zdziwiłem się.

- Kto go wie - odparł tajemniczo Callahan. - Może potrzebna mu była ta gonitwa.

- Dlaczego miałby się na to zdecydować? - nastawałem. - Wydawało się wtedy, że ma go serdecznie dość.

Callahan obdarzył mnie takim spojrzeniem, jakbym mu właśnie splunął na but.

- A skąd niby mam wiedzieć? Dlaczego ty robisz to, co robisz? Dlaczego jeźdźcy jeżdżą? Do diaska, dostają pięćdziesiąt dolców za gonitwę i udział w ewentualnej wygranej. W deszczowy dzień, kiedy tor jest błotnisty, łatwo, by koń biegnący czterdzieści mil na godzinę, przewrócił się, rozgniatając dżokeja na śmierć.

- Tak jak dzisiaj? - spytałem.

- Teraz nie jest już tak źle - odparł Callahan. – Słońce osuszy większość kałuż. Ale kiedy jest prawdziwe błocko! Powiem ci, jazda w taką pogodę to jeden z najgorszych sposobów na zarobienie pięćdziesięciu dolarów. Ale to ich zawód. Thibideau pewnie powiedział: „Przepraszam, tutaj masz ekstra pięćdziesiątkę” i Magiczne Ręce znowu w robocie. Chłopak zna konia, a Thibideau chce wygrać. Zawarli sojusz.

Opuściliśmy padok i poszliśmy na najwyższe piętro, gdzie Callahan pokazał mi prywatne kabiny, rząd pomieszczeń osłoniętych od wiatru, deszczu i słońca ściankami z matowego szkła oraz zaopatrzonych w niebieskie sofy, niskie mahoniowe stoliki na drinki i sandwiche, a także w monitory telewizyjne, na których pokazywano przebieg filmowanych z bliska gonitw. Kelnerzy w czerwonych kurtkach, co do jednego Murzyni w podeszłym wieku, roznosili napoje orzeźwiające. Odnosiło się wrażenie, że miejsce to dumne jest ze swej elegancji; powiedziałem o tym Callahanowi.

- To sport królów - odparł. - A tu widzisz arystokrację.

Właściciele koni, hodowcy, bogacze. Stanowią nieodłączną część całego widowiska.

Zeszliśmy między normalnych śmiertelników, którzy tłoczyli się przy barierce. Wiedziałem, że Callahan miał na górze własny pokoik - gest ze strony kierownictwa toru - ale wolał być jak najbliżej koni.

- Lubię poczuć ich pęd - powiedział, dostrajając lornetkę i kierując ją najpierw na przeciwległą stronę toru, a potem na boks startowy. - Jak zacznie się przyjmowanie zakładów, będziemy mogli podejść bliżej barierki.

Przekartkowałem program, który mi podał. Znalazłem w nim listę inspektorów, z Harrym Rainesem na czele, oraz informacje o torze, które mnie zaskoczyły. Na podatki odchodziło czternaście procent pierwszych dziesięciu milionów sumy zakładów, osiem procent następnej dziesiątki, sześć procent dalszych pięćdziesięciu milionów i pięć procent ewentualnej nadwyżki. Dla państwa była to niewątpliwie intratna impreza, co z pewnością w jakimś stopniu usprawiedliwiało poczynania Rainesa.

Pole ograniczone bieżnią sprawiało również imponujące wrażenie. Położony na jego środku wielki staw z fontanną przyciągał czaple i inne ptaki wodne. Wokół stawu pyszniły się klomby pełne kwiatów, a na jednym z krańców wznosił się granitowy obelisk.

- Co to takiego? - zapytałem.
- Pamiętasz, jak wczoraj przy śniadaniu opowiadałem ci o Omalu?
- O tym brzydkim koniu?

Callahan przytaknął.

Pierwszy wielki zwycięzca, jaki wyszedł z tego toru. Tutaj pobiegł po raz pierwszy, tutaj biegał przez większość następnego sezonu. W pierwszym roku wygrał czterdzieści dwa wyścigi. Był okropny, ale tak znakomity, że kiedyś cały tor oklaskiwał go za to, iż przybiegł na drugiej pozycji. Ludzie uznali, że biegał tak wiele, iż był już przemęczony. W zeszłym roku, tuż pod koniec sezonu, został przygnieciony do bariery, idąc po szerokim wirażu. Chciał się wyrwać, zderzył się z innym koniem, upadł. Trzeba go było zastrzelić, a rada inspektorów postanowiła pochować go w tamtym kącie.

Na kilkanaście minut przed rozpoczęciem gonitwy ujeżdzacze w czerwonych bryczesach i czarnych czapczkach wyszli z końmi, oprowadzając je po torze. Przez tłum przebiegła fala króciutkich oklasków, potem gracze z ożywieniem zaczęli komentować wygląd folblutów. Disaway był teraz nieco podenerwowany; potrzasał łbem i szarpał nim na boki.

Callahan dobrze znał zwyczaje graczy. Na dziesięć minut przed startem tłum raptownie się przerzedził, gdyż co druga osoba pomknęła w kierunku kas, by tuż przed ich zamknięciem obstawić swoje typy. Podeszliśmy do bariery i idąc wzdłuż niej, dotarliśmy do miejsca naprzeciwko finiszu. Znakomita pozycja obserwacyjna.

Zgodnie z przewidywaniami Callahana notowania Disaway nie zmieniły się już zbyt wiele. Na pięć minut przed startem wyplata w przypadku jego zwycięstwa spadła z 33,05 do 26,20, co ciągle dawało znakomite przebicie trzynaście do jednego.

Kiedy zaczęto wprowadzać konie do maszyny startowej, Callahan podał mi lornetkę.

- Patrz na Disawaya, numer cztery. Trochę się szarpie, ale nie sądzę, żeby był zdenerwowany. Rwie się do biegu. Świetnie wygląda, rozpiera go.

Widziałem, jak drobi na boki i podrzuca łbem, kiedy posługacz usiłował wprowadzić go do boksu. Magiczne Ręce położył się na szyi konia, szepcząc mu coś do ucha. Po chwili Disaway uspokoił się i dał się ustawić na starcie.

Odwrociłem się i przejechałem lornetką po górnym piętrze trybuny. W pokoiku pośrodku siedział Raines, poważny jak Patton kierujący do boju swoje czołgi.

- W samym środku jest Raines - zauważyłem.

- Zdolny administrator - powiedział z uznaniem Callahan. - Zdobył sobie uznanie dzięki temu torowi; dobrze prowadzony, czysty, zyskowny.

- Chyba zawsze tak jest? - spytałem.

- Hm-hm. Po skończeniu studiów - zaczął Callahan - dostałem pracę weterynarza na niewielkim torze na Florydzie. Byłem asystentem głównego lekarza. Straszne brudy. Podmieniano próbki krwi, faszerowano konie... okropne. Jednego lata byłem świadkiem śmierci dwóch koni; jeden padł z przeforsowania. Parszywy widok. Zwierzę leży i próbuje złapać powietrze. Jakby się dusił, tyle że trwa to godzinami. Nie zabijesz go, bo masz nadzieję, że wyjdzie z tego. Postanowiłem ujawnić machlojki, więc mnie wylali i powiedzieli, że nie mam już czego szukać na torze. No to zostałem gliną, wróciłem i przy-skrzyniłem ich. Ale uwaga, idą!

Oddałem mu lornetkę, gdy tylko rozległ się dźwięk dzwonka. Widziałem, jak konie wypadają ze startu: migotliwa plama zwierzęcych ciał i jaskrawych kolorów; fiołkoworóżowy, pomarańczowy, odcienie niebieskości i zieleni zlały się w kolorową wstęgę, ale już po chwili stawka zaczęła się rozciągać, a tymczasem widzowie przepychali się jeden przez drugiego ku barierze. Tłum tak się rozwrzeszczał, że kiedy osiem koni zbliżało się do

pierwszego zakrętu, nie mogłem dosłyszeć głosu spikera, podającego pozycje.

- Jak tam?! - krzyknąłem, nie mogąc z tej odległości rozpoznać koni.

- Na czwartym - usłyszałem głos Callahana. - Bardzo źle wyszedł na starcie... ale nadrabia... Scoot nisko pochylony... wchodzi na przeciwległą, jest trzeci. Scoot jeszcze nie idzie na całego... mijają znak trzech czwartych... Scoot ciągle go wstrzymuje... jedzie na wygraną, tak, dobrze. Wypuść go dopiero na prostej... jest trzeci... wchodzi w zakręt.

Teraz konie widać już było wyraźniej. Disaway szedł mocno, atakując poprzednika, dwójkę, Johnny's Girl. Czulem, jak w tłumie wzmaga się podniecenie, gdy konie rozpoczęły ostatnie pięćset jardów.

Callahan w dalszym ciągu relacjonował mi na bieżąco przebieg gonitwy.

- Idzie na drugą... Już tylko o łeb gorszy... I Scoot go wypuszcza! Spójrz na niego! Do diabła, ale on lubi glinę...

Disaway wyprzedził drugiego konia i gnał teraz za liderem. Czulem łomot ich kopyt, kiedy gnały ku mnie. Barwne kurtki dżokejskie pokryły się błotem.

Callahan krzyczał coraz głośniejsz; jemu też udzieliło się powszechne podniecenie.

- Minie go, minie! Łeb w łeb, ale wychodzi, wychodzi, jest już o głowę... Pół długości...

Raptem Callahan zamilkł, a potem wykrzyknął: „O Boże!” Meta była już blisko, kiedy Disaway odbił się raptownie od bandy i stanął w poprzek toru, z lewą przednią nogą podrygującą szaleńczo. Oba konie biegnące za nim usiłowały wykręcić do wewnątrz, ale było już za późno: zderzyły się sztykami. Disaway został rzucony w kierunku bandy, a tamte dwa poleciały na łeb, na szyję, przewalając się przez nieszczęsnych dżokejów. Impastato próbował utrzymać Disaway'a na nogach, ale trzy następne konie gnające ku mnie uderzyły w niego z okropnym hukiem.

Scot Impastato wyleciał z siodła i pokoziołkował w kierunku ogrodzenia, za nim potoczył się Disaway. Banda zatrzęsała się: Disaway, Impastato, trzy konie, jeszcze jeden dżokej i jeszcze jeden koń splątali się w straszliwej kotłowaniu nóg, ciał, barwnych kurtek i błota.

Okrzyk zgrozy przeleciał przez tłum.

Potem, równie raptownie, zapadła cisza.

Z toru dobiegł bolesny krzyk:

- Weźcie go ze mnie. Ludzie, zabierzcie go!

Jeden z koni usiłował wstać, wierzgając kopytami w piachu. Jeden z trzech dżokejów klęczał i odpinał hełm. Dwa konie leżały nieruchomo. Nie ruszał się także któryś z jeźdźców.

Syrena. Karetka pogotowia. Ludzie biegnący przez trawę. Na trybunie zapanował chaos.

- Chodźmy tam - powiedział Callahan. Przesadziliśmy barierkę i ruszyliśmy w kierunku miejsca wypadku.

## 57. RAINES DOSTAJE CIĘGI

Był to okropny widok: martwy Disaway rozpostarty na wielkim metalowym stole, z głową zwieszającą się z blatu, wybałuszonymi oczyma zastygłymi w śmiertelnej trwodze i z wielkim cięciem w przedniej lewej nodze, której strzaskaną kość odsłonięto spod mięśni i ścięgien. Weterynarz nazwiskiem Shuster, niski mężczyzna dopiero po trzydziestce, ale już prawie łysy, nachylał się nad kończyną z powiększającym szkłem. Drugim badającym był Callahan, także odziany w biały fartuch. Oba lekarskie uniformy spryskane były krwią. Stałem trzy, może cztery stopy za nimi, uważnie się przyglądając i starając się nie uronić ani słowa.

Jak dotąd dwa konie nie żyły, jednego, być może, należało dobić, a dwóch dzokejów przewieziono do szpitala (Scoota Impastate z pękniętą czaszką i złamaną nogą).

- Nigdy dotąd nie widziałem tak paskudnego złamania - odezwał się Shuster.

- Jakież uszkodzenia mogły spowodować konie, które na niego wpadły - powiedział Callahan.

- Chyba nie. Kość strzałkowa pęknięta od środka tutaj... i tutaj. Żadnych odprysków czy innych śladów uderzenia. To właśnie jest interesujące. Widzi pan? Tutaj i tutaj na samym dole.

Callahan nachylił się jeszcze niżej i pokiwał głową.

- Być może rozszczepiła się w efekcie złamania.

- Może...

Shuster nachylił się nad martwym zwierzęciem z mikrometrem.

- Niecałe pół milimetra - oznajmił. Wziął skalpel i zeszkroił do próbki coś z końca złamanej kości.

- Wapno? - spytał Callahan.

- Zobaczymy.

- Tak działa butes - powiedział Callahan.

- Zapewne ma pan rację. Koń wystartował z kontuzją nogi. Powinien być wycofany.

- Czym trener tłumaczył podanie koniowi tego środka?

- Ciekło mu z nosa.

- Tak, i ściekło aż do kopyta.

- Nie mogłem się sprzeciwić - bronił się Shuster. - To bardzo rozsądne uzasadnienie.

- Trudno mieć do pana pretensje. To nie pierwszy raz koń z chorą nogą biegnie potraktowany butesem.

Odwróciłem się na odgłos otwieranych drzwi i zobaczyłem wchodzącego Harry'ego Rainesa. Jego zielona marynarka inspektora zawodów wydawała się nie na miejscu w sterylnie białym pomieszczeniu, ale podobnie było z moją sportową kurtką.



Silnie zareagowałem na jego wejście. Przez czterdzieści jeden lat mojego życia nigdy dotąd nie byłem kochankiem czyjejś żony, a oto teraz o dziesięć stóp ode mnie stał człowiek, któremu przyprawilem rogi i który na dodatek wywoływał we mnie zazdrość i gniew. Poczulem się tak nieswojo, że miałem ochotę zapaść się pod ziemię.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że może wie wszystko o Doe i o mnie, że może banda Taglianich przesłała mu jakiś anonim. Zbyt wielu ludzi wiedziało o nas lub przynajmniej domyślało się czegoś. Uświadomił mi to Harry Nesbitt. Niemal oczekiwałem, że lada moment Raines gniewnie wskaże na mnie, może nakreśli mi na czole flamastrem jakieś znamię. Czulem pot ściekający mi pod kołnierzykiem i przez chwilę to Doe uczyniłem odpowiedzialną za swe upokorzenie, z gniewem i zazdrością myśląc o tym, że go poślubiła.

Ale trwało to tylko jeden moment i fala uczuć odpłynęła natychmiast, gdy tylko dokładniej mu się przyjrzałem. Byłem wstrząśnięty. Wydawał się niższy niż dwa dni wcześniej, kiedy zobaczyłem go na torze: jak gdyby przygniótł go niewidoczny ciężar. Twarz mu się wyciągnęła i zmizerniała, urzędowa dostojność zamieniła się w zmiętą szarość. Pod oczyma widać było ciemne półkole. W przeciągu dwóch dni postarzał się o dziesięć lat.

Czy był to rzeczywiście ten automat do osiągnięcia sukcesów, za jakiego uważali go inni? Znacznie bardziej przypominał człowieka, który wisząc na skale, oczekuje na nieuchronne pęknięcie liny.

W jednej chwili przestał być dla mnie zagrożeniem.

Moje poprzednie obawy były bezpodstawne. W pierwszej chwili nie zwrócił na mnie uwagi. O wiele bardziej interesował go zdechły koń. Kiedy już mnie dostrzegł, był tylko zdziwiony i jakoś zakłopotany moją obecnością.

- Co pan tu robi? - spytał, spoglądając na Callahana, jakby nie wierzył, że sam mu odpowiem.

- To jest Jake Kilmer. Pracujemy razem - wyjaśnił elegant.

- Jake, to jest pan Harry Raines.

To, jak się wydaje, całkowicie zadowolilo Rainesa, przestał interesować się moją osobą. Jeśli nawet moje nazwisko coś mu powiedziało, z niczym się nie zdradził. Natychmiast zajął się bieżącym problemem.

- Nie zamierzam wywierać absolutnie żadnych nacisków, panie doktorze. Czy to po prostu złamanie nogi? - zwrócił się do lekarza.

- W dwóch miejscach. Podano mu także butes.

- Co takiego?

- Był przeziębiony.

- Kto tak powiedział?

- Thibideau.

- Jasna cholera! - wykrzyknął Raines.

Gwałtowność jego reakcji zaskoczyła mnie.

- Hm, jest jeszcze coś - oznajmił Callahan. Podeszedł do nas i ściągnął fartuch. - Wykryliśmy także pęknięcie w pęcinie, na przedłużeniu złamania. Wydaje się, że jest tam trochę wapna, co by znaczyło, że kontuzja trwała już od jakiegoś czasu. Co najmniej od kilku dni.

- A więc to nie przeziębienie.

- Mówię o tym, ponieważ pan Shuster nie może powiedzieć nic pewnego, dopóki nie wykona wszystkich analiz. Moim jednak zdaniem, zwierzę było na butazolidinie, ponieważ doznało kontuzji podczas niedzielnej gonitwy.

- Skąd ma pan takie informacje?

- Od dżokeja Impastato. Ale nie myślę, żeby był w to zamieszany. Po niedzieli nie chciał mieć do czynienia z panem Thibideau, ponieważ ten kazał mu iść na pełen gaz od pięciu ósmych, a Disaway był koniem na ostatnią prostą. To dodatkowa przyczyna, dla której przegrał w niedzielę.

- Trenerem jest Smokey Barton, nie myślę się?

Callahan przytaknął.

- Może poszukać innej pracy.
- Odwalił kawał dobrej roboty - sprzeciwił się Callahan.
- Nie na tym torze - warknął Raines. - Już nie.

Shuster powrócił do badania, a Callahan kiwnął na mnie, żebyśmy wyszli z pokoju. Na zewnątrz, w upalnym popołudniowym słońcu, oparliśmy się o ścianę budynku. Milczeliśmy. Po chwili ukazał się Raines.

- Panie Raines - powiedział Callahan - musimy z panem porozmawiać. Raines rozejrzał się na boki i zapytał:

- Tutaj?
- Niekoniecznie.
- To może w moim biurze. Niedaleko mam samochód.

Pojechaliśmy wokół toru i zaparkowaliśmy w miejscu zarezerwowanym dla Rainesa. Winda wjechaliśmy na najwyższe piętro, a potem szerokim, chłodnym korytarzem poszliśmy do jego gabinetu.

Był to duży pokój, z ciemną boazerią i antycznymi meblami; na regałach we wnęce stały oprawione w skórę woluminy. Mógłby się wydawać mroczny i sprawiałby pewnie dość przygnębiające wrażenie, gdyby nie ściana naprzeciw wejścia, cała ze szkła, z widokiem na tor. Dzięki niej gabinet wyglądał niezwykle oryginalnie i elegancko zarazem.

Biurko było zadziwiająco nijakie i tak wielkie, że można by na nim rozegrać mecz koszykówki. Władcy Doomstown mieli najwyraźniej słabość do olbrzymich biur. Na blacie dostrzegłem wiele osobistych drobiazgów. Odsunięto je na bok, tak by Raines mógł jednocześnie obserwować tor i załatwiać interesy. Widok za oszkloną ścianą był olśniewający.

W pokoju wisiały trzy obrazy, dwa Remingtona, jeden Degasa, oryginały. Dostrzegłem tylko dwie fotografie, obie stały na biurku. Jedna, czarno-biała, przedstawiała parę w podeszłym wieku, najpewniej rodziców Harry'ego. Na drugiej, kolorowej, zobaczyłem Doe, przytuloną do pyska konia, zapewne Ognistonogiego.

Dopiero po dłuższej chwili oderwałem wzrok od zdjęcia.

- Czy podać jakieś drinki? - zapytał Raines.

Callahan zawahał się moment, a potem powiedział:

- Jeśli o mnie chodzi, może odrobinę brandy.

- Panie Kilmer?

- Niezły pomysł.

Barek ukryty był za mahoniowymi drzwiczkami. Raines wyjął trzy szklaneczki, krusze na pozór jak bańki mydlane, i nalał uczciwe porcje z butelki tak starej, że mogła służyć carom. Poczulem brandy w koniuszkach palców od nóg.

- Usiądźcie, panowie - powiedział Raines rzeczowym tonem - i wyjaśnijcie, w czym sprawa.

Skórzana sofa była bardziej miękka niż jakiegokolwiek spośród łóżek, w których zdarzyło mi się dotąd znaleźć. Harry usiadł za biurkiem i przetarł oczy dłonią.

Zaczyinałem czuć do niego mimowolną sympatię. Pamiętałem go tylko jako jednego z wielu futbolistów, ale roztaczał wokół siebie charyzmę władzy, nawet wtedy kiedy był tak znużony jak obecnie. Zdominował wyraźnie pokój, co nie było takie łatwe, zważywszy na panoramę za oknem.

- Problem z Disawayem - zaczął Callahan - jest odrobinę głębszy... Nie chodzi tylko o złamanie przedniej nogi po butesie.

Raines obrócił szklankę w palcach, cmoknął, pociągnął długi łyk i czekał.

- Typowano zwycięstwo Disawaya w niedzielnej gonitwie... - zaczął Callahan.

- Przywłókl się jako ósmy - przerwał mu Raines.

- Tak, to prawda, niemniej jednak mamy, by tak rzec, wiarygodne informacje, że wyścig ustawiono na przegraną Disawaya. Czy twoim zdaniem to wiarygodne informacje, Jake?

- Moim zdaniem, niepodważalne - stwierdziłem.

Raines mocno zacisnęła szczękę.

- Nie potrafię powiedzieć panu dokładnie, jak to było załatwione - kontynuował Callahan. - Prawdopodobnie przez kilka dni zmniejszano mu

porcje jedzenia, odrobinę go przeciążono, trochę za bardzo go goniono, a na kilka godzin przed wyścigiem dano mu worek owsa i wiadro wody, tak że był szczęśliwy, że w ogóle doleciał do mety. Nie ulega jednak wątpliwości, że miał przegrać. Ktoś wyłożył na to niezłe pieniądze.

- Kto? - zapytał napastliwie Raines.

Callahan zawahał się. Znalazł się w kropce. Gdyby powiedział Rainesowi o nagraniu, zdradziłby, że nielegalnie podsłuchiowano dom Taglianiego.

- Przykro mi, panie Raines - powiedział stanowczo, choć grzecznie. - Nie mogę panu tego zdradzić. Przynajmniej nie teraz. Problem polega na tym, że była to podwójna zagrywka. Ponieważ zawałił w niedzielę, stawki na dzisiaj podskoczyły.

- Płacono za niego około piętnaście do jednego - oznajmił Raines. Pociągnął kolejny łyk brandy, ale nawet na chwilę nie oderwał swoich czarnych oczu od twarzy Callahana.

- To prawda, jeszcze kilka minut przed gonitwą stawka była 33,05. Ale według kasjera z okienka studolarowego, tuż przed startem postawiono na niego sumę tak dużą, że stawka spadła do 26 dolarów i paru centów.

- Wie pan może, kto tak wysoko zagrał?

Callahan potrząsnął głową.

- Kilka osób przy obu okienkach.

- Ktoś za tym stał?

- To mógł być każdy, od stajennego do właściciela. Niestety, panie Raines, w żaden sposób nie potrafimy tego dowieść. Na pewno wiemy jedynie to, że niedzielna gonitwa była ukartowana.

- Możemy dowieść, że koń był nafaszerowany butesem - powiedział gniewnie Raines.

- Tak - potwierdził Callahan - tyle że to nie jest niezgodne z przepisami obowiązującymi w tym stanie.

- Ale będzie! - zagrział Raines. - Zawsze byłem przeciwny podawaniu koniom butazolidinu, jeśli do startu pozostawało już tylko 48 godzin. Ja się znam na koniach, panie Callahan.

- Oczywiście - zgodził się tamten.

- Nie znam się jednak, w przeciwieństwie do pana, na ludziach, którzy ustawiają goniwy. Potrzebuję jakiegoś dowodu, którego mógłbym użyć przeciw Thibideau, by zapobiec na przyszłość podobnym rzeczom.

Postanowiłem się włączyć. Uznałem, że Callahan rozgrywa to zbyt miękko.

- Panie Raines, Pancho nie bardzo ma ochotę zdradzić panu pewną informację, gdyż uzyskaliśmy ją w sposób nie całkiem legalny. Otóż, a mam nadzieję, że zachowa pan to wyłącznie dla siebie, my w istocie wiemy, iż goniwa była ustawiona, ale tej wiedzy nie możemy niestety wykorzystać. Dowodem jest taśma, której nie można przedstawić sądowi.

Popatrzył na nas obu, przez chwilę bawił się fajką leżącą na biurku, a polem podrapał się w podbródek jej ustnikiem.

- Może pan powiedzieć, kto w to był zamieszany?

- Mężczyzna nazwiskiem Tagliani - powiedziałem.

Jeśli znał w ogóle to nazwisko, to albo je zapomniał, albo był najlepszym ze znanych mi aktorów.

- Wydaje mi się, że nie...

- A może Frank Turner? W Dunetown używał tego nazwiska.

Kątem oka dostrzegłem wyraz zaskoczenia na twarzy Callahana, ale nic sobie z tego nie robiłem.

Tym razem reakcja Rainesa była znacznie żywsza.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Czy wiąże się to jakoś z morderstwami w mieście?

Było jasne, że jak każdy w Dunetown widział niejasne wzmianki w prasie, było też jasne, że nic rzeczywiście nie wie o Taglianim i o rozmiarach zbrodni.

- Nie wprost - odezwał się Callahan, nadal usiłujący zachować ostrożność.

Ja jednak byłem zdania, że czas najwyższy wyciągnąć kościotrupa z szafy. Opowiedziałem mu całą historię Taglianiego, zaczynając od Ohoi, a kończąc na kostnicy w Dunetown. Opowiedziałem mu o

Chevosie, przemiliym handlarzu narkotyków, o jego specjalistach od usuwania niewygodnych osób, Nance'em i Bronikacie, który tworzył zewnętrzną witrynę. Opowiedziałem mu o wojnie między Cherrym McGee a długonosym Gravesem, która mogła stać się zapowiedzią tego, co dopiero nadejdzie. Im dłużej mówiłem, tym bardziej zdumioną minę miał Callahan.

Zdumienie nie byłoby natomiast właściwym słowem na określenie stanu Rainesa; był wstrząśnięty.

Wszystko rozgrywałem jak w dobrym thrillerze: im głębiej zapadał się w fotel, tym więcej na niego zwałąłem. Śledziłem każde drgnienie jego twarzy, starając się rozstrzygnąć, czy naprawdę został wywiedziony w pole przez Titana i całą resztę, czy też należał do najlepszych aktorów wszystkich czasów. Doszedłem wreszcie do wniosku, że oszukano go. Cokolwiek trapiło go jeszcze przed godziną, było teraz czymś bez znaczenia w zestawieniu z moją opowieścią. Najlepszą rzecz zarezerwowałem na koniec.

- Jestem tylko zdziwiony, że Titan, Seaborn, Donleavy i ten facet od telewizji i prasy - jak mu tam...

- Sutter - powiedział głucho.

- Tak, on jest bezpośrednio odpowiedzialny za cały kamuflaż. Jestem zdziwiony, że żaden z pańskich partnerów o niczym pana nie poinformował.

Pauza.

- Wiedzą o wszystkim od kilku tygodni.

Callahan wyglądał, jakby się udławił własnym językiem.

Raines postarzał się o kolejne pięć lat w przeciągu dziesięciu sekund.

Po dziś dzień nie wiem, czy dałem upust swej wściekłości na Komitet, Chiefa i resztę zgrai z Dunetown, czy chciałem poinformować faceta o czymś, o czym powinien wiedzieć, czy to było z mojej strony podłe posunięcie, spowodowane tym, że pragnąłem jego żony, i stanowiące element wyrachowanej rozgrywki. Niezależnie od moich najgłębszych motywów,

jedno wiedziałem na pewno: teraz rozpocznie się niezła heca, kilka skał zacznie się walić. Wcale nie byłem pewien, kto wyjdzie z tego cało.

Kiedy zbliżałem się do końca, wiedział już, że i ja wiem o istnieniu Komitetu i zasięgu jego władzy. Dałem mu do zrozumienia mimochodem, od czasu do czasu wspominając o Titanie, to o Seabornie, nie wysuwając jednak żadnych konkretnych zarzutów.

Mówiłem długo, a przez cały czas słyszałem w sobie głos Irlandczyka: nie szalej, dopiekaj powolutku. Gniew łączyłem z zemstą.

- Tak czy inaczej - zakończyłem - robienie gonitw nie wiąże się z morderstwami, a jest tylko jednym z przykładów tego, co się tu dzieje. To... - zawahałem się, szukając odpowiednich słów. - W porównaniu z dawnymi czasami zupełnie zmieniła się w tym mieście hierarchia wartości.

Raines utkwił we mnie zimne spojrzenie i przyglądał mi się uparcie przez jakiś czas, choć wydawało się, że myśli jego błądzą gdzieś indziej. W końcu powoli pokiwał głową.

- Tak - powiedział ze smutkiem. - Dobrze pan to ujął, panie Kilmer. Zmiana wartości.

Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo musiał przeżyć to wszystko. Jest rzeczą bolesną dowiedzieć się, że się było okłamywanym przez swych najbliższych przyjaciół, ale jeśli tym, kto otwiera ci oczy, jest dawny chłopak twojej żony, to trochę już tego za wiele. Satysfakcja gdzieś uleciała, zrobiło mi się go żal. W ciągu niewielu minut rozwiało się wiele snów Harry'ego Rainesa.

Pancho Callahan spoglądał przez okno na tor wyścigowy. Miał do powiedzenia mniej niż zazwyczaj, to znaczy nic.

Raines wstał, napełnił szklaneczkę i przysiadł na rogu biurka.

- Doceniam pańską szczerość - odezwał się po chwili, z trudem formułując zdanie. - Znam pańskie... wcześniejsze związki z Dunetown. Wszystko to jest zapewne bardzo bolesne dla pana.

- Moje związki z Dunetown nie mają tu nic do rzeczy, panie Raines - odparłem. - Prowadzę śledztwo z ramienia rządu. Przyjechałem, żeby



dopomóc w oczyszczeniu miasta z tego zła, jakie się w nim rozplenilo. Jestem tutaj od pięciu dni i jak na razie wiem tylko jedno. Każdy ważniak, do którego zwracam się o pomoc, zaczyna kopać mnie po łydkach. Callahan nie powiedziałby panu tego wszystkiego, nie byłby tak nierozważny. Ale ja nigdy nie byłem zbyt dobry w dyplomacji. Dyplomacja nie na wiele się przydaje w moim zawodzie.

Przerwałem nagle. To, co powiedziałem przed chwilą, zabrzmiało tak, jakbym przechodził do defensywy.

Raines popatrzył na Callahana.

- Może pan potwierdzić słowa Kilmera? - spytał cicho.

Pancho powoli przytaknął.

- Mój Boże - wyszeptał Raines, a potem raz jeszcze zwrócił się do Callahana: - Wina jest całkowicie po stronie trenera - oznajmił ostro, jakby zupełnie zapomniał o całej rozmowie. Odzyskał wewnętrzną siłę, zniknął gdzieś przygniatający go ciężar. Znowu był twardy i pełen werwy: podjął wreszcie decyzje i teraz trzeba już było tylko je zrealizować. - Barton jest skończony. Wywalę go z całym tym jego butazolidinem.

- Przepraszam pana - sprzeciwił się Callahan - ale wydaje mi się, że mówimy o dwóch różnych rzeczach. Jedną jest dzisiejszy doping konia, drugą sfalszowanie gonitwy w niedzielę. Są to dwie różne sprawy, choć łączą się ze sobą.

- Tak, tak, wiem - odrzekł. Wyprostował plecy jak na defiladzie i pięścią jednej dłoni uderzył w drugą.

- Rozmawialiśmy z dżokejem...

- Impastato - wtrącił Raines, podkreślając swoją znajomość toru.

- Zgadza się. Impastato został ochrzaniiony przez Smokeya Bartona za wypuszczenie konia już na pięciu ósmych, zwykle zaczynali na trzech czwartych. To Thibideau nakazał takie rozegranie wyścigu.

- Tak bywa, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego - powiedział Raines, starając się być bezstronny.

- Zgoda. Ale nigdy się nie robi tego wtedy, kiedy koń jest faworytem, a tor najodpowiedniejszy dla niego.

- W porządku - Raines zachowywał swój obiektywizm - ale to za mało, żeby dowieść, iż gonitwa była ukartowana.

- Jest jednak jeszcze coś. Impastato mówi, że w ostatnim wyścigu Disaway zaczął nagle ściągać w lewo, biegł nienormalnie.

- Przepraszam pana, panie Callahan - przerwał mu Raines niecierpliwie - ale muszę się dowiedzieć, skąd ma pan informacje o sfalszowaniu gonitwy. Nie mogę iść do inspektorów i powiedzieć, że zasłyszałem taką plotkę na torze.

- W ogóle nie można z tym wystąpić do inspektorów... ani do Jockey Clubu - powiedział Callahan, szukając wzrokiem mego wsparcia.

- Dlaczego?

- Nie możemy tego udowodnić - wtrąciłem się. - Jest pan prawnikiem. To tylko domysły. Sam pan się wpakuje w kabałę i jeszcze my zostanie-  
my w nią wciągnięci.

- Już się wpakowałem w kabałę - mruknął.

- Jake'owi chodzi o to - powiedział Callahan - że nie możemy dowieść, iż koń został specjalnie tak spreparowany, żeby źle biegł. Nie możemy udowodnić, że za wszystkim stał ostatecznie Thibideau, jeśli za wcześniej ujawnimy całą sprawę. Nie potrafimy nawet dowieść, że to był Thibideau. Nie da się wykazać, że koń biegł z cieniutkim jak włos pęknięciem w przedniej nodze.

Gniew Rainesa zmienił się w zniechęcenie.

- Dobrze, niech mi pan powie, jak pan sobie to wszystko wyobraża.

- Moim zdaniem, nie dali butesu Disawayowi w niedzielę, gdyż ten środek dodaje spida; koń mógłby wtedy wygrać, był faworytem, a miał przegrać. Dali mu natomiast butazolidin dzisiaj, gdyż zaczął kuleć po porannym treningu, chodziło zaś o to, żeby wygrał. Biegł więc jak szalony, nie czując bólu w nodze, ale w końcu nie wytrzymał i padł. Uważam, że to Thibideau nagrał niedzielną porażkę Disawayą. Jedyne błęd Smokeya polega na

tym, że nie wycofał okulawionego konia. Ale gdyby chcieć karać tylko za to, musiałby pan wywalić połowę trenerów.

- To ich wywałę - powiedział gniewnie Raines. Skończył brandy i stał teraz zwrócony do nas plecami, patrząc przez okno. - Chciwość właściciela, głupota trenera i dwa konie zdechły. Jeden dżokej już nigdy nie wsiądzie na konia, drugi męczy się w szpitalu. - Odwrócił się.

- Z tego, co wiem, przez całe trzy lata, odkąd istnieje ten tor, nie było ani jednego wypadku ukartowania gonitwy.

- Cóż - stwierdził Callahan - było to dobrze pomyślane i niemożliwe do dowiedzenia. Wszystko by się powiodło, tyle że noga okazała się słabsza, niż myśleli. Zawsze tak jest, kiedy koń łamie nogę podczas biegu.

- W takim razie, co ja, u diabła, mogę zrobić? - wybuchnął Raines i przez chwilę przypominał Chiefa Findleya.

Callahan skończył drinka i powstał.

- W tej sprawie? Nic. Thibideau stracił konia i to cena, jaką zapłacił. Dwa pozostałe konie i dżokeje? Nie wiem, co powiedzieć. W raportach zapisze się kolejny wypadek. Wydaje mi się... widzi pan, powiedzieliśmy panu o tym, bo to nie było po raz ostatni, na pewno jeszcze będą próbować. Znam pana stosunek do toru i do koni. Chcieliśmy, żeby pan wiedział.

Raines usiadł z westchnieniem w fotelu i zagryzał dolną wargę.

- Doceniam to i dziękuję - oświadczył. Myślał już jednak o czymś innym, znowu miał nieobecny wzrok.

- Panie Raines - powiedziałem z naciskiem - na pewno by to nam nic nie pomogło, to znaczy Callahanowi, mnie i innym ludziom z grupy Moreheada, gdyby zaczął pan teraz rozmawiać z kimkolwiek o ustawieniu tamtej gonitwy. Niech się pan z tym trochę wstrzyma, dzień, dwa, niech pan to zachowa na razie dla siebie.

Trudno mu było się sprzeciwić i nie zrobił tego.

- Dziękuję za zaufanie - powiedział, nie patrząc na żadnego z nas. - Czterdzieści osiem godzin wystarczy?

Pancho spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

- Tak - potwierdził. - To będzie w porządku. Skontaktujemy się z panem.

Kiedy wychodziliśmy, Raines siedział, wpatrzony w tor, który stworzył, kochał i którego czuł się opiekunem, tak jak kiedyś Chief kochał Dune-town i czuł się jego opiekunem. Szkodami go było, wyglądał jak uczeń, który zetknął się nagle z brudem życia. Callahan nie odzywał się aż do chwili, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz budynku i ruszyliśmy w kierunku samochodu.

- Ostry dziś byłeś - ocenił.

- Pancho, czy nigdy nie nudzi cię zadawanie się z niedołęgami? - zapytałem z westchnieniem.

- Zawsze - odparł, spoglądając w kierunku toru, gdzie naprawiano bandę.

- Tak samo jest ze mną. Raines z pewnością nie jest safandulą, ale otacza go zgraja niedołęgów.

- Co ci to dało, że rozjaśniłeś mi w głowie?

- Nikt inny by tego nie zrobił. Czasami trzeba zagrać z kimś uczciwie.

- Ładnie to zrobiłeś - przyznał. - Ciekaw jestem tylko, co powie

Szkop.

- Nie martwiłbym się Szkopem. Stoney Titan, to jest problem.

- Aha... - mruknął po chwili Callahan i westchnął na samą myśl o nim.

Nie powiedziałem mu jednak, że badałem Rainesa, żeby zobaczyć, z jakiego jest materiału.

Nie jestem pewien, czy spodobałaby mi się odpowiedź Callahana.

## 58. RETROSPEKCJA: DZIENNIK WIETNAMSKI. DRUGIE SZEŚĆ MIESIĘCY

### DZIEŃ STO OSIEMDZIESIĄTY DRUGI:

Wiedzieliśmy, że wioska jest kryjówką Wietcongu. Rozejrzeliśmy się; był, oczywiście, ten wielki gar z gotującym się ryżem, mogący wykarmić ze sto osób, było paru starców, trochę dzieciaków, dwie czy trzy młode kobiety. To wszystko.

- Są za chudzi na to, żeby to wszystko zeżreć - powiedział Jesse Hatch.

Chłopakowi z Pensylwanii, który przyszedł na miejsce Flaglera, karabin .60 jakby przyszedł do ramienia. Szybko się uczy. Nazwaliśmy go Strzelba; mówi, że bardzo dużo polował w lecie i w zimie, już mając osiem czy dziewięć lat. Nie boi się niczego. Jeszcze zanim znalazł się w Wietnamie, wyznawał filozofię „a tam, pierdolę wszystko”.

Wróciliśmy tam jednak w nocy, by sprawdzić, czy nie zastaniemy partyzantów. Było mnóstwo ruchu, wioska zamieniła się w miasteczko VC. Wystrzeliliśmy rakiety i uderzyliśmy z dwóch stron, tyle że z tyłu wioski był strumień, tamci skoczyli na drugą stronę i zostaliśmy przygwożdżeni. Dookoła serie smugowe, wybuchające pociski, straszny rejwach.

Grzaliśmy w chatki ze wszystkiego, co mieliśmy, i nagle w jednej coś wybuchło. Musiała tam być cała ich amunicja, gdyż zrobiło się mniej więcej tak jak Czwartego Lipca. Granaty, pociski moździerzowe, smugowe, miny. Zaczęliśmy spieprzać i naraz Hatch dostał w nogę z drugiego brzegu, przewrócił się i wleciał do wody. Zaczął się drzeć, spanikowany, że nie umie pływać. Na to Carmody krzyczy: „Zamknij się, do cholery”, ale było już za późno, bo Hatch dostał właśnie w głowę. Skoczyliśmy z Carmodym i wyciągnęliśmy go, wiedziałem jednak, że już po chłopaku; było to jak szarpanie się z kłodą drewna.

Carmody bez przerwy powtarzał: - Po co się darł, po kiego chuja się darł. Pierdolony strumień, trzy stopy głębokości.

Ale przecież było ciemno, wszystko źle się układało, a Jesse naprawdę nie umiał pływać. Do diabła, czemu ja się przejmuję starym Hatchem, zapłacił za swoje.

## DZIEŃ STO DZIEWIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY:

Porucznik dostaje świra. Zaczęło się parę tygodni temu, od dnia kiedy straciliśmy Jesse'ego Hacha. Jakby miał kłopot z podjęciem jakiegokolwiek decyzji.

Idę wieczorem do zasrańca i mówię: „Panie poruczniku, zrobimy małe piwo?” A on siedzi, patrzy na mnie i powiada: „Muszę pomyśleć”. Pomyśleć o piwie?

Dzisiaj odezwał się: - Już po moim farcie. Nie powinienem był stracić Flaglera i Hacha.

- To nie twoja wina - janato.

- A czyja, Nixona? - powiedział, ale było w tym strasznie dużo goryczy. Stracił też poczucie humoru.

## DZIEŃ DWIEŚCIE PIĘTNASTY:

Oddzieliliśmy się od reszty jednostki, ale przez dwa dni szło dobrze. Potem wpadliśmy na tych skurwieli. Chyba z dziesięciu. Rozsuwamy zarośla, a oni są przed nami, góra dwadzieścia stóp.

Wszyscy padli, z wyjątkiem porucznika. Nie wiem, co go opętało, stał jak sparaliżowany. Jeden z VC zerwał z pleców AK-47 i puścił serię.

Carmody dostał trzy kule; leżał o kilka stóp ode mnie i strasznie tarzał się w piasku.

Najkrótsza wymiana ognia, jaką widziałem. Trwała może dziesięć sekund. Wszyscy zaczęli strzelać, tamci natychmiast prysnęli, tylko Carmody dostał. Jeden z VC wskoczył do rzeki, Strzelba za nim i zaczyna go walić karabinem. Bił tak długo, aż mu zabrakło sił.

Objąłem porucznika, ściskając najmocniej, jak potrafiłem, i ciągle powtarzałem, że wszystko będzie w porządku. Trzymałem go tak, aż przestał się trząść i zaczął sztywnieć.

To niemożliwe. Jeszcze jeden miesiąc, tyle mu pozostało. Nie wiem dlaczego, ale myślałem, że kule się go nie imają. Po sześciu miesiącach powinienem jednak wiedzieć.

## DZIEŃ DWIEŚCIE PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY:

To już sześć tygodni, jak nie ma Carmody'ego. Ciągle myślę o tym, że nie zdażyłem mu podziękować. Gdyby jeszcze poczekał minutę, dwie. Kurwa mać, człowiek tutaj na zbyt wiele liczy.

Jestem od tego dnia dowódcą oddziału. Dali mi sierżanta. Z weteranów zostaliśmy tylko Doe, Strzelba i ja. Postrzelili Jordana i wrócił do Świata. W noc przed odjazdem upiliśmy go tak, że zeszywniał. Przywiązaliśmy go więc do łódki i ciągnęliśmy strumieniem do bazy, osiem, dziewięć kilosów. Prawie się utopił. Jak dotarliśmy do bazy, był już trzeźwy. No to znowu go upiliśmy, tak że kiedy ładowali go do kręciółka, który leciał do Cam Ranh, był zupełnie dętka. Chyba jeszcze teraz ma kaca. Żeby nie zapomniał o nas.

Uwierzysz, pół roku i jestem już weteranem.

Nigdy nie powiedziałem porucznikowi, jak go lubiłem.

## DZIEŃ DWIEŚCIE SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY:

Wezwali mnie dzisiaj do Dau Tieng, gdzie jest kwatera główna dywizji, i rozmawiałem z kapitanem, który, zdaje się, jest tu ważną szyczą. Powiedział, że zaproponowali mnie do Srebrnej Gwiazdy za tę historię pod Hi Pien. Ratowaliśmy wtedy chłopaków i chyba rzeczywiście spisałem się dobrze.

Zapytał, co myślę o tej wojnie. Dasz wiarę? Co, na Boga, można myśleć o tej wojnie?

- Miałem już lepsze chwile - odparłem - na przykład, jak wycięli mi wyrostek robaczkowy.

Kapitan miał bardzo ciemne oczy, wyglądał, jakby od dawna nie spał i jakby przydało mu się trochę słońca. Poczul się obrażony.

- Chodzi mi o pańską polityczną ocenę wojny - powiedział.

- Nic o tym nie wiem - odrzekłem - nic mnie nie interesuje to całe polityczne gówno. Jestem tutaj, bo mnie wysłali. Nie wiem nawet, co my tu właściwie robimy, panie kapitanie. Coś mi się wydaje, że tylko wystawiamy dupy, żeby nam dokopali.

- To pana najbardziej martwi, sierżancie? To znaczy, że dostajemy w dupę?

- A pan co, jest jakimś pedziem czy czymś takim?

Roześmiał się i powiedział, że nie jest pedziem. Więc mu powiedziałem:

- Nikt tu nie chciałby dostać.

Zapytał mnie, ile mam lat, a kiedy odpowiedziałem, że dwadzieścia jeden, on na to: - Cholernie dobry z ciebie żołnierz.

- Coś panu powiem, kapitanie. Jestem teraz jako krótkoterminowy. Zostało mi jeszcze sześć miesięcy i mam w życiu dwa cele. Wrócić cało do domu i dowieźć cało moich ludzi. Nic więcej mnie nie obchodzi. Nie ma niczego więcej. Jak tylko zaczyna się myśleć o czymkolwiek innym, już się jest trupem.

- Chcę wystąpić o awans dla pana - powiada tak po prostu.

- O kurwa, nie! - krzyknąłem. - Kapitanie, niech pan mi tego nie robi. Dajcie mi spokój.



- Potrzebuję w oddziale porucznika, a pan najlepiej się do tego nadaje.  
- Panie kapitanie, dajcie mi sześć pasków, albo coś takiego, w ten sposób będę lepszy od każdego w oddziale. Zostanę z chłopakami, będę robił to samo gównu, ale, człowieku, nie chcę pieprzonych gwiazdek. Gwiazdka zabija. Od tego trzymam się z daleka, panie kapitanie. Nie zamierzam zginąć w tym błocie. Jak mi pan da gwiazdkę, to będzie jak gwóźdź do trumny.

No to dał mi sześć pasków i przepustkę na noc, żebym sobie poużywał w mieście. Taki pieprzony żart. Następnego dnia byłem znowu w Hi Pien i wszystko było po staremu. To samo stare gównu.

## DZIEŃ DWIEŚCIE OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Przyjechał na inspekcję ten pieprzony pułkownik. Stary wojak, można powiedzieć. Znał wszystkie sztuczki i wszystko olewał. W rozmowie nie wydawał się nawet specjalnie mądry. Nie myślałem, żeby kiedykolwiek poczuł naprawdę gorąco koło dupy.

Po południu miał przylecieć po niego helikopter sanitarny, staliśmy więc na lądowisku na szczycie pagórka, on zaczął sikać na zbocze, kiedy nagle przygrzały nam Wietcongi. Nie wiem, skąd się wzięli, ale ten nic, tylko się śmieje, więc mówię: - Panie pułkowniku, lepiej niech pan uważa, zdaje się, że wszędzie dookoła są te skubańce.

- Szczam na nich - on mi na to.

Znienacka zakotłowało się dookoła nas od dziewięciomilimetrówek. Seria chyba z pięćdziesięciu pocisków, ziemia dookoła niego zakipiła, jakby wytrysnęły spod niej małe fontanny. A on skończył, podciągnął suwak i

pokazał im wała. Potem przyleciał huey, koleś wsiadł i tyle go było widać. Kurczę, pomyślałem, oto facet, który nie lubi stać w szeregu.

- Ktoś go kiedyś ubije, zbzikowanego skurwysyna - powiedział Doc. - Ten to się już zupełnie przestał przejmować.

- Co oni, kurwa, z nim zrobią? - mówię. - Przecież nie mogą odesłać takiego świra do Świata.

- Czy ja wiem, niech go wyślą na jakąś pieprzoną Pułkownikówkę - powiedział Doc i wszyscy zaczęliśmy się śmiać.

## DZIEŃ TRZYSTA SZÓSTY:

Strzelba pojechał na tygodniowy urlop do Sajgonu, spotkał tam faceta z artylerii, poszli w tango, napili się i trochę zaszaleli. Tak czy inaczej, koleś pokazał Strzelbie, jak wyjmować zapalniki z ręcznych granatów, i Strzelba po powrocie każdego wieczoru wyjmował sobie zapalniki z M-4 i pakował je po pięć, sześć do pojemników z amunicją.

Kilka dni później siedzimy sobie na lądowisku, a tu wyskakują VC. Strzelba krzyczy, żeby lecieć za nim i zostawia wszystkie torby. Odskokczyliśmy na trzydzieści metrów, przywarowaliśmy i czekamy. Nagle dokoła wybuchy, skurwiele w krzyk, raban jak cholera. Potem wróciliśmy i zajęliśmy pozycję. Zginęło koło dwudziestu, a połowa miała tylko jedną rękę.

Zrobiliśmy to jeszcze parę razy, spieprzając z pozycji i zostawiając swoje bety. Strzelba zawsze ma teraz przy sobie parę takich paczek z amunicją, które im podrzucamy. Taki handel. Pieprzone małpy, niczego nie mogą się nauczyć. Za każdym razem działa jak ta lala.

## DZIEŃ TRZYSTA TRZYDZIESTY DRUGI:

Przydzielili do nas kolesia z Armii Południowego Wietnamu. Nie dowierzam Wietnamczykom, także tym z Południa. Mają skłonność do spieprzania, kiedy robi się gorąco. Wiem, że może za bardzo uogólniam, ale tutaj czasami można przeżyć dzięki uogólnieniom. Tak czy inaczej, harcerzyk z APW szedł w szpicy i nadział się na snajpera. Marnego snajpera, ale ta menda wzięła nogi za pas i przylatuje z meldunkiem. Cała rzecz w tym, że nie spróbował przygwoździć skurwiela.

Przylatuje więc z meldunkiem, a w tym czasie tamten załatwił trzech chłopaków, tak po prostu, raz, dwa, trzy. Podskoczyliśmy tam, zaszedłem sukkinsyna od tyłu i władowałem w niego pół magazynka.

Kiedy wróciliśmy do bazy, łączę się ze sztabem i mówię, że odsyłam im tego gówniarza z APW. Nie ma z niego żadnego pożytku.

- Musi zostać - oni na to. - To sprawa polityczna.

Poli-pieprzona-tyka. Chryste! W dupie mam całą politykę.

Dziś wieczór obozowaliśmy w dżungli, ale koleś wybrał się do miasta, żeby się spotkać z panienką. Poszedłem chyłkiem za nim. Kiedy zbliżył się do przystani, skąd miał przepłynąć na drugą stronę, strzeliłem mu w ucho z karabinu i wrzuciłem do pieprzonej rzeki.

Ten skurwysyn z pewnością już nie wystawi moich ludzi na strzał.

## DZIEŃ TRZYSTA TRZYDZIESTY ÓSMY:

Kiedy tym razem pojechałem do Dau Tieng, był kapitan i ten porucznik, Harris, który wyglądał, jakby nigdy nie dostał od nikogo po ryju. Spotkaliśmy się w barze, który wszyscy dla zgrzywu nazywali Cafe Society. Myślałem, że to w związku z tym APW. Pewnie go znaleźli, a

tamten był bratem jakiegoś pieprzonego waźniaka czy coś takiego. Tymczasem ta sprawa w ogóle się nie pojawiła.

- Wiesz, jaki jest kłopot z tą wojną? - mówi kapitan. - Że mamy ludzi tylko na rok. Kiedy nauczą się już na tyle, żeby przeżyć, i poznają kilka fajnych sztuczek, wracają do domu.

Oho, pomyślałem sobie. Wtedy włączył się porucznik:

- Pan, sierżancie, dobrze wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Ja w śmiech. Nawet nie wiem, co się tu dzieje dwie mile dalej; zaraz im to powiedziałem.

- Na froncie, to miałem na myśli - uściślił porucznik.

- Aha - powiadam.

- Słyszał pan kiedyś o DROW?

Słyszałem jakieś niejasne historie o mieszanych oddziałach, złożonych z północnych Wietnamczyków, którzy przeszli na naszą stronę i nazwali się skautami Kita Carsona, plus jacyś piechociarze, francuscy Legioniści, a także ludzie z CIA, ale tych to akurat wszędzie się doszukiwano. Według tego, co do mnie dotarło, takie oddziały do zadań specjalnych, nasz odpowiednik Zielonych Beretów czy oddziałów FOKA, czyli beretów, tyle że z marynarki. Odpowiedziałem jednak, że nie, bo to, co słyszałem to były tylko pogaduchy.

- To Drużyny Rozpoznania i Wywiadu. Oddziały specjalne. Są małe, cztery, pięć osób. Wie pan, jak to jest, są tak zżyci, że myślą jak jeden człowiek. Działa się w dużej mierze na własną rękę, cele samemu się wybiera, w zależności od okoliczności. Tak to wygląda. Myślę, że to coś specjalnie dla pana.

- Zostało mi jeszcze dziesięć tygodni - odpowiedziałem i chciałem, żeby to zabrzmiało jak: „Chyba, koleś, zwariowałeś”.

Śmieszne jednak, że jakoś to mnie zainteresowało. To znaczy poruczniczyna namawia na następną rundkę, a ja słucham tego skurwysyna.

- Mamy niewielkie straty, bo każdy zna się na robocie.

Wypad, zadanie, powrót i nikt się panu do niczego nie wpięprza.

- Całkiem podobne do tego, co teraz robię - powiedziałem.  
- No więc właśnie mówię, że wspaniale pan pasuje do DROW. Potrzebujemy takich ludzi jak pan.

Zacząłem się trochę denerwować.

- A niby po co mi to, panie poruczniku? Nadstawiać dupy jeszcze przez następne dwanaście miesięcy? Ja chromolę!

- A co niby takiego czeka pana w domu? - pyta tamten. - Osiem godzin pracy, osiem godzin snu. Ja pieprzę, sierżancie, zostaje panu osiem godzin na życie. To tutaj jest lepsze niż kręgle.

Powiedziałem mu, że namyślę się nad tym, podmuchałem dziewczynki przez dwa dni i wróciłem do oddziału.

## DZIEŃ TRZYSTA CZTERDZIESTY SIÓDMY:

Przysłali do nas dzieciaka; pierwszy raz na linii. Nawet nie pamiętam, jak się nazywał. Tak czy inaczej, walimy na tę wioskę, zaczyna się strzelanina, szczeniak nagle wali się ze skreconą kostką i zaczyna wrzeszczeć. Wszyscy leżymy, a ja tylko myślę, ile to razy powtarzałem gówniarzowi: „Jak dostaniesz, trzymaj pyskę na kłódkę, nieważne, jak cię boli”. Ale wszystko zapomniał.

Zaczęli pruć do niego ze wszystkich stron, ale Doc wcześniej już był przy nim i ciągnął go za nogę, chcąc ukryć małego za jakąś osłoną.

Wtedy usłyszałem, że któryś dostał. Słyszysz takie pfunk i tyle.

Miałem nadzieję, że to szczeniak, ale gdzie tam. Trafili Doca, trup na miejscu.

Wtedy szczeniak, kompletnie już spietrany, zerwał się i próbował biec; no i przecięli go na pół.

Jaka szkoda, o kurwa mać, jaka szkoda.

Potem przylecieli żandarmi z tymi swoimi torbami na zwłoki.

Doc leżał pod drzewem, zupełnie jakby drzemał, ja siedziałem przy nim, a ten facet podchodzi z torbą i otwiera suwak.

Boże, jak ja nienawidzę tego dźwięku, jak ja nienawidzę tych cholernych zamków.

- Nie nakładajcie tego na niego! - krzyknąłem, łapiąc za cholerną zieloną torbę na śmiecie. - Nie zakładajcie na niego tej pieprzonej torby!

- Uspokój się, bracie, uspokój się - zaczął mówić Strzelba. - Już go nie ma. Odszedł od nas. Niech go zabiorą.

Nie możesz płakać, wiesz. Nikt tu nie płacze. Jak zaczniesz płakać, wszyscy pomyślą, że dostajesz świra. Doc miał już tylko osiem dni.

Osiem pierdolonych dni do powrotu. Tak długo mu się udawało, tyle już wiedział. I wszystko zapakowane w pieprzoną torbę na śmieci.

## DZIEŃ TRZYSTA PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI:

Przez cały ten czas bardzo dużo myślę o Carmodym, Flaglerze, Jesse Hatchu, Docu Zieglerze. O innych. Porucznik ma rację: szkoda spędzić cały rok na froncie i wracać właśnie wtedy, kiedy zaczynasz rozumieć się na tym, co robisz. Nigdy dotąd nie byłem zawodowcem w żadnej dziedzinie, teraz jednak wiem, jak walczyć z tymi skurwysynami. Teraz czuję, że robię jednak coś porządnego, że coś udaje się uzyskać. Wiesz, chodzi o to, żeby spróbować samemu coś w tym zmienić, wziąć rewanż za Jessego, Docę, porucznika i całą resztę.

I jeszcze jedno. Nie powiedziałbym o tym ani im, ani nikomu innemu. Lubię to. Jak to stracę... Mierzę do zasańca, powoli naciskam spust, koleś pada. Kurwa, brachu, to jest przeżycie. To jest prawdziwe przeżycie. Nic innego na świecie ci go nie da.

## 59. PIRAMIDY

Trochę pobłądziłem, zanim odnalazłem uliczkę DeeDee. Czerwony datsun stał na podjeździe, a na sąsiednim podwórku dzieciaki bawiły się w chowanego. Z zewnątrz dom wyglądał zupełnie normalnie. Śmierć jeszcze się kryła przed sąsiadami.

Lark otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka. Wnętrze było ciemne, przygnębiające, ciche. Nie zaczęło się jeszcze oplakiwanie. Nie było kwiatów, nakryć dla sąsiadów, milczących gości, starających się nie spoglądać na trumnę.

Lark siadła na twardym, niewygodnym antycznym krześle, ręce splotła na kolanach i wbiła wzrok w podłogę, nie wiedząc, jak zachować się w obliczu tragedii. Nigdy chyba nie znalazła się dotąd w takiej sytuacji, znała na razie chyba tylko jasną stronę życia. Tragedie ją omijały.

- DeeDee zasnęła - powiedziała po chwili ciężkiego milczenia. - Doktor dał jej dwa zastrzyki i dopiero wtedy się uspokoiła. Nie wiem, ile będzie teraz spała. Co najmniej kilka godzin. - Zamilkła, mnąc w rękę rąbek sukienki. - Dzwonił pan Seaborn. Dziękuję, że mi powiedziałeś. Wydawał się naprawdę zmartwiony.

- Z pewnością - odparłem, nie bardzo wiedząc, co jeszcze rzec. - Wpadłem zobaczyć, jak się miewa.

- Trudno powiedzieć - stwierdziła Lark. - Nie wiem, jak to będzie, gdy się obudzi. Kiedy lekarz przyjechał, była w szoku. - Podniosła na mnie wzrok i spytała niemal z rozpaczą: - Czy Tony robił coś sprzecznego z prawem, kiedy to nastąpiło? Wydaje się, że DeeDee najbardziej się o to martwiła. Nie o siebie. Nie chce, by ludzie... by ludzie źle go wspominali.

- Nie mogę odpowiedzieć na pewno, ale to niestety możliwe.

- Jak zginął?

- Także i tego nie wiem na pewno - stwierdziłem, starając się nie kłamać w żywe oczy. - Być może utonął. Na pewno przebywał w wodzie przez jakiś czas. Wyrzuciło go na brzeg koło wyspy jakiegoś świętego.

- Świętego Simona - powiedziała. - To około pięćdziesiąt mil na południe stąd.

- Przeprowadzają teraz sekcję zwłok.

Wzdrygnęła się na dźwięk tych słów. Potem raptownie spojrzała mi w twarz. - O mało bym zapomniała. Mickey wpadł tutaj. Prosił, żebym ci przekazała, że czeka na kontakt. Powiedział, że to bardzo ważne.

- Masz mój telefon? - spytałem, zbierając się do wyjścia. Tak naprawdę chciałem się zobaczyć z DeeDee i niewiele miałem do powiedzenia Lark. Kiwnęła głową. - Zatrzymałem się w „Ponce”. - Znowu przytaknęła. - Czy mogę w czymś pomóc?...

- Wziąłeś na siebie to najtrudniejsze - szepnęła Lark. - To bardzo dobrze, że dowiedziała się od ciebie, a nie...

- Chyba przydałby ci się tutaj ktoś do pomocy - podsunąłem.

- Nie, nie teraz. DeeDee by tego nie chciała.

Wyszedłem i pojechałem do Magazynu. Czarny pontiac Czerwia stał przed wejściem, a on sam czytał w środku wydruk komputerowy.

- Wcześniej wróciłeś - odezwał się. - Dostałeś moją wiadomość?

Najwyraźniej nic nie wiedział o wydarzeniach na torze, ja zaś nie miałem nastroju do szczegółowych opowieści. Było dopiero popołudnie, a czułem się jak sflaczały balon.

- Jestem denat - oznajmiłem.

- Ostatnimi dniami często się to tutaj ludziom przydarza - wycedził. - Jak poszło na wyścigach?

- Był wypadek - poinformowałem. - Trzy konie padły.

- Co takiego?

- Jeden z koni złamał przednią nogę na ostatniej prostej, a wraz z nim poleciały dwa inne.

- Co z dżokejami? - zainteresował się.

- Pokiereszowani, ale żyją. W przeciwieństwie do dwóch koni.

Gwizdnął przez zęby i do tego ograniczyła się jego ciekawość.

- A co tam w banku? - zagadnąłem.



- Już myślałem, że nie zapytasz - uśmiechnął się Czerw. - Staralem się ustalić, w jaki sposób wykorzystują bank do prania pieniędzy. Złe wieści, jak na razie wygląda na to, że wszystkie ich operacje są legalne.

- Niemożliwe!

- No, powiedzmy, do pewnego stopnia legalne - poprawił się. - Konto, z którego korzysta Cohen, należy do Abaca Corporation. Jednouchy Charlie powiada, że do Abaca należy Thunder Point Marina, restauracja Bronicaty, Porthole, Jalisco Shrimp Company i tak dalej, i tak dalej. Sprawdziłem rachunek. Codziennie dokonywane są wpłaty, ale nieprzekraczające nigdy kilku tysięcy dolarów.

- To się nie zgadza z informacją Lark.

- Poczekaj - powiedział. - Jeszcze nie skończyłem. Miałem tylko ten jeden numer, postanowiłem więc przyjrzeć się dziennemu zestawieniu. To chronologiczna lista wszystkich wpłat, jakich dokonano w banku danego dnia. I wyobraź sobie, znalazłem dziesięć wpłat na tysiąc dolarów, dokonanych jedna po drugiej w sekundowych odstępach. - Zrobił szeroki gest i oznajmił: - Piramidy, ot co!

- Piramidy?

- Cohen buduje sobie piramidy.

- Nie rozumiem.

- To proste, kiedy już raz to rozgryziesz. Cohen wpłaca sto tysięcy, ale do Abaca wpływa tylko dziesięć. Cały system jest odrobinę skomplikowany.

- Spróbuj mi to wyjaśnić, bo na razie nie chwytam - poprosiłem.

- Po pierwsze, przyjmijmy, że Seaborn jest w zмовie z Cohenem, który używa banku jako pralki. Cały problem polega na tym, by duże pieniądze przepuścić przez bank w ten sposób, żeby nie wzbudzać podejrzeń Izby Skarbowej, tak?

- Mhm.

- I tu pojawiają się piramidy. Co dzieje się, kiedy Cohen wpłaca... przykładowo powiedzmy dziesięć tysięcy dolców? Suma zostaje

skierowana na konto Abaca Corporation. To jest baza, rozumiesz? Ale komputer jest tak zaprogramowany, że natychmiast rozdziela te pieniądze w odpowiedniej proporcji między inne rachunki. Na koncie Abaca nie pojawi się bynajmniej dziesięć tysięcy, gdyż przed zaksięgowaniem komputer rozrzuca tę sumę po innych kontaktach.

- Czy to są zawsze te same konta?

Potrząsnął głową.

- Na rachunku jest oznaczenie kodowe, które stanowi dla komputera polecenie, na jakie konta i w jakiej proporcji przelać wyjściową sumę. Z każdego takiego konta te części rozchodzą się następnie na pięć do dziesięciu dalszych kont. Tak powstaje piramida.

- A zatem każdy dolar, który wpływa do banku, jest rozdzielany na tak wiele części, że na żadnym koncie nie widać wielkich sum, które mogłyby się stać sygnałem ostrzegawczym dla Leprozorium? - powiedziałem.

- Dokładnie tak - stwierdził Czerw. - Jeśli się nie będzie wiedziało, czego szukać, nigdy się nie wpadnie na żaden ślad. Ale widzisz, problem w tym, że te konta są, jak się zdaje, wykorzystywane przez nich do zupełnie legalnych celów. Wypłaty dla pracowników Trójcy, rachunki z i dla restauracji Bom Dia, Jalisco Shrimp Company, Thunder Point Marina... Seview Company, Hojan. Rojah, co tylko zechcesz... Do diabła, to najprawdopodobniej setki kont. Ten Cohen to prawdziwy geniusz. Gdyby było trzeba, potrafiłby pewnie udokumentować większość forsy, która wpływa do piramidy.

- Ale ten cały system musi przecież czemuś służyć - zaprotestowałem. - Gdzieś musi zbierać się śmietanka, którą ściągają.

- Tak - zgodził się. - Ale gdzie? Ze szczytu jednej piramidy spoglądamy na inne. Twórcza księgowość stworzona przez twórczą technikę komputerową. Bardzo możliwe, że niektóre z tych rachunków służą do odprowadzania śmietanki, jak to określiłeś, ale nie sposób powiedzieć, które.

Czerw miał rację. Chociaż system był niebywale przewrotny, nie był

jednak nielegalny. Nielegalne było wykorzystywanie banku do rozprawienia na legalne konta pieniędzy zebranych z hazardu, prostytucji, narkotyków i czego tam jeszcze, a następnie wyciśnięcie z kont forsy bez zadeklarowania tego Izbie Skarbowej. Pytanie polegało na tym, jak to robią.

- Nigdy tego nie rozgryziemy bez listy wszystkich ich rachunków - oświadczył Czerw.

- Słuchaj - powiedziałem - mamy ich już niemal na widelcu. Cohen musi gdzieś mieć taką listę. Wszystko jest zbyt skomplikowane, żeby mógł to spamiętać.

- Ma ją z pewnością we własnym komputerze. A my nie mamy dostępu do jego prywatnej końcówki.

- Jedno jest absolutnie pewne - stwierdziłem. - Za wszelką cenę musimy zachować Cohena przy życiu. On ma klucz do całej łamigłówki.

- Chcesz go wsadzić do aresztu prewencyjnego? - zapytał Czerw. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy. I tak depeczemy im po piętach przez całą dobę.

- Tak, i jak na razie żadnemu to nie pomogło - powiedziałem ponuro.

Było jeszcze inne rozwiązanie. Mogliśmy objąć Cohena systemem ochrony świadków, gdyby zgodził się z nami współpracować. Wiedziałem, co bym odpowiedział na taką propozycję, będąc w sytuacji Cohena. „Wypchajcie się!”

## 60. COCKTAIL PARTY

Myślę, że zazwyczaj najpiękniejsze widoki w mieście związane są z najwyższymi budynkami, jeśli oczywiście ma się pieniądze, by odpowiednio wszystko urządzić. Babs Thomas miała i budynek, i pieniądze,

a na dodatek jeszcze i niezły gust. Położony na szczycie wieżowca apartament przypominał szklane pudełeczko otoczone zewsząd kwietnikami. Wszędzie szklane ściany: w salonie, sypialniach, kuchni, nawet w łazience. Kotary zapewniały intymność, jeśli odczuwało się jej potrzebę, choć jedy- nymi podglądaczami mogli być pasażerowie nisko przelatujących samolo- tów.

Wnętrza oświetlone były matowymi, stożkowymi lampkami, co dawało efekt niezwykły i fascynujący, jako że w szybach te świetlne punkty odbi- jały się wielokrotnie, zalewając pokoje miękką, żółtą poświatą.

Zjawilo się ze trzydzieści par; tak powinno wyglądać w pojęciu Babs spotkanie dla kilku przyjaciół, zamożnych i na poziomie. Zdaje się, że tylko śmierć w rodzinie ewentualnie, jak w przypadku Charlesa Seaborna, kon- trola bankowa mogły stanowić dostateczne usprawiedliwienie nieobecności na raucie.

Babs, zjawiskowa w żółtej jedwabnej sukni i białym kapeluszu, po któ- rego rondzie można było jeździć na deskorolce, podpłynęła do mnie na- tychmiast, kiedy wszedłem, zaciągnęła w pusty kącik i wypełniła mój karne- ciki, pokrótce informując, z kim warto porozmawiać, a kogo lepiej uni- kać.

Co do mnie, chciałem poznać przede wszystkim pozostałych członków Komitetu.

Arthur Logan, prawnik, miał około czterdziestu lat, choć wyglądał na sześćdziesiąt. Natura obdarzyła go tak nędzną posturą, że sprawiał niemal wrażenie garbusa, twarz, wydawało się, zastygła w grymasie wiecznego zmartwienia, a rozbiegane oczy były pełne niezwykłego napięcia, jakby od każdego spodziewał się usłyszeć fatalne wieści. Dziesięć minut rozmowy wystarczało, by stwierdzić, że umysł ma zwiędły w tym samym stopniu, co ciało, a jego konserwatyzm jest tak ogromny, iż Calvin Coolidge musiałby go uznać za wstecznika. Jeśli chodzi o jego równie nieatrakcyjną żonę, odnosiło się wrażenie, że gdzieś po drodze utraciła szyję. Towarzyszyła mu wiernie, uśmiechając się i milcząc konsekwentnie.

Roger Suiter, gwiazda dziennikarstwa, był jego przeciwieństwem, klasycznym przykładem młodego człowieka niestrudzenie wspinającego się po drabinie sukcesu. Mocny uścisk dłoni, uważne spojrzenie, swobodne zachowanie. Rozmawiał ze mną z zapalem przez pięć minut, dopóki się nie zorientował, że nie zamierzam inwestować swojego majątku w Dunetown. Wtedy wzrok mu trochę przygasł i szybko mnie opuściwszy, zaczął obchodzić zakamarki, w których schroniły się damy. Jego żona, która w ciągu pierwszej minuty poinformowała mnie, że jest najlepszą tenisistką w miejscowym klubie, zażarcie flirtowała na lewo i prawo.

Urocze.

I jak tu się dziwić, że miasto tak łatwo padło łupem Taglianich. Szkop powiedział to zaraz po moim przyjeździe. Dunetown stało się siedliskiem mięczaków. Czy któryś z nich miał konszachty z Seabornem i Cohenem?

Doe wzięła mnie przez zaskoczenie. Zamawiałem właśnie drinka, kiedy poczułem nagle na ramieniu czyjaś dłoń. Odwróciłem się i oto stała naprzeciwko. Kolana znowu zadrżały pode mną.

Ale prawdziwym zaskoczeniem była obecność Chiefa.

Wysoki i wyprostowany siedział w fotelu na kółkach, a choć czas odciśnął na nim swoje piętno, wyglądał tak, jak powinien wyglądać klasyczny dziadek, z falą białych włosów nad zmęczoną, ale nieugiętą twarzą.

Dobrze znałem jego historię rodzinną. Trudno, żeby było inaczej, skoro tak często mija opowiadano. Dziadek Chiefa, Sean, irlandzki górnik, wyemigrował do Dunetown, wygrał w karty nadrzeczną tawernę i zarobił pierwszy w mieście milion dolarów. Potem przyszła kolej na bawełnę, banki, nieruchomości i Bóg jeden wie co jeszcze. Żar starego Seana tlił się w twarzy Chiefa, w jego mądrych oczach można było dostrzec dawną pasję i siłę. Tylko ciało nie chciało mu być posłuszne.

- Halo, Chief - powiedziałem. - Wiele lat upłynęło.

- O, tak. - Pokiwał głową. - Smutnych lat.

Znałem go na tyle, by wiedzieć, że nie wspomni o Teddym i moim

liście, który pozostał bez odpowiedzi. Takim ludziom przeprosiny przychodzą z trudem i niezmiernie rzadko; są zbyt dumni, by przyznać się do błędów. Być może zresztą Chief widział wszystko inaczej niż ja; być może zamknął książkę na tamtym rozdziale.

- Doe mówiła mi, że pracujesz teraz dla rządu - powiedział ze stateczną powagą. - To ci się chwali.

Na tym skończyła się rozmowa. Już po chwili ktoś przepchnął się obok mnie, by złożyć hołd staremu wojownikowi, potem ktoś inny, jeszcze ktoś inny, aż wreszcie znalazłem się na zewnątrz kręgu wasali. Doe przecisnęła się do mnie przez tłum. Poczulem, jak otacza mnie chmura naładowana erotyzmem. Czas nie zmienił jednego - to ciągle byli ludzie-błyskawice.

- Gdzie Harry? - zapytałem.

- W ostatniej chwili musiał zrezygnować. Na torze był wypadek. Kilka koni zginęło.

- Wiem, byłem przy tym.

To musiało być okropne - powiedziała, a potem dodała pospiesznie: - Za dziesięć minut zjawi się Albert, żeby zabrać Chiefa do domu. Spotkajmy się na tarasie po jego wyjściu. - Odwróciła się raptownie i wśliznęła w kółko pochlebców.

Nagle zostałem sam, mając naprzeciw siebie po drugiej stronie pokoju Sama Donleavy'ego. Zacząłem się ku niemu przepychać, chwytając po drodze strzępy konwersacji. Kobiety szczebiotały jak sikorki, podczas gdy mężczyźni przywodzili na myśl trąbiące słonic. Wydawało się, że Donleavy ucieszył się na mój widok.

- Gorąco tutaj - powiedział. - Wyjdźmy na taras, żeby zaczerpnąć trochę powietrza.

W chmurach czerniejących nad południową częścią miasta błyskało się; wietrzyk podzwaniał delikatnie szklanymi dzwoneczkami wiszącymi przy wejściu. Zanosilo się na deszcz.

- Nasz jutrzejszy obiad nadal aktualny? - zapytałem, by jakoś zacząć.

- Czekam na to niecierpliwie - odrzekł. - Słyszałem o małym Lukatisie. Wielka szkoda.

- Tak - powiedziałem. - Straszny cios dla siostry.
- Myśli pan, że jakoś to się wiąże z tamtymi morderstwami?
- Nie wiem. Ciało jest ciągle gdzieś tam na południu. Dokonują sekcji zwłok.
- Rozumiem. Proszę posłuchać, chcę żeby pan wiedział, iż będziemy panu ogromnie wdzięczni za wszelką pomoc w wyjaśnieniu tej okropnej sprawy. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie sposób się w tym połapać.
- Tak - przyznałem - jak w kalejdoskopie.
- Przypuszczam, że zdążył się pan przyzwyczaić do tego rodzaju rzeczy.
- Nie bardzo. Morderstwo jest zawsze okropne, niezależnie od tego, gdzie się przydarza i kto jest ofiarą.
- Z pewnością. W każdym razie, gdybym tylko mógł panu w czymkolwiek pomóc, proszę mi zaraz dać znać.
- Dziękuję - odrzekłem. Zrobiłem odpowiednią pauzę i zapytałem: - Znał pan może Taglianego? - Postarałem się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie.
- Tak. Ale jako Franka Turnera.
- Przyjaźniliście się?
- Skądże. Spotkałem się z nim parę razy, bo chciał się trochę zorientować w tutejszej sytuacji, ale to było już jakiś czas temu.
- I żeby go ocenić? - podsunąłem.
- Patrzył na mnie uważnie przez dłuższą chwilę, a potem powoli przytaknął: - Tak, to także.
- Była to więc osobista znajomość?
- Nie całkiem, po prostu biznes. Nie widziałem się z nim od czasu, kiedy się już tu przeniósł.
- Kiedy to było?
- Nie powiem panu dokładnie. Jakieś trzy lata temu.
- Spotykał się pan z nim tutaj, w Dunetown?
- Skinął głową.
- Za pierwszym razem mieliśmy porozmawiać w starym Beach Hotel, ale ponieważ jakoś mu się nie spodobał, przenieśliśmy się na jacht

Charlesa Seaborna. Za drugim razem miał tu własną łódź.

- O czym rozmawialiście?

- W co inwestować, różne takie finansowe sprawy. Potem poznał nas - zamachał rękoma - z kilkoma innymi osobami.

- Bronicata, Chevós - podrzuciłem.

- Może i tak, ale nazwiska były inne. Musi pan pamiętać, że zjawił się tutaj z bardzo dobrymi rekomendacjami. Miał kapitał, znakomite referencje kredytowe. Wszystko na nazwisko Frank Turner.

- Nigdy pan nie podejrzewał, kim jest naprawdę?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział, pochmurniejąc. W jego głosie zabrzmiała nuta oburzenia, ale szybko zniknęła. - Niech pan posłucha - ciągnął. - Zależało nam tutaj na inwestorach. Było rzeczą oczywistą, że tor wyścigowy wszystko zmieni, a Turner prezentował się wyśmienicie. Wydawało się, że jest absolutnie uczciwym obywatelem. Miał bardzo rozsądne pomysły, jeśli chodzi o rozwijanie biznesu. Nie było powodu, by mu nie ufać.

- Przecież ja pana o nic nie oskarżam.

- Wiem, ale chciałbym, żeby pan rozumiał, że byliśmy nowicjuszami. Zgrzeszyliśmy co najwyżej naiwnością.

W drzwiach pokazała się Babs Thomas, tupiąc nóżką.

- Przyjęcie odbywa się w środku - powiedziała z wyrzutem. - O futbolu czy czymkolwiek, co was tak cholernie pochłonęło, możecie porozmawiać innym razem. Zresztą jest telefon do ciebie, Sam. Zdaje się, że to Charlie. Możesz odebrać w sypialni.

- Do diabła! - zachnął się Donleavy. - Dokończymy rozmowę jutro podczas obiadu.

- Jeszcze jedno - rzuciłem. - Czy pamięta pan może, kiedy Tagliani pojawił się tutaj po raz pierwszy?

Zastanowił się przez chwilę, potem napisał numer na odwrocie wydobytej z zanadru wizytówki.

- Nie, a stary notes mam w domu - powiedział. - To mój telefon. Niech pan zadzwoni jakiś kwadrans przed ósmą, wtedy powiem panu dokładnie. Niech pan się nie spóźni, bo może pan nie mieć szczęścia. Około ósmej



zwykle dzwoni do mnie Morehead. Raz w tygodniu zdaje mi krótki raport. Jest bardzo dokładny i z reguły rozmawiamy co najmniej godzinę.

Podziękowałem mu, wsunąłem karteczkę do kieszeni i wróciliśmy do pokoju. Kiedy Donleavy pospieszył do telefonu, zza pokaznej rośliny doniczkowej wynurzył się Stoney Titan.

- Cześć, chłoptasiu - powiedział. - Nie tracisz ani chwili.

Wszędzie cię pełno.

- Zastanawiające, że to samo pomyślałem o panu - odparłem.

Titan spojrział na mnie przeciągle. W jego zmrużonych oczach zapaliły się iskierki.

- I co, znowu narozrabiałeś, tak, synku?

- Nie wiem, co ma pan na myśli.

- Mam na myśli twoją rozmowę z Harrym na wyścigach. To było bardzo niemądre.

- Czas był najwyższy, by ktoś otwarcie z nim pogadał.

- Jesteś jak zgniłe jabłko, chłoptasiu - warknął. - Zjawiasz się tu po latach i w przeciągu czterech dni mamy tu dwanaście trupów.

Chlasnął laseczką w stojącą obok palmę.

- Przez czterdzieści lat nigdy nie zdarzyły się w tym hrabstwie dwa morderstwa naraz. A teraz mam ich dwanaście!

Donleavy wyszedł z sypialni i zaczął przeproszać, że już odchodzi, tłumacząc się, że musi już jechać do siebie, by czekać na telefon od Szkopa. W drzwiach pomachał dłonią w pożegnalnym geście. Była dziewiętnasta piętnaście. Za pół godziny wszyscy mieli się rozchodzić.

- Jeszcze raz panu powtórzę - powiedziałem - że to nie ja spowodowałem te zabójstwa i że w ogóle morderstwa nie są moją specjalnością. Nie przyjechałem tutaj po to, żeby zabijać, i nie po to tu tkwię.

- Przez te wszystkie lata, odkąd jestem szeryfem, nie uzbierałoby się w s u m i e dwanaście niewykrytych zabójstw - mówił, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Możesz więc chyba zrozumieć, dlaczego tak się

przejmuję, kiedy w ciągu czterech dni dwunastu facetów uderza w kalendarz.

- Oczywiście.

- Oczywiście? Co niby jest takie oczywiste?

- Oczywiście, że rozumiem, czemu pan się przejmuje.

- Tak, tak, studenciku, właśnie to: przejmuje się. Posłuchaj mnie teraz uważnie: coś mi mówi, że o wszystkim, co się tu dzieje, ty wiesz znacznie więcej ode mnie, a ponieważ to moje hrabstwo, więc myślę, że czas już, byśmy zaczęli dzielić się ze sobą informacjami.

- A co ja będę z tego miał? - zapytałem z filuternym uśmiechem.

- Całą dupę - odparł opryskliwie.

Zaśmiałem się.

- Co pan takiego zamierza zrobić, Mr Stoney, wyznaczysz pan nagrodę za moją głowę?

- Ja bym się tak nie śmiał, chłoptasiu...

- To nie z tego się śmieję - wpadłem mu w słowo. - Uświadomiłem sobie nagle, że przecież obaj jesteśmy po tej samej stronie.

Zignorował mój komentarz i rozwijał swoją groźbę.

- Mam pewne wpływy, gdzie należy, i wystarczy, żebym tu i tam zadał kilka niewinnych pytań dotyczących sposobu, w jaki prowadzi się to śledztwo, by ktoś zaczął ci się ostro dobierać do dupy.

- Z pewnością.

- O co w tym wszystkim chodzi? Czego ty szukasz, Kilmer?

- Prowadzę śledztwo w sprawie naruszenia przepisów OPOP, Mr Stoney, dobrze pan o tym wie. Mogę nie mieć racji. Być może Taglianiemu udało się włiznąć tutaj tak, że nikt się nie zorientował, kim naprawdę jest. Ale muszę być o tym całkowicie przekonany.

- Nieważne, ile osób przy tym ucierpi, tak?

- Zupełnie się nie zajmuję tym, komu muszę nastąpić na odcisk, żeby dotrzeć do prawdy.

- Ani w którym łóżku musisz się przespać.

- O kogo tak naprawdę pan się martwi, Mr Stoney? Kogo pan usiłuje kryć?

- Nikogo nie kryję. Chodzi mi jedynie o dobro hrabstwa.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

- Chciał pan chyba powiedzieć: o dobro tego, co z niego zostało?

- Potrafisz być bardzo denerwującym sukinsynkiem.

- Może i tak. Nie zamierzam tutaj startować w konkursie na ulubieńca publiczności.

W jego głosie pojawiły się pojednawcze tony.

- Chłopcze, chciałbym, żebyś wszystko widział we właściwych proporcjach, tyle tylko. Ludzie popełniają błędy. To normalne. Nikt z nas nie jest doskonały.

- Ja to rozumiem - odrzekłem - ale muszę się upewnić, że to tylko tyle: po prostu błędy.

- Ja ci to gwarantuję.

- Szeryfie, powiem panu o wszystkich moich podejrzaniach. Nie o tym, co wiem, gdyż nie wiem znów tak wiele. Myślę, że Tagliani, Stinetti i O'Brian zginęli z tej samej broni, którą jest być może american 180. Myślę, że tej samej broni użyto do zabicia Stizana i jego ludzi oraz Draganaty. Mógł to być wojskowy M-16 wyposażony w miotacz granatów. Ten, kto to zrobił, ma wojskowe doświadczenie, a Logeta i dziewczynę Gravesa, Delię Norman, uśmiercił, stosując sposób, który był dość popularny w Wietnamie. Podejrzewam, że tego wszystkiego dokonała jedna osoba.

Titan wyduł wargi i słuchał z głową przekrzywioną na bok.

- Całkiem nieźle jak na kogoś, czyją specjalnością nie są morderstwa - powiedział. - A jaki powód?

- Gdybym to wiedział, dałbym panu na tacy mordercę.

- Hmmm - prychnął.

- A teraz ja mam pytanie. Kto oskarżył Tony'ego Lukatisa o przemyt marihuany?

- Skąd to zainteresowanie?

- Nie żyje, dlatego.

- Wiem, że nie żyje. W hrabstwie Glynn robią właśnie sekcję zwłok. Ale co ma z tym wspólnego przeszłość Lukatisa?

- Prosta ciekawość.

- Chłopcy od narkotyków nakryli Lukatisa i jego kumpla.

- Czy obaj poszli siedzieć?

Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- Tamten rybak dostał wyrok w zawieszeniu.

- Czy Lukatis wiół marihuanę dla Długonosego Gravesa?

Titan wydawał się zaszokowany samą myślą.

- Skądże! - krzyknął. - Graves może robić różne rzeczy, ale nie zajmuje się narkotykami. Z tego, co wiem, Lukatis i ten drugi działali na własną rękę.

- Gdzie ich złapano?

- Koło Buccaneer Island, tam gdzie South River wpada do Buccaneer Bay. Dlaczego tak się interesujesz Lukatisem?

- Usiłuję tylko usunąć wszystkie niejasności - powiedziałem. - On i co najmniej jeden z ludzi Gravesa zostali zabici w tym samym czasie. Nie dziwi pana, dlaczego?

Nachylił się ku mnie i powiedział dobitnie:

- Jak będzie trzeba, dowiem się, dlaczego.

- Wie pan, co podejrzewam, Mr Stoney? Że pan usiłuje mnie unieszkodliwić, choć nie wiem, z jakiego powodu. Powiedziałem już, miałem wrażenie, że jesteśmy po tej samej stronie.

- Mówiłem ci już wczoraj, pilnuję prawa na swój sposób - powiedział. - Pamiętaj, że cię ostrzegałem. - Odwrócił się raptownie, przepchnął przez rozgadany tłum, by pożegnać się z Babs i wyszedł. Przyfrunęła do mnie.

- Tak to jest na przyjęciu - poskarżyła się. - Jak na razie rozmawiałeś z Chiefem Findleyem, Stoneyem i Samem Donleavy i wszyscy trzej sobie poszli.

- Myślisz, że tak odpychająco działałem na ludzi?

- No cóż, mój drogi, Doe ciągle jeszcze jest, nie wszystko stracone.

- Powtarzam ci...

- Nie wierzę ci za grosz - wpadła mi w słowo i odeszła do innych gości.

Powróciłem na taras; zaczął padać deszcz, zabębniły pierwsze wielkie krople. Stałem, wpatrując się w burzowe chmury nadciągające nad mansardę, słuchając nerwowo pobrzękujących dzwoneczków i czując, jak deszcz przechodzi w ulewę.

Doe przesuwała się powoli w kierunku tarasu, to tu, to tam zatrzymując się na kilka chwil. Na koniec stanęła w drzwiach i utkwiała we mnie uważne spojrzenie.

- Nie mogłam się do ciebie dodzwonić, choć dzwoniłam przez cały czas, dzisiaj też - powiedziała z wyrzutem.

- Niewiele czasu spędzam w hotelu - odparłem.

- Jedź ze mną dziś wieczorem do Windsong - szepnęła.

- Chyba zwariowałaś. A co zamierzasz zrobić z Harrym. On...

- Nie zjawi się tam. Kiedy jest sezon wyścigowy zawsze zostaje w mieście. Nie lubi dwa razy dziennie jechać tak daleko. Jake, czy naprawdę chcesz, żebym zaczęła cię błagać?

- Nie mów głupstw.

- Jake, jestem zepsuta do szpiku kości - roześmiała się. - Nikt chyba temu nie zaprzeczy.

- Nie słyszałem, by ktoś cię o to obwiniał.

- Chcę się znowu z tobą kochać. Dzisiaj. Zaraz. Nie chcę czekać ani chwili.

- To robi się coraz bardziej niebezpieczne - powiedziałem. - Nawet Titan wie o wszystkim.

- Nie przejmuję się Stoneyem. Jest moim ojcem chrzestnym i powinien pragnąć, żebym była szczęśliwa, a jeśli nie pragnie, to do diabła z nim. Mówimy teraz o tobie, o mnie i dzisiejszym wieczorze. Tylko to mnie obchodzi. Chcę ciebie. Chcę sobie wynagrodzić te dwadzieścia lat.

- W jedną noc?

- Na dobry początek - rzuciła z wyzywającym uśmiechem.

Na niebie zaczęła się walka błyskawic; gniewne podmuchy wichury wciskały strugi deszczu pod dach.

- Chodźmy do środka - odezwałem się.
  - Dopiero jak przyrzekniesz.
  - Co?
  - Że po wyjściu stąd pojedziesz do Windsong.
  - Muszę się zatrzymać po drodze - powiedziałem, myśląc o DeeDee Lukatis. Zastanowiłem się, czy Doe wie, że jej dawny kochanek nie żyje. Jeśli wiedziała, zniosła to nad podziw dzielnie. Jeśli nie wiedziała, wołałem, by ktoś inny jej o tym powiedział.
  - Na długo? - zapytała.
  - Godzinę.
  - Tylko nie dłużej. - Odwróciła się i weszła do pokoju.
- Odczekałem parę minut, zanim podążyłem za nią. Nie na wiele to się zdało. Napotkałem wbity we mnie wzrok Babs, uważny jak spojrzenie liniowego na korcie. Z uśmiechem podszedłem do niej.
- To nie to, co masz na myśli - powiedziałem.
  - Błagam - odparła, przewracając oczyma - nic nie mów. Wystarczy mi para zdrowych oczu.
  - Czy ty we wszystkim podejrzewasz jakąś diabelską intrygę?
  - Kochanie, uwielbiam intrygi. Dla nich warto mimo wszystko żyć.

## 61. GABINET LUSTER

Zanim opuściłem hotel, zadzwoniłem od siebie do Sama Donleavy'ego. Nie miał wiele czasu, wyjaśnił, gdyż lada chwila zadzwonić mógł Szkop, ale zapewnił, że odnajdzie notatnik i przyniesie go nazajutrz na umówiony obiad. Powiedziałem, że to świetnie, zszedłem na dół i wyprowadziłem samochód z garażu.

Znajomy czarny pontiac warował pod drzewami rosnącymi wokół domku DeeDee. Drzwi otworzył mi Czerw.

- Jesteście obydwójcie? - zapytałem.
- Tak, przyniosłem jej coś do zjedzenia. Lark potrzebowała trochę od-poczynku. Zdrzemnęła się.
- Te ławy są gorsze od chodnika - mruknąłem.
- Nawet nie zauważyła, taka była zmęczona.
- Jak DeeDee?
- Ciągłe śpi. Doktor musiał jej dać coś, co powaliłoby słonia.
- To dobrze, im dłużej śpi, tym lepiej. Obawiam się, że jak tylko będą wyniki sekcji, dobiorą się do niej gliny z Wydziału Zabójstw.
- Przecież nic nie wie.
- O tym jesteśmy przekonani ja i ty. Ale nie tamci kolesie. Są ciemni jak tabaka w rogu.
- Zajmę się tym - oznajmił krótko.
- Przestań działać jak Humphrey Bogart. Byliby jeszcze większymi durniami, niż przypuszczam, gdyby nie chcieli z nią porozmawiać.
- A co zrobić z tymi zdjęciami, które dostaliśmy faksem? Jak się tu zjawia, zaczął podsuwać je z lewej i prawej.
- Zniszcz je. Nie może ich zobaczyć. Czerw, nie w tym stanie, w jakim teraz jest. Do końca życia śniłyby się jej koszmary.
- Nareszcie dostrzegam u ciebie jakąś troskę o kogoś.
- To jedna z tych osób, których mi szkoda. Poza tym, miejscowa poli-cja nie zajmie się śmiercią Tony'ego. Nie ich rejon.
- Gdzie go znaleźli?
- Na Saint Solomons Island.
- Saint S i m o n s Island.
- W porządku; tam morze go wyrzuciło na brzeg i to problem tamtej-szych chłopaków.
- Pięć szans na dziesięć, że przekażą to nam.
- Jeśli wykryją jakiś związek?
- J e ś l i ?
- Pożyjemy, zobaczymy.

- Martwi mnie jeszcze jedna osoba - powiedział Czerw.
  - Kto?
  - Nance. Krąży dookoła jak polujący wilk. Śledzą go na zmianę Lange i Zapata.
  - Będę miał oczy otwarte - obiecałem.
  - A dlaczego by go nie zapuszkować? Możemy go nieźle skołować, żeby sukinsyn wiedział, że nie można ot, tak sobie, grzać do policji federalnej.
  - Minie pół minuty i będzie na wolności, Costello już o to zadba. Chcę, żeby nie odstępowano go nawet na krok przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To musi być krzesło elektryczne, a nie jakiś wyrok w zawieszeniu. Nie ma sensu zamykać go, a w chwilę później wypuszczać. To tylko jeszcze bardziej wkurza. Poza tym, wydaje mi się, że nikt mu nie kazał mnie sprzątnąć. Przypuszczam, że wzięło go na sam mój widok. Nesbitt powiedział mi, że tamci ciągle mu wytykają, że mnie nie załatwił wtedy w Cincinnati.
  - Lange i Zapata ani na chwilę nie tracą go z oczu. Kiedy kończy łać w kiblu, Chino właśnie myje ręce przy umywalce. Miejmy nadzieję, że znowu się na ciebie zasadzi, wtedy go udupią.
  - Dopóki mamy go na oku, wszystko jest w porządku.
- Zmieniłem temat i opowiedziałem Czerwiowi o swoich rozmowach z Donleavym i Titanem podczas cocktailu.
- Donleavy twierdzi, że Komitet wpuścił tu Taglianiego, ponieważ byli naiwni.
  - Niewykluczone - kiwnął głową Czerw. - A co z Titanem?
- Nie chciałem rozwódzić się na temat Doe Raines, więc wrzuciłem tylko ramionami:
- Stara się mnie nastraszyć, to tyle.
  - Prawie zapomniałem - powiedział Czerw, wyjmując z kieszeni kartkę papieru. - Popracowałem jeszcze trochę na komputerze. - Rozłożył arkusz z wydrukiem i wręczył mi. - To wykaz ośmiu głównych kont i kont, na które przelewa się pieniądze z tamtych. Osiemdziesiąt sześć rachunków, Jake. A to tylko sam szczyt piramidy.



- Dzięki.
- Co z tym zrobimy?  
Spojrzałem na kartkę. Jedna trzecia kont należała do najróżniejszych korporacji.
- Możesz się czegoś dowiedzieć o tych spółkach?
- Jasne.
- Więc sprawdź wszystkie korporacje z tej listy i ustal, które z nich są zarejestrowane w Panamie.
- W Panamie? Chodzi ci o kraj?
- Tak, o kraj.
- A mogę się dowiedzieć, po co?
- Słyszałeś kiedyś o Regule Lustra?  
Potrzęsnał głową.
- Pewnie byłeś wtedy na wagarach. Panama nie udziela żadnych informacji o panamskich spółkach. Nikomu, pod żadnym pozorem. Nie otrzymasz nawet listy urzędników czy akcjonariuszy, chyba że spółka sama sobie tego zażyczy. Tak więc korporacje panamskie nie obowiązują się żadnych dochodzeń, chyba że podejmą je ich władze.
- To interesujące.
- Jeśli już jesteś zarejestrowany w Panamie, wtedy możesz sumy z banku w Stanach przelać na konto banku na Wyspach Dziewiczych.
- A co mają wspólnego z tym wszystkim Wyspy Dziewicze?
- Chociaż stanowią terytorium USA, mają swoją własną służbę podatkową. Nie lubią tam Leprozorium i nie współdziałają z nim.
- Czy to znaczy, że IRS nie może uzyskać informacji o koncie na Wyspach Dziewiczych?
- Otóż to. A rachunek tam obsługiwany jest lustrzanym odbiciem rachunku korporacji w Panamie. Dzięki temu można przelać pieniądze z banku w Stanach do banku na Wyspach Dziewiczych, a stamtąd do Panamy i służba podatkowa nic o tym nie będzie wiedziała.
- Myślisz, że tak właśnie postępował Tagliani?

- Dzięki temu mogą funkcjonować konta, z których inkasuje się forszę. Jeśli na liście jest jakieś towarzystwo panamskie, właśnie ono może być takim kontem.

- A forsa przez komputer natychmiast zostanie przelana do banku w Panamie, nie pojawiając się nawet jako wpłata - powiedział Czerw z niejakim podziwem.

- I można zebrać śmietankę - pokiwałem głową.

- Myślisz, że Seaborn zna Regulę Lustra?

- Jeśli nie, trzeba by go posadzić za niekompetencję. To międzynarodowe prawo bankowe.

- Więc musi być wpłatyany.

- Jak dotąd, sprawa jest dość delikatna. Nie ma nic nielegalnego w przewleaniu pieniędzy do Panamy. Wszystko się zmienia, jeśli są to ZUB.

Czerw uśmiechnął się.

- Pocziwe Zyski Uzyskane Bezprawnie. Co byśmy bez nich zrobili?

- Problem polega na tym, czy Seaborn wie, że jest to sposób na pranie brudnej forsy. Może nie. Może jest aż tak naiwny.

- Nawet jeśli nie wiedział na początku, to teraz już chyba wie.

- Zgoda. A ponieważ o niczym nam nie wspomniał, można założyć, że ukrywa przed nami pewne informacje.

- Skąd, do diabła, znasz się na tym?

- Chociaż, bracie, nie piszę raportów, możesz być pewien, że je czytam. Z tej sztuczki często korzysta mafia. Nową rzeczą jest wykorzystanie komputera bankowego do zbudowania piramidy kont.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Czerw zerwał się, chcąc go odebrać, zanim rozbudzi śpiące dziewczyny. Nie udało się. Lark przewróciła się na drewnianej ławie, otworzyła jedno oko, a zobaczywszy mnie, pomachała ręką i usiłowała się uśmiechnąć.

- Śpij - powiedziałem. - Możemy z Czerwiem postać jeszcze trochę na warcie.

I znowu pomyłka, Kilmer.

Czerw wyszedł z kuchni z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co ci się stało? - spytałem.

- Nie uwierzysz, Jake - odparł.

- Spróbuj.

- Ktoś właśnie wsadził kulkę w głowę Harry'emu Rainesowi.

## 62. G-A-L-A-V-A-N-T-I

Przedarcie się przez gęstą mgłę na miejsce zabójstwa zabrało nam piętnaście minut. Harry Raines został zastrzelony na środku Quadrangle, o sto jardów od banku Charliego Seaborna.

Można by pomyśleć, że zjechały się tu wszystkie wozy policyjne z Duntown. Czerwone i niebieskie światła połyskiwały we mgle. Zebrał się niewielki tłum ciekawskich, którzy opuścili przed chwilą nadrzeczne kluby i restauracje, by zbadać, skąd to całe zamieszanie.

Kilka minut błądziliśmy w poszukiwaniu Szkopa. Stał w towarzystwie dwóch cywilów, wpatrując się w sylwetkę nakreśloną kredą na chodniku. Miejsce było ogrodzone żółtymi taśmami policyjnymi. Szkop poinformował nas, że przed chwilą odjechał ambulans.

- Więc żyje! - wykrzyknąłem.

- Tak, ale nie liczyłbym na zbyt wiele. Jeden strzał, tutaj - powiedział, wskazując na czoło, jakiś cal na prawą brwią. - Kula utkwiała w czaszce.

- Mój Boże - wyszeptał ktoś chrapliwie i dopiero po chwili się zorientowałem, że to mój głos.

- Mamy dwóch nausznych świadków - oznajmił Szkop, odchodząc z nami od kredowej sylwetki.

- Nausznych? - upewnił się Czerw.

Nazywali się Harriet i Alexander, chociaż ten ostatni z jakichś

nieznanych mi powodów wołał, by zwracać się do niego Chip. Byli dwudziestolatkami, za dwa tygodnie mieli wziąć ślub, a ona zgubiła prezent zaręczynowy, który on jej podarował. Harriet była na tyle interesująca, na ile potrafi się zrobić interesującą przeciętna dziewczyna. Jej chłopak, niski i tęgawy, ze źle przyciętymi wąsikami, sprawiał wrażenie bardziej przejętego utratą naszyjnika niż morderstwem.

- Zatrzymaliśmy się tu na chwilę w drodze na kolację, bo w tym właśnie miejscu się poznaliśmy - zatrąkotał chłopak, zapewne opowiadając to już po raz piąty lub szósty. - Była straszna mgła, a potem zesliśmy do „Porthole”, gdzie byliśmy umówieni z przyjaciółmi...

- Widziało się własną rękę, dopiero jak się ją podniosło do oczu - wtrąciła się Harriet, z zapalem kiwając głową.

To ich paplanie zaczęło mnie trochę irytować.

- Zupełnie jak teraz - uzupełnił Chip. - To było nie dalej jak godzinę temu.

- Tak - powiedziałem - rozumiem. Co dalej?

Harriet była niezmordowana w swym potakiwaniu.

- Zupełnie jak teraz - powtórzyła.

Spojrzał na nią groźnie i ciągnął:

- I to tutaj zginął ten naszyjnik. To były diamenty na złotym łańcuszku. Osiem diamentów. W sumie miały pełny karat.

- Do rzeczy, do rzeczy - ponagliłem.

- Bardzo nam przykro z powodu naszyjnika - powiedział Szkop oschle - ale niech pan opowie o samym zdarzeniu.

- Tak, oczywiście - zgodził się chłopak. - Więc przeprosiliśmy tamtych i wróciliśmy tutaj, bo mieliśmy nadzieję, że go jeszcze znajdziemy.

- I wtedy zastrzelono tego człowieka - oznajmiła Harriet, kiwając głową z jeszcze większym zapalem.

Policzki Chipa poczerwieniały, bo jak się zdaje, nie lubił, kiedy spychano go na drugi plan.

- Czy widzieliście kogoś? - wtrąciłem się.

Zgodnie zaprzeczyli.

- A słyszeliście ich? Mówili coś do siebie?
- Nie jestem pewien - poważnie oznajmił Chip.
- Coś mówili - wpadła mu w słowo Harriet - a przynajmniej jeden z nich. Powiedział: „Koniec z tobą”.
- Harriet, nie wiesz tego na pewno - skarcił ją Chip.
- Znowu zaczęła z zapalem kiwać głową.
- Czy rozpoznalibyście ten głos, gdybyście go znowu usłyszeli? - zapytał Czerw.
- Nie zwróciliśmy na to uwagi - wyjaśnił Chip. - Słyszeliśmy kroki, potem ktoś się zatrzymał...
- Harriet za nic nie chciała stracić swojej szansy: - I wtedy właśnie powiedział: „Koniec z tobą”, a potem bang!
- Twarz Chipa wykrzywił gniew. - Harriet, czy ty pozwolisz mi skończyć?
- A co się jeszcze zdarzyło? - zapytałem.
- Harriet wrzasnęła i morderca uciekł - powiedział i wzrokiem starał się zmusić przyszlą żonę do milczenia.
- Nikt jeszcze nie umarł - mruknął Szkop.
- No, wie pan, o co mi chodzi - nerwowo rzucił chłopak.
- W którą stronę pobiegł ten człowiek? - spytałem.
- Trudno powiedzieć - stropił się Chip. - Między tymi budynkami, wie pan, dźwięki...
- Chodzi panu o echo? - upewnił się Czerw.
- Właśnie - odrzekł i teraz jego głowa się rozkiwała.
- Miał rację. Skoro mgła z trudem pozwalala dojrzeć własne stopy, a do tego jeszcze trzy budynki tworzyły rodzaj pudła rezonansowego, nie sposób było określić, skąd dochodzi głos.
- To wy znaleźliście ciało? - spytałem.
- Zgodnie zaprzeczyli.
- Nie, nie - odparł Chip. - Pobiegliśmy do banku, bo na zapleczu paliły się jakieś światła, ale nikt nie otwierał, poszukałem więc budki i zadzwoniłem na policję.
- Potraficie powiedzieć, czy ta osoba, która uciekła po strzale była kobietą czy mężczyzną? - naciskałem dalej.

- Mężczyzną - odpowiedzieli jednogłośnie.

I to wszystko. Nie było tu co robić w tak gęstej mgle. Zostawiliśmy z Czerwem swoje samochody na parkingu i pojechaliśmy do szpitala ze Szkopem. Kiedy ruszaliśmy, w banku nie paliło się już żadne światło.

Przed szpitalem stały trzy samochody: dwa niebiesko-białe oraz jakiś trzeci, który mógł być nieoznakowanym wozem policyjnym. Obszerny beżowy hall ostrego dyżuru był pusty, podobnie jak sala operacyjna. Raines znajdował się na oddziale intensywnej terapii, który mieścił się na drugim piętrze.

Przy wejściu czuwali czterej mundurowi policjanci i dwaj detektywi po cywilnemu.

- Przejmujecie tę sprawę? - zapytał jeden z nich Szkopa.

- To kwestia osobista - rzucił Morehead, przechodząc koło nich.

Od naczelnego chirurga i ordynatora niewiele można się było dowiedzieć, czekali na osobistego lekarza Rainesa. Natomiast internista z urazówki potwierdził to, co już wiedzieliśmy, i dodał kilka szczegółów: Harry Raines otrzymał jeden postrzał w czoło z broni dużego kalibru, strzał oddano z tak małej odległości, że twarz została silnie poparzona prochem, stan był krytyczny, a z internistycznego punktu widzenia Harry konał.

- Jest raczej martwy niż żywy - powiedział młody lekarz. - Jeśli przeżyje następną godzinę, katolicy pewnie wyświęcą całe to skrzydło szpitala.

- Niby dlaczego? - zainteresował się Szkop.

- Ponieważ, będzie to cud - odparł doktor.

- Jakiego typu była to broń? - zapytałem.

- Nie znam się na tym - odrzekł lekarz. - To sprawa policji.

Oddział intensywnej terapii była to po prostu niewielka sala z kabinami dla pacjentów otaczającymi stanowisko obsługi aparatury i monitorów. Każda kabinka obserwowana była przez kamerę telewizyjną. Dyżur pełniły trzy siostry i wszystkie wydawały się bardzo zajęte. Dwaj lekarze

weszli do wolnej kabinki i zaciągnęli za sobą zasłonę.

Na malutkim czarno-białym ekranie mogłem zobaczyć Rainesa. Miał twarz do połowy zasłoniętą bandażami, wargi poruszały się ciągle, jakby mruzczał coś do siebie.

- Masz może magnetofon w tym swoim rydwanie? - zapytałem Czerwia.

- Tak, kasetowca. Pearl z aktywatorem głosu.

- Przynieś go jak najszybciej - szepnąłem i Czerw zniknął, powracając po pięciu minutach z magnetofonem nie większym od mojej dłoni.

- Nowe baterie i nowa kasetka - powiedział. - Chcesz spróbować nagrać Rainesa?

- Tak. Postaraj się na kilka chwil zająć czymś uwagę chłopaczków przy drzwiach.

Wśliznąłem się do kabinki Rainesa i zawiesiłem magnetofon nad jego głową. Nadal poruszał ustami, ale trudno było rozróżnić słowa. Twarz miała barwę gliny, a nieprzesłonięte, półprzymknięte oko niespokojnie poruszało się pod powieką.

Kiedy wymknąłem się z pokoiku, do sali wpadło małe tornado w postaci kobiety w szarym urzędowym kostiumie. Miała pięć stóp i jeden cal wzrostu, niewiele ponad czterdziestkę, bez specjalnego żalu mogłaby się pozbyć dziesięciu, piętnastu funtów, była zimna jak pocałunek pielęgniarki i niepowstrzymana jak wódz Hunów - Attyła. Zawładnęła salą na podobieństwo oddziału komandosów, wydając polecenia głosem o oktawę niższym od głosu, którym natura zwykła obdarcza kobiety, i podkreślając każde słowo zdecydowanymi dźgnięciami wypielęgowanego paznokcia. Czulem wręcz mroźny powiew arktycznego wichru, kiedy rzucała urywane rozkazy czterem towarzyszącym jej mężczyznom. Stałem z boku i przyglądałem się widowisku.

- Wy dwaj nałóżcie szpitalne fartuchy. Ty staniesz przy drzwiach i nie będziesz wpuszczał nikogo bez mojej zgody. Ty siadasz za pulpitem.

Naraz jej wzrok padł na mnie.

- Kim pan jest? - zapytała lodowatym głosem, mierząc paznokciem w czubek mojego nosa.

- Mógłbym na przykład być lekarzem - odparłem.

Obejrzała mnie od góry do dołu.

- Niemożliwe - uznała.

- Nazywam się Kilmer. Federalna Grupa Antymafijna.

- Aha - mruknęła i wskazując kciukiem za swoje plecy, oznajmiła: - On jest mój.

- A kim pani jest, jeśli można zapytać?

Swą drobną twarz, gniewną jak oblicze buldoga, przybliżyła do mojej na tyle, na ile mogła bez wspinania się na palce, i powiedziała:

- Galavanti. Honorée Galavanti, G-a-l-a-v-a-n-t-i, prokurator hrabstwa Oglethorpe. Mam do pomocy własnych ludzi, pan nie jest mi do niczego potrzebny.

- Nie tak szybko - sprzeciwiłem się.

- Niech mnie pan posłucha, panie... jak tam brzmi pańskie nazwisko?

Miała klasę. Twarda baba, ale taka właśnie musiała być. Trzeba było naprawdę być twardą babą, żeby móc zostać wybraną prokuratorem okręgowym w hrabstwie zdominowanym przez prawdziwego mężczyznę, Stoneya Titana.

- Kilmer, K-i-l-m-e-r.

- Ach, tak. Niech pan zjeżdża.

- Czy pani nie ma przypadkiem przesadnych wyobrażeń co do uprawnień prokuratora okręgowego?

Patrzyła na mnie przez kilkanaście sekund, a potem pokiwała głową.

- Mówili mi, że będą z panem kłopoty.

- Kto? - zapytałem.

- Wszyscy, którzy się z panem spotkali.

Potem dostrzegła dyktafon zawieszony nad głową Rainesa.

- A to co takiego? - spytała, wyciągając oskarżycielskim gestem palec w moją stronę.



- Magnetofon kasetowy - wyjaśniłem.

- Słuchaj pan, do...

Pociągnąłem ją do kąta, chcąc znaleźć się dalej od pielęgniarek, które starały się niczego nie słyszeć.

- Może lepiej zeszlibyśmy z oczu ciekawskim? Chyba powinniśmy porozmawiać.

Weszliśmy do innego wolnego pokoiku i usiedliśmy na łóżku.

- Proszę zostawić dyktafon w spokoju. Wszystko, co się nagra, należy do pani. Chcę tylko tego posłuchać. Jeśli powie coś przed śmiercią, będziemy wiedzieć o tym oboje.

- Mówi pan tak, jakby śmierć była już przesądzona.

- Pocisk utkwił w mózgu.

- Już za chwilę będzie tu jego osobisty lekarz.

- Ma twarz koloru mokrego cementu, temperatura rośnie z każdą chwilą, a ciśnienie jest katastrofalne. Jeśli w grę nie wda się boska Opatrzność, Harry'ego Rainesa można już uznać za martwego. Ma pani teraz w rękę gorący kartofel; niełatwo będzie go utrzymać. Umiera w tej chwili najpotężniejszy człowiek w mieście. Sprawę trzeba będzie rozwiązać, a pani będzie musiała polegać na ludziach z Wydziału Zabójstw, którzy, na ile mogłem się zorientować, nie potrafią nałożyć skarpetek po ciemku. Mówiąc wprost, uważam, że potrzebna pani wszelka pomoc, z jakiej będzie można skorzystać.

Trochę jej to dało do myślenia. Słyszałem niemal, jak w jej mózgu przeskakuje dźwignia biegów.

- Co ma pan do zaoferowania? - spytała po jakiejś minucie głębokiego namysłu.

- Trochę pomysłów, kilka podejrzeń. Potrzebny mi jest dzień lub dwa, żeby sprawdzić, czy to wszystko trzyma się kupy.

- Czego zatem chce pan ode mnie, panie Kilmer?

- Pani Gavalanti...

- Galavanti - poprawiła - „l” przed „v”, nie odwrotnie.

- Przepraszam... pani Galavanti. Jest dwanaście zabójstw, trzynaście, jeśli umrze Raines. Wcześniej czy później będzie się pani musiała zająć wszystkimi tymi sprawami.

- Do czego pan zmierza?
- Być może mógłbym podać pani rozwiązanie na tacy.
- Wie pan, kto stoi za tym wszystkim?
- Prawie - zablokowałem.

Roześmiała się głośno.

- Mój Boże, ile już razy to słyszałam. To pierwsza rzecz, jakiej was uczą w akademii policyjnej?

- Czego się pani dowiedziała beze mnie? - zapytałem.
- Jak na razie, niczego - przyznała.
- Proszę pani, dzisiaj widzę panią pierwszy raz na oczy. Dwanaście zabójstw, a pani dopiero teraz się pojawia.
- Niech pan nie udaje naiwniaka. Facet, który tu leży, był typowany na gubernatora.

- Myślę, że jeśli była pani dostatecznie mądra, by móc zostać prokuratorem okręgowym w tym hrabstwie, to jest też pani dostatecznie mądra, by nie zwracać uwagi na te bzdury, które wypisuje prasa. Myślę, że pozostaje pani w kontakcie z Titanem, Moreheadem i wszystkimi, którzy się liczą w mieście. Jestem przekonany, że wie pani wszystko o powiązaniach Taglianiego.

- Sądzi pan, że ten wypadek łączy się z tamtymi? - zapytała z nutą powątpiewania w głosie.

- To wydaje się dość prawdopodobne, prawda?

Wydeła pełne wargi, zastanawiając się nad moimi słowami.

- Jestem też dostatecznie mądra, by się zorientować, że wy z FBI czegoś tutaj szukacie i że bynajmniej nie chodzi wam o morderstwa. W końcu sprawcy staną przed sądem federalnym i ja nic nie będę miała do gadania.

- Może tak, a może... - zawiesiłem głos.
- No dobrze, panie Kilmer, jak brzmi pańska oferta?
- W trakcie wyjaśniania całej sprawy pojawi się problem OPOP. Powiem pani w zaufaniu, że jeśli będą z tym związane jakieś morderstwa, z radością przystanę na to, by oskarżyła pani podejrzanych o zabójstwo, zanim ja wniosę sprawę do sądu federalnego.

- Skąd taka uprzejmość?
- Z dwóch powodów. Po pierwsze, wyrok za morderstwo jest wyższy niż wyrok za udział w organizacjach przestępczych, a zresztą po pani będziemy mogli my się do nich dobrać.
- A druga przyczyna?
- Chciałbym, żebyśmy chwilę szczerze porozmawiali.
- O czym?
- O Tonym Lukatisie.
- Dlaczego o nim?
- Czy prowadziła pani jego sprawę?
- Tak - odpowiedziała, wzruszając ramionami - choć nie ma się tu specjalnie czym chwalić.
- Jak to było?
- Sprawa jasna i prosta. Świadkiem był współnik.
- Wspólnik?
- Tak. Gil Winslow.
- Słyszałem, że aresztowała ich Straż Ochrony Wybrzeża, sprawa powinna więc trafić przed sąd federalny.
- Na miejscu byli ludzie Titana i oni przejęli wszystko.
- Więc to Titan wystąpił do pani z wnioskiem o wniesienie oskarżenia?
- Tak. Niech pan mnie jednak posłucha, jeśli usiłuje pan zaszkodzić Mr Stoneyowi...
- Nie usiłuję zaszkodzić nikomu, kto na to nie zasłużył - przerwałem jej. - Więc Stoney przejął aresztowanego Lukatisa i wystąpił do prokuratora. I jeszcze dostarczył świadka - zdrajcę.
- Popatrzyła na mnie podejrzliwie.
- Jeśli tak chce pan nazwać Winslowa...
- Nie chciałbym, by zabrzmiało to jak czepianie się, ale czy łódź nie należała czasem do Winslowa?
- Hmm.
- Czy nie należałoby się bardziej spodziewać, że to on będzie głównym oskarżonym, a łódź zostanie skonfiskowana?
- Panie Kilmer, to nie ja prowadzę śledztwo. Sprawa dotarła do mnie w

tej właśnie postaci, głównym świadkiem był Winslow. Oskarżył Lukatisa o zaplanowanie i sfinansowanie całego przedsięwzięcia. Lukatis wiedział, gdzie na Bahamach można kupić dużą porcję marihuany. Zaproponował Winslowowi pięćdziesiąt tysięcy dolarów za przewiezienie tutaj towaru.

- Łódką Winslowa?

- Tak.

- Ile tego było?

- Sto kilogramów.

- Czyj to pomysł, by wylądować na Buccaneer Island?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze.

- A jak to wyglądało z punktu widzenia Lukatisa?

- Twierdził, że to Winslow go namówił.

- A kto finansował?

- Według Lukatisa Winslow sam załatwił wszystko, a on popłynął z nim tylko po to, żeby pomóc przy transporcie towaru - powiedziała. Poczulem, że obudziła się w niej nagle niechęć i podejrzliwość. - Dlaczego tak się pan tym interesuje? Chce pan koniecznie zrobić coś niemądrego, na przykład podważyć wyrok w sprawie Lukatisa?

- Nie - odparłem. - Tony Lukatis i tak już nie żyje.

Z jej reakcji wywnioskowałem, że nie wiedziała w ogóle o śmierci Lukatisa. Nie było w tym nic dziwnego, skoro sprawa była badana poza obszarem jej jurysdykcji.

- A co się stało? - zapytała z ożywieniem.

- Nie jesteśmy do końca pewni - odparłem. - Przypuszczamy, że znowu próbował przemycać narkotyki, ale tym razem skończyło się jeszcze gorzej niż poprzednio.

- Gdzie się to stało?

- W pobliżu Jacksonville. Powinien już nadejść raport z sekcji zwłok. Może w to być wmieszany Długonosy Graves.

- Co takiego? Niemożliwe.

- Skąd taka pewność?

Podniosła palec znaczącym gestem.

- Graves nie zajmuje się narkotykami - oświadczyła. Po chwili dodała:  
- A nawet gdyby się za to wziął, na pewno trzymałby się jak najdalej od Tony'ego Lukatisa.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie podobałoby się to Mr Stoneyowi.

- A Graves i Titan są sojusznikami?

- Bardzo to niepewny sojusz, ale z pewnością korzystny dla szeryfa.  
Mówiąc szczerze, to nie mój interes, panie Kilmer.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego?

- Bo przestałabym być prokuratorem. Tak czy inaczej, odchodzimy od tematu.

- Jeśli Lukatis rzeczywiście finansował Winslowa, ciekaw jestem, skąd wziął sto tysięcy, czy ile tam trzeba było zainwestować. To w tym wszystkim najważniejszy problem.

- Pieniądzy dostarczyli jacyś jego znajomi - powiedziała z lekceważącym gestem.

- Dowiodła pani tego przed sądem?

- Tak zeznawał Winslow.

- Był głównym świadkiem oskarżenia?

- Tak. On i oficer, który dokonał aresztowania.

- Uważa pani, że Lukatis naprawdę był winien?

Była to w istocie zniewaga, zawstydziłem się tego pytania już w chwili, gdy je wypowiadałem. Jak ciężka zniewaga, mogłem to wyczytać z jej twarzy, pełnej zdumienia i wściekłości.

- Przepraszam - powiedziałem pośpiesznie. - Cofam pytanie.

- Sprawa była prosta i łatwa i zajęłam się nią najlepiej, jak potrafiłam, tak zresztą podchodzę do każdej sprawy, panie Kilmer. Długo rozmawiałam z Tonym Lukatisem. Był arogancki i w niczym nie chciał mi pomóc.

- Każdy mógłby się tak zachować, gdyby uważał, że został wykiwany.

Zawahała się, a potem powiedziała:

- Może. Tak czy owak, zdecydował sąd.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - odezwał się - stanie się pani dzięki mnie bohaterką dnia.

- Stara piosenka, panie Kilmer.

- Ale nigdy jeszcze nie zanucił jej pani mój miły głosik.

Tym razem zawahała się jeszcze dłużej.

- Mój Boże, jakże bym chciała móc panu uwierzyć - mruknęła półgłosem.

- A co ma pani do stracenia? Poza tym zawarliśmy umowę. Powiedziała mi pani to, o co prosiłem.

Wyszliśmy zza przepierzenia, a tymczasem na oddziale pojawiła się nowa twarz. Mężczyzna był wysoki i tak chudy, że przywodził na myśl pustelnika. Miał na sobie smoking, a na jego twarzy malowało się nieskrywane przerażenie. Popatrzył na nas, a potem na policjanta przy drzwiach.

- Kim są ci ludzie? - zapytał, robiąc krok w naszym kierunku, ale wzrok mając skierowany ku pielęgniarce.

- Prokurator okręgowy Galavanti - przedstawiła się moja towarzysząca, po czym wskazała na mnie: - A to jeden z moich współpracowników.

- Trzeba usunąć stąd zbędne osoby - powiedział tamten rozkazującym tonem. - Nazywam się doktor George Hanson, jestem osobistym lekarzem pana Rainesa.

- Jedna uwaga, panie doktorze - oznajmiła. - Nad głową pana Rainesa zawieszony jest mały dyktafon na wypadek, gdyby coś mówił...

- Dziękuję - rzuciłem, kierując się ku wyjściu - może nic z tego nie wyjdzie, ale a nuż się uda.

- Tak jak mówiłam, panie Kilmer. Wierzę w to, co się sprawdza.

Wyszliśmy razem do hallu, gdzie stanęliśmy oko w oko ze Stoneyem Titanem i Doe Raines.

### 63. CZUWANIE PRZY ZWŁOKACH

Wyglądała jak jeden z tych wielkookich francuskich mimów. Drżąca, krucha, pełna bólu i przerażenia, nic z tego nie było udawane, na ile mogłem ocenić. Straciła kontrolę nad sobą.

Pani prokurator pod jakimś pretekstem usunęła się z linii ognia.

Szkop i Czerw odeszli w głąb hallu.

- Jak on, wszystko w porządku? - zapytała płacząco, dwa pytania zbijając w jedno. Titan spojrzął na mnie jak na trędowatego. Nozdrza mu drgały jak u rozgniewanego muła.

- Nie mógłbyś raz wreszcie usiąść na tyłku? - mruknął z wściekłością.

- Jake, co z Harrym? - powtórzyła natarczywie Doe, nie zwracając uwagi na Titana.

Poprowadziłem ją do małej poczekalni tuż obok oddziału intensywnej terapii. Titan podążył w ślad za nami, a jego laseczka postukiwała o linoleum, jakby był ślepcem. Zamknąłem za nim drzwi. Patrzyła na mnie oczyma wielkimi jak spodki, pełna lęku.

- Nie żyje, tak? - wyrzuciła z siebie.

- Żyje. Ale nadzieje są bardzo niewielkie - odrzekłem.

- Boże - zanosła się płaczem - och, Boże, to przeze mnie.

- O czym ty mówisz? - prychnąłem.

- Co za głupie gadanie - zawtórował Titan.

Zwisła mi w ramionach. Podtrzymałem ją i podprowadziłem do krzesła. Siadła z rękami bezwładnie zwieszającymi się obok kolan i zaczęła dygotać.

- Niech pan lepiej poprosi tutaj jakiegoś lekarza - zwróciłem się do Titana, a on wyszedł posłusznie po któregoś z doktorów.

- Co masz na myśli, Doe? - zapytałem, klęcząc przed nią.

- Kocham Harry'ego, naprawdę. To wspaniały człowiek i dobry mąż - powiedziała, szlochając.

- Wiem.

- Może, gdybym była bardziej uczciwa wobec niego...

- To nie miało z tym żadnego związku, Doe. Nie zaczynaj tylko obwiniać siebie o wszystko.

- Dlaczego tak się stało? - zapytała, a łzy spływały strumieniem po jej policzkach.

- Nie wiem.

- Czy miało to jakiś związek z końmi?

- Wątpię - odparłem. - Czy powiedział ci, dokąd idzie, kiedy zrezygnował z przyjęcia?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Zadzwoił do mnie z toru, powiedział, że z powodu wypadku na torze musi zostać w mieście.

- Nie mówił, dlaczego?

- Nie. Często tak bywało, nie wypadki, ale to, że zostawał w mieście i nie wracał do Windsong.

- Dowiemy się, kto to zrobił, przyrzekam ci.

Kiwnęła głową, ale była w stanie bliskim szoku. Nie wiedziałem, co do niej dociera, a co nie.

- Gdzie to było? - zapytała.

- Nad rzeką, na Quadrangle.

- Och - załkała - to jego najukochańsze miejsce. To był jego pomysł. Oddaliśmy swoją działkę.

Zamknąłem jej dłonie w swoich i rozcierając delikatnie, zacząłem je rozgrzewać.

- Jake, czuję się taka... zepsuta.

- Titan ma rację, to głupie gadanie. Nic dobrego nie może z tego wynikać.

Ale nie słuchała mnie. Zaczęła się kołysać w przód i w tył, zawodząc jak ranne zwierzę.

- Jak brzmiał głos Harry'ego, kiedy do ciebie zadzwonił? - nalegałem.

- Był gniewny? Smutny? Strapiony?

- Całkiem normalny. Ale on zawsze bardzo starał się ukrywać przede mną wszystko, co jego zdaniem mogło mnie zasmucić. O Boże, zaczynam mówić tak, jakby już umarł. Jake, Jake, dlaczego tak się stało?



Pochyliła nisko głowę i rozpaczliwie załkała. W chwilę później pojawili się doktor Hanson i Titan, a wraz z nimi wszedł do pokoju Sam Donleavy. Zerwała się i podbiegła do niego.

- Tak mi przykro, właśnie się dowiedziałem - zwrócił się do niej Donleavy. - Pół wieczoru spędziłem przy telefonie.

Przyjechałem z Sea Oat tak szybko, jak to było możliwe.

Doe spojrzała na lekarza.

- Co z nim? - zapytała łamiącym się głosem.

Spojrzał na mnie surowo i powiedział:

- Czy mógłbym porozmawiać z panią Raines na osobności?

- To przyjaciel - sprzeciwiła się.

Nie bardzo mu się to spodobało, ale nie był to też najlepszy czas na kłótnie.

- Doe, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale wydaje mi się, że niewiele jesteśmy w stanie pomóc. Otrzymał strzał prosto w czoło. Zrobiono trepanację: pocisk tkwi w prawym płacie, nie można go usunąć operacyjnie.

Osunęła się na niego z bezwładnie zwieszonymi ramionami.

- Dam ci coś na uspokojenie - powiedział, ale pokręciła głową z nieoczekiwaną gwałtownością.

- Nie. Nie chcę spać, nie chcę. Za dużo się troszczono o mnie w życiu. Nie jestem dzieckiem, George.

- To cię nie uspi, tylko trochę stępi ból.

- Chcę, żeby bolało. Chcę to czuć, nie możesz zrozumieć? To nie jest twój problem ani Mr Stoneya, to tylko mój problem. To mój mąż i ja podejmę wszystkie decyzje, jakie będą konieczne. Nie mogę być ogłuszona.

- Niech będzie tak, jak mówi - powiedział cicho Donleavy.

Hanson nie był z tego zadowolony, ale wzruszył tylko ramionami.

- Jak uważacie.

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście - przytaknął Hanson.

- Pójdę z tobą - zaofiarował się Donleavy i wyszli na oddział.

Gdy tylko zniknęli, Titan odwrócił się do mnie z wyszczerzonymi zębami.

- Trzymaj się od tego z daleka - syknął, grożąc mi palcem przed oczyma. - Tym, co najbardziej dla niej w tej chwili szkodliwe, jesteś ty.

- To będzie zależeć od niej - od warknąłem.

- Powtarzam ci, trzymaj się jak najdalej. Zjeżdżaj z jej życia. Wszystkiemu jesteś winien ty i banda tych obdartusów Moreheada. Ale dosyć już tego...

- Wolnego - nie panowałem już nad sobą. - Morehead nic tutaj nie jest winien. To pański cholerny Komitet spieszył wszystko i dzięki temu Tagliani mógł się tu wśliznąć.

- Dureń jesteś - parsknął gniewnym szeptem. - Nie jesteśmy takimi wymuskanymi mądralami jak wy, chojraki z FBI. No i dobrze, wśliznęli się. Ale zadaniem Moreheada było trzymanie takich ludzi na smyczy, g d y b y się dostali!

- Żeby cię cholera wzięła, Titan - zachnąłem się pełen wściekłości. - Jesteś taki sam jak cała reszta tych dupków, którzy marzą tylko o tym, by podrzucić gównem pod czyjeś drzwi.

- Guzik mnie obchodzi, co te pieprzone sukinsyny robią sobie nawzajem - głos Titana zamienił się we wściekły pisk. - Jeśli chcą się powystrzełać, to krzyżyk im na drogę.

Trząśł się ze złości, złości człowieka, którego władza została skompromitowana.

- Ale chodzi mi przede wszystkim o coś innego - ciągnął. - Staram się zaapelować do twojego poczucia honoru, jeśli posiadasz jeszcze coś takiego. Nie dawaj, chłoptasiu, miastu okazji do tego, żeby strzępiono sobie na niej języki. Teraz jej to najmniej potrzebne.

- Doe i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie przyszło panu nigdy do głowy, że może chcieć ode mnie pomocy?

- Trzymaj się z daleka od niej! - krzyknął.

- Pilnuj, dziadziu, swojego nosa - powiedziałem miękko i wyszedłem.

- O co znów poszło? - spytał Szkop, kiedy do nich dołączyłem.
- Titan jest trochę wytrącony z równowagi - powiedziałem.
- Titana nic nigdy nie wytrąciło z równowagi.
- Nieprawda - stwierdziłem. - Właśnie się to zdarzyło.

Staliśmy tak kwadrans, może dłużej. Nie ulegało wątpliwości, że czas Rainesa jest policzony, ale lekarz nie chciał się z nikim dzielić swoimi przewidywaniami. Doe była koło Harry ego, podczas gdy Titan i Donleavy, nachyleni ku sobie, rozmawiali z ożywieniem w poczekalni, najpewniej rozstrzygając kto ma zostać następcą Rainesa. Po hallu kręciło się kilku mundurowych, my zaś w niczym nie mogliśmy pomóc. Przed wyjściem nakreśliłem do Doe kilka linijek z numerami telefonów i poprosiłem pielęgniarkę o przekazanie karteczki.

Pogoda się zmieniła. Ciepły letni wiatr rozpędził mgłę i widać teraz było czyste, rozgwieżdżone niebo. Szkop, Czerw i ja jechaliśmy w stronę skweru w milczeniu. Każdy z nas rozmyślał o tej niepojętej pladze śmierci, która zbierała krwawe żniwo w Mieście Straconym.

Nad Quadrangle nadal wisiała lekka mgielka, ale teraz widać już było Skład Trzeci po przeciwnej stronie. Kostkowe chodniki przecinały trawnik, krzyżując się na środku. Jeden rozpoławiał skwer, prowadząc ku brzegowi rzeki, drugi łączył bank z Magazynem Trzecim.

Tajniacy i mundurowi wciąż badali miejsce przestępstwa, a ich żółte taśmy, oznaczające teren zamknięty, otaczały teraz cały skwer.

Kiedy Raines spotkał swojego mordercę, nauszni świadkowie Szkopa szukali naszyjnika na skraju parku za skwerem. Stojąc przy nakreślonej na kamieniach sylwetce, rozejrzałem się dookoła. W chwili gdy padł strzał, Chip i jego narzeczona znajdowali się w odległości jakichś trzydziestu jardów od tego miejsca.

- Ciekawe, skąd i dokąd podązał Raines? - zastanawiałem się na głos.

- Jego mercedes stoi zaparkowany na skraju skweru - podpowiedział Czerw.

Przeszedłem jakieś pięćdziesiąt jardów i dotarłem do rzeki. Dawny dok zamieniono w małe nadbrzeże dla wędkarzy. Na ciemnej toni tworzyły się wiry w miejscach, gdzie pod wodą tkwiły pale. Przy River Road alejka zakręcała i prowadziła w górę ku szosie, a potem biegła wzdłuż rzeki obok Quadrangle.

- Findley Enterprises znajdują się w Składzie Trzecim, zaraz koło parku - poinformował Szkop. - Costello i Cohen mają swoje biura w Pierwszym. Na końcu alejki są jeszcze trzy inne budynki.

Spojrzałem w górę i w dół rzeki, potem w kierunku muzeum i miejsca, gdzie zastrzelono Rainesa.

- Masz jakiś pomysł? - spytał Szkop.

Miałem ich sporo, ale były to w większości czyste hipotezy, niedające się dowieść, którymi nie miałem ochoty dzielić się w tej chwili z nikim.

- Raczej nie - powiedziałem. - A wy?

- Załóżmy, że Raines zaparkował na skraju skweru i zaczął iść w kierunku biura Findleya - powiedział Czerw. - Te młodziaki rozmawiały o jakieś dwadzieścia, trzydzieści jardów od niego. Morderca na pewno ich słyszał. Ktoś, kto to zrobił, musiał bardzo dobrze znać to miejsce.

- Musiał też wiedzieć, dokąd idzie Raines, dlatego wiedział - lub wiedziała - gdzie czekać.

- Musiał to być także ktoś zdecydowany na wszystko - dorzuciłem.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Szkop.

- Zastrzelić kogoś, wiedząc, że tuż pod bokiem są świadkowie... Ja bym powiedział, że ten ktoś stawiał wszystko na jedną kartę.

Zawróciliśmy w kierunku banku, rozglądając się na wszystkie strony, ale nie znaleźliśmy niczego interesującego. Można było przyjąć, że policjanci dokładnie już przed nami przetrzasnęli teren. Zatrzymałem się znowu na chwilę w miejscu, gdzie padł strzał.

- Mógł to być Nance - odezwał się Czerw. - Mógł wyjść z biura Costella, poczekać, aż Raines zaparkuje samochód i ruszy przez skwer, strzelić, a potem powrócić do Costella.

- Może tak, może nie - powiedziałem. - Jak zwykle, moc możliwości.

- Chodźcie, pogadamy o tym przy kawie i jakimś ciastku - zaproponował Szkop. - Byłem właśnie w trakcie kolacji, kiedy to się wydarzyło.

- Ale założmy, że to nie był Nance - zastanawiałem się. - Przypuśćmy, że był to ktoś, kto poczuł się tak zagrożony, iż musiał zaryzykować i zabić Rainesa. Co by wtedy zrobił?

- Pobiegłby w przeciwnym kierunku niż ten, skąd dochodził głos tamtych dwojga - powiedział Szkop. - W kierunku rzeki.

- Tak - zgodziłem się. - A gdyby był rzeczywiście roztrzęsiony, pewnie starałby się pozbyć broni.

- Rzeka - mruknął Czerw.

- Właśnie.

- George Baker! - wykrzyknęli jednocześnie Czerw i Szkop.

- Kto to taki? - zapytałem.

- Najlepszy nurek w okolicy - powiedział Szkop. - Jeśli broń jest w rzece, on ją znajdzie.

- Myślisz, że warto spróbować? - spytałem.

- Nie żartuj - żywo odpowiedział Czerw. - George wyskoczyłby z łódka najpiękniejszej gwiazdy, gdyby mu zaproponować nurkowanie.

- No to dawajcie go, na co czekamy - powiedziałem.

- A co z kawą i ciachem? - pozałił się Szkop.

- Najpierw spróbujmy złapać tego Bakera.

## 64. NURKOWANIE

Czerw zastał Bakera w domu przed telewizorem. Nurek, podniecony perspektywą poszukiwania broni mordercy, przyrzekł zachować wszystko w tajemnicy i zjawić się na przystani o pierwszym brzasku. Posiedzenie nad kawą i ciastkiem przyniosło tylko niekończące się spekulacje. Szybko daliśmy sobie spokój i poszedłem spać, odwiedzwszy wcześniej szpital, gdzie dowiedziałem się, że Raines znajduje się „pod staranną opieką”.

O piątej trzydziści następnego ranka trzęśliśmy się wraz z Czerwiem na nabrzeżu, popijając kawę z plastikowych kubeczków i słuchając George' a Bakera, który wyjaśniał, co on i jego partner zrobią za chwilę. Baker, wielki facet o piersi jak baryłka i rozłożystych barach, miał kark jak opona i ciemne włosy ostrzyżone krócej niż u rekruta. Telefonista z zawodu, był nurkiem z zamiłowania i pomocnikiem policyjnym, cokolwiek miałoby to znaczyć.

- Jest tu nader ciemno - oznajmił głosem pełnym napięcia, kiedy nakładał na siebie kombinezon. Mówił wyszukaną angielszczyzną z południowym akcentem, a brzmiało to równie wyraziście, co archaicznie. Przypominał aktora ze starodawnej sztuki.

- Tak, moi panowie, ciemno i niebezpiecznie. Wystarczy marna minuta, by zginąć w tych wodach. Nie można sobie pozwolić na najmniejszy błąd w rozumowaniu, nie wolno omylić się w kalkulacjach, tu omyłkę popełnia się tylko raz. Tak, panowie, nurkuję w wodach tak smolistych, że mroku nie rozprasza nawet potężna latarka. Na dnie jest albo gęsty muł, ruchomy i zdradliwy, albo pokryte jest ono starymi, tłustymi linami jak ramiona ośmiornic, zniszczonymi śrubami, puszkami i najprzeróżniejszymi innymi odpadkami z czasów, gdy wpływały tu wielkie statki morskie. Tak, panowie, w promienne południe na głębokości piętnastu stóp jest tak ciemno, że mogę zaufać jedynie wyczuciu tych palców.

Na wypadek, gdybyśmy nie rozumieli, co ma na myśli, ukazał nam dzięć palców swoich dłoni i wpatrzył się w nie w nabożnym skupieniu.

- Tak, panowie, czasami od wieczności oddziela mnie jedynie zrzęcość koniuszków palców.

Dno, jak nas poinformował Baker, opadało łagodnie od brzegu jakieś trzydzieści stóp w dół, by następnie gwałtownie przejść w głęboki kanał. Wykorzystać miał, jak to nazywał, „system kontrolny”: sznurek odwijany z kłębka, mocowany do kolejnych filarów i umożliwiający mu orientację w wodzie. Jego towarzysz, młodzieniec o wyglądzie niebudzącym szczególnego zaufania, który przedstawił się jako Whipett, a jak się później dowiedziałem, trudnił się przede wszystkim przemytem alkoholu, asekurował go, pilnując liny opasującej Bakera.

- Gdybym popadł w kłopoty - obieścił mistrz - Whipett postara się mnie wyciągnąć w sposób ostrożny, ale i stanowczy, mając nadzieję, że uda mi się zwycięsko stawić czoło każdemu zagrożeniu.

Baker, który już wiele razy poszukiwał broni przestępców, miał własną teorię w tej kwestii.

- Mężczyzna z reguły ciska broń do wody tak, jak rzuca piłkę - tłumaczył - podczas gdy dama, najczęściej niemająca kontaktu z takimi niebezpiecznymi rzeczami, upuści ją po prostu do wody tak, jakby jej wypadła, aby tylko jak najszybciej się jej pozbyć. Zacznę od skraju kanału, wykorzystując w ten sposób pomoc, jakiej udzieli mi przyływ.

- Przypuszczam - ośmieliłem się wtrącić - że sprawca chciał jak najszybciej pozbyć się broni, gdyż w pobliżu znaleźli się świadkowie, którzy usłyszeli strzał.

- Bardzo panu dziękuję - z powagą skłonił głowę Baker. - Będę miał to w pamięci.

Kiedy tak stał w swym kombinezonie, w masce i z butlami na plecach, ogromny czarny stwór spoglądający na nas przez szybkę niczym sowa, pomyślałem sobie, że z powodzeniem mógłby wystąpić w Hollywood jako monstrum. Poczłapał wzdłuż nabrzeża, ledwo widoczny we mgle; po chwili piętnaście stóp niżej usłyszeliśmy chlust wody.

- Jak mata coś do roboty - powiedział Whipett, wpychając do ust kawałek tytoniu - to se to róbta. To musi ździebko potrwać.

Czerw i ja zanurzyliśmy się we mgłę, znaleźliśmy jakąś otwartą kafejkę i zamówiliśmy śniadanie.

- Przyszedł mi do głowy wariacki pomysł - oznajmiłem.

Zaczął się śmiać.

- Od samego rana takie niespodzianki? No dobra, wal.

- Zabierze to trochę czasu, ale może byśmy się przeszli po miejscowych sklepach z bronią, począwszy od tych najlepszych. Sprawdźmy, czy Donleavy, Seaborn, Raines, Sutter lub Logan mają trzydziestkiósemki albo coś zbliżonego.

- Raines?

- Jest jeszcze jego żona - powiedziałem, nie podnosząc oczu znad talerza.

- Obstawiasz wszystkie numery, co bracie? - powiedział chłodno Czerw.

- Nikt nie jest święty - odparłem równie zimnym tonem.

- Zdawało mi się, że morderstwa to nie nasza broszka.

- Wszystko, co się wiąże z Taglianiami, to nasza broszka. Zrób to dla mnie, mówiłem, mam pomysł.

- W porządku, zrobię to dla ciebie. Co to za pomysł?

Przedstawiłem mu wszystko w największym skrócie, zanim nam przetrwano.

Zjawił się Jednouchy Charlie z wynikami sekcji wszystkich ofiar, łącznie z Tonym Lukatisem i Zszywanym Harperem.

- Tagliani, Stinetto, O'Brian i Harper zginęli z tej samej broni, A .22. Wszyscy trafieni seriami, z wyjątkiem Lukatisa. Ten zginął od pojedynczego strzału w tył głowy z .357. Stizano i jego ludzie zostali zastrzeleni z A .223.

- Cios łaski - mruknąłem.

- Co? - nie dosłyszał Charlie.

- Nic, tylko myślę sobie na głos.

- A co takiego myślisz? - zapytał.



- Podejrzewałem to już od dawna. Mamy do czynienia z M-16, prawdopodobnie z przymocowanym do niego miotaczem granatów. On odpowiedzialny jest za masakrę pod kinem i u Draganaty. Mamy american 180 terkoczący jak wiertło dentystyczne, który sto osiemdziesiąt pocisków wystrzeliwuje w sześć sekund. Ten był w robocie u Taglianiego, O'Briana i na łódce. Logeta i Delię Norman zamordowano za pomocą śpiewającego sznura. I mamy wreszcie .357, którego użyto, by mieć pewność, że Stinetto, Tagliani i Lukatis będą martwi. Nie tak wiele, jak na masakrę, która się dotąd rozegrała.

- A co z Harrym Rainesem? - zapytał Jednouchy.

- Będziemy wiedzieli na pewno dopiero wtedy, kiedy wydobędą pocisk. Szkop powiada, że to zapewne kaliber 38 albo zbliżony. Może więc to być .357 albo nawet dziewięć milimetrów. To wszystko podobna średnica.

- A Nance strzela z dziewięćmilimetrowego lugera? - zapytał Czerw.

- Nance nie zastrzelił Harry'ego Rainesa.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz?

- Instynkt - odrzekłem. - A mówiąc ściśle, logika. Po pierwsze, Nance nie zabija z bliska. Lubi pracować na odległość. Po drugie, wszystko zawsze starannie planuje. Nie rozwaląby nikogo, mając o dwadzieścia jardów pod bokiem świadków. Zbyt wielkie ryzyko, a Nance jest zawodowcem. Wiem o dwóch tylko jego błędach.

- Jakich?

- Dwa razy nie udało mu się ze mną - wyjaśniłem.

W tym momencie przy stoliku pojawili się jednocześnie Szkop i kelnerka, która przyniosła nam śniadanie. Wielkolud odszukał nas, by powiadomić, że Harry Raines nie żyje.

- Umarł jakieś trzy kwadransy temu - powiedział, przeciskając się za mną. - Byłem tam przez całą noc. To przykre, bardzo przykre. Doe Raines jest kompletnie załamana, a Titan Stoney obwinia każdego z wyjątkiem

prezydenta USA. Donleavy zajął się wszystkimi przygotowaniem.

Jego głos rozbrzmiewał nadal gdzieś tuż obok, ale nie słyszałem ani słowa. Myślałem o Doe i zmorach, które dopadły ją w szpitalu, zmorach, które mogły zamienić jej życie w piekło, jeśli nikt się nimi szybko nie zajmie. To dziwne, jak często osoby kochające i rodzina obwiniają siebie o czyjąś śmierć. I DeeDee, i Doe tego samego dnia utraciły swoich bliskich i obie poczuły się winne. Ciągle nie byłem pewien, czy Doe wiedziała o śmierci Tony'ego Lukatisa i czy się tym przejęła. Teraz inne rzeczy stały się o wiele ważniejsze.

- Czy Chief już wie? - zapytałem w końcu.

- Trudno powiedzieć, zajmie się tym pewnie Mr Stoney - odparł Szkop. Śmierć Rainesa nie odebrała mu, jak się zdaje, apetytu. Zamówił śniadanie, po którym cierpiałbym zapewne na niestrawność przez cały najbliższy tydzień.

- Ciągle nie mogę uwierzyć - powiedział Morehead. - Rozmawialiśmy z Samem Donleavym o wszystkich wydarzeniach, kiedy to nastąpiło.

- O której do ciebie zadzwonił? - zagadnąłem.

- To ja zadzwoniłem do niego. Jakiś pięć minut po ósmej. Mieszka w apartamentach na Sea Oat, tuż przed mostem na Isle of Sighs.

To dawało Donleavy'emu murowane alibi. Rozmawiałem z nim jeszcze za kwadrans ósma. Nawet Czerw w najlepszej formie nie potrafiłby pokonać dystansu z Sea Oat do miasta w czasie krótszym niż piętnaście minut. Przejazd w obie strony w dwadzieścia minut był po prostu czymś niemożliwym.

- Mam coś dla ciebie, Jake. - Jednouchy wyrwał mnie z zamyślenia. - Czerw prosił, żebym sprawdził rachunki bankowe Taglianiego. Trzy z tych towarzystw to towarzystwa zagraniczne.

- Zarejestrowane w Panamie? - rzuciłem błyskawicznie.

- Ej, skąd wiesz? - indagował zaskoczony Szkop.

- Korporacje chronione - powiedziałem. - Które to?

- Seaview Company, właścicielka hoteli; Riviera Incorporated, która dostarcza hotelom personelu, i Rio Company, która również świadczy jakieś usługi, ale nie bardzo wiadomo jakie. Thunder Point Marina i Jalisco Shrimp Company należą do miejscowej Abaca Corporation, a restauracja jest własnością jednej osoby.

- Bronicaty?

- Tak.

- To rozsądne - kiwnąłem głową. - Pralce potrzeba paru legalnych biznesów.

Rad z mojej satysfakcji, Charlie oddalił się, mając nadzieję, że uda mu się zdobyć jakieś dalsze informacje.

Nagle odezwał się sygnalizator Szkopa, więc ten poszedł do telefonu sprawdzić, o co chodzi. Wrócił zdumiony i rozbawiony jednocześnie.

- Co tym razem? - zapytał Czerw.

- Wszyscy zaczęli wykladać karty na stół - pokręcił głową. - Długonosy Graves dwadzieścia minut temu rozpieprzył Jalisco Shrimp Company. Nikt nie ucierpiał, ale budynek rozleciał się na kawałki. To, co z niego zostało, płonie.

- Cholera jasna! - powiedziałem ponurym głosem. - Zaczęło się.

- Co się zaczęło? - spytał Szkop.

- To, czego się obawiałem - odrzekłem. - Otwarta wojna. Jeśli nie położy się temu natychmiast kresu, Harry Raines nie będzie jedyną niewinną ofiarą. Widziałem z bliska wojnę gangów w Cincy. To nic miłego. W porównaniu z czymś takim masakra Tagliameli to zabawa chłopaczków.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem Szkop sięgnął do kieszeni i wyciągnął kasetę z magnetofonu, który zawiesiłem nad głową Rainesa.

- Całkiem bym zapomniał - powiedział. - Odzyskałem to dla ciebie.

- Jest coś?

- Nie wiem, nie słuchałem - odpowiedział.

- Wiesz na pewno, że to Graves załatwił Jalisco? - nagabnął Czerw.  
- Tak. Śledził go Szczeniak Mufalatta. Nareszcie jakiś pożytek z tej inwigilacji. Szczeniak nie spuszczał go z oka i dlatego był świadkiem całego zajścia - oznajmił Szkop.

Pozbierał nasze rachunki.

- Miasto za to zapłaci - powiedział. - Chodźcie, dowiemy się czegoś od Szczeniaka.

- A gdzie on jest? - zapytał Czerw.

- Opiekuje się Długonosym troskliwie jak piastunka - odparł Morehead, a jego twarz rozplynęła się w uśmiechu. Był to najbardziej promienny uśmiech, jaki zobaczyłem u kogokolwiek od czasu przybycia do Doomstown.

## 65. DŁUGONOSY GRAVES

Dwudziestominutowa zazwyczaj przejażdżka przez Dunetown na Back O'Town zabrała tym razem Czerwiowi niecały kwadrans. Sześć czy siedem przecznic wcześniej wyłączył syrenę i dojechał na miejsce na jałowym biegu. Szkop wypalił dwa papierosy jeden po drugim. Nie mówił nic, tylko siedział ze skrzyżowanymi nogami i wypuszczał z siebie kłęby dymu.

- Przejeżdż za klub i zatrzymaj się pod apteką po drugiej stronie ulicy - polecił, kiedy zbliżyliśmy się do celu. - Szczeniak nie chce, by ktokolwiek z bandy Gravesa zobaczył go z nami.

- Zrobione - oznajmił Czerw. Podkołował pod aptekę, zatrzymał wóz, zaciągnął ręczny hamulec, wyłączył silnik i stał już na zewnątrz, zanim ja zdążyłem ruszyć swe stopy z podłogi.

- Hm, nigdy jeszcze nie jechał tak ze mną - zabrzmiał cały komentarz Moreheada.

- Ty to masz szczęście - powiedziałem. - Ze mną nigdy nie jechał inaczej.

Była to staromodna drogeria, podobna do tych, które pamiętałem z dzieciństwa, podobna do apteki Bucky'ego w centrum Dunetown, zanim stało się ono Doomstown. Kontuar miał marmurowy blat, przy ścianach stały metalowe krzesła z wygiętymi oparciami i pachniało tu nie pigułkami czy lakierem do włosów, lecz maraskino i czekoladą. Siwawy mężczyzna za ladą zmierzył nas uważnym spojrzeniem od stóp do głów, a potem kiwnął brodą w kierunku Szczeniaka, siedzącego twarzą do okna i popijającego coś różowego, co wyglądało z daleka na lekarstwo. Obserwował piętrowy, nieotynkowany, samotny budynek. Pionowy neon nad drzwiami obwieszczał, że jest to kościół Baptystów Afrykańskich pod wezwaniem Świętego Andrzeja.

- Nie wiedziałem, że do Gravesa trzeba się zwracać per Wasza Wielbność - powiedziałem.

- Kiedyś był tu rzeczywiście kościół - wyjaśnił Mufalatta. - Jak przynosili się na nowe miejsce, neon im nie pasował, więc Długonosy go odkupił. Nazywa to miejsce kościołem.

- Czy Afrykańskim Baptystom nie wydaje się to niesmaczne? - zapytałem.

- Nie, jest ich szefem - stwierdził Szczeniak i na tym zakończyliśmy dyskusję religijną.

- Kto jest w środku? - zapytał Czerw.

- Właśnie przyjechały dwa pełne samochody - powiedział Szczeniak. - Bracie, ale są dumni z siebie. Nigdy jeszcze nie widziałeś szerszych uśmiechów.

- Jak zdmuchnęli kompanię krewetkową?

- Podjechali w dwa wozy, zatrzymali się przed drzwiami wejściowymi, weszli i upewnili się, czy w budynku rzeczywiście nie ma nikogo. Następnie porzucali koktajle Mołotowa, a odjeżdżając, cisnęli w drzwi parę laseczek dynamitu. Bracie, chałupa pofrunęła pod chmury.

Staliśmy, spoglądając przez ulicę na kościół i zastanawiając się, co począć.

- Gdybyśmy chcieli ich aresztować, potrzebny byłby nam chyba nakaz? - zapytałem.

- Aresztować? Kogo, Gravesa? Człowieku, co ty wygadujesz? - zdumiał się Mufalatta. - Nas czterech ma sobie wejść tam do środka i jak gdyby nigdy nic aresztować Długonosego Gravesa i ośmiu chyba najpodlejszych skurwysynów na południe od Jersey City? We czwórkę? Odpieprz się, bracie! Honorowa śmierć: proszę bardzo, ale samobójstwo to ja chromię!

- To może po prostu pójde tam i pogadam z nim - zaproponowałem.

Mufalatta popatrzył na mnie, jakbym był niespełna rozumu. Szkop zachichotał. Tylko Czerw nie zareagował; stał w milczeniu, rozważając mój pomysł. Dopiero po chwili odezwał się:

- Po co?

- Jest wkurwiony. Może uda się powstrzymać to szaleństwo, zanim zginą następni.

- Dobra, pójdziesz pogadać - ciągnął Czerw. - I co, myślisz, że on w ogóle będzie chciał cię słuchać?

- Co mamy do stracenia? - upierałem się. - Czerw i Szkop, miejcie oko na frontowe i tylne drzwi. Ja i Szczeniak wejdziemy do środka i rozmówimy się z Gravesem.

- Czyste szaleństwo, kurwa mać - oświadczył Mufalatta.

- Czemu nie? - sprzeciwił się Czerw. - Czasami takie czyste szaleństwo przynosi korzyści.

- Może ściągniemy jeszcze jakichś chłopaków - westchnął Szkop.

- Po co? - zdziwiłem się. - Przecież nie chodzi o pojedynkę rewolwerowców. Po prostu pogadamy.

- Facet przed chwilą rozpieprzył konkurencję - ostrzegł Szkop. - Jeśli wie, że go widziano, nie będzie miał zbytnej ochoty na żadne pogaduszki z gliniarzami.

Wzruszyłem ramionami.

- Na razie nic mu nie będziemy mówić. - Wstałem, minąłem drzwi i ruszyłem przez ulicę, a Mufalatta powłókł się za mną.

- To kompletny kretynizm, bracie - utyskiwał. - Facet zupełnie nie ma lontu, wiesz, o co mi chodzi? Nawet pieprzonego centymetra lontu. Podgrzejesz go, a on natychmiast wybuchą. Jak pieprzenie, to usłyszą nas w L.A. Co ja mówię, usłyszą nas w Pieprzonym Berlinie Zachodnim, albo i dalej. Słyszysz, kurwa, co ja mówię? Myślisz, że ja dla żartów miałem językiem?

- Słyszę, słyszę - uspokoiłem go. - Facet ma krótki lont.

- Nie, bracie. W ogóle niema lontu, kapujesz? W o g ó l e!

Weszliśmy do klubu.

- No dobra, niech będzie - zrezygnowanym tonem powiedział Mufalatta. - Ale ja zacznę, OK? Pozwól mi to zrobić, bo wydaje mi się, że w tej sytuacji to mnie będzie łatwiej nawiązać z nim kontakt niż tobie.

- A niby dlaczego? - zapytałem.

- Bo jesteś tęym, pieprzonym białasem, a ten koleś nie dowierza nawet mulatom.

- Dobra, ty zacznij - zgodziłem się.

Weszliśmy na piętro. Była to sala modlitewna z pulpitem na końcu i rzędami krzesel tak cofniętymi, by powstał parkiet taneczny. Na podeście z prawej znajdował się niski stół otoczony przez duże sofy. Przeważała purpura i czerń. Cztery głośniki stereo, każdy wielkości sporej tablicy ogłoszeniowej, ryczały tak, że fale głosowe stawały się widoczne. Od huku rozbolało mnie jabłko Adama. Do świętego ongiś miejsca teraz nie docierał nawet jeden promień słońca.

Na szczycie schodów siedziało na drewnianych krzesłach dwóch czarnych olbrzymów. Obejrzel nas od góry do dołu, a potem jeden dość grzecznie oznajmił:

- Przykro mi, panowie, ale zamknięte do szesnastej.

- Nie o to chodzi! - wrzasnął Mufalatta. - Przyszliśmy pogadać z szefem.

Dwaj giganci wymienili rozbawione spojrzenia, a potem zgodnie

ryknęli śmiechem, który zdołał zagłuszyć huk muzyki. Jeden z nich krzyknął:

- A co, koleś, chcesz go poprosić do boogie?

- Tak - potwierdziłem, wyciągnąłem swój portfel i otworzyłem go tak, by była widoczna moja legitymacja. - A to mój karnecek.

- Kurwa - zachnął się Szczeniak. - Oto jak wrzuca się do kibla poprawne stosunki dyplomatyczne.

Ten, który odezwał się do nas, spojrział takim wzrokiem, jakbym podtykał mu pod nos gazetę sprzed tygodnia. Popatrzył na Mufalattę, potem na mnie, porównując nas najwidoczniej, potem wskazał na mnie palcem.

- Zostańcie tutaj, obydwaj - powiedział do nas, a do swego partnera: - Przypilnuj ich.

Odwrócił się, ruszył przez parkiet i zniknął w cieniu. Drugi dryblas stał, popatrując to na jednego z nas, to na drugiego. Było jasne, że wykonuje polecenia co do joty. Jeśli jesteś tak wielki, nie musisz już myśleć.

Przez jeszcze dwie minuty trwały tortury muzyczne, a potem raptownie hałas ustał.

- Daj ich tutaj! - ryknął Małpizson Pierwszy. - Tylko ich najpierw sprawdź.

- Pod ścianę - burknął Małpizson Drugi. - Muszę was przetrząsnąć.

Zrewidował nas i zabrał Mufalattcie sfluwę .357 i nóż sprężynowy. Jedy-  
nym znalezionym u mnie przedmiotem, mogącym wzbudzić podejrzenia,  
był pilnik do paznokci, który tamten oglądał przez kilka chwil.

- To pilnik do paznokci - spróbowałem mu pomóc.

- Nie pieprz - powiedział. - A ja myślałem, że to wykałaczką.

Małpizson Pierwszy poprowadził nas przez salę w odległy kąt odgrodzony przepierzeniem. W środku stał okrągły stolik, a za nim ręcznie rzeźbione krzesło, dostatecznie wielkie, by mogło posłużyć jako tron



królewski. Siedział za nim Graves zjedną nogą przewieszoną przez poręcz. Ubrany był jak brazylijski bankier w brązowy jedwabny garnitur z ciemno-brązową chusteczką, wyglądającą z butonierki i krawatem w czarno-białe pasy. Podobnie jak Zapata nawet w mroku nosił okulary przeciwsłoneczne.

Jego adiutanci - było ich kilku - usunęli się dyskretnie w cień. Nigdzie nie wyszli, po prostu rozplynęli się w tle.

Graves pochylił się odrobinę do przodu, opuścił nieco okulary i zerknął ponad nimi.

- No, kto by się spodziewał, nasz miłośnik psów.

Uśmiechnąłem się. Szczeniak nie zareagował.

- Nie powinniście tego robić - powiedział teatralnym szeptem. - Włazić człowiekowi do domu i migać tymi swoimi gównianymi legitymacjami.

- Tak czy inaczej - uśmiechnął się Mufalatta - tamci tam, King Kong i Mighty Joe Young, nie uznali, że wyglądamy na godnych audyencji.

Graves uśmiechnął się także. Był przystojnym facetem. Ten, kto skrócił mu nos, niezależnie z jakich powodów to zrobił, oddał mu przysługę.

- Kim jesteście, do kurwy nędzy? - spytał spokojnie.

- FBI - objaśniłem.

- To kiepsko - gwizdnął cicho przez zęby. - Czy jesteśmy otoczeni?

- Pewnie - powiedział Mufalatta. - Komandosi nie mogą się doczekać, żeby tu wejść.

- No dobrze, to powiedzcie, z czym przychodzicie. O co chodzi?

- Czy może to pozostać tylko między nami? - zapytałem.

Graves spojrział na Małpiszona Drugiego.

- Zupełnie czyści - mruknął czarny olbrzym.

Graves rozparł się w fotelu i zamachał rękami.

- Dobrze - powiedział. - Dajcie nam odetchnąć. Napijcie się czegoś?

- Nie teraz - odparłem.
- To ty jesteś gadacz? - spytał, kiwając ku mnie brodą.

Potwierdziłem.

- To gadaj.

Nie wiedziałem, jak zacząć, a mówiąc szczerze, nie wiedziałem także, co zamierzam mu powiedzieć. Trzeba było dobrze trafić. Graves nie był głupcem. Gdybyśmy zjawili się tutaj z powodu napadu na firmę Chevosa, przyszłobyśmy lepiej obstawieni i z nakazem aresztowania. Chcieliśmy porozmawiać, a on nas chciał posłuchać.

- Dochodzą do mnie różne pogłoski - powiedziałem. - Z racji mojego zawodu słyszę to i owo.

- No i co takiego usłyszałeś, bracie? - powiedział szczupły, ciemnoskóry gangster, ciągle się uśmiechając.

- Dotarło do mnie, że pewien gangster z Cincinnati, nazwiskiem Tagliani, przyjechał tu ze swoją bandą, żeby otworzyć biznes. Chcieli przejąć Front Street, ale wiedzieli, że trudno będzie to zrobić bez uwzględnienia w ten czy inny sposób ciebie. Być może znaleźli tutaj na miejscu jakąś pomocną rękę - to trzeba jeszcze ustalić - niemniej osobą, od której Tagliani nie uzyskał żadnego poparcia, był Stoney Titan, a ponieważ ty i Titan zawarliście pakt, oni nie mogli cię po prostu wyrolować. Z pogłosek wynika, że Tagliani zarzucił próbnie wędkę, by sprawdzić, jaki jesteś twardy, i nasłał na ciebie rzeźmieszka z Ohio, Cherry'ego McGee. Nie udało mu się ciebie zastraszyć, więc Tagliani spróbował cię zapuszkować, ale po wyroku rozwaliliś McGee i paru jego pistoletów.

Tymczasem tamci zaczęli przejmować interes, wciskając się to tu, to tam. Zabrali się za twarde dragi, głównie kokainę, aby obsłużyć zamiejscowych klientów, co, jak mi mówią, nie jest w twoim stylu. Mają też dużą forszę i to właśnie zaczęło ci dopiekać. Zaczęli spychać cię do bandy, bo mieli kapitał.

Dotarło więc do mnie coś takiego, że postanowiłeś zrobić jeden duży numer, zrobić duży przerzut koki z Południowej Ameryki, co tobie dałoby z ulicy jakieś dwadzieścia, trzydzieści melonów, plus dużą wyrwę w ich interesie.

Wówczas w zeszłą niedzielę Tagliani napadł na twój transport, zabił twoich ludzi, spalił łódź, co pozostawiło cię bez towaru, a za to z długami wobec tych, którzy cię skredytowali. Doszło do mnie, że wypowiedziałeś wojnę Taglianim i zaczęłeś ich niszczyć. A kiedy Harry Raines zaczął się wściekać na całą tę strzelaninę, wtedy załatwiłeś i jego.

Zrobiłem małą przerwę, a potem dodałem:

- Takie doszły mnie słuchy.

Okulary zniknęły. Para stalowych oczu wpła się we mnie.

- Wiesz co, psiarzu, tak jesteś pełen gówna, że ktoś może się od ciebie zarazić - mruknął, a jego dobry humor gdzieś zniknął. - „Doszły mnie słuchy”, kurwa mać.

- Powiadam, tak to do mnie dotarło. Nie mówię, że tak było. Ale można by właśnie tak przedstawić, gdyby dostatecznie wielu ludzi tego chciało.

Znowu rozparł się w fotelu i zaczął się bawić okularami. Chyba go zainteresowałem.

- Dobra - szepnął - a ty sądzisz, że jak było?

- Powiem, jak moim zdaniem nie było. Nie wydaje mi się, żebyś to ty zabił kogoś z rodziny Taglianich, z wyjątkiem może McGee i jego obstawy. Nie myślę też, że to ty usunąłeś Harry'ego Rainesa. Nie tylko nie myślę, ale mógłbym też zapewne tego dowieść.

- To cholernie miło z twojej strony, bracie - powiedział. - A co ja mam zrobić w zamian, wziąć za żonę twoją siostrę?

- Chcę, żebyś odwołał wszystkich swoich rewolwerowców i to natychmiast. Zanim strzelanina zacznie się na dobre i zanim zginie wielu ludzi, którzy nic z tym nie mają wspólnego.

- Chcesz, żebyśmy stanęli na środku bulwaru i poprosili tego pieprzonego Nance'a, żeby sobie trochę postrzelał do celu? - zapytał gniewnie.

- Ja zajmę się Nance'em - powiedziałem. - Mam do niego więcej prawa niż ty. Usiłował mnie zabić dwa razy.

Z jakichś przyczyn zrobiło to na nim wrażenie.

- Nie rozumiem zbyt jasno, co wedle twojej oferty mam zrobić i za co.  
- Jeśli odwołasz swoich ludzi, dopilnuję, żeby Tagliani zrobili to samo. Potem masz tylko siedzieć spokojnie i pozwolić fedom usunąć stąd resztę rodzinki i znowu całe miasto będzie twoje.

- I fedziowie zostawią mnie tutaj w spokoju, tak?

- Taki będzie efekt - odparłem.

- A ty to wszystko robisz po prostu dlatego, że jesteś fajnym, równym facetem, który odwała dobrze swoją robotę, tak? Kurwa mać, człowieku, za kogo ty mnie bierzesz? Myślisz, że byłem w kiblu, jak rozdawali mózgi?

- Posłuchaj, wiem o twojej umowie z Mr Stoneyem i nie chcę...

- Nie zawierałem żadnej umowy ze Stoneyem - oburzył się. - To nie z nim, koleś, on nie łączy z nadstawioną dłonią, żeby do niej włożyć jego część. To nie jego styl. Z panem Stoneyem dobrze się rozumiemy. Jeśli zrobię jakieś kretynstwo, idę pod nóż. Jeśli nie, wszystko idzie gładko.

- Mówię ci, że mnie interesują tylko Tagliani. Nic mi do tego, jak ze Stoneyem rządzą miastem. Kiedyś, dawno temu, to była ładna miejscowość.

- Mówiłeś o tym wszystkim Mr Stoneyowi?

- Sam do tego dojdzie - odrzekłem. - Osobiście jestem zdania, że zostałeś sprowokowany do wojny z Taglianiami.

Uśmiech, który na chwilę się pojawił, znowu zniknął, chociaż spokojny głos się nie zmienił.

- Nie zostałem sprowokowany, psiarzu. To nie w moim stylu.

- Chcesz mnie słuchać, czy nie? - spytałem niecierpliwie.

Spuścił nogę na podłogę i pochylił się ku mnie, opierając łokcie na stole.

- Słucham, już i tak długo rozmawiamy - powiedział. - Tylko nie kantung mnie.

- W całej tej rozróbie potrzebny jest im kozioł ofiarny.

- Jakim im?

- Może Chevosowi. Może Costellemu. Może nawet Bronicacie, choć w to wątpię. Niezależnie od tego, kto naprawdę załatwił dwunastu ludzi z rodziny Taglianich w ciągu tygodnia, ktoś musi ponieść za to karę i chęć zrobić w to ciebie.

Odchylił się w fotelu, złożył palce dłoni i wpatrzył się w sufit. Musiał rozważyć wiele kwestii; większość z tego, co mu powiedziałem, to były tylko moje przypuszczenia, z których niewiele można było udowodnić.

Nie odrywając wzroku od sufitu, Graves szepnął:

- I wcale nie zabiłem McGee. Rozwaliłbym tego marnego skurwiela, ale ktoś mnie uprzedził.

To oświadczenie wprowiło mnie w zdumienie, choć udało mi się je ukryć.

- Zginęli wtedy moi ludzie - ciągnął. - Nielatwo o tym zapomnieć.

- Więc po co mają ginąć następni? Jeszcze trudniej będzie zapomnieć. Ludzie zginęli po obu stronach.

Cisza.

- To prawda - przyznał. Potem dodał, ciągle patrząc w sufit: - Za to głównie kokainowe dostanę piątkę. Sprawa federalna, ucieszą się, że mogą mi coś znowu dopisać do akt.

- Także i tu jesteś czysty - odparłem. - Jeśli ktoś inny przechwycił towar, nie odpowiadasz za naruszenie żadnych przepisów. Winny jest ten, kto ukradł i przeschmugłował tutaj śnieżek.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Może jesteś po złej stronie, bracie. To ty powinieneś załatwiać interesy.

- Kiedyś załatwiałem.

- No więc co robimy?

- Moglibyśmy pogadać o Leadbetterze? - zapytałem.

Chciałem się dowiedzieć czegoś o śmierci szefa policji. Był to kolejny zbieg okoliczności, w który nie mogłem uwierzyć. Mufalatta przyglądał mi się z rozdziawionymi ustami, kiedy usiłowałem wycisnąć jak najwięcej z Gravesa.

- A co znowu z nim?

- Miałeś z nim jakieś kłopoty?

Graves wolno pokręcił głową.

- On i Stoney - powiedział, odginając dwa palce - byli bardzo podobni do siebie.

- Wiesz, że został zabity?

- Słyszałem, że to był wypadek.

- Jeszcze jedno - powiedziałem. - Czy Tony Lukatis pracował kiedykolwiek dla ciebie?

- Nie pleć bzdur. Prawie nie znałem tego małego sukinsyna.

- Ale nie lubiłeś go, co?

- W ogóle o nim nie myślałem.

- Więc to nie dla ciebie robił ten kolumbijski interes?

- Gdyby był jakiś kolumbijski interes, to on z całą pewnością nie brałby w tym udziału. Jasne?

- Jasne.

- Więc na czy polega twój plan, koleś? Dasz nam znać, że rozejm podpisany, czy jak?

- Potrzeba mi paru godzin - powiedziałem.

- Na co? - zainteresował się.

- Żeby wystudzić trochę atmosferę. Siedź spokojnie, to wszystko, czego od ciebie chcę.

Potarł szczękę dużą, kościstą dłonią, na której skrzył się pierścień z diamentem wielkim jak mój rodzinny dom. Zachichotał tym swoim niskim, świszczącym głosem.

- Nie mogę w to uwierzyć, kapujesz? Nie mogę uwierzyć, że umawiam się z pieprzonym białym fedziem. Jak się nazywasz, koleś?

- Kilmer. Jake Kilmer.

- Tak jak ten poeta?

- Czytasz poezję? - zapytałem.

- Czemu nie? - odpowiedział pytaniem. - Mam klasę.

## 66. STRZELANINA W BACK O'TOWN

- W porządku, dobiliśmy targu - oznajmił Graves i wyciągnął rękę. - Będziemy siedzieć cicho do chwili, gdy usuniesz Nance'a i całą resztę. Ale jeśli dalej będą szukać guza, zapomnij o wszystkim. Kilmer. Nie zamierzam nadstawiać dupy tym skurwielom.

Gdzieś w mroku kościoła odezwał się telefon. Dzwonił uparcie, aż w końcu ktoś podniósł słuchawkę. Po chwili dobiegł głos: - Jest tu ktoś o nazwisku Kilmer? To jeden z was?

Wstałem odprowadzany twardym spojrzeniem Gravesa.

- Mam nadzieję, że to nie jest żadna pułapka, bracie, bo w przeciwnym razie ty lecisz pierwszy.

- Pewnie mój agent ubezpieczeniowy - powiedziałem i poszedłem w kierunku, z którego doszedł głos. Telefon wisiał na ścianie, stary model, automat na monety.

- Kilmer - zgłosiłem się.

Po drugiej stronie był Szkop.

- Czym prędzej zbierajcie stamtąd dupy - zażądał.

- Idzie jak najlepiej - sprzeciwiłem się.

- Kite Lange właśnie porozumiał się z centralą ze swojego auta. Jedzie za Nance'em i dwoma samochodami pełnymi chojraków od Taglianich; kierują się w waszą stronę.

- Wezwij mundurowych.

- Już to zrobiłem, ale została ci najwyżej minuta, żeby stamtąd spieszyć, zanim zaczniesz się strzelanina.

- Cholera jasna - warknąłem. - Graves właśnie się zgodził na zawieszenie broni!

- No to wyłaź stamtąd i powiedz to twojemu kumplowi, Nance'emu, który jest już za rogiem.

Cisnąłem słuchawkę na widelki i potykając się w ciemnościach, pobiłem do kącika Gravesa.

- Mamy problem - powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem. - Nance jedzie tutaj. Dwa samochody pełne ludzi.

W dłoni Gravesa pojawił się Smith & Wesson .38. W ogóle zrobiło się wokół nas mnóstwo ruchu. Spluwa Długonosego była piękna, model 19, czterocalowa lufa, kolba Pachmara, spiłowany cyngiel, żadna tam zabawka, broń profesjonalisty.

- Co tu się, kurwa mać, dzieje? - syknął.

- Dzwonił kumpel. Jeden z naszych ludzi poinformował go, że Nance i jego banda jadą w tę stronę. Wezwane są już wozy policyjne. Zostańcie w środku i nie wychylajcie się. Dajcie nam wszystko załatwić.

- Nigdzie się stąd nie ruszysz, dopóki nie będzie po wszystkim, psiarzu.

Konwersację przerwała nam eksplozja. Drzwi frontowe rozleciały się, na schodach rozbłyły żółte płomienie, a potem zobaczyłem kawałki drewna i szkła, unoszące się leniwie w powietrzu.

Wyglądało na to, że nawiedziło nas trzęsienie ziemi.

Szczeniak uskoczył w bok, schodząc Gravesowi z linii strzału i pociągnął mnie za sobą. Graves zresztą przestał się nami na razie interesować.

Na ulicy słychać było strzały rewolwerów; polem zabrzmiał karabin i ktoś krzyknął.

Szczeniak przewrócił stolik, odtrącił łokciem jedną nogę, chwycił ją jak maczugę i kiwnął, bym szedł za nim w stronę bocznych drzwi.

Kolejna eksplozja. Obejrzałem się i ujrzałem dziurę ziejącą w ścianie. W smudze światła zobaczyłem w dymie i rozbłyskach ognia kilku mężczyzn podkradających się do frontowych drzwi i strzelających jak cholera. Jeszcze raz odezwał się karabin. Kolejny krzyk. Zewsząd strzały rewolwerowe. Z ulicy dochodził odgłos kilku syren.

Właśnie w chwili gdy dotarliśmy do drzwi, rozległa się za nami eksplozja. Mufalatta otworzył je i stanął twarzą w twarz z jednym z bandytów Nance'a. Jego dwunastostrzałowy remington wywalił przed chwilą dziurę w jednym z ludzi Gravesa, który staczał się w drgawkach po schodach.



Kiedy tamten poderwał broń, Szczeniak uskoczył do tyłu i zatrzasnął drzwi, pociągając mnie za sobą na ziemię. W środku drzwi wyskoczyła dziura na sześć cali. Mufalatta policzył do trzech i z całych sił otworzył je, uderzając w twarz gangstera. Lufa wjechała w dopiero co wystrzelony otwór. Szczeniak chwycił za nią, znowu pociągnął do siebie drzwi i wyrwał karabin z ręki tamtego. Następnie sięgnął przez dziurę, złapał za koszulę przeciwnika, przyciągnął go do drzwi i z całej siły wbił w jego ciało, jak włócznię, cieńszy koniec nogi stołowej. Bandzior odpadł od drzwi, rżąc, a Szczeniak wypadł, zakręcił swoją maczugą jak Lou Gehrig i niemal oderwał głowę tamtego. Rewolwerowiec poleciał po schodach w dół, przekoziółkował i legł pod drzwiami.

Skoczyliśmy w ślad za nim. Broń była straszliwa, policyjny karabin 870P ładowany śrutem. Znalazłszy się u stóp schodów, wyjrzelśmy ostrożnie przez drzwi. O dwadzieścia stóp od nas stał jeden z wozów Nance'a. Tamci dojrzeli czarną twarz Szczeniaka i otworzyli ogień ze wszystkich luf.

Odskoczyliśmy, a z framugi posypały się drzazgi.

- Jeden z nich skrył się po drugiej stronie samochodu - powiedział Mufalatta. - Spróbuję wziąć skurwysyna z odbitki, będziemy mieć trochę więcej luzu.

Strzał z odbitki to użyteczna sztuczka. Jeśli z karabinu strzelić w coś twardego pod kątem mniejszym niż czterdzieści pięć stopni, kula lub śrut odskoczy od powierzchni na osiem cali i pozostanie na tej wysokości. Było dostatecznie nisko, by przeszła pod samochodem. Szczeniak przygotował broń, wychylił się i dwukrotnie wypalił: - Kau-buuum! Kau-buuum!

Ziarenka śrutu odbiły się od jezdni i przeleciały pod samochód, rozdzierając kostkę i łydkę mężczyzny po drugiej stronie. Upadł na ziemię z przeraźliwym krzykiem. Szczeniak skorzystał z okazji i strzelił jeszcze raz, tym razem w tylne okno wozu. Samochód ruszył, z rannym gangsterem trzymającym się kurczowo przednich drzwiczek.

Dokoła rozpętało się piekło.

Na ulicy padło co najmniej dwóch ludzi Nance'a i jeden Gravesa.

Przechodnie chronili się za zaparkowanymi samochodami i w bocznych uliczkach.

Kościół Gravesa, wolno stojący między Gordon Street i Marsh Street, był teraz obleżony. Wejście stało w płomieniach, płonął też wóz policyjny, który przysiadł na przebitej oponie pośrodku Gordon Street.

Oba końce ulicy były zablokowane przez mundurowych.

Dojeżdżający do Gordon Street bandycki wóz zahamował gwałtownie, a przyklejony do drzwiczek kołes pokoziołkował przed siebie. Legł na jezdni i zawodząc, obejmował swe kostki, aż uciszyły go strzały z kościoła. Samochód Nance'a zawrócił i ruszył znowu w naszym kierunku. Szkop wystartował swym starym oldsmobilem z March Street, zahamował, wyskoczył i schronił się za jakąś osłoną. Szczeniak odstrzelił tylną oponę i wyszczerbił obręcz w nadjeżdżającym sedanie. Kierowca Nance'a stracił kontrolę nad kierownicą i nie udało mu się prześliznąć obok oldsmobila. Wyrznawszy w jego przód, wóz bandytów przekoziołkował nad nim i z hukiem wyładował po drugiej stronie.

Ludzie Nance'a zaczęli się wyczołgiwać z drzwiczek i okien. Zaroilo się wokół od policjantów, którzy nadbiegli od Marsh Street. Nigdzie nie było widać drugiego wozu. Nagle wyskoczył z uliczki koło drogerii, wykręcił z piskiem hamulców w Gordon Street i wskoczył w uliczkę biegnącą przed kościołem. Czarny pontiac Czerwia pognał za nim. Długonosy Graves wypadł z drzwi kościoła i wystrzelił cały magazynek w przelatujący samochód.

Kiedy wóz Nance'a przemknął koło naszych drzwi, wznosząc obłok kurzu, Mufalatta strzelił w tylną szybę. Trafił, ale uciekający pojazd nie zwolnił. Wykręcił w lewo w Marsh Street, otarł się o samochód policyjny, odbił od ściany domu i zniknął. Pontiac Czerwia wciąż pędził za nim.

Nadjechały karetki i straż pożarna. Robiło się coraz większe zamieszanie.

Kościół Gravesa płonął już jak pochodnia. Jego ludzie wysypali się na ulicę, kaszłac i trąc oczy. Według wstępnych obliczeń zginęło trzech ludzi Nance'a i dwóch Gravesa.

Samego Długonosego nigdzie nie było widać.

- Gdzieś w tym zamieszaniu musiał się nam wyśliznąć - powiedział Szkop.

Nie mogłem w to uwierzyć. Powróciłem do zapasowego wyjścia i pobiegłem schodami w górę. Wnętrze spowijały kłęby dymu. W drugim końcu sali połyskiwały płomienie.

Graves siedział na swym drewnianym tronie z przekrzywionym krawatem, garniturem i twarzą pociemniałymi od dymu i wielką dziurą u szczytu lewej piersi. Ręka z pistoletem zwisała ku ziemi. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem, kiedy wyłoniłem się z dymu.

Podniósł broń i wymierzył w moją głowę.

- Niech cię cholera, psiarzu, zawsze musisz przedobrzyć - powiedział zduszonym głosem.

- Dlaczego nie wychodzisz, kiedy nic już nie grozi? - zapytałem.

- Zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami powinienem cię zabić - oznajmił.

- Więc na co czekasz?

Palec zgiął się, a przeze mnie przeleciał prąd. Rozległ się trzask iglicy.

- Skończyły się naboje, poeto - zachichotał i cisnął mi pistolet pod nogi.

## 67. PODLICZANIE OFIAR

Wpakowaliśmy się wraz ze Szkopem do samochodu Mufalatty i za ambulansem pojechaliśmy do szpitala. Wyglądał jak lazaret przyfrontowy. Lekarze, pielęgniarki i sanitariusze wciąż wpadali i wypadali przez drzwi w zakrwawionych fartuchach, a kilkunastu rannych leżało na noszach, czekając na swoją kolej.

- Bardzo z nim źle? - zapytała pielęgniarka o sępiej twarzy, kiedy wwieziono Gravesa z ramieniem podłączonym do butli z krwią.

- Kula w piersi i krwotok - powiedział sanitariusz.

- Sala numer trzy - rzuciła rozkazującym tonem, a Gravesa spytała: - Czy jest pan ubezpieczony?

Długonosy popatrzył na nią i zdobył się na uśmiech.

- Jestem na zapomodze, proszę pani - zdążył szepnąć, zanim wywieźli go z sali.

Kile Lange i Szkop opowiedzieli nam o tym, co zdarzyło się na zewnątrz. Ledwie Morehead skończył rozmawiać ze mną przez telefon, na ulicy pojawił się Nance z pomagierami. Jeden z samochodów podjechał od Morgan Street pod boczne drzwi. Nance skoczył od razu do frontowego wejścia, zastrzelił jednego z ludzi Gravesa i wrzucił przez drzwi laskę dynamitu. Potem rozpętało się piekło. Lange wleciał wozem na samochód Nance' a, niszcząc swój przy okazji. Nance ruszył w stronę uliczki biegnącej koło drogerii, ale zobaczywszy nadjeżdżającego z przeciwka Czerwia, wrzucił tylny bieg i zawrócił. Co było potem, wiedzieliśmy już.

- Mój samochód to teraz wrak - poskarżył się Lange.

- Zawsze miałeś wraka - pocieszył go Szczeniak. - Pójdziemy jutro na złomowisko i znajdziemy ci jakiś.

Szkop dwoił się i troił, wyznaczając policjantów do obstawy rannych i usiłując ustalić ostateczną liczbę ofiar. O dziwo, w całym tym zamieszaniu obrażenia odniósł tylko jeden gliniarz, który złamał palec u nogi, wyskakując z płonącego wozu patrolowego.

Zginęło trzech ludzi Gravesa, zastrzelonych lub spalonych, sam szef walczył o życie. Pięciu pozostałych aresztowano na miejscu.

- Może brakować jednego lub dwóch - odezwał się Szczeniak - wydaje mi się bowiem, że łącznie z Gravesem było ich trzynastu.

Nance'emu też nie powiodło się zbyt dobrze. Trzech zabitych, dwóch na krawędzi śmierci, dwóch lżej rannych i trzech w areszcie.

- Jeden z nich wygląda, jakby trafił go piorun - oznajmił Szkop. - Wgnieciony szczyt czaszki.

- To ja - mruknął Mufalatta.

- Czym go zdzieliłeś, dzikusie? - zainteresował się Morehead.

- Nogą od stołu.

- Wspaniale to będzie wyglądało w raporcie - skomentował Szkop.

- Czy ktoś widział, ilu ich było w uciekającym samochodzie?

- Trzech lub czterech - odparł Szczeniak.

- Nieźle - skomentowałem. - To może być Waterloo dla obydwu gangów. Już teraz zaczyna brakować im ludzi.

- Może Czerwiowi uda się przygwoździć Nance'a i resztę paki - mruknął Szkop.

- Jeśli komuś w ogóle może się to udać, to właśnie jemu - powiedziałem.

Miałem rację i jej nie miałem.

Po kilku minutach pod szpital zajechał ambulans eskortowany przez Czerwia. W karetce znajdowało się trzech bandytów Nance'a, z których jeden stracił głowę (w dosłownym znaczeniu) podczas strzelaniny.

- To także ja - mruknął Mufalatta.

- Niezły miałeś dzień - pochwalił Lange.

Nie było jednak Nance'a.

- Pojechali w kierunku mostu międzystanowego - wyjaśniał Czerw. - Był zablokowany, gdyż porozumiałem się z centralą. Zawrócili i wpadli na

ciężarówkę dostawczą. Nance'a nigdzie nie znalazłem i zupełnie nie wiem, co mogło się z nim stać. Jest teraz poszukiwany przez całą policję stanową.

- Tym razem dorwiemy tego skurwysyna - powiedział z pasją Szkop.  
- Możemy go oskarżyć o morderstwo, podpalenie, zakłócenie spokoju publicznego, rozpoczęcie strzelaniny w miejscu publicznym...

- Tak - przerwałem. - Najpierw jednak musimy go schwycić.

- A co z Długonosym? - zapytał Szczeniak. - O co jego oskarżymy? Przecież działał w samoobronie.

- Nielegalne posiadanie broni? - podsunął Czerw.

- Nie wiadomo, czy nie była zarejestrowana - odparł Szkop. - Trudno powiedzieć, co z nim zrobić, ale coś na niego znajdziemy.

- Jedno w każdym razie jest pewne - oznajmił Czerw. - Kupa ludzi będzie się przy tym pętała.

Miał rację. W ciągu pół godziny pojawili się Walters, Titan, Donleavy i inni dygnitarze miejscy. Wszyscy zadawali mnóstwo pytań. Miałem lepsze rzeczy do roboty, niż odpowiadać na ich indagacje. Poprosiłem Czerwia, by podwiózł mnie pod park koło Quadrangle, gdzie zaparkowałem swój samochód i gdzie mogliśmy się przekonać przy okazji, co udało się znaleźć George'owi Bakerowi. Szliśmy do wyjścia, kiedy złapał mnie za rękę Titan.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał groźnie.

- Niech ci Szkop powie - odrzekłem. - Jestem teraz zajęty.

- Stawiam swoją roczną pensję, że to ty wywołałeś ten cały rejwach - powiedział podniesionym głosem, co zabrzmiało jak wycie psa.

- Masz rację. Rzuciłem się na całą dwudziestkę piątkę z pilnikiem do paznokci, bo akurat nic innego nie miałem przy sobie.

Nieopodal oddziału nagłych wypadków wnoszono właśnie z kostnicy brązową skrzynię, na którą czekał karawan. Przyglądała się temu samotna

Doe Raines. Podeszedłem do niej. Miała na sobie ciemnogrnatową sukienkę, na głowie czarny kapelusz i czarną opaskę na rękawie. Jak zwykle, ubrana była nienagannie.

- Nie wiem, co powiedzieć - zacząłem. - Jeśli może to być dla ciebie jakąkolwiek pociechą, to myślę, że Harry należał do tych niewielu ludzi w mieście, którzy nie byli wplątani w całą tę aferę. Jego jedynym grzechem była naiwność.

Spojrzała na mnie. Błakała się bez celu po koszmarnym śnie. Mocniejszy niż zwykle makijaż nie był w stanie ukryć posępnych zmarszczek wokół oczu. Jej nabrzmiały smutkiem głos dobiegał jakby z wielkiej dali.

- To upiorne - powiedziała. - Dzwonią gazety z Atlanty i Nowego Jorku. Stacje telewizyjne. Nie wiem, co mam im mówić.

- Niech ktoś inny rozmawia z nimi, na przykład Donleavy. Poza tym, jak już tu dotrą, znajdą mnóstwo rzeczy o wiele bardziej dla nich interesujących od ciebie.

- Bardzo dużo teraz myślałam - ciągnęła. - Czy moglibyśmy później porozmawiać? Będę do siódmej w domu pogrzebowym. Może wypilibyśmy potem drinka?

- Oczywiście.

- Będę w naszym miejskim domu - oznajmiła. - To na Palm, zaraz za hotelem Breezes.

- Wpadnę tam około wpół do ósmej.

- Dziękuję ci - wyszeptła, a jej uwagę znowu przyciągnął karawan.

Patrzyłem, jak odjeżdża, pamiętając słowa DeeDee o Doe, księżniczce, której wszystko zawsze dobrze się układa.

Czerw powiózł mnie do parku jak normalny człowiek; ostatnie emocje najwidoczniej nasyciły go na najbliższe dwie, trzy godziny. Mgła się uniosła i zaczął padać ciepły deszczyk. Baker nic jeszcze nie miał.

- Właśnie zakończyłem badanie stoku - oznajmił. - Ale przez cały czas nawiedza mnie myśl, że sprawca mógł rzucić broń tuż przy samym

nabrzeżu. Plusk byłby wtedy znacznie cichszy niż w wypadku ciśnięcia śmiertocznego narzędzia na środek rzeki.

- A co jest tutaj z samego brzegu? - zapytałem.

- Pieprzone gówno - wyjaśnił Whipett, żując bez przerwy tytoń.

- Dokładnie tak, jak panom zapowiedziałem - ciągnął Baker. - Sznu-ry, liny, śruby, prawdziwa dżungla. Broń mogła się ześlizgnąć gdzieś między te wszystkie rzeczy, mogła się też zatrzymać tuż pod powierzchnią. Ale z pewnością poprobuję wszystkiego.

- Serdeczne dzięki - powiedziałem.

Spojrzałem na zegarek. Była dopiero pierwsza, a miałem wrażenie, że od świtu upłynęły całe dni. Siadłem zamyślony pod drzewem, Czerw tymczasem poszedł po hot dogi i colę.

Potem przypomniałem sobie o taśmie: wyjąłem kasetę i przewinałem. Godzinna taśma, cała nagrana; choć można to było sobie darować. Wrócił Czerw i zaczęliśmy słuchać.

Głos Rainesa, mamrotanie, czasami pojękiwanie w agonii. Raz zabrzmiał jak gwizdek sędziego piłkarskiego. Innym razem wyraźnie wypowiedział imię Doe, ale tylko to imię, żadnych innych słów. I to było wszystko.

Spojrzałem kilkakrotnie w okno Seaborna, ale nawet jeśli siedział w biurze, nie pokazywał się. Ktoś nakleił już nekrolog na drzwiach Składu Trzeciego.

- Co dalej? - zapytał Czerw.

- Posiedzę tu chwilę, podczas gdy pan Baker będzie zgłębiał mroczne tonie.

- Smoliste wody - przypomniał Czerw.

- Racja, smoliste wody.

Społędaliśmy na bąbelki powietrza zdradzające miejsce, gdzie znajdował się Baker, a ja usiłowałem uporządkować w myślach wydarzenia ostatnich pięciu dni. Wszystko klarowało się bardzo powoli. Bardzo cienka



linia oddziela to, co jest logiczne, od tego, co jest faktem, to, czego można dowieść, od tego, czego nie można. Pomysły, jakie przychodziły mi do głowy, były najczęściej logiczne, ale wykazanie ich prawdziwości nie należało do łatwych zadań. Postanowiłem pójść na całego; rzucić bombę i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Plan był ryzykowny, ale Czerwiowi się podobał. Wiedziałem, że tak będzie. To było coś naprawdę dla niego.

Stanięcie oko w oko z Długonosym Gravesem wymagało mocnych nerwów. Teraz należało popробować czegoś brawurowego.

## 68. INTERESY

Dochodziła piąta, kiedy wchodziłem do banku. Był już zamknięty, ale ponieważ uważnie obserwowałem budynek od dwóch godzin, wiedziałem, że Seaborn jest w środku. Niemał widziałem go przez podwójne szklane drzwi, jak siedzi w gabinecie za masywnym biurkiem i z ożywieniem rozmawia przez telefon.

Zapukałem do drzwi. Strażnik, zgarbiony pod ciężarem wieku, przydreptał powoli i starał się wyjaśnić mi coś przez zamknięte wierzaje, ale w końcu się poddał. Dojechałbym do Key West przez czas, który zabrało mu otwieranie. Brzękał kluczami, zdjął trzy sztaby, w końcu przekręcił główny zamek i spojrzął na mnie przez wąziutką szczelinę.

- Zamknięte - obwieścił protekcyjnym tonem. - Otwieramy dopiero jutro o dziewiątej.

- Mam wyznaczone spotkanie z panem Seabornem - oświadczyłem. Kłamstwo powoli zaczynało mi wchodzić w krew.

Nieufnie ocenił mnie wzrokiem.

- Sprawdź u pana prezesa - powiedział. - Jak brzmiało pana nazwisko?

- Kilmer. Nadal zresztą tak brzmi.
- Co takiego?
- Nic ważnego.

Przyciągnął drzwi, zamknął je nakłucz i przez rozległy, zimny marmurowy hall poczłapał do gabinetu na tyłach budynku. Widziałem, jak zatrzymuje się pod drzwiami Seaborna. W końcu przydreptał z powrotem. Miałem wrażenie, że za chwilę się rozsypie.

Znowu oko w wąziutkiej szczelinie.

- Prezes powiada, że jest zajęty i...

Wyciągnąłem portfel i przepchnąłem się obok staruszka, błysnąwszy mu swoją legitymacją przed nosem.

- Do diabła z tymi ceremoniami - powiedziałem. - Mam interes.

Seaborn spojrział na mnie przestraszony, kiedy stanąłem w progu. Rzucił okiem w stronę okna, potem na mnie, a jego twarz mogłaby posłużyć za podręczny katalog ekspresji; w ciągu paru sekund przewinęły się przez nią rozmaite uczucia od strachu po wściekłość.

- Co to ma znaczyć? - wyrzucił z siebie. - Po raz drugi w ciągu dwóch dni wdziera się pan do mnie bez...

- Wcale się tu nie wdzierałem - nie dałem mu dokończyć zdania. - Przyszedłem tylko poinformować pana, że pańska sekretarka straciła kogoś bliskiego.

- O co chodzi tym razem?

- Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać sobie, tak w cztery oczy.

- O czym?

- O Franco Taglianim, który nazywał się Frankiem Turnerem. O obyczajach bankowych Lou Cohena. O Harrym Rainesie, który został zabity tuż obok.

Kiwnąłem głową w kierunku okna. Jego wzrok pobiegł w ślad za moim, ale zamiast na trawnik, spojrział w stronę najwyższego piętra Składu Trzeciego. Znowu nadciągały burzowe chmury i zrobiło się tak ciemno, że

należało zapalić lampy, tymczasem nic tam się nie świeciło. Nikogo w domu. Szef nie żył.

Seaborn przebierał nerwowo palcami po blacie biurka jak po klawiaturze.

- Prawie nie znałem Turnera - powiedział. - A już zupełnie nic nie wiem o śmierci Harry'ego. - Po chwili dodał: Może powinienem się skontaktować z moim prawnikiem.

- Może pan to zrobić. Ale możemy też uciąć sobie prywatną pogawędkę. Ja i pan. To znaczy, jeśli chciałby pan w czymś pomóc. Jeśli jednak wezwie pan adwokata, pójdę sobie. Przyjdzie potem ktoś inny i wtedy rzeczywiście będzie panu potrzebny adwokat do pomocy. Jak już zaczną panu odczytywać pańskie prawa i ruszy cały ten cyrk, który zna pan z filmów.

Twarz mu poszarzała.

- O co panu chodzi? - powiedział słabym głosem, który utracił nagle tę odrobinę stanowczości, pobrzmiwającą w mm jeszcze przed chwilą. Znowu zerknął na budynek naprzeciwko.

- Nikogo tam nie ma - powiedziałem. - Wszystko zamknięte. Kolejna śmierć w rodzinie. No to jak będzie? Porozmawiamy? Czy wzywa pan adwokata?

- Mmmm... Można... możemy... spróbować..

- Niech pan mnie posłucha, Mr Seaborn. Są rzeczy, o których wiem na pewno, są takie, o których chyba wiem, i takie, które mogę tylko zgadywać. Myślę, że może udałoby się panu rozwikłać niektóre z moich zagadek.

Nic nie odpowiedział. Siedział jak człowiek, który czeka, aż na odsłoniętą szyję spadnie ostrze gilotyny.

- Powtarzam - odezwał się w końcu, rozpaczliwie starając się zachować spokojny ton - że znałem człowieka o nazwisku Turner. Był jednym z biznesmenów. Wszyscy wiedzieli, że aktywnie popieramy zakładanie nowych przedsiębiorstw i inwestowanie na tym terenie. Złożył nam bardzo atrakcyjną ofertę.

- Bez żadnych dodatkowych warunków, prawda?

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem powiedział: - Prawda.

- Czym pomysłem było to rozwiązanie z kontami? - spytałem.

- O co panu chodzi?

- To jedna z tych rzeczy, które wiem na pewno, panie Seaborn. Wiem, że Tagliani był pańskim klientem. Wiem, że Lou Cohen był kwestorem i z wpłatami przychodził wprost do pana. Wiem również, że większość tej forsy pochodziła z prostytucji, hazardu i narkotyków, co określa się jako zyski uzyskane bezprawnie. Mówiąc inaczej, są to brudne pieniądze, które możemy skonfiskować, podobnie jak wszystkie dochody uzyskane dzięki nim gdziekolwiek i przez kogokolwiek.

- Nie mam pojęcia, skąd pochodziły jego pieniądze - oświadczył Seaborn.

- Cohen codziennie zjawiał się u pana z ogromnymi wpłatami. Nie dziwiło to pana?

- Indagacja klientów nie należy do moich zadań.

- Należy natomiast do pańskich zadań informowanie służb podatkowych o wszystkich wpłatach większych niż dziesięć tysięcy dolarów, czyż nie tak?

Zamurowało go. Znowu wyjrzał przez okno. Poszedłem za jego przykładem i na nabrzeżu zobaczyłem Czerwia rozmawiającego z Whipettem.

- Mogę pana zapewnić - powiedział po długiej pauzie - że w tych transakcjach nie było nic nielegalnego. Wchodzenie w szczegóły oznaczałoby złamanie tajemnicy bankowej.

- Przynajmniej w trzech wypadkach są to lustrzane rachunki panamskie - powiedziałem.

- Powtarzam, to nie mój interes, a poza tym nie ma w tym nic nielegalnego - odpowiedział odrobinę za szybko.

Poczuł się jakoś lepiej i jakby trochę śmieiej, teraz stawał do walki. Miałem w zanadrzu już tylko dwie karty.

- A co pan powie o Rio Company?

- A co mam powiedzieć? - odparł. - To, jedna z ich korporacji, których są dziesiątki i naprawdę nie sposób, żebym wiedział, czym każda z nich się zajmuje. Nie jestem powiernikiem Cohena, jestem jedynie jego bankierem.

Wydawało się, że mówi szczerze. Miałem już tylko jeden atut do zagrania.

- A piramidy kont? - zapytałem.

Tym razem podskoczył, jakby pchła ucięła go w tyłek.

- Mówiłem już panu, że nic mi nie wiadomo o ich interesach - powiedział głosem zbliżonym do szeptu.

Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem z niej magnetofon, nacisnąłem guzik i postawiłem aparacik na stole. Monotonne pikanie monitora serca Rainesa stanowiło tło dla jego przerywanego oddechu. Zamruczał coś, nastąpiła chwila ciszy, a potem zabrzmiał wyraźny okrzyk: - Doe!

Seabornowi oczy wyszły na wierzch, a jabłko Adama zatańczyło gwałtownie.

Wyłączyłem dyktafon.

- Przed śmiercią zdążył powiedzieć o wiele więcej - powiedziałem.

Ochronna skorupka Seaborna zaczęła się gwałtownie rozpuszczać. Spoglądał na magnetofon z takim przerażeniem, jakby to był pająk czarna wdowa, pełznący po blacie.

- Mówiliśmy o tym, co wiem - ciągnąłem. - Wiem, że zadzwonił pan do Donleavy'ego, kiedy ten był jeszcze na party u Babs Thomas, zaraz po siódmej. Wiem też, że był pan w banku, gdyż dwóch świadków widziało światło w pana oknach. Wiem również, że w chwili, kiedy padł strzał, Harry Raines szedł albo ze swojego biura tutaj, albo stąd do swojego biura. Nie sposób przypuścić, by umówił się z kimś na skwerze: mgła była zbyt gęsta. Kimkolwiek był ten, kto go zastrzelił, albo czekał na niego, albo szedł za nim.

Palce Seaborna znowu zatańczyły po blacie biurka.

- Przyszedł tutaj - ciągnąłem - zaczął dopytywać się o Taglianich. Pan łamał się, aż wreszcie opowiedział całą historię. Groził wyrzuceniem

pana na bruk, kiedy więc wyszedł, wybiegł pan z banku tylnymi drzwiami, dogonił go i zastrzelił. Twarz mu spurpurowiała.

- Pan oszalał! - wykrzyknął. - Ja nawet nie mam broni. Nie zdążyłbym pobiec za nim. Ciągle tu jeszcze siedziałem, kiedy...

Zamilkł, bezgłośnie poruszając ustami, i opadł na fotel.

- ...kiedy usłyszał pan strzał - dokończyłem.

Siedział bez ruchu przez całą minutę, potem przez twarz przebiegły skurcze i pokiwał gwałtownie głową.

- Przysięgam na Boga Wszchemogącego, że nie mam pojęcia, kto zabił Harry'ego - niemal zaskomlił. - Nie robiłem nic nielegalnego. Nie było nic nielegalnego w sposobie użytkowania pieniędzy Cohena.

- Marny wykręt - wycedziłem.

- Pan tylko zgaduje - mówił pospiesznie. - Poza tym, to nie o to Harry był tak bardzo wściekły.

- Był wściekły, ponieważ poszedł pan do łóżka z niewłaściwymi ludźmi, tak?

- Można to i tak ująć - odparł.

- Co powiedział pan Samowi Donleavy'emu przez telefon?

- Powiedziałem... powiedziałem mu, że Harry wie o wszystkim. Nic na to nie mogłem już poradzić. Był tu, zupełnie nieprzytomny z gniewu. Obrzucał mnie obelgami. A przecież i tak zawsze potrafił mnie zmiażdżyć tym swoim zimnym wzrokiem. Nie wiem, dlaczego tak się nagle wściekł. Zachowywał się jak szalony. Powiedziałem mu o wszystkim. Próbowałem mu wytłumaczyć, jak do tego doszło; że nie wiedzieliśmy, kim naprawdę jest Turner, a potem już było za późno. Wciąż krzyczał o zaufaniu i lojalności.

- Co powiedział Donleavy? - zapytałem.

- Poprosił do telefonu Harry'ego.

- Raines był u pana, kiedy zadzwonił pan do apartamentu Thomas? - zapytałem zdumiony.

- Tak.

- I...?

- Sam musiał pojechać do siebie, bo czekał na telefon.

Powiedział, że zadzwoni do nas z domu, i rzeczywiście zadzwonił po czterdziestu minutach.

- Rozmawiał pan z nim?

Seaborn przytaknął.

- Tak. Powiedział, że musiał o ósmej rozmawiać z Moreheadem i że poprosi Harry'ego, aby przyjechał do niego na rozmowę. Miał nadzieję, że Harry okaże rozsądek, gdyż nie zrobiliśmy w końcu niczego złego, niczego bezprawnego. Potem słuchawkę wziął Harry.

- Czy mówił coś?

- Słuchał przez jakąś minutę, a potem powiedział: „Dobrze. Będę u ciebie”. Potem odłożył słuchawkę i wyszedł. W ogóle nie odezwał się już do mnie, po prostu bez słowa odwrócił się i zniknął. Taki był Harry Raines. Nie potrafił niczego wybaczyć. Chodząca Doskonałość. Martwił się zawsze tylko o swoją karierę, pieprzoną, cholerną karierę. Ale gdyby nie wżenił się w pieniądze Findleya, byłby zerem.

- A kiedy został zastrzelony, pan siedział tutaj zupełnie sam? - zapytałem.

Skinął głową.

- I to całe pana alibi, tak? Drogi panie, gdybym ja był sędzią, jedna pańska nóżka już byłaby przymocowana do krzesła. Miał pan motyw, miał pan możliwość i nie ma pan alibi.

Ramiona obwisły mu bezradnie. Spojrzał w okno i zaczął zacierać dłonie, jak dyrektor zakładu pogrzebowego namawiający do kupna solidnej miedzianej trumny. Na górnej wardze i na czole perlił się pot.

- Nie zabiłem Harry'ego Rainesa - powtórzył. - Nie zrobił tego także Sam. Kiedy to nastąpiło, był o całe mile stąd. Nie wiemy, kto go zabił i dlaczego. Myślę, że to wiąże się jakoś z tymi innymi morderstwami.

- To pewne, że tak czy inaczej, ale jakoś się wiąże - potwierdziłem.

Obaj drgnęliśmy, kiedy zadzwonił telefon. Seaborn popatrzył nań nieufnie, a potem podniósł ostrożnie słuchawkę, jakby się obawiał, że się oparzy.

- Halo? Tak... - Spojrzał na mnie spłoszony i szepnął zasłaniając mikrofon dłonią: - To Sam.

Wyciągnąłem dłoń i przejąłem słuchawkę.

- Sam, mówi Jake Kilmer.

Cisza. Dziesięć lub dwadzieścia sekund. Kiedy wreszcie odpowiedział, głos miał całkiem spokojny.

- Coś nie wyszło z naszym obiadem - powiedział.

- Miałem fatalny dzień - odrzekłem. Spojrzałem na przeciwną stronę skweru. W narożnym gabinecie paliło się światło. - Gdzie teraz jesteś?

- U siebie w gabinecie. Widać go od Charliego. Narożnik od strony rzeki.

- Masz teraz chwilę czasu? - zapytałem.

Znowu cisza.

- Chciałem iść do domu pogrzebowego - odparł - ale znajdę dla ciebie kilka minut.

- Zaraz będę. - Oddałem słuchawkę Seabornowi.

- Już się rozłączył - powiedział ten ze zdumieniem. - Myślę, że dowiedział się już tego, co chciał wiedzieć.

- Jak to?

- Chciał się dowiedzieć, z kim pan rozmawia.

Seaborn spojrzał w kierunku Magazynu. Miał zapadniętą twarz.

- Co teraz zrobimy? - powiedział na pół do siebie.

- Niech pan idzie do domu, Mr Seaborn. Nic pan tu nie zdiagnozował, więc najlepiej niech pan idzie do domu.

Wpatrywał się w wielki, pusty blat biurka, a potem pokiwał głową.

- Tak, chyba ma pan rację - powiedział.

Wyszliśmy z banku razem; Seaborn skierował się do samochodu, ja w kierunku nabrzeża.

Baker siedział na betonowej krawędzi i popijał kawę z termosu.



- Los nam nie sprzyja? - spytałem.
- Pokiwał głową.
- Podejmę jeszcze jedną próbę, zanim zapadnie zmrok.
- Jestem pod wrażeniem pana wytrwałości - powiedziałem, po czym zwróciłem się do Czerwia: - Dowiedziałeś się czegoś w naszej sprawie?
- Smith&Wesson .38, ze srebrną obudową, dwucalową lufą i czarną kolbą.
- Idę na górę - powiedziałem. - Masz numer?
- Mhm.
- Daj mi piętnaście minut.
- Rozumiem, kwadrans.
- Kiedy chciałem się odwrócić i odejść, powiedział:
- Jake?
- Aha?
- Lubię twój styl - wyznał z uśmiechem.

## 69. DZIĘKI, PANIE BELL

Skład Trzeci był trzypiętrowym budynkiem zbudowanym w końcu osiemnastego wieku. Od rzeki oddzielał go jedynie wąski chodnik z kostki, który prowadził do parku. Niewielki napis ozdobiony rysunkiem żałobnego wieńca informował, że kompania jest zamknięta z powodu śmierci Harry'ego Rainesa. Drzwi były jednak otwarte.

Pamiętałem, że odwiedzając to miejsce z Teddym, podziwialiśmy, jak wszystko tutaj jest czyste i wypucowane. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Brązowe kołatki u drzwi i okrągłe klamki lśniły wspaniale, wszystkie drewniane powierzchnie były wypastowane i wyglądały niezwykle elegancko. Wszędzie wyczuwało się tak często spotykany w starych

budynkach delikatny zapach piżma, efekt wieku i troskliwości.

Biuro Donleavy'ego zajmowało większą część narożnika na trzecim piętrze, okna wychodziły na park, skwer i rzekę. Gospodarz był w swoim żalobnym, granatowym garniturze, zdjął jednak marynarkę i siedział teraz tylko w koszuli. Klimatyzacja została wyłączona, toteż okna były szeroko otwarte. Deszcz ustał, a słońce zdążyło jeszcze przed zachodem wyrzeć zza chmur; w pokoju było ciepło i parno. Donleavy uśmiechnął się smutno, ale szczerze; uścisk ręki miał tak mocny, że niemal bolesny.

- Co za szybkość - powiedział z uznaniem. - Przepraszam, że tak gorąco, ale klimatyzacja była wyłączona przez cały dzień.

Uspokoilem go, że jakoś to zniósę, i również zdjąłem kurtkę.

- Włączyłem automatyczną sekretarkę, nikt więc nie będzie nam przeszkadzał - oznajmił.

- Czy nie mógłby pan jednak zostawić linii wolnej? - zapytałem. - Nie wziąłem ze sobą sygnalizatora i dlatego musiałem podać ten numer.

- Żaden problem - powiedział.

Przez okno widziałem skwer pod nami. Kilka osób zebrało się wokół, miejsca, gdzie zastrzelono Harry'ego Rainesa; dwie piękne dziewczyny przysiadły na ławce, chichocząc i szturchając się ramionami. Rzeka połykiwała w zachodzącym słońcu.

Po drugiej stronie sterczał ciemniejący z każdą chwilą Seacost National Bank. Przypomniało mi to DeeDee i jej ból; uderzyła mnie gorzka ironia losu, który tego samego dnia związał Doe i DeeDee ze śmiercią. Nie był to dziś wesoły widok.

- Ostatnia doba była okropna - powiedział Donleavy z westchnieniem.

- Tak - potwierdziłem, przyglądając się jednocześnie, jak w dole nad betonową krawędzią pojawia się głowa George'a Bakera, który zdejmuje okulary i zaczyna rozmawiać z Czerwem. - Wypadki następowały jeden po drugim.

Jego wzrok podążył za moim ku nabrzeżu.

- Słyszałem, że nurkują tu dzisiaj przez cały dzień - powiedział.
- Szukamy broni, z której zginął Harry Raines - poinformowałem.
- Dlaczego przypuszczacie, że jest ona w rzece?
- Logika - odparłem.
- Logika?
- Czasami to jedyne, na czym można się oprzeć. Strzał usłyszała młoda para, która znalazła się w pobliżu. Dziewczyna krzyknęła. Przypuszczam, że morderca pobiegł w przeciwnym kierunku, ku rzece. Nie wiedząc, kto jeszcze może znajdować się we mgłę, cisnął broń do wody.
- Trafiliście już na coś? - zapytał z umiarkowanym zainteresowaniem.
- Nie - odrzekłem.
- Powiedział pan „pobiegł”. Jest pan pewien, że morderca jest mężczyzną?
- To tylko odruchowo - poprawiłem się. - Równie dobrze mogła to być kobieta.
- Hm - mruknął i porzucił na razie temat morderstwa. - Zastanawiałem się nad tym wszystkim - powiedział. - Być może gangsterzy zdobyli fałszywe referencje bankowe i dzięki temu udało im się wśliznąć do nas. Wie pan, takie rzeczy się zdarzają, wcale nie tak rzadko.
- Sięgnął do małej lodówki, wydobyl z niej dwie cole, otworzył i podał mi jedną.
- Możliwe - powiedziałem, choć mój ton wskazywał wyraźnie, że zupełnie w to nie wierzę.
- Przepraszam, za dużo gadam - zawstydził się. - To pan przecież chciał o czymś porozmawiać.
- Odnalazł pan w końcu notesik z datami? - zapytałem.
- Zamrugnął z zakłopotaniem.
- O Boże, przy tych wszystkich zmartwieniach zupełnie o tym zapomniałem. Zapiszę sobie, że mam go odszukać.

- Będę wdzięczny - powiedziałem. - Ta informacja może okazać się cenna.

Głowa Bakera znowu zniknęła. Fajny gość, jeszcze jedna próba.

- Myśli pan, że śmierć Harry'ego może się łączyć z tymi innymi zabójstwami? - powiedział Donleavy, powracając jednak do tematu.

- To wydaje się prawdopodobne, nieprawdaż?

- Trudno powiedzieć. Nie znam się na pracy policji.

- Myślałem, że jako prawnik... - nie dokończyłem zdania.

- Skończyłem studia, ale nigdy nie prowadziłem praktyki prawniczej - wyjaśnił. - Harry zaprosił mnie do współpracy zaraz, kiedy tylko skończyłem uczelnię. Mówiąc szczerze, nie poznałem żadnej innej pracy.

- No cóż - powiedziałem. - Osobiście nie bardzo wierzę w tak zwane zbiegi okoliczności. Zdarzają się, ale nie są logiczne. Zakładać, że ma się właśnie z czymś takim do czynienia, to zawsze wielkie ryzyko. A logika trzyma się tylko faktów, którymi rozporządzamy, i pozwala wyciągnąć z nich konkluzje.

- Zawsze mi się wydawało, że jest w tym pewne niebezpieczeństwo - odparł. - Zaczyna się szukać dowodów na poparcie przyjętej z góry konkluzji.

- To niewykłuczone - powiedziałem dyplomatycznie. - Niemniej jednak, logicznie rozumując, śmierć Harry'ego Rainesa wydaje się powiązana z masakrą w rodzinie Taglianich.

Wstrząsnął się.

- Brzmi to dość okrutnie.

- Trudno, żeby było inaczej. Morderstwo jest zawsze okrutne.

- Dlaczego mogliby chcieć zabić Harry'ego?

- Tak to się rozgrywa. Jedna rzecz prowadzi do drugiej. Jedno morderstwo do drugiego.

- Jest więc pan zdania, że tego wszystkiego dokonała mafia - bardziej stwierdził, niż zapytał.

Spojrzałem na niego. Na skwerze zrobiło się ciemno.

- Nie - odparłem.
- Ale mówił pan...
- Powiedziałem, że jest związek między tymi wypadkami. Nie powiedziałem, że ta sama osoba zabiła Taglianich i Harry'ego Rainesa.
- Ach, tak. Znowu logika? - Jego usta zakrzywiły w wymuszonym uśmiechu.

Otworzył pudełko z orzechowego drewna, poczęstował mnie jednym z tych cienkich krótkich cygar, w których zawsze gustują pokerzyści na filmach kostiumowych, a gdy grzecznie odmówiłem, wzruszył ramionami i zabrał się do przypalania swojego.

- Cóż więc logika mówi panu w tym przypadku? - zapytał, kiedy uporał się już z cygarem.

Przeszedłem przez pokój i usiadłem na parapecie.

- Po pierwsze, wydaje mi się, że w chwili zabójstwa Harry Raines zmierzał w tym kierunku.

- To z pewnością logiczne przypuszczenie - przyznał Donleavy. - Pewnie miał samochód na parkingu kompanii.

- Nie, zaparkował przy banku.

- Ale tutaj jest przecież jego biuro. Może chciał coś stamtąd wziąć.

- Po drugie - ciągnąłem - wszystkie morderstwa Taglianich były starannie przygotowane. Były zapewne brawurowe, ale zarazem niesłychanie precyzyjnie obmyślane i przeprowadzone. To nie logika, to fakty. Logika natomiast podpowiada mi, że inaczej było ze śmiercią Rainesa. To zabójstwo ma wszelkie znamiona raptownego, nawet desperackiego posunięcia.

- Dlaczego?

- Morderca nie mógł zaplanować sobie mgły z góry, dlatego więc musiał zdecydować, że wykorzysta mgłę, a to znaczy, że musiał dokładnie wiedzieć, w jakim momencie Harry znajdzie się w ściśle określonym miejscu. Jak powiedział świadek, dłoń było widać dopiero wtedy, kiedy podniosło się ją do oczu.

- Może szedł za Harrym - zasugerował Donleavy.

- Może, ale nasza para świadków słyszała kroki tylko jednego człowieka, co skłania mnie do przypuszczenia, że morderca czekał na Rainesa.

- Interesujące - powiedział Donleavy, wpatrując się w koniuszek cygara.  
- Posłuchaj, Jake. Powinienem ci właściwie powiedzieć, że Harry miał właśnie przyjechać do mnie. Był bardzo poirytowany. Pokłócili się z Charlie Seabornem. Zadzwoń do Charliego zaraz po rozmowie z tobą. Był u niego Harry. Powiedziałem, że w najgorszym razie zgrzeszyliśmy brakiem rozeznania, on zaś zgodził się przyjechać do mnie i wyjaśnić sobie wszystko do końca raz na zawsze.

- Czy Raines łatwo się denerwował? - zapytałem.

- Tylko wtedy, kiedy poczuł się zagrożony. Nie znosił być zagrożony przez cokolwiek lub kogokolwiek.

- A co z Seabornem? Jak bardzo ten był podenerwowany?

Cmoknął.

- Charliego łatwo jest zdenerwować, to kwestia charakteru. Ale z pewnością nie był w takim stanie, żeby kogoś zabić.

- Może problem nie polegał tylko na braku rozeznania - podesunąłem.

- Co pan ma na myśli?

- Słyszał pan kiedyś o Rio Company? - nagabnąłem.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się.

- Jak?

- Rio Company - powtórzyłem.

Pokręcił głową.

- A powinienem?

Wyjaśniłem mu Panamską Zasadę Lustra, opowiedziałem o kontaktach na Wyspach Dziewiczych i całej strukturze. Był prawnikiem i z pewnością orientował się we wszystkim. Chciałem tylko być pewny, że wie, iż ja wiem.

- Rio Company jest tym, co nazywamy hollywoodzkim pudełkiem. To jak ulica na planie filmowym, same ściany i nic po drugiej stronie. Zwykle wykorzystuje się to jako punkt inkasa.

- Inkasa? Dla kogo?
  - Faworytów, łapówkarzy, polityków, nielegalnych lobby, sprzedających policjantów. W tym biznesie jest wiele nadstawionych łapek, do których trzeba coś włożyć.
  - To już normalne z rączki do rączki nie wystarcza? - zaśmiał się.
  - To nowe czasy - odrzekłem. - Nie chodzi o parę studolarówek wsuniętych tu i tam, chodzi o setki tysięcy dolarów każdego tygodnia. Problem polega na tym, jak je ukryć. Hollywoodzkie pudełko jest jednym ze sposobów. Opłacają swe należności brudnymi pieniędzmi i korzystają z banków, żeby oczyścić po drodze forszę.
  - I do tego celu służyła Rio Company, tak? - zapytał.
  - Przytaknąłem.
  - Czy sugeruje pan, że Charlie Seaborn był zamieszany w całą sprawę? - powiedział zatroskanym tonem.
  - Niczego nie sugeruję. Niemniej jednak, jego bank został wykorzystany jako przestępcze narzędzie. Pomógł w stworzeniu dość skomplikowanego kamuflażu, żeby wszystko mogło działać. A większość pieniędzy, które przechodziły przez te rachunki, to tak zwane zyski uzyskane bezprawnie. Można je skonfiskować na mocy prawa OPOP. Nie wiem, jak bardzo zamieszany jest w to wszystko Seaborn. Być może jego jedyną winą jest głupota. Ale może jest na pasku.
  - Na pasku?
  - Dostaje swoją dolę. Sam jest jednym z opłacanych. Być może był jednym ze składników kosztów Rio Company. Tak byłoby wtedy, gdyby wiedział o całej sprawie, a Tagliani uznały za konieczne umieścić go na pasku wypłat. Na razie nie znam jeszcze odpowiedzi na to pytanie.
  - A jak pan przypuszcza?
  - Przypuszczam, że nie był.
  - Dlaczego?
- Zbyt wiele miał do stracenia. Myślę, że nierozwaga Seaborna polegała

na tym, iż interes wydał mu się dobry dla banku i dla miasta i nie pomyślał o konsekwencjach. To małomiasteczkowy bankier. Wydaje mi się, że nie przyszło mu nawet do głowy, iż uczestniczy w czymś nielegalnym, a potem było już za późno, żeby się wycofać. Zwykle tak to się właśnie dzieje.

- Kto jeszcze był opłacany? - nalegał Donleavy, pochylając się nad biurkiem. - Jacyś policjanci? Politycy?

- Pracuję nad tym.

- Jakież podejrzenia?

- Parę.

- Mógłby się pan nimi podzielić? - zapytał. - Zapewniam, że jestem zainteresowany rozwikłaniem tej afery, równie jak pan.

- Z pewnością - stwierdziłem.

Patrzył na mnie w napięciu.

- Znowu logika? - uśmiechnął się.

- Sporo myślałem o śmierci Rainesa - powiedziałem. - Staralem się zredukować liczbę możliwości.

- O kogo więc chodzi?

- To może zabrzmieć niewiarygodnie.

- Niech pan spróbuje.

- Wydaje mi się, że jedyną osobą, która mogła zabić Harry'ego Rainesa, jest pan.

- Ja! - zachłysnął się, a potem wybuchnął śmiechem. - Pomijając już kwestię, że byłem u siebie w domu na Sea Oat Island dwadzieścia mil stąd i w żaden sposób nie mógłbym tego zrobić, jak w ogóle wpadł pan na taki pomysł?

- Wiem, wiem - pokiwałem głową. - Ma pan dwa alibi: ode mnie i od Szkopa. A mimo wszystko, do takiego właśnie wniosku zmusza mnie logiczna analiza sytuacji. Zdaniem Seaborna, był pan ostatnią osobą, która rozmawiała z Harrym Rainesem przed śmiercią. Wyszedł od Seaborna bez pożegnania i został zastrzelony dwie minuty później. Z czego wynika, że tylko pan mógł wiedzieć dokładnie, dokąd udaje się Raines.



- A skąd niby miałem to wiedzieć? - zachnął się.

- Rozmawiając z Rainesem, powiedział mu pan z pewnością, by przyszedł tutaj, a nie, by jechał do pana. Wiedział pan, że pójdzie prosto przez skwer. Wystarczyło tylko zbiec na dół i poczekać.

Oczy zaczęły mu biegać niespokojnie. Przód białej koszuli pociemniał od potu. Wreszcie wybuchnął.

- Na Boga, pan naprawdę traktuje to poważnie!

- Śmiertelnie poważnie - powiedziałem.

- Pan chyba oszalał, Kilmer - warknął. - Takie są właśnie efekty, gdy się próbuje dowieść z góry przyjętej koncepcji! Pomijając już to, że w ogóle nie mogłem tego zrobić, jaki mógłbym mieć powód, żeby zabijać najlepszego przyjaciele? Klótnia z powodu nierozważnej decyzji? Niech się pan nie ośmiesza!

Mogłem mu podać całą listę stereotypowych przyczyn - chciwość, żądza władzy, strach przed Rainesem - ale byłyby to odpowiedzi zbyt proste. Potrzebowałem czegoś, co dostarczyłoby mi brakujących ogniw w mojej wersji.

Rozsiadł się w fotelu, oparł nogi o blat biurka i spojrzał na mnie ponad żarzącym się koniuszkiem cygara.

- No i co dalej? - zapytał wyzywającym tonem.

- Pobawmy się teraz trochę abstrakcjami - zaproponowałem.

- A co pan, do diabła, nazywa abstrakcjami?

- Ja pana rozumiem, Donleavy - zacząłem. - Był czas, kiedy i ja mogłem się znaleźć w tej samej łódce, robić wszystko tak, jak mi powiedziano, lub tak, jak, moim zdaniem, oczekiwano ode mnie, mogłem prowadzić całe przedstawienie zgodnie z poświęconą tradycją, za co od czasu do czasu głaskano by mnie dobrotliwie po głowie. Wiem też, że na koniec i ja musiałbym podjąć walkę o swoje dobre imię, wykazać, że jestem godny zaufania nie tylko dlatego, iż zdarzyło mi się zostać czymś kochankiem czy najlepszym kumplem.

Tyle że pan był sprytniejszy ode mnie. Od samego początku wiedział

pan, że władza dana, może zostać też odebrana. Ja musiałem się tego dopiero uczyć, i to w twardej szkole. Do diabła, nigdy nie rozumiałem reguł tej gry. Otrzymał pan władzę, zarząd Findley Enterprises. Dostał ją pan od Rainesa, który z kolei otrzymał ją od Chiefa. Kierował pan wszystkim tak, jak się to tutaj zawsze robiło, jak to robili Findleyowie od niepamiętnych czasów. Ale wcześniej czy później, Donleavy, musiał pan dowieść swej wartości i to nie tylko wszystkim innym, lecz także sobie samemu. Musiał pan udowodnić, że nie jest tylko pupilkciem, jeszcze jednym ulubieńcem bogatego przyjaciela. I to jakiego! Harry Raines znał reguły gry. Zarządzał interesami Findleya znakomicie, został senatorem w parlamencie stanowym, poruszył niebo i ziemię, gdy trzeba było pozyskać opinię publiczną dla projektu zalegalizowania hazardu, lubił też występować w roli następcy obecnego gubernatora. Nielatwo było się z nim równać. Musiał pan wykazać Dunetown, że Sam Donleavy potrafi także poruszyć i ziemię, i niebo.

- Nieźle opowiedziane - mruknął Donleavy. - Ale od kiedy to ambicja jest przestępstwem?

- W samej ambicji nie ma nic złego - odrzekłem. - Chodzi o sposób, w jaki ambitny człowiek realizuje swoje cele.

- A co pan może wiedzieć o tym, jak realizują swoje cele?

- Wiem, że Raines był jeszcze potomkiem starej gwardii. Myślę, że kiedy nadarzyła się sposobność, poczuł się pan rzecznikiem nowych czasów. Dunetown rozrastało się, a pan nagle uzyskał szansę, by tchnąć w nie trochę nowego życia i to jeszcze zanim tor wyścigowy zostanie ukończony. Turystyka i tak już kwitła, miasto rosło jak na drożdżach. Musiał pan tylko wtłoczyć świeże pieniądze do systemu, w którym od wieków krążyły te same znużone dolce. Złapał pan wiatr w żagle. Pojawiła się możliwość pobudowania nowych hoteli na plażach, luksusowych apartamentów nad rzeką, wzniesienia nowych przedmieść na mokradłach. Dunetown zamieniłoby się w Boomtown, Miasto Sukcesu, królestwo Sama Donleavy'ego.

Tyle tylko, że piękny sen przemienił się w koszmar. Dunetown zmieniało się w Doomstown, Miasto Stracone, ponieważ sposobność miała na imię T-a-g-l-i-a-n-i...

- Łowi pan ryby w mętnej wodzie - przerwał mi, nie dając dokończyć zdania.

Nie przejąwszy się zbyt, łowiłem dalej.

- A kiedy zrozumiał pan, że kochanka nazywa się La Cosa Nostra, trzeba było podjąć poważną decyzję. Powiedzieć Rainesowi? Narazić się na jego wściekłość? Czy prowadzić grę dalej? Co było do stracenia? Tagliani trzymał się w cieniu, jego ludzie prowadzili legalne interesy, wychodziły panu same szóstki w każdym rzucie, to po co podcinać gałąź, na której się siedzi? Mam rację, Sam?

Nie poruszył się. Wciąż trzymając cygaro w ustach, patrzył mi prosto w oczy.

- Jak na razie - wycedził - nic z tego, o czym pan mówi, nie jest nielegalne ani niemoralne, nie jest też zbrodnią.

- Tak, ale zapomniał pan o jednym: Złotej Regule Findleyów. Gównu ich obchodzi, czy to, co pan robi, jest niemoralne, nielegalne, zbrodnicze, niestosowne czy jakiegokolwiek jeszcze. Zgodnie z niepisaną regułą Harry miał zostać gubernatorem, a pana zadaniem było krycie jego dupy, nie zaś dbanie o własną. I tu pan zawiódł, Sam. Kiedy poszedł pan na ugodę z Taglianiami, naraził pan na szwank karierę polityczną Harry'ego Rainesa i przysłużył się swojej własnej, a tego Raines nigdy by panu nie zapomniał. Tożsamość Taglianiego musiała być ukrywana nie w jego, lecz w p a n a interesie. Musiał pan ukrywać to do momentu, kiedy mógłby pan już oprzeć swoją władzę na samodzielnym fundamencie. Ale wybuchła wojna z Taglianiami i zaczęło panu braknąć czasu. Jak powiedziałem, władza dana, zostaje także odebrana.

- Nikt mi niczego nie odbierał! - zaperzył się i przez chwilę wydawało się, że nagle urósł o jeden cal.

Czas już było skoczyć mu do gardła.

- To nieprawda - powiedziałem. - Popelił pan wielki grzech. Zawiódł pan zaufanie Rainesa. On wiedział, że Seaborn jest zbyt naiwny na to, żeby ugrzęznąć tak głęboko, poza tym Seaborn był na swoim, a Harry'emu nie była w istocie potrzebna kontrola nad nim. Ale pan? Pana musiał mieć na krótkiej smyczy. Harry był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł pana zniszczyć i to właśnie zamierzał zrobić. To nie morderca powiedział do Harry'ego Rainesa: „Jesteś skończony”; to były słowa Harry'ego Rainesa skierowane do pana. Więc strzelił pan do niego.

Jego twarz się nie zmieniła. Wydmuchnął wąską stróżkę dymu, patrzył chwilę, jak zawirowała w podmuchu od okna, po czym roześmiał mi się w oczy.

- Nikt nie uwierzy w te brednie - powiedział szyderczo.

- Tej sprawy nie podejmie najmniejszy sąd, nawet gdyby pan miał przy sobie Clarence'a Darrowa, Johna Marshalla i Olivera Wendella Holmesa.

Nie zważając na drwiny, kończyłem:

- Najzabawniejsze jest to, że Harry żyłby pewnie dalej, gdyby nie koń ze złamaną nogą i jego nieuczciwy właściciel. To śmierć konia i wstrząs, jakiego doznał, kiedy się zorientował, że gonitwa była ukartowana i że wiedział o tym Tagliani, otworzyły oczy Rainesowi.

Telefon pozwolił mi na chwilę oddechu. Donleavy drgnął na jego dźwięk. Podniósł gwałtownie słuchawkę, powiedział: „Halo”, wysłuchał odpowiedzi i wyciągnął do mnie rękę.

- Kilmer - rzuciłem.

To był Czerw.

- Miałeś rację - oznajmił. - Nakręciłem ten drugi numer.

- Coś jeszcze?

- Nie. Baker stara się, jak może. Mam przyjść teraz?

- Chyba tak, dzięki - odpowiedziałem i oddałem słuchawkę Donleavy'emu.

- Teraz, kiedy skończył pan już swoją pogadankę psychologiczną- wycedził, odkładając telefon - może jeszcze zechce mi pan wyjaśnić, jak się

tutaj dostałem z Sea Oat. Piotruś Pan mnie przeniósł?

- W ogóle nie pojechał pan do domu - powiedziałem. - Prosto od Thomas przyjechał pan tutaj.

Wyciągnąłem z kieszeni karteczkę, którą dał mi poprzedniego wieczoru, ana której był zapisany jego numer domowy, i podniosłem słuchawkę. Jedno z kilkunastu żółtych światełek na konsolce zapaliło się, kiedy zacząłem wybierać cyfry. Rozległ się dzwonek i rozbłysło sąsiednie światełko.

Patrzył jak zamurowany.

- Niech pan odbierze - powiedziałem.

Zawahał się przez chwilę, a potem podniósł słuchawkę.

- Nazywają to przedłużeniem - stwierdziłem, patrząc mu prosto w oczy. - Kolejna uprzejmość Kompanii Telefonicznej. Jeśli chce pan, by rozmowy były kierowane z jednego aparatu do innego, wystukuje pan w domowym telefonie odpowiednią komendę, a po niej nowy numer. Od tej chwili rozmowy są automatycznie przełączane do drugiego aparatu. Korzysta pan z tego przez cały czas, także teraz system jest włączony. Przed chwilą wykreśliłem pański numer domowy.

Nie odezwał się. Widać było, jak pulsują mu mięśnie szczęki. Nie spuszczał ze mnie oczu, strząsnął cygaro do popielniczki.

- Kiedy wyszedł pan z przyjęcia wczoraj wieczorem - mówiłem dalej - pojechał pan tutaj, a nie do domu. Wiedział pan, że Raines jest u Seaborna; rozmawiał pan z nim, kiedy Charlie zadzwonił do Babs. Wiedział pan również, że przerażony Seaborn opowie o wszystkim. Spluwę miał pan w biurku, może w samochodzie. Po moim telefonie zadzwonił pan raz jeszcze do banku i zaproponował Harry'emu, żebyście się spotkali tutaj.

Potem zbiegł pan na dół i wyszedł mu naprzeciw. Kiedy stanął przed panem i powiedział: „Jesteś skończony”, wiedział pan, że to już koniec kariery, więc go pan zastrzelił. Dziewczyna krzyknęła, pobiegł więc pan do rzeki, cisnął broń i zdążył jeszcze wrócić na czas, by odebrać telefon Szkopa.

Westchnął i pokiwał głową.

- No cóż - powiedział - wyobraźni z pewnością nie można panu odmówić. Teraz jednak rozumiem, dlaczego także i pan nie został prawnikiem. Nigdzie nie zagrzałby pan miejsca, skoro każdy główniany traf tak rozrasta się w pana rękach.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Czerw, z kapeluszem zsuniętym jak zwykle na tył głowy.

- Kim pan jest, do cholery? - parsknął z gniewem Donleavy.

- Pracuje ze mną - wyjaśniłem. - Znaleźliście? Uśmiechnął się i zza pazuchy wyjął paczuszkę, w której znajdował się bardzo mokry S&W .38 ze srebrną obudową i kolbą wyłożoną czarną gumą. Z boku torby naklejony był kawałek taśmy z nabazgranym numerem.

- Czy pański pistolet ma numer 7906549? - zapytałem urzędowym tonem.

- Jaki pistolet? - udawał zaskoczonego.

- Ten, który nabył pan trzeciego lutego zeszłego roku w Odum's Sport Shop na Third Street - wyjaśnił Czerw. - Pan Odum dobrze to zapamiętał. Musiał jedynie sprawdzić dokładną datę i numer seryjny.

- To bardzo poważny dowód - stwierdziłem. - Trudno o traf, kiedy chodzi o narzędzie morderstwa.

- Kilka miesięcy temu skradziono mi pistolet - zapiszczał żałośnie.

- Wyjaśni to pan sędziom.

- Chcę zobaczyć tę broń - zażądał.

- Jak już znajdziemy się w komisariacie - powiedziałem. - Chcesz go aresztować, Czerw?

- Z przyjemnością - odpowiedział, uśmiechając się radośnie. - Pod jakim zarzutem?

- Przede wszystkim morderstwa - odparłem. - Do dzieła.

Czerw zdjął kapelusz i zerknął do środka. Uprawnienia aresztowanego miał wypisane na karteczce umocowanej w denku i zaczął je teraz czytać.

- Ma pan prawo nie odpowiadać...

Donleavy gwałtownym ruchem wytrącił mu kapelusz z rąk.

- Do cholery z tym - warknął i sięgnął po telefon. Przytrzymałem słuchawkę.

- Może pan zadzwonić z budki, tak jak wszyscy.

Czerw wyciągnął z kieszeni kajdanki i brutalnie obrócił Donleavy'ego.

- Na ogół nie jest to konieczne - powiedział cicho do ucha Donleavy'emu - ale niepotrzebnie dotykałeś mojego kapelusza. Jesteś bardzo źle wychowany.

- Cholera jasna! - wtrąciłem. - Wszyscy robimy niepotrzebne rzeczy. Poczciwy stary Harry sam wypisał swoje epitafium: „Tutaj leży Harry Raines. Zaufał nieodpowiedniemu człowiekowi”.

Donleavy miał na tyle oleju w głowie, by się nie odzywać. Sprowadziliśmy go na dół i przekazaliśmy dwóm policjantom z patrolu, zapowiedziawszy, że niebawem zjawimy się na posterunku.

- I co dalej? - zapytał Czerw.

- Trzeba się pomodlić - oświadczyłem.

Nie trzeba było. Kiedy ruszyliśmy do swoich samochodów, od brzegu rzeki nadbiegł George Baker. Był ciągle jeszcze w kombinezonie, choć miejsce pletw zajęły buty.

- Mam dla panów podarunek- oznajmili wręczył mi S&W .38 z czarną kolbą i dwucalową lufą. Owinięty był w szmatkę, by nie zatrzeć ewentualnych śladów palców. Sprawdziłem numer. Była to broń Donleavy'ego.

- Zapewniam, że to właśnie poszukiwana broń - powiedział z dumą Baker. - Była pod wodą zbyt krótko, by zdążyła zardzewieć.

- Dziękuję panu, Mr Baker - odpowiedziałem z szerokim uśmiechem. - Ocalił pan właśnie moją dupę.

- To, proszę pana, komplement, jakiego się nie zapomina.

Oddałem Czerwiowi torbę, którą dostałem od niego w gabinecie Donleavy'ego, a w której spoczywał inny S&W .38 ze srebrną obudową.

- Gdzie go zdobyłeś? - zapytałem.
- U jednego kumpla z Front Street - wyjaśnił.
- Wspaniale - pochwaliłem.
- Strasznie dużo było w tym wszystkim kitu - powiedział Czerw. -  
Nigdy nie namawiaj mnie na pokera.
- Nie gram w pokera - odparłem.
- Lubię twój styl - pochwalił.

## 70. MORDERSTWO PIERWSZEGO STOPNIA

We wspaniałym nastroju dotarłem do budynku sądu okręgowego. Stateczny ceglany zabytek stał pośrodku rynku, otoczony przez stare dęby, dostatecznie wielkie, by mogły uchodzić za kalifornijskie sekwoje, i drzewa palmowe, które jednak wydawały się jakieś ubogie i dziwaczne. Miejsce ugięło się pod brzemieniem historii. Jedna z opowieści głosiła, że w gabinecie na drugim piętrze Button Gwinett szkicował swoje poprawki do Deklaracji Niepodległości. Zgodnie z inną w wigilię 1864 roku, na sekretnym spotkaniu w jednej z sal sądowych Sean Findley, dziad Chiefa, bez jednego wystrzału przekazał Dunetown generałowi Shermanowi, w zamian za obietnicę uchronienia miasta od zniszczeń. Teddy uwielbiał powtarzać tę historię, chociaż w jego wersji Sean kierował się w znacznie większym stopniu własnym egoizmem niż pobudkami patriotycznymi. Zdaje się, że i inni byli podobnego zdania. Starzec został zastrzelony na schodach tego samego budynku podczas uroczystości związanych z mianowaniem go na stanowisko pierwszego po wojnie secesyjnej burmistrza Dunetown.

Tyle historii.

Gabinet prokuratora okręgowego mieścił się na pierwszym piętrze, jedyną jego osłonę stanowiły drzwi z matową szybą.



Mała, czupurna prokurator ślęczała nad grubym jak encyklopedia stosem akt, a okulary w stylu Bena Franklina zsunęły się jej na czubek nosa. Lekko zastukałem we framugę.

- Hej, panienko - odezwałem się. - Posłała już pani dzisiaj kogoś na krzesło?

Spojrzała na mnie sponad okularów.

- Nie jestem dla pana żadną panienką, Mr Kilmer - obruszyła się. - Proszę bez poufałości. Co z taśmą Harry'ego Rainesa?

- Figa - odparłem. - Samo mruczando.

Spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek, jakby z niedowierzaniem.

- Powinnaś była wiedzieć, że tak będzie - powiedziała.

- Niezbyt uprzejmie odnosi się pani do człowieka, który przychodzi przekazać pani największą sprawę w dziejach tego hrabstwa.

Odchyliła się i popatrzyła na mnie nieufnie.

- Jaka to sprawa?

Wyczekałem chwilę, aby spotęgować efekt, po czym odparłem:

- Stan Georgia kontra Sam Donleavy.

Pochyliła się tak szybko, że krzesło niemal umknęło spod niej.

- Chce pan postawić przed sądem Sama Donleavy'ego? - zapytała takim tonem, jakbym oskarżył Billy'ego Grahama o nieprzystojne zachowanie.

- Już jest aresztowany - oznajmiłem, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie.

- Pod jakim zarzutem?

- Morderstwo pierwszego stopnia.

Zerwała się na równe nogi i stała z szeroko otwartymi ustami. Podniosłem palec i powtórzyłem:

- Morderstwo pierwszego stopnia.

Zatkało ją. Chyba nigdy dotąd nie widziałem nikogo, kto dokładniej odpowiadałby temu określeniu.

- A kogo on niby miał zabić?

- Co by pani powiedziała na początek o Harrym Rainesie?

- O mój Boże - wyszeptała, a owo „Boże” ciągnęło się przez dobrych kilka sekund.

Podszedłem do biurka i rzuciłem na blat zawiniątko ze Smith&Wessonem.

- Wolę oddać to pani niż tym gliniarzom od Maca Stinetta z Wydziału Zabójstw. Oto broń użyta przez Donleavy'ego. Wydobyliśmy ją z rzeki pół godziny temu.

- Harry Raines - powtórzyła ze zgrozą, wpatrzona w pistolet.

- Alibi Donleavy'ego okazało się nieprawdziwe - ciągnąłem.

Nie doszła jeszcze do siebie.

- Harry Raines? - powtórzyła, gapiąc się na broń, jak gdyby oczekiwała, że pistolet zaprzeczy.

- Będzie pani miała trochę kłopotów z dowiedzeniem premedytacji - ciągnąłem - bo jak myślę, wpadł na pomysł zabójstwa na pół godziny przed...

Tym razem już mnie dosłyszała i przerwała mi w pół zdania.

- Mamy dużo czasu - oznajmiła. - Ale, ale wystarczy, żeby myślał o zabiciu ofiary choćby przez pięć minut, a będę mogła mu dowieść premedytacji.

- Jeśli potrafi pani wykazać przed sądem, będę się tylko cieszył.

- Dlaczego to zrobił?

Tak szybko, jak to było możliwe, wprowadziłem ją w szczegóły, włącznie z piramidą, hollywoodzkim pudełkiem i niejasną rolą Seaborna w całej aferze.

- A zatem motywem był strach, że Raines wszystko ujawni - powiedziała. - Wydaje mi się zresztą, że i tak wszystko było już tylko kwestią czasu. Wcześniej czy później sprawa Taglianiego musiała wypłynąć.

- Donleavy miał nadzieję, iż do tego czasu tak mocno stanie już na własnych nogach, że będzie mógł zbagatelizować swoją „błędną ocenę”, jak lubił to nazywać.

- A jak pan by to nazwał?
- Przekupstwo - stwierdziłem. - A poza tym, jak powiedziałem Donleavy'emu, morderstwo prowadzi do morderstwa.
- Podejrzewa pan, że zabił jeszcze kogoś? - zapytała, a jej brwi dotknęły niemal sufitu.
- Współudział - oświadczyłem.
- Przed czy po fakcie?
- I jedno i drugie.
- O kogo chodziło?
- Ike'a Leadbettera.
- Ike'a Leadbettera!
- Tak, pamięta go pani chyba? Był kiedyś tutaj szefem policji.
- Leadbetter zginął w wypadku - powiedziała.
- Tylko dlatego, że nie udało się dowieść niczego innego - mruknąłem. Przymknęła oko i posłała mi jedno ze swych najgroźniejszych spojrzeń.
- Panie Kilmmer, pan zaczyna mi grać na nerwach.
- Morehead uważa, że to było morderstwo, i skłonny byłbym się z nim zgodzić. Początkowo pomyślałem, że Szkop jest rozżalony i na siłę chce zrobić sprawę z utonięcia Leadbettera. Zabicie szefa policji nie było w stylu Taglianiego, usiłował zresztą wtopić się w tło miasteczka. Wydawało mi się, że nikomu poza nim nie mogło zależeć na tej śmierci. Ale potem zacząłem zmieniać zdanie.
- Och, a to dlaczego?
- Podobnie jak Szkop, nie bardzo wierzę w przypadki. Zwłaszcza w tym mieście. I kiedy ofiarą jest szef policji.
- Dlaczego miano by zabijać Leadbettera? - zapytała.
- Panno Galavanti, jeśli ktokolwiek w tym mieście mógł rozszyfrować Taglianiego, to właśnie Leadbetter. W Atlantic City miał do czynienia ze zorganizowaną zbrodnią, trochę więc wiedział o La Cosa Nostra i jej metodach.
- Myśli pan, że Leadbetter przejrzał Taglianiego?

- Tak, i myślę, że poszedł z tym do Donleavy'ego, co było całkiem naturalnym posunięciem. Koniec końców, to sam Harry Raines mianował Donleavy'ego szefem Komitetu. Ten, przerażony, że jego udział w aferze może wyjść na jaw, wpadł w panikę i zwrócił się o ratunek do Taglianiego, który usunął Leadbettera. To właśnie wtedy założono Rio Company, a Donleavy znalazł się na pasku wyplat.

- A Tagliani zawsze miał odtąd na niego haka - zawtórowała Galavanti.

- Piątka. Przejdziemy teraz do McGee?

- Cherry'ego McGee? A co z braćmi Kennedy i Anwarem Sadatem?

Niech pan nikogo nie przeoczy.

- Chce pani dokończyć tę opowieść za mnie?

- Niech pan jedzie dalej, jest pan wspaniały, tyle tylko, że to Długonosy Graves zabił McGee i jego goryli. - Przerwała na chwilę, a potem dodała:

- A może i to nieprawda?

- Nie.

- Hm - mruknęła. - Muszę przyznać, że próbowaliśmy wszystkiego oprócz modlitwy, żeby obciążyć tym Gravesa.

- I nie udało się, ponieważ tego nie zrobił - powiedziałem. - W każdym razie Graves upiera się, że tego nie zrobił, i skłonny byłbym mu wierzyć.

- Dlaczego?

- Na swój sposób lubię go.

- No tak, to rzeczywiście rozstrzyga wszystko, szczególnie w oczach sędziów - powiedziała zgryźliwie.

- Dlaczego miałby się zapierać? - powiedziałem. - Wszyscy i tak sądzą, że to jego robota, a zresztą chciał to zrobić. Ktoś go uprzedził.

- Ma pan jakieś sugestie? - zapytała, ale natychmiast zamachała rękami.

- Jaka ja głupia, z pewnością pan ma.

- Porachunki rodzinne - odrzekłem.

- Chce pan powiedzieć, że Tagliani zabił swojego człowieka?

- Cherry McGee i Graves stali z rękami przy kaburach i znowu wmieszał się we wszystko Donleavy. Musiał położyć kres strzelaninom, zanim Raines się zdenerwuje. Taglianemu nie udało się wyeliminować Gravesa, załatwił więc McGee, który nie należał wcale do rodziny, był tylko najemnikiem. Taglianemu wcale na nim nie zależało.

Gwizdnęła cicho przez zęby.

- Czy czegokolwiek z tego możemy dowieść? - zapytała.

- Jeśli Donleavy i Seaborn załamią się, wyśpiewają wszystko - powiedziałem. - Ale to i tak nie ma znaczenia, jeśli pani jest rzeczywiście taka dobra jak mówią. Donleavy może zawisnąć tylko raz, a większość spośród tych ludzi Taglianich, którzy byli zamieszani w morderstwa, najprawdopodobniej już nie żyje.

Patrzyła na mnie, jakby czekając, kiedy wreszcie rzucę drugi but. W końcu powiedziała:

- No dobra, niech pan mówi.

- Co takiego?

- Czego pan chce w zamian?

- Cohena, żywego, ale z kiszkami na wierzchu. Poza tym jest moja sprawa OPOP. Bardzo by mi pomogło, gdyby poleceniem sądowym zamroziła pani rachunki piramidy, tak żebyśmy mogli je rozpracować. Chciałbym mieć pewność, że nikt nie wyczyści pamięci komputera, zanim tam dojdziemy.

- Zajmę się tym natychmiast - oświadczyła z pasją, a oczy jej płonęły jak wschodzące słońce. - Nikt w to nie będzie wierzył - powiedziała, wstając i stukając okularami o blat.

- Mam jeszcze jedną małą prośbę... - zacząłem i zawiesiłem głos.

- Wiedziałaś. - Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Czy Winslow albo Lukatis mieli wcześniej jakieś kłopoty?

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego interesuje się pan tak bardzo Lukatisem?

- To osobista sprawa - odparłem.

Przez moment zastanawiała się nad moim pytaniem.

- Tak, było prowadzone dochodzenie przeciw Winslowowi - powiedziała w końcu.

- O co był podejrzany?

- Obrót nielegalnymi substancjami.

- I co?

- Umorzone.

- Dlaczego?

- Brak dowodów.

- Ach, stary, poczciwy brak dowodów - pokiwałem głową.

- Niech pan posłucha - obruszyła się. - Jeśli nie mam atutów, nie mogę wystąpić do sądu.

- O nic pani nie obwiniam - zapewniłem pośpiesznie. - Czy śledztwo zamknięto przed czy po tej wyprawie z Lukatisem?

- Naprawdę nie pamiętam.

- Niech pani spróbuje.

- Straszny z pana sukinsyn.

- Więc?

- Chyba po.

- Ślicznie. I to Titan poprosił o zamknięcie sprawy, prawda?

Musiała się przez chwilę zastanowić.

- Nie całkiem - powiedziała. - Nie dostarczył po prostu materiałów, które pozwalałyby wystąpić z oskarżeniem.

- Bardzo zgrabnie. No cóż, chyba jesteśmy kwita, panienko. Nawiasem mówiąc, doradzałbym nie zwalniać Donleavy'ego za kaucją. Jeśli się nie mylę, czeka na niego w Panamie chyba z pół miliona dolarów. Jak tylko znajdzie się na ulicy, przepadnie jak kamień w wodę.

- Po moim trupie - ucieła.

- Lepiej nie ryzykować - mruknąłem. - Materiału mamy i tak dość. Kto wie, panienko, być może sprawa Rainesa stanie się dla pani pomostem do rezydencji gubernatora.

Mrugnąłem do niej, a ona pośpiesznie zagłębiła się w aktach leżących na biurku.

## 71. NANCE W AKCJI

W Breezes czuło się pieniądze. Eleganckie dwupiętrowe budynki z szarej cegły promieniowały dyskretną staromodną urodą, chodniki wily się pośród paproci i obsypanych kwieciami krzewów, które wyglądały tak pięknie, że wydawały się nieprawdziwe. Inteligentny architekt pozostawił większość starych dębów i sosen, wśród tej zieleni nie widać było nigdzie choćby jednego samochodu; garaże dyskretnie rozmieszczono na zapleczu osiedla. Trawniki sprawiały wrażenie przycinanych nożyczkami do paznokci.

Teren otaczał płot z wysokich spiczastych żerdzi metalowych; część wjazdową bramy oddzielała od wyjazdowej wysepka z wartownią, gdzie przez całą dobę czuwali wartownicy. Obecnie służbę pełnił wysoki Murzyn o posturze ciężarowca, sztywny i oficjalny w brązowym uniformie i butach błyszczących jak salon wystawowy Ferrari.

Popatrzył na mnie podejrzliwie i przepchnął gumę do żucia spod jednego policzka pod drugi. Nie odezwał się ani słowem.

- Nazywam się Jake Kilmer - powiadomiłem go - i jestem umówiony z panią Raines.

Sięgnął do swego skoroszytu, przerzucił kilka stron i pokręcił głową.

- Nie ma tu takiego - stwierdził.

- Niech pan spróbuje się do niej dodzwonić. Musiała zapomnieć, to ciężki dzień dla niej.

- Mam tu zaznaczone przy jej numerze: „Nie przeszkadzać”.

- Umówiła się ze mną - powtórzyłem, starając się nie tracić cierpliwości.

- Na liście nie ma żadnego Kilmera, a przy numerze stoi: „Nie przeszkadzać” - powiedział grzecznie, lecz stanowczo. - Niech pan gdzieś znajdzie w okolicy telefon i zadzwoni do niej, żeby skontaktowała się z wartownią i poleciła pana wpuścić.

Wyciągnąłem legitymację i natychmiast przywarł spojrzeniem do trzech pierwszych wyrazów wydrukowanych wielkimi literami: „Agent Rządu USA”. Trzymałem mu ją przed nosem tak długo, aż wreszcie podniósł wzrok.

- Mój brat jest patrolowym - powiedział, spoglądając przez okno gdzieś w przestrzeń. - Na jesieni zdaje egzaminy do FBI.

- To wspaniale. Wie pan, co tam się teraz dzieje u pani Raines, prawda?

- Ma pan na myśli Mr Rainesa?

- Mhm.

- Okropna historia - powiedział. Spojrzał jeszcze raz na wizytówkę i zapytał: - To sprawa urzędowa?

- A jak pan myśli? - zapytałem najbardziej urzędowym tonem, jaki potrafię z siebie wydobyć.

- Tutaj są strasznie ostre przepisy, wie pan. Nikt, absolutnie nikt, nie może wjechać bez wcześniejszego telefonu tutaj na bramę. Inaczej nie wolno.

- Mówiłem już, że czeka na mnie, pewnie zapomniała podać moje nazwisko w tym całym rozgardiaszu. Dlaczego nie mogę wjechać?

- Zadzwońię do niej, cholera jasna - zdecydował się. - Parking dla gości jest tam na prawo, za palmami.

Pojechałem we wskazanym kierunku i zaparkowałem; miejsce było sterylne czyste. Kiedy wróciłem, wartownik uśmiechał się szeroko.

- Oo-kay - powiedział, składając kółko z kciuka i palca wskazującego. - Miał pan rację, zapomniała. Pierwsza uliczka na lewo, drugi budynek, 3C.

Podziękowałem i poszedłem w kierunku 3C. Było cicho jak na dnie jeziora. Żadnych ptaków, żadnego wiatru, nic. Żwir zachrząścił pod moimi stopami, kiedy skręciłem w ślepą uliczkę. No cóż, wszystko niewątpliwie było z klasą. Każdy budynek miał własny basen, nigdzie nawet śladu śmiecia. Latarnie rozsiewały miękkie, jednostajne światło.



Do 3C dochodziło się ze żwirowej alejki dróżką wiodącą między szpalem azalii. Nacisnąłem dzwonek i w głębi domu rozległa się melodia kuranowego sygnału. Zabrzęczał łańcuch, szcęknęły zasuwki i oto znów miałem ją przed sobą.

Wydarzenia ostatniej doby pozostawiły swój ślad. Oczy miała podpuchnięte, z zapadłej twarzy smutek stał opalenizną i powłókł ją śmiertelną starością. Zamknęła za mną drzwi i cofnęła się w kąt pokoju, jakby w obawie, że cierpię na jakąś zakaźną chorobę.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała głosem, który utracił dziewczęce brzmienie.

- Jeśli mogę być w czymś pomocny...

- Nikt nie może mi pomóc - odparła.

- Może chciałabyś wszystko wyrzucić z siebie - zapytałem. - Słyszałem, że to pomaga.

- Choć nie tobie? - odpowiedziała pytaniem.

Zastanowiłem się przez moment. To prawda, niewielu było ludzi na świecie, z którymi mógłbym naprawdę szczerze porozmawiać. Ryzyko zawodowe.

- Chyba rzeczywiście nie - przyznałem. - Mało kto ufa gliniarzowi.

- Gliniarz... Tak trudno się oswoić z myślą, że masz taki zawód.

Rozejrzałem się. Typowo męski pokój, żadnych ozdóbek, żywszych kolorów. Wszędzie brąz i czerń, antyczne meble, ciężkie i przygnębiające. Na ścianach pełno było zdjęć, odznaczeń, dyplomów, wszelkich tego typu dowodów sukcesu, stłoczonych w ciasnych gablotach okolonych brązowymi ramami. To miejsce wiele mówiło o Harrym Rainesie; we wszystkim czuło się jakiś monotony ład, przemożną potrzebę demonstrowania własnych osiągnięć.

Doe dostrzegłem, o dziwo, tylko na jednej fotografii: zbiorowym zdjęciu zrobionym najwyraźniej w dniu otwarcia toru wyścigowego. Wszystkie inne pokazywały Rainesa w akcji: wśród polityków lub na torze. Raines w

wieńcu zwycięzcy obok dżokeja i rumaka; odprężony Raines przed wejściem do klubu futbolowego; Raines w Waszyngtonie na tle kopuły Kapitolu; Raines w towarzystwie kongresmenów, gubernatorów, burmistrzów, dzieci i co najmniej jednego prezydenta.

- Nigdy się nie uśmiechał? - zapytałem, spoglądając na jego poważną, niemal posępną twarz.

- Nie lubił się uśmiechać. Uważał śmiech za przejaw słabości.

- To smutne. Na tych zdjęciach wydaje się nieszczęśliwy.

- Zawiedziony - odpowiedziała, a w jej głosie zabrzmiał ton pretensji. - Nic nie mogło zaspokoić jego ambicji. Nawet zwycięstwo. Natychmiast zaczynał myśleć o następnym starciu, następnej wygranej, kolejnej nagrodzie do powieszenia na ścianie. To jego miejsce, nie moje. Mieszkam tutaj tylko dlatego, że teraz tak mi wygodnie. Kiedy już będzie po wszystkim, natychmiast pozbędę się tego domu. Zaczynam się już dusić na widok pomników, a ten budynek nie jest obecnie niczym więcej.

- A co z tobą? Czy zaspokoilaś jego pragnienia?

- Co masz na myśli? - zapytała, marszcząc lekko brwi.

- Czy byliście ze sobą szczęśliwi?

Wzruszyła ramionami.

- Mieliśmy wszystko, co można mieć za pieniądze - powiedziała ponuro. - I żadnej z tego przyjemności.

- Przepraszam - mruknąłem, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. - Żałuję, że wszystko ci się tak źle ułożyło.

Usiadła wyprostowana, z rękami złożonymi na kolanach, oczami wbitymi w podłogę.

- Jake, jak to się stało? Dlaczego wszystko wyszło i umarło? Dlaczego zostaliśmy tak zdradzeni? Ty, Teddy, Chief, wszystko, na czym mi w życiu zależało, wyrwano mi, odebrano.

- Każdy z nas dostał swoją porcję - powiedziałem. - Najgorzej powiodło się Teddy'emu.

- Teddy - powtórzyła. - Kochany Teddy. Za nic miał całą tradycję Findleyów. W jednym z listów z Wietnamu napisał, że kiedy już wrócicie,

kupi działkę na Oceanby i będziecie sobie tam żyć jak dwa plażowe żigolaki. Zmęczyło go już bycie Findleyem. Zaczął wszystko traktować jak jedną komedię.

- Dużo rozmawialiśmy o tym. Czasami mi się wydaje, że niczego nie traktował naprawdę na serio.

- O tym myślał zupełnie serio - powiedziała. - Nie rozumiesz? Nasza trójka mówi całemu światu, żeby się odpieprzył. - Spojrzała na mnie i spróbowała się uśmiechnąć. - Wiesz, Jake, ja zawsze wiedziałam, że wrócisz. Że wcześniej czy później Teddy przywiezie mi ciebie z powrotem. Tylko że z początku to było takie piękne marzenie, nie koszmar. A potem Teddy zginął i zaczęły się koszmary, bez końca, coraz gorsze.

Strzepnęła z sukni niewidzialny pyłek i dodała:

- Bogowie są przewrotni. Dają dzieciom lizaki, po czym odbierają, gdy tylko dzieci zdążą je raz posmakować.

Chciałem się jakoś sprzeciwić, ale nie potrafiłem. Miała rację. Nazywają to dorosłością. Na swój sposób Doe nie chciała wydorosnąć i raptem wszystko sprzysięgło się przeciw niej. Odczułem nagle całe brzemienie żalu, którego powodem nie była śmierć Rainesa: na to nic już nie można było poradzić; żalu za tym, czego nie zaznali wtedy, gdy jeszcze żył, żalu, że nie spełniły się promienne marzenia młodości, że obróciły się w niwecz najskrytsze marzenia młodości, że obróciły się w niwecz najskrytsze nadzieje serca. Przypomniałem sobie słowa Mufallaty o dwojgu skrzypiec; ona ciągnęła melodię przepojoną smutkiem, a ja odpowiadałem...

- Harry wiedział od samego początku, że wybrałam go w zastępstwie - kontynuowała. - Nigdy tego nie ukrywałam, starałam się jednak, by było między nami jak najlepiej. Z początku oboje bardzo się o to staraliśmy. Ale Chief wymagał od niego wciąż coraz więcej, Titan zaczął napomykać o polityce i Harry niepostrzeżenie zmieniał się, dzień po dniu, aż wreszcie byłam już dla niego tylko częścią boiska. Kolejna plakietka na ścianie. A ja tak pragnęłam, abyśmy w końcu stali się sobie bliscy, och Boże, jak tego pragnęłam. I teraz tak strasznie bym chciała, żeby znów mógł być ze mną.

Tak bym chciała mu powiedzieć, że przepraszam, że to wszystko... że to była...

Potrząsnęła głową, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, więc ją spróbowałem.

- Pomyłka?

Podniosła gwałtownie głowę.

- Pomyłka? - powiedziała. - I tym słowem podsumować całe życie?

Chciałem powiedzieć jej o Samie Donleavym, zastanawiałem się, jak to zrobić, ale ciągle nie było okazji, by nawiązać do tej sprawy.

- Jake, ja nie mogę tutaj zostać - powiedziała, tocząc wzrokiem po fotografiach na ścianach. - Na cokolwiek spojrzę, widzę jego. Zawieź mnie do Windsong, dobrze? Zabierz mnie stąd.

- Chodźmy - odparłem. Mogłem jej powiedzieć po drodze.

Odruchowo wykonała czynności kobiety wychodzącej z domu - wyglądało to jak trwające wieczność chaotyczne kręcenie się w kółko. Wreszcie wyszliśmy i ruszyliśmy w stronę mojego samochodu. Milczeliśmy oboje, ale wczepiła się w moje ramię tak mocno, że poczułem ból.

Kiedy podjechaliśmy do wysepki, wartownik pomachał do mnie dłonią.

- Czy ktoś miał tu na pana czekać?

- A czemu pan pyta?

- Tam, z prawej strony stoi czarny sedan. Zatrzymał się, jak tylko pan wjechał do środka. Stoi tam przez cały czas.

Dostrzegłem w mroku nieruchomy samochód, zaparkowany po naszej stronie. Mógł to być jeden z zabijaków Szkopa, ale jakoś nie poznawałem wozu.

- Nie wie pan, ile osób jest w środku?

- Tylko kierowca.

- Może uciął sobie drzemkę - powiedziałem.

- Pewnie tak, ale pomyślałem, że lepiej, żeby pan wiedział.
- Dziękuję.
- Nie ma za co.

Minąłem bramę i wykręciłem w lewo, w przeciwną stronę niż ta, po której stał tamten. Ruszył, nie włączając świateł i podążył za nami. Zwolniłem, pozwalając, by się zbliżył. Broń, jak zwykle miałem w bagażniku.

- Zapnij się - powiedziałem Doe.
  - Co takiego?
  - Pas. Zapnij się. Poszukała pasa i zamocowała.
  - O co chodzi? - zapytała. Usłyszałem niepokój w jej głosie.
  - Mamy towarzystwo - odparłem, wciskając końcówkę pasa w uchwyt.
- Trzymaj się. Będzie trochę jak za dawnych czasów na wydmach.

Poczekalem, aż jadący za nami samochód zbliżył się na odległość dziesięciu stóp, a potem przycisnąłem do deski pedał gazu i pokręciłem kierownicą. Opony zaskowyczały na asfalcie, samochód skoczył do przodu i okręcił się gwałtownie. Nadepnąłem na hamulce, wyrównałem i ciągnąc za sobą ciemne ślady, pognałem Palm Drive w przeciwną stronę.

Tamten był szybszy, niż myślałem. Zjechał w lewo i uderzył w mój tylny zderzak. Na chwilę straciłem kontrolę nad kierownicą, ale zaraz szarpnąłem nią w lewo i nacisnąłem na hamulce. Wóz przeskoczył krawężnik, przeleciał obok kubłów na śmiecie i zdemolował jakieś trzydzieści stóp płotu okalającego Breezes. Wreszcie zatrzymał się; zniszczona chłodnica syczała rozpaczliwie.

Kilka razy szarpnąłem za kluczyki, w końcu wyrwałem je ze stacyjki i skoczyłem w kierunku bagażnika. Tamten zawrócił z piskiem i pognał w naszym kierunku, hamując o dziesięć stóp przed nami. Ciągle jeszcze szarpałem się z pokrywą bagażnika, gdy usłyszałem za sobą głos Turka Nance'a:

- Powinieneś pójść na kurs jazdy.

Podczas gdy myśmy poszukiwali Nance'a, on śledził mnie. Doe stała już obok.

- Wracaj do samochodu - powiedziałem najspokojniej jak potrafiłem.

- Co się dzieje? - zapytała płaczącym głosem.

Za późno. Nance stał już naprzeciw mnie; luger w wyciągniętej ręce, oczy gada promieniejące radością, język łakomie oblizujący wargi.

Zaatakowałem. Nie zastanawiając się. Nie ważąc szans. Nie myśląc o Doe.

To było jak orgazm, rozkosz połączona z ulgą. Całe moje rozczarowanie i gniew wezbrały we mnie falą żywiołowej, nieopanowanej wściekłości. Nance był nie tylko psychopata, który zabił moich znajomych i który próbował zabić mnie. Przez ostatnie lata mojego życia uosabiał też każdą złamaną obietnicę, każdy niespełniony sen, każdą zesmaconą wartość.

Nie myślałem. Złapałem za lufę i mocno szarpnąłem; usłyszałem huk, poczułem nagły żar w lufie, piekący ból w dłoni i krzyk gdzieś w głębi ulicy. Uderzyłem go, rzucając na pojemniki na śmiecie, dopadłem, uderzyłem jeszcze raz, kopnąłem kolanem, szarpałem na wszystkie strony, raz jeszcze kopnąłem. Nie mogłem się już utrzymać na nogach, ale powstrzymałem go od upadku i biłem wściekle i bez przerwy. Słyszałem, jak Doe histerycznie wykrzykuje moje imię, ale nie mogłem przestać. Każdy cios, każdy kopniak były tak cudowne. Zaczął krzyczeć i usiłował się jakoś przede mną zasłonić. Nagle jego koszula pękła, a on runął na kolana i jak krab zaczął pełznąć w kierunku jezdni. Przydeptałem mu kostkę, stanąłem na nim całym ciężarem i pięścią waliłem w tył głowy, aż dłoń zaczęła płonąć z bólu. Wtedy pociągnąłem go z powrotem i potężnym kopnięciem w okolice nerek znowu cisnąłem między pojemniki.

Ciągle było mi za mało. Porwałem za luźną pokrywę od kubła i waliłem w tył jego głowy: raz, drugi, trzeci, czwarty, aż wreszcie to, co trzymałem w ręku, stało się powyginanym wrakiem. Odrzuciłem pokiereszowaną

pokrywę, pociągnąłem go w górę i raz za razem znowu kopałem kolanem w krocze. Potem zgarnąłem w dłoni resztki koszuli i mocno trzymając, drugą ręką krótkimi, szybkimi ciosami waliłem w twarz. W końcu przypominał tylko zakrwawioną, zmiętą ścierkę.

Doe stała oparta o ścianę, dłonie tłumili krzyk, a oczy pełne były łez i przerażenia.

- Przestań, Jake, na miłość boską, przestań! - prosiła.

Poderwałem go, cisnąłem na maskę samochodu i porwawszy za lugera, przytknąłem mu go do krtani. Cała scena trwała trzydzieści sekund.

- Pierdolony imbecyłu! - wrzeszczałem. - To trzeci raz! Już po tobie!

- Nie, nie, nie! - krzyczała Doe.

Wartownik wybiegł na ulicę i gwizdał ze wszystkich sił, niepewny, czy sięgać do kabury, czy nie.

- Dzwon pod ten numer! - wrzasnąłem do niego i podałem telefon Magazynu. Dla pewności powtórzyłem.

- Pamiętasz?

- Tak jest, proszę pana.

- Zadzwon i temu, kto przyjmie, powiedz, że Jake Kilmer potrzebuje pomocy i żeby zjawili się jak najszybciej.

- Tak jest. - Zniknął w swojej budce. Nance na pewno nie był sam. Nigdy nie był sam. Był człowiekiem towarzyskim, lubił mieć ludzi wokół siebie.

- Wracaj do domu - rozkazałem Doe.

- Ale...

- Natychmiast. Ten skurwiel nie jest sam. Wracaj i czekaj tam aż...

Urwałem zdanie, zobaczywszy światła samochodu. Był od nas odległy o przecznicę. Schwyłem lugera w obie ręce i strzeliłem w reflektor. Przyhamował i zatrzymał się tuż koło mojego wozu. Celowałem w drugie światło, kiedy z tyłu usłyszałem:

- Rzuć spluwę, albo po dziewczynie.

Nance usiłował jeszcze coś wycharczeć przez opuchnięte, zakrwawione wargi. Ściągnąłem go z maski, rzuciłem na ziemię, wypchnąłem magazynek z rewolweru i cisnąłem nim w Nance'a z całej siły. Uderzył go w policzek i bezsilnie zagrzechotał po chodniku.

W chwilę później coś ugodziło mnie równie mocno w tył głowy. Ulica stanęła jezdnią do góry. Doe zawirowała wokół mnie jak figurka na karuzeli. Światła przygasły.

## 72. RETROSPEKCJA: DZIENNIK WIETNAMSKI. KONIEC WYPRAWY

### DZIEŃ PIĘĆSET PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY:

Usiłowaliśmy dopaść tego zwariowanego nauczyciela o imieniu Nim, który rozrabiał na górze i dole rzeki i z którym włóczyło się chyba ze stu skurwieli. Kwatera Główna zrzędzi, że dla tych ludzi stał się jakimś bogiem i że natychmiast trzeba go dorwać. Więc co, kurczę, tak jak nas jest pięciu w DROW, mamy przydupić tego cholernego sukinsyna i setkę wariatów, którzy się go uczepili?

Odpowiadam więc KG, że potrzebuję pięćdziesięciu, sześćdziesięciu myśliwych pierwszej klasy, mogą być ci od Kita Carsona. Nie zamierzam rzucać się na pierdoloną armię tego Nima z pięcioma osobami, niezależnie od tego, jak dobrzy jesteśmy, a powiem ci, że, kurwa mać, jesteśmy dobrzy, najlepsi, jakich tu mają. W sumie nasza piątka zdobyła ze trzysta pieprzonych skalpów. Niezły wynik, sześć miesięcy w polu, pięciu ludzi. Corrigan, Francuz Dip, Squeak, Joe Fineman i ja. Pięciu ludzi, ale jak jeden. Mamy tę pulę, na początek wszyscy zrzucają się po stowie i każdego



suchego dnia dodajemy po dwudziestce, a ten, który pierwszy ustrzeli Śmierdziela, bierze wszystko. Nigdy nie było tego więcej niż osiemset dołców, czyli nigdy nie potrwało dłużej niż cztery dni.

Tak czy inaczej, wyszliśmy na tę łódkę, którą przyplłynąć mieli ci snajperzy przysłani przez KG, a załoga mówi, że wojna może się teraz skończyć każdego dnia, na co ja: „Jasne, nieraz już to słyszałem”, ale chłopaki wszyscy to kupili i wzięli od spekulanta z łódki kilka butli Black Jacka i choć zawsze pieprzyłem upijanie się tutaj, pomyślałem, do cholery, dostaliśmy tych pacanów z KG z oczyma jak szaleńcy, czemu nie, chłopaki zasłużyły. No więc cała reszta ubzdryngoliła się w trupa, a ja musiałem trzymać wartę przez całą noc, żeby być pewnym, że ten dupek Nim nie spadnie nagle i nie załatwi nas wszystkich. Żółtki są niezłe za dnia, kiedy się walczy twarzą w twarz, ale w nocy nie mam do nich zaufania, więc czuwałem. I przez całą noc myślałem o zawieszeniu broni i o tym, co porucznik, jak mu tam było, Harris, powiedział tamtego wieczoru w Dau Tieng o powrocie do Świata i kręglach. Kurwa mać.

Okazało się, że to poruta z tym zawieszeniem broni.

Opatrzność ciągle czuwa nad nami.

## DZIEŃ PIĘCSET PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY:

Było pięknie. Poprzedniej nocy dopadliśmy tego Nima przed świtem i wydusiliśmy ostatnie gówienko z tej całej zgrai. Dopieprzyliśmy im zdrowo, przez cały dzień mieliśmy zajęcie. Ci od Carsona to niezłe skurwysyny. Odcinają głowy, piją krew. Prawdziwe świry. Wszyscy zaopatrzyliśmy się w górze rzeki w remingtony i umowa jest teraz taka, że pulę zbieramy tylko za strzał z karabinu. Ładujemy tymi calowymi nabojami, chyba ze trzy uncje wagi, a ponieważ są gwintowane, więc

jak podkręcone przywałą w coś twardego, to wszystko rozpieprza się na amen. Przywalisz takiemu sukinsynowi w środek i widać, że ciało to głównie woda, zupełnie jakbyś pieprzył w arbuza. Tak je nazywamy, „rozpieprzaczę”.

Zabawa była jak na strzelnicy. Zgarnąłem pulę. Dopiero co rano dołożyliśmy pierwszą zrzutkę, tak że było sześćset dolców. Dziewięć skalpów. Niezła dniówka. Jedyne kłopot, że ten Nim i chyba jeszcze ze dwudziestu skurwieli wymknęli się nam.

Rano weszliśmy za nim w tej dolince z pagórkiem pośrodku, co wygląda jak cycek na naleśniku. Dużo drzew. Wezwałem helikoptery, żeby im dały trochę Macingu. Zrobiło się bardziej gorąco niż na materacu dziwki, rozbiegliśmy się na boki, daliśmy im chwilkę czasu, wtedy ten gaz miesza się z ich potem, aż nagle jeden z tych od Kita Carsona wstaje, niucha jak hiena i pokazuje na busz, a stamtąd wylatuje ich z piętnastu, wrzeszczą, wydzierają się jak cholera, wszystko z powodu Mace. Ten Carson rozwalił pierwszego, ot tak, po prostu, a do reszty mówi, żeby założyli ręce za głowę jak małe grzeczne skurwiele. Bracie, ale dostali, wszyscy poparzeni od Mace, oczy na wierzchu. Takie oćwiczony psy, chłópie, tyle w nich było ochoty do walki, co u zająca.

No i wyobraź sobie, przyglądamy się, liczymy, a tu ich zostaje pięciu, może sześciu. Tyle że nie było między nimi pierdolonego Nima.

Miałem ze sobą american 180, śliczny maszynowiec, którego wygrałem w pokera od jakiegoś cywila w Sajgonie. Naboje .22, ale strasznie go lubię, trzydzieści kulek na sekundę. Takim skurwysynem możesz borować dziury w ścianie. Dźwięk jak wiertło u dentysty.

Brrrrttt, brrrrttt.

Strasznie go lubię, Chryste, jaka ładna maszynka. Z takimi dwoma, Alamo nigdy by się nie poddało. Więc chodzi o to, że uczysz się wszystko załatwić tutaj szybko, kapujesz? Jak się nie obcyndalasz, dasz im popalić, to wyśpiewają ci wszystko, co chcesz. Rzecz tylko w tym, żeby za dużo nie kombinować, po prostu robić to i tyle. Wołam jednego z

tych sukinsynów, staje jakieś” cztery stopy ode mnie, a ja w niego.

Brrrttt.

Wali się w piach, kopnął raz, drugi, koniec. Wołam drugiego, pytam, gdzie jest Nim. Zaczyna się zastanawiać...

Brrrttt.

I po nim. Trzeci, którego wskazałem, wyśpiewał nam wszystko. Te skurwiele nie na darmo nazywają mnie Monsieur Morte. Okazuje się, że u stóp wzgórza jest jakaś sadzawka i tam w jakiejś jamie siedzi ten Nim. Znowu wzywam helikopter, ale tym razem ląduje, wyskakuje pilot, taki dwudziestoletni gówniarz z różowymi policzkami, i pyta, gdzie jest porucznik. „Nie ma tu żadnego porucznika”, ja mu na to, jestem sierżantem i ja tutaj dowodzę, a on, że dziś wieczór rozpoczyna się zawieszenie broni, oficjalna wiadomość, całe to gówno, i żeby dać sobie spokój. „Przecież, do cholery”, mówi, „to już tylko parę godzin”. „Słuchaj, pierdolony mięczaku, przez całe dni uganiamy się za tym skurwysynem, dopadliśmy go tutaj, więc leć i mu przyłóż”. Nabiera kolorów buraka i mówi: „Złożę na pana raport. Jak pan się nazywa?”, a ja: „Powiedz im, że obraził cię Monsieur Morte, a dostaniesz od nich kopa w dupę i to wszystko, co będziesz z tego miał”. Ale ten się stawia: „Niech pan mi nie wsadza tego całego szpanu z Dzikiego Zachodu, jak pan się nazywa?” Więc mu mówię: „Parver, P-a-r-v-e-r” i dodaję: „Albo koleś lecisz tym ptaszkiem, albo my to zrobimy. Musimy przedostać się na drugą stronę tego pagórka, a moje chłopaki nie będą się pakować w to całe pierdolone Mace”.

No i zanim wojna się skończyła, władowaliśmy się do kręciołka, skoczyliśmy nad pagórkiem i faktycznie był staw, jak mówił skurwiel, wszędzie jeszcze wisiały szare chmurki Mace, jak pasemka bawełny. Więc trzech z nas zjechało na dół i zaraz znaleźliśmy jamę, patrzymy, a w środku pierdolony Nim siedzi jakieś dwadzieścia stóp od wejścia. Ale chryja! Nogi skrzyżowane, goły jak święty turecki. Skóra pokryta białymi pęcherzami, oczy zapuchnięte i zamknięte, a z ust po cholerym Mace toczy mu się piana jak u wściekłego psa.

Pierdolony czterdziestopięcioletni nauczyciel, uważał się za jakiegoś Fidela Castro, ciągle jeszcze dycha, ale ślepy jak kret. Nagle zaczyna macać za bronią, M-16, dobrze wiadomo, skąd ją może mieć, skurwysyn, więc stanąłem za nim i:

Brrrrttt.

Koniec przedstawienia, koleś. A potem, nie wiem, dlaczego to zrobiłem, może, wiesz, dlatego że to ostatni dzień tej pierdolonej wojny, więc chcesz jeszcze zebrać jak najwięcej, wziąłem od Finemana maczetę i odciąłem gnojnikowi głowę, chlup, jakoś tak, całkiem fajnie, nie powiem. Uwierzysz, Fineman mało się nie porzygał. Po tym wszystkim, co tu widział, niech to cholera. Wrzuciłem fant do torby i zabrałem, żeby pokazać innym chłopakom. Co, kurwa, też mają prawo. Jak to się mówi, brudy wojny.

## DZIEŃ OSTATNI:

Tym razem plotka okazała się prawdziwa. Wróciliśmy nad rzekę, a tu już po wszystkim. Wszyscy się cieszą, śpiewają, ten oszust rozdaje za darmo wodę. Nigdy nie myślałem, że dożyję takiego dnia. Odpalają rakiety, race, strzelają z czego się da, jak podczas Czwartego Pieprzonego Lipca, ja nic, tylko siedzę i myślę o tym, co porucznik mówił o kręglach. Nic jednak nie powiedział, co robić, jak wszystko się skończy, może zresztą żaden z nas nie myślał, że to kiedykolwiek nastąpi. Rzecz jednak w tym, chłopie, że wracamy do Świata, czy chcemy, czy też nie. Wszystko się skończyło. Opatrzność przestała czuwać nad nami.

## 73. ZAPATA RATUJE HONOR SOS

Telefon zadzwonił o 20.04.

W Magazynie był już i tak spory ruch. Szkop maglował Lange'a, Cowboya Lewisa i Pancho Callahana. Telefon odebrał Jednouchy Charlie.

Mówił przede wszystkim Callahan.

- Zjawiliśmy się wszyscy na nabrzeżu jakieś pół godziny temu. Kite deptał po piętach Bronicacie, Cowboy trzymał się Chevosa, jak miałem na oku Costello. Był także Zapata, ale nie wiem, co robił. Nagle spotykamy się wszyscy czterej, a tamta trójka maszeruje na łódkę Costella.

- Bardzo mądrze. Więc teraz jesteśmy z ręką w nocniku - powiedział Szkop.

- Zapata gdzieś zniknął, nie wiem, gdzie. W jednej chwili zawinął się i już go nie było.

- Pojechalibyśmy za Costellem i całą resztą - odezwał się Kile Lange - ale nie dało się wypożyczyć żadnej łodzi.

- Niesłychane - warknął Szkop. - Przygotowujecie się może do występów w „Comedy Hour”?

Do pokoju wpadł Jednouchy.

- Co z tobą? - spytał Morehead.

- Dzwonił właśnie wartownik z Breezes, tam jest dom Harry'ego Rainesa i jego żony. Mówi, że Jake Kilmer i żona Rainesa zostali zaatakowani, jak wyjeżdżali, i zapakowani pod lufą do samochodu.

- Kiedy? - ryknął Szkop.

- Jakies dwie minuty temu.

- Jake Kilmer był z Doe Raines? - upewnił się Szkop.

- Tak mówił ten wartownik. To nowy model eldorado, koloru cynamonu, był zbyt daleko, żeby rozpoznać rejestrację. Pojechali w kierunku Palm.

- Zarządziłeś blokadę dróg? - zapytał Morehead.

- Chcesz zatrzymywać każdego cadillaca w mieście? - zdziwił się Charlie.

- A jak myślisz, do diabła, ile tu jest cynamonowych eldorado?! - wrzasnął Szkop, chwycił telefon i wezwał centralę.

W drzwiach pojawił się Czerw.

- Co tu się dzieje, do cholery? - zapytał.

- Wydaje się, że Nance i jego kołesie zabrali Jake' a Kilmera i wdowę po Harrym Rainesie - poinformował Callahan.

- Nance ich porwał?

- Nie przypuszczam, żeby bawili się w berka - powiedział Lange.

- Wiemy na pewno - dodał Jednouchy - że samochód Jake'a jest tam na miejscu, ugrzązł w płocie. Wartownik sprawdził numer. Jedzie tam wóz patrolowy, żeby się upewnić, czy to nie jakaś podpucha.

- Nawiasem mówiąc, zdaje się, że nikt w tej chwili nie śledzi żadnego z tych sukinsynów? - zapytał Czerw.

- Chino i Salvatore są ciągle gdzieś w trasie. Wezwać ich? - odezwał się Charlie.

- Dobra. - Szkop z trzaskiem odłożył słuchawkę. - Będzie sporo wkurwionych właścicieli cadillaców, ale może uda się ich przydybać zanim będzie za późno.

Pięć minut później zgłosił się Zapata. Czerw porwał słuchawkę telefonu.

- Chino, tu Czerw. Gdzie jesteś, do cholery?

- Przed jednym z lokali striptizowych na Front Street - odparł tamten.

- Co tam robisz?

- Śledzę Silo Murphy'ego, tego, którego nazywają Wydrą.

- Widzisz w tej chwili Murphy'ego? - zapytał Czerw.

- Tak. Nie zabrał się na wycieczkę łodzią, więc poszedłem za nim. Salvatore stara się namierzyć tego skurwiela Nance'a.

- Jadę do ciebie! - krzyknął Czerw. - Jeśli wcześniej wyjdzie, wal za

nim i będziemy się komunikować przez centralę. Jaki jest twój numer?

- Siedemdziesiąt trzy. Co tam się wyrabia?

- Będę za dziesięć minut. Wtedy ci powiem. - Czerw rzucił słuchawkę i skoczył ku drzwiom.

W pokoju Szkopa zebrali się pozostali członkowie SOS.

- Może helikopter drogówki? - zaproponował Cowboy Lewis. - Może uda się namierzyć jacht Costella?

- Dobry pomysł - zgodził się Szkop. - Co mamy w tej chwili?

- Salvatore i Zapata krążą po mieście - powiedział Jednouchy. - Mufalatta ma na oku tych kilku z gangu Gravesa, więcej ich nie zostało. Reszta nas jest tutaj.

- Gdzie zniknął Czerw? - zapytał groźnie Szkop.

- Rozmawia z Chino - odparł Jednouchy.

- Już nie - prostował Callahan. - Wypadł tak, jakby mu się slipy zapaliły.

- *Sheiss*, ciekawe, co się jeszcze zdarzy! - wykrzyknął Morehead.

Ocknąłem się, mając uszy pełne trąbienia słoni i gorzko-słony smak krwi w ustach. Leżałem rozciągnięty na całkiem wygodnej sofie, przy mnie siedziała Doe i przykładła mi zmoczony ręcznik do obolałej głowy.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła cicho, kiedy otworzyłem oczy.

- A z tobą w porządku? - zapytałem.

- Tak, zupełnie. To ciebie ogłuszyli.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem na pewno. Zawiązali mi oczy - powiedziała. - Ale chyba jesteśmy w pobliżu wody, czuję jej zapach.

Mój nos nie dostarczał żadnych informacji, podobnie jak połowa pozostałych zmysłów. Nie poczułbym nawet zapachu własnych palących się włosów.

- Jak długo wieźli nas tutaj?
- Dwadzieścia minut, może trzydzieści. Nigdy nie miałam poczucia czasu, a dzisiaj jestem bez zegarka.
- Mój Boże; a czy długo leżałem bez przytomności?
- Jeszcze dziesięć minut.
- Musieli mnie zdzielić jakimś drągiem.
- To była mała czarna pałka, którą jeden z nich miał przytroczoną do przegubu.
- Pocziwe, staroświeckie narzędzie - powiedziałem. - Takie jak ja sam.

Usiadłem powolutku, żeby głowa nie rozleciała mi się na kawałki, spuściłem nogi na podłogę i przez chwilę siedziałem bez ruchu, powstrzymując mdłości. Wreszcie żołądek się uspokoił. Pokój był mały i czysty; przypominał gabinet lekarski, z porozrzucanymi wszędzie czasopismami medycznymi i numerami „National Geographic” sprzed czterech lat. Jedyne źródło światła stanowiła mała stołowa lampka w kształcie drewnianej kotwicy, z napisem „Saint Augustine, Floryda 1981”. Były dwa okna, szczelnie zasłonięte, a z rogu pokoju, spod sufitu, spoglądała na nas kamera telewizyjna.

Postanowiłem sprawdzić, czy będę mógł wstać, co spowodowało ruch na zewnątrz. Drzwi otworzyły się, a po sylwetce odgadłem, że jest to Nance. Światło z sąsiedniego pokoju padło mu na twarz i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak ciężko go pobiliem. Z zapuchniętych oczu pozostały tylko szparki, oba policzki miał pokaleczone i posinia-czone, rozdarty kącik ust nabrzmiał do wielkości kurzego jaja. Od warg aż pod oko ciągnęła się niebieskoszara bruzda. Ujrzawszy tę ruinę face-ta, poczułem się odrobinę lepiej.

- Czolem, Nance - powiedziałem. - Miałeś gówniany dzień, co?

Wydał z siebie skowyt i zrobił ruch w mym kierunku, ale z tyłu schwyciła go za ramię kosmata ręka. Na progu pokoju stał za nim Arthur Pravano, którego koledzy nazywali Kochasiem.

- Daj spokój, nie rozrabiaj - mruknął do Nance'a. Oparty o framugę przyglądał mi się uważnie.



- No, no, no - odezwałem się - klatka zaczyna się zapelniać.
- Straszego strugasza chojraka jak na faceta, który ma jaja w imadle - warknął Nance.
- Wyjdź stąd - powiedział Pravano.
- Nance zawahał się na chwilę, a potem zniknął w drugim pomieszczeniu.
- Powinniście z nim coś zrobić - poradziłem. - Na przykład załatwić mu na Gwiazdkę transplantację mózgu.
- Straszny z ciebie pyskacz, fedziu - pokiwał głową Kochaś. - Nie zostało ci więcej czasu niż kostce lodu na patelni.
- Tobie też - odparłem, choć pożałowałem tego w tej samej chwili. Siedzieli w tym gównie po uszy. Morderstwo, porwanie, podpalenie - wszystkiego można było dowieść, bez względu na to, czy uda się złamać Cohena, Donleavy'ego czy Seaborna i rozgryźć ich piramidy. Dobrze wiedzieli, że zawisnąć można tylko raz, zatem jedno czy dwa morderstwa więcej niewiele już zmieniały. Nie było się co stawiać; miałem nadzieję, że Doe nie połapie się w naszej sytuacji.
- To co my tutaj robimy? - zapytałem.
- Naukowy eksperyment - powiedział Pravano. - Chcemy sprawdzić, ile trzeba czasu, żeby fedzio zlał się w portki.
- Nie przy damach, chłopie - zachnąłem się.
- I tak ma parszywy gust - warknął.
- Twoja narzeczona też by nie wygrała na konkursie - odciąłem się. Puścił to mimo uszu.
- Skończ z tymi dowcipami. Nie próbuj żadnych popisów, żeby za imponować damie, jak to zrobiłeś z Turkem w Breezes. Nie zbliżaj się do okien. Żadnych rozrób, demolowania mebli, podpalania czegoś, nic z tych rzeczy, kapujesz? Są tutaj ludzie, którzy mają tego dopilnować. - Wskazał kciukiem na kamerę.
- A jak zaczniesz się stawiać, wpuszczę tutaj Nance'a, żeby odstrześlił ci jaja, jeśli w ogóle je masz.
- Wyszedł.
- Kto to był?! - krzyknęła Doe.

- Jeden z Siedmiu Krasnali - odparłem i spróbowałem zachichotać, ale zabrzmiało to raczej jak pieśń pogrzebowa.

Kiedy pojawił się Czerw, Zapata siedział bokiem na swoim motocyklu, ćmił fatimę i spoglądał na przejeżdżające samochody.

- Siedzi tam naprzeciwko, pije whisky i gapi się panienkom między nogi - powiedział Meksykanin. - Co się dzieje, do cholery?

- Costello i jego zgraja wykiwali chłopaków. Zrobili sobie wycieczkę jachtem.

- Wiem. Łaziłem za tym Wydrą, bo, wiesz, mówili, że oni jakoś trzymają ze sobą, jeśli ten zboczeniec ma w ogóle jakichś przyjaciół. Nie polazł z nimi na jacht, więc pomyślałem, że może chce się spotkać z Nance'em. No i przylaźł tutaj. I o to ten cały szum, o tę wycieczkę?

- Szkop chciałby pogadać z Wydrą - powiedział Czerw. - Wejźmy do środka i zobaczymy, czy dałoby się go stamtąd wyciągnąć bez awantur.

Dziewczyna na scenie miała nogi aż do nieba. Oprócz nóg miała jeszcze purpurowe włosy, przez środek których biegło białe pasmo. Punkowa striptizerka równie seksowna jak śnięta flądra. Wydra Murphy siedział przy barze, tak blisko miejsca akcji, jak mógł, nie narażając się nato, że jego nos ugrzęźnie w jej podwiązках. Z pary zdezelowanych głośników płynęły rżące dźwięki *Night Life*, podczas gdy artystka odpinała stanik, z którego wypłynęły znużone piersi. Przez lokal mogłaby przemaszerować cała armia pruska, a Wydra nawet by tego nie zauważył. Dla niego istniała w tej chwili tylko Purpurowa Ludożerka.

- Chcesz tak po prostu go zgarnąć? - zapytał Chino.

- Szkopowi zależało na tym, żeby obyło się bez szumu - powiedział Czerw.

- To co robimy?

Siedli przy maciupeńkim stoliku w pobliżu drzwi. Ludożerka wymierzyła ze stanika jak z procy w twarz Murphy'ego. Włożył do szklanki

pięciodolarówkę, w odpowiedzi naco uklęka naprzeciw niego, odciągnęła podwiązkę aż do samego baru i puściła. Rozogniony Wydra wełknął za podwiązkę dwadzieścia dolców. Występ zakończyła uwiedzeniem wymyślanego ogiera, jęcząc z rozkoszy i głośno wykrzykując miłosne polecenia do niewidocznego zwierzęcia. Murphy aż pomrukiwał z podniecenia. Jedna z dziewczyn odsunęła krzesło od stolika i powoli na nie opadła. Szwy na jej pończochach wyglądały jak czarne żyły. Ta miała włosy pomarańczowe, bez żadnego pasma pośrodku. Przebiegła palcami po rondzie kapelusza Czerwia.

- Uwielbiam go - powiedziała. - Nikt jeszcze takiego nie nosił.

- To mojego dziadka - oznajmił Czerw. - Nie chciałabyś zarobić dwudziestki?

- Nie wolno nam - odparła skromnie. - Możemy tylko pić drinki z klientami.

- Nawet tego nie będziesz musiała robić - zapewnił ją Czerw. - Widzisz tego faceta przy barze, tego, co się tak spocił?

- Mówisz o tym, co wygląda jak opos?

- No właśnie. Widzisz, sprawa polega na tym, że mamy klub kręglarski i został właśnie przyjęty, ale jeszcze tego nie wie.

- Gracie w kręgle? - zapytała głosem rozgrymaszonego dzieciaka.

- Tak. Ale wiesz, chcemy wykręcić mu numer. Złapiemy go i zawieziemy do mnie na łódkę. Reszta chłopaków już tam czeka i dopiero wtedy mu powiemy, że jest w klubie.

- To rzeczywiście zabawne - powiedziała i ziewnęła.

- Chodzi nam tylko o to, żebyś go wyciągnęła do wyjścia na Jackson Street. Nic więcej. Tam my się już nim zajmujemy.

- Ale to nie jest żadne porwanie ani nic takiego? - zapytała podejrzliwie. - Żebym czasem nie wylądowała w pudle za jakiś dowiecipy...

- Przyjrzyj mu się - powiedział Zapata. - Tego kolesia nie porwała-by nawet własna matka.

- Ale jak mam go wyciągnąć? - certowała się.  
- Za dwadzieścia doliców na pewno coś wymyślisz. Jak tylko znajdzie się w drzwiach, dostajesz dwie dychy.

Myślała przez dłuższą chwilę.

- To dobry klient, dużo wydaje - powiedziała. - Szeff mógłby się na mnie wściekać.

Czerw wyjął dwudziestkę i owinał ją wokół małego palca.

- Kiedy ostatni raz szeff dał ci tyle za przejście się do drzwi?

Zerknęła na banknot, na Murphy'ego, który dochodził do siebie po występie, i znowu na banknot.

- Zobaczę, co się da zrobić - oznajmiła.

- Wyjście od Jackson Street. Dwudziestka czeka tam na mojej łapce.

- Łapce? - zachichotała. - Łapce! Jezu, nie słyszałam tego, odkąd skończyłam podstawówkę.

Czerw i Zapata wyszli; Czerw wykręcił za róg i zaparkował w pobliżu drzwi.

- Tracimy kupę czasu i pieniędzy, a można było po prostu wziąć go za dupę i wytargać na zewnątrz.

- Szkop nie chciał żadnych rozrób.

- Wiem, mówiłeś. A co teraz? Damy mu po prostu w dziób, czy jak?

Czerw wyciągnął parę kajdanek zakładanych na kciuki.

- Kiedy wyjdzie, wpadnij na niego i pchnij do mnie. Złapię go z tyłu, wykręcę łapy, założę kajdanki i wepchnę do samochodu.

- Mój motor stoi za rogiem.

- Zobaczymy się w Magazynie.

- Dobra, ale straszna robisz z tym hecę.

Czekali jakieś pięć minut. Potem zza drzwi wynurzyli się Pomarańczowa i Murphy. Był w nią wczepiony jak powój w cegłę. Zapata zderzył się z nim, dziewczyna odskoczyła, a Czerw chwycił Wydrę za łokcie, pociągnął je do tyłu i zsunąwszy po przedramionach dłonie do przegubów tamtego, wykręcił mu dłonie do środka. Napadnięty zaklął, szarpnął się do przodu, wtedy Czerw uwieził jego kciuki w malutkich

kajdankach, odwrócił go i popchnął na tylne siedzenie samochodu. Dziewczyna dostrzegła kraty na oknach.

- Cholera, jesteście gliniarzami, ty kłamco...

Czerw pokiwał jej dwudziestodolarówką tuż przed nosem. Wyrwała banknot i wepchnęła go za dekollet.

- To chyba lepsze niż robić chryję w lokalu? - powiedział Zapata, kiedy Czerw, poprawiwszy kapelusz, wsiadł do wozu i ruszył.

- Taki już jest - mruzczał do siebie Zapata, idąc w stronę motocykla.  
- Porywczuy.

- Czy to ma niby znaczyć, że porwaliście Wydrę Murphy'ego?! - wydarł się Szkop, kiedy Zapata skończył opowieść.

- Powiedział, że mamy wyciągnąć stamtąd Wydrę i przywieźć go tutaj na przesłuchanie. No i tak zrobiliśmy. Powinien już tu być. Ruszył jakieś dwie minuty wcześniej.

- Może postanowił pokazać mu urodę okolicy - odezwał się Kite Lange.

- Mógłbyś wreszcie skończyć z tymi swoimi dowcipami, Lange? - prychnął Szkop. - I bez twojej parodii Miltona'a Berle'a mam już wszystkiego po uszy. Chcę się dowiedzieć, gdzie, do jasnej cholery, jest Czerw z Murphym?

- Może ogłosić blokadę dróg dla samochodu Parvera - zaproponował usłużnie Jednouchy.

- Słuchajcie, a może byśmy aresztowali całe miasto - podsunął Callahan. - Moglibyśmy ich zagnać na stadion futbolowy i wypuszczać pojedynczo.

Szkop ukrył twarz w dłoniach.

- Co się stało, czy upał rzucił się wszystkim na mózg? - jęknął. - Powinienem był wiedzieć, gdzie mi było dobrze. Trzeba było zostać w wojsku.

## 74. CHRISTMAS CREEK

Trzydziestokonny silnik pomrukiwał miarowo za plecami Czerwia, kiedy ten wyprowadzał łódź z ujścia South River, kierując się ku zatoce. Buccaneer Point był odległy o dwie mile. Pięć mil dalej znajdowała się Jericho Island, gdzie szeroki na trzysta jardów, a długi na milę przesmyk dzielił wyspę na Big Jericho i Little Jericho. Tam właśnie kierował się Czerw.

Chmury to zasłaniały, to odsłaniały okrągłą tarczę księżyca; nocne ptaki popiskiwały cicho. Silnik warczał niestrudzenie, łódka ze zwiniętymi żaglami szybko oddalała się od lądu. Czerw podświetlił zegarek przy kompasie. Dochodziła 20.45. Powinien dotrzeć na miejsce za kwadrans. Sprawdził tabelę przypływów. Powinien być o 21.57. Ławica będzie dobra.

Wydra Murphy leżał pod ścianką kabiny, jego kciuki tkwiły nadal w kajdankach.

- Powiedziałem ci już - warknął arogancko gangster o twarzy gryzonia. - Nie wiem nic o niczym.

- Oczywiście - zgodził się Czerw.

- Zawsze mam chorobę morską, dlatego nie pojechałem z nimi jachtem. Nie rozumiesz, kurwa, po angielsku?

- Jak poczujesz mdłości, lepiej odwróć głowę - poradził Czerw. - Jeśli mi zarzygasz łódź, użyję ciebie jako ścierki, a potem wyrzucę za burtę.

- Mam cię w dupie - oznajmił Murphy, ale z nieco już mniejszą pewnością siebie.

- Wspaniale - pochwalił Czerw. - Lubię takie gadki.

- Ile razy mam ci powtarzać - obruszył się Murphy - że nie wiem o porwaniu jakiegoś fedzia ani o żonie Rainesa. Pierwszy raz o tym słyszę.

- Dokąd płynie Costello tym swoim jachtem?

- Mówiłem, do kurwy nędzy, nie wiem! Chcieli zjeść obiad i przewietrzyć się parę godzin. Bokiem nam już wychodziło, że gdzie się kto nie ruszy, wszędzie widać nochal jakiegoś gliniarza.

Przekręcił się lekko.

- Gdzie jedziemy, do cholery?

- Nad cichą wodę.

- Ty, bracie, masz zupełnie nierówno pod sufitem, dobrze o tym wiesz. Jeszcze jeden taki i byłby półgłówek.

- Odważnie sobie poczynasz jak na faceta, który się nawet nie może podrapać po nosie - powiedział Czerw.

- Słuchaj, te cholerstwa wyrrywają mi kciuki - jęknął Murphy. - Nie możesz ich chociaż poluzować? Ręce mam jak z drewna.

- Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest Kilmer i dokąd jedzie Costello. Powiesz mi, to zawracamy i jedziemy do domu.

- Kurwa mać, chłopie, ile razy mam ci...

- To już słyszałem - przerwał mu Czerw. - Zaczynasz mnie denerwować. Jeśli nie chcesz powiedzieć tego, co mnie interesuje, lepiej zamknij pysk, bo ci włożę w niego nogę.

Płynęli dalej. Jedynym dźwiękiem był ślizg łodzi i od czasu do czasu chlupot wody, kiedy dziób wrzynał się w fale. Czerw ograniczył się do świateł pozycyjnych, chociaż od czasu do czasu włączał potężny reflektor, by móc się rozejrzeć dookoła. Poza tym spoglądał tylko na kompas, zaciągał się papierosem i nie odzywał się wcale.

O 21.05 minął północny skraj Big Jericho, wykręcił i popłynął wzdłuż plaży na południe, a po minucie lub dwóch, kiedy księżyc wyłonił się spoza chmur, w jego szarawym świetle dojrzał ujście Christmas Creek. Wpłynął w nie, zgasił silnik i włączył reflektor. Omiótł światłem oba brzegi. Murphy uniósł głowę i wyjrzał ponad burtą. Wielka czapla zatrzepotała skrzydłami gdzieś w pobliżu i z hałasem wzbila się w powietrze. Przestraszony nieoczekiwanym odgłosem, Murphy skulił się i opadł na pokład.

Wtedy po raz pierwszy usłyszał te dźwięki.

Nagła kotłowanie w wodzie nieopodal łódki.

- Co to takiego? - zapytał, podnosząc się gwałtownie. - Ej, znowu. Słyszałeś?

Czerw nic nie odpowiedział.

Dźwięki nie ustawały. Coś się wokół kłębiło. Potem dało się słyszeć chłaiście i uderzenie o burtę łodzi.

- Nie słyszysz, kurwa? - zakrzakał Murphy, wpatrzony szeroko rozwartymi oczyma w krąg światła rzucany przez reflektor.

Czerw nadal milczał. Po drodze na przystań zatrzymał się w całodobowym supersamie i kupił wielki poleć wołowej łopatki. Moczyła się teraz w wiadrze stojącym u jego stóp. Wyjął ją, położył na pokładzie i zardzewiałą maczetą zrobił kilka głębokich nacięć. Z mięsa pociekła krew, spływając żłobieniami w deskach pokładu.

Rozległ się głośny plusk za sterem, a w chwilę później drugi, jeszcze głośniejszy, tuż obok dziobu. Robak trwogi szarpnął się nagle w żółd-ku Murphy'ego. Ogarnięty paniką obracał teraz głowę na każdy kolejny odgłos, ale mógł dostrzec tylko wiry na powierzchni wody.

Nagle wydawało mu się, że o dziesięć stóp od jachtu widzi szarawy trójkąt.

- Co to, co to?! - wrzasnął.

Robak zmienił się w węża. Ten podpełznął wzwyż, przesunął się przez piersi i uwiązał w gardle.

- Mała wycieczka krajoznawcza, Wydra - wyjaśnił Czerw, wyciągając z komórki z żelaznymi narzędziami żelazny bosak i wbijając go z rozmachem w kawał mięsa. Obwiązał go kilkakrotnie nylonową żyłką, którą w końcu zacisnął w pętlę. - Słyszałeś kiedyś o Christmas Creek?

- Mówiłem ci już, kurwa, że mam chorobę morską i nic nie wiem o parszywym oceanie. - W głosie Murphy'ego nie było już słyhać poprzedniej buty.

Czerw zobaczył ławicę na wprost nich. Wąski pas piachu, wznoszący się tylko stopę ponad wodą.

- No więc dobrze, jesteśmy dokładnie w połowie Christmas Creek - poinformował Czerw. - Jeden z miejscowych dziwów przyrody.

Dał się słyszeć kolejny, jeszcze bardziej gwałtowny plusk po prawej burcie i tym razem Murphy dokładnie zobaczył błyszczącą płetwę



grzbietową. Przez chwilę cięła bezgłośnie powierzchnię wody, a potem zniknęła.

- O Boże, to rekiny - wymamrotał Murphy.

- Właśnie miałem ci powiedzieć - potwierdził Czerw. - To tarlisko rekinów szarych i mako, a właśnie jest ich pora. Dlatego taki tutaj ruch. Przypuszczam, że w promieniu kilku metrów od łodzi jest tu jakieś dwieście, trzysta rekinów.

Pierwszy drapieżnik, którego Murphy zobaczył w całej okazałości, rzucił się w wodzie o trzy stopy od nich, przekreślił na bok i zanurkował w głębinę.

Był długi na pół łodzi!

- Jezus Maria - wyszeptał Murphy. Ciągle starał się trzymać fason, ale w jego oczach można było dostrzec rosnącą trwożę. Opadł na pokład i skulił się przerażony.

- Ten zakrwawiony kawał mięsa doprowadzi je do szaleństwa - oznajmił Czerw. - Tak sobie pomyślałem, że dam im spróbować, a zobaczysz dziw nad dziwy.

Murphy skulił się jeszcze bardziej.

- No chodź, popatrz sobie - powiedział Czerw.

Nachylił się, podniósł Murphy'ego i posadził, opierając o kabinę. Następnie spuścił na żyłce bosak z mięsem za burtę. Ledwie żer dotknął powierzchni, w wodzie zawrzało. Oszalali mordercy rzucili się po krwawą zdobycz. Ogony chlastały w wodę. Nad powierzchnią wszędzie dookoła widać było blade ślepie rozpalone podnieceniem i zębate paszcze ociekające krwią. Nagle wielki mako wyskoczył w górę zaatakowany przez szarego olbrzyma, który jednym szarpnięciem rozpruł mu brzuch, wyrywając zeń wielki kęs. Krew zabarwiła powierzchnię. Kilka innych rekinów rzuciło się na mako i w ciągu paru sekund rozerwało go na strzępy. Potem jeden z nich okręcił się i zaatakował łódź.

Powietrze rozdarł przeraźliwy, mrozący krew w żyłach wrzask Murphy'ego.

Szary rekin w ostatniej chwili zanurkował pod kilem łodzi. Murphy zobaczył tylko szalone ślepie i błyszczące kły.

Kilka sekund i hak był pusty. Czerw wciągnął go na pokład.

- Popatrz no, nawet hak chciały pożreć - cmoknął z podziwem.

- Po co mnie tu przywiozłeś - zapytał Murphy szeptem, jak gdyby nie chciał zakłócać spokoju drapieźnikiem.

- Powiadam ci, kiedy te sukinsyny są napalone, naprawdę tracą rozum - pokiwał głową Czerw.

Wykonał ostry zwrot, starając się podplłynąć jak najbliżej ławicy. Znał przesmyk na tyle dobrze, by wiedzieć także, że łacha jest tak podcięta, iż można do niej przybić. Schwycił za koszulę na plecach Murphy'ego i postawił go na nogi.

- Co robisz, do cholery? Zostaw mnie, puść, puu... - zawył gangster.

Łódka uderzyła o piach.

Czerw przerzucił Murphy'ego przez burtę.

Tamten z wrzaskiem wylądował na boku, przekręcił się, ciągle krzycząc, zerwał się i zanurzając nogi po kostki w piachu, pognął na środek łachy. Stał tam z rękami splecionymi na plecach i oczyma oszalałymi ze strachu wpatrywał się w płetwy okrążające malejącą wysepkę.

- Na miłość boską, co ja takiego zrobiłem. Nic, nic! Zabierz mnie stąd, Jezus, Maria, Józefie święty, błagam, zabierz mnie stąd!

Czerw przechylił się ku niemu przez reling.

- Słuchaj teraz dobrze, Wydra. Zaczyna się przypływ. Ławica tylko odrobinę wystaje ponad wodę. Za pięć, sześć minut będzie zalana. Kiedy przypływ będzie w pełni, woda sięgnie ci do pasa. Popływasz sobie?

Murphy z rozpaczą rozejrzał się dokoła. Wszędzie pełno było rekinów. Krążyły wokół wysepki, jakby już go poczuły.

- Dobra, odpręż się trochę - powiedział Czerw. - Nie musisz na nie patrzeć.

Zgasił reflektor.

- Niiieee! - zawył Murphy.

Księżyc zniknął za chmurami. Murphy'emu nogi wrosły w piasek.

Cały był teraz jedną wielką trwogą, lękał się ruszyć w którąkolwiek stronę. Wpatrzył się w ciemność, ale nic nie mógł dostrzec.

Mógł jednak słyszeć.

- Zabierz mnie stąd, błagam! - zaskowyczał. Nie pozostało już w nim nic z butnego gangstera.

- Przyływ nadchodzi. Wydra - rozległ się głos Czerwia. - Za dwie, trzy minuty będziesz miał wodę po kostki.

Pod Murphym zadygotały łydki. Z trudem łapał oddech. Przerazenie obezwładniało go. Wtedy poczuł pierwsze liźnięcie zimna; woda dotknęła podeszew butów i natychmiast zaczęła się wlewać przez dziurki sznurowadeł do wnętrza jego eleganckich trzewików.

Nagle zaczął bełkotać. Język nie nadążał za słowami. Słowa zlewały się i załamywały.

- JadądoThunderPoint! Do dooooouuuu Chhhheeevosa! Pjechli-łókaaą... źźzeby ucz... ucz... uczcić...

- Co takiego będą czcić?

- Costello nowy *capo di capi*.

- O której wracają?

- Mają wrócić do portu o dzzdz...

- Dziewiątej? Dziesiątej!

- Dziesiątej!

- Skąd o tym wiesz?

- Wtedy miałem na nich czekać. Ddddoostałem parę godzin wolnego, bo ta morska choooroba.

- Kto tam będzie?

- Wszyscy. Cała chooolernna rodzina, może tylko nie Nance. Jaa... PrzysigamnaBbboa, nie wiem, gdzie on jest. Proszę, na wszystkie świętości zaklinam, zabierz mnie stąd. Nie wiem nic więcej. Przysięgam na matkę, nie wiem zzzupełnie nic więcej. O Boże, człowieku, jija ci zzza- płacę. Czego chcesz? Chcesz sam-mochód? Mam nowiutkiego chryslera, jest twój. Proszę, błagam...

- No widzisz, Wydra, potrafisz być grzeczny. Dobrze, zacznij iść w moim kierunku.

- Nie mogę, nie w ciemności, nie rób mi...
- Idź wprost na mnie.
- Nie mogę się ruszyć!
- Ja będę mówił, a ty idź. Jeśli się nie spietrasz, spokojnie do mnie dotrzesz. Ale nie możesz się, Wydra, opierdalać, bo przyływ nie będzie na ciebie czekał. Z każdą chwilą będzie coraz głębiej...
- Idę, już idę. Mógłbyś mi poświecić, mógłbyś dać odrobinę tego cholernego światła?

Murphy niepewnie brnął noga za nogą przez piaszczystą wodę. Wydawało się, że z każdym krokiem zanurza się coraz głębiej.

- Źle idę! - wrzasnął w ciemnościach. - Woda sięga mi do łydek.
- Ostrzegałem cię, Wydra, przyływ nie czeka. Idź, dalej. Wszystko jest w porządku, tylko się nie zatrzymuj. Jeśli staniesz, za pięć minut cię opadną.

Murphy zrobił następny krok i woda zawirowała wokół kolana. Poczul mdłości. Chciał podbiec, stracił równowagę i runął twarzą w słoną wodę. Szarpał się jak szalony, usiłując podnieść się na kłęczki, ale trudno było tego dokonać z rękami skrępowanymi na plecach. Zachłyśnął się wodą, wyrwał głowę nad powierzchnię i kaszląc, rozpaczliwie łapał powietrze.

- Gdzie jesteś?! - zawył, kiedy wreszcie udało mu się przybrać pozycję kłęzącą.

Usłyszał silnik i w chwilę później zorientował się, że dźwięk się oddala.

- Eeeeeeej! - rozdarł powietrze przeraźliwy wrzask.

Odgłos motoru oddalał się coraz bardziej. Bruzdy w wodzie były coraz bliżej. Tkwił już w niej po pas.

A potem Murphy usłyszał, już po raz ostatni w swoim życiu, ludzki głos. Z dalekiej ciemności dobiegł doń śpiew Czerwia.

- Ten facet sobie śpiewa - załkał Murphy.

*Up a lazy river, by the old mill run...*

## 75. POŻEGNALNY CIOS

Upłynęła godzina, choć sądziłem, że było ich cztery czy pięć. Podgląd telewizyjny nie pozwalał na rozmowę. Pomyślałem, że pokój może być na podsłuchu. Kiedy doszedłem już trochę do siebie, postanowiłem to sprawdzić. Spojrzałem prosto w kamerę i powiedziałem: - Czy można by poprosić choćby o szklankę wody? - Nie było reakcji, więc kopnąłem w drzwi. Na mój apel odpowiedział Kochaś Pravano. Ciągle nosił jeszcze pamiątki po bijatyce w Magazynie: siniak wokół oka i czterocalową bliznę na szczęce. Milcząc, wysłuchał mojej prośby i zatrzasnął drzwi. Jednakże minutę później chłopaczek w szelkach i z paskiem, mający pod pachą pustą kaburę, przyniósł każdemu z nas dwojga po szklance wody z lodem. I znowu zostaliśmy sami.

- Jak myślisz, co oni z nami zrobią? - zapytała Doe.

- Nie wiem - odparłem zupełnie szczerze.

Następna godzina upłynęła nam na prowadzonej po cichu rozmowie. Opowiedziałem jej, kim był Tagliani, choć sama się już tego niejako domyślała. Poinformowałem ją także, że Tony Lukatis zginął podczas porwania transportu kokainy, o czym nie wiedziała, ale co nie bardzo ją chyba zaskoczyło.

- A więc wiedziałeś o Tonym? - powiedziała. - To się skończyło już bardzo dawno. Biedny Tony. Tak bardzo pragnął czegoś dokonać, robić coś ponad... - Bez powodzenia starała się znaleźć słowa na określenie kompleksu Lukatisa.

- Można to zrozumieć - stwierdziłem. - Ale źle się do tego zabrał.

- Związał się z tymi ludźmi, o których mówiłeś?

Potrząsnąłem głową.

- Chyba nie - powiedziałem, ale nie ciągnąłem już dalej tego wątku. Ciągle jeszcze nie wiedziałem, kto tak naprawdę się z nimi związał.

- Myślę, że to także stało się przeze mnie - szepnęła i rozplakała się.  
- Wszystkiemu jestem winna.

- Nie, to nieprawda - powiedziałem. - Byłaś tylko pionkiem w grze, jak zwykle bywa większość z nas.

- Między nami wszystko się skończyło, jeszcze zanim popadł w kłopoty - ciągnęła Doe. - Nie chciał się z ty m pogodzić. Ciągłe dzwonił, przysyłał kartki, zostawiał drobne prezenty. Potem spotkałam go któregoś dnia i powiedział mi, że teraz wszystko się zmieni. Nazwał to wielką stawką. Nie miałam najmniejszego pojęcia, o co może mu chodzić... - Nie dokończyła. Wielu zdań nie potrafiła dokończyć.

Potem powiedziałem jej o Samie Donleavy. W miarę jak mówiłem, kulila się coraz bardziej. Jej oczy napełniły się łzami. Twarz wydłużyła się pod wpływem wstrząsu, jak od dotknięcia nieubłaganej ręki czasu. Przygarnąłem ją do siebie i trzymałem najmocniej, jak potrafiłem, a ona lkała w moich objęciach.

Potem usłyszałem na zewnątrz jakiś duży silnik. Rozległy się okrzyki, śmiechy, sąsiedni pokój zappełnił się ludźmi. Po kilku minutach doszło nagle do gwałtownej wymiany zdań, choć nie potrafiłbym powiedzieć, kto kłócił się z kim i czego dotyczyła sprzeczka. Potem drzwi się otwały.

Światła Thunder Point Marina połyskiwały milę dalej, jak gwiazdy przysiadłe na wodach zatoki. Czerw skulił się w kokpicie i naciągnął kapelusz na oczy, by wiatr go nie zdmuchnął. Wiało silnie z południowego wschodu, naprężone żagle wybrzuszały się nad nim w ciemności. Naciągnął je tak mocno, jak potrafił, i łódź płytko zanurzona pruła naprzód. Fale przelatwały po bokach jak górski potok.

Od dziesięciu minut obserwował jacht Costella, który z otwartego morza płynął w kierunku zatoczki, a teraz zbliżał się już do przystani. Nastawił ster, usztywnił go i wyciągnął spod siedzenia nieprzemakalną torbę. Najpierw wydobyl z niej .357 i sprawdził magazynek. Potem 180, jego mały klejnot. Sprawdził tłumik i zamocował bęben na 180 pocisków, w myśli obliczając siłę ognia. Obrócił się z celownikiem

laserowym przy oku i patrzył, jak czerwona kropka podskakuje na napiętych żaglach. Następnie przyszła kolej na M-16, wiernego przyjaciela, z pełnym magazynkiem; trzydzieści strzałów. Wyjął z torby czterdziestomilimetrowy granat i umocował go w miotaczu umieszczonym pod lufą. Na koniec wyjął torbę z amunicją, gdzie znajdowały się dwa bębny do 180. sześć magazynków do szesnastki, pięć do magnum i sześć granatów.

Nie tak źle. Siedem granatów i 780 pocisków.

Policzył w duchu przeciwników: Costello, Bronicata, Chevos i jeszcze dwóch goryli na jachcie. Nance, Kochaś Pravano, jeszcze ze czterech w porcie, dwóch strażników z naładowanymi karabinami na przystani.

Trzynastu. Około sześćdziesiąt pocisków na głowę plus granaty. Bułka z masłem. Bywał już w znacznie gorszych opałach.

Wyregulował celownik na M-16 i sprawdził pokład jachtu. Byli tam: Costello, Chevos, Bronicata, Drack Moreno, wszystkie szychy oprócz Nance'a i Pravana, którzy musieli być gdzieś w środku, oraz Cohena, który najprawdopodobniej spał smacznie w domu.

Pięknie, pomyślał. Wszystko świetnie się ułożyło. Szczęśliwa rodzinka w komplecie.

Dobrze też wyszło z Cohenem. Cohen należał do Jake'a. Reszta należała do niego. Zaczął nakładać na twarz czarną pastę do butów.

Tym razem to Szkop złapał za słuchawkę. Czekał na telefon. Dzwonił Cowboy Lewis siedzący w policyjnym helikopterze.

- Mamy ich, szefie. Łajba Costella płynie właśnie do prywatnej przystani na tyłach Thunder Point Marina.

- Jesteś pewien?

- Tak, nie ma chyba drugiej takiej. W pobliżu kręci się jeszcze jakiś jachcik.

- Jak daleko jesteście?

- Może z pół mili.

- Możecie bez narażania łbów obniżyć się na tyle, żeby zobaczyć, gdzie jest zaparkowany ten cynamonowy eldorado?
- Będziemy musieli sobie poświecić.
- W porządku, ale uważajcie. Tak czy inaczej, na wszelki wypadek tam jedziemy. Mam już dość beczynnego siedzenia na dupie.
- Trzymaj się - powiedział Lewis.

Czerw zrzucił żagle i bezszelestnie wślizgnął się do przystani. Dwaj strażnicy rozmawiali oparci o jacht.

Rozejrzał się. Po lewej miał port, oddzielony od prywatnej przystani betonowym dokiem. Od nabrzeża biegła dróżka do stojącego wyżej domu.

Jakieś sto metrów, nie więcej, od przystani do budynku.

Mnóstwo drzew do osłony, trawnik schodzący tarasami do wody.

Dwie wielkie lampy na słupach na rogach przystani. Pieprzyć to, żaden problem.

Dom parterowy. W porządku. Niewiele możliwości ukrycia się. Przyjrzał się budynkowi przez noktowizor, planując atak. Od lewej do prawej mieściły się w nim kolejno: kuchnia z rozsuwanymi drzwiami prowadzącymi na taras, główny pokój, z półokrągłym sufitem; sypialnia z wielkim oknem wychodzącym na wodę i okrągłym wodnym łóżkiem pośrodku oraz na samym końcu maleńki pokój. Z początku myślał, że jest pusty, ale potem dostrzegł smużkę światła sącząca się między zasłonami. Tam powinni być. I byli. Wiedział, gdyż zobaczył Nance'a.

Policzył głowy.

Trzech w kuchni, włącznie z Bronicą.

Pięciu w salonie, włącznie z Moreno i Pravano.

Chevos, Nance i Costello w sypialni.

Jedenastu, tak jak przypuszczał. Wszystko ciągle zgodnie z planem.

Z tyłu, gdzieś znad zatoki doszedł go warkot helikoptera. Nie zwrócił



nań uwagi. Umocował ster, przerzucił przez plecy torbę z amunicją, chwycił 180 oraz M-16 i podskoczył na dziób. Przyłgął do pokładu z gotowym do strzału pistoletem maszynowym. Żaglówka miękko wpłynęła w krąg światła, który tworzyły dwie wielkie lampy.

Drzwi otwarły się i stanął w nich Costello. Wyglądał jak elegancik: białe spodnie, niebieski blezer, czerwona apaszka wokół szyi.

- Proszę, proszę - powiedziałem - sam książę Windsoru.

W tym momencie gotów byłem ruszyć sam na całą rosyjską armię.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, co Kilmer? - spytał tym swoim równym, bezbarwnym głosem prawnika.

- Tak od serca powiem ci, że ten marny balonik, jakim jesteś, bardzo się nadał.

- Nieźle się stawiasz jak na faceta, którego od pogrzebu dzieli być może minuta - pokiwał głową. - Zauważ, że powiedziałem „być może”. Tylko ja stoję między tobą a Nance'em i kulką w głowie.

Zignorowałem jego słowa.

- Coś ci odbiło, Costello. Najpierw morderstwo, teraz porwanie. Pomyliłem się co do ciebie, myślałem, że jesteś mądrzejszy od reszty tej zgrai. A ty tylko trochę lepiej się ubierasz.

Doe uczepiła się mojej dłoni jak tonąca.

- Dlaczego jej nie puścicie? - zapytałem. - To sprawa tylko między nami.

- Nie mam z tym nic wspólnego - odparł. - Ostatnich parę godzin spędziłem na wodzie. Jestem czysty.

Przyciągnął krzesło i usiadł naprzeciw nas.

- Kamera jest wyłączona - oznajmił - więc możemy rozmawiać szczerze. Po pierwsze, ty i Nance macie ze sobą na pieńku od lat. Nie odpowiadam za to, co robi. Zresztą, jak na niego spojrzeć, widać, że mógłbyś odpowiadać za nieuzasadnioną brutalność.

- A co zwiniała ona? Trzymała mi tylko płaszcz, kiedy załatwiałem sprawę z Nance'em.

- Muszę przyznać, że ktoś popełnił błąd, przywoząc was oboje, ale razem może jakoś rozwiążemy ten problem.

- Cieszę się, że tak pan to widzi - powiedziałem. - Jak tylko załatwi pan nam jakąś bryczkę, będziemy się zbierać.

- Nie tak szybko.

- Costello, cienki lód pod tobą. Nie jesteś może winien porwania, ale przetrzymywanie nas wbrew naszej woli oznacza współuczestnictwo.

- Prowadzę tylko negocjacje - stwierdził i rozłożył ręce z uśmiechem. - Tak żeby wszyscy byli zadowoleni.

- Tego się nie da zrobić.

- Ciągłe blefujesz, Kilmer. To, co możesz przedstawić w sądzie, zmieściłoby się na znaczku pocztowym i ty o tym wiesz.

- Aresztowałem Donleavy'ego za morderstwo pierwszego stopnia. Seaborna i jego bank mam na widelcu. Zanim śledztwo się skończy, będą śpiewali jak Pavarotti.

- Nie mam z nimi nic wspólnego - wzruszył ramieniem Costello. - Powiedzieliśmy sobie parę razy „Dzień dobry”, to wszystko.

- Ach, rozumiem. Ta gra nazywa się Wszyscy Chronimy Dupę Costella, tak? Dobra, oto moje warunki. Wydasz nam Nance'a za morderstwo i porwanie, Cohena i jego księgi za naruszenie przepisów OPOP, Chevosa za przemyt i współudział w morderstwie, sam zaś złóżysz uczciwe i szczegółowe zeznania przed FBI. Zobaczę, co się da zrobić; może uda ci się wykręcić wyrokiem od piątki do dziesiątki.

- Marzyciel - powiedział ze śmiechem. Śmiał się po raz ostatni w życiu.

Śmigłowiec był coraz bliżej.

Chłup, chłup, chłup...

Kurczę, pomyślał, jak za dawnych dobrych czasów.

Strażnicy usłyszeli łódkę dopiero w chwili, kiedy stuknęła o pomost. Był gotów.

- Co jest, do diabła? - powiedział jeden z nich; obaj się odwrócili.

Czerwona laserowa kropka zatrzymała się na sercu pierwszego. Pi-stolet maszynowy miał ciągle przewieszony przez plecy.

Brrdddttt.

Runął, jakby nastąpił na niego słoń. Drugi zaczął się trząść. Nie miał czasu krzyknąć, rzucił się ku drzewom. Czerw wymierzył dwadzieścia metrów przed niego i puścił serię. Kule zapłakały na kamieniach dróżki i rozszarpały nogi biegnącego. Runął na twarz. Druga seria uspokoiła go na zawsze.

Wyskoczył na brzeg i pobiegł w kierunku domku. W przelocie ze-strzelił obie lampy. Warkot helikoptera był coraz głośniejszy, ale Czerw nie potrzebował żadnego wsparcia z powietrza. To było jak kromka chleba z masłem. Kromka pieprzonego chleba.

Padł na trawę za drzewami o dwadzieścia jardów od drzwi, podniósł M-16 i raz jeszcze sprawdził kuchnię oraz sypialnię. Bronicata, nachylony nad ogromnym garem, próbował czegoś z łyżki. Tamci dwaj stali tuż koło niego.

Piątka nadal gawędziła w salonie. Żadnych kobiet, dzięki Bogu.

Przekreślił M-16 i wymierzył granat w środek dużego pokoju.

Wszystko stało się bardzo szybko. Chevós otworzył drzwi i powiedział:

- Od zatoki nadlatuje jakiś helikopter, leci dość nisko.

- Pewnie jakiś biznesmen wraca do domu na kolację - odparł obojętnie Costello.

Przez drzwi zobaczyłem sypialnię. Nance siedział na okrągłym łóżku wodnym i zjadał lody. Dalej był duży, wysoko sklepiony pokój, w którym tłoczyło się kilku gangsterów, a jeszcze dalej kuchnia. Bronicata coś pichcił. Miła domowa atmosfera. Męski wieczór.

Nagle salon rozjaśnił się jasnopomarańczowym blaskiem, a w chwili później eksplozja rozniosła go na kawałki.

Wszystko, co nastąpiło potem, pamiętam jak serię fotografii.

Kochaś Pravano wzniósł się na cztery stopy w powietrze i już bez twarzy poleciał na ścianę.

Inny z bandytów wyleciał przez tylne okno głową w przód, jak gdyby odbił się od trampoliny.

Jeszcze inny padł na kolana na środku pokoju, chwytając za krwawą masę, która jeszcze chwilę temu była jego piersią i ze słowem „mamo” zwałił się na twarz.

Kawałki i kawałeczki mebli uniosły się jak kurz.

Eksplozja niemal wrzuciła Bronicatę do rondla.

Cisnęła Chevosa do naszego pokoiku.

Schwyciłem Doe, okręciłem ją, pociągnąłem na podłogę i przykryłem sobą.

Także Costello leżał na podłodze, zwalony wybuchem z krzesła.

Teraz zaterkotał M-16.

Bronicata wspiał się na palce i wykonał śmiertelny piruet w rytmie, który na garnkach i garnuszkach wystukiwały kule, a potem padł na rozgrzany piec, jakby go chciał objąć. Dwaj jego towarzysze powoli osuwali się pod ścianą. W sypialni skowyczał Nance, skulony na klęczkach za łóżkiem.

Chevos, któremu okulary zwisały z jednego ucha, klęczał z rewolwerem .32 w dłoni i syczał jak wąż.

Costello przekręcił się i potrząsnął głową.

Czuć było ostry zapach prochu. Nance zwrócił ku mnie twarz wykrzywioną nienawiścią, w rękę ścisnął lugera.

Poderwałem Doe na nogi i popchnąłem w kąt pokoju, jak najdalej od drzwi.

Huknął luger; kula przebiwszy moje ramię, utkwiała w ścianie. Strąciłem Chevosowi okulary i wykręciłem rękę, kierując broń w bok i ku dołowi.

M-16 znowu zajazgotał i łóżko się rozleciało, strugi wody trysnęły w górę. Nance padł twarzą do podłogi, obrzucony jego szczątkami.

Costello wyciągnął .38, skoczył w kąt i chwycił Doe. Wyrwałem

Chevosowi rewolwer, odepchnąłem go, rzuciłem się i złapawszy Costella za marynarkę, cisnąłem go na przeciwległą ścianę. To go nie powstrzymało. Z wykrzywionymi we wściekłym grymasie ustami uniósł broń. Strzeliłem mu dwa razy w pierś. Odbił się od ściany i padł na kolana, a rewolwer wysunął się z jego dłoni. Oparty na rękach wpatrywał się tępo w mój pas; potem usta mu się rozwarły i tak już zastygły.

Okno za mną rozleciało się z brzękiem, zasłony poleciały na podłogę i nie dalej jak o cal od ucha usłyszałem pomruk dentystrycznego wiertła.

Brrddttt.

To tyle, jeśli chodzi o Chevosa.

Wepchnąłem chusteczkę pod kurtkę. Rana piekła jak wściekła.

Poczułem migdałowy zapach arszeniku. Przez okno z gracją tancerza wskoczył Czerw, z pistoletem maszynowym 180 w jednej dłoni, M-16 w drugiej. Przytknął palec do ust i wskazał na pokój, w którym znajdował się Nance.

Usłyszeliśmy zgrzyt szkła pod stopami i pękającą szybę. Czerw chwycił 180 pod pachę, wyciągnął zza pasa rewolwer .357 i rzucił w moim kierunku. Potem wpadł do sypialni, znowu trzymając 180 w dłoni.

- Ucieka nad wodę! - krzyknął i przez parapet skoczył do ogrodu. - Zostań z dziewczyną. On jest mój.

Gruchnął strzał, odłupując drzazgi z parapetu. Czerw zgarbił się i krótkimi skokami zaczął przesuwac się bezgłośnie między drzewami.

Wróciłem do pokoiku. Doe stała odwrócona do ściany z twarzą ukrytą w dłoniach. Wyprowadziłem ją na bezpieczną stronę.

- Zostań tutaj i nie ruszaj się - powiedziałem. - Tu będziesz bezpieczna. Ja sprawdzę resztę domu.

Skinęła głową, choć jej oczy mówiły, że nie chce zostawać sama.

Wróciłem do środka.

Doliczyłem się dziesięciu ciał. Nikt nie przeżył. Bomba - czy cokolwiek to było - oraz dopełniający dzieła zniszczenia M-16 zabiły sześciu gangsterów w salonie i trzech w kuchni.

Na zewnątrz usłyszałem wystrzał. A potem ściszony terkot M-16.

Sprawdziłem rewolwer i pół biegnąc, pół kulejąc, wypadłem przez tylne drzwi. Kolejna seria od strony wody.

Ruszyłem w tamtym kierunku.

Nance był na przystani i właśnie wdrapywał się na jacht. Usłyszałem westchnięcie granatnika i tył łodzi nagle wybuchnął. Nance został zdmuchnięty na pomost. Wielki luksusowy jacht stanął w płomieniach. Zobaczyłem, że Nance wskazuje na żaglówkę na końcu przystani: spuszczone żagle powiewały na bomie.

Czerw przycałił się przy dziobie. Bezszelestnie zniknął po drugiej stronie łodzi i zniemacka wskoczył na pokład.

Jego pistolet zaterkotał.

Trzy strzały chybiły, ale potem Nance rozpoczął taniec. Wspiął się na palce i okręcił, wstrząsając ciałem jakby pod ukąszeniami insektów. Wyrzucił ręce ponad głowę i runął na pokład jak kawał mięsa. Jedna z jego stóp parę razy drgnęła i zamarła.

Chwyciłem M-16 i wbiegłem na pomost. Czerw kroczył niezdarnie w kierunku steru, gdzie leżał Nance.

- Czerw! - krzyknąłem.

Odwrócił się i przykląkł, potem nagle jego ramiona uniosły się w górę i zwałił się na pokład.

Wskoczyłem na żaglówkę i pobiegłem ku miejscu, gdzie leżał. Byłem już nie dalej jak dziesięć stóp od niego, kiedy okręcił się i unióś 180. Przeleciało mi przez głowę, że strzeli do mnie, i na moment zamarłem. Przeniósł lufę na lewo ode mnie i oddał trzy serie, żłobiąc w maszcie równe linie. Posypały się kawałki drewna, a za nimi białe kryształki. Wypełniały otwory po kulach, połyskiwały jak płatki śniegu i porywane przez podmuchy wiatru rozwiewały się w ciemnościach nad zatoką. Czerw westchnął, a jego głowa uderzyła o deski.

Pochyliłem się; jego oczy zaczynały gasnąć. Raz jeszcze błysnął ten jego szaleńczy uśmiech.

- No i co... niezła była... balanga - powiedział dziwnym, znużonym, dalekim głosem. - Choć się kończy... co, Jake?

- Tak, niezła była balanga.

Jego usta poruszyły się, ale nie wymówił nawet słowa.

- To była twoja robota, prawda? Załatwiłeś całą bandę Taglianiego?  
- powiedziałem.

Nie odpowiedział. Wyszeptał tylko: - Spal... łódź, dobra?

Mrugnął do mnie, westchnął i było po wszystkim.

Obok domku Chevosa rozbrzmiewały syreny, a między drzewami połyskiwały czerwone i niebieskie światełka. Dobiały mnie okrzyki i trzaskanie drzewiczek.

Przewróciłem ciało Nance'a. Kilkanaście kul rozerwało mu pierś. Nigdy już nie będzie zanurzał naboju w arseniku. Na jego twarzy zakrzepł strach jak maska człowieka, który umierał w przerażeniu. Jeden z tych, którym nie zdążyłem odplacić.

Obejrzałem maszt. Był na zawiasach, co umożliwiała opuszczanie go do napraw i przy przechodzeniu pod niskimi mostami. Zbadałem go dokładnie, podniosłem pistolet i zacząłem siekać maszt seriami. Zacząłem od podstawy, a kiedy naboje rwały na drzazgi brzoźowe drewno, sypały się z niego błyszczące białe kryształki, które wiatr porywał natychmiast i rozrzucał, połyskujące jaskrawo po wodzie. Opróżniłem cały magazynek, proszek został uwolniony. Siadłem koło Czerwia i patrzyłem, jak kokaina wartości dwudziestu czterech milionów dolarów tańczy na wietrze i roztopia się w morzu. Trwało to chwilę.

Przetoczyłem ciało Nance'a przez burtę i patrzyłem jak tonie. Potem wyniosłem Czerwia na pomost i odpaliłem granat w silnik jego łódki. Tył eksplodował i natychmiast stanął w płomieniach. M-16 i american 180 cisnąłem najdalej, jak potrafiłem, w wodę. Potem wspiąłem się dróżką na wzgórze, by sprawdzić, co tam się dzieje.

## 76. WOTUM ZAUFANIA

Biały budynek był teraz oświetlony przez reflektory śmigłowca, który zawisł kilka stóp nad dachem. Zobaczyłem mnóstwo czerwonych i niebieskich światełek, co się stało już żelaznym elementem widowiska wszędzie, gdzie pojawiała się SOS.

W jednym z pokoi dostrzegłem pełzające niewielkie płomienie; dobiegał stamtąd gardłowy dźwięk gaśnicy. Wszędzie pełno było dymu i potłuczonego szkła. Mijając okno kuchenne, rzuciłem okiem do wnętrza i zobaczyłem na przestrzał wszystkie pięć pomieszczeń. Nie zatrzymałem się, żeby policzyć ciała, znałem już wynik.

Helikopter oddalił się od budynku i osiadł na skraju parkingu, wzbijając chmurę potłuczonego szkła i kurzu. Z wnętrza wyskoczył Cowboy Lewis i czmychnął spod wirującego śmigła.

Doe znalazłem na tyłach domu; stała w towarzystwie Szkopa. Oczywiście miała pełne przerażenia i nieustannie drżała. Z pewnością była w tym samym stopniu przerażona, co oszołomiona nagłą eksplozją zdarzeń. Podszedłem wprost do niej, a ona rzuciła się naprzeciw i przywarła do mnie, przyciskając nos do mej piersi jak zalękniony szczeniak.

- Co tu się, u diabła, stało? - zapytał Szkop. Jego głos zabrzmiał tak, jakby i on znajdował się w stanie szoku. Wokół nas zaczęła się gromadzić reszta grupy. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy widzę wszystkich zabijaków na raz. Prócz jednego.

- Nance porwał mnie i panią Raines sprzed jej domu - odrzekłem - a Czerw zaatakował to miejsce i uwolnił nas. To wszystko.

Popatrzyłem w dół stoku.

- Ktoś musi tam pójść - powiedziałem ledwie dosłyszalnym głosem.

- Leży tam Czerw.

- Nie żyje? - zapytał Salvatore.

- Tak - kiwnąłem głową.

- O kurwa - powiedział Cowboy Lewis. - O kurwa!

Ruszył ku pomostowi, chociaż Szkop usiłował go powstrzymać:



- Cowboy, ambulans jest już w drodze.
- Sam go przyniosę. Do diabła z ambulansem.
- Idę z tobą - powiedział Jednouchy.

Callahan rozglądał się zdumiony po pobojuwisku, za nim posuwał się Kite Lange z gaśnicą.

- Wszyscy zabici - oznajmił Kite z niedowierzaniem. - Wszyscy co do jednego. Naliczyłem dziesięciu. Tego jeszcze nie było.

- Dlaczego, do cholery, was porwali? - zagadnął Salvatore.

- Costello chciał dobić targu. Miał nadzieję, że w zamian za Nance'a i Chevosa oraz dwóch durniów - Sama Donleavy'ego i Charlesa Seaborna - uda mu się wykręcić od kary.

- A gdybyś się nie zgodził?

- Zabiliby nas.

Szkop zmrużył oczy i przyjrzał mi się podejrzliwie.

- Powtórz to jeszcze raz.

Zaserwowałem mu kolejne kłamstwo. Nabrałem już w tym niezłej wprawy.

- Scenariusz jest mniej więcej taki: Nance i Chevosi chcieli zawrzeć pakt z Bronicą oraz Cohenem, usunąć resztę rodziny i przejąć władzę nad miastem. Nance był wykonawcą. Nie znam powodów, ale co to w końcu ma za znaczenie? Nie został nikt, kto mógłby zaprzeczyć. Coś ci się w tym nie podoba?

Szkop zgarbił się nieco i wpatrzył w swoje stopy.

- Co z Nance'em? - zapytał Mufalatta.

- Pływa w zatoce - odparłem. - Ostatni wyczyn Czerwia.

- Mamy jakąś broń? - spytał Szkop.

- Wszystko utonęło w zatoce - odrzekłem.

Popatrzyli po sobie, na Szkopę i znowu na mnie.

- A co z koką? - zainteresował się Zapata.

- W maszynie żagłówki, która tam się dopala. Teraz jest albo w wodzie, albo się zwęgliła.

Spojrzałem kolejno na każdego z zabijaków, czekając na reakcję. Odezwał się tylko Szkop.

- To nie przejdzie - mruknął. - Za dużo dziur.

- Pieprzyć dziury - powiedział Salvatore.

- Przejdzie - zapewnilem.

- Co z Titanem? Z Chiefem?

- Zajmę się tym.

- Niezła historyjka - pokręcił głową Morehead.

- Masz lepszą? - zapytałem.

Z dołu nadchodził Cowboy, niosąc na plecach Czerwia. Ułożył go na trawie z dala od budynku i zaczął zdejmować kurtkę.

- Nie rób tego - zaprotestowałem. - Nie przykrywaj go.

Zawahał się przez chwilę i kiwnął głową: - Jak uważasz.

- Czy ktoś widzi jakiś problem w związku z naszą historyjką? - zapytałem.

- Jaką historyjką? - odezwał się Cowboy. - Nie było mnie.

Powtórzyłem wszystko Cowboyowi i Jednouchemu Charliemu, który uniósł wysoko brwi i skwitował wszystko krzywym uśmiechem.

Odpowiedział jednak natychmiast:

- Nie widzę żadnych problemów.

Jeden po drugim przytaknęli. Żadnych problemów.

- Muszę zawieźć panią Raines do domu - oznajmiłem. - Jest jakiś wóz, z którego mógłbym skorzystać?

Mogłem przebierać jak w ulęgalkach. Zdecydowałem się na sedana Moreheada. Tylko co do tego mogłem mieć pewność, że jest czysty.

Kiedy ruszyliśmy w stronę wozu Szkopa, odezwał się Szczeniak Mufalatta:

- Ej, Kilmer? Odwróciłem się.

- Co takiego?

- Potrzebny nam będzie ktoś na miejsce Czerwia. Zastanów się nad tym.

- Dzięki. Pomyślę - powiedziałem. I po raz pierwszy od kilku godzin uśmiechnąłem się.

## 77. POWRÓT DO WINDSONG

Kiedy podjeżdżaliśmy alejką pod Windsong, zobaczyłem zaparkowaną w pobliżu czarną limuzynę Titana. Luke Burger, człowiek szeryfa, stał oparty o maskę. Nie spuszczał ze mnie wzroku od chwili, kiedy wysiadłem z auta pożyczonego od Szkopa.

Ruszyłem w kierunku domu i usłyszałem:

- Jedną chwileczkę. Muszę cię obszukać.

- Wybij to sobie z głowy - warknąłem, nie patrząc na niego i nie zwalniając kroku. Jak na jedną noc dość już miałem ostrych pogwarek i twardych facetów. Otoczyłem Doe ramieniem i przez wielki trawnik poprowadziłem na ganek i frontowe schody. Warren, kamerdyner, otworzył drzwi, zanim dotknąłem klamki, zupełnie jakby w jego głowie zadźwięczał niesłyszalny dzwonek. Postarzał się i posiwiiał, a reumatyzm spowolnił jego ruchy, był jednak sztywny i akuratywny jak zawsze.

- Dzień dobry panu - powiedział z uśmiechem, jak gdyby to było dwadzieścia lat temu, a ja wpadłem właśnie na kolację. Potem przyjrzał nam się uważniej i dodał: - Mój Boże, czy wszystko jest w porządku?

- Tak, tak - uspokoilem go, kiedy wchodziliśmy do wielkiego hallu. Obawiałem się dawniej powrotu do tego domu z jego duchami, żyjącymi tu od wieków. Ale teraz zaprzętało mnie zbyt wiele innych rzeczy i pozostała tylko ciekawość. Myślałem, że czas zniekształci mój obraz tego miejsca, ale czekało mnie niewiele niespodzianek. Miałem wrażenie, że żaden obraz, żadna waza, żaden mebel nie zmieniły miejsca przez dwa dziesięciolecia. Było to jak muzeum, chroniące przeszłość dla przyszłych generacji Findleyów, które nie będą się już troszczyć o nazwisko, wygasłe wraz z Teddym. Warren poprowadził nas przez hall z jego bliźniaczymi spiralnymi schodami do salonu dostatecznie dużego, by pomieścić konwencję partyjną.

Chief i Titan czekali na nas. W pokoju zastygła atmosfera nostalgii, pełno tu było antyków i porozstawianych wszędzie fotografii wszelkich

kształtów i rozmiarów, a na nich roześmiani Doe i Teddy jako dzieciaki, nastolatki, studenci i dorośli, gdyby można przyjąć, że kiedykolwiek stali się naprawdę dorosłymi.

Starzec spojrział ze swojego fotela na kółkach i kiedy zobaczył wchodzącą Doe, na jego twarzy pojawił się wyraz niemal ekstatycznej ulgi. Wyciągnął ręce, a ona rzuciła mu się w ramiona, jak po powrocie z długiej podróży. Titan stał przy kominku, paląc krótkie, grube cygaro, które trzymał między dwoma palcami jak papierosa. W całym pokoju dał się odczuć powiew odprężenia, zupełnie jakby przez okna wpadł podmuch ciepłego wiatru.

Pierwszy odezwał się Chief. Spojrzął na mnie ponad ramieniem Doe.

- Dziękuję - wyszeptał. - Jesteś dzielnym człowiekiem.

- Czy ja wiem - odparłem. - To moja głupota wpakowała nas w kłopoty.

- Jesteśmy, tato - powiedziała Doe. - Tylko to się liczy.

- Urządźmy cię, chłopcze - oznajmił Chief, obejmując Doe tak, jakby się obawiał, że nagła powódź może mu ją zabrać.

- Nie ma w tym żadnej mojej zasługi - sprostowałem. - To Czerw wyciągnął nas z tego.

- Czerw? - upewnił się Chief.

Obaj z Titanem usiłowali ukryć zaskoczenie, ale nie bardzo im to wyszło.

- Gliniarz. Pewnie lepiej go znacie jako Michaela Parvera - oświadczyłem.

- Co się tam stało, chłoptasiu? - nagabnął mnie Titan. - Przez ostatnie dwie godziny niewiele można się było dowiedzieć przez radio.

- Byliśmy zbyt zajęci, żeby troszczyć się o informację - odparłem szorstko.

Pokrótkie opowiedziałem im, co się wydarzyło, od momentu kiedyśmy opuścili Breeze do końca batalii.

- Costello, Bronicata, Chevos i Turke Nance: wszyscy, plus ich dziewięciu rewolwerowców, nie żyją - powiedziałem.

- Mój Boże - szepnęła Chief, przygarniając Doe jeszcze mocniej.  
- Czterej z nich są odpowiedzialni za morderstwa w rodzinie Taglianich - kontynuowałem. - Zdaje mi się, że większość zabójstw była dziełem Nance'a, choć nie jesteśmy tego do końca pewni.

Titan wzdrygnął się, jakby go ukąsiła pszczoła, i powiedział:

- Niech mnie cholera.

- Wszystko przejdzie, gdyż to nie była robota Parvera - oświadczyłem z naciskiem. - Znalazł się tam, by ocalić mnie i Doe.

Titan wpatrzył się we mnie. Upłynęła długa minuta, zanim zapytał:

- Co to ma znaczyć „wszystko przejdzie”?

- Wszystko przejdzie w raporcie.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż za wszystkim stał Costello, chłoptasiu? - mruknął nieufnie.

- Myślę, że tak można to przedstawić. Nie ma nikogo, kto by mógł zaprotestować, prawda?

Doe spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Nic nie rozumiem - bąknęła.

- Nie musimy mówić o tym teraz - wtrącił się Chief.

- Mówić o czym? Nie uda wam się teraz wyprosić mnie z pokoju - zaprotestowała.

- Dajmy spokój - powiedział Titan, wpatrując się w noski butów.

- Nie! - krzyknęła Doe. - O co tutaj chodzi?

- O nic specjalnego, kochanie - uspokajał ją Chief. - To tylko biznes.

- Jaki znów biznes? - upierała się.

- Morderczy biznes - powiedziałem.

Chciałem, żeby wiedziała. Żeby raz na zawsze wymieść wszystkie kąty.

- Wyłumacz jej - odezwał się Chief. Był już za stary i zbyt znużony na wyjaśnienia.

- Rzecz w tym, że my wiemy najlepiej, prawda, Mr Stoney? - rzuciłem.

Titan odwrócił się plecami i wpatrzył się w kominek.

- Parver był agentem Figi podobnie jak ja, ale był przypisany do Szkopa Moreheada i jego zabijaków - wyrzuciłem z siebie. - Szkop twierdził, że Parver nic nie wiedział o Trójcy z Cincinnati, do czasu, gdy mój szef, Cisco Mazzola, miesiąc temu wpadł na ich ślad. Jakoś wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Nigdy się specjalnie nie biedziłem nad raportami. To jeden z moich błędów.

- To ty popełniasz jednak jakieś błędy? - zapytał zgryźliwie Titan.

- Popełniłem ich wiele - odparłem. - Jak każdy.

- Na przykład? - zainteresował się Titan.

- Na przykład to, że rozpracowując Taglianich, miałem przez trzy lata do pomocy pięcioosobową grupę. W naszych aktach były zdjęcia, wycinki z gazet, raporty wywiadowców i analizy poczynań Trójcy. Zanim Czerw tutaj się zjawiał, pół roku spędził na przeglądaniu sprawozdań komputerowych. Wiedział wszystko o Trójcy i jej ludziach. Kiedy się tu znalazł, natychmiast ich zidentyfikował. Musiał. Pytanie brzmi: z kim się podzielił tymi informacjami?

Nikt się nie odezwał. Doe ciągle jeszcze niewiele rozumiała.

- Nikt się nie zgłasza? - zapytałem. - No cóż, to spróbuję sam. Myślę, że przyszedł do pana, Mr Stoney. Wcześniej niż do Szkopa. To pan jest człowiekiem o żelaznej ręce. To pan reprezentował prawo w Komitecie.

Nic nie odpowiedział, ciągle wpatrując się w kominek.

- Więc polecił pan Parverowi, żeby zabił Taglianiego - zakończyłem.

Odwrócił się i posłał mi twarde spojrzenie.

- A niby dlaczego miałby zrobić coś tak głupiego? - zapytała Doe zaczepnie.

- Z dwóch powodów. Ja w każdym razie mogę sobie wyobrazić przynajmniej dwa. Po pierwsze, żeby uchronić karierę Harry'ego Rainesa, a po drugie, by złamać kręgosłup Trójcę.

- Ej, ej - zaprotestował Titan - nie jestem cudotwórcą.

- Nareszcie zaczyna pan sobie to uświadamiać - warknąłem i nie dopuszczając go do głosu, ciągnąłem: - Myślę, że naprawdę wierzył pan w to, iż po pozbyciu się Taglianiego będzie pan mógł wykopać stąd Trójcę. Stary numer pod tytułem: „Do zachodu słońca macie się wynieść z miasta”. Ale to było ryzykowne posunięcie. Potem dowiedział się pan, że ja przyjeżdżam i że wszystko się wyda, więc spanikowany dał pan Czerwiowi wolną rękę. Wiedział pan, że prasa powtórzy wszystko, czego pan sobie życzy. Mógł pan zarejestrować morderstwa jako efekt jakichś kokainowych porachunków, czy, co jeszcze lepsze, mógł pan pozwolić, żeby Graves funkcjonował jako miejscowy zabójca. Ten się nie przejmował, jak długo nie można mu było niczego wykazać. Nie wypierał się nawet zamordowania Cherry'ego McGee, choć to Tagliani wykonał tę robotę. A Czerw uruchomił wszystko, odbijając transport kokainy Gravesa. To stało się głównym motywem, jeśli jeszcze trzeba było jakiegoś.

Po twarzy Doe przelatywały kolejno różne uczucia, od oszołomienia po niewiarę.

- Przecież to czyste szaleństwo - wykrztusiła. - To nieprawda, Mr Stoney.

Titan tylko gniewnie parsknął.

- Zgadzam się, że był pan naiwniakiem - ciągnąłem. - To zresztą zrozumiałe. Ciągłe się panu wydawało, że gra toczy się wedle pańskiej starej reguły: jeśli chcesz się kogoś pozbyć, zrób to jak najszybciej. Na przykład upieprz Tony'ego Lukatisa, gdyż stał się potencjalnym zagrożeniem dla Harry'ego Rainesa. Na przykład, zasugeruj Czerwiowi, by do skoku na kokainę użył Lukatisa, a potem się go pozbył. Ludzie Gravesa i Tony zostali zabici z tej samej broni, która należała do Czerwia. No cóż, myślę, że jak się rządzi miastem przez czterdzieści lat, łatwo zaczyna się odrywać rolę Pana Boga.

Doe, ciągle zagubiona w tym wszystkim, spojrzała na mnie i zapytała:

- Po czyjej ty właściwie jesteś stronie, Jake?

- Po niczyjej. Jestem prostym gliniarzem, który stara się wykonać swoją robotę. Mówiąc szczerze, niewiele by mnie to wszystko obchodziło, gdybym sam nie odegrał w tym swojej roli.

- Jakiej? - zapytała.

- Byłem przekonany, że mordercą jest Nance, gdyż chciałem tego. Przez pewien czas starałem się nawet zbudować oskarżenie przeciw Harry'emu, ponieważ chciałem, by był w to unurzany.

- Tak było? - spytała, odsuwając się ode mnie.

- Tak - przyznałem. - Wszyscy udawaliśmy małych bogów, Czerw z pewnością także. Pan, Mr Stoney, na pewno też.

- Wszystko słusznie, chłoptasiu - odezwał się w końcu Titan. - Z jednym małym wyjątkiem.

- Jakim?

- To nie był mój pomysł - powiedział, a odczekawszy chwilę dla efektu, dodał z uśmiechem: - Wszystko od samego początku było pomysłem Parvera.

- Dlaczego? - zapytałem. - Co on chciał z tego mieć?

- Nic, absolutnie nic - odparł. - A poza tym, jeśli masz rację, to dlaczego nie przestał na Taglianim?

Przez chwilę nie znajdowałem odpowiedzi, do dziś jej zresztą nie znalazłem. Wzruszyłem ramionami. - Nie wiem. Widocznie taki charakter. Niczego z tego nie można zresztą dowieść.

Wtedy włączył się Chief.

- To po co gadać o tym wszystkim? - zapytał surowym tonem.

- Tak - powiedziała Doe, przysuwając się do ojca. - Po co to wszystko wyciągać?

Nagle zrozumiałem, że przestałem już być bohaterem.

- Ponieważ teraz to jego gra - oznajmił Titan. - Masz w rękę wszystkie atuty, prawda, chłoptasiu?



- Więc to tak? - zapytała gniewnie Doe. - Od samego początku rozgrywałeś swoją sprawę?

- Tak, tak, chłoptasiu - stwierdził Titan. - Co chcesz mieć z tego?

Zastanawiałem się przez chwilę, spoglądając na Doe, która stała przy swoim ojcu, jak zawsze będzie stała, i na Titana, z jego szczęką buldoga, którego nikt nigdy nie zwyciężył i nie zwycięży. Ich związek był oczywisty. Ja byłem człowiekiem z zewnątrz, zawsze zresztą nim byłem. Nie sądzę, żeby komukolwiek z nich przyszło do głowy, że jeśli oni zapłacili za to utratą swego drogiego miasta, Harry Raines zapłacił własnym życiem. To ostatnie nie mieściło się w ich rachunkach, co jest, jak przypuszczam, jednym ze zbroczeń rodzonych przez władzę.

- Chcę dokładnie tyle co Czerw - powiedziałem. - Nic.

Odwrociłem się i wyszedłem.

## 78. NEKROLOG

Wyjeżdżając z Windsong, czułem ulgę, nie tyle z tego powodu, że opuszczałem to miejsce, lecz głównie dlatego, że przestałem się bać duchów tego domu, które budziły we mnie przedtem prawdziwą trwożę. Jeśli nawet były tam jakieś duchy, to te, za sprawą których wciąż jeszcze pozostawały żywe wspomnienia śmiechów, młodości i minionego czasu, wspomnienia równie słodkie, jak powracający smak hot dogów i pieczonych kasztanów czy zapach ogniska palonego na plaży. Jeśli powrót do Windsong nauczył mnie choćby tyle, że powinienem cenić te minione dni, zamiast oplakiwać je w rozpacz, było to już i tak bardzo wiele. A jeśli nawet tamten ulotny okres, dwadzieścia lat temu, miały być jedynym pięknym latem w całym

moim życiu to, mimo wszystko, należał przecież do mnie i nikt nie mógł mi go odebrać.

Następnego ranka nadleciał jak huragan Cisco i rozpętało się małe piekło.

Bardzo łatwo było obciążyć masakrą Taglianich: Nance'a, Costello i Chevosa; z osób liczących się w bandzie nie pozostał nikt, kto mógłby zakwestionować tę wersję. Costello trzymał Cohena na odległość wyciągniętej ręki, ten zatem o wielu sprawach zupełnie nic nie wiedział. Titan i Chief należeli do zмовy, z ich strony nic więc nie groziło. Poza tym, ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć, a wersja z bohaterskim policjantem sprzedaje się znakomicie.

Dla Szkopa i reszty SOS prawdziwy obraz wydarzeń był czymś w rodzaju tajemnicy państwowej, do której nie wolno dopuszczać nikogo z zewnątrz. Także i Cisco zachował milczenie, chociaż nieustannie suszył mi głowę o dokładny raport z wypadków sprzed dwóch miesięcy. Nigdy nie sporządzałem raportów, dlaczego więc coś miałoby się teraz zmienić? Chciał jednak wiedzieć, chciał poznać odpowiedzi na wszystkie pytania. A chociaż mu ich nie dałem, a niektórych zresztą nie potrafiłbym nawet dać, jedna kwestia dręczyła go nieustannie, aż kiedyś wreszcie zapytał o nią wprost.

- Nie byłeś zaangażowany emocjonalnie w tę sprawę, co, Jake? - odezwał się podczas jednego z tych śniadań, na które składały się stopy witamin i różnych świństw.

- Co masz na myśli? - odpowiedziałem pytaniem.

- Było coś poważnego między tobą a żoną Rainesa?

Zastanawiałem się długo i w końcu powiedziałem: „Nie”.

Naprawdę nie uważam, że było to kłamstwo. Przez cały czas powinienem był wiedzieć, że romans z graczem futbolowym nie może trwać zbyt długo. Moim zdaniem, wszystkie elementy Dunetown pasowały do siebie jak elementy w układance. Chief przegnał mnie z życia Doe, tak jak Titan przegnał potem Tony'ego Lukatisa; Harry Raines zajął miejsce zwolnione przez Teddy'ego Findleya, tak jak Sam Donleavy

zajął miejsce przeznaczone ongiś dla mnie. Kiedy układanka została ułożona, obraz był mocno pokraczny. Jak na ironię, wszystko poprzewracał Tagliani, który nigdy nie był prawdziwym elementem układanki. Wuj Franco przybył do Dunetown w poszukiwaniu tego, czego każdy z nas pragnie. Miał nadzieję, że uda mu się kupić ludzki szacunek. Drobnił się tylko długiego, ciemnego, wieczystego tunelu, bez żadnego światełka na końcu.

Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, myślę czasami, że może i Czerw na swój sposób szukał tego samego. Nigdy nie będę tego wiedział na pewno, lubię jednak myśleć, że chciał przywrócić sens swemu życiu, odnaleźć jakąś wartość, mogącą zastąpić wartości utracone przez niego w tym odległym miejscu, o którym wszyscy pragnęlibyśmy zapomnieć i nigdy nie zapomniny. A może przestał już w ogóle o tym marzyć. Może po prostu najlepiej jak potrafił, wykonywał jedyną rzecz, na której naprawdę się znał. Mam nadzieję, że znalazł to, czego szukał, czymkolwiek to było. Mam nadzieję, że śmierć była dla niego łagodniejsza niż życie i że podobnie jak inni polegli koledzy jest w jakimś miejscu specjalnie zarezerwowanym dla tych, którzy przekroczyli bramę piekieł i nigdy stamtąd nie wrócili.

Jedno jest pewne: Czerw miał ładne pożegnanie. Pochowaliśmy go w jego zmaltretowanym kapeluszu. Trumnę niosły zabijaki, była gwardia honorowa, Szkop odczytał mowę, która wszystkim wycisnęła lzy z oczu, a trębacz odegrał capstrzyk, który powrócił żałobnym echem, odbiły od murów cmentarza. Byli wszyscy, oprócz Doe, pięknej, do końca nieuchwytniej Doe. Przyszła jednak DeeDee Lukatis, przyszła Lark, był Cisco. Pokazali się Chief Findley i Titan Stoney.

Salvatore nałożył nawet krawat.

## SPIS TREŚCI

Podziękowania	8
Przedmowa. Dunetown	13
Prolog. Niedziela o zmierzchu	17
1. Raz, dwa, trzy	21
2. Przejazdźka po mieście	28
3. Doomstown, Miasto Stracone	30
4. Dziedzictwo Leadbettera	36
5. Magazyn	42
6. Na żywo	52
7. W krzyku	61
8. Trójca z Cincinnati	63
9. Opieprz	75
10. Czerw	79
11. Dom śmierci na Floral Street	85
12. Retrospekcja: Dziennik wietnamski. Przybycie	99
13. Titan Stoney	103
14. Komitet	113
15. Doe	121
16. Złe sny	125
17. Książkowa rozgrywka	127
18. Mata pogawędka, duża forsa	135
19. Maty Tony Lukatis	146
20. Zabawa w chowanego	152
21. Memorandum	162
22. Przy drodze	167
23. Inkasent	174
24. Urzędowe procedury	185

25.	Ludzie-błyskawice	89
26.	Srebrna dolarówka	196
27.	Normalny biznes	200
28.	Śpiewający sznur	202
29.	Disaway	212
30.	Czarodziejskie ręce	220
31.	Zaproszenie	227
32.	Diabeł z pudelka	231
33.	Isle of Sighs	240
34.	Późny telefon	246
35.	Western Union	253
36.	Pogawędka przy śniadaniu	258
37.	Przynęta	264
38.	Retrospekcja: Dziennik wietnamski. Pierwsze sześć tygodni	267
39.	Chatka zabitego	272
40.	Knajpa Skeelera	274
41.	Zabytki	280
42.	Wieczorna potyczka w Magazynie	285
43.	Paskudnie zakatarzony pies	291
44.	„U Wuja Jolly'ego”	300
45.	Podwójny seans	306
46.	Psy	308
47.	Titan rozdaje karty	320
48.	Do... widzenia	329
49.	Kto następny?	340
50.	„Casablanca”	345
51.	Strzelanina	350
52.	DeeDee	357
53.	Loteria	363
54.	Szczątki	377
55.	Nekrolog	382
56.	Śmiertelny upał	387
57.	Raines dostaje ciągi	393
58.	Retrospekcja: Dziennik wietnamski. Drugie sześć miesięcy	407

59.	Piramidy	417
60.	Cocktail party	421
61.	Gabinet luster	432
62.	G-A-L-A-V-A-N-T-I	437
63.	Czuwanie przy zwłokach	449
64.	Nurkowanie	456
65.	Długonosy Graves	462
66.	Strzelanina w Back OTown	473
67.	Podliczanie ofiar	478
68.	Interesy	483
69.	Dziękuję, panie Bell	491
70.	Morderstwo pierwszego stopnia	506
71.	Nance w akcji	513
72.	Retrospekcja: Dziennik wietnamski. Koniec wyprawy	522
73.	Zapata ratuje honor SOS	527
74.	Christmas Creek	536
75.	Pożegnalny cios	543
76.	Wotum zaufania	554
77.	Powrót do Windsong	557
78.	Nekrolog	563